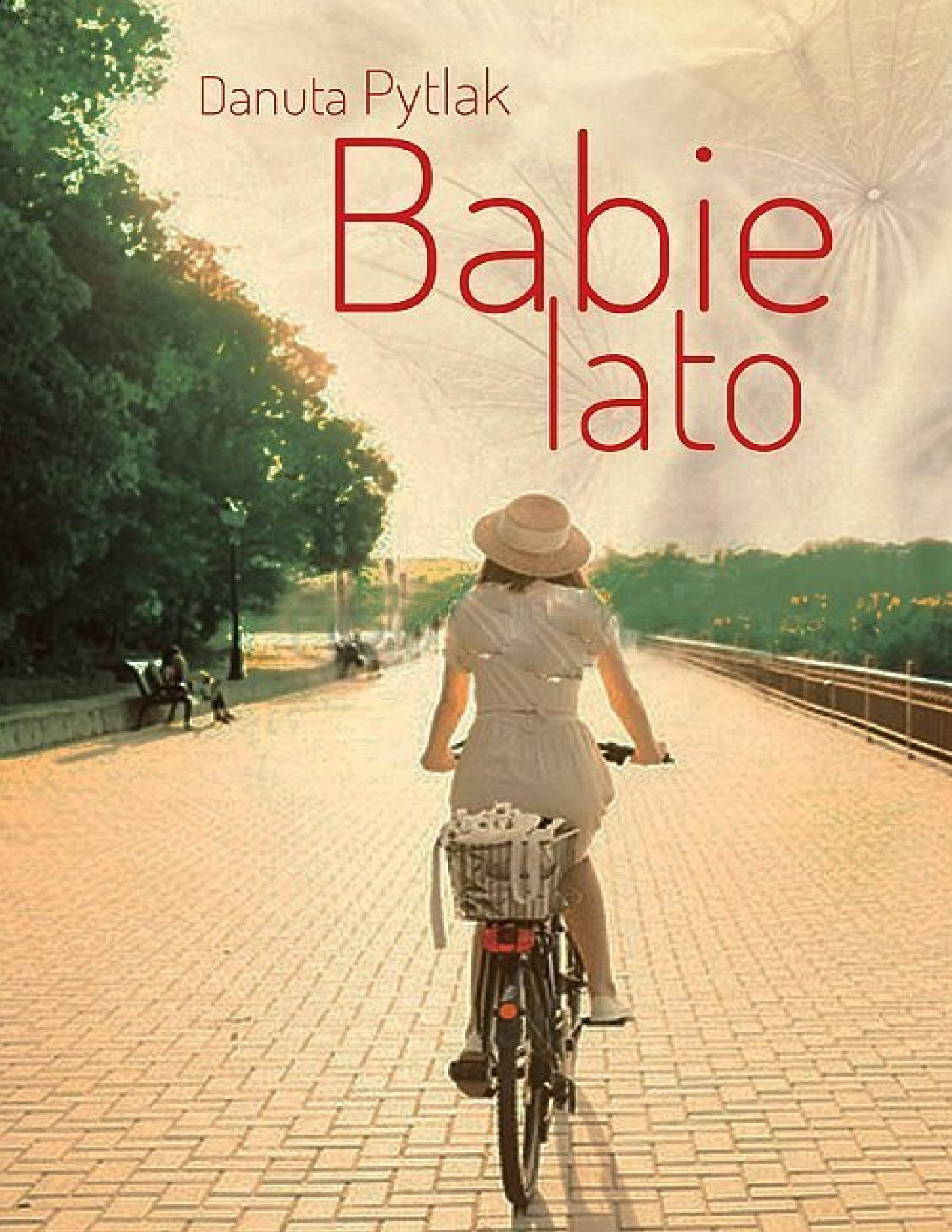


Danuta Pytlak

Babie lato



Danuta Pytlak

Babie lato

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Danuta Pytlak
Babie lato
ISBN: 978-83-7785-650-5

Copyright © Danuta Pytlak, 2015
All rights reserved

PROJEKT GRAFICZNY: Wioletta Markiewicz

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Kiedy o wpół do czwartej usłyszałam pierwsze tramwaje wyjeżdżające z pobliskiej zajezdni, rozpłakałam się. Kolejna bezsenna noc! Znowu będę nieprzytomna. Wiedziałam, że do rana już nie zasnę, zapaliłam więc lampkę przy łóżku. Zamierzałam trochę poczytać i wcześniej pojechać do pracy. Przynajmniej się nie spóźnię, pomyślałam ponuro. Ostatnio wciąż się spóźniałam. Wieczorami długo nie udawało mi się zasnąć, przewracałam się z boku na bok, a rano, kiedy dzwonił budzik, za nic nie byłam w stanie się obudzić. I z tego niewyspania bez przerwy bolała mnie głowa. Wieczorem znów nie mogłam zasnąć i tak w kółko.

Teraz też czułam, jak ból rozsadza mi czaszkę. Światło nocnej lampki wydawało mi się ostre, aż mrużyłam oczy. Kiedy usiadłam, zakręciło mi się w głowie. Niech to szlag! Dłużej tego nie wytrzymam! Zmęczenie w końcu powali mnie z nóg. Muszę coś z tym zrobić. Może trzeba do lekarza?

Sięgnęłam po laptopa – nici z czytania, to może chociaż zarezerwuję sobie przez Internet wizytę w przychodni. Światło monitora raziło mnie jeszcze bardziej niż światło lampki, więc zrezygnowana wyłączyłam komputer, lampkę i położyłam się. Po ciemku gapiałam się w sufit.

Problemy ze spaniem i bóle głowy dręczyły mnie, odkąd pół roku temu poprosiłam Pawła, żeby wyprowadził się ode mnie. To pewnie ze stresu. Wprawdzie brałam jakieś ziołowe środki na uspokojenie, ale widocznie były za słabe. Koniecznie muszę pójść do lekarza. Pójdę nawet na terapię, jeśli będzie trzeba, pomyślałam. Coraz bardziej mnie to męczy. W pracy zawałam coraz więcej spraw, zapominam o spotkaniach i nie dotrzymuję terminów. Tak nie może być. W końcu Wiktor mnie wyleje. Muszę nad tym zapanować. Dosyć już płaczu. Paweł nie wróci. Nie pozwolę na to.

Na myśl o Pawle znowu poczułam wzbierające łzy. Jedna spłynęła za ucho. Dosyć! – krzyknęłam w myślach sama na siebie. Dosyć! – zacisnęłam zęby i zwinęłam się w kłębek. Zawsze tak robiłam, kiedy czułam się nieszczęśliwa.

Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. Śniłam. Na łące za babcinym domem zrywałam stokrotki. Miałam ich już pełne dłonie, nie mieściły mi się w garściach, a ja ciągle rwałam. Więcej i więcej. Było mi dobrze, ciepło i tak leniwie. Tylko z każdą zerwaną stokrotką rozlegał się równomierny dźwięk. Pik... pik... pik... To na pewno huśtawka w sadzie, pomyślałam. Wiatr nią kołysze i stara gałąź, na której była zawieszona, skrzypi. Pik... pik... pik... Ale przecież nie ma wiatru. Jest piękny, gorący koniec lata. Nawet pojedynczego podmuchu się nie odczuwa. Koniecznie muszę sprawdzić, skąd to pikanie. Pik... pik... pik... Irytowało coraz bardziej. I jeszcze te stokrotki. Całe stosy zerwanych stokrotek, przykrywały mi nogi i oblepiały ręce, każdy kawałek ciała był nimi omotany. Nie mogłam się ruszyć, ciążyły coraz bardziej...

Obudziłam się spocona, serce biło mocno. Budzik dzwonił jak opętany. Chciałam go wyłączyć, ale zawinięta w kołdrę, nie mogłam. Zebrałam siły i wyciszyłam to cholerne pikanie. Wyczerpana krótkim snem, usiadłam na łóżku. Głowa mi pękała, nie miałam ochoty na nic.

Chłodny prysznic, który brałam zbyt długo, nie otrzeźwił mnie tak, jak tego oczekiwałam. Kręciło mi się w głowie i było mi niedobrze.

Nie pójdę do pracy, postanowiłam. Wezmę urlop. Muszę odpocząć. Przynajmniej jeden dzień.

Telefon Wiktora nie odpowiadał, po kilku sygnałach połączenie, jak zwykle, zostało przekierowane do Agi, mojej przyjaciółki z pracy.

– Cześć, Aga, to ja. Jest Wiktor?

– Michaśka! Gdzie ty jesteś? – Głos Agi nie wróżył nic dobrego. – Miałaś być rano z Wiktorem na konferencji! Pojechał sam, wściekły jak nie wiem co!

Z tego wszystkiego zapomniałam!

– Aga, trudno. Źle się czuję, muszę zostać w domu.

– A materiały? Przecież masz materiały na tę konferencję! – wrzasnęła Aga. – A co ci jest? – spytała już spokojniej.

– Głowa mnie boli. Bardzo.

– Głowa cię boli? Oszalałaś? Wiktor cię wyleje, zobaczysz! Bierz materiały i wskakuj w samochód! Michaśka! Sama wiesz, jakie to ważne! Nie tylko dla Wiktora, ale dla całej firmy! Co się z tobą dzieje?

– Nic się nie dzieje – burknęłam i przerwałam połączenie. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła ósma. Przy odrobinie wysiłku zdążę na rozpoczęcie tej cholernej konferencji. Wiktor obruga mnie jak święty Michał diabła, to pewne, ale zdążę i nie będzie afery. Co najwyżej pojedzie mi po premii. Wiktora znałam na wylot. Zawsze wściekał się całym sobą, wrzeszczał, potem boczył się przez kilka dni, w końcu jednak odpuszczał i wszystko wracało do normy. Był dobrym szefem. Wprawdzie ostatnio coraz częściej dochodziło między nami do kłótni, wyrzucał mi zaniechania i groził, że w końcu mnie zwolni, ale nie brałam tego poważnie. Byłam zbyt dobra, żeby, ot tak sobie, pozbył się mnie za – bądź co bądź – drobiazgi. Ważny był efekt mojej pracy, a ten – zawsze perfekcyjny – przynosił firmie obfite zyski.

Niestety, na mieście były korki i pod hotelem, w którym odbywał się zjazd, nie było ani jednego wolnego miejsca parkingowego. Zanim znalazłam coś w okolicy i dobiegłam zdyszana, konferencja już się zaczęła. Byłam mocno spóźniona.

Po cichu wślizgnęłam się na salę i rozejrzałam w poszukiwaniu Wiktora. Patrzył na mnie morderczym wzrokiem. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Położyłam przed nim plik dokumentów, pendrive z przygotowaną przeze mnie prezentacją i usiadłam na krześle tuż obok. Nie zaszczycił mnie ani słowem. Nawet nie odpowiedział na skinienie głowy.

Oj, niedobrze. Pewnie będzie awantura.

– A teraz zapraszamy do zabrania głosu i przedstawienia projektu swojej firmy pana Wiktora Sobańskiego. – Prowadzący spojrzał znacząco w naszym kierunku. – Widzę, że materiały dotarły. Miejmy nadzieję, że już nic nie przeszkodzi w prezentacji – uśmiechnął się do nas, chyba życzliwie.

Wiktor podniósł się z godnością – zawsze w takich sytuacjach umiał zachować kamienną twarz – i stanął przy mikrofonie.

Nie słuchałam tego, co mówi. Znałam każdy szczegół tej prezentacji. Poświęciłam jej wiele tygodni pracy. Wiedziałam, że jest dobra. Projekt był innowacyjny i proponował ciekawe rozwiązania. A co najważniejsze – był tani.

Poczułam chwilowe odprężenie. Głowa przypominała o sobie ze zdwojoną siłą. Naprawdę muszę iść do lekarza. To za długo trwa. Sięgnęłam po tabletkę.

Napiłam się wody i obserwowałam Wiktora. Szło mu świetnie. Był znakomitym prezydentem. Ale zbyt długo go znałam, żeby nie usłyszeć w jego głosie tego szczególnego tonu – nutki wściekłości. Oj, będzie się działo, zdążyłam pomyśleć, kiedy huczne brawa zakończyły wystąpienie.

Posłałam mu uśmiech, ale go nie odwzajemnił. Zignorował mnie całkowicie. Wpatrywał się intensywnie w kolejną prezentację przedstawianą przez konkurencyjną firmę.

– Wiktor – szepnęłam – daj spokój. Przepraszam, źle się czułam. Źle się czuję – doprecyzowałam. Nie zareagował.

– Wiktor – odezwałam się znowu – proszę cię.

– Porozmawiamy w przerwie – wycedził lodowato.

Jednak w przerwie kawowej gdzieś zniknął i nie udało nam się porozmawiać. W czasie lunchu miej-

sce przy stoliku też pozostało puste. Nie pojawił się już do końca konferencji. Pozbierałam więc przywiezioną przez siebie dokumentację, spakowałam laptopa i postanowiłam pojechać na chwilę do pracy. Miałam nadzieję, że jednak zdołam złapać Wiktora. Nie chciałam tego odkładać. Było mi głupio i czułam, że tym razem nie pójdzie tak łatwo.

Ciągle nie czułam się dobrze, ale wzięłam kolejną tabletkę przeciwbólową i to pozwoliło mi przetrwać do końca zjazdu. Chciałam wykorzystać ten stan.

Warszawa o tej godzinie jak zwykle była zakorkowana. Posuwałam się naprzód zółwim tempem i czułam, jak z minuty na minutę jestem coraz bardziej wkurzona. Niech to szlag! Nie cierpię tego miasta!

W biurze spotkałam już tylko Agnieszkę. Właśnie zamykała biurko przed wyjściem do domu.

– Cześć, Aga – rzuciłam zmęczona. – Jest Wiktor?

– Nie ma, wpadł tylko na chwilę. Był tak zły, że warczał na wszystkich. Opieprzył informatyków, że czegoś mu nie zrobili, napadł na Małgośkę, wiesz, tę rudą z marketingu, w końcu trzasnął drzwiami i tyle go widzieliśmy – zrelacjonowała Aga. – A jak konferencja? I cześć, oczywiście – wyrecytowała jednym tchem.

– Wiktor nie mówił? Mamy ogromne szanse na sprzedanie naszego projektu. – Ciężko usiadłam przy biurku i zaczęłam szperać w torebce w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych. – Nie masz apapu? Mój gdzieś mi się zapadział. Pewnie został w hotelu.

– Michaśka, co ci jest? – W oczach Agi widziałam troskę. Taka była. Roztrzepana, żywiołowa trajkotka o wielkim sercu. Wiedziałam, że mogę na nią liczyć w każdej sytuacji. Pracowałyśmy razem od samego początku. Świetnie się rozumiałyśmy i wspierałyśmy. To była prawdziwa przyjaźń, bez włożenia sobie nachalnie w życie prywatne. Każda wiedziała, gdzie jest granica, której nie powinno się przekraczać. Teraz przyglądała mi się uważnie.

– Co ci jest? Ciągłe boli cię głowa? Ile tabletek już wzięłaś?

– Och, daj mi spokój! – fuknęłam.

– Kochana, żadne „daj mi spokój”! Pytam, ile wzięłaś, więc odpowiedz! Trzy? Cztery?

Milczałam. Usiłowałam policzyć te tabletki, ale myliły mi się rachunki. Naprawdę muszę iść do lekarza.

– Nie wiem, Aga. Nie pamiętam.

– To nie bierz więcej. Napij się wody i odsapnij. Odwiozę cię do domu. Żadnego ale! – uprzedziła mój protest. – Jutro Mietek odstawi ci samochód pod dom albo sama po niego przyjedziesz, jak się lepiej poczujesz.

Nie miałam siły protestować. Przejęcie dowodzenia przez Agę przyjąłam z ulgą. Wprawdzie odezwało się we mnie sumienie, bo Aga mieszkała po przeciwnej stronie miasta, ale fajnie było poczuć czyjeś opiekuńcze skrzydła nad sobą. Jakby anioł stróż był przy mnie, pomyślałam i uśmiechnęłam się do własnych myśli. Lubiłam wyobrażać sobie swojego anioła stróża, bo – ku uciesze moich znajomych – głęboko wierzyłam, że on naprawdę przy mnie zawsze stoi. Jak w tej dziecinnej modlitwie: „Aniele Boży, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój”. W chwilach zwątpienia, jeśli się modliłam, to rozpaczliwie powtarzałam właśnie te słowa. Wydawało mi się, że wtedy powracam do czasów dzieciństwa. Szczęśliwego, beztróskiego dzieciństwa.

– Michaśka, pobudka! – usłyszałam głos Agi. – Dojechałyśmy.

Wygramoliłam się z samochodu.

– Dziękuję, Aga. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– A co ja bym bez ciebie zrobiła? – zapytała Aga i wzięła mnie za rękę. – Odprowadzę cię. Tak dla pewności. – Puściła do mnie łobuzersko oko. – Od tego właśnie są przyjaciele.

Lubiłam Agę. Bardzo lubiłam. Ale chciałam, żeby już sobie poszła. Wolałam zostać sama i położyć się

do łóżka. W ubraniu. I nie myśleć o niczym. A najlepiej zasnąć i obudzić się bez bólu głowy. A tymczasem patrzyłam, jak gospodarzy w mojej kuchni, nastawia czajnik, porządkuje pozostawiony przeze mnie rano bałagan.

– Okropnie zbladłaś – powiedziała, pochylona nad zlewem. – Może w ciąży jesteś? I dlatego tak się czujesz?

Popukałam się w czoło.

– Oszalałaś? W ciąży? Chyba że mnie wiatr zapylił – powiedziałam ponuro. Nie kochaliśmy się z Pawłem na długo, zanim odszedł. Myślałam, że oboje jesteśmy przepracowani, że potrzebujemy wypoczynku i wszystko wróci do normy. A okazało się, że to coś zupełnie innego.

Poczułam, że za chwilę rozmowa może wejść na niebezpieczny dla mnie temat, a bardzo tego nie chciałam. Nie miałam siły wracać do przeszłości.

– No to co ci jest?

– Skąd mam wiedzieć? Głowa mnie boli.

– Michaśka, nie możesz w kółko powtarzać, że boli cię głowa. Musi być jakaś przyczyna. Może trzeba iść do lekarza? Tylko mi nie mów, że z bólem głowy nie chodzi się do lekarza! – Aga знаła mnie na wylot. – Nigdy przedtem nie skarżyłaś się na bóle głowy. U ciebie to coś nowego. Sama wiesz, że ostatnio przeżywaś trudne chwile. To żaden wstyd poprosić o pomoc.

– Wiem, wiem. W nocy miałam zamiar umówić się na wizytę, ale jakoś rozeszło się po kościach.

– Jasne, „rozeszło się po kościach”. Znam cię. Będiesz odwlekać i znajdować tysiąc wytłumaczeń, żeby nie iść. O nie, kochana moja. Tym razem ja dopilnuję, żebyś trafiła do lekarza. Odpalaj komputer, poszukamy najlepszego terminu.

Nie miałam siły protestować. Zalogowałam się i podałam laptopa Adze.

– Ty to zrób. Światło monitora mnie razi.

Aga chciała coś powiedzieć, ale tylko otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

– Daj mi kartę – mruknęła.

Dałam jej cały portfel. Wyłuskała z niego kartę medyczną i skupiła się na umówieniu wizyty.

– Cholera, ale obłożenie! Trudno coś znaleźć. Dziwne, to przecież nie pora na grypy i przeziębienia. – Dalej szperała w komputerze. – Mam! Jutro na dwunastą czterdzieści pięć! – Oznajmiła triumfalnie. – Bierzesz? A zresztą, co ja się pytam! Jasne, że bierzesz! Nie przyjmuję odmowy! Wybierz, rezerwuj, jest! – mamrotała. – Wizyta umówiona! I zostań jutro w domu. Wyśpij się porządnie, zanim pójdziesz na ten przegląd. Chcesz, żeby iść z tobą?

– No co ty, Aga! Co ja dziecko jestem?

– Nie, nie jesteś. Ale czasami tak się zachowujesz. A poza tym źle wyglądasz. Zrobimy tak: wstajesz, dzwonisz do mnie i mówisz, jak się czujesz. Wtedy zdecydujemy, czy możesz iść sama. A tylko spróbuj nie zadzwonić! – dodała groźnie.

– Kochana jesteś. Obiecuję, że zadzwonię – powiedziałam słabo. Byłam jej wdzięczna za wszystko, ale naprawdę mogłaby już iść. Potrzebowałam samotności.

Widocznie miałam to wypisane na twarzy, bo Aga zaczęła się zbierać.

– Michaś, nie będę cię męczyć. Odpocznij sobie, połóż się i spróbuj zasnąć. – Przytuliła mnie i pogłaskała po głowie jak dziecko. Zrobiło mi się wstyd.

– Agus, dziękuję ci bardzo. – Odwzajemniłam uścisk. – Jesteś dla mnie taka dobra.

– Daj spokój, wariatko. Pamiętaj – zadzwoń jutro, koniecznie. A Wiktoorem się nie martw. Porozmawiam z nim. Najważniejsze, żebyś się lepiej poczuła. – Już w progu ucałowała mnie i wyszła.

Naprawdę była kochana. I miała w sobie tyle pozytywnej energii i bezinteresownej życzliwości. Dobrze mieć kogoś takiego za przyjaciółkę.

Napiłam się wody i w bieliźnie wyciągnęłam na łóżku. Za oknem słyszałam świergot wróbli i szum samochodów. Poza tym cisza. Nic. Nawet od sąsiadów zza ściany wyjątkowo nie słychać było muzyki. Zamknęłam oczy i pozwoliłam myślom swobodnie płynąć. Bałam się tej jutrzejszej wizyty u lekarza. Chciałam to zbagatelizować, ale jednak w głębi duszy ciekawa byłam diagnozy. Aga miała rację – nigdy wcześniej nie cierpiałam na bóle głowy. W ogóle rzadko chorowałam. Nie miały mnie się żadne przeziębienia ani grypy – nawet gdy wszyscy wokół kichali i smarkali. Byłam odporna. A tu nagle taki ból głowy. Musiałam naprawdę kiepsko wyglądać, bo Aga sprawiała wrażenie mocno zaniepokojonej. Ona, tak jak ja, rzadko chorowała i nie była przewrażliwiona na punkcie zdrowia. Nie powiedziałam jej, że cierpię już od pewnego czasu i bóle ostatnio się nasiliły. Musiała się domyślić. Naprawdę zna mnie dobrze.

Nawet nie wiem, kiedy zasnąłam.

I znowu tam byłam, na łące pełnej stokrotek. Leżałam bezmyślnie, gapiąc się w niebo. Gdzieś już widziałam ten błękit, kołatała we mnie myśl.

„Pewnie, że widziałaś”, odpowiedział ktoś moim myślom wesoło. – „Przecież to nasze niebo nad łąką za domem”, w jego głosie dźwięczał śmiech.

Jak niebo może być nasze? – pomyślałam zdziwiona i leniwie obróciłam się w stronę, skąd dochodził radosny głos. Obok mnie siedziała obca, starsza kobieta w staromodnej granatowej sukni w polne maki. Zręcznie splatała wianek ze stokrotek, których pełno miała na kolanach.

„Kim jesteś?”, zapytałam.

„Jestem Weronika!”, odparła, śmiejąc się wesoło. „WERONIKA!”, wyskandowała znowu swoje imię. „Nie wiesz?”

„Nie wiem, Weroniko”, odpowiedziałam cicho. Po czym dodałam po chwili: „Nigdy o tobie nie słyszałam”. Uśmiechnęłam się do niej mimo woli.

„A znasz piosenkę *Ty pójdziesz górą?*”, zapytała Weronika i nie czekając na odpowiedź, zaczęła śpiewać pięknym, mocnym głosem.

Znałam, a jakże. Ale skąd?

„Michasiu! Michasiu!”, usłyszałam nagle wołanie od strony domu.

To babcia!

„Babciu! Babuniu!”, odkrzyknęłam i poczułam, że zachłystuję się radością, słysząc ten kochany głos. „Tutaj jestem! Tutaj!”

Zaczęłam biec w kierunku, skąd dobiegało wołanie. Zdawało mi się, że widzę postać babci. Była daleko, choć dom przecież stał blisko. Biegłam, ile sił, ale odległość między nami nie zmniejszała się wcale.

„Michasiu! Wracaj!”, wołała babcia. „Wracaj!”

„Już biegnę do ciebie, babuniu!”, przyspieszałam bieg, ale bezskutecznie.

„Wracaj! Czekam tutaj na ciebie!” Głos babci oddalał się nieubłaganie. Czułam, że zalewają mnie łzy i szloch przeszkadza w biegu. „Babciu! Babciu! Zaczekaj! Nie odchodź!” Nagle potknęłam się i upadłam.

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doooliinaąą!”, doszedł mnie śpiew Weroniki. Obejrzałam się i zobaczyłam ją tańczącą ponad trawą i stokrotkami. Roześmiała się srebrzyście, widząc moje zdumienie, i rzuciła we mnie wiankiem. Skoczyłam, żeby go złapać, i w tym momencie się obudziłam.

Była głęboka noc i nadal bolała mnie głowa. Ale byłam spokojna. Śniłam o babuni! Mojej kochanej babuni. Jedynej osoby, która mnie naprawdę kochała. To już tyle lat, odkąd odeszła – kończyłam wtedy studia.

Jakoś ostatnio nie myślałam o babci, wplątana w pęd codziennego życia. Ostatnio! Ostatnio, czyli... nie pamiętałam, kiedy ostatni raz wspominałam babcię. A kiedy ostatni raz odwiedziłam ją na cmentarzu?

Ogarnął mnie wstyd.

Pojadę tam w najbliższy weekend, postanowiłam. Pewnie grób zarósł i zapadł się po tylu latach. I zajrzę też do starego domu. Ciekawe, w jakim jest stanie. I czy w ogóle jeszcze stoi? Nie byłam tam od śmierci babci, czyli od... hmm... Policzyłam w myślach – od piętnastu lat. Strasznie długo – zawstydziliśmy się jeszcze bardziej. A czy znajdę klucz do domu? Nie pamiętałam, żebym go dostała, mimo że babcia dom zapisała właśnie mnie. Nie mojemu ojcu, ale właśnie mnie. Może ojciec przejął klucze? Pamiętam, że był oburzony decyzją babci i jej testamentem, bo bardzo liczył na pieniądze ze sprzedaży tego domu. Będąc wtedy w kiepskiej kondycji finansowej, planował, że uzyskane pieniądze przeznaczy na ratowanie swojej firmy. Muszę przeszukać rzeczy, które zostały po likwidacji mieszkania ojca, kiedy wyjechał do Kanady na stałe.

Zadowolona, że zapomniałam o bólu głowy, zajęta planowaniem weekendu, spojrzałam na zegarek. Dochodziła czwarta rano. Mogę jeszcze spróbować przespać kilka godzin. Zwinęłam się w kłębek, myśląc, dlaczego akurat teraz babcia pojawiła się w moim śnie.

A może to znak i babcia chce mi coś przekazać? Poczułam, jak opanowuje mnie strach. Przed dzisiejszą wizytą u lekarza i w ogóle przed przyszłością. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co będzie za miesiąc, za rok. Ba! Co będzie jutro... A przecież jeszcze nie tak dawno planowanie przyszłości było moim stałym zajęciem. Potrafiłam sobie wyobrazić bardzo dokładnie, co się stanie i co będę robić. Dziś widziałam przed sobą tylko pustkę. A właściwie szarą, gęstą mgłę, przez którą nie byłam w stanie się przebić.

Ech, to pewnie z powodu złego samopoczucia, pomyślałam. Wizyta u lekarza na pewno dobrze mi zrobi. Dowiem się, że muszę odpocząć, a potem wszystko minie. Zatem odpocznę. W weekend pojadę na wieś, na grób babci, zobaczę, co się stało z babcinym domem. Przy okazji się dotlenię. A w przyszłym tygodniu rozejrzę się za jakąś wycieczką zagraniczną. Może polecę na Kretę? Samotny tydzień daleko od pracy dobrze mi zrobi. Projekt skończony, mam zaległy urlop, to skorzystam, bo rzeczywiście dawno nigdzie nie wyjeżdżałam. I zejdę Wiktorowi z oczu na jakiś czas. Przyda nam się kilka dni wolnych od siebie. A Kreta bardzo mi się podobała, kiedy byliśmy tam z Pawłem trzy lata temu.

No właśnie, Paweł.

Nagle zatęskniłam boleśnie za Pawłem, za jego bliskością i czułością. Byliśmy ze sobą dwanaście lat, minęło pół roku od jego odejścia. To strasznie mało czasu na zapomnienie. Czy w ogóle jest możliwe zapomnienie? Tak zwane nowe życie? Dzisiaj jestem pewna, że nie.

Jeszcze bardziej skuliłam się pod kołdrą. Wcisnęłam twarz w poduszkę i pozwoliłam sobie na długi, oczyszczający płacz. Przynajmniej miałam nadzieję, że będzie oczyszczający.

Po kilkugodzinnym użalaniu się nad sobą wyglądałam jak siedem nieszczęść. Zmęczenie, niewyspanie i złe samopoczucie zawisło mi pod oczami wielkimi, szarymi workami. Nawet się nie umalowałam i blada, ze sceptycznym skrzywieniem ust mającym imitować uśmiech, usiadłam wreszcie naprzeciw lekarza. Musiałam wyglądać naprawdę strasznie, bo przyglądał mi się bardzo uważnie i długo o wszystko wypytywał. Nawet o najintymniejsze szczegóły, co bardzo mi się nie podobało. Ale postanowiłam być cierpliwa.

– Pani Michalino, no nie wygląda to wszystko dobrze. Stres stresem, zmęczenie też zrobiło swoje, ale po przeprowadzeniu wywiadu wydaje mi się, że to coś więcej. Obym się mylił. – Nie spuszczał ze mnie wzroku znad opuszczonych na czubek nosa okularów.

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że to coś więcej?

– Nie chciałbym stawiać diagnozy bez szczegółowych badań. Wypiszę pani skierowanie do laboratorium. Proszę te badania zrobić jak najszybciej, zaznaczę, że są pilne. Proszę nie lekceważyć zaleceń. Wypiszę pani również zwolnienie z pracy. Na razie kilka dni, mam nadzieję, że w tym czasie uda się pani zrobić wszystkie badania. No, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej większość.

– Ale... – zaczęłam mówić. – Ale...

– Żadnego ale. – Spojrzał na mnie surowo. – Oczekuję pani tutaj za tydzień z wynikami. Tymczasem proszę, recepta na lek przeciwbólowy. To doraźny środek, dość silny. Dopóki nie będę znał wyników badań, nie przepisuję pani innych leków. I proszę nie brać nic innego. Ważne, żeby pani dużo odpoczywała i jeśli nie będzie silnych zawrotów głowy, to jak najwięcej przebywała na świeżym powietrzu. Aha, podczas kuracji przepisany lekiem proszę unikać prowadzenia samochodu.

No nie! Niech to szlag! Nie potrafiłam poruszać się po mieście inaczej niż samochodem! A ponieważ moje auto zostało wczoraj pod pracą, do przychodni przyjechałam taksówką. Nie wiem, czy umiałabym jeszcze korzystać ze środków komunikacji miejskiej.

– Panie doktorze... – chciałam zaprotestować, ale zamknął mi usta srogim spojrzeniem.

– Do zobaczenia za tydzień. I proszę nie zwlekać! – powiedział na do widzenia.

Z gabinetu wyszłam wściekła, z plikiem recept i skierowań, i od razu natknęłam się na równie wściekłą Agę.

– Cholera jasna, Michaśka! Miałaś rano zadzwonić! – mówiła podniesionym głosem, tak że kilka oczekujących w kolejce osób zwróciło na nas uwagę.

– Zapomniałam. Zresztą nie miałam czasu, bo późno się obudziłam – burknęłam. Ostatnio ciągle Adze odburkuję, pomyślałam. – Ledwo tutaj zdążyłam na czas.

– Zapomniałaś? Czy ty wiesz, że ja od zmysłów odchodzę z niepokojem o ciebie? – Aga naprawdę była zła. Ja też byłam zła. I źle się czułam. Ból głowy gwałtownie dał o sobie znać. Pewnie ze zdenerwowania.

– Aga, nie krzycz! – Nawet nie zauważyłam, że też podniosłam głos. – Nic się przecież nie stało.

– Jak to nic się nie stało? Jak to nic się nie stało? – Aga straciła kontrolę nad sobą i teraz już otwarcie krzyczała.

– Drogie panie, bardzo proszę o ciszę! – Kobieta obsługująca pacjentów w rejestracji wyszła zza konuaru i podeszła do nas. – To nie jest miejsce na kłótnie. Proszę się uciszyć albo opuścić przychodnię!

– Bardzo przepraszam za koleżankę! – powiedziałam i ruszyłam do wyjścia.

– Za koleżankę?! – Aga aż zachłysnęła się z oburzenia. – Za koleżankę?!

Szłam szybko, nie oglądając się na Agę. Byłam naprawdę zła.

– Zaczekaj! – Złapała mnie za rękaw. – Zaczekaj, dokąd tak pędzisz? Oszalałaś?

Zatrzymałam się na schodach.

– Porozmawiajmy.

– Nie chcę rozmawiać – powiedziałam twardo. – Nie chcę rozmawiać! – krzyknęłam, widząc, że Aga otwiera usta, żeby coś powiedzieć. – Przepraszam cię, Aga, ale chcę zostać sama.

– Nie, kochana! Teraz nie zostaniesz sama, dopóki nie powiesz mi, co usłyszałaś od lekarza.

– Aga, proszę cię! – zareagowałam złowrogo.

– Chodź, odwiozę cię do domu. Porozmawiamy chwilę i zostawię cię samą, ale muszę wiedzieć. – Aga była już opanowana, choć widziałam, że złość wcale jej nie przeszła. – Przyjechałam twoim samochodem, więc i tak muszę do ciebie jechać. Wsiadaj.

Milczałyśmy całą drogę. Aga jechała ostro z zaciętym wyrazem twarzy. Zastanawiałam się, co jej powiem. Na razie sama byłam zszokowana tym, co stwierdził lekarz. Nie potrafiłam uporządkować myśli i zaplanować najbliższych godzin.

W mieszkaniu zrzuciłam pantofle i w ubraniu padłam na niezaścielone łóżko. Odwrócona twarzą do ściany miałam nadzieję, że Aga jednak da mi spokój i sobie pójdzie.

– Mów. Nie odpuszczę. No, mów!

– Nie mam nic do powiedzenia, za to cały stos badań do wykonania. Dopiero potem będzie diagnoza

- mówiłam do ściany. Bałam się, że kiedy spojrzę Adze w oczy, to się poryczę.
- Jakich badań?
- Nie wiem. Nie zapamiętałam. I nie oglądałam skierowań.
- A umówiłaś się? – indagowała.
- Nie. Nie zamierzam ich robić. Odpocznę kilka dni i będzie dobrze.
- Jesteś skończoną idiotką! Naprawdę skończoną idiotką. Przyjadę po ciebie jutro rano i zawiozę do przychodni. Zrobisz przynajmniej badania krwi, a na resztę umówimy się jutro.
- Nawet nie drgnęłam, kiedy usłyszałam trzaśnięcie drzwiami.
- Niech to szlag. Niech to jasny szlag!

* * *

Oczywiście przyjechała po mnie. Aga zawsze dotrzymuje słowa.

W przychodni pozwoliłam pobrać sobie krew w ilości przerażającej, nasiusiałam do pojemnika i oddałam mocz do analizy. Aga chodziła za mną wszędzie jak cerber. Dopilnowała, żebym umówiła się na pozostałe badania. Większość z nich zdołałam zorganizować w tygodniu przed wizytą kontrolną u lekarza. Nie udało się tylko z tomografią komputerową. Tutaj terminy były odległe.

– Najwcześniej za trzy tygodnie – powiedziała w recepcji miła pani, która nie odrywała wzroku od komputera w poszukiwaniu wcześniejszego terminu.

– Dobrze, niech będzie. – Było mi to obojętne.

– Błagam panią, może da się coś przyspieszyć! – skomlała Aga.

– Niestety, nie mam nic wolnego. – Kobieta uśmiechała się przepaszająco. – Mogę jedynie obiecać, że jeśli coś się zwolni, zawiadomimy panią. Zwykle tego nie robimy, ale doktor Liber zlecenie oznaczył jako bardzo pilne. To naprawdę wszystko, co mogę zrobić, żeby paniom pomóc.

– Bardzo, ale to bardzo dziękujemy! – Aga rozplęwała się w uprzejmościach. – I liczymy na pani pomoc. To dla nas bardzo ważne.

– Takie badania zawsze są ważne i pilne dla wszystkich. – Pani dalej uśmiechała się cierpliwie. – Gdyby wcześniej coś się zwolniło, damy znać – powtórzyła.

Wyszliśmy z przychodni w milczeniu.

– Aga... – Aga powoli odwróciła się do mnie i spojrzała poważnie. – Przepraszam za wczoraj. Byłam zdenerwowana całą tą sytuacją. Nie wiem, co mi się stało. I... dziękuję za dzisiaj.

– Po raz pierwszy straciłam wczoraj do ciebie cierpliwość – powiedziała cicho. – Nigdy więcej nie rób mi tego. Nigdy więcej.

Stałyśmy bezradnie naprzeciwko siebie, wyraźnie zawstydzone sytuacją.

– Strasznie się boję – szepnęłam.

– Ty wariatko! – Aga nagle przygarnęła mnie do siebie i mocno przytuliła. – Ty wariatko! Zawsze silna i niepokonana, co? Wszystko będzie dobrze. – Pogłaskała mnie po głowie, jak głaszcze się dziecko. – Będzie dobrze. Będę z tobą cały czas. Tylko się nie bój. – Zaczęła podejrzanie pociągać nosem. – Chodźmy, odwiozę cię i pojedę do pracy. Może się nie spóźnię. – Uśmiechnęła się do mnie. W jej oczach dostrzegłam łzy.

Pod domem uściskała mnie jeszcze raz, obiecała, że zadzwoni wieczorem, i odjechała.

Stałam na chodniku i czułam się jak porzucona. Rozglądałam się po ulicy, jakbym pierwszy raz widziała to miejsce. Dawno nie szłam tak po prostu ulicą. Zawsze poruszałam się samochodem. Nie zauważyłam, jak dużo się zmieniło, odkąd tu z Pawłem zamieszkaliśmy. Zrobiło się tak kolorowo i wesoło. Czerwiec był w pełni, wszystkie rośliny kwitły. Przez gałęzie drzew przeświecało poranne

słońce. Zapraǳnęłam przejść się po osiedlu, między blokami. Na placu zabaw pojawiły się pierwsze dzieciaki z opiekunkami, biegały i krzyczały radośnie, przy okazji obrzucając się piaskiem. W pobliskim sklepiku kupiłam dwie bułki i mleko na śniadanie. Po namyśle do koszyczka dorzuciłam jeszcze torebkę orzechów laskowych w czekoladzie, a na straganie za rogiem zobaczyłam przepiękne truskawki. Poczulałam, jak ślinka napływa mi do ust. O mało, w ferworze pracy, nie przegapiłam sezonu na te owoce, które uwielbiałam i którymi nigdy nie potrafiłam się przejeść. Wiosną nie mogłam się ich doczekać, a kiedy ze straganów znikaly ostatnie, późne truskawkowe odmiany, czulałam, że i tym razem się nie nasyciłam i znowu będę musiała wyczekiwać wiele miesięcy na kolejne zbiory. Truskawki, które można było kupić zimą w marketach, były tylko marną namiastką tych prawdziwych. Nie zaspokajały żądzy, jaką nosiłam w sobie całą zimę. Paweł zawsze pękał ze śmiechu, kiedy obżerałam się bezwstydnie i bez opamiętania, i mówił, że któregoś dnia obudzę się z szypułką na głowie.

Nie miałam ochoty wracać do pustego domu. Usiadłam na ławce, na skwerku i wystawiłam twarz do słońca. O dziwo, nie bolała mnie głowa. Czulałam się zdecydowanie lepiej. Nawet poczułam głód, więc nadgryzłam bułkę. Gapiłam się na przechodzących obok mnie ludzi i zastanawiałam, kim są i dokąd się śpieszą. Było mi dobrze.

W drodze powrotnej kupiłam truskawki z zamiarem zrobienia z nich pysznego deseru. W sklepiku dokupiłam śmietanę i świeży twaróg. Mój Boże, jak ja dawno nie robiłam takich zakupów. W markecie kupowałam zawsze w pośpiechu i hurtowo.

Naprawdę czulałam się lepiej. Zdecydowanie lepiej. To był pewnie fałszywy alarm, pomyślałam o wczorajszej wizycie w przychodni i dzisiejszych badaniach. Ale niech tam, zrobię je, to uspokoję i siebie, i Agę. I koniecznie muszę odpocząć, po zwolnieniu wezmę zaległy urlop i wyjadę. Muszę zweryfikować swoje życie. Nie mogę żyć tylko pracą.

Kiedy dotarłam do domu, poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Pot ciekł mi po plecach i po skroniach, a przecież wcale nie było tak gorąco.

Odechciało mi się śniadania i truskawek. Napiłam się zimnego mleka i położyłam do łóżka. Byłam wykończona. Niech to szlag!

Aga dzwoniła codziennie. Zapewniałam ją, że czuję się lepiej, że odpoczywam. Że wszystko w porządku. W rzeczywistości mój nastrój był tak kiepski, jak jeszcze nigdy. Nawet po odejściu Pawła lepiej sobie radziłam. Może wtedy praca trzymała mnie przy takim życiu? Teraz tylko wychodziłam rano na umówione badania, a później całymi dniami leżałam w łóżku, drzemiąc albo gapiąc się w sufit. Rozmyślałam nie wiadomo o czym. Przypominały mi się cudowne chwile przeżyte z Pawłem, nasze porozumienie i jedność dusz. Nie mogłam sobie przypomnieć tych złych, bo chyba ich w naszym związku nie było. Jak to się stało, że przeoczyłam moment, w którym oddaliliśmy się od siebie tak bardzo, że już niczego nie dało się uratować? Pamiętam, że kiedyś, chyba w grudniu, byliśmy na spacerze. Paweł szedł milczący jak nigdy, z rękoma w kieszeniach, jakby nieobecny. Spytałam go wtedy: „Paweł, czy ty jesteś zakochany?”. Zachnął się tak bardzo, że aż mnie zaskoczył siłą reakcji. Powinno to obudzić moją czujność, ale nie obudziło. Dopiero później, po kilku tygodniach, okazało się, że to nie żaden romans. To hazard wciągnął i powoli niszczył Pawła. Jego i nasze małżeństwo. Z domu zaczęły znikać cenne drobiazgi, coraz częściej odbierał dziwne telefony. I zamknął się w sobie. Nie chciał rozmawiać, twierdził, że nie ma żadnego problemu, że to tylko chwilowe kłopoty, z którymi poradzi sobie bez trudu. I nagle gdzieś przepadły nasze oszczędności. Nie wytrzymałam w dniu, kiedy pod blokiem zaczepił nas jakiś podejrzany facet i otwarcie nam groził.

– Koleś, pamiętasz o naszej umowie? – Mówiąc to, lustrował mnie bezczelnie. – Bo jak nie, to sam rozumiesz. Ładna ta twoja kobitka. – Strzyknął śliną pod moje stopy. Paweł stał jak zamurowany i nie zareagował na tak jawną obelgę. – Pani pozwoli, że się przywitam. – Zrobił gest, jakby chciał pocałować

mnie w rękę, ale w porę ją odsunęłam. – Nie to nie. – Odwrócił się do mnie plecami. – Pamiętaj, koleś, co powiedziałem. Umowa to umowa. – Naciągnął na czoło czapkę i szybko odszedł.

– Paweł, kto to był? – Dogoniłam go przy windzie, bo nawet na mnie nie zaczekał.

– Nikt ważny.

– Jak to „nikt ważny”? Co ty opowiadasz? O jakiej umowie on wspominał? – Byłam wzburzona.

– O żadnej umowie, coś mu się pomyliło. – Paweł wyraźnie unikał mojego wzroku. Weszliśmy do mieszkania.

Byłam bardzo zdenerwowana.

– Paweł, chcę wiedzieć, o co chodzi.

– O nic! – krzyknął zniecierpliwiony. – Daj mi spokój! Coś się tak uczepiła?

Oniemiałam. Paweł nigdy tak do mnie nie mówił. Nigdy nie krzyczał. A teraz...

– Posłuchaj – zaczęłam cicho – jeśli masz jakiś problem, to powiedz, przejdziemy przez to razem.

– Nie mam żadnego problemu! Żadnego!

– Właśnie widzę. Nie podoba mi się to. I chcę wiedzieć, co się stało z naszymi pieniędzmi.

– Z jakimi pieniędzmi? – Był wyraźnie zdezorientowany.

– Z naszymi. Myślisz, że nie zaglądam na nasze konto? – Nie wiem, kiedy podniosłam głos. – Więc pytam: gdzie są nasze pieniądze?

– Michalina, posłuchaj... – zawiesił głos i widziałam, że rozpaczliwie szuka wytłumaczenia. Milczenie się przedłużało.

– No mów! – krzyknęłam.

– Potrzebowałam tych pieniędzy. Ale oddam wszystko.

– Potrzebowałeś? A na co?

– Co tak drążysz? Po prostu potrzebowałam.

– Widziałam. Wypłacałeś duże kwoty w bankomacie przy Casino Royal. Paweł, czy ty grasz w kasynie?

Patrzył na mnie bezradnie.

– Michalina – szepnęła. – Odegram się. Zwrócę wszystko.

– Ty chyba zwariowałaś! Czy ty wiesz, co mówisz? Sam siebie posłuchaj! – Nie mogłam krzyżeć, bo zdenerwowanie uwięziło mi głos w gardle. Brzmiałam piskliwie i histerycznie. – Sam siebie posłuchaj! I jeszcze ten bandyta na dole!

– Daj spokój, to nie żaden bandyta.

– Tylko kto, do cholery? Bo na pewno nie angielski dżentelmen! Przecież nam groził!

– Oj tam, takie groźby. Oddam mu kasę i będzie spokój.

– Oddasz mu kasę? Ciekawa jestem, skąd ją weźmiesz.

Milczał.

– No słucham? Skąd weźmiesz kasę? Bo nasze konto jest puste! Rozumiesz? Puste!

– Mówiłem, odegram się.

Nie wierzyłam w to, co usłyszałam. Cholera, naprawdę nie wierzyłam!

– Ty chyba jesteś nienormalny! Otrzeźwiej, człowieku! Wiesz, w co wdepnąłeś?

– Kurwa, w nic nie wdepnąłem! – wrzasnął doprowadzony do ostateczności.

Pierwszy raz widziałam go w takim stanie. Nie mogłam na niego patrzeć. Zamknęłam się na klucz w sypialni. Byłam przerażona. Zachowaniem Pawła i całą sytuacją. Nie wiedziałam, co robić.

– Michalina, otwórz! – Paweł szarpał za kłamkę. – Otwórz, słyszysz?

– Odejdź.

– Nie wygłupiaj się!

– Odejdź, powiedziałam!

Przez drzwi słyszałam, że włączył telewizor. Od natłoku wrażeń i myśli rozboleła mnie głowa. Nadal nie wiedziałam, co robić. Czułam, że znalazłam się w potrzasku.

Nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu. Kiedy spojrzałam na zegarek, okazało się, że jest już bardzo późno. Poszłam do Pawła, do salonu. Bezmyślnie gapił się w ekran telewizora.

– Paweł, chcę, żebyś się wyprowadził.

– Co takiego? – Naprawdę był zaskoczony.

– Chcę, żebyś się wyprowadził. Najlepiej zaraz.

– Dlaczego? Dokąd mam pójść? – Zdenerwował się.

– Nie wiem. Nie pytaj mnie. Nie pytałeś, kiedy przegrywałeś nasze pieniądze. Nie wiem dokąd. Dlatego, że mnie oszukałeś – odpowiadałam chaotycznie. – Muszę to wszystko przemyśleć.

Z szafy w przedpokoju wyjęłam walizki.

– Pakuj się! – warknęłam. Miałam wrażenie, że to nie ja mówię, tylko ktoś obcy. Ja byłam obok i obserwowałam całe zdarzenie.

– Michalina! No co ty!

– Nie ma Michaliny. Pakuj się! – powtórzyłam.

Stał bezradnie, rozglądając się wokół. Zrobiło mi się go żal.

– Dobrze, jeszcze dzisiaj możesz zostać. Ale rano ma cię tu nie być. – Wróciłam do sypialni i zatrzasnęłam drzwi.

Słyszałam, jak się miotął, ale już nie zastukał do drzwi i o nic nie prosił.

Nie mogłam się rozplakać, choć czułam, jak łzy napływają mi do oczu i po chwili się cofają.

Rany boskie! Niech to szlag! Co on najlepszego zrobił? Co będzie? Nie byłam w stanie wyobrazić sobie najbliższej przyszłości.

Do rana nie zmrużyłam oka. Nasłuchiwałam odgłosów krzątania Pawła. Przed trzecią wszystko uciхло, pewnie poszedł spać na kanapę.

Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Położyłam się na plecach i gapiłam po ciemku w sufit. Chyba się zdrzemnęłam, bo obudziło mnie trzaśnięcie drzwi. W mieszkaniu zapanowała głucha cisza. Paweł odszedł. Stało się.

* * *

Roztrząsałam to w myślach tyle razy, że nie chciało mi się robić tego ponownie. Jednak myśli o Pawle uparcie powracały, przywołując wspomnienie za wspomnieniem. Nie chciałam z tym walczyć. Ciągłe go kochałam.

Czasami snułam się w piżamie po mieszkaniu i myślałam, że mogłabym wykorzystać ten czas na sprzątnięcie. Patrzyłam na coraz grubsze warstwy kurzu, na bałagan na biurku, na stosy rzeczy do prania. Zajrzałam do lodówki, wyrzuciłam kawałek spleśniałego sera. Poza tym była pusta, stał w niej tylko jeden samotny jogurt. Kupione kilka dni temu truskawki zgniły w papierowej torebce i unosiła się nad nią chmara muszek. Przydałoby się zrobić zakupy, ale nie miałam ochoty wychodzić z domu. Zresztą, nie byłam głodna. W zamrażalniku znalazłam jeszcze dwie mrożonki. Wystarczy. Wróciłam do łóżka.

Czwartego dnia z rana przyjechała Aga. Otworzyłam jej rozmamłana, nieumyta i nieuczesana. Spojrzała na mnie ze zgrozą.

– Wiedziałaś, że ściemniasz – powiedziała bezceremonialnie. – Widziałas się w lustrze? Wyglądasz jak upiór.

– Dzięki. – Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Kiedy ostatni raz się kąpałaś, co? Chodź, napuszczę ci wody do wanny, potem zjesz porządne śniadanie.

Aga gładko przejęła dowodzenie, a ja z ulgą się jej poddałam.

Kiedy ja zanurzyłam się w pianie pachnącej jaśminem, Aga gospodarzyła w kuchni. Było mi dobrze i nie chciało mi się ruszyć. Najlepiej by było, gdybym mogła zostać w tej kąpieli już na zawsze. Przyknełam oczy i nasłuchiwałam odgłosów krzątający. Działy na mnie uspokajająco.

– Eeej, koleżanko! Nie ma spania w wannie! – Naprawdę usnęłam. – Wyskakuj, bo śniadanie zaraz będzie gotowe! – Głowa Agi zniknęła za drzwiami.

Wygramoliłam się z kąpieli, splukałam pianę i umyłam włosy. Nie chciało mi się wcierać balsamu ani układać fryzury. Nawet nie użyłam suszarki. Ubrana tylko w szlafrok i w turbanie z ręcznika na głowie poczłapałam do kuchni.

– Mhm, jak pięknie pachnie! – Rzeczywiście, zapach świeżo zaparzonej kawy pobudził mój węch. Do tego na stole królował twarożek ze szczypiorkiem, rzodkiewki, pomidor z cebulką i świeżutkie, pachnące kajzerki. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam wilczy głód.

– A kawusia nie dla pani! – Aga odebrała mi wielki kubas pachnącej kawy. – Dla pani zielona herbatka! Zdrowiutko!

– Proszę cię, nie rób mi tego! – Spojrzałam prosząco. Od lat kawę żłopałam hektolitrami. – Daj chociaż łyka! – poprosiłam żałośnie, widząc, że Aga nie zamierza ustąpić.

– Łyk nic ci nie da. Możesz sobie wachać – zaśmiała się łobuzersko i puściła do mnie oko. – Siadaj i jedz. Jesteś przeraźliwie chuda. Na kilka dni spuściłam cię z oczu i od razu chciałaś odzwycząić się od jedzenia.

To prawda. Często zapominałam o jedzeniu. To Aga zawsze przypominała o porach posiłku.

Mimo że śniadanie wyglądało i pachniało apetycznie, po kilku kęsach byłam już najedzona i tylko rozdłubywałam jedzenie na talerzu. Nie chciałam robić jej przykrości, więc udawałam, że coś tam jednak zjadam.

– No jedz! Co tak dziobiesz jak ptaszek?

– Już jestem najedzona.

– Właśnie widzę. No, ale jak się je ociupinę raz dziennie, to i czego można się spodziewać? Dobra, zjesz za chwilę, tylko błagam cię, nie dziub tak tego jedzenia! Nie cierpię tego!

Odłożyłam widelec i sączyłam herbatę małymi łydkami.

– Odebrałaś wyniki? Dobra, cofam pytanie. Wiem, że nie. Daj numer badania i kartę, trzeba zobaczyć, co tam w środku ciebie siedzi. Nie dzwonili z przychodni w sprawie terminu tomografii? Nie? Szkoda.

Patrzyłam, jak Aga sprawdza na stronie przychodni wyniki moich badań. Było mi obojętne, co tam znalazła.

– Wprawdzie nie znam się na tym, ale coś mi się zdaje, że nie jest za dobrze. Masz złą morfologię, stanowczo za mało czerwonych krwinek i płytek krwi. Wysokie OB i CRP. Znaczą, jakieś choróbsko w tobie siedzi. Kiedy lekarz? Pojutrze? No, szkoda, że nie będzie tej tomografii. Trudno. A jak się czujesz? Głowa przestała boleć?

– No normalnie przesłuchanie! – usiłowałam żartować, chociaż bez przekonania. Nie chciałam wiedzieć, co jest w tych wynikach. – Boli trochę mniej, ale ciągle jestem zmęczona i nie mam na nic ani ochoty, ani siły.

– Oj, Michaśka, Michaśka. Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Pojadę z tobą do lekarza.

– Aga, nie trzeba. Pojadę taksówką. Nie możesz poświęcać mi tyle czasu. Masz przecież rodzinę i musisz być w pracy.

– O mnie się nie martw, wszystko jest pod kontrolą. Wiktora nie ma do końca tygodnia, wyjechał do

Wrocławia. A moja rodzina jakoś sobie beze mnie poradzi. Poza tym muszę mieć pewność, że dojedziesz do tego lekarza, bo jak cię znam, to będziesz chciała sobie odpuścić. A na to nie pozwolę.

– Daj spokój, nie jestem dzieckiem.

– Nie, skąd, nie jesteś. Ale w tym wypadku zachowujesz się jak dziecko. Ile razy rozmawialiśmy o tym, jak bardzo ważne jest wczesne wykrywanie chorób? No? Ile? Szewc bez butów chodzi, co?

– Ano, łatwo ci mówić, bo sprawa nie dotyczy ciebie – tłumaczyłam nie wiadomo po co. Wiedziałam, że ma rację, więc co mogłam jej jeszcze powiedzieć. – Boję się, że to będzie coś poważnego. Zwyczajnie się boję. Do tej pory byłam pewna, że choroby mnie nie dotyczą, a tu nagle taka historia. I choć unikanie problemu niczego nie zmienia, to nie mam siły z tym walczyć. Zbyt niespodziewanie to przyszło. – Opuściłam głowę i liczyłam wzorki na serwetce. – Czuję się taka samotna. – Pierwsza łza skapnęła mi z nosa na stół.

– Masz mnie. Wiem, że nie o to ci chodzi, ale pamiętaj zawsze, że jestem z tobą. Pomogę ci najlepiej, jak będę umiała. Tylko pozwól sobie pomóc.

– Dzięki, Aga. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. – Łzy płynęły już rzęsiście, nie usiłowałam ich hamować. Aga podała mi chusteczkę. – Chyba musisz już iść do pracy – powiedziałam i wydmuchałam nos. – Nie chcę cię zatrzymywać.

– Rzeczywiście, powinnam już się zbierać. Ale czy mogę cię zostawić w takim stanie?

– W porządku, już mi przechodzi. Dam radę. – Uśmiechnęłam się przez łzy. Dzisiaj bardzo chciałam, żeby ze mną została, ale wiedziałam, że nie mogę jej zatrzymywać. Gdyby mogła zostać, powiedziałyby mi o tym od razu.

– To trzymaj się. – Cmoknęła mnie w policzek. – Odezwę się wieczorem, ale gdybyś czegoś potrzebowała, to dzwoń. Jestem z tobą, ty wariatko! – Przytuliła mnie mocno. Mimo że była radosna i uśmiechnięta, czułam, że naprawdę martwi się o mnie. – Przyjadę po ciebie pojutrze. Pa!

– Pa! Dziękuję ci! – Uścisnęłam jej rękę.

Po wyjściu Agi cisza w domu uderzyła mnie ze zdwojoną siłą. Jednak kąpiel i śniadanie w towarzystwie przyjaciółki pobudziły mnie do działania. Ubrałam się i włączyłam pralkę, następnie zaczęłam zmywać. Byłam wyczerpana, kiedy skończyłam. Zaparzyłam ulubioną białą herbatę i włączyłam płytę Cesarii Evory. Jej głos zawsze działał na mnie kojąco. Otworzyłam okno w salonie i postanowiłam pooglądać zdjęcia w starych albumach. Jakoś tak naszło mnie na wspomnienia. To pewnie z powodu tego snu o babci sprzed kilku dni.

Przytargałam z garderoby pudła z fotografiami i różnymi starociami i rozsiadłam się na podłodze, oparta plecami o kanapę. Pierwszy album – zdjęcia z liceum. Rany, jak śmiesznie wyglądałam! Co za fryzura! Coś okropnego! Ubranie też nie lepsze. Niesamowite, że coś takiego było krzykiem mody i wszystkie dziewczyny zabijały się, żeby to mieć! A tu nasza klasa na wycieczce do Zakopanego – siedzimy na Równi Krupowej, roześmiani i zmęczeni po całodniowej wędrówce po górach. Ale było cudnie! Pojechałam wtedy w Tatry po raz pierwszy w życiu i zakochałam się w nich od pierwszego wejrzenia. Wiele razy wracałam tam potem i przewędrowałam chyba wszystkie szlaki. Sama, z Agą, z Pawłem. Musiałam tam wpaść co roku chociaż na kilka dni.

O, a tu zdjęcia ze studniówki. Jak nobliwie i uroczyście – czarno-biało i elegancko. W pierwszej parze Adam, klasowy przystojniak, z panią dyrektor prowadzą poloneza. A gdzie ja? Zaraz, zaraz, gdzieś tutaj powinnam być, tuż za Aśką, tańcząc z Piotrkim. Piotrek umizgiwał się do mnie przez wszystkie lata nauki w liceum, ale ja nie byłam nim zainteresowana. Nie wiem, jak to się stało, że zatańczyłam z nim poloneza. Pamiętam jego spocone ręce, fuj! Ale w sumie był sympatyczny. Bardzo inteligentny. Dostał się na studia za granicą, studiował chyba aeronautykę w Stanach Zjednoczonych. Nieźle. Jakoś nikt nie miał z nim kontaktu. Ciekawe, co się z nim teraz dzieje. I z resztą klasy. Rozeszły nam się drogi. Z Aśką też się

urwało, a tak się przyjaźniłyśmy. Samo życie. Kurczę, szkoda. Muszę pomyśleć, jak odnowić te znajomości. Na pewno gdzieś mam notes z numerami telefonów. Nawet jeśli część z nich jest nieaktualna, to z kimś na pewno uda mi się skontaktować. Warto by było. Byliśmy fajną, zgraną paczką. Wszyscy, bez wyjątku.

Zmieniłam pozycję z siedzącej na leżącą i sięgnęłam po kolejny album. Szkoła podstawowa. E tam, nic ciekawego. Jakieś akademie, zdjęcia z Mikołajem, bale przebierańców. Ale, cha, cha, cha! Jak śmiesznie wyglądałam w tych blond warkoczyczkach z kokardami i w granatowym fartuszkach z białym kołnierzykiem! O! A tutaj siedzę u babci na kolanach z moim ukochanym misiem Baltazarem w objęciach! To na werandzie. Tata robił zdjęcie. Jaka poważna jestem, wpatrzona z nabożnym skupieniem w obiektyw. Pamiętam, jak tata na mnie krzyczał, żebym się nie ruszała, bo nie potrafiłam usiedzieć spokojnie. Tata ciągle krzyczał. Był taki nerwowy. I babcia zawsze się z nim o te krzyki kłóciła, kiedy nie słyszałam, i broniła przed jego gniewem.

Kochałam babcię bezgranicznie, po rozstaniu rodziców przez jakiś czas mieszkałam u niej na wsi. To babcia była dla mnie matką, bo ta rodzona wcale o mnie nie dbała, i ojcem, który robił karierę „gdzieś w świecie”. Oboje rodzice mnie opuścili. Byłam dla nich zawadą – przyszedłam na świat nieplanowana, pod koniec ich studiów, musieli gnieździć się w malutkim pokoiku w akademiku, a potem tułali się po wynajętych pokojach, klepiąc biedę. Pamiętałam ich kłótnie, krzyki i wyzwiska. Aż w końcu pewnego dnia matka wyszła rano i więcej już nie wróciła. Ojciec nie potrafił sobie poradzić z kilkuletnim dzieckiem i po tygodniu szarpaniny z codziennymi sprawami, spakował rzeczy i zawiózł mnie do swojej matki, na wieś. Mówił, że tylko na chwilę, aż ułożą swoje sprawy. Ale ta chwila potrwała kilka lat. Zdążyłam skończyć trzy klasy w wiejskiej podstawówce, kiedy ojciec przypomniał sobie o mnie i po wakacjach zabrał do siebie, do Warszawy. Nie zważał na płacz babci i moją rozpacz. Mówił, że najwyższa pora, żeby się mną zajął, żebym wreszcie poszła do porządnej szkoły, a nie gniła na prowincji. Zapamiętałam pierwsze miesiące w Warszawie, w „porządnej” szkole. W domu była pani Nina, która mieszkała z ojcem od kilku lat i wcale nie była zadowolona z mojej obecności. Pracowała dorywczo, ale zawsze bardzo krótko, bo – jak mówiła – nie będzie się upokarzać za marne grosze. Bez skrupułów całymi miesiącami była na jego utrzymaniu, twierdząc, że przecież musi się zajmować dzieckiem porzuconym przez matkę, które w swej dobroci przygarnęła i któremu ofiarowała całą miłość. Jak było, nawet nie chciałam wspominać. Kochająca macocha większość czasu spędzała w salonach piękności i na ploteczkach z przyjaciółkami. Dziecko wyraźnie jej zawadzało, często zapomniała odebrać je ze świetlicy. Wyręczała się sąsiadkami i rodzicami moich koleżanek ze szkoły. Bardzo szybko nauczyłam się samodzielności, zwłaszcza że i w szkole, tej „porządnej”, nie było mi lekko. Dzieci mi dokuczały. Wołały za mną: „Patrzcie! Patrzcie! Wsiok idzie!”. Niepotrzebnie na początku swojego pobytu tam opowiedziałam im, jak bardzo tęsknię za swoją klasą i panią, za miasteczkiem, z którego przyjechałam. I za babcią. Cała klasa śmiała się ze mnie, zupełnie bez powodu, bo uczyłam się dobrze, byłam w czołówce najlepszych uczniów w szkole. I pewnie przez to tak mnie nienawidzili. Z bezmyślnym okrucieństwem nazywali mnie wiejskim głupkiem, brzydulą i wieśniarą. Ileż przez to przepłakałam wieczorów! Nie miałam nawet komu wypłakać swoich smutków. Do babci jeździłam tylko na wakacje, nawet na święta musiałam zostawać z ojcem i panią Niną. Tak bardzo tęskniłam za babcią przez te wszystkie lata. Miałyśmy tylko siebie.

Kiedy kończyłam liceum, ojciec oznajmił mi, że nadszedł czas, żebym po maturze wyprowadziła się „na swoje”. Wynajął mi malutkie mieszkanie, zapłacił za rok z góry i tyle. Żeby się utrzymać, musiałam zrezygnować z dziennych studiów i zacząć pracować. Zanim znalazłam porządną pracę za przyzwoite pieniądze, przez wiele miesięcy miałam się różnych zajęć – harowałam po nocach w supermarketach, zajmowałam się cudzymi dziećmi, opiekowałam się starszym panem. Brałam wszystko, jak leci, żeby zarobić na chesne i na skromne utrzymanie. Po roku doszedł mi jeszcze czynsz za wynajęcie mieszkania, ponieważ

ojciec więcej już nie wspomagał mnie finansowo, bo nie powodziło mu się już tak dobrze. Jego firma z powodu kryzysu prosperowała coraz gorzej. I nie chciałam go prosić. Zresztą dał mi do zrozumienia, że nie zamierza mnie więcej wspierać. Jak zwykle pomogła mi babcia. Sprzedała ostatni kawałek ziemi, który zachowała dla siebie „na czarną godzinę”. Niewiele tego było, ale przy oszczędnym trybie życia jakoś dało się wytrzymać.

Nie wyobrażałam sobie życia bez babci. Postanowiłam, że po studiach wyprowadzę się z Warszawy i wrócę na wieś. I tak starszą panią trzeba się było coraz troskliwiej opiekować – starzała się i z każdym dniem była bardziej nieporadna, chociaż mało chorowała. I bardzo dokuczała jej samotność. Nawet nie protestowała, kiedy zaproponowałam, żeby na kilka zimowych miesięcy przeprowadziła się do mnie, do Warszawy. Trochę było nam ciasno i babcia tęskniła za swoim domem, ale sama przyznała, że już by sobie nie poradziła tej zimy z ogrzewaniem domu i samodzielnym życiem, pomimo serdecznej pomocy sąsiadów. Opiekowałyśmy się więc sobą nawzajem i cieszyłyśmy się, że już niedługo, wiosną, babcia wróci do siebie, a ja skończę studia, zlikwiduję swoje sprawy w Warszawie i pojadę za nią. A tu nagle dopadło ją wiosenne przeziębienie z wysoką gorączką. Pewnie podczas sprzątanania na Wielkanoc. Babcia święta przeleżała w łóżku, lecząc się sokiem malinowym. Ale kiedy po tygodniu gorączka nie spadała i wzrastał się kaszel, wezwałam lekarza. Opiekowałam się staruszką, jak umiałam najlepiej, jednak organizm nie mógł sobie poradzić z infekcją. Lekarz z pobliskiej przychodni nie krył zaniepokojenia.

– Pani Michalino, nie jest dobrze – mówił przyciszonym głosem w kuchni. – To zapalenie płuc. Babcia w ogóle nie reaguje na leki. Trzeba ją koniecznie zawieźć do szpitala. – Mówiąc to, wypisywał recepty i skierowanie. – I to szybko, dziecko kochane. U starszych osób, jak u dzieci, każda godzina jest ważna. Nie wiadomo, co z tego może się rozwinąć, a babcia swoje lata już ma – mówił zmartwiony. – Najlepiej od razu niech pani zadzwoni po karetkę, nie można zwlekać. – Zbierał ze stołu swoje bloczki i pieczątki.

Z pokoju, gdzie leżała babcia, dochodził rzęzący, urywany oddech i od czasu do czasu okropny suchy kaszel, jakby babcine płuca chciały wyrwać się na wolność.

– Dzwon, kochana, dzwon. Tu masz skierowanie. – Doktor wcisnął mi do ręki jakieś papiery i zaczął się ubierać. – Nie zwlekaj.

I wyszedł.

Wezwane pogotowie przyjechało dość szybko. Sanitariusze cierpliwie poczekali, aż spakuję babci najpotrzebniejsze rzeczy, i pojechaliśmy do szpitala.

* * *

Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć słonecznej plamy na ścianie. Zbyt wiele dzisiaj przywoływała bolesnych wspomnień. Poczulałam, że łązy kolejną falą podpływają pod powieki, a usta zaczynają niebezpiecznie drżeć. Nie, nie mogę płakać, pomyślałam. Nie wolno mi. Niech to szlag! Znowu rozboleła mnie głowa. Zostawiłam rozpakowane pudła na podłodze, wzięłam tabletkę przeciwbólową i położyłam się na łóżku. Zamknęłam oczy z nadzieją, że uda mi się zasnąć i przeczekać ból oraz tęsknotę za babcią. Zamiast tego napływały kolejne fale wspomnień.

* * *

Tulipany tamtej wiosny były wyjątkowo drogie. W ogóle wiosna była zimna i wietrzna. Ciągłe padał deszcz, od czasu do czasu jeszcze sypał gęsty śnieg. Ciężkie, granatowe chmury wisiały nisko nad miastem i przytłaczały wszystko. Dawno nie było tak zimnego kwietnia.

Kuląc się z zimna, przystanąłam przy straganie z kwiatami i w myślach obliczałam, na ile tulipanów

mogę sobie pozwolić. Jeśli wydam zbyt dużo, będę musiała zrezygnować z obiadów w nadchodzącym tygodniu. Choroba babci pochłonęła wszystkie i tak skromne oszczędności. Pieniądze ze stypendium właśnie się kończyły, a następny przelew miałam otrzymać dopiero za kilkanaście dni. Zagryzłam wargi i biłam się z myślami. Babcia tak kochała tulipany, szczególnie żółte. Leżała w szpitalu od czterech tygodni i gasła w oczach. Na pewno ucieszyłaby się, gdybym przyniosła jej trochę wiosny.

– Coś podać? – Schrypniętym, przepitym głosem zapytała straganiarka. Obserwowała mnie od dłuższej chwili. Widziała, że się waham i udaję, że tylko oglądam. Zmierzyła mnie niezyczliwym wzrokiem, a ja odpowiedziałam jej hardym spojrzeniem, choć lekko się zaczerwieniłam.

– Pięć tulipanów proszę – odpowiedziałam wyniośle. – Nie, nie tych. Proszę te żółte. – Poczułam się dotknięta. Nie lubiłam takich cwanych bab, co to stoją gdzieś dziko na rogu ulicy i nielegalnie sprzedają towar. Zwykle od nich nie kupowałam, ale nie dostrzegłam nikogo innego, kto by sprzedawał kwiaty. Pewnie za zimno i na handlarzy, pomyślałam.

Miałam mało czasu, a najbliższa kwiaciarnia była trzy przystanki stąd. Zresztą, na pewno było tam dużo drożej. Zapłaciłam więc za żółty pęczek niestarannie omotany pogniecionym papierem i odepchnęłam od siebie myśli o pustce na koncie. Trudno.

Odwrociłam się plecami do baby, postawiłam kołnierz i szybko przebiegłam ulicę, kierując się w stronę wejścia do szpitala. Co tam, najważniejsze, że babcia się ucieszy. Uśmiechnęłam się do tulipanów, bo widziałam, że zobaczą radość w jej błękitnych oczach.

W holu było pusto, w szatni też. W taką pogodę nawet odwiedzających było mało. Nie czekając na windę, wbiegłam na drugie piętro i weszłam na oddział wewnętrzny. Od razu owionął mnie szpitalny zapach lekarstw i środków odkażających. Przywykłam do niego przez ostatnie cztery tygodnie, bo bywałam tu codziennie, a nawet w niektóre dni i dwa razy na dzień. Przybiegałam, gdy tylko mogłam, gdy nie pracowałam i nie miałam zajęć na uczelni. Trochę przez to zaniedbałam naukę. Promotor na razie przymykał oko, wiedząc, że opiekuję się chorą babcią, ale już kilka razy w rozmowach usłyszałam sugestię, że nie zdążę na czas z pracą i termin obrony trzeba będzie przesunąć na jesień. Nic to. Babcia jest dla mnie ważniejsza. Jak wyzdrowieje, to wszystko nadrobię, a w końcu jesień to też dobry termin na obronę.

– Dzień dobry. – Ukłoniłam się przechodzącej pielęgniarce i skręciłam do sali, gdzie leżała babcia.

– Dzień dobry, babuniu! – zawołałam radośnie od drzwi. Uśmiech nie zniknął mi z twarzy, choć serce niemal stanęło na widok leżącej staruszki. – Przyniosłam ci tulipany. – Pochyliłam się nad łóżkiem i ucałowałam pomarszczony policzek.

Babcia wyglądała gorzej niż wczoraj. Jakby zapadła się w sobie, skurczyła. Z trudem podniosła rękę, żeby jak zwykle pogłodzić mnie po policzku.

– Kochana moja – szepnęła staruszka. – Moja kochana Michasia. – Z kącika oka po policzku spłynęła łza. Z trudem powstrzymałam szloch. Żeby się nie rozpłakać, wciągnęłam ze świstem powietrze.

– Babuniu – szepnęłam – jak się dzisiaj czujesz?

– Lepiej, dziecinko, lepiej. – Babcia usiłowała się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiła usta w grymasie bólu.

– Babuniu... – zamknęłam w swojej dłoni spracowaną dłoń babci. – Babuniu, co cię boli? Zawołać pielęgniarkę?

– Nie, dziecko, nie trzeba im zawracać głowy. Ot, stara jestem, to i starość mi dolega. – Widać było, że staruszka mówi z trudem, że każde słowo ją męczy. – Poleżę, odpocznę i przejdzie. – Przymknęła oczy.

– Nie mów tak, babuniu. Przecież jesteś w szpitalu, pójdę po kogoś, niech ci dadzą jakiś zastrzyk. – Czulałam, że sucha dłoń babci zaciska się z bólu na moich palcach. – Potem pomasuję ci plecy, żeby nie zrobiły się odleżyny i żeby ci się łatwiej oddychało.

– Nie trzeba, dziecko kochane – protestowała słabo babcia. – Dbają tu o mnie. Tylko pomóż mi się

napić, tak mi w ustach zasycha. – Troskliwie podtrzymałam babcią głowę i podałam jej szklanę z wodą. Babcia piła chciwie, jednak każdy łyk sprawiał jej silny ból, dyszała. Spocona skończyła, z ulgą opadła na poduszkę i przymknęła oczy.

Czułam, że zaczynają mi drżeć wargi, a to oznaczało, że za chwilę się rozplaczę. Całe szczęście, że babcia ma zamknięte oczy, pomyślałam. Staruszka chyba zasnęła, bo zaczęła głośniejsz oddech, choć bardzo nierówno. Postanowiłam wyjść na zewnątrz i uspokoić się przez chwilę. Nie chciałam, żeby babcia po przebudzeniu zobaczyła troskę i smutek na mojej twarzy. Wzięłam z szafki tulipany, słoik po dżemie i wyszłam z pokoju. Pod drzwiami na chwilę zacisnęłam powieki, otwartymi ustami zaczerpnęłam głęboko powietrza i ruszyłam do łazienki po wodę. Nie udało mi się powstrzymać zdradzieckiej łzy, która skapnęła na podbródek, a stamtąd na sweter. Wierchem dłoni starłam wilgoć z twarzy i weszłam do łazienki. Nalałam wody do słoika, włożyłam tulipany i postawiłam na parapecie, po czym pochyliłam się nad umywalką i przemyłam twarz zimną wodą. Przyniosło to ulgę płonącym policzkom i zaczerwienionym oczom. Ale nie powstrzymało dalszych łez. Stałam tak pochylona i nie kryłam już płaczu. Babcia umierała, to było jasne. Ile jej jeszcze zostało? Tydzień? Dwa? W tej sytuacji szpital to tylko przedłużanie agonii.

– Zabiorę ją do domu, niech umrze u siebie – szepnęłam. Otworzyłam okno i chłonięłam zimno napływające z zewnątrz. Powoli się uspokajałam. Podjęte postanowienie jakby dodało mi siły do zmierzenia się z nadchodzącą stratą. Tyle razy o tym rozmawiałyśmy. Babcia chciała, żebym była dzielna i nie rozpaczala zbyt.

– Takie jest życie, Michalinko – powtarzała zwykle, uśmiechając się przy tym łagodnie. – Jedni odchodzą, bo nadszedł ich czas, a pozostałym trzeba żyć. Trzeba żyć, Michasiu.

Byłam przerażona samą myślą, że moje dalsze życie miało się toczyć bez najważniejszej dla mnie osoby – bez babci.

– Niechże pani zamknie to okno! – Czyjś głos przywołał mnie do rzeczywistości. – Kto to słyszał tak ziębić! Tu chorzy są! – zrzędziła jakaś kobiecina, wchodząc do łazienki. Była w szlafroku, więc to pewnie pacjentka.

– Już, już. Przepraszam. – Zamknęłam okno zawstydzona. Dopiero teraz poczułam, że sama jestem okropnie zmarznięta. Jeszcze i ja się przeziębę na domiar złego, pomyślałam. Zabrałam słoik z tulipanami i szybko opuściłam łazienkę. Zajrzałam do sali, ale babcia ciągle spała. Postawiłam kwiaty na szafce i wyszłam na korytarz. Chciałam jeszcze porozmawiać z lekarzem przed wieczornym obchodem.

W dyżurce było pusto. Usiadłam na ławce pod drzwiami i bezmyślnie obserwowałam snujących się po korytarzu chorych. Sami starsi ludzie. Jakie to smutne. Leżą tu tygodniami i tak rzadko ktoś ich odwiedza. Ci, którzy przebywali tu już długo, chodzili po korytarzu, czekając na odwiedziny, albo tkwili w oknie, wyglądając na ulicę. Pewnie to była ich jedyna rozrywka oprócz szpitalnych plotek. Potem opowiadali, co widzieli i słyszeli, swoim sąsiadom ze szpitalnej sali, tym, co musieli leżeć. Smutna jest samotna starość.

– Pani do mnie? – Ktoś zatrzymał się przy ławce.

– Tak, panie doktorze. Jestem wnuczką Heleny Piotrowskiej i chciałabym się dowiedzieć, kiedy mogę zabrać ją do domu – powiedziałam jednym tchem.

– Zapraszam do gabinetu. – Lekarz przepuścił mnie przodem i zamknął za sobą drzwi. – No cóż, nie sądzę, aby było możliwe zabranie pani babci do domu w najbliższym czasie. Pani Helena leży już u nas od czterech tygodni i jej stan się nie poprawił. Od wczoraj nawet się pogorszył. Pani babcia jest już starszą osobą i niestety, jej organizm nie reaguje na podawane środki. Bardzo nas to martwi i zastanawia, bo z historii chorób wynika, że dotąd rzadko chorowała i nie przyjmuje na stałe żadnych leków. Zrobiliśmy wczoraj specjalistyczne badania i czekamy na wyniki. Wcześniej nie ma nawet mowy o wypisaniu pani

babci.

Patrzył na mnie znad okularów. Rozmawialiśmy nie pierwszy raz, ale dopiero teraz przyjrzałam się dokładnie swemu rozmówcy. Był w średnim wieku, siwiejący, szczupły. Oczy miał niebywale błękitne, wpatrzone we mnie z troską.

– Jak pani na imię? – zapytał cicho.

– Michalina – odszepnęłam.

– A więc, pani Michalino... – zawiesił głos i złączył dłonie czubkami palców. – Sama pani widzi, że nie jest dobrze. Przychodzi pani codziennie. Nie ukrywam, że nie ma dobrych rokowań. Proszę przygotować się na najgorsze. Odnoszę także wrażenie, że pani babcia straciła wolę życia, poddała się. Nie chce walczyć... – mówił, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Spuściłam wzrok i nic nie odpowiedziałam. Rzeczywiście, sama widziałam, w jakim stanie jest babcia, i zdawałam sobie sprawę, że od kilku dni niknie, nie walczy z chorobą.

Boże, dobry Boże! Tylko nie to! Muszę zawiadomić ojca.

– Dziękuję, panie doktorze. – Wstałam z krzesła. – Pójdę do babci, posiedzę przy niej, jeśli pan pozwoli.

– Późno już, ale niech pani zostanie. Powiem pielęgniarkom, że pani będzie. – Lekarz również wstał i skierował się do drzwi. – Zjrzyj do niej teraz, jeszcze przed obchodem.

W milczeniu poszliśmy razem. Babcia nadal spała. Na policzkach widać było krwawe wypieki i oddychała bardzo niespokojnie. Miała wysoką gorączkę. Lekarz pochylił się nad chorą i przyłożył słuchawkę do jej piersi. Chwilę słuchał ze zmarszczonym czołem i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Przyślę pielęgniarkę z kroplówką – powiedział w przestrzeń i wyszedł z sali. Wyraźnie unikał patrzenia mi w oczy.

Stałam obok szpitalnego łóżka przerażona sytuacją. Patrzyłam na śpiącą babcię i czułam rozpacz. Oto odchodzi najbliższa mi osoba, a ja nie mogę jej w żaden sposób pomóc. Usiadłam na krzeselku przy łóżku i wzięłam babcię za rękę. Staruszka nawet się nie poruszyła. Boże! Boże, nie odbieraj mi jej! – powtarzałam w myślach. Pochyliłam głowę i zaczęłam się cicho modlić. Z trudem przypominałam sobie słowa modlitwy, te, których w dzieciństwie uczyła mnie babcia. Płatałam kolejność, zaczynałam od początku, wreszcie przestałam. Oparłam głowę o brzeg łóżka i wsłuchiwałam się w świszczący oddech. Jak z oddali dochodziły do mnie przyciszone rozmowy dwóch starszych pań, które leżały na sąsiednich łóżkach. Nie rozumiałam, o czym mówią. Myślałam o tym, co będzie, gdy babcia rzeczywiście odejdzie. Zostanę zupełnie sama, choć przecież mam gdzieś w świecie rodziców.

Nie! Nie wolno ci tak myśleć! – nakrzyczałam na siebie w myślach. – Nie wolno! Wszystko będzie dobrze! – Pocieszałam sama siebie pustym frazesem.

– Michasiu, dziecko – usłyszałam nagle szept babci. Podniosłam głowę i spojrzałam w błyszczące od gorączki kochane oczy. – Tak już późno, a ty tu ciągle jesteś. Moja kochana! – Babcia patrzyła na mnie z miłością. – Wracaj, dziecińko, do domu. Ucieknie ci ostatni autobus i co wtedy zrobisz? – Mówienie wyraźnie męczyło staruszkę.

– Babuniu... – z trudem wykrztusiłam z siebie. Za nic w świecie nie mogłam pokazać babci, że chce mi się płakać. – Jak się czujesz?

– Bywało lepiej, skarbie. – Starsza pani patrzyła przytomnie mimo gorączki. – Idź do domu, przecież nic mi nie pomożesz. Jutro przyjdiesz znowu. – Usiłowała się uśmiechnąć. – Przez noc odpocznę i jutro na pewno poczuję się lepiej – pocieszała mnie. Zawsze tak było. Zawsze to ona pocieszała wszystkich dookoła, chociaż jej samej wiodło się średnio i często to ją należało pocieszyć. Taka była, przygarnełaby cały świat.

– Dobrze, babciu. – Kiwnęłam głową. – Odpoczywaj. Przyjadę do ciebie jutro z samego rana, jeszcze

przed pracą. – Pochyliłam się nad chorą i pocałowałam ją w czoło. – Przywiozę ci z domu sok malinowy. – Gładziłam pomarszczony policzek i czułam, że za chwilę pęknie mi serce.

– Dobrze, moje dziecko, przywieź. Z przyjemnością się napiję – wyszeptwała babcia. Była już wyczerpana tą krótką rozmową, więc otuliłam ją kołdrą, zapaliłam lampkę nad łóżkiem i wyszłam.

Do domu dojechałam bez przeszkód, choć późno. Zrobiłam sobie kolację, ale nie mogłam nic przełknąć. Wypiłam szklankę wody i w ubraniu położyłam się na łóżku.

Wiedziałam, że nie zasnę. Dręczyła mnie myśl o tym, jak to będzie, gdy przyjdzie najgorsze. Nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Zwinęłam się w kłębek, tak jak to zwykle robiłam, gdy było mi źle, i zapatrzyłam w ciemność za oknem. U sąsiadów przez ścianę słychać było telewizor. Pewnie znowu śpią przy włączonym odbiorniku. Przez lata przywykłam do tego. Na początku usiłowałam walczyć z hałasem, ale było to bezskuteczne. Teraz ten dźwięk dawał mi poczucie bezpieczeństwa, miałam świadomość, że ktoś jest blisko, wystarczy tylko wstać i zapukać.

Otarłam rękawem płynące mimo woli łzy i zamknęłam oczy. W głowie czułam pulsowanie, a pod powiekami – piekące szczypanie. Nie pójdę jutro do pracy, postanowiłam. Zadzwonię rano i wezmę kilka dni urlopu. Muszą sobie beze mnie poradzić. Jak tylko wstanę, pojedę do szpitala, posiedzę przy babci, a potem udam się ojca. Nie będę do niego dzwonić, bo i tak nigdy nie ma czasu, żeby ze mną porozmawiać. A jak się z nim zobaczę, to nie spławi mnie tak łatwo. Nie pozwolę na to. Babcia od miesiąca leży w szpitalu, a on nie znalazł ani chwili, żeby chociaż raz ją odwiedzić. Zupełnie tego nie rozumiałam. Tak jak nie rozumiałam tego, że babcia zawsze znajdowała dla ojca wytłumaczenie. Nigdy go o nic nie obwiniała, chociaż mogłaby. Nigdy się nie narzucała, o nic nie prosiła. A on jakby o niej w ogóle nie pamiętał. Ograniczał się do zdawkowych rozmów z okazji świąt i to było wszystko. Mimo że nie miał problemów finansowych, nigdy babci nie wsparł. Borykała się sama ze swoimi kłopotami, korzystając czasem ze wsparcia życzliwych sąsiadów. Na szczęście nie chorowała, tak jak to zdarzało się starszym ludziom. Dopiero teraz. Raz, a porządnie, pomyślałam gorzko.

Nie wiedziałam, kiedy zasnęłam. Śniła mi się łąka za babcinym domem. Było lato. Szłam lekko, nie dotykając stopami ziemi, od czasu do czasu schylałam się i zrywałam garściami stokrotki, które pokrywały całą łąkę. Niedaleko, wśród tataraku, był porośnięty rzęsą staw. Wiosną wokół rosły kaczeńce. Uwielbiałam to miejsce. Było takie tajemnicze. W dzieciństwie często bawiłam się tutaj z koleżankami w bajkowe królowny, uwięzione w jeziorze przez złego smoka.

– Michalinko! – usłyszałam nagle wołanie babci. – Michalinko! Wracaj, kochanie!

– Już idę! – odskrzyknęłam i zawróciłam do domu. Koszyk był już pełen stokrotek. Przez chwilę zastanowiłam się, co zrobię z tyloma kwiatami, ale postanowiłam nie martwić się na zapas.

Idąc tak we śnie, zanurzyłam się w cień drzew okalających dom. W ogrodzie skrzypiała na wietrze huśtawka. Na werandzie stał stół nakryty do obiadu, a z kuchni dochodziło czyjeś nucenie. Usiadłam przy stole w wiklinowym fotelu i dopiero teraz dopadło mnie zmęczenie upałem. Przymknęłam oczy i chyba zasnęłam na chwilę, bo nagle poczułam, że ktoś gładzi mnie po policzku.

– Michasiu! – usłyszałam szept lekki jak podmuch letniego wietrzyka. – Michasiu, bywaj zdrowa!

Gwałtownie usiadłam na łóżku. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, ale nagła świadomość brutalnie mnie otrzeźwiła. Była siódma rano. Mimo woli dotknęłam policzka w miejscu, gdzie we śnie czułam czyjś dotyk.

– Babciu... – szepnęłam, dziwnie spokojna.

Szybko się umyłam, ubrałam byle jak, spakowałam kilka rzeczy dla babci, pamiętając o soku malinowym, i przed ósmą, bez śniadania, wyszłam z domu. Do szpitala dojechałam w okropnym tłoku i dopiero kiedy spocona wysiadłam z tramwaju, przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do pracy. Spojrzałam

na zegarek, była ósma czterdzieści pięć – uff! jeszcze zdążę – pomyślałam. Szefowa pewnie już jest. Zawsze tam była, kiedy pracownicy przychodzili do pracy, i zawsze zostawała, kiedy wychodzili. Niektórzy twierdzili, że na pewno tam nocuje.

W holu szpitala był automat telefoniczny. Jedną ręką wybrałam numer i czekałam na połączenie. Jest!

– Halo! Dzień dobry, pani Krysiu, mówi Michalina Piotrowska. Bardzo przepraszam, że tak niespodziewanie, ale potrzebuję kilku dni urlopu. Muszę pobyc trochę z babcią... – Na szczęście pani Krysia nie była zołą. – Tak, oczywiście, wczoraj skończyłam. Leży w zielonej teczce w szufladzie. Pani Krysiu, dziękuję bardzo. Zadzwońię po południu. Jeszcze raz dziękuję. – Z ulgą się rozłączyłam. Nie lubiłam takich sytuacji. Bardzo mnie denerwowało, gdy moi współpracownicy w ten sposób zaskakiwali mnie nieobecnościami, ja sama nigdy wcześniej tego nie robiłam. Ale najważniejsze, że mam to już za sobą.

Jak zwykle, nie czekając na windę, wbiegłam na drugie piętro i weszłam na oddział. Do szczególnego zapachu szpitala zaczęłam się przyzwyczajać. Minęłam pokój pielęgniarek i poszłam prosto do sali, gdzie leżała babcia.

– Proszę pani! – usłyszałam wołanie za plecami, ale nie obejrzałam się, sądząc, że to nie do mnie. – Proszę pani! – Ktoś dotknął mojego ramienia. Dopiero na ten gest zareagowałam i przystanęłam. – Doktor Leszczyński chce z panią rozmawiać.

Wtedy zamarło mi serce, ale posłusznie podreptałam za pielęgniarką. Z każdym krokiem opanowywało mnie większe przerażenie. Nie dopuszczałam do siebie myśli o tym, czego mogę się spodziewać. Przecież to niemożliwe! – krzyczałam w duchu.

– Dzień dobry – wychrypiałam w progu gabinetu i milcząc, stanęłam przed lekarzem.

Nie musiał nic mówić. W jego oczach wyczytałam wszystko.

* * *

Było późne popołudnie. Usiadłam na łóżku zmęczona rozmyślaniami o tamtych złych chwilach. Dlaczego? Dlaczego właśnie teraz nawiedzają mnie sny i wspomnienia o babci?

Pozbierałam z podłogi porzucone albumy i schowałam do pudła. Nie chcę dzisiaj więcej wspomnień. Już postanowiłam – w przyszłym tygodniu pojedę na wieś, na grób babci. Muszę tylko poszukać klucza do starego domu. Ale to jutro. Dzisiaj byłam już bardzo zmęczona, mimo że właściwie niewiele zrobiłam. Przypomniałam sobie o nastawionym praniu, powlokłam się więc do łazienki, wyłączyłam pralkę i rozwiesiłam na suszarce wyprane rzeczy.

Wieczorem nie mogłam zasnąć. Myśli i wspomnienia wypełniały głowę, wywołując zamęt i niepotrzebne podenerwowanie. Gapiłam się bezmyślnie w telewizor, nie rejestrując obrazów ani dźwięków. Na żadnym programie nie znalazłam niczego, co przykułoby moją uwagę na dłużej. Wszędzie te same seriale, amerykańskie kryminały i durne, bezmyślne komedie.

Ależ moje życie zrobiło się puste, pomyślałam. Żyję bez żadnego celu, tylko dla siebie i swoich przyjemności. Od wypłaty do wypłaty. Każdy dzień staram się wykorzystać maksymalnie, jak się da, by sprawić radość samej sobie. Pełna koncentracja na materialnym aspekcie egzystencji. Jakie to okropne! – czułam się zniesmaczona. Chyba muszę coś zmienić. Nie, nie muszę! Ja chcę coś zmienić!

Z takim postanowieniem wyłączyłam telewizor, zgasiłam światło i położyłam się na wznak z rękami pod głową. Usiłowałam ułożyć jakiś wstępny plan zmiany, ale nagle dopadła mnie senność. Nie walczyłam z nią.

Spałam mocno, bez snów i majaków, aż do rana. Dawno już nie spałam tak dobrze. Głowa bolała mnie jakby mniej albo może zaczęłam przyzwyczajać się do bólu. Dość żeby poczuć zdecydowaną poprawę. Melancholijny nastrój minął, jak ręką odjął. Przedostatni dzień zwolnienia postanowiłam spędzić na dzia-

łaniu. Ciekawa byłam, na ile wystarczy mi sił.

Zmieniłam pościel i uporządkowałam sypialnię. Przygotowałam zimowe rzeczy do pralni i dobrałam się do stosów gazet rzuconych przez wiele tygodni obok kanapy w salonie. Popakowałam je w paczki i postawiłam w przedpokoju. Sporo tego było, będę musiała poprosić pana z ochrony, żeby pomógł mi wynieść je do pojemników na makulaturę. A właściwie dlaczego sama nie mogłabym zawieźć ich do skupu? Zastanowiłam się, gdzie jest najbliższy taki skup i czy w ogóle jeszcze istnieje coś takiego. Chyba nie, bo nie mogłam sobie przypomnieć. Osiedlowe pojemniki na papier tak, ale skupu nie. Tak czy inaczej byłam zadowolona. Fizyczne zmęczenie wpłynęło korzystnie na mój nastrój. Naprawdę czułam się lepiej. Pomyślałam z nadzieją, że jednak moja choroba to nic poważnego, że to tylko chwilowe osłabienie z przemęczenia i stresu.

Tym razem, idąc do przychodni, ubrałam się starannie, uczesałam porządnie i umalowałam. Patrzyłam lekarzowi prosto w oczy i nawet uśmiechnęłam się do niego.

– Cieszę się, pani Michalino, że widzę panią w lepszym stanie niż ostatnio. – Odwzajemnił uśmiech. – Naprawdę nie wyglądała pani dobrze – powiedział i zabrał się do lektury moich badań. – No cóż, badania nie wyglądają najlepiej – zmarszczył czoło. – Musimy popracować nad pani morfologią. Możliwe, że tak silne bóle głowy były spowodowane anemią, jednak przyczyny mogą być różne. Przepiszę pani preparat witaminowy, proszę jeść dużo owoców i warzyw i jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu. Badanie krwi proszę powtórzyć za trzy tygodnie. Zobaczmy, czy nastąpi poprawa. Trzeba będzie zbadać poziom hormonów i markerów nowotworowych. Jednak ostateczną diagnozę postawię dopiero wtedy, gdy zobaczę wynik tomografii komputerowej. Wówczas też ewentualnie skieruję panią do specjalisty na dalsze leczenie. Proszę również wybrać się na badania kontrolne do ginekologa, bo widzę, że trochę pani zaniedbała ten temat.

No fakt, zaniedbałam. Zrobiło mi się głupio, bo niby taka mądra i wykształcona ze mnie kobieta, a lekceważyłam tak ważną sprawę, jak badania kontrolne.

– Oczywiście, dopóki nie będzie kompletu badań, nie ma mowy o powrocie do pracy. Proszę nie protestować. To nie żarty. Wypiszę pani zwolnienie. Nie wezmę odpowiedzialności za panią przy tak kiepskich wynikach.

Co miałam odpowiedzieć? Właściwie to nie zamierzałam protestować. Przyda mi się to zwolnienie. Przemyślę i uporządkuję kilka spraw, będę miała czas na zrobienie wszystkich badań. Nawet nie obchodziło mnie, co powie Wiktor. Niech się trochę pomartwi. Zawsze byłam na każde jego skinienie. Teraz musi sobie poradzić beze mnie. Nie ma ludzi niezastąpionych. A nawet jeśli zastąpi mnie kimś innym, to z łatwością znajdę sobie inną pracę. Poradzę sobie. Niech to będzie preludium do zmiany w moim życiu.

Z tym postanowieniem wyszłam z gabinetu do czekającej na mnie na korytarzu Agi.

– I jak?

– Nijak.

– To znaczy?

– No nie jest najlepiej. Mam zwolnienie na kolejne dwa tygodnie.

Aga syknęła zaskoczona.

– I zlecenie na partię kolejnych badań. Na razie żadnych leków, tylko jakiś preparat witaminowy. Reszta po tomografii.

– Noooo, kurczę, faktycznie nijak. Niedobrze.

– Ale mogło być gorzej, prawda? – zażartowała. – Głowa do góry, koleżanko! Kto mówił, że będzie dobrze?

– I kto to mówi? – zakpiła Aga. – Kto jeszcze tydzień temu chciał się żegnać z życiem?

– Pojęcia nie mam, o kim mówisz. – Przytuliłam się do niej. – Masz jeszcze chwilę? Chodźmy na

kawę. Pogadamy i puszcze cię do pracy.

– Jaką kawę? Wybierz sobie z głowy takie fanaberie!

– Aga – zaczęłam, kiedy już usiadłyśmy przy stoliku w ogródku pobliskiego bistro – jesteś na mnie zła?

– Zła? Dlaczego miałabym być zła?

– Takie odniosłam wrażenie. Że nie będzie mnie w pracy przez kolejne dwa tygodnie i nie wiadomo co dalej. Wiem, że moje obowiązki spadły na ciebie, przynajmniej ich część.

– Daj spokój, co ty gadasz? Oszalałaś? Miałabym być zła, że jesteś chora? Bo do tego się sprowadza to, co mówisz! – Chyba poczuła się dotknięta, ale wiedziałam, co znaczy tak długa nieobecność w pracy jednej z nas. Zawsze zastępowałyśmy się nawzajem podczas urlopów i krótkotrwałych chorób, ale to było maksymalnie dwa tygodnie i po powrocie trzeba było przez kilka dni odgrzebywać sprawy czekające na załatwienie. A teraz nie było wiadomo, kiedy wrócę.

Milczałam.

– Michaśka, proszę cię, nawet tak nie myśl. Kiedy mówiłam, że się o ciebie martwię, to nie dlatego, że tak wypada. Nie wyglądasz najkorzystniej, mimo że dziś zdecydowanie lepiej.

– I lepiej się czuję – wtrąciłam.

– Ale na pewno nie dość dobrze, żeby wrócić do pracy.

– Nie wiem. Aga, myślałam, żeby rzucić to w cholerę.

– Co rzucić? – Patrzyła na mnie zdziwiona. – Pracę? Zwariowałaś? Dlaczego?

– Bo mi już obrzydła. Już mnie nie cieszy to, co robię. Zabija mnie rutyna.

– Bredzisz. Jesteś dobra w tym, co robisz. Bardzo dobra. Tylko jesteś przepracowana. Potrzebujesz odpoczynku. Zobaczysz, za jakiś czas, kiedy odpocznesz, spojrzysz na to wszystko z innej perspektywy.

– Możliwe. Ale jak już o tym pomyślałam, to znaczy, że nie jest dobrze. Zakiełkowało. Będzie teraz we mnie dojrzewać. Zresztą sama wiesz, że ostatnio nie dogaduję się z Wiktorem.

– Aj, nie zwracaj na niego uwagi. Ma jakieś problemy osobiste z tą swoją laską i jest rozdrażniony.

– Jak mogę nie zwracać uwagi? Przecież to mój szef. Te ciągłe awantury i czeplanie się nie ułatwiają pracy.

– Nooo, ty też miałaś trudny okres, kiedy rozstałaś się z Pawłem.

– Wiem. Ciągłe go mam. Może to też moja wina. Niełatwo się ze mną żyje. Ale jestem tym zmęczona. Nie chce mi się walczyć i boksować bez końca. Potrzebuję jakiejś zmiany.

– Właściwie to cię rozumiem – powiedziała po chwili Aga. – Ale nie rób nic pod wpływem impulsu.

– Obiecuję. Najpierw zrobię porządek ze zdrowiem i rozeznam się na rynku pracy. Może masz rację, że jak odpocznę, spojrzę na wszystko z innej perspektywy.

– Michaś, na pewno tak będzie – zapewniła mnie żarliwie.

– Ja chyba mam kryzys wieku średniego – zażartowałam, żeby rozładować napięcie.

– Ty to naprawdę głupia jesteś. – Parsknęła śmiechem. – Kryzys wieku średniego! A to dobre!

Śmiałam się razem z nią. Ale wiedziałam swoje. Miałam 37 lat i odniosłam sukcesy wyłącznie zawodowe i finansowe. Na gruncie osobistym poniosłam porażkę. Po odejściu Pawła zostałam sama. Dzieci nie mieliśmy, bo to ja decyzję o powiększeniu rodziny odkładałam na bliżej nieokreśloną przyszłość. Może w tym właśnie tkwił problem? Paweł bardzo chciał dzieci, ostatnio wciąż o tym mówił. Dzisiaj już nie mam szansy tego zmienić, niestety. Mogę tylko żałować. Że też człowiek zaczyna inaczej myśleć o życiu, dopiero kiedy coś straci. Ech...

– Chyba musimy już iść. Wiktor cię ochrzani za te spóźnienia. Mówił coś na mój temat?

– Nawet nie zapytał, co ci jest, tylko kiedy wracasz. W ogóle ostatnio zrobił się jakiś taki dziwny.

Trochę było mi przykro, że nawet nie zapytał, co mi się stało. Rzadko chorowałam, więc chyba nie

podejrzewał mnie o lewe zwolnienie. Ale Aga miała rację, rzeczywiście zrobił się dziwny – oschły, opryskliwy i nieprzystępny. A przecież kiedyś był takim fajnym kumplem. Widocznie miał jakieś poważne problemy, bo to było zachowanie niepodobne do niego.

Dopiłam herbatę i zapłaciłam za nas obie.

– Odwiozę cię – zaproponowała Aga.

– Nie, dzięki. Wezmę taksówkę. Naprawdę czuję się lepiej. – Uściskałam ją serdecznie. – Wpadłabyś do mnie na dłużej, na pogaduchy.

– Jak poczujesz się jeszcze lepiej, to na pewno cię odwiedzę. Przegadamy całą noc. A tymczasem odpoczywaj i odżywiaj się dobrze. Jesteś przeraźliwie chuda i blada. Prawie straszysz. Z naciskiem na „prawie” – puściła do mnie oko i odjechała.

W drodze do domu zadzwonił telefon. Numer nie był mi znany. Pewnie jakiś klient, pomyślałam.

– Dzień dobry pani, tu centrum medyczne, czy rozmawiam z panią Michaliną Szawłowską?

– Tak, to ja, dzień dobry. – Na moment stanęło mi serce.

– Dzwonię w sprawie tomografii komputerowej. Zwolniło się miejsce. Czy jest pani zainteresowana przełożeniem terminu badania?

Jasne, że byłam zainteresowana. Wprawdzie bałam się bardzo wyniku, ale wolałam wcześniej poznać prawdę, niż żyć jeszcze dwa tygodnie w niepewności.

Nowy termin badania przypadał za dwa dni. Wola boska! Raz kozie śmierć.

– Tak, bardzo proszę o zarezerwowanie tego terminu. Chętnie skorzystam. I bardzo państwu dziękuję.

I już. Za dwa dni będzie wszystko jasne.

Zeszło ze mnie powietrze i wrócił stan podenerwowania. Poczułam lęk. Mimo że było lepiej, miałam świadomość, że poprawa samopoczucia mogła być chwilowa i spowodowana lekami przepisanyymi przez lekarza. Bóle głowy zniknęły pod wpływem środków przeciwbólowych, to i ogólnie czułam się z dnia na dzień lepiej.

Nie powiedziałam Adze o zmianie terminu badania. Nie chciałam jej absorbować swoimi problemami. I tak zrobiła dla mnie bardzo dużo. Teraz mogę już poradzić sobie sama.

Powodowana impulsem weszłam do pobliskiego kościółka. Boże! Jak ja dawno nie byłam w kościele! Z przyjemnością zanurzyłam się w półmrok wnętrza, w jego chłód i ciszę. Zgiełk wielkiego miasta, uliczny kurz i rozgrzane powietrze pierwszego czerwcowego upału zostawiłam za sobą.

W kościele było prawie pusto, tylko kilka starszych kobiet w ławkach mamrotało cicho słowa modlitwy, przesuwając paciorki różańca.

Usiadłam w bocznej nawie i rozglądałam się dyskretnie. Słońce przeświecało przez witraże i kładło się na posadzce kolorowymi plamami. Odczułam uroczysty nastrój tego miejsca podsycany zapachem świec zgaszonych po porannej mszy.

W dzieciństwie często chodziłam z babcią do kościoła. Odświętnie ubrane siadałyśmy blisko ołtarza i uczestniczyłyśmy w nabożeństwie. Podobało mi się to. Lubiłam widok modlących się ludzi i księdza odprawiającego obrzędy przy ołtarzu. Po wyjeździe do Warszawy cotygodniowe wizyty w kościele skończyły się, bo ani ojciec, ani pani Nina do kościoła nie chodzili. Wracałam do świątyni tylko podczas wakacji u babci, a po jej śmierci robiłam to coraz rzadziej. Po ślubie z Pawłem poszliśmy kilka razy na mszę, ale zniesmaczeni polityką uprawianą w Kościele też przestaliśmy tam bywać. Potrzebę modlitwy i kontaktu z Bogiem zaspokajaliśmy w domu.

A dzisiaj tu jestem. Czułam się, jakbym wróciła po długiej podróży. Te same odgłosy cichej krzątania przy ołtarzu, echo głośniejszych kroków i szepty modlących się ludzi. Uległam tej atmosferze i uklęknęłam. Poczułam głęboką potrzebę modlitwy. Plątałam słowa pacierza wyuczonego na pamięć wiele lat temu, jednak z uporem zaczynałam modlitwę od początku, za każdym razem przypominając sobie kolejne frazy.

A potem, nie wiadomo kiedy, słowa popłynęły same, z głębi serca. Wylewały się strumieniem żale minionych lat i strach przed tym, co będzie. Zamknęłam oczy i oparłam głowę na złożonych dłoniach. Czułam oczyszczającą moc tej spowiedzi przed samą sobą. Poczułam ulgę.

Wieczorem w łóżku, wtulona w ulubioną poduszkę, myślałam o nadchodzącym badaniu. Powtarzałam sobie, że będzie dobrze. Pomyślałam o dzisiejszej wizycie w kościele i zaczęłam szeptać: „Aniele Boży, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź mi zawsze ku pomocy. Strzeż duszy, ciała mego i zaprowadź mnie do żywota wiecznego”. Nie wiem, czy dobrze pamiętałam tę modlitwę z dzieciństwa, ale słowa same napływały wciąż i wciąż od nowa. Powtarzałam je tak długo, aż zasnęłam.

Wypowiadałam je także, kiedy miła pani przygotowująca mnie dwa dni później do badania zakładała mi wenflon, by podać kontrast, a potem wsunęła stół, na którym leżałam, do tunelu aparatu. Było mi gorąco i czułam w ustach metaliczny smak, ale uprzedzono mnie, że po podaniu kontrastu mogę się tak czuć. Bałam się – nie tyle samego badania, ile jego wyniku. Bardzo chciałam, żeby nie okazał się zły. Byłam napięta do granic wytrzymałości mimo uspokajających słów lekarza radiologa.

Zamknęłam oczy i prosiłam o wsparcie swojego anioła stróża. Wierzyłam głęboko, że go mam, często czułam obecność kogoś „z góry”. Szczególnie po śmierci babci niemal namacalnie odczuwałam niewidzialną opiekę. Myślałam nawet często, że to ona czuwa nade mną z nieba. Bo odkąd zostałam sama, zaczęło mi się szczęścić i los się odmienił.

To babcia w dzieciństwie wpoila we mnie głęboką wiarę w anioła stróża. Opowiadała, że każdy z nas ma swojego wyjątkowego opiekuna, że on jest z nami w każdej minucie naszego życia i w trudnych chwilach roztacza nad nami opiekę. Słuchałam tych opowieści z wypiekami na twarzy i zawsze po zgaszeniu światła wyobrażałam sobie, że kiedyś spotkam swojego anioła. Nie po śmierci, jak opowiadała babcia, ale jeszcze za życia. Nie wiedziałam, jak miałoby się to stać, ale żyłam w przekonaniu, że właśnie mnie się to uda. Nad moim łóżkiem babcia powiesiła obrazek przedstawiający wysoką skrzydlatą postać w powłóczyściej szacie, która czuwała nad małym chłopcem. Bardzo chciałam, żeby mój anioł był tak ładny, jak ten z obrazka, i żeby też miał takie duże skrzydła. Ciekawiło mnie, czy są w dotyku tak delikatne, jak skrzydła ptaków, których czasami udawało mi się dotknąć.

Jako dorosła kobieta z pobłażaniem przypomiinałam sobie dziecięce rozterki na temat anioła stróża, jednak nie straciłam w niego wiary. Paweł podśmiewywał się ze mnie z tego powodu, ale kiedy odnosiłam jakiś sukces, często mówił: „To twój duch opiekun, twój anioł stróż ci pomógł”. I choć żartował, miałam wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwała nutka zazdrości. A może i podziwu? Uśmiechałam się wtedy do niego i mówiłam: „Przecież to ty jesteś moim aniołem”.

A teraz byłam sama i bardzo potrzebowałam swojego anioła stróża. Dlatego, dla uspokojenia, przemawiałam do niego słowami modlitwy.

– Jak się pani czuje? – usłyszałam głos lekarza w głośniku, gdzieś nad moją głową. – Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku, dziękuję.

– Już kończymy, proszę wytrzymać jeszcze kilka minut.

– W porządku, wytrzymam. Nic mi nie jest.

Jednak emocje towarzyszące mi podczas badania wyszały ze mnie całą energię. Postanowiłam, że po powrocie do domu położę się do łóżka i odpocznę.

– Proszę pamiętać, aby wypić dzisiaj dużą ilość płynów, trzeba koniecznie wypłukać z organizmu kontrast. Czy jest tu ktoś z panią?

– Tak, jest ze mną mąż – skłamałam, żeby tylko nie zatrzymali mnie tutaj dłużej. – Czeka przed przychodnią. Kiedy będę mogła odebrać wynik i opis badania?

– W ciągu dziesięciu dni wszystko powinno być gotowe. Proszę dowiadywać się telefonicznie w recepcji.

A więc przede mną dziesięć dni oczekiwania. Niech to szlag! Jak ja to wytrzymam? Już teraz z trudem powstrzymałam się od zapytania, czy lekarz coś zauważył.

Pojechałam do domu taksówką. Na szczęście tuż obok przychodni był postój i nie musiałam dzwonić i czekać.

Położyłam się na kanapie w salonie i nakryłam kocem. Wypiłam od razu dwie szklanki wody i dwie zapasowe butelki postawiłam na podłodze, w zasięgu ręki.

* * *

Obudził mnie dzwonek telefonu. Zaspana wpatrywałam się w ekran wyświetlacza i nie wierzyłam własnym oczom. Dzwonił Paweł. Poczułam, jak moje serce nabiera szalonego tempa, a w gardle rośnie mi wielka włochata kula. Nie rozmawialiśmy ze sobą, odkąd się wyprowadził. Czego może ode mnie chcieć? W obecnym nastroju nie miałam ochoty na rozmowę z nim, ale ciekawość wzięła górę.

– Witaj – mój głos nie brzmiał zachęcająco.

– Cześć, Michalino. Byłem dzisiaj u was w firmie i powiedzieli mi, że jesteś chora i że nie wiadomo, kiedy wrócisz. Co się dzieje?

– Martwi cię to?

– Przecież wiesz, że tak.

To dlaczego przez niemal pół roku nawet nie zapytałeś, jak mi się wiedzie, pomyślałam.

– Co ci jest? Może będę mógł ci pomóc?

Paweł miał szerokie znajomości, to prawda, ale nie wiem, czy chciałabym jego pomocy. Zresztą w czym?

– Nic szczególnego – odpowiedziałam. – Po prostu przemęczenie i stres. Robię badania.

– Aga mówiła, że czekasz na tomografię komputerową. Słuchaj, może jednak mógłbym ci pomóc? Choćby w przyspieszeniu tego badania?

– Dzięki, Paweł, nie trzeba. Nie mówiłam Adze, bo nie chciałam już jej absorbować swoimi problemami, ale tomografię miałam dzisiaj. Zwolniło się miejsce i zadzwonili do mnie, więc skorzystałam. Teraz czekam na wyniki.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Ja też.

Żebyś wiedział, jak bardzo się bałam, że jednak nie będzie dobrze. Nie! Nie mogę tak myśleć! Bo jeszcze wykraczę sobie to nieszczęście! Wszystko będzie dobrze! W słuchawce zapanowała cisza. Nie miałam ochoty na dalszą rozmowę. Bolało jak cholera. Ten jego głos. Ciekawiło mnie, jak sobie radzi, ale nie zadałam tego pytania.

– Michasia, musimy pogadać. Spotkajmy się, bo to sprawa nie na telefon.

– To konieczne?

– Konieczne, inaczej bym się nie narzucał. Musimy omówić nasze sprawy.

Nasze sprawy? To my mamy jeszcze jakieś nasze sprawy?

Milczałam.

– Słuchaj, jeśli nie miałabyś nic przeciwko, to wpadłbym do ciebie jutro po południu. Przy okazji zabrałbym kilka swoich rzeczy.

– Dobrze, wpadnij, o której ci wygodnie. Jestem cały czas w domu. – Nie miałam ochoty na to spotkanie, ale nie chciałam być niegrzeczna.

– W takim razie do jutra. Trzymaj się.

Pewnie dla niego ta rozmowa też nie była łatwa, pomyślałam, ocierając zdradziecką łzę. Trudno, to jego problem, krzyknęłam na siebie w myślach. To jego wina! Niech cię szlag, Paweł! Niech cię szlag!

* * *

Aga zadzwoniła wieczorem.

– Paweł był dzisiaj u nas. Powiedziałałam mu, że jesteś chora.

– Wiem, już dzwonił. Umówiliśmy się na jutro. Ma przyjść po swoje rzeczy.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? – Aga, jak zwykle, gotowa do pomocy.

– Nie, dzięki. Muszę sobie poradzić. Zresztą nie mówił dokładnie, o której się pojawi, a poza tym chce pogadać.

– Pogadać? Ciekawe o czym.

– Też jestem ciekawa. Pewnie o rozwodzie.

– Możliwe. Słuchaj, muszę lecieć, mam umówioną kosmetyczkę. Jeśli zmienisz zdanie i będziesz chciała, żebym jednak przyjechała, to daj znać!

– Leć, ślicznotko, leć – rzuciłam do słuchawki. Jak się lepiej czuję, też muszę odwiedzić panią Halinkę. Mam teraz czas. Zaniedbałam się przez to rozstanie z Pawłem. Kochana, serdeczna pani Halinka. Pewnie załamie nade mną ręce. Dobrze mi zrobi wizyta u niej.

Nie wybrałam się do pani Halinki, zadzwonili do mnie z centrum medycznego.

– Dzień dobry pani. Dzwonię z polecenia doktora Libera, aby umówić konsultację neurologiczną. Chcielibyśmy pani zaproponować wizytę w dniu jutrzejszym u doktora Koniecznego.

– Neurologiczną? Dlaczego? – Byłam zaskoczona i przerażona. – Rozumiem, że jest już wynik tomografii komputerowej. Stąd ta nagła wizyta?

Miła pani po drugiej stronie linii telefonicznej plątała się w zeznaniach.

– Lekarz pani jutro wszystko wyjaśni. Czy mam zarezerwować dla pani tę wizytę?

– Jasne, że tak! – krzyknęłam. – Jasne, że tak – powtórzyłam ciszej.

Byłam zdruzgotana. Wyobrażenia podpowiadała mi najgorsze z możliwych przypadków. Przypominałam sobie wszystkie opowieści na temat raka mózgu, operacji i powikłań. W szoku chodziłam nerwowo po mieszkaniu, przekładając bezmyślnie z miejsca na miejsce, co mi wpadło w ręce. Opamiętałam się, dopiero kiedy usiłowałam wstawić do lodówki czajnik.

Spojrzałam na zegarek. Trzecia po południu. Mam jeszcze przed sobą dobę niepewności i wizytę Pawła. Muszę się uspokoić, nie mogę dać po sobie poznać, że coś jest nie tak. Nic mu do tego.

Aniele mój, dlaczego mnie opuściłeś? Potrzebuję cię! Zaszlochałam.

Nigdy jeszcze nie czułam takiej samotności. Nawet po odejściu Pawła. Wtedy wydawało mi się, że runął mój świat i nie widziałam przed sobą przyszłości. Jak bardzo się myliłam, pokazały ostatnie dni. Teraz dopiero moja przyszłość była jedną wielką pustką, w dodatku zamgloną i złowrogą. Będę musiała przejść przez to zupełnie sama.

* * *

Paweł przyszedł po dziewiętnastej. Wyglądał dobrze, ale był jakiś spięty. Oboje byliśmy spięci.

– Błada jesteś – przywitał mnie w progu. – Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. – Patrzyłam, jak rozsiadł się w fotelu i – jak zwykle – założył wysoko nogę na nogę. Zawsze tak siadał. Najbardziej zadziwiło mnie, że patrzyłam na niego wyprana z emocji. To już? Zastanawiałam się w myślach – już po wszystkim? Tak bardzo szalałam za nim przez wszystkie te lata, rozpacza-

łam po jego odejściu, zalewając się łzami, a pół roku nieobecności wystarczyło, żebym nie odczuwała prawie nic? – Z czym przychodzisz? – zapytałam najobojętniej, jak potrafiłam.

– A, no mamy parę spraw do omówienia – przeciągał słowa, mówiąc to. Zawsze to robił, kiedy się wahał. Kiedyś wydawało mi się to urocze, a dzisiaj spowodowało tylko zniecierpliwienie.

– Pewnie chodzi ci o rozwód – chciałam mu pomóc.

– To też.

Spojrzałam na niego z zaciekawieniem, ale unikał mojego wzroku. Niedobrze. Spięta niecierpliwie czekałam, co powie.

– Rozwód, to po pierwsze. Michaśka, nie ukrywam, że chciałbym jak najszybciej złożyć w sądzie wniosek o rozwód. Jednak zanim to zrobię, musimy ustalić podział majątku.

Ach! To o to chodzi. Jakoś o tym nie pomyślałam. Rzeczywiście, kiedyś mieliśmy wspólny majątek, teraz zostało tylko mieszkanie, w którym nadal przebywam, i trzeba podzielić jego wartość.

– Co proponujesz?

– Proponuję sprzedaż tego mieszkania i podział pieniędzy. Każde z nas kupi sobie coś własnego. Ruchomym majątkiem jakoś się podzielimy, chyba uda nam się dogadać. Zresztą, tutaj nie będę cisnął. Dostaniesz, co będziesz chciała, ja sobie jakoś poradzę. Ale zależy mi na mieszkaniu. W tej chwili słono płacę za wynajem i dla mnie są to wyrzucone pieniądze, skoro mogę mieć własne. I muszę spłacić długi.

– To był twój wybór – powiedziałam cicho.

– Wiem, Michaśka. I wiem, co czujesz.

To było mieszkanie moich marzeń. Kupiliśmy je z nadzieją na szczęśliwe życie. Ale tego szczęścia wystarczyło nam raptem na dziesięć lat.

– Gównu wiesz. – Wstałam z kanapy i podeszłam do okna. Patrzyłam na drzewa w pobliskim parku, na kipiącą zielen ich liści. Kochałam ten widok i zmieniające się w zależności od pory roku kolory. Miałabym to stracić? Poczulałam ucisk w piersiach. Boże, ile jeszcze na mnie zrzucisz? – zaskowyczałam w duchu. Ile jeszcze mam znieść?

– Może i gównu – zgodził się Paweł. – Ale przypominam ci, że choć już tu nie mieszkam, wciąż płacę co miesiąc ratę kredytu. Razem z czynszem za wynajęte mieszkanie to trochę za dużo jak dla mnie.

To prawda. Po jego wyprowadzce nawet nie pomyślałam, że to on wciąż płaci kredyt hipoteczny. No, nie było to fair z mojej strony.

– Ja przejmę spłatę tego kredytu. Przepraszam cię, że o tym nie pomyślałam.

– Rozważałam to, Michaśka. Ale ja chcę odzyskać pieniądze, które włożyłem w to mieszkanie przy zakupie. Mój wkład własny. Ty też się dorzuciłaś i teraz będziesz miała szansę to odzyskać. Nadwyżką się podzielimy. Nie dasz rady mnie spłacić. To luksusowe mieszkanie i jest sporo warte.

Znowu miał rację. Nie miałam już oszczędności, nie było szansy na spłacenie Pawła. Mieszkanie było dwupoziomowe i znajdowało się w eleganckiej dzielnicy Warszawy. Chociaż moje zarobki były wysokie, nigdy nie mogłabym sobie pozwolić na jego zakup, gdyby nie dochody Pawła.

Nie miałam siły z nim dyskutować. Widać było, że wszystko przemyślał i skalkulował.

– Daj mi czas na przemyślenie tego wszystkiego. Może jednak udałoby mi się zatrzymać to mieszkanie.

– Pewnie, że dam ci czas. Rozumiem, że to dla ciebie szok. Ale, Michaśka, proszę, nie przeciągaj tego ponad miarę. Chciałbym to jak najszybciej załatwić. – A po chwili dodał: – Nie mam wyboru.

– Dobrze, Paweł. Ale teraz już idź. Źle się czuję. – Usiadłam ciężko na kanapie i oparłam głowę na rękach.

Słyszałam, że wstał.

– Przepraszam cię, Michalino. – Zabrzmiało to strasznie oficjalnie. – Ale postaraj się mnie zrozumieć. Trzymaj się. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń.

Kiwnęłam głową, ale nie wiem, czy zobaczył, bo za chwilę usłyszałam trzaśnięcie drzwiami. Po raz drugi tego dnia byłam zdruzgotana. Chciałam umrzeć.

* * *

Doktor Konieczny był neurologiem z tytułem profesora. No, nieźle. To nie była dobra wróżba. A jednocześnie, paradoksalnie, niby jestem w dobrych rękach.

Patrzył na mnie łagodnym wzrokiem spod siwych brwi. Siwych jak jego lwia czupryna.

– Dziecinko – zaczął. – Patrzę i patrzę, co tam sobie w tej głowinie wyhodowałaś, i muszę przyznać, że martwi mnie to. Wprawdzie sytuacja nie jest tragiczna, ale też nie ma powodów do radości. Taka młoda, śliczna dziewczyna. – Uśmiechnął się serdecznie. Wokół jego oczu pojawiło się mnóstwo małych zmarszczek, które dodały mu jeszcze uroku. Odwzajemniłam uśmiech. Nie dało się inaczej.

– Panie profesorze, ja nie widziałam wyniku badania. Nie wiem, o czym pan mówi.

– No tak, tak. – Wpatrzony był w ekran monitora. – Masz, kochana, nieproszonego gościa w głowie.

Czułam, jak w żyłach ścina mi się krew. Zaniemówiłam.

– Guz? Jak duży? – wykrztusiłam z trudem.

– To oponiak. Łagodny nowotwór ośrodkowego układu nerwowego. Zwykle łatwy do zoperowania. Umieścił się w oponach mózgowo-rdzeniowych. Czytam, co napisał doktor Liber na podstawie wywiadu z tobą. Cierpisz na uporczywe silne bóle głowy, a to jest jeden z objawów guza mózgu. To z powodu wysokiego ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Dobrze, że przyszłaś. W samą porę. Trzeba szybko usunąć to paskudztwo. Miałaś jeszcze jakieś inne objawy? Na przykład nudności, problemy ze wzrokiem albo ze słuchem?

– Nnnie – wyjąkałam. – Ostatnio miałam problemy z koncentracją, często zapominałam o różnych sprawach.

– No widzisz, no widzisz – powtórzył, kiwając siwą głową. – Dobrze, że przyszłaś tak szybko.

No, gdyby nie Aga, nie byłoby mnie tutaj, uczciwie przyznałam w duchu. Kochana Aga! I miałam szczęście, że trafiłam na dobrego lekarza. I teraz ten sympatyczny profesor.

Siedziałam przed nim porażona wiadomościami. Byłam bezradna.

– Musisz jak najszybciej iść do szpitala. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej. Może być już jutro. Załatw dziś swoje sprawy i jutro wieczorem chcę cię widzieć u siebie na oddziale. Tu masz skierowanie. Łóżko będzie na ciebie czekać. Nie martw się, dziecinko. – Poklepał mnie po ręce. – Wszystko będzie dobrze. Niemal wszystkie oponiaki są zmianami łagodnymi, złośliwienie jest wyjątkowo rzadkie.

Łatwo było mówić. Ale to ja miałam guza i to mi mieli grzebać w głowie. Mózg to mózg, wiadomo. Wszystko się może zdarzyć.

Po wyjściu z gabinetu nie byłam w stanie działać. Bezsilnie opadłam na krzesło i siedziałam bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu.

– Proszę pani! – Usłyszałam. – Proszę pani, czy wszystko w porządku? – Pochyliła się nade mną pielęgniarka.

– Tak, tak, oczywiście. W porządku. – O ile w mojej sytuacji może być w porządku, pomyślałam.

– Jesteśmy zaniepokojeni, bo siedzi tak pani bez ruchu od dwóch godzin. Może zawiadomić kogoś?

Od dwóch godzin? Matko Boska! Spojrzałam na zegarek. Dochodziła osiemnasta.

– Przepraszam, ale nie zdawałam sobie sprawy z upływającego czasu. Zamyśliłam się.

– Ależ nic się nie stało. – Pielęgniarka pożegnała mnie zawodowym uśmiechem.

Chciałam uciec stąd jak najdalej, ale przecież nie uciekłabym od problemu. Nie da się strzelić palcami i już! – Czary-mary, hokus-pokus i nie ma guza! Niech to szlag! Niech to jasny szlag!

Zamiast do domu pojechałam do Agi. Na szczęście była sama. Rodzinka gdzieś się rozbiegła.

– Co się stało?! – zawołała, widząc mnie na progu. – Michaśka! Na litość boską!

Usiadłam ciężko przy stole w kuchni.

– Mam guza mózgu. Jutro idę do szpitala – oznajmiłam i rozplakałam się, jakby wyartykułowanie tego zdania sprawiło, że dopiero dotarła do mnie ta okrutna rzeczywistość.

– Co takiego? – Wiadomość wyraźnie ogłuszyła Agę. – Rany, Michaśka! Jak to?

– Co „jak to”? Normalnie!

– Uważasz, że guz mózgu to coś normalnego? – Była bezgranicznie zdumiona.

– Co ty gadasz, Aga! Proszę cię! Chociaż ty rozmawiaj ze mną normalnie.

– Przecież rozmawiam. Pytam, skąd wiesz, że masz guza mózgu? – powiedziała najłagodniej, jak umiała. – Przecież nie miałaś jeszcze tomografii.

Prawda, przecież nic jej nie powiedziałam. Zawstydziłam się, że tak na nią napadłam.

– Miałam. Zwolniło się miejsce i miałam. A dziś już byłam u neurologa. Bardzo szybko to poszło.

– I nic nie powiedziałaś? – Aga była wyraźnie dotknięta. – Poszłabym z tobą, wsparłabym cię.

– Przepraszam. Nie chciałam cię już absorbować swoimi problemami. – Powoli się uspokajałam. –

Zresztą ta dzisiejsza wizyta wypadła tak nagle, wieczorem był Paweł i zapomniałam.

– Od tego właśnie ma się przyjaciół. Opowiadaj po kolei. Wszystko. Bez znieczulenia.

Opowiedziałam.

– Myślisz, że będzie dobrze? – zakończyłam swoją relację. – Proszę, pociesz mnie! – Przytuliłam się do Agi jak małe dziecko.

– Musi być – powiedziała twardo. – Dasz radę. Tylko musisz przez to przejść.

– Wiem – szepnęłam. – Proszę cię, nie mów o tym Pawłowi.

– A właśnie, co chciał? Chodziło mu o rozwód?

– O rozwód też. Ale głównie chodziło mu o mieszkanie. Chce je sprzedać i odzyskać kasę.

– No wiesz! – oburzenie Agi sięgnęło zenitu.

– Wiem... Ale w sumie to ma rację. Powiedziałam, że przemyślę wszystko i dam mu znać. Tylko że w tej sytuacji nie mam do tego głowy. Zadzwoń do niego ze szpitala, najlepiej już po operacji. Będzie musiał dać mi więcej czasu. Jak ja to wszystko teraz załatwię?

– Nie martw się. Jakoś to będzie. A jutro odwiozę cię do tego szpitala.

– Dzięki. Kochana jesteś.

* * *

Sala była dwuosobowa. Na drugim łóżku leżała dziewczynka, może piętnastoletnia. Była bardzo blada i chuda, na głowie miała zawiązaną kolorową chusteczkę. Wpatrywała się we mnie wielkimi, zielonymi oczami.

– Cześć. Jestem Elżunia. Na długo przysłaś?

– Cześć, Elżuniu. Jestem Michalina. Mam nadzieję, że nie na długo. – Posłałam jej uśmiech.

– Fajnie będzie pogadać z kimś całkiem młodym. – Odwzajemniła uśmiech. – Leżę tu już tak długo.

Ludzie przychodzą i odchodzą, przeważnie starsi, a ja wciąż leżę – kontynuowała. Akurat teraz wolałabym nie rozmawiać, ale nie miałam serca jej zbyć. Patrzyła ciekawie, jak rozpakowuję walizkę.

– Boisz się?

Usiadłam na łóżku zaskoczona pytaniem.

– Pewnie, że się boję. Każdy się boi – odpowiedziałam po chwili.

– Ja też się bałam. Ale jestem już pogodzona – oznajmiła.

– Pogodzona? – Znowu byłam zaskoczona. Gapiłam się na nią, nic nie rozumiejąc. – Z czym pogodzona?

– Że nie wyzdrowieję. – Uśmiechnęła się znowu.

Zamarłam. Chyba dostrzegła moje zdumienie, bo ciągnęła:

– Naprawdę. Mój guz okazał się bardzo złośliwy. Miałam już radioterapię i dwie chemie. I nic. Bez reakcji.

– Elżuniu... – nie wiedziałam, co powiedzieć. – Naprawdę bardzo mi przykro.

– Dziękuję. Ale niepotrzebnie. Trzeba się z tym pogodzić. Ksiądz Jan mówi, że i życie, i śmierć jest darem. Dużo rozmawiamy. Właściwie to ciekawa jestem, jak tam jest.

– Gdzie jak jest? – wydukałam.

– No, po drugiej stronie. Przecież czeka tam na mnie drugie życie. – Znowu się uśmiechnęła. – Lepsze życie. Ksiądz Jan tak mówi – dodała z przekonaniem.

Nie umiałam znaleźć odpowiedzi. Zdziwiła mnie dojrzałość tego chorego dziecka. Czy ja potrafiłabym być taka spokojna, wiedząc, że umieram? Popatrzyłam na nią z szacunkiem.

– Ile masz lat, Elżuniu?

– Dziewiętnaście. – Nie do wiary! Wyglądała najwyżej na piętnaście. Roześmiała się radośnie: – Ale masz minę! Każdy tak reaguje, kiedy to mówię! – Wielkie, zielone oczy iskrzyły radością. Skąd ona ma w sobie tyle siły i pogody ducha?

– Jesteś taka... krucha. – To chyba było dobre określenie. – Aż trudno uwierzyć.

– Wiem. – Śmiała się ciągle. – Ale tak jest. – Opadła na poduszkę wyczerpana.

Wróciłam do rozpakowywania swoich rzeczy. Z torebki wyjęłam pudełeczko z miętówkami.

– Masz ochotę? – Wyciągnęłam rękę do Elżuni.

– Nie, dziękuję. Dzisiaj już nie wolno mi jeść. Jutro mam zabieg pod narkozą. – Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Podziwiałam ją coraz bardziej. – Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli dziś wieczorem przyjdzie do mnie ksiądz Jan?

– Nie, Elżuniu, nie będzie mi przeszkadzało. Chętnie go poznam. Może i mnie przyniesie pociechę. A jeśli będziesz chciała, to wyjdę z pokoju, żebyś mogła z nim spokojnie porozmawiać. – Poczułam, jak wzruszenie podchodzi mi do gardła znajomą włochatą kulą.

– Dziękuję ci. – Patrzyła z wdzięcznością. – Fajna jesteś. Cieszę się, że przyszłaś. Na pewno będzie nam razem dobrze.

Zamknęła oczy, więc nic nie odpowiedziałam. Zresztą, co mogłam jej powiedzieć? Jak ją pocieszyć?

Schowałam rzeczy do szafki i włożyłam piżamę. Nie wiedziałam, co dalej robić, więc usiadłam na łóżku i zatonełam w myślach. Już nie byłam tak bardzo pochłonięta swoją chorobą. Elżunia skierowała moje myśli na inne tory. Boże, pomyślałam, dlaczego pozwalasz, żeby to dziecko tak cierpiało? Przecież ma jeszcze wiele lat przed sobą! Zadumałam się nad niesprawiedliwością życia.

Zasypiałam już, kiedy przyszedł ksiądz Jan. Wysoki, ciemnowłosy, szalenie przystojny. W jego twarzy uwagę przykuwały oczy – inteligentne i życzliwe. Jakby stale się uśmiechał.

– Witaj. Choć przygnała cię tutaj choroba, to miło cię widzieć. Mam na imię Jan. Jestem księdzem i kapłanem w tym szpitalu.

– Wiem, Elżunia już mi o księdzu mówiła.

– Jestem po prostu Jan.

Jak to „po prostu Jan”? Mam do księdza mówić na ty? Zdziwiło mnie to bardzo, ale powiedziałam, że tak będę się do niego zwracać.

Tymczasem Jan usiadł przy łóżku Elżuni i pogłaskał ją po głowie. Ocknęła się z płytkiego snu i od razu uśmiechnęła. Zaszepotali coś do siebie, więc wstałam z łóżka, włożyłam szlafrok i wyszłam na korytarz.

Piknął sygnał SMS-a – to Aga. „I jak?”, pyta. „W porządku”, odpowiadam. „Jest ok”. „To dobrze. Myślę o tobie. Jutro wpadnę. Całuję, A”.

Spojrzałam na zegarek – dochodziła jedenasta. Późno. Ciekawe, czy zasnę po wyjściu Jana. Na korytarzu nie było już nikogo, w salach przygaszone światła. Wcześniej tu chodzą spać.

Stałam przy oknie i zapatrzyłam się na panoramę dużego osiedla. Niebo było rozgwieżdżone, zapowiadało piękną pogodę na jutro. Koniec czerwca był bardzo ciepły i pogodny. Początek wakacji i sezon urlopów. Niestety, nie dla mnie.

Co mnie czeka? Czy taki sam los jak Elżunię? Mimo woli zadrzałam ze strachu. Znowu dopadły mnie dręczące obawy przed niepewnym jutrem. Co zdecydował profesor Konieczny? Kiedy operacja?

Nie usłyszałam Jana. Stał za mną cicho jak duch i lekko dotknął mego ramienia.

– Dziękuję ci, Michalino, że wyszłaś. Elżunia się wypowiedziała. Biedne dziecko, bardzo potrzebuje wsparcia. Niestety, umiera. Nic już nie można dla niej zrobić. To kwestia najwyżej kilku miesięcy. To jest wersja optymistyczna. Elżunia ma bardzo silną wolę życia.

– Wiem, mówiła mi. To bardzo smutne.

– Tak, to prawda. Ale idź już spać, Michalino. Przecież ty też jesteś chora, inaczej nie byłoby cię tutaj. Być może jutro rozstrzygnie się twój los. Zostawiłem ci na nocnej szafce swój numer telefonu. Gdybyś potrzebowała duchowego wsparcia, daj znać. Jestem do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Mieszkam tutaj niedaleko, w szpitalu znają mnie dobrze, więc w każdej chwili będę mógł do ciebie przyjść. Zostań z Bogiem.

– Dziękuję – nic więcej nie byłam w stanie powiedzieć. Patrzyłam na wysoką, ciemną sylwetkę Jana, jak cicho odchodzi długim korytarzem.

W pokoju świeciła się tylko lampka przy moim łóżku. Elżunia chyba spała, była odwrócona twarzą do ściany.

Położyłam się cicho, żeby jej nie budzić, i zgasiałam światło. Patrzyłam w ciemność i nasłuchiwałam szpitalnych odgłosów. Znowu rozpoczęłam modlitwę. „Aniele Boży, strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój...” Kiedy kończyłam, zaczynałam ją od początku. Miałam nadzieję, że to pomoże mi zasnąć.

– Modlisz się? – szeptem zapytała Elżunia.

– Tak, Elżuniu. Modlę się.

– Ja też. Kiedy jest tak cicho, wtedy zaczynam się trochę bać.

Nie odpowiedziałam jej, bo bałam się, że głos mi się załamie. Nie chciałam, żeby to usłyszała. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęła mnie pocieszać, bo na pewno była do tego zdolna.

– Do kogo się modlisz? Bo ja do świętego Brata Alberta. On zawsze pomagał chorym i biednym. Może i mnie pomoże przejść bezboleśnie na drugą stronę.

– Ja? Ja tylko do swojego anioła stróża. Żeby mnie nie opuszczał w potrzebie.

– Anioł stróż to chyba nie opuszcza nigdy, jak sądzisz? – zapytała.

– Nie wiem. Mam taką nadzieję. Chcę w to wierzyć. – Nagle zrobiło mi się jakoś lżej na sercu, kiedy tak szeptałam z Elżunią, niemal obcą dziewczyną. Może dlatego, że moje słowa potraktowała poważnie, jak jeszcze nikt? Nie roześmiała się. Było to dla niej oczywiste.

Myślałam, że zasnęła, bo milczała.

– Będę się za ciebie modlić – powiedziała nagle.

– Ja za ciebie również.

Nie odezwała się więcej. I ja nie chciałam zakłócać jej spokoju.

Wczesnym rankiem obudził mnie ruch przy łóżku Elżuni. Zabierali ją na zabieg. Patrzyłam na krzątanicę pielęgniarek i milczącą Elżunię. Naprawdę była drobna i krucha. Chyba bałabym się jej dotknąć, żeby nie skrzywdzić. Była delikatna, niemal przezroczysta i taka ulotna. Tak właśnie wyobrażałam sobie elfy. W drzwiach spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Niesamowita dziewczyna. Ileż siły w tym drobnym ciałku. Przez chwilę jej pozazdrościłam, ale zawstydziła mnie ta myśl. Przecież była śmiertelnie chora, czego tu zazdrościć?

* * *

– I jak, dziecinko? – Lwia grzywa profesora srebrzyła się w słonecznym świetle wpadającym do gabinetu przez otwarte okno. – Wszystko dobrze?

Pokiwałam głową.

– Popatrzmy w kalendarz, hmmm... muszę znaleźć dla ciebie najlepszy dzień na operację. – Mrugnął do mnie łobuzersko. – Niech pomyślę... A jeśli byłoby to w piątek? W niedzielę będziesz jak nowo narodzona. Może nawet zaproszę cię na spacer? – Uśmiechał się życzliwie.

Znowu pokiwałam głową. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– No to jesteśmy umówieni. – Coś zapisywał w kalendarzu. – Idź teraz, dziecinko, do pielęgniarek. Zostawiłem tam dla ciebie zlecenia na dodatkowe badania. Siostry się tym zajmą. Jutro przyjdzie do ciebie anestezjolog, a pojutrze mamy spotkanie na sali operacyjnej.

Kiedy wychodziłam z gabinetu, rzucił od niechcienia:

– Możesz zajrzeć na pooperacyjną do Elżuni. Na pewno się ucieszy.

Spojrzałam zaskoczona.

– Do Elżuni? Już można? Myślałam, że...

– Można, można. Wszystko poszło dobrze na tyle, na ile mogło pójść. Po południu wróci do siebie, ale już teraz możesz do niej wpaść. Jest przytomna.

* * *

Był przy niej ksiądz Jan. Wpatrywała się w niego tymi wielkimi, zielonymi oczami, a on opowiadał jej coś z ożywieniem. Nie chciałam im przeszkadzać, więc stanęłam za szybą i patrzyłam na salę pooperacyjną. Niebawem ja tu będę leżeć, pośród tych wszystkich monitorów i aparatów. Jak będzie ze mną? Czy też będę przytomna jak Elżunia? Czy zniosę ból? Powrócił strach. Wycofałam się na korytarz. Poczekam na Elżunię w pokoju, na razie niech odpoczywa pod opieką księdza Jana. Zdążymy jeszcze porozmawiać.

Po południu wpadła do mnie Aga.

– I jak? Wiesz już coś? – wypytywała mnie ostrożnie, ale widziałam, że jest zdenerwowana. – Kiedy masz operację?

– W piątek. Już wszystko zarezerwowane – usiłowałam żartować.

– Już pojutrze? – Była zaskoczona. Usiadła bezradnie obok mnie na łóżku. – Szybko. Ale może to i lepiej?

– Na pewno lepiej. Profesor mówił, że trzeba jak najszybciej. Zresztą ja też chciałabym mieć to już za sobą. Chyba nie zniosłabym długiego czekania.

– Michaśka, wiem, że to ty masz operację, ale ja też się boję! – Patrzyła na mnie przerażona. Parsknęłam śmiechem.

– Ktoś miał mnie wspierać! – Chichotałam. – Aga, no co ty! Przytul mnie szybko! Pocieszyc cię?

– Wariatka! – fuknęła na mnie.

Widziałam, że coś ją dręczy.

- No, wykrztuś wreszcie!
- O co ci chodzi? – Niewinność jej oczu była zbyt naiwna, żeby była prawdziwa. Znałam ją dobrze.
- Jesteś pewna, że nie chcesz zawiadomić Pawła? Teraz, przed operacją?
- Jestem pewna. Po co miałabym to zrobić?
- Jak to po co? W końcu przez ostatnie lata był dla ciebie najbliższą osobą.
- Właśnie. Był. Nie, Aga. Nie chcę. Nie rozmawiajmy o tym. Zadzwońię do niego po operacji.
- No jak chcesz.

Chyba jej nie przekonałam.

- Co tam w pracy? – zmieniałam temat.
- Nic im nie mówiłam, że jesteś w szpitalu i że będziesz miała operację. Zresztą jakoś nikt nie pytał.

Wiktor wrócił z tego Wrocławia jeszcze bardziej ponury, warczy na wszystkich, więc siedzą cicho.

- To dobrze. Nic im nie mów, jeśli nie pytają.
- Wiktorowi też nie?
- Wiktorowi też nie. Zwłaszcza Wiktorowi. Jak zapyta – powiedz. Nie zapyta – ciemna mogiła.
- Dobra.

Rozmowa jakoś nam się nie kleiła.

- Przynieść ci coś?
- Co?
- No nie wiem. Coś dobrego. Może masz ochotę na coś szczególnego? Na przykład na tort bezowy?

Uwielbiałam tort bezowy. Najbardziej z kremem kajmakowym.

- Nie, no co ty! Przyniesiesz mi po operacji, bo ja już jutro nie będę mogła jeść. Wiesz, narkoza.
- Prawda, zapomniałam.

– Dobrze, że leżysz w dwuosobowej sali – odezwała się po chwili Aga. – A gdzie twoja współlokatorka?

- Leży na pooperacyjnej. Miała dzisiaj zabieg.
- Jakaś do rzeczy?
- Właściwie to nie wiem. Chyba tak. Miło nam się wczoraj rozmawiało. Sympatyczna. Młodziutka bardzo, ma dopiero dziewiętnaście lat.

– No co ty? – Aga była wyraźnie poruszona. – Toż to dziecko jeszcze!

– Gdybyś ją zobaczyła! Malutka, drobniutka, wygląda najwyżej na piętnaście lat. Zresztą, może ją poznasz. Pewnie poleży tutaj do końca.

Aga patrzyła na mnie pytającym wzrokiem.

- Do końca? Do jakiego końca?
- Ona umiera. Niewiele jej zostało. I na dodatek mówi, że jest przygotowana na śmierć.
- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?
- Nie. Z takich rzeczy się nie żartuje. A oto i Elżunia.

Pielęgniarki wtoczyły do sali wózek, na którym leżała bledziutka, ale uśmiechnięta Elżunia.

- Dzień dobry pani! – zaszczębiotała do Agi. – Piękny dzisiaj dzień, prawda?
- Dzień dobry. Rzeczywiście, piękny. – Wpatrywały się w siebie z napięciem. – Mam na imię Aga. –

Podeszła do dziewczyny i wyciągnęła na przywitanie rękę.

– A ja jestem Elżunia. Cieszę się, że cię poznałam – wyszeptała z uśmiechem. – Jesteś koleżanką Michaliny?

– Aga jest moją najlepszą przyjaciółką, Elżuniu – wtrąciłam, bo widziałam zdumienie Agi. Była jak oniemiała i wpatrzona w Elżunię jak zaczarowana. Chyba spodobały się sobie.

- Wpadnę do was jutro na dłużej – oznajmiła Aga. – Teraz już pójdę, żeby nie zakłócać spokoju.

Odpoczywaj, Elżuniu, i wracaj do zdrowia. Jutro porozmawiamy. Przywiozę ci coś dobrego. Specjalnie dla ciebie, bo Michalina jutro już będzie miała szlaban na pyszności.

– Nie tylko na pyszności, niestety – dodałam.

– Dziękuję bardzo. – Elżunia patrzyła z wdzięcznością. – A więc do jutra – podniosła na pożegnanie rękę.

Była zmęczona. Pielęgniarka podłączyła jej kroplówkę i wyszła.

– Jak się czujesz, maleńka? – Przysiadłam na stołeczku tuż przy jej łóżku. – Wszystko w porządku?

– W porządku. Jestem tylko trochę zmęczona. Posiedź chwilkę przy mnie. – Wzięłam ją za rękę i poklepałam uspokajająco.

– Modliłam się za ciebie – powiedziała niespodziewanie dla samej siebie. – I wciąż o tobie myślałam. Jesteś taka dzielna! Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo cię podziwiam. I trochę ci zazdroszczę. Też bym tak chciała – nie bać się i wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

– Przecież będzie wszystko dobrze! – Przekonanie w jej głosie na chwilę uspiło mój lęk. – A ty kiedy będziesz miała zabieg? Pewnie pojutrze?

– Tak, pojutrze. Już pojutrze i jednocześnie dopiero pojutrze – powiedziałam. – Z jednej strony chciałabym mieć to już za sobą, a z drugiej strony wolałabym, żeby to się w ogóle nie zdarzyło. Żeby się okazało, że to sen, zły sen! – Nie wiem, kogo bardziej chciałam uspokoić, siebie czy ją.

– Ale to nie jest sen – powiedziała cicho. – Nie obudzę się i nie będę zdrowa. – Jej wielkie oczy posmutniały.

Milczałam.

– Spróbuj zasnąć. Musisz nabrać sił, żebyś mogła mnie jutro pocieszyć. Bardzo tego potrzebuję.

Zachłannie słuchała tego, co mówię.

– Dobrze. Postaram się. Dziękuję ci.

– To ja ci dziękuję.

Posiedziałam przy niej, aż zasnęła. A przynajmniej tak mi się wydawało. Było jeszcze wcześniej, więc wyszłam na korytarz. Znowu patrzyłam na rozległą panoramę za oknem. Tym razem w scenerii zachodzącego słońca. Pomarańczowe światło zalewało dachy blokowiska, nadając im bajkowy wygląd. Jak pięknie, pomyślałam. W oddali widać było czarną linię podwarszawskich lasów, zlewającą się z coraz ciemniejszym niebem.

Zagrzmiało i błysnęło, nagły podmuch wiatru poruszył skrzydłem otwartego okna i sypnął mi w oczy kurzem. Zamknęłam okno i wróciłam do pokoju. Elżunia spała, oddychając cicho.

Za to ja nie mogłam spać. Nasłuchiwałam odgłosów deszczu bębniącego o parapet i grzmotów, raz dalekich, a raz całkiem bliskich.

Minęła północ, a ja wciąż nie spałam. Staralam się nie wiercić, bo łóżko skrzypiało, a ja nie chciałam obudzić Elżuni. Słyszałam, jak kilka razy zaglądały do niej pielęgniarki, żeby wymienić kroplówkę.

Chyba wszystko było z nią dobrze. A może ona wcale nie umiera? Tak mi tylko powiedziała, dla żartu? Eee, chyba nie. Niemożliwe, żeby kłamała. No ale z drugiej strony jak ktoś umierający może mieć w sobie tyle woli życia, tyle życzliwości i dobroci co Elżunia? Chciałabym być taka choć w części.

Burza ucichła dopiero nad ranem, tuż przed brzaskiem. Deszcz wciąż padał, zanosilo się na kilkunniową pluchę. Monotonne stukanie o parapet w końcu mnie uspiło.

Dzień rzeczywiście był słotny. Po porannym zamieszaniu z wykonywaniem zleconych przez profesora badań w końcu mogłam odpocząć. Nie miałam ochoty na zawieranie szpitalnych znajomości, z Elżunią nie mogłam porozmawiać, bo ciągle ktoś się koło niej kręcił albo drzemała. Usiłowałam poczytać książkę, ale znużona pogodą też zapadłam w lekki sen. Roily mi się jakieś osobliwe postaci, demony w dziwnym świecie i w tym wszystkim ja – przerażona i mała jak złapany w sidła ptak. Obudziłam się

spocona i zmęczona. To pewnie nerwy.

Po skąpym obiedzie, który był moim ostatnim posiłkiem przed operacją, przyszedł anestezjolog, żeby przeprowadzić wywiad potrzebny do narkozy. Wypytał o wszystko, zrobił notatki – wzrost, waga, przebyte choroby, przyjmowane leki – i sobie poszedł.

Wieczorem przyszła Aga. Przyniosła truskawki dla Elżuni, ale dziewczyna spała.

– Jestem zdenerwowana – szepnęła Aga, kiedy wyszliśmy na korytarz.

– Ty? – Roześmiałam się. – Przecież to w mojej głowie będą grzebać.

– No wiem. Ale i tak się denerwuję. Może przy okazji zrobią tam porządek, jak myślisz?

Parsknęłam śmiechem.

– Nie wiem, czy to możliwe.

Chichotałyśmy obydwie.

– Naprawdę się nie boisz? – zapytała Aga.

– Cholera, pewnie, że się boję! Ale bardziej się boję, że to cholerstwo zrobi mi kuku przed operacją. Na przykład ciśnienie w głowie tak wzrośnie, że będę miała wylew i już nic nie da się zrobić. Będę sparaliżowana i pozostanie mi tylko czekać na śmierć, jak warzywko. Tego bym nie chciała. Naprawdę wolę, żeby wygrzebali mi to z głowy, póki czas.

– Oby wszystko poszło dobrze.

– Oby. Modłę się o to. W końcu to głowa. Nawet nie chcę myśleć, co może się stać. Nie! Nic się nie stanie! Muszę myśleć pozytywnie! Muszę!

– Masz rację. Ja też wierzę w siłę sprawczą myśli. – Patrzyła na mnie przerażonym wzrokiem. – I włosy ci zgołą – zawiesiła głos.

– No zgołą. I co? Odrosną. – Za nic nie przyznałabym się do tego, że to też mnie martwiło, tak jak sam zabieg. Nie chciałabym być uznana za próżną, ale... A, nie będę o tym myśleć. Przynajmniej dowiem się, jak to jest mieć włosy króciutkie jak u rekruta. Kiedyś chciałam spróbować, to teraz mam okazję.

– Aga – szepnęłam po chwili – dziękuję ci, że ze mną jesteś. Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez ciebie.

– No co ty. Po pierwsze, świetnie sobie radzisz. Po drugie, nie wiem, czy zauważyłaś, ale to ty mnie pocieszasz i podtrzymujesz na duchu. Może nawet łatwiej by ci było beze mnie?

– A ja nie wiem, czy ty zauważyłaś, że gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

– Daj spokój, Michaśka! Nie zrobiłam nic wielkiego. Nic, czego ty byś nie zrobiła. Nawet jeśli troszkę cię pogoniłam. Sama byś do tego dojrzała. Ostateczne decyzje są przecież twoje.

– No nie wiem. Ostatnio byłam w takim stanie...

– To chyba normalne – powiedziała cicho. – Muszę chyba już iść. Zrobiło się późno.

Nie chciałam, żeby odchodziła.

– Przyjdiesz jutro?

– Przyjdę. Pewnie, że przyjdę. Urwę się z pracy i będę u ciebie wcześniej. – Uścisnęła mnie mocno. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz! – Nie zdołała ukryć łez.

– Dzięki – szepnęłam, bo głos mi się załamał.

Patrzyłam, jak idzie korytarzem. Kiedy zniknęła za zakrętem, poczułam, jak bardzo jestem samotna. Tak bardzo, że aż bolało. Niech to szlag!

– Chyba się już wyspałam – oznajmiła Elżunia, kiedy weszłam do sali.

– A jak się czujesz?

– Dobrze. Bardzo dobrze. Nic mnie nie boli. Profesor powiedział, że wszystko się udało. – Uśmiechała się do mnie radośnie. – Czekam na ciebie, żeby ci to powiedzieć. Żebyś się nie bała.

– Dziękuję ci. – Przysiadłam przy jej łóżku i wzięłam ją za rękę. – Bardzo tego potrzebuję.

Wlepiała we mnie wielkie oczy. Była w nich taka niewinność, że aż wydawała się nieprawdopodobna. Dziewczyna wyglądała jak Madonna ze świętego obrazka. Tylko dzieciątka jej brakowało.

– Chyba nie zmrużę dzisiaj oka. – Uśmiechnęłam się do niej. – Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, to może byśmy pogadały. Opowiedziałabyś mi coś o sobie.

– Powinnaś przespać się choć trochę. Będzie ci łatwiej. Ale rozumiem i chętnie porozmawiam z tobą, chociaż nie wiem, co mogłabym ci o sobie opowiedzieć. To nic ciekawego.

– Opowiedz mi, o czym marzysz. – Od razu pożałowałam tego pytania, bo zobaczyłam, jak pociemniały jej oczy. Było mi wstyd. – Przepraszam – szepnęłam po chwili.

– Nic się nie stało. Moim największym marzeniem jest wyzdrowieć. Ale to niemożliwe. Modlę się więc o lekką śmierć, bez cierpienia. Nie wiem, ile to jeszcze potrwa.

Czułam ogromny podziw dla tej kruchej istoty, która jeszcze nie rozpoczęła na dobre życia, a już stała u jego kresu.

– Od dawna chorujesz?

– Tak poważnie od roku. Ale zawsze byłam chorowita i dużo czasu spędzałam w szpitalach. Przywykłam.

– Przyjedzie jutro ktoś do ciebie?

– Nie – szepnęła smutno. – Rzadko ktoś mnie odwiedza.

– Dlaczego? – Zrobiło mi się jej jeszcze bardziej żal. Walczyć samotnie z taką chorobą... Może i mnie to czeka, pomyślałam.

– Mam młodszego brata, opóźnionego w rozwoju. Mama nie może go zostawić. Bartuś potrzebuje stałej opieki. Zresztą – dodała – mieszkamy daleko. Za Pułtuskim. Do Warszawy to cała wyprawa. I mamy nie bardzo stać na bilet – zakończyła wstydliwie.

– Tak mi przykro, Elżuniu. Może mogłabym wam jakoś pomóc?

– Kochana jesteś – poczułam, że ściska moją rękę – ale nie trzeba. Jakoś dajemy sobie radę. Tata, jak nie pije, coś tam zarabia. I mamy własny ogród i kawałek pola.

Jasne. Jak nie pije. A jak pije, to przepija, co zarobi, pomyślałam wściekła. Trochę za dużo tych złych doświadczeń dla kogoś takiego jak Elżunia. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nie smuć się tak. – Uśmiechnęła się do mnie tym swoim promiennym uśmiechem, od którego od razu robiło się cieplej i mijały wszelkie smutki. – Teraz ty opowiedz mi coś o sobie.

– Ach, Elżuniu. Nie ma o czym opowiadać. Jestem samotna, niedawno rozstałam się z moim mężem. Nie mieliśmy dzieci.

Słuchała uważnie. Sama się sobie dziwiłam, że mówię o swoich osobistych sprawach tak naturalnie, chociaż jej właściwie nie znałam. Była mi obca.

– A twoi rodzice?

– Przez jakiś czas wychowywała mnie babcia, która, niestety, nie żyje od wielu lat. Moi rodzice rozstali się, kiedy byłam małym dzieckiem. Tata wziął mnie do siebie, gdy chodziłam już do szkoły, ale chyba mu zawadzałam. Teraz mieszka na stałe w Kanadzie. Rzadko ze sobą rozmawiamy. Mamy nie pamiętam. Nic o niej nie wiem.

– Ojej! – zawołała. – Jakie to smutne! Nie ciekawi cię, co się z nią stało i dlaczego cię zostawiła?

– Kiedyś się nad tym zastanawiałam. Ale teraz już nie.

– A Aga? Długo się znacie?

– Długo i niedługo. Chyba z dziesięć lat. Choć mam wrażenie, że całe życie. Jest dla mnie jak siostra. To moja jedyna przyjaciółka. Taka na śmierć i życie. A ty masz kogoś takiego?

– Nie mam. Może ksiądz Jan? – zastanawiała się głośno. – Ale chyba nie. To co innego. Jak myślisz?

– Tak, to chyba co innego.

– Wiesz, Michasiu, ty mogłabyś być moją przyjaciółką. Od razu cię polubiłam, jak tylko cię zobaczyłam w progu. Masz w sobie coś takiego... czuję, że jesteś moją bratnią duszą. To się rzadko zdarza, prawda? Jeszcze nigdy o nikim nie myślałam tak jak o tobie. A przecież znamy się dopiero od kilku dni.

– I ja cię polubiłam, Elżuniu. Bardzo się cieszę, że to właśnie z tobą dzielę pokój. Bardzo się bałam, kogo zastanę. No bo przecież mógłby to być ktoś całkiem niesympatyczny. A ty przywitałaś mnie życzliwie uśmiechem i sprawiłaś, że od razu poczułam się lepiej.

– Ojej, to bardzo miłe, bo wiele osób mi mówi, że jestem zbyt bezpośrednia. Nie wszystkim się to podoba. Myślę, że jestem wścibska, a to przecież nieprawda. Chciałabym, żeby ci nowi poczuli, że nie są sami. Przychodzą tu przestraszeni swoją chorobą i tym, co ich czeka. I dlatego są tacy nieprzystępni i czasami opryskliwi. Ja to rozumiem.

– I dlatego witasz ich, jak sama chciałabyś być przywitana, prawda? I właśnie tak przywitałaś mnie.

– No widzisz, Michasiu, ty mnie rozumiesz. Naprawdę jesteś moją bratnią duszą. – Uśmiechała się do mnie cały czas. Chyba z tym uśmiechem się urodziła.

Naszą rozmowę przerwała pielęgniarka, która zajrzała do sali.

– Spać, miłe panie! Spać! Późno już!

Dochodziła pierwsza.

– Już idziemy spać – powiedziałam, ale nawet nie drgnęłam. Dobrze mi robiła ta rozmowa. – Elżuniu, myśl o mnie jutro. Bardzo tego potrzebuję.

– Będę. Nie martw się. Twój anioł stróż cię nie opuści. Opowiedz mi o nim – dodała po chwili.

– O kim? O aniele? – zdziwiłam się. – A co ja ci mogę opowiedzieć o aniele? To tylko coś, w co wierzę.

– Tylko? – Z kolei ona się zdziwiła. – Przecież wierzysz w niego. Więc na pewno jest przy tobie. Ksiądz Jan mówił, że anioł stróż to postać, która występuje we wszystkich religiach świata.

– Naprawdę? Nie wiedziałam. To babcia wpoila mi wiarę w niego. I nauczyła modlitwy. Po jej śmierci przestałam się modlić, ale tę jedyną modlitwę zapamiętałam. Powtarzam ją, kiedy mi źle. W moim życiu bywa różnie. W chwilach smutku, strachu, rozpacz się do niego modłę. Naprawdę wierzę, że przy mnie stoi i mnie ochrania.

– I dlatego on przy tobie jest. Bo wierzysz w niego naprawdę – zapewniała mnie żarliwie. Zresztą, nie musiała. Wiara w anioła stróża była we mnie tak silnie zakorzeniona, że chyba nic nie mogło jej zachwiać.

Widziałam, że była zmęczona i senna. Ja zresztą też, chociaż denerwowałam się bardzo.

– Elżuniu, ty na pewno też masz swojego anioła stróża. Jest przy tobie i nigdy cię nie opuści.

– Na pewno. Może niedługo spotkam go, jak... – zamyśliła się.

– Może ja też? Kto wie, co się zdarzy? Śpij już, zmęczona jesteś. Masz za sobą ciężki dzień. Jutro, a właściwie dziś, mnie też taki czeka. Może uda mi się zdrzemnąć odrobinę. – Pogłaskałam ją delikatnie po policzku. Odpowiedziała na pieszczotę jak mały kociak, ocierając się o moją dłoń.

– Dobranoc, Michasiu. Dziękuję ci za tę rozmowę.

– To ja tobie dziękuję, moja droga. Śpij dobrze i pomyśl o mnie jutro – ponowiłam prośbę.

– Będę o tobie myśleć cały czas. Będzie dobrze, zobaczysz! – Ścisnęła moją dłoń.

* * *

Udało mi się zdrzemnąć, choć spałam lekko i niespokojnie, co specjalnie mnie nie zdziwiło. Rano obudziła mnie pielęgniarka i razem z salową wsiadłyśmy do windy, która miała nas zawieźć na blok operacyjny. Zamknęłam oczy i zatonełam w myślach.

Ocknęłam się, gdy drzwi windy szczęknęły przeraźliwie. Dojechałyśmy.

* * *

Chciałam zaprotestować, kiedy golono mi głowę i kiedy nagą położono na zimnym metalowym stole. W ostrym świetle lamp czułam się, jakby obnażono nie tylko moje ciało, ale i moją duszę, z jej tajemnymi zakamarkami, w których chowałam to, czego wstydziłam się najbardziej.

Zostawcie mnie! – krzyczałam w duchu. – Zostawcie mnie w spokoju! Niech to szlag!

Chciałam uciec, ale wiedziałam, że nie mogę nic zrobić. Poddałam się.

Poczułam ukłucie i po chwili powoli zaczął spływać na mnie spokój. Hałas wokół stopniowo cichł. Robiło mi się błogo i ciepło. Zanurzyłam się w gęstniejącej mgłę.

* * *

Otaczała mnie biała lepka próżnia. Powietrze było gęste i pachniało wilgocią. Z trudem udawało mi się poruszać, ale parłam przed siebie, instynktownie czując, że tam, za kłębamii tej dziwnej mgły, ktoś na mnie czeka. Nie miałam wyboru, choć strach przed nieznanym wypełnił po brzegi moje myśli.

* * *

Droga wiodła stromo pod górę. Nie widziałam jej, czułam tylko pod stopami ostre kamienie. Po twarzy smagały mnie gałęzie mijanych drzew – były zimne i mokre, ich zgniły zapach wywoływał fale obrzydzenia. Oddychałam z coraz większym trudem, czułam, jak z wysiłku zalewa mnie pot. Dygotałam z zimna. Przystanęłam pochylona, żeby odetchnąć, i stwierdziłam, że mgła się przerzedza. Przed sobą widziałam kontury skał, pomiędzy którymi wiodła ścieżka i rosnące na jej brzegach drzewa i krzaki. Pojedyncze drzewa rosły też na skałach. Ich sylwetki górowały posępnie nad okolicą. Z oddali dochodził szum roztrzaskujących się na skalistym brzegu fal.

Ruszyłam. Naprzeciw przeznaczeniu.

* * *

Był tam. W bladym świetle księżycy stał na granicy lądu i morza ciemnego jak otaczająca nas noc. Żadna z nadpływających fal nie dotknęła jego stóp. Pieniły się tylko połyskliwie i cofały pokornie w otchłani, z której nadeszły. Nie wiem, skąd miałam pewność, że pod opończą skrywa ogromne skrzydła.

Kiedy podeszłam do niego bliżej, do moich nozdrzy dotarł gorzki, migdałowy zapach, pomieszany z zapachem wodorostów wyrzuconych przez morze. Był o krok ode mnie. Wstrzymałam oddech, z trudem hamując się przed wyciągnięciem ręki. Chciałam sprawdzić, chciałam się upewnić...

Powoli odwrócił się do mnie. Ubrany był w czarne spodnie, długie, sięgające za kolana skórzane buty i czarny, aksamitny kaftan zdobiony złotym haftem. Na ramiona miał zarzuconą obszerną opończę, spiętą pod szyją srebrną zapinką. Jego skóra była szara jak popiół i połyskliwa jak morskie fale w świetle księżycy. Długie, czarne włosy opadały miękkimi pasmami na ramiona.

Przyglądał mi się uważnie spod przymkniętych powiek. W ciemności nie było widać wyraźnie jego oczu. Czasami – a może mi się tylko wydawało – jarzyło się w nich tajemnicze światło.

– Jesteś. – Głos chrapliwy i niski rozległ się jakby z otchłani. – Jesteś – powtórzył.

– Jestem – szepnęłam zafascynowana i poczułam, że podświadomie przez całe życie dążyłam do tej chwili, czekałam na nią. Przepelniona radością wyciągnęłam rękę, ale ledwo zauważalny gest z jego

strony powstrzymał mnie w pół ruchu.

– To jeszcze nie twój czas – powiedział. – Jeszcze nie powinnaś tutaj być.

– Proszę – powiedziałam błagalnie – pozwól mi zostać.

– To nie twój czas – powtórzył i odwrócił wzrok. Znowu zapatrzył się w morze. Nie mogłam oderwać od niego oczu, czułam, że wszystko wokół skupione jest na jego otoczonej błękitną poświatą wysokiej postaci. Każdym porem skóry czułam magnetyzm tej niezwyklej chwili.

– Proszę – ponowiłam cicho prośbę i kucnęłam, zanurzając stopy w wodzie. Była lodowata. Nie zimna, ale lodowata.

Wszędzie trwała cisza, jakby zawieszona pomiędzy skalistą plażą, na której staliśmy, a czarnym, niskim niebem. W oddali horyzont rozświetlały różnokolorowe refleksy. Jak zorza polarna, pomyślałam i zmrużyłam oczy zafascynowana bogactwem kolorów i kształtów.

Bardziej poczułam, niż zauważyłam, że stanął za mną. Nie rzucał cienia. W powietrzu dał się wyczuć inny zapach. Już nie były to migdały i wodorosty, raczej jarmarczny zapach cukrowej waty. Obiecujący i słodki.

Poczułam powiew wiatru.

– Co tam jest? – zapytałam, nie odrywając oczu od feerii barw na horyzoncie.

Milczał.

Kiedy usłyszałam, że odchodzi, zerwałam się i pobiegłam za nim. Nie chciałam zostać sama na brzegu nieznanego morza. Nie chciałam też wracać tą samą kamienistą drogą pomiędzy skałami.

Szedł szybko, a mnie się wydawało, że płynie nad powierzchnią. Opończa powiewała za nim złowieszczo. Poczułam w sercu trwogę.

– Dokąd idziesz? Zaczekaj! – wołałam za nim, biegnąc z trudem. Słyszałam łomot w piersi, oddychałam coraz ciężiej. Droga znowu wiodła pod górę. Po chwili zaczęłam rzezić. Nie mogłam złapać tchu. Jak ryba rozpaczliwie poruszałam ustami, w nadziei na bodaj maleńki łyk powietrza. Biegnąc, nawet nie zauważyłam, że weszliśmy do rzadkiego iglastego lasu.

Kiedy upadłam w wilgotny mech, nie miałam już ani odrobiny siły. W piersiach czułam rozsadzający ból, policzki mi płonęły.

Zatrzymał się. Jednak się zatrzymał. Powoli podszedł do mnie.

– Mówiłem ci, że to jeszcze nie twój czas. – Usiadł tuż obok mnie na zwałonym pniu.

– Nie chcę wracać – szepnęłam.

– Musisz. Nie jesteś jeszcze gotowa.

– Gotowa na co? – wychrypiałam ze złością. – Na co?

– Żeby tu zostać. – Kiedy wstał, wydawał mi się jeszcze wyższy. Błękitna poświata wokół jego głowy przybierała na sile.

– Nie jestem gotowa, żeby tam wracać! – rzuciłam w ciemność, bo on już znów się oddalił.

– Pozwól mi tu odpocząć – poprosiłam nieoczekiwanie dla samej siebie. Skulona ze zmęczenia i zimna podpełzłam pod zwałony pień, na którym przed chwilą siedział. Było mi wszystko jedno. Niech idzie, skoro chce. Nie zatrzymam go siłą. Ja tutaj zostanę.

Oparłam głowę o chropowatą korę leżącego drzewa i zamknęłam oczy. Cisza była zatrwazająca, nawet spadające liście nie wydawały żadnego dźwięku.

Kiedy się obudziłam, pachniało dymem z ogniska. Pomarańczowe płomienie cicho trzaskały na jałowcowych gałęziach, które rzucał w ogień od niechcenia. Nie czułam już przejmującego zimna. Siedział nieopodal na kamieniu. Czekał. Przyglądałam się jego twarzy i dłoniom w świetle ogniska. Połyskliwa szara skóra odbijała blask płomieni. Był piękny.

Kim jesteś? – zapytałam w myślach.

Nagle spojrział mi prosto w oczy. Zadrżałam. I nie mogłam już uwolnić spojrzenia.

– Jestem Michaesz! – Wstał z kamienia i rozłożył ramiona.

Znikąd zerwał się wiatr, który przyniósł ulewny deszcz. Patrzyłam zahipnotyzowana na Michaesza stojącego w strumieniach wody z rozłożonymi ramionami i rozświetloną twarzą uniesioną ku niebu. Wiatr szarpał opończę i wciskał mu w oczy mokre włosy. Ciemność z deszczem wdzierała się bezlitośnie w moje myśli. Już nie wiedziałam, gdzie jestem. Oprócz poświaty bijącej od Michaesza nie widziałam nic.

– Daj mi rękę – usłyszałam przez wycie wiatru. Skórę miał gładką i chłodną. Mocno splótł palce z moimi i pociągnął ku sobie. Wciąż pachniał dymem z ogniska. – Obejmij mnie.

Posłusznie wsunęłam rękę pod opończę i wreszcie je poczułam. Ogromne, złożone na plecach skrzydła. Były miękkie, ciepłe i delikatne.

Kiedy je rozwinął, z cichym szumem wznieśliśmy się ponad las i poszybowaliśmy nad morze, znad którego przywędrowaliśmy. W dole przewalały się granatowe fale, gdzieniegdzie tylko połyskując białą, spienioną grzywą wody.

Nie wiem, jak długo żeglowaliśmy. Po drodze mijaliśmy spadające gwiazdy i meteoryty. Wokół cisza wszechświata wabiła kolorami i bogactwem kształtów. Przestrzeń, którą pokonywaliśmy bez wysiłku, zmieniała się z każdym ruchem skrzydeł. Kłębki pary i mgły wirowały wokół nas, zaczepiając srebrnymi nitkami. Czułam, jak moją duszę napełnia cisza, która trwała wokół. Zamknęłam oczy i pozwoliłam pochłonąć jej się bez reszty. Pod policzkiem czułam miękkość aksamitnego ubrania Michaesza i słyszałam cichnące bicie jego serca.

To była ostatnia rzecz, którą zapamiętałam.

* * *

Powoli do mojej świadomości wdzierał się dziwny dźwięk. Pik... pik... pik... Nie miałam siły otworzyć oczu, a pikanie stawało się coraz głośniejsze. Muszę sprawdzić, co to jest. Pik... pik... pik...

Czułam, że płonę. Chyba jest straszny upał, taki że nie można wytrzymać. Zdrzemnę się chwilę, postanowiłam. Przymknęłam oczy, wkurzające pikanie cichło i cichło, aż stało się niesłyszalne.

Kiedy się obudziłam, nadal pikało. Przez chwilę bezskutecznie usiłowałam podnieść powieki, ale moje ciało jakby do mnie nie należało, nie reagowało na sygnały wysyłane z mózgu. Mogłam oddychać, ale dlaczego nie byłam w stanie poruszyć żadną częścią ciała?

Gdzieś obok mnie ktoś cicho się krzątał. Słyszałam pobrzękiwanie metalowych narzędzi, podzwania nie szklanych naczyń. Ktoś się nade mną pochylił, poczułam chłód metalu na piersi i ten charakterystyczny zapach szpitala.

Coś uwierało mnie w gardle. Jakieś rurki oplatały dekolt. Więcej nic nie czułam. Spróbowałam otworzyć usta, żeby zawołać tego kogoś, kto się krzątał, ale bez efektu.

Przerażenie stanęło mi kulą w gardle. Poczułam, że się duszę. Wkurzające pikanie nagle przyspieszyło. Oblana falą gorąca zapadłam w ciemność.

* * *

– Mówiłem ci, że nie jesteś gotowa. – Michaesz chyba pochylił się nade mną, bo słońce przestało mnie razić.

Powoli otworzyłam oczy. Był tuż obok. Powietrze znów pachniało migdałami, ale zapach mieszał się tym razem z zapachem nieznanymi kwiatów. Wokół było ich pełno.

– To nie jest twój czas. – Odezwał się znowu, patrząc gdzieś przed siebie – Wstań. Odprowadzę cię.

– Chcę zostać. Pozwól mi, proszę! – Zmrużyłam oczy, żeby lepiej go zobaczyć, ale widziałam tylko kontury wysokiej postaci. Było chyba południe, bo powietrze aż drgało od upału. Mimo to otulony był szczelnie opończę.

– Nie możesz – odpowiedział smutno. – Twoje źródło jeszcze bije.

Odszedł pochylony jak starzec. Pobiegłam za nim.

Milcząc, szliśmy wzdłuż wartkiego strumienia. Woda wesoło szemrała wśród trawy i kwiatów.

Szłam z nadzieją, że z miejsca, do którego idziemy, nie będzie już powrotu. Chciało mi się pić, ale nie miałam odwagi tego powiedzieć. Skupiona starałam się iść po śladach Michaesa. Nie zauważyłam, kiedy się zatrzymał i nagle oparłam się o jego plecy. Poczułam pod opończę skrzydła. Przypomniałam sobie ich miękkość, ciepło i delikatność. Zapraǳnęłam znowu ich dotknąć.

Odsunął się bez słowa. Stałam bezradnie tuż obok bijącego źródła.

– Napij się – szepnął.

Pochyliłam się posłusznie, żeby nie zobaczył łez w moich oczach. Nie chciałam, żeby odszedł. Chciałam, żeby ze mną został.

Zaczerpnęłam dłonią czystej źródlanej wody. Zanurzyłam w niej usta i poczułam, jak gasi moje pragnienie.

– Każda kropla jest życiem – usłyszałam.

– Każda kropla jest śmiercią – odpowiedziałam.

Kiedy się podniosłam, jego już nie było. Uklękałam i zapłakałam. W chwili, gdy pierwsza łza dosięgła powierzchni źródła, zapadłam w ciemność.

* * *

Chyba świtało. Pierwsze promienie słońca padały mi na twarz i łaskotały nos. Z otwartego okna napływały rześkie powietrze i ptasi harmider. Czułam czyjaś obecność, ale nie wiedziałam, kto to jest, bo nadal nie mogłam otworzyć oczu. Po chwili usłyszałam, że wszedł ktoś jeszcze. Dobiegła mnie cicha rozmowa.

– Jak tam nasza pacjentka, doktorze? Odzyskała przytomność?

– Niestety, nie, panie profesorze. Nie ma z nią kontaktu. Reanimowaliśmy ją w nocy. Teraz jej stan jest stabilny, choć ciężki. Mamy nadzieję, że wyjdzie z tego. Nawet gdyby miało minąć dużo czasu. Tylko czy odzyska pełną sprawność, panie profesorze?

– Dopóki nie wybudzi się ze śpiączki, nic nie jest pewne.

Głosy się oddaliły.

Wciągnęłam mocniej powietrze, żeby nie zapłakać. Jednak jedna łza spłynęła za ucho. W nosie poczułam wilgoć. Nie mogłam się ruszyć. Moje ciało nie należało do mnie.

* * *

Straciłam poczucie czasu. To, co słyszałam wokół siebie, było tak nierzeczywiste, że aż niewiarygodne. Moje zmysły rejestrowały szpitalne zapachy i zmieniające się pory dnia. Czułam obecność obcych ludzi, dotyk nieznanymi, zimnymi rękami. Dochodziły do mnie strzępki rozmów. O mnie. Chyba o mnie...

– Co z pacjentką, doktorze?

– Bez zmian, panie profesorze. Od dwóch dni w śpiączce. Stan stabilny, nie zmienia się. Oddycha samodzielnie. Serce pracuje prawidłowo, choć tętno jest dość niskie. Mózg nie reaguje na bodźce z zewnątrz.

Odeszli.

Jak to mózg nie reaguje na bodźce z zewnątrz? Przecież ja wszystko słyszę!
Znów zapadłam w ciemność.

* * *

Zanim go ujrzałam, poczułam gorzki zapach migdałów. Stał tuż za mną. Spod jego stóp potoczyły się drobne kamyczki. Spadły gdzieś w przepaść przed nami.

– To nie tam zniczysz. – Położył mi dłoń na ramieniu.

– Skąd wiesz? – zapytałam wpatrzona w ciemność.

– Wiem. To wciąż nie jest twój czas.

Spojrzałam na jego nieruchomy profil. Czy to tylko złudzenie, czy słyszałam w jego głosie cień żalu?

– Ile? – Chłód własnego głosu przeraził mnie.

– Bądź cierpliwa. Księżyc wschodzi.

Zapatrzyłam się w srebrną tarczę ogromnego wschodzącego księżyca. Naprawdę był ogromny. Otoczyła nas błękitna poświata, usłyszałam odległy szum morza. Poczułam przenikliwe zimno, więc skuliłam ramiona, a dłonie wcisnęłam głęboko w kieszenie dzinsów.

Rozboliła mnie głowa, a coraz bardziej jaskrawe światło zalewające urwisko, na którym staliśmy, raziło. Zamknęłam oczy.

Jednym ruchem ramion ukrył mnie pod opończą. W intensywnym zapachu migdałów znalazłam ukojenie. Ból głowy zamierał.

– Bądź ze mną – poprosiłam.

– Będę. Zawsze jestem.

Ruszyliśmy ścieżką w dół. Mój cień malał z godziny na godzinę, a ogromny księżyc niezmordowanie oświetlał okolicę, nadając jej nierzeczywisty wymiar, jak ze snu.

Nie dziwiło mnie, że wędrujący obok Michaesz nie rzuca cienia.

– Ja śnię, prawda? – Pytając zadrzałam w otchłań jego oczu.

– Tak. Ale musisz się obudzić.

Zaczął padać deszcz. Schroniłam się w skalnym załomie. Patrzyłam, jak Michaesz odchodzi w strugach wody. Ani razu się nie obejrzał. Żeby nie krzyżeć, zakryłam usta dłonią. Zduszony szloch odbił się echem od kamiennej ściany. Poczułam pojedyncze krople spływające mi po twarzy, które spadając na kamienie obok moich stóp, dźwięczały.

* * *

Pik... pik... pik... Pikanie aparatury na sali pooperacyjnej wdarło się do mojej świadomości natarczym bólem w skroniach. Byłam tu, w rzeczywistym świecie, wbrew swojej woli. Czulałm niedosyt czasu spędzonego w równoległym świecie, czasu danego mi, choć nie był mój. Nie chciałam tu zostać. Tęskniłam za widokiem księżyca, który nie był tym samym księżycem oglądanym wielokrotnie na niebie w ziemskim życiu, tęskniłam za zimnym deszczem i czarnym jak otchłań oceanem. Chciałam wrócić. Chciałam jeszcze raz spotkać Michaesza i dotknąć jego skrzydeł – miękkich i delikatnych jak ptasi puch.

Przed sobą zobaczyłam tylko pustkę.

Ktoś dotknął mojej ręki. Poczułam czyjś strach przenikający przez szorstką skórę.

– Michasiu – usłyszałam szept. To chyba Aga – Michasiu... Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale profesor powiedział, żeby dużo do ciebie mówić. Bo może słyszysz. Ja wierzę, że tak jest – zamilkła.

Po chwili usłyszałam chlipanie.

– Bardzo za tobą tęsknię. I bardzo się martwię. No bo co będzie, jeśli nigdy się nie obudzisz? Wszy-

scy tutaj mówią, że nie wiadomo, czy się obudzisz, a jeśli tak, to kiedy. I wszyscy są zaskoczeni, że tak się stało. Niby wszystko w porządku, operacja przebiegła planowo, a nie mogą cię obudzić. I nikt mi nie chce nic powiedzieć. Tłumaczą, że ja nie z rodziny. A przecież ja jestem jak rodzina, nawet więcej. – Aga płakała. – Wczoraj powiedziałam Pawłowi. Nie wściekaj się na mnie. Musiałam. Wydzwaniał do pracy, bo nie mógł się z tobą skontaktować. W końcu przyjechał. Mało mnie nie udusił, gdy się dowiedział. Pierwszy raz widziałam go w takim stanie. Od razu przyjechał do szpitala, ale nie zastał profesora, a z nikim innym nie chciał rozmawiać. Wszyscy w pracy martwią się o ciebie. Wciąż pytają, czy coś nowego wiadomo, czy coś się zmieniło. Wiktor, jak się dowiedział, zamknął się w gabinecie na dwie godziny. Chyba płakał. To okropne, co ci się przydarzyło. Nie mogę tego pojąć. I wiesz, ta mała Elżunia okropnie za tobą płacze i dopytuje, co z tobą. Aż profesor zaczął się o nią martwić, że ten płacz, ten stres jej zaszkodzi. Teraz, jak od ciebie wyjdę, mam iść do niej i wszystko jej opowiedzieć. Codziennie ją odwiedzam i rozmawiamy o tobie. To taki miły, dobry dzieciak. Bardzo ją polubiłam.

– Proszę pani, niestety, koniec wizyty. Proszę się pożegnać. Zapraszamy jutro. Nie możemy na więcej pozwolić, bo nie wiemy, jaki to będzie miało wpływ na pacjentkę. Profesor Konieczny zgodził się tylko na dziesięć minut, a jeszcze dzisiaj wieczorem ma przyjść mąż. Może z czasem wizyty będą mogły być dłuższe.

– Tak, oczywiście, już wychodzę. Tylko się pożegnam. Michasiu, kochana moja. Jutro do ciebie przyjdę i posiedzę przy tobie dłużej, jak mi pozwolą. Trzymaj się i wracaj do nas, bo bardzo za tobą tęsknimy. – Poczułam, jak Aga pochyła się nade mną i całuje mnie lekko w policzek. – Pomodlimy się z Elżunią za ciebie.

Pomodlimy? Elżunia tak, ale Aga? Byłam zaskoczona, zwłaszcza że z tej strony nie znałam swojej przyjaciółki.

A więc ma przyjść Paweł. I dobrze, i niedobrze. Dobrze, bo byłam ciekawa, co mi powie, czy zmarł się, czy przychodzi tylko sprawdzić, kiedy zostanie wdowcem. Niedobrze, bo jednak wciąż coś do niego czułam i na pewno będzie mnie to kosztowało sporo emocji. Może o to chodzi profesorowi? Żeby emocje pobudziły mój umysł do działania? Jednak wciąż nie byłam gotowa na spotkanie z Pawłem. Niestety, w żaden sposób nie mogłam dać znać, że wszystko słyszę. Moje ciało nie należało do mnie.

Znowu zapadłam w letarg. Szpitalne odgłosy docierały do mnie przytłumione. Chciałam znów odejść stąd jak najszybciej. Czułam, że na tamym świecie czeka mnie prawdziwe szczęście.

Michaesz! – zawołałam w myślach. – Miałeś mnie nie opuszczać.

Odpowiedziała mi szpitalna cisza.

Nagle poczułam, że ktoś się nade mną pochyła.

Stałam w ogrodzie pełnym kwitnących migdałowców. W świetle księżyca przybrały magiczny odcień jasnego fioletu, wabiły intensywnym słodko-gorzkiem zapachem. Kiedy dotknęłam najbliższego kwiatu, po płatkach spłynęły perłowobiałe krople rosy i poczułam zimno przenikające od koniuszków palców aż po samo serce. Cofnęłam się.

Stał za mną, milcząc. We włosach czułam jego oddech. Ruszyłam w kierunku zachodzącego księżyca, nie oglądając się za siebie. Migdałowy ogród pozostał daleko w tyle, kiedy mnie dogonił. Z łatwością mógł mnie wyprzedzić, jednak szedł krok za mną i przez całą drogę utrzymywał ten dystans.

Szłam niestrudzenie i bez zastanowienia wybierałam coraz mniej widoczne ścieżki.

– Zaczekaj – odezwał się wreszcie.

– Na co?

– Aż księżyc zajdzie.

Obejrzałam się i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Dlaczego?

– Bo w świetle księżycyca wszystko jest złudzeniem.

Bez słowa ruszyłam w dalszą drogę. Słyszałam, jak lekko stąpa za moimi plecami.

– Czy istnieje wyjście z tego labiryntu iluzji?

– Najciemniej jest przed świtem – odpowiedział i zawrócił.

Stałam niezdecydowana na środku leśnej drogi. Drzewa rzucały długie cienie na miękkie poszycie z mchu. Postanowiłam iść dalej.

Czekał na mnie przy wejściu do jaskini. Zawahałam się, jednak po chwili ruszyłam niepewnie za nim. Schodziliśmy powoli po wyłobionych w skale stopniach, aż na samo dno, gdzie szmaragdową taflą lśniło jezioro. W czystej wodzie widać było kamieniste dno i wodorosty. I własne niczym niezmacone odbicie.

– Tylko w spokojnej wodzie widać wszystko bez zniekształceń – wyszeptalam.

– Tylko spokojny umysł właściwie postrzega świat – odpowiedział cicho.

W górze zaskowyczał nagły podmuch wichru. Z głębi nadleciało stado spłoszonych nietoperzy. Odruchowo zasłoniłam twarz. Zadrżałam, kiedy kilka z nich musnęło skrzydłami moje nagie ramiona.

Oślonił mnie swoim ciałem. Przywarłam do jego pleców. I znów poczułam miękkość skrzydeł.

– Zawsze przy tobie jestem – usłyszałam przez wycie wichru. – Zawsze.

– Jestem przy tobie. – Usłyszałam głos Pawła. Trzymał mnie za rękę. Nie czułam nic, żadnych emocji.

– Michaśka – zaszeptał. – Dlaczego nic nie powiedziałaś? Coś byśmy zadziałali, pomógłbym ci.

Zdziwiłam się. W czym mi chciał pomóc? Przecież sama dałam sobie radę. No, może z pomocą Agi, ale jednak dałam. I to dość szybko. Do czego Paweł był mi potrzebny? Odkąd się wyprowadził, nawet nie zadzwonił, by zapytać, jak sobie radzę, jak się czuję, a teraz nagle wyjeżdża mi tu z takimi tekstami. Zresztą, jak chciał mi pomóc, jak zadziałać? Czy tak samo jak przy sprzeniewierzeniu naszego majątku?

Paweł siedział przy moim łóżku, milcząc. Ciszę zakłócała tylko aparatura. Przywykłam już do jednostajnego szumu i rytmicznego pikania. Było teraz częścią mnie.

– Michasiu. – Paweł był spięty i onieśmielony. – Proszę, wybac mi. Wiesz co. Te pieniądze z naszego konta. Trochę się odegrałem i oddałem większość długu, więc na jakiś czas dali mi spokój. Ale jeszcze im wiszę trochę forsy. Ostatnio mi karta nie idzie, ale się pilnuję, żeby więcej nie przegrać. No bo przecież muszę jeszcze tobie oddać.

Rany boskie! On ciągle gra! Chciałam krzyknąć i sprowadzić go na ziemię.

– Kochanie, jak tylko się odegram, pójdę na leczenie. Przysięgam!

Każdy nałogowiec tak mówi. A mój mąż był nałogowym hazardzistą. Długo to przede mną ukrywał, a ja, głupia, nic nie zauważyłam. Gdyby nie wyczyścił naszego konta, do dziś żyłabym w błogiej nieświadomości. Pewnie wcześniej szła mu karta. Hojną ręką dawał mi pieniądze nie tylko na życie, twierdząc, że dostaje duże premie w pracy. Nie miałam powodów, żeby mu nie wierzyć. A tu taka historia! Jak mogłam być tak ślepa!

I jak on może po tym wszystkim mówić do mnie „kochanie”? Czyżby jeszcze na coś liczył? Nieee, to chyba niemożliwe, nie planowałyby sprzedaży mieszkania, gdyby chciał wrócić.

Paweł wciąż coś do mnie cicho mówił, ale nie interesowało mnie co. Swoją uwagę zwróciłam na coś innego, na coś, co spowodowało, że gwałtownie zabiło mi serce.

Poczułam mrowienie w stopach.

Aparat podłączony do mojego serca gwałtownie przyspieszył. Paweł zerwał się z krzesła i puścił moją rękę.

– Siostro! Siostro! – zaczął krzyczeć. – Siostro!

Usłyszałam, że ktoś szybko wszedł do pomieszczenia, gdzie leżałam. – Panie doktorze!

– Co się dzieje? Proszę się odsunąć! – Poczułam zimny metal na piersiach. To pewnie stetoskop. –

Proszę wyjść na korytarz. Musimy zbadać pacjentkę.

– Proszę poprosić profesora! – Usłyszałam wydane polecenie.

Po chwili usłyszałam profesora:

– Jakież zmiany, doktorze?

– Nie, chyba fałszywy alarm. Tętno wprawdzie gwałtownie wzrosło, ale już wraca do normy. Mąż pani zareagował trochę zbyt spontanicznie.

– Trudno mu się dziwić. Wszyscy czekamy na cud.

– To prawda, profesorze. Niestety, jak na razie nie ma zmian.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, doktorze. Chciałbym go z panem omówić, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Być może udałoby nam się wybudzić pacjentkę z tego stanu, w którym obecnie się znalazła. Wymagałoby to pewnego drobnego zabiegu. Ale muszę jeszcze sprawdzić jedną rzecz w literaturze, bo czytałem o tej metodzie bardzo dawno temu i nie miała ona zbyt wielu zwolenników. Przedstawiona była raczej jako ciekawostka medyczna, a nie metoda leczenia.

– Oczywiście, panie profesorze, z chęcią. Sam jestem ciekaw.

Głosy oddaliły się, pozostawiając mnie w stanie zarówno ciekawości, jak i podekscytowania związanego z mrowieniem w stopach. Może mi się tylko zdawało? Neee. Wyraźnie czułam mrowienie w podszwach. W lewej stopie mocniejsze. Czy jutro odzyskam kontrolę nad ciałem?

Paweł już się nie pojawił tego wieczoru. Słyszałam, jak w oddali cichły odgłosy szpitala, wyraźnie wyczuwałam coraz bardziej senną atmosferę nocy. Pograżyłam się w myślach. No nie było wesoło. Operacja miała być łatwa i przebiegać bez komplikacji, nikt mnie nie uprzedził, że mogę zapaść w śpiączkę. A zresztą, czy wiedząc o tym, zmieniałabym zdanie?

W każdym razie teraz moje ciało nie należało do mnie. Byłam warzywem. Mogłam tylko czekać i mieć nadzieję na cud, jak powiedział profesor. Póki co byłam rośliną. Tyle razy z Agą rozmawialiśmy o tym, co by było gdyby. Zarzekałam się, że nigdy nie chciałabym tak żyć, że wolałabym umrzeć, niż leżeć i być skazaną na innych. A teraz przekonałam się na własnej skórze, że od tej strony, po której teraz jestem, wygląda to zupełnie inaczej. Ja nie czułam swojego ciała, za wyjątkiem tego delikatnego mrowienia w stopach, ale zachowałam świadomość i bardzo chciałam żyć. Miałam nadzieję, że zdarzy się cud. Że jutro, pojutrze, a może nawet za chwilę odzyskam władzę nad moim ciałem. I będę mogła powrócić do swojego, bądź co bądź, dobrego życia. Czyż mrowienie w stopach, choć delikatne i ledwo wyczuwalne, nie jest tego najlepszym przykładem?

Pomyślałam o spotkaniu z Michaeszem. Ile było w tym mojej wyobraźni i głębokiej wiary w istnienie aniołów stróżów, a ile fantazji pobudzonej narkozą? Podobno podczas narkozy ludzie przeżywają najprzeróżniejsze fantastyczne zdarzenia. Zawsze zastanawiałam się, czy rzeczywiście spotkało ich to, co opisują. Miałam się zawsze za osobę twardo stąpającą po ziemi, niezwykle pragmatyczną, jednak w głębi duszy zostawiałam maleńki margines na „nieznane i niezbadane”. Nie ukrywam też, że fascynował mnie ten temat. Paweł śmiał się z mojej naiwności, o którą nigdy by mnie nie podejrzewał.

– Taka jesteś wykształcona i nowoczesna, a wierzysz w

gusła jak prosta, wiejska baba – mówił, a ja się oburzałam.

– A moja babcia?! – krzyczałam wtedy, doprowadzana jego wyśmiewaniem do łez. – Przecież pożegnała się ze mną w chwili swojej śmierci! Czułam jej dotknięcie!

– Coś ci się przyśniło i to wszystko – kwitował bezdusznie.

Paweł! Gdybym ci opowiedziała, co przeżyłam podczas narkozy, nigdy byś nie uwierzył, pomyślałam sobie.

Oczywiście, że by nie uwierzył. W tym temacie różniliśmy się poglądami diametralnie.

Ale czy teraz chciałabym podzielić się z nim swoimi przeżyciami? Nie byłam tego pewna. Z zaskocze-

niem stwierdziłam, że nie był mi już tak bliski. Wyraźnie czułam, że ja i on to już dwa różne światy. Przez trzy miesiące po naszym rozstaniu rozpaczalam i tęskniłam za nim. Nie mogłam zrozumieć okoliczności, w jakich się rozstaliśmy. Gdyby mnie ktoś zapytał, czy go kocham, to odpowiedziałabym, że tak, że oczywiście. Że jest miłością mojego życia, chociaż już nie możemy być razem. A tu proszę – mnie samą zaskoczyło, że moje uczucie do niego tak bardzo przygasło. Czyżbym przez tyle lat życia z człowiekiem pod jednym dachem ulegała iluzji? Nie do wiary!

Ale też nie do wiary było moje spotkanie z Michaeszem. Byłam pewna, że zdarzyło się naprawdę, mimo że doszło do niego w metafizycznej sferze mojego umysłu. Pamiętałam każdy szczegół, każde jego słowo i spojrzenie. Czułam się tam, po drugiej stronie, a właściwie na granicy życia i śmierci, szczęśliwa. Było mi dobrze i chciałam tam zostać. Na pewno nie chciałam wracać do ziemskiej rzeczywistości.

Co chciał mi przekazać? „To nie jest twój czas”, powiedział. Nie mój czas na co? Na śmierć?

„Musisz się obudzić”, powiedział. Może dlatego, że tak bardzo chciałam tam zostać, a Michaesz mi nie pozwolił, nie obudziłam się do końca? I dlatego jestem tylko myślą uwięzioną w bezwładnym ciele?

Czułam, że nie powiedział mi wszystkiego. A może powiedział, tylko ja nie zrozumiałam?

Zmęczona natłokiem myśli i rozterek, usnęłam, o ile można usnąć, będąc w śpiączce.

Obudziły mnie szepty tuż obok mojego łóżka.

– Aga, myślisz, że Michasia mnie słyszy? – To chyba Elżunia. Ucieszyłam się, słysząc jej głos.

– Nie mam pojęcia, Elżuniu. Lekarze mówią, że nie wiedzą, co tak naprawdę dzieje się w głowie osoby w śpiączce. Ja wierzę, że nas słyszy. Kiedyś oglądałam taki film o chłopaku, który wpadł pod pociąg i zapadł w śpiączkę. Czuwała przy nim jego narzeczona i cały czas do niego mówiła. Jak się obudził, to opowiadał, że czasem ją słyszał. Sama nie wiem, co myśleć.

– Bardzo bym chciała, żeby nas słyszała.

– Ja też – szepnęła Aga. – Mam jej tyle do powiedzenia. Bardzo za nią tęsknię.

Za chwilę wybuchnie płaczem, pomyślałam. Ale nie. Udało jej się opanować.

– Mów do niej, Elżuniu. Jak się obudzi, to nam powie, czy nas słyszała.

– Dobrze – zgodziła się Elżunia, ale wbrew deklaracji zamilkła.

– No mów! – Ponagliła ją Aga.

– Kiedy nie wiem co.

– Cokolwiek. Opowiedz jej o sobie.

– Już opowiadałam.

– To powiedz, że niedługo wychodzisz ze szpitala, że wracasz do domu i o tym, jak bardzo tego pragnęłaś.

– No tak, prawda – chrząknęła. – Michasiu, przyszłam tutaj, żeby się z tobą pożegnać, bo, jak powiedziała Aga, niedługo wychodzę ze szpitala. Nie wiem, czy do tego czasu odzyskasz przytomność.

Ja też tego nie wiedziałam. Cieszyłam się, że Elżunia wraca do domu. Czy to znaczy, że pokonała chorobę? Chciałam w to wierzyć. Żałowałam tylko, że nie mogę pożegnać się z nią bardziej świadomie. Polubiłam bardzo tę małą.

– Zostawiam ci mój talizman, Michasiu, żeby ci przyniósł szczęście. Aga go dla ciebie przechowa. Zobaczysz, wyzdrowiejesz. Będę się za ciebie modlić – chlipnęła. – Pomyśl o mnie czasami – szepnęła.

Jasne, że pomyślę, chciałam krzyknąć.

– Do widzenia, Michasiu.

Do widzenia, mała.

Usłyszałam jej lekkie, powolne kroki.

Aga została przy mnie.

– Polubiłam ją bardzo. Ale cieszę się, że wychodzi, chociaż teraz nie będę miała z kim o tobie pogadać. Ale to nic. Odwiedzimy ją, jak wyzdrowiejesz.

Pewnie, że tak!

– Mogłabyś się już obudzić, wiesz? Ile to można spać? A poza tym bardzo cię potrzebuję.

Jakiś podejrzanym głos Agi. Czyżby coś się stało?

– Andrzej mnie zostawił – powiedziała nagle. – Miesiąc temu. Powiedział, że jest zakochany i będzie walczył o nową miłość.

Niemożliwe! Andrzej i Aga! Najbardziej dobrana para, jaką znałam. No i mieli dzieci! Andrzej był zawsze taki odpowiedzialny, nigdy bym go nie podejrzewała, że dla jakiejś miłości porzuci rodzinę. Zdenerwowałam się i bardzo chciałam Agę pocieszyć.

– Nie mówiłam ci, bo akurat zachorowałam i nie chciałam cię denerwować, a na pewno byś się zdenerwowała. I wiesz co? Dzisiaj mogę powiedzieć: do diabła z nim! Poradzę sobie!

Usłyszałam drżenie w głosie. Rozumiałam ją. Musiała tylko przeżyć czas rozstania i buntu.

– Świnia z niego. Okazało się, że zakochał się w jakiejś gówniarze z pracy. Widziałam ją, nic specjalnego, ale on aż się ślini na jej widok. Kompletnie zgłupiał. I ona ma dziecko, małe, chyba z pięć lat ma. A on powiedział, że chce być dla niego ojcem! Rozumiesz? Swoje dzieci zostawia, bo chce być ojcem dla obcego bachora!

Słyszałam, że Aga płacze.

Świnia z tego Andrzeja. Widocznie Andrzej przeżywa klasyczny kryzys wieku średniego. Szkoda mi było Agi. Bo gdyby się kłócili, nie kochali od dawna, to może bym zrozumiała. Ale oni byli jak dwa gołąbki! Aguniu to, Aguniu tamto, Andrzejku, kochany mój! A tu masz babo placek! Kto by się spodziewał? I pewnie tym bardziej Adze jest ciężko. Bardzo chciałam jej pomóc.

– Dzieciaki są teraz na obozie, jeszcze nie wiedzą. Powiem im, gdy wrócą, chociaż nie wiem jak.

No tak, jak powiedzieć dzieciom, że tata już nie chce z nimi mieszkać? Czarek i Karolek, trzynastoletni bliźniacy, byli bardzo dojrzały jak na swój wiek. Ale to jeszcze dzieci. Jak przyjmą rozstanie rodziców?

– O, cześć Aga! – To Paweł. – Co ci się stało? Dlaczego płaczesz? Coś z Michasią?

– Cześć. Nie. Nic się nie stało. A Michasia chyba bez zmian.

– Właśnie widzę. – Wyczułam w głosie Pawła złośliwość i nie wiadomo, do czego to „właśnie widzę” miało się odnosić.

– To dobrze, że widzisz. – Aga nie pozostała dłużna. Nie lubili się zbytnio z Pawłem. – Pójdę już. Wpadnę po południu. Cześć.

– Cześć, cześć – odpowiedział i od razu przeszedł do rzeczy. – Michaśka, cholera, miałem nadzieję, że cię już wybudzili. Jesteś mi potrzebna. Mam kupca na mieszkanie. Nie mogę dłużej czekać. Obiecałem mu, że najpóźniej jutro będzie mógł obejrzeć mieszkanie.

Jak to? Bez mojej zgody i beze mnie? Nie zgadzam się! Stanowczo się nie zgadzam!

Bezsilność utkwiała mi gulą w gardle. Czułam, że wściekłość za chwilę mnie udusi. Gdybym mogła, to chyba przegryzłabym Pawłowi krtań. Co się z nim stało? To już nie jest ten sam człowiek, którego pokochałam i z którym spędziłam dekadę życia. Widocznie ma ogromne ciśnienie na tę sprzedaż, inaczej nie posunąłby się do takich zachowań. Jednak ostatnie wydarzenia pokazały, że w ogóle nie znam swojego męża. A na dodatek nie byłam w stanie zareagować, zaprotestować. Byłam całkowicie skazana na jego decyzje.

Przypomniała mi się sprawa Amerykanki Terri Schiavo, której mąż wywalczył przed sądem prawo do zagłodzenia jej. Zastanawiałam się wtedy, czy człowiek ma prawo decydować o końcu życia drugiego człowieka? I to jeszcze w tak okrutny sposób.

Z zamyślenia wyrwały mnie głosy kilku osób. Rozmawiali o mnie. Wciąż nie mogłam przyzwycząić

się do tego, że tuż obok mnie toczą się rozmowy o mnie, jakby mnie nie było. Czułam się, jakbym podsłuchiwała. Gdyby niektórzy wiedzieli, że ich słyszę, nie powiedzieliby pewnych rzeczy. To dawało mi przewagę, bo słyszałam to, czego nikt nie powiedziałby mi wprost.

Tymczasem profesor tłumaczył coś Pawłowi.

– Proszę pana, ten zabieg ma duże szanse przywrócić pańskiej żonie świadomość, czyli wybudzić ją ze śpiączki, a przecież o to panu chodzi. Nie rozumiem, dlaczego nie wyraża pan zgody. Zresztą, przed operacją pani Szawłowska podpisała wszelkie wymagane dokumenty, również na wypadek takiej właśnie sytuacji. Dlatego pańska zgoda nie jest potrzebna.

– Panie profesorze! – A co, jeśli ten zabieg niekorzystnie wpłynie na stan zdrowia mojej żony i zamiast spowodować wybudzenie jej ze śpiączki, pogorszy sytuację?

– No cóż, zawsze może się tak zdarzyć. Operacja usunięcia oponiaka u pańskiej żony jest tego najlepszym przykładem. Jednak jeśli nie spróbujemy, nigdy się nie dowiemy, jakie będą tego efekty. Moim obowiązkiem jest ratowanie życia i zdrowia pacjentów wszelkimi dozwolonymi metodami. Ta, którą chcę zastosować, jest ryzykowna, ale prawnie dozwolona. Jak już powiedziałem, pańska żona przed operacją podpisała wszelkie pełnomocnictwa. A ja zamierzam z tego skorzystać. Przedłużanie stanu śpiączki jest w tym wypadku bardzo niekorzystne dla zdrowia pani Michaliny. Więc jeśli mamy zacząć działać, to teraz jest najlepszy moment. W przeciwnym razie skutki urazu mogą być nieodwracalne. To naprawdę ostatni moment. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Prosił pan o wydanie rzeczy żony, proszę zgłosić się do siostry oddziałowej, która wypisze zlecenie do magazynu. Wydałem dyspozycję, aby nie czyniono panu trudności. Żegnam pana.

Wyczułam nerwową atmosferę między mężczyznami. Co Paweł kombinuje?

– Michaśka, idę po twoje rzeczy. Wybacz, ale potrzebuję kluczy do mieszkania, muszę jutro rano pokazać je potencjalnemu kupcowi. Postaram się przyjść później. Zobaczę, o której skończę pracę. Zresztą i tak pewnie mnie nie słyszysz.

Poszedł. Niech to jasny szlag! A więc o to chodzi! Czułam się ograbiana przez najbliższą mi do niedawna osobę, ograbiana w sposób bezczelny i obcesowy. Czy naprawdę nie może poczekać z tą sprzedażą, aż odzyskam świadomość? W co się znowu wplątał?

Zaczęłam się bać, że Paweł jakimiś sposobami doprowadzi do tego, że zostanę bez dachu nad głową. Tylko co ja mogę z tym zrobić?

Chciało mi się wyć. Kim właściwie jest Paweł?

W dniu, w którym poznałam Pawła, po raz pierwszy w życiu zasnęłam do pracy. Powodem była przetaczająca się nad Warszawą monstrialna wiosenna nawałnica. Grzmiało i błyskało na przemian, strugi ulewnego deszczu zalewały ulice, wichura łamała gałęzie drzew. Pomyślałam nawet, patrząc przez okno, że pewnie tak będzie wyglądał koniec świata. Woda przez nieszczelne stare okna wlewała się do mieszkania, przez kilka godzin biegałam ze ścierką. Dopiero około drugiej nad ranem burza zaczęła cichnąć i oddalać się od miasta, aż wreszcie mogłam pójść spać. Nic dziwnego więc, że nie usłyszałam budzika – trzy godziny odpoczynku po takiej nocy to stanowczo za mało. Z głębokiego snu wyrwał mnie jakiś niespodziewany hałas. Zerwałam się z łóżka z walącym sercem i – zupełnie nieprzytomna – nie wiedziałam ani gdzie jestem, ani która jest godzina. Kiedy wreszcie odzyskałam świadomość, poczułam, że czarne chmury zawisły tym razem nade mną. Za pół godziny zaczynałam lekcje, a liceum, w którym uczyłam polskiego, było po drugiej stronie miasta. Nie zdążę, pomyślałam przerażona, pędząc do łazienki. Spóźnię się, powtarzałam w myślach podczas mycia zębów, te same słowa kołatały mi w głowie podczas ubierania. Po schodach zbiegłam, przeskakując po dwa stopnie, aż dziwne, że nie spadłam. Deszcz jeszcze siał, na chodnikach wszędzie były kałuże. Popędziłam na postój taksówek, a woda bryzgała spod moich nóg na wszystkie strony. Z daleka zobaczyłam samotny samochód stojący na postoju i z radości przyśpie-

szylaam. Przynajmniej nie spóźnię się tak bardzo, pomyślaam. Z ulgą rozsiadłam się na tylnym siedzeniu. Miałam nadzieję, że ochłoneę w trakcie jazdy i spokojnie poukładaam myśli.

– Ale pogoda, prawda? – Kierowca, uruchamiając silnik, z uśmiechem zagadnął mnie przez ramię. – Chciałoby się w domu zostać i pospać.

Oho! Trafił mi się kierowca z gatunku tych gadatliwych. Że też chce im się tak głądzić z obcymi, burczałam w myślach, niechętna konwersacji. Jednak uśmiechnęłam się delikatnie do oczu patrzących na mnie z lusterka. Byle nie politykował, zatrwożyłam się nagle. Nie znosiłam mądrości domoroślých polityków, a mądrali w tym temacie było tylu, ilu mieszkańców Ziemi.

– Ja to przyzwyczajony jestem, bo zwykle w nocy jeżdżę, w dzień żona pracuje, a ja zajmuję się dziećciakami. Dzisiaj to ich w ogóle dobudzić nie było można. Musiałem zawieźć je do szkoły, boby się spóźniły – gadał jak najęty.

Oby i mnie się tak udało, pomyślaam.

Spojrzałam ukradkiem na kierowcę – nawet niestary, tylko jakiś taki... zmięty, zaniedbany. Pewnie dzisiaj w nocy też jeździł. Mimo to jechał sprawnie, zręcznie zmieniał pasy i omijał drobne zatory, a rozmowa zupełnie go nie rozpraszała.

– Dziwne, że nie ma dziś korków – mówił niestrudzenie, manewrując na rondzie. – Pewnie po takiej ulewie ludzie nie mogą odpalić tych swoich sprowadzanych z Niemiec bezwypadkowych samochodów, he, he, he – zarechotał. – Pół miasta podtopione, na Żoliborzu, na ulicach leżą połamane drzewa.

– Oj, to niedobrze. – Uznałam, że pora włączyć się w rozmowę. – Bo mnie zależy na czasie i to bardzo. Widzi pan – dodałam nieoczekiwanie dla samej siebie – za chwilę mam lekcję. – Spojrzałam błagalnie w lusterko, licząc na to, że mężczyzna przyśpieszy.

– Pani nauczycielka?

– Nauczycielka. Dziś ma być klasówka. Wie pan, koniec roku się zbliża – rozgadałam się nagle.

– Wiem, wiem – uśmiechnął się do mnie. – Moje dziećciaki też teraz dużo nad książkami ślęczą. Pani im dzisiaj odpuści – poprosił, zajeżdżając w okolice mojej szkoły. – Pewnie nikt dziś nie pospał w nocy przez tę burzę. Pani wyspana? – Odwrócił się do mnie.

– Nie. Zaspałam.

– No widzi pani! Dziećciaki pewnie też będą nieprzytomne. – Patrzył na mnie z sympatią. – Trzydzieści sześć złotych – podsumował.

Uśmiechnęłam się do niego. Szczerze. Miał w sobie coś takiego, co nie pozwalało być oschłym i niegrzecznym. Wyjęłam z kieszeni pieniądze i położyłam je na wyciągniętej ręce.

– Reszty nie trzeba – powiedziałam.

– E tam, nie trzeba. – Starannie odliczył pieniądze i oddał mi resztę. – Jak pani nauczycielka, to pani się nie przelewa – powiedział wesoło. – Pani im odpuści – powtórzył, wpatrując się we mnie intensywnie.

Roześmiałam się.

– Odpuszczę – kiwnęłam głową. – Odpuszczę. Ma pan rację. Pewnie będą nieprzytomni. Poza tym jestem spóźniona, więc czasu będzie mało. – Wysiadłam i stanęłam na chodniku. – Dziękuję panu. Do widzenia.

– Do widzenia. Dobrego dnia!

Taksówka odjechała, a ja stałam w tym samym miejscu z rozradowaną miną. Zapowiadał się dobry dzień.

W tej samej chwili spod kół przejeżdżającego samochodu trysnęła fontanna, oblewając mnie obficie od stóp do głów. Poczułam, jak woda spływa mi po włosach i po twarzy, jak zimnym strumieniem wlewa się za kołnierz płaszcza, skapuje za dekolt bluzki i ścieżką po brzuchu moczy mi majtki. Przetarłam oczy

i spojrzalam na siebie – wygladalam jak siedem nieszczesc, taka ociekajaca woda i brudna od zaciekow z blota. Stalam jak sparalizowana, nie wiedzac co zrobic.

Nagle zobaczyłam, że biegnie w moim kierunku jakiś facet. – Ja panią bardzo przepraszam! Bardzo! Nie chciałem! Ale dlaczego stała pani tak blisko? Przecież dzisiaj tyle kałuż, że nawet jadąc powoli, chlapie się dookoła! – Był bardzo zdenerwowany i zawstydzony. Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i zaczął mi wycierać na oślep twarz i płaszcz. Odskoczyłam od niego jak oparzona. Byłam wściekła. „Dobrego dnia”, powtórzyłam w myślach niedawne słowa taksówkarza.

– Niech mnie pan zostawi! – powiedziałam z pasją. – Niech mnie pan nie dotyka! – Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam do szkoły.

– Przepraszam – usłyszałam jeszcze za plecami. – Przepraszam panią!

Mam to gdzieś, myślałam wściekła, wycierając brudną ręką twarz z wody i z łez. Bo nagle łzy same cisnęły mi się do oczu.

– Pani Michalino! Co się stało? – Dyrektorka stanęła przede mną jak duch. Zawsze pojawiała znie-nacka. Nie znosiłam tego, choć ją samą lubiłam. Ale to skradanie zawsze przyprawiało mnie o dreszcz i przyspieszone bicie serca. Czulałam się czemuś winna, zupełnie bez powodu.

– Dzwonię do pani od pół godziny, ale nie odbiera pani telefonu – powiedziała z wyrzutem. – Niech pani zdejmie płaszcz i wysuszy włosy, bo jeszcze się pani przeziębii. Co się stało? I niech pani nie płacze.

– Jakiś facet ochlapał mnie przed szkołą – odpowiedziałam wreszcie dyrektorce. – Nie wiem, jak teraz mam pójść na lekcję. – Popatrzyłam na siebie bezradnie.

– No właśnie po to dzwoniłam do pani! Dzisiaj lekcje odwołane. Zalało szkołę. Kilka klas i piwnicę. Dach przecieka. Nie mamy prądu. Mogła pani zostać w domu. No ale nie udało mi się do pani dodzwonić.

Jednak usłyszałam w głosie cień wyrzutu. Zrobiło mi się głupio, w końcu dyrektorka chciała mi dać wolny dzień, a ja... Sięgnęłam do kieszeni płaszcza, gdzie zwykle noszę telefon, ale go tam nie było. Zaj-rzałam do torebki, ale tam też nie znalazłam.

– Przepraszam. Zasnęłam i widocznie w pośpiechu zostawiłam telefon w domu. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Cała ta sytuacja zaczynała mnie przytłaczać. Czulałam, że jest mi zimno, i byłam wściekła.

– Pani Michalino, nie ma za co przepraszać. Zdarza się. Ale teraz niechże pani wraca do domu i prze-bierze się w coś suchego. Na szczęście nie musi pani tutaj dzisiaj wracać. Proszę odpocząć. – Z oczu dyrektorki wyraźnie biła życzliwość. Tak, życzliwość. To już druga osoba dzisiaj obdarza mnie swoją życzliwością. Bo i ten taksówkarz był przecież życzliwy. Uśmiechnęłam się do swoich myśli i do dyrek-torki – życzliwość dzisiaj to rzadka cecha.

– Dziękuję, pani dyrektor, wolny dzień w tej sytuacji bardzo mi pomoże. Pojadę taksówką, to może się nie przeziębnię – usiłowałam żartować. – Do widzenia, pani dyrektor.

– Do widzenia, pani Michalino. Do jutra.

Nie włożyłam mokrego płaszcza, więc po wyjściu ze szkoły poczułam przeszywający mnie chłód. Bluzkę przecież też miałam mokrą. Znowu ogarnęła mnie złość na faceta, który mnie ochlapał, ale i na samą siebie. Rzeczywiście, stałam przy krawężniku jak słup soli. Mogłam pomyśleć, że przejeżdżający samochód mnie ochlapie. Ale nie pomyślałam i stało się. Nie wpadłam też na to, żeby zadzwonić ze szkoły po taksówkę. Nie musiałabym teraz iść mokra w tym zimnie na postój.

Nie dotarłam do postoju, gdyż za bramą szkoły zobaczyłam faceta, który mnie ochlapał. Dlaczego jesz-cze nie odjechał? Na co czekał? Zauważywszy mnie, ruszył w moim kierunku. Stanął przede mną i zmierzył mnie od góry do dołu. Zaczerwieniłam się, co jeszcze bardziej mnie rozzłościło.

– Nie mogłem pani tak zostawić – powiedział z troską. – Naprawdę bardzo mi przykro, że panią

ochlapałem. Miałem zamiar iść za panią. Pani tutaj pracuje?

– Tak – odpowiedziałam sucho.

– Czekałem na panią, bo muszę zadośćuczynić pani straty finansowe. Z pewnością ubrania nie doczyszczą się tak łatwo. Przynajmniej zapłacę za pralnię. – Przyglądał mi się intensywnie.

Miał złotobrzowe oczy, nie piwne, nie brązowe, ale złotobrzowe. Jakby stale migotała w nich jakaś iskierka. Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej. Był przystojny i młody, a ja stałam przed nim brudna i przemoczona jak zmokła kura. Na dodatek było mi zimno, trzęsłam się i poczerwieniał mi nos.

– Odwiozę panią do domu – powiedział przystojniak i wskazał stojący nieopodal samochód.

– Nie trzeba, dziękuję. – Odparłam mężnie pokusę schowania się w ciepłym wnętrzu. – Wezmę tak-sówkę.

– W żadnym razie. Z mojej winy znalazła się pani w takiej sytuacji, więc ja panią odwiozę. Proszę się nie obawiać, nie zrobię pani krzywdy – dodał z przekąsem. – Zapraszam. – Zdecydowanie wziął mnie pod rękę i poprowadził do samochodu. – Niechże pani nie będzie taka uparta. Proszę wsiąść, bo jest zimno. Dopadnie panią przeziębienie i jeszcze będę miał pani chorobę na sumieniu. – Otworzył drzwi i niemal siłą wepchnął mnie do środka.

Było mi głupio. Facet wyglądał na biznesmena, na pewno był bardzo zajęтым człowiekiem, ale poczuł się odpowiedzialny za skutki ochlapania. Takie zachowania to jednak rzadkość.

– Nazywam się Paweł Szawłowski. – Dokąd panią zawieźć?

– Michalina Piotrowska – niemal wyszeptałam. – Mieszkam na Grochowie. – Podałam ulicę.

Jechaliśmy w milczeniu. Kątem oka spojrzałam na niego. Naprawdę był przystojny. Nos miał prosty, proporcjonalny, usta pełne, kształtne. Na czoło opadały mu kosmyki ciemnobrązowych włosów. Na starannie ogolonym policzku delikatnym cieniem odcinało się miejsce po zarostcie.

Przystojny, stwierdziłam po raz kolejny i mimo woli poczerwieniałam. Zawstydzona odwróciłam twarz do okna. Właśnie przejeżdżaliśmy przez most, gapiłam się więc na Wisłę, na jej ciemny, spieniony po nocnej ulewie nurt.

– Na skrzyżowaniu proszę skręcić w lewo – powiedziałam, gdy zbliżaliśmy się do mojego osiedla. – Wsiądę przy sklepie.

Przystojniak posłusznie podjechał we wskazane miejsce i zatrzymał samochód. Szarmancko otworzył mi drzwi. Wsiadłam i podałam mu rękę na pożegnanie. Uścisk miał zdecydowany, dłoń delikatną, ale nie kobieco miękką. Sięgnął do kieszeni i wyjął elegancki wizytownik.

– Pani Michalino, to moja wizytówka. Proszę zadzwonić, bym mógł zapłacić pani za pralnię lub nowe ubrania. Proszę nic nie mówić – ubiegł mój protest. – Proszę zadzwonić. Bez ceremonii. – Uśmiechnął się.

Ściskając w dłoni kartonik z jego imieniem i nazwiskiem, gapiłam się na niego bezmyślnie. Nie potrafiłam nic powiedzieć. Jak pensjonarka, pomyślałam.

– Dobrze, niech będzie. – Uśmiechnęłam się wreszcie. – Dziękuję. I do widzenia.

– Do widzenia! – Przechylił głowę na prawe ramię i przyglądał mi się złotobrzowymi oczami.

Schowałam szybko wizytówkę do torebki, skinęłam mu jeszcze raz głową i odeszłam. Czułam jego wzrok na swoich plecach. Przyśpieszyłam kroku. Kiedy w drzwiach klatki schodowej obejrzałam się, jego już nie było.

Od tamtego dnia nieustannie o nim myślałam. Bez przerwy czytałam jego wizytówkę, jakbym nie znała jej już na pamięć: Paweł Szawłowski, dyrektor departamentu w jednym z dużych zagranicznych banków. Nie miałam odwagi do niego zadzwonić, choć od naszego spotkania minęły już trzy tygodnie. Uznałam, że poradzę sobie sama. No i nie chciałam, aby pomyślał, że może narzucam mu się w jakikolwiek sposób. Płaszcz rzeczywiście nie dało się wyczyścić, zostały na nim brzydkie, tłuste zacieki. Na szczęście ocie-

pliło się, więc wyjęłam z szafy lekką kurtkę, odkładając zakup nowego okrycia na jesień. Kiedy więc któregoś ranka zobaczyłam go czekającego przed klatką schodową, nie potrafiłam ukryć zaskoczenia, ale i radości.

– Dzień dobry! – Uśmiechał się do mnie szeroko. – Chyba bym się nie doczekał pani telefonu, prawda? – Wpatrzony we mnie mrużył oczy przed słońcem.

Były jeszcze bardziej złotobrzowo migotliwe, niż zapamiętałam. Czułam, że zaczyna mi brakować tchu.

– Słowa też od pani nie usłyszę? – zażartował. – Postanowiłem dzisiaj odwiedzić panią do pracy. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko.

– Nie, nie mam – odezwałam się wreszcie. – Dzień dobry! – dodałam. – I... dziękuję panu.

– Paweł – odpowiedział. – Proszę mi mówić po imieniu. Tak będzie prościej.

– Michalina – szepnęłam i o mało nie zapiszczałam z radości jak jakaś nastolatka, a nie poważna nauczycielka warszawskiego liceum.

I tak to się zaczęło.

* * *

Powróciły wspomnienia. Jakim wspaniałym facetem był kiedyś Paweł. Nie wiem, kiedy sobie spowszednieliśmy, kiedy staliśmy się tylko dobrymi znajomymi mieszkającymi pod jednym dachem i śpiącymi w jednym łóżku. Pochłonęła nas praca i nawet nie zauważyliśmy, jak bardzo oddaliśmy się od siebie. Każde z nas skoncentrowało się na swojej karierze. Ja porzuciłam belferkę i realizowałam się w zupełnie nowej dla mnie dziedzinie – marketingu internetowym. Szybko mnie doceniono i stałam się wziętym specjalistą. Mimo wielu propozycji zmiany pracodawcy od lat byłam wierna firmie Wiktora. Byłam zadowolona i nie potrzebowałam niczego innego. Paweł też w końcu porzucił bank i rozpoczął własną działalność jako pośrednik finansowy. I to chyba wtedy nastąpił początek rozkładu naszego wspólnego życia. Zapomnieliśmy o tym, co naprawdę było wartościowe w życiu i co sobie obiecywaliśmy. Staliśmy się tacy sami jak tysiące tak zwanych lemingów – chcieliśmy coraz więcej i więcej. Po prostu stanęliśmy do wyścigu szczurów.

Jednak pierwsze lata wspólnego życia z Pawłem były najcudowniejszym okresem w moim życiu i bez względu na to, jak się wszystko skończyło, nie zmienię zdania na ten temat.

– Naprawdę cię nie rozumiem – perorowała Aga, kiedy jej to powiedziałam. – Jak możesz tak o nim mówić? Przecież cię oszukał i okradł!

– Ale nie oszukiwał i nie okradał mnie od początku – broniłam swojego zdania. Byłam wdzięczna Adze za wsparcie, jakie mi dawała, ale w tym akurat się nie zgadzałyśmy. – Dużo dzięki niemu osiągnęłam. Dlaczego mam tego uczciwie nie przyznać? Mam go znienawidzić za wszystko? Przecież wiele lat było cudownych! CUDOWNYCH!

– To co? Jestem na niego wściekła za to, jak cię potraktował.

– Ja też jestem wściekła. I tym bardziej żałuję, że tak się stało. Tak cudownie mogło być zawsze. Przez to jest mi trudniej, bo nie mogę się pogodzić. I jednocześnie łatwiej, bo mam co wspominać. Zresztą, moja babcia zawsze mówiła, że jak małżeństwo się rozpada, to wina zawsze leży po dwóch stronach. I ja się z nią zgadzam. Może za mało pielęgnowałam tę miłość?

– Gadasz jak święta Michaśka. – Aga była poirytowana. – Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach.

Może i tak. Ale ja nie zmieniałam zdania. Teraz Aga przeżywa rozpad swojego małżeństwa i na pewno zrobi to po swojemu, czyli obarczy winą o wszystko, dosłownie o wszystko, Andrzeja. Nie będzie

chciała pamiętać o tym, co było dobrego w ich wspólnym życiu. Czuje się skrzywdzona i nie weźmie za nic odpowiedzialności. Gdybym tylko mogła pomóc jej przejść przez to wszystko.

Ze zdumieniem spostrzegłam, że już jestem zmęczona kilkudniową śpiączką i niemocą kierowania swoim życiem nawet w najprostszych sprawach. Ile czasu jeszcze będzie trwał ten stan? Czy kiedykolwiek odzyskam władzę nad ciałem?

Na wspomnieniach i rozmyślaniach minął mi cały dzień. Nie licząc kontrolnych wizyt lekarza i pielęgniarek, nikt do mnie nie przyszedł. Dopiero późnym wieczorem pojawiła się Aga.

– Posiedzę u ciebie, Michaś. Profesor się zgodził. Nie chcę wracać do pustego domu, bo ciągle płaczę. Cholera, miałaś rację. Jestem wściekła na Andrzeja, ale wspominam dobre chwile. Przez nie płaczę dużo więcej, bo mi żal. Ale całe szczęście, że mam co wspominać. Chociaż może gdyby był sukinsynem przez cały czas, to byłoby mi teraz lżej? Czułabym ulgę.

Chyba płakała, bo podejrzenie pociągała nosem. Tak bardzo chciałam ją pocieszyć.

Przesiedziała koło mnie, milcząc, kilka godzin, aż wreszcie ucałowała mnie na pożegnanie i poszła.

Wczesnym rankiem obudziła mnie krzątająca kilku osób. Zabierali mnie na salę operacyjną, na zabieg, o którym wczoraj profesor mówił Pawłowi. Nie bałam się. Było mi wszystko jedno, co się stanie. Bo chciałam albo się obudzić, albo zostać po drugiej stronie i już nigdy nie wracać. W żadnym razie nie chcę trwać w stanie, w jakim się znajduję.

Rozpoczęłam w myślach, jak mantrę, swoją ulubioną modlitwę. Aniele mój. Nie opuszczaj mnie. Bądź ze mną. Michaeszu.

Bądź.

Powoli zapadałam w ciemność.

* * *

Stał tuż obok mnie. Równe bicie serca odmierzało kolejne ułamki czasu, które napływały falami jak zapach otaczających nas migdałowych drzew. Słońce migotało między gałęziami, kładąc się złotymi plamami na naszych twarzach. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć.

– Odprowadzę cię. – Michaesz nieoczekiwanie się uśmiechnął. Wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana. – Chodź! – Wziął mnie za rękę, ale nawet nie drgnęłam.

– Nie jestem gotowa.

– Jesteś. – Uśmiechnięty patrzył mi w oczy. – Chodź.

Ruszyliśmy powoli przez migdałowy gaj, a kwitnące drzewa, pochylając przed nami gałęzie, delikatnie muskały nas kwiatami. Usłyszałam bzyczenie owadów i cichy trzepot maleńkich skrzydełek. Obejrzałam się, ale za mną nic nie było.

– Chodź – powtórzył po raz trzeci Michaesz.

Poprowadził mnie aż na skraj gaju. Przed nami rozciągała się kwiecista dolina, przez jej środek wiodła polna dróżka, która gdzieś w dali przemieniała się w szeroką drogę aż po horyzont. Stanęliśmy obok siebie, ramię w ramię. Spojrzałam na Michaesza z pytaniem w oczach. Co tam jest?

Uśmiechnął się.

Wtedy wokół jego głowy zobaczyłam krążące motyle. To pewnie trzepot ich skrzydeł usłyszałam, pomyślałam. Były bajecznie kolorowe, a nieustanny ruch tworzył iluzję wirującej tęczy. Nie mogłam odebrać oczu od tego fascynującego zjawiska. Michaesz zerwał kwiat migdałowca i wpiął w moje włosy. Motyle natychmiast rozpoczęły taniec wokół mojej głowy.

– Dalej pójdziesz już sama. – Patrzył mi w oczy, trochę ze smutkiem, trochę z igrającym uśmiechem. – Kiedy dojdiesz po sam kres, będę na ciebie czekał.

– Obiecujesz?

W odpowiedzi tylko musnął dłonią mój policzek.

* * *

Budziłam się powoli. Do mojej świadomości wdzierало się natrętne bzyczenie muchy. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Oszołomiona nie mogłam otworzyć oczu. Chyba było już późne popołudnie, bo światło wdzierające się przez leciutko uchylone powieki miało łagodny, złoty kolor zachodu. Było mi gorąco, pociłam się obficie. Bzyczenie muchy coraz bardziej mnie denerwowało. Postanowiłam rozprawić się z natrętym owadem, gdy tylko wstanę. Na razie tkwiłam jeszcze w półśnie i bardzo powoli odzyskiwałam świadomość. A wokół panowała cisza.

Czułam, że od leżenia boli mnie całe ciało, mięśnie nóg i rąk miałam zdrętwiałe. Powoli poruszyłam stopami i z trudem ugięłam jedną nogę w kolanie.

Mucha znowu rozpoczęła swój szaleńczy lot, pewnie ruchem wypłoszyłam ją z kryjówki. Obijała się o meble w pokoju i moją twarz. W końcu usiadła mi na policzku. Poczułam, jak wędruje w kierunku oka, wywołując nieznośne swędzenie. Uciekła, zanim odpędziłam ją niecierpliwym ruchem ręki. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i spadających na podłogę przedmiotów. Poczułam ból dłoni, którą uderzyłam o coś kanciastego, i otworzyłam oczy, po czym natychmiast je zamknęłam oślepiona światłem. Usłyszałam, że ktoś biegnie w moim kierunku. Usiłowałam usiąść, ale czyjeś ręce przygwoździły mnie do łóżka.

– Spokojnie, proszę się nie ruszać! – Usłyszałam.

Jak to nie ruszać? Powoli zaczęłam uchylać powieki. Robiłam to powoli, bo jakieś ostre światło mocno mnie raziło. Oczy mi łzawiły.

– Spokojnie! – Usłyszałam znowu ten sam głos. – Już jest wszystko w porządku.

W porządku? Niby dlaczego miało nie być w porządku?

Wreszcie otworzyłam oczy. Nade mną pochylała się jakaś obca kobieta w białym czepku i zielonym fartuchu. Pielęgniarka?

– Gdzie ja jestem? – wycharczałam z trudem. Spróbowałam rozejrzeć się wokół, ale szyję miałam unieruchomioną czymś sztywnym.

– Niech się pani nie rusza, jest pani po operacji.

Czułam, jak moje oczy ogromnieją, wpatrzona w zieloną zjawę. Nic nie rozumiałam. Zielona chyba pojęła.

– Zawołam lekarza – powiedziała. I poszła, szeleszcząc fartuchem.

Zamarłam w oczekiwaniu, tylko cisza gwizdała mi w uszach.

Raczej poczułam, niż usłyszałam, że ktoś stanął tuż obok. Spojrzałam prosto w niebieskie oczy mężczyzny w białym kitlu. Były zatroskane, pomimo uśmiechu, z jakim na mnie patrzył.

– Witam, pani Michalino – powiedział tylko. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Wydawał mi się znajomy, ale gdzie ja go mogłam spotkać? Nie potrafiłam sobie przypomnieć.

– Panie doktorze, ja nic nie pamiętam – wyszeptałam przerażona.

– A pamięta pani, jak się pani nazywa? – zapytał.

– Michalina Szawłowska – szepnęłam. To akurat wiedziałam.

Niebieskie oczy doktora rozjaśniły się radością.

– Witam ponownie, pani Michalino. Jeśli pamięta pani, jak się pani nazywa, to utrata pamięci jest chwilowa. Jest pani po operacji usunięcia guza mózgu, kilka dni była pani w śpiączce, ale na szczęście wróciła pani do nas. Profesor Konieczny będzie szczęśliwy. Już straciliśmy nadzieję, że uda nam się panią obudzić.

Musiłam mieć w oczach niebotyczne zdumienie, bo poklepał mnie po rękę i powiedział:

– Wszystko będzie dobrze. Proszę teraz odpocząć i spróbować zasnąć. Tak, zasnąć – niebieskie oczy śmiały się otwarcie. – Śpiączka i sen to nie to samo. Sen pozwoli pani na odzyskanie sił. A pani umysł potrzebuje troszkę czasu na przystosowanie się do nowej sytuacji. Na pewno powrócą w pamięci minione zdarzenia. Naprawdę bardzo się cieszymy, że mamy panią tutaj z powrotem.

Mówiąc to, spoglądał na aparaturę, do której byłam podłączona.

– Za chwilę poczuje się pani lepiej.

Poczułam ukłucie i zaczęła na mnie spływać spokój. Zasnęłam.

* * *

Spałam mocno i nic nie śniłam. Obudziła mnie świadomość tego, co się wydarzyło. Rzeczywiście, lekarz miał rację. Utrata pamięci była chwilowa. Pamiętałam wszystko sprzed operacji i to, co działo się, gdy byłam w śpiączce. Muszę o tym powiedzieć lekarzowi.

Rozmyślałam nad tym wszystkim, aż przyszła pielęgniarka na mierzenie temperatury.

– Jak dzisiaj samopoczucie, pani Michalino? – To była ta, która kręciła się przy mnie, gdy odzyskałam przytomność.

– Bywało lepiej. – Uśmiechnęłam się. – Bolał mnie plecy. Pewnie od leżenia.

– Po śniadaniu zajmiemy się pani toaletą i przyjdzie do pani rehabilitant. Wszystkiemu zaradzimy – mówiła życzliwie. – A potem porozmawia z panią profesor Konieczny. Jest bardzo uradowany, że pani się wybudziła. Bardzo! To jego zasługa. My wszyscy straciliśmy nadzieję.

– Wiem, wiem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Wiem, bo wszystko słyszałam.

– Jak to wszystko pani słyszała? – Oczy pielęgniarki robiły się coraz większe.

– Po prostu słyszałam. Tylko nie mogłam w żaden sposób dać wam znać.

– Niemożliwe!

– Proszę mi wierzyć, to nie była komfortowa sytuacja.

– Muszę to natychmiast powiedzieć profesorowi! – Tak szybko wybiegła, że nie zamknęła za sobą drzwi.

Zmęczona tą krótką rozmową, zamknęłam oczy i nasłuchiwałam szpitalnych odgłosów. Byłam głodna i chciało mi się pić. Wargi i język miałam suche jak wiór. Pod powiekami czułam piasek, bolało mnie całe ciało. Chciałam jak najszybciej wstać z łóżka. I jak najszybciej wrócić do domu.

Właśnie, dom. Przypomniałam sobie, że Paweł miał pokazać mieszkanie potencjalnemu kupcowi. Sama myśl o tym wywołała złość. Nie! Nie wolno mi się denerwować! On nie robi nic bez mojej zgody! Przecież ja też muszę podpisać dokumenty! W głębi duszy jednak odczuwałam niepokój. Już nie ufałam Pawłowi.

Ciężki był ten pierwszy dzień po wybudzeniu ze śpiączki. Kilka dni, podczas których nie było ze mną kontaktu, okazało się pełnym tygodniem. Wystarczyło siedem dni w bezruchu, żebym stała się bezsilna i nieporadna jak dziecko. Wprawdzie specjalistyczne badania nie wykazały uszkodzeń mózgu, byłam całkowicie sprawna, ale zupełnie bez siły. Kręciło mi się w głowie, kiedy tylko siadałam lub wstawałam z łóżka pod opieką rehabilitanta, zwiotczałe mięśnie nie pozwalały chodzić ani nic koło siebie zrobić.

– Powolotku, proszę się nie niecierpliwić – uspokajał mnie pan Mirek, rehabilitant, który przychodził do mnie dwa razy dziennie. Pomagał mi w odzyskaniu sprawności, masował bolące plecy. – Zobacz pani, że co dzień będzie lepiej. Trzeba tylko ćwiczyć, ćwiczyć!

Miał rację. Rzeczywiście z każdym dniem odzyskiwałam siły i sprawność.

Po kolejnym tygodniu przewieziono mnie z OIOM-u na zwykłą salę. Miejsce Elżuni zajęła jakaś rozpieszczona matrona w średnim wieku, wiecznie jęcząca i narzekająca. Nie polubiłyśmy się. To głupie, ale była zazdrosna o uwagę, jaką mi poświęcano. Uważała, że to wszystko jej się należy, bo tylko ona naprawdę była chora i cierpiała, a wszyscy pozostali udawali. Podziwiałam profesora, który nie tracił cierpliwości podczas rozmów z nią.

Profesor był u nas częstym gościem. Był bardzo zainteresowany moim przypadkiem i tym, że słyszałam otoczenie w czasie śpiączki. Zlecił więc całą masę dodatkowych badań, bez przerwy przeprowadzał ze mną wywiady, wypytywał dosłownie o wszystko.

– Widzisz, dziecinko, to takie nieprawdopodobne – mówił, poklepując mnie po ręku. – Tak nieprawdopodobne, że aż trudno uwierzyć. Gdybyś nie powtórzyła rozmów, które przy tobie się toczyły bez świadków, nigdy bym ci nie uwierzył. Nigdy! – powtórzył z mocą, przypatrując mi się bacznie. Podejrzewałam, że do końca i tak mi nie uwierzył. A kiedy opowiedziałam mu o Michaeszu, nie powiedział nic. Przesłał do mnie za to księdza Jana.

Jan przyszedł wieczorem, szczęśliwie w czasie, gdy moja współlokatorka korzystała z łazienki. Mogliśmy więc przez chwilę spokojnie porozmawiać.

– Witaj, Michalino. – Uśmiechał się od wejścia.

– Witaj, Janie. – Nawet nie przypuszczałam, że jego widok sprawi mi taką radość.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że znów widzę cię wśród nas. Modliłem się za ciebie. Każdego dnia.

– Dziękuję ci. Potrzebowałam tego.

Przysiadł na stołeczku obok łóżka i wyraźnie nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Postanowiłam mu pomóc.

– Dobrze, że przyszedłeś, bo chciałam ci o czymś opowiedzieć.

– Chyba wiem o czym. Nie ukrywam, że profesor wspomniał, że to coś z mojej dziedziny. Bardzo jestem ciekaw. Słucham cię więc, Michalino.

Słuchał bardzo uważnie. Ani razu podczas mojej opowieści nie pokazał, że mi nie wierzy, albo co gorsza, że śmieszy go ta historia. Zachował należytą powagę. I tak nie potrafiłam słowami opisać klimatu moich spotkań z Michaeszem. Nie wiem, czy uwierzyłabym sama sobie, gdybym wysłuchała swojej dziwnej opowieści. A Jan słuchał z zainteresowaniem. Kiedy skończyłam, milczał przez chwilę zamyślony.

– Być może na granicy życia i śmierci dane ci było przeżyć coś, czego nie wszyscy mogą doświadczyć. Dotąd nie spotkałem w swoim życiu nikogo takiego. Ty jesteś pierwsza. Może twoja głęboka wiara w anioła stróża spowodowała, że zechciał ci się objawić i poprowadzić przez zawile ścieżki wiodące po drugiej stronie. Nie chciał, abyś zgubiła drogę. – A po chwili milczenia dodał: – To piękne, co cię spotkało.

– Bardzo piękne, Janie. Obudziłam się z wiarą na przyszłość, że czeka mnie nowe życie, że choć nie będzie łatwo, podołam. I już wiem, że kiedy przyjdzie mój czas, on będzie na mnie czekał.

– Co za głupstwa!

Nawet nie zauważyliśmy, kiedy moja współlokatorka wróciła do pokoju i bez skrępowania podsłuchiwała naszą rozmowę. Zrobiło mi się przykro, ale nic nie powiedziałam.

– Straszne głupstwa opowiadacie! – Rozsiadła się na łóżku. – Dwudziesty pierwszy wiek, a tu takie bajki! – Teatralnie przewróciła oczami.

Jan wstał i ruszył ku wyjściu.

– Na twoim miejscu, córko, nigdy bym nie wątpił. Zostańcie z Bogiem.

– Też coś! – fuknęła lalunia, patrząc na mnie wymownie. Chyba oczekiwała, że jej odpowiem, ale ja zgasiłam światło i odwróciłam się do niej plecami.

* * *

Kiedy Aga przyszła do mnie w dniu, w którym się obudziłam, ze zdenerwowania dostała jakiegoś ataku, aż pielęgniarki musiały poprosić lekarza o pomoc. Trzęsa się i płakała, nie można było zrozumieć, co mówi. Za żadne skarby nie chciała odejść od mojego łóżka i kurczowo trzymała mnie za rękę.

– Michaś, jesteś! – powtarzała w kółko.

Trochę mnie to rozśmieszyło, ale też byłam bardzo wzruszona. Żałowałam, że nie mogę usiąść na łóżku i jej przytulić ani pocieszyć. Pamiętałam, z czego mi się zwierzyła. Nie chciałam jej teraz krępować pytaniami, ale bardzo mi zależało, żeby wiedziała, że z nią jestem.

– Aga, a co u ciebie? – udało mi się zapytać, kiedy na chwilę uspokojona zamilkła.

– Co u mnie? A, nic ciekawego, jak zwykle. Chłopcy wyjechali na obóz. – Nie patrzyła mi w oczy. Była zdenerwowana.

– Aga, a Andrzej?

– Co Andrzej?

– Pytam, jak wasze sprawy.

– Dlaczego pytasz? Normalnie. – Aga nie potrafiła kłamać.

– Przecież wiesz.

Milczała.

– Radzisz sobie?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Podeszła do okna.

– Nie będę drażnić tematu, skoro nie chcesz mówić. Uszanuję to. Ale pamiętaj, że zawsze ci pomogę.

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. – Patrzyła na mnie niewinnym wzrokiem. Zawsze tak robiła, gdy nie chciała powiedzieć prawdy.

– Jak chcesz. Ale wiedz, że ja wiem.

– O czym wiesz?

– Że Andrzej od ciebie odszedł.

Patrzyła na mnie zdziwiona.

– Skąd wiesz? – zapytała. – Ktoś ci powiedział? Kto? Kiedy?

– Sama mi powiedziałaś. Tu, w szpitalu. Kilka dni temu.

– Aaaaleee... – zachłysnęła się słowami. – Ale ty byłaś nieprzytomna, kiedy ci to mówiłam!

– Słyszałam cię. Wszystko słyszałam.

– Jak to? Michaśka, jak to?

– Nie mam pojęcia. Po prostu wszystko słyszałam. Profesor nie bardzo chce mi wierzyć. Powiedział, że musi to zbadać.

– Wcale mu się nie dziwię! – Aga nadal była zszokowana.

– Ja też. Ale to prawda. To jak się mają sprawy z Andrzejem? – ponowiłam pytanie.

– Ach, szkoda mówić. Opowiem ci jutro albo pojutrze, dzisiaj nie mam już ochoty o tym rozmawiać. Zresztą, nie chcę też męczyć ciebie. Ledwo na oczy patrzysz. Jakbyś była niewyspana – zachichotała nagle.

To prawda, byłam zmęczona.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. Pójdę już. Odpocznij. Jutro wpadnę. – Uścisnęła mi rękę i pocałowała w policzek.

Kolejne dni upływały w atmosferze badań, rozmów z profesorem, rehabilitacji i odwiedzin Agi. Paweł nie przychodził.

Trzeciego dnia poprosiłam Agę, żeby do niego zadzwoniła i przekazała, żeby do mnie przyszedł.

– Ale po co, Michaśka? Poszedł w diabły, to niech tam siedzi! – Była oburzona.

– A niech siedzi, pewnie, ale wziął moje klucze do mieszkania. Niech je odda.

– Wziął twoje klucze do mieszkania? A po co?

– Bo swoich nie miał. Oddał mi, jak się wyprowadził.

– Po co mu dałaś?

– Nie dałam. Sam wziął. Zażądał wydania moich rzeczy, kiedy byłam w śpiączce. Potrzebował pokazać mieszkanie kupcowi.

– Bez ciebie? Ale bezczelny! Jak on mógł?

– Martwię się, bo wziął klucze i przepadł. Może już sprzedał?

– Nie, no co ty! W jaki sposób bez ciebie?

– Nie mam pojęcia, ale Paweł potrafi – powiedziałam z przekąsem. – Dopóki byłam nieprzytomna, to przybiegał codziennie, kiedy wziął klucze, to słuch po nim zaginął. Naprawdę się martwię.

– Dopadnę go – obiecała Aga.

* * *

Musiało się jej udać, bo Paweł przyszedł następnego dnia przed południem. Był nieogolony, miał przekrwione oczy i w ogóle wyglądał tak... wczorajszo.

– Słyszałem, że się obudziłaś – powiedział bez entuzjazmu.

– Jak widać. Przykro mi, że się nie cieszysz.

Postanowiłam nic mu nie mówić, że słyszałam, co do mnie mówił, kiedy byłam nieprzytomna. Lepiej, żeby o tym nie wiedział.

– Cieszę się, cieszę. Tylko zmęczony jestem.

– Widzę.

– Aga mówiła, że masz do mnie pilną sprawę. O co chodzi?

– Jeszcze pytasz? Oddaj mi klucze do mieszkania. Kto ci pozwolił je zabrać?

– Nie zabrać, tylko pożyczyć.

– Wszystko jedno. Oddaj mi je. I chcę wiedzieć, co z mieszkaniem.

– A co ma być? Zabrałem jeszcze kilka swoich rzeczy. Wybacz, że pod twoją nieobecność, ale śpieszyło mi się. Nie mogłem czekać.

– Nie mogłeś czekać – z trudem hamowałam się, żeby mu nie przyłożyć. – A mnie się zdawało, że miałeś kupca na mieszkanie i klucze potrzebne ci były, żeby je pokazać. Chcę wiedzieć, jakie są postanowienia i co zrobiłeś.

– No miałem kupca. Ale już nie mam. Bank nie wyraził zgody na sprzedaż mieszkania. Postawili warunek spłaty kredytu.

Poczułam taką ulgę, jakbym rzuciła z siebie przynajmniej ze sto kilogramów. Chyba było to po mnie widać, bo Paweł się zachnął.

– Michaśka, musimy z tym coś zrobić. Ja potrzebuję tych pieniędzy.

– Co możemy zrobić? Moglibyśmy spłacić większość kredytu, gdybyś nie roztrwonił naszych oszczędności. Teraz nic nie możemy zrobić.

– Masz dom po babci. Pewnie to jakaś rudera, ale można sprzedać. Trochę kasy by było.

– Nawet o tym nie myśl.

– To co mam zrobić?! – wrzasnął.

– Nie wiem. Idź już. Nie mogę na ciebie patrzeć. I źle się czuję.

Wyszedł wściekły bez pożegnania, ale było mi to obojętne. Byłam wzburzona. Nie dość, że sprzeniewierzył nasze wspólne pieniądze, nie dość, że chce sprzedać nasze mieszkanie, to jeszcze chce zagarnąć odziedziczony po mojej babci dom. To był szczyt wszystkiego!

Zaalarmowana hałasem w drzwiach stanęła pielęgniarka.

– Wszystko w porządku, pani Michalino? Co to były za krzyki?

– To mój sfrustrowany mąż, przepraszam bardzo. Ale już wszystko w porządku.

Mimo moich zapewnień pielęgniarka zbadała mi tętno.

– Dam pani środek uspokajający. W pani przypadku każde podwyższenie ciśnienia może mieć katastrofalne skutki.

Ze zdenerwowania czułam się źle i z wdzięcznością pozwoliłam zrobić sobie zastrzyk. Przespałam obiad i obudziła mnie dopiero Aga.

– I jak? Był Paweł? – przywitała mnie pytaniem.

– Był. Oddał klucze. Mieszkania nie sprzedał, bo bank się nie chciał zgodzić.

– Uff, całe szczęście. Ale coś kiepsko wyglądasz. Co się dzieje?

– Zdenerwował mnie. Wyobraź sobie, że zażądał ode mnie sprzedania domu babci! Bo pilnie potrzebuje pieniędzy!

– A to ty masz jakiś dom po babci? – Aga zrobiła wielkie oczy. No, prawda, nic nie wiedziała. Nigdy jej o tym nie mówiłam, bo sama nie pamiętałam.

– Mam. Nawet nie wiem, w jakim jest stanie. Nie byłam tam od jej śmierci.

– Znacząco ile?

– Z piętnaście lat.

– Odziedziczyłeś go, zanim się poznaliście. To co Pawłowi do tego domu?

– Nie wiem, Aga. Nic mu do tego. Zastanawiam się, w co wdepnął, skoro jest tak zdesperowany – dodałam po chwili. – Nie poznaję go. Coś się z nim stało. On naprawdę potrzebuje pomocy.

– I co? Zamierzasz mu pomóc?

– Nie pomogę mu, bo nie mam pieniędzy. Ale chyba trzeba będzie namówić go na wizytę u psychologa.

– Też coś! – Aga się zachnęła. – Naprawdę chcesz to zrobić? Po tym wszystkim?

– Nie wiem – zamyśliłam się. – A gdybym to ja potrzebowała pomocy?

– Ale on cię o pomoc nie prosi! Michaśka! On tobą manipuluje, nie widzisz tego?

Miała rację i ja o tym wiedziałam. Muszę być ostrożna, pomyślałam. Ale z drugiej strony przeżyliśmy razem kawał dobrego życia. Czy dlatego, że teraz powinęła mu się noga, mam go zostawić na pastwę losu? W końcu ślubowaliśmy sobie „na dobre i na złe”. Dobre się skończyło. Nadeszło złe. Co mam zrobić?

– Teraz musisz się skupić na swoim zdrowiu. A o reszcie pomyślisz potem, dobrze, Michaśka?

Gorliwie pokiwałam głową.

– Opowiedz mi o tym domu po babci.

– A, nie ma co opowiadać. To stary dom, na wsi. Mieszkałam w nim z babcią przez kilka lat, kiedy byłam małym dzieckiem. Wychowywała mnie, po rozstaniu moich rodziców – wyjaśniłam. – Cały majątek zapisała mnie. Niewiele tego było, a część rzeczy zabrał już ojciec. Też chciał spieniężyć dom, ale to ja go odziedziczyłam.

– I nigdy cię tam nie ciągnęło?

– Z początku nie chciałam tam jeździć ze względu na mnóstwo bolesnych wspomnień. A potem poznałam Pawła.

– No tak. Dlaczego nie jestem zaskoczona?

– Oj, nie bądź złośliwa.

– Oj, będę. – Puściła do mnie oko.

Roześmiałyśmy się jednocześnie.

– A co z twoim ojcem? Odzywa się?

– Ostatnio jakoś nie. – Aga wiedziała, że nie łączyła nas bliska więź. Kiedy zachorowałam, przeszła mi przez głowę myśl, żeby do niego zadzwonić, ale porzuciłam ten pomysł. Nie chciałam, żeby pomyślał, że coś od niego chcę. Jak wyjdę ze szpitala, to może się do niego odezwę.

– Pojedźmy na tę twoją wieś, jak wyjdiesz ze szpitala.

Zaskoczona spojrzałam na Agę.

– I może odwiedziłybyśmy Elżunię? Co myślisz?

Zaskoczyła mnie po raz drugi.

– A wiesz, że to jest doskonały pomysł?

– Który? – Uśmiechnęła się figlarnie.

– Oba, ty wariatko! – Uścisnęłam ją serdecznie. – Bardzo, bardzo chętnie! Trzeba będzie zapytać księdza Jana, czy wie, gdzie ona mieszka.

– O nic się nie martw, mam adres. Elżunia mi dała.

Zapiszczałam z radości, nie zważając na oburzenie laluni na łóżku obok, i jeszcze raz uściskałam Agę.

* * *

Szybko odzyskiwałam siły. Profesor był zaskoczony, a ja uradowana.

– Jak tak dalej pójdzie, dziecinko, to niedługo mnie porzucisz – patrzył na mnie dobrotliwie i uśmiechał się serdecznie. – I co ja bez ciebie zrobię? Wszystkie moje dziewczyny mnie porzucają! – Filuterne przekrzywienie głowy i znaczący uśmiech mówiły wiele.

– Będę pana często odwiedzać. Jeszcze się panu znudzę i nie będzie pan mnie chciał oglądać.

– Bo nie chcę cię oglądać – przekomarzał się ze mną. – Nie wracaj tutaj!

Patrzyłam na jego lwią grzywę i siwe oczy i myślałam o tym, że jest wspaniałym lekarzem, a także wyjątkowym człowiekiem. Zawdzięczałam mu życie i byłam jego dłużniczką. Ale miał rację – nie powinienam tutaj wracać.

* * *

W połowie sierpnia byłam już w całkiem dobrej kondycji. Na tyle dobrej, że profesor zdecydował, żeby wypuścić mnie spod swoich skrzydeł. Decyzję o powrocie do domu przyjął z radością. Byłam już zmęczona niekończącymi się badaniami i ciągłymi testami. I choć zadomowiłam się w szpitalu, zwyczajnie tęskniłam do własnych kątów.

– Zabiorę cię do siebie – powiedziała Aga, gdy oznajmiłam, że wreszcie wychodzę. – Chłopców nie ma, będziesz się czuć swobodnie. Wezmę urlop i posiedzę trochę z tobą.

– Wolalabym do siebie.

– Wiem, że byś wolała. Ale ja będę spokojniejsza, mając cię na oku. I będzie mi łatwiej u mnie.

Chciałam zaprotestować, ale nie miałam serca. Nie mogłam jeszcze sama funkcjonować, potrzebowałam czyjś wsparcia. Przynajmniej przez jakiś czas. Miałam tylko Agę, a jej rzeczywiście byłoby

znacznie łatwiej, gdyby nie musiała jeździć do mnie codziennie przez całe miasto. Trochę żałowałam, że jeszcze nie wrócę do własnego domu.

To tylko na kilka dni, pocieszałam się w myślach.

* * *

Pojechałyśmy więc do Agi. Mieszkanie znajdowało się w starej kamienicy w Wesolej. Było przerobione ze strychu, przestronne i sprytnie urządzone. Ulokowana w gościnnym pokoju, nie zawadzałam nikomu ani nie krępowałam domowników. Wprawdzie teraz Aga była sama, ale nie wiadomo, ile mój pobyt tutaj potrwa. W progu powitała nas wylewnie mama Agi.

– Mamo! Co tu robisz? Coś się stało chłopcom? – Bliźniaki spędzały resztę wakacji w podwarszawskim domu rodziców Agi.

– Nie, nie! Wszystko w porządku! Przyjechałam przywitać Michalinę i zapytać, czy na pewno nie potrzebujecie naszej pomocy.

Kochana pani Ela, była serdeczna i traktowała mnie jak własną córkę.

– U nas na wsi jest dużo miejsca i świeże powietrze, a my serdecznie zapraszamy.

Mówiąc to, tuliła mnie do obfitej piersi i głaskała po głowie, a raczej po kolorowej chusteczce, którą miałam na ostrzyżonych włosach.

– Jak się czujesz, moja kochana? – Ukradkiem ocierała łzy. – Martwiliśmy się z mężem o ciebie. Mój Boże, jakaś ty biedna.

– Mamo, z Michaliną już wszystko dobrze. Nie płacz już.

– Naprawdę dobrze się czuję, dziękuję pani bardzo. Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy. – Nie wiedziałam, co mogłabym jeszcze powiedzieć. Trochę mnie krępowało całe to zamieszanie wokół mojej osoby.

– Ależ nie ma o czym mówić! Zaopiekujemy się tobą. Prawda, Agusiu?

– Prawda, mamo. – Aga ucałowała matkę w policzek. Lubiłam na nie patrzeć. Miały do siebie tak serdeczny stosunek, że aż im zazdrościłam. Sama byłam przecież pozbawiona matczynej miłości. – Ale teraz pozwólmy Michasi trochę odpocząć.

– Oczywiście, oczywiście. Ja zaraz sobie pójdę, chcę ominąć popołudniowe korki. Przyjechałam tylko na chwilę i przywiozłam wam coś dobrego. Włożyłam do lodówki.

Jak na komendę znalazłyśmy się przy lodówce. Pani Ela robiła przepyszny tort lodowy – obie za nim przepadałyśmy. I rzeczywiście – zajmował całą półkę. Przystrojony był bitą śmietaną i owocami. Zaśmiały nam się oczy na myśl o bezwstydnym obżarstwie, które na pewno będziemy uprawiać.

Obiecałyśmy pani Eli, że w niedzielę przyjedziemy do nich na obiad, wysłuchałyśmy tysiąca rad i przestróg i wreszcie zostałyśmy same. Nadmiar wrażeń przyprawił mnie o lekki ból głowy, byłam zmęczona, więc z ulgą wyciągnęłam się na łóżku. Pozwoliłam Adze sprawować nade mną pełną opiekę. Wypiłam zaparzone specjalnie dla mnie ziółka i zjadłam kanapkę. Przydałby mi się mój laptop, pobuszczywałabym w Internecie. Nie robiłam tego od dwóch miesięcy. W szpitalu nawet o tym nie myślałam, dopiero teraz. To chyba oznaka powrotu do zdrowia? Trudno, muszę wytrzymać. Może później poproszę Agę o jej laptopa. Teraz patrzyłam, jak pracuje skupiona. Musiała skończyć dla Wiktora jakieś sprawozdanie, nie chciałam jej przeszkadzać.

Wiktor nie odwiedził mnie w szpitalu ani razu. Nawet do mnie nie zadzwonił. Trochę dziwne. Zresztą, nikt z pracy, oprócz Agi, mnie nie odwiedził. Było mi bardzo przykro z tego powodu, bo myślałam, że stanowimy zgrany zespół. Nie trudno, w końcu każdy ma swoje sprawy.

Zasnęłam.

Zanim Aga uległa moim prośbom i pozwoliła mi skorzystać ze swojego laptopa, minęły aż trzy dni.

– Robię to niechętnie, pamiętaj. Profesor prosił, żebyś jeszcze nie siadała do komputera.

– Oj, Aga, sprawdzę tylko pocztę i rozejrzę się, co w świecie słychać, nooo!

– Tylko poczta, pamiętaj! Pół godziny. Będę pilnować z zegarkiem w rękę. Ani słowa! – Uprzedziła moje protesty. – To zalecenie profesora!

Byłam trochę zła, ale w duchu przyznałam jej rację.

Skrzynka była pełna wiadomości. Nic dziwnego. Najpierw uporałam się z reklamami i spamem. Niech to szlag, coraz więcej tego przychodzi. Chyba już nie ma poczty wolnej od niechcianych wiadomości. Ale i tak sporo tego zostało do przejrzenia. Elektroniczne faktury (na szczęście miałam aktywne polecenia zapłaty), informacja o zbliżającym się terminie zapłaty ubezpieczenia samochodu, kilka maili z centrum medycznego. Mail od Wiktora. Sprzed tygodnia.

Michasia, słyszałem od Agi, że już z Tobą lepiej. Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy. Twoja choroba była dla mnie szokiem. Wybacz mi, że byłem dla Ciebie taki oschły, wydawało mi się, że zmyślasz. Ostatnio czuję się przez wszystkich nabijany w butelkę i opanowała mnie mania prześladowcza. Wszystkich podejrzewam o matactwa i złe intencje. Nie potrafię sobie z tym poradzić.

Nie odwiedziłem Cię w szpitalu, wybacz. Chociaż wydaję się silnym i twardym facetem, w rzeczywistości jestem miękki jak plastelina i bardzo łatwo mnie zranić. Nie potrafię mierzyć się z takimi zdarzeniami jak Twoja choroba. Uciekam przed tym. Postaraj się mnie zrozumieć. Moja matka umierała na raka na moich oczach, kiedy byłem dzieckiem. Mam traumę.

Teraz przyszło mi zmierzyć się z kolejnym problemem – moja narzeczona jest w czwartym miesiącu ciąży. Długo staraliśmy się o dziecko. Niestety, wiemy już, że urodzi się z wadą genetyczną. Mimo to postanowiliśmy – Natalia postanowiła – że donosi ciążę. Nie wiem, co będzie, czy znajdę siły na przyszłość. Wiem, że muszę, ale ciągle mam wątpliwości.

Wracaj jak najszybciej do zdrowia,

Z życzliwością, Wiktor

Czy to jakaś plaga nieszczęść? To straszne, co spotkało Wiktora i jego narzeczoną. I to jeszcze nienarodzone maleństwo. Jakie to smutne.

Wiktor, wyszłam już ze szpitala, wszystko ze mną dobrze. Teraz muszę odzyskać siły i zacząć wszystko od nowa. Taka choroba i otarcie się o śmierć zmieniają spojrzenie na życie i zdarzenia, które ze sobą niesie. Wszystko się przewartościowuje. Dziękuję Ci za troskę i ciepłe słowa.

Nie mam do Ciebie o nic żalu. Nie przejmuj się mną. Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie, ja wszystko rozumiem i współczuję, naprawdę.

I jestem pewna, że przeciwności, jakie niesie Ci los, zwalczysz bez trudu. Wiktor, poradź sobie – bo masz dobre serce i nie zapomniawsz, że jesteś Człowiekiem. Nie trać wiary w lepsze jutro. Wątpliwości ma każdy, kto logicznie myśli. Jak się spotkamy, uściskam Cię osobiście, teraz tulę tylko wirtualnie.

Zamyśliłam się nad przewrotnością życia. Jak to wszystko dziwnie się plecie – najpierw ja rozstałam się z Pawłem, potem zachorowałam, następnie Aga rozstała się z Andrzejem, teraz Wiktor i Natalia przeżywają swój ból. Co się dzieje?

Odczułam wyraźny spadek nastroju. Wyłączyłam komputer i wpatrywałam się w okno. Jeszcze było bardzo ciepło, jeszcze wieczór był jasny, ale w powietrzu czuło się już schyłek lata. Dawał o sobie znać specyficzną przejrzystością powietrza, zapachem chłodu, coraz dłuższymi nocami.

Chyba muszę wracać do siebie. Lada dzień przyjadą do domu bliźniaki, zrobi się gwarno i ciasno, Aga już nie będzie miała dla mnie tyle czasu. Nie mogę dłużej nadużywać jej gościnności i dobrego serca. W niedzielę wieczorem pojedę do swojego mieszkania, postanowiłam. Zresztą i tak zaczynało mi brakować ubrań. No i radziłam sobie coraz lepiej. Tak, trzeba wracać. Niech i Aga spędzi trochę czasu ze swoją rodziną. Należy jej się to, zwłaszcza teraz, kiedy została sama. Niech odpocznie.

Zajrzałam do niej do sypialni. Spała smacznie, obok niej na łóżku leżała porzucona książka. Nakryłam Agę kocem i wychodząc, cicho zamknęłam drzwi.

– Jesteś pewna? – dopytywała Aga, kiedy po niedzielnym obiedzie u jej rodziców usiedliśmy na werandzie i oznajmiłam, że wieczorem wracam do siebie. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, każdy miał coś do powiedzenia, nawet bliźniaki. Zrobił się harmider nie do opisania. Milczałam.

– Miałyśmy jechać do Elżuni. – Aga argumentowała nieporadnie. Widziałam, że się mota. Z jednej strony chciała, bym u niej jeszcze pobyła, z drugiej strony nęciła ją perspektywa tygodnia tylko dla siebie.

– Pojedziemy. Zjawisz się u mnie któregoś dnia i pojedziemy. – Uśmiechałam się do niej. Było mi dobrze u Agi, ale tęskniłam za swoim domem i chwilami samotności, których nie miałam od dwóch miesięcy. Z natury byłam domatorką, lubiłam zaszywać się jak myszka w norce. Poza tym ile można siedzieć komuś na głowie bez wyraźnej potrzeby? Radziłam już sobie całkiem dobrze, z dnia na dzień odzyskiwałam werwę. Mogłam już sama zająć się sobą. Najwyższa pora, pomyślałam.

– A może zostaniesz u nas kilka dni? – Pani Ela nie byłaby sobą, gdyby mi tego nie zaproponowała. Wiedziałam, że mówi szczerze. – Pobędziesz na świeżym powietrzu, opalisz się. U nas jest dużo miejsca!

Kochana pani Ela. Przykro mi było jej odmawiać, ale...

– Kochani, naprawdę bardzo wam dziękuję, ale już pora wracać na własne śmieci. Dobrze, że was mam, wiem, że mogę na was liczyć w każdej chwili. Ale nie mogę dłużej nadużywać waszej życzliwości. Zresztą moja rekonwalescencja już się kończy. Adze też należy się wypoczynek z własną rodziną. A to już ostatnia chwila. Za tydzień początek nowego roku szkolnego.

Jeszcze protestowali jakiś czas, ale w końcu dali się przekonać i wieczorem z koszem prowiantu zostałam odwieziona do domu. Siedziałyśmy w samochodzie, milcząc.

– Dziękuję ci, Aga. Za wszystko – odezwałam się pierwsza.

– Daj spokój. Jestem pewna, że gdybym to ja była na twoim miejscu, zrobiłabyś to samo.

To prawda. Byłyśmy jak najlepsze siostry.

– Nie będę wchodzić. Poproszę tylko pana z ochrony, żeby pomógł ci z bagażami.

Jak zwykle odczytała moje myśli. Chciałam zostać sama. Bardzo tego potrzebowałam.

– To jesteśmy w kontakcie.

– Jesteśmy. – Uśmiechnęła się do mnie serdecznie. – Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem, to postanowimy, kiedy pojedziemy do Elżuni. – Pomogła mi wystawić walizkę i kosz z jedzeniem i nawet nie musiała nikogo prosić o pomoc, bo dyżur miał akurat znajomy pan Kazio, który sam przybiegł i zaoferował pomoc.

– Pani Michalino! Jak miło panią widzieć. Mąż mówił, że pani choruje. Mam nadzieję, że już po wszystkim. Pani zostawi ten kosz, ja go zaniosę, niech pani nie dźwiga.

Złapał bagaż i ruszył do windy.

Patrzyliśmy przez chwilę na siebie, po czym mocno się uścisnęliśmy.

– Na pewno dasz radę?

– Na pewno.

– Pamiętaj, jakby co... – kochałam to jej „jakby co”.

– Pamiętam. Za to cię kocham.

– I ja cię kocham. Uważaj na siebie.

– Ty też.

Odjechała. Powoli szłam za panem Kaziem. Teraz już nie byłam tak pewna, czy dam sobie radę, ale słowo się rzekło.

– Dobrze pani wygląda w tej chustce. – Uśmiechał się życzliwie pan Kazio. – Włosy niedługo pani odrosną – wyraźnie mnie pocieszał.

– Panie Kaziu, ze mną już wszystko OK. Tylko ten język na głowie przypomina mi o chorobie, ale, jak sam pan powiedział, włosy szybko odrosną i nie będzie ani śladu po tym choróbsku.

– O tak, tak, pani Michalino, dobrze pani mówi! – Śmiał się tubalnie. Dojechaliśmy na moje piętro. – Wstawić bagaż do mieszkania?

– Nie, dziękuję, panie Kaziu, już sobie poradzę. – Wcisnęłam mu w kieszeń dwadzieścia złotych, chociaż się bronił i krygował.

– Jakby pani czego potrzebowała, to pani dzwoni jak w dym. Pomogę.

– Dziękuję, panie Kaziu.

* * *

W mieszkaniu panował zaduch i było pełno kurzu. Kwiatki uschły i w doniczkach tkwiły smętne kikuty. Weszłam do salonu. Po telewizorze i kinie domowym zostały tylko ślady wygniecione w dywanie. W sypialni brakowało wieży stereo. Zniknęła też wspólna kolekcja filmów i płyt kompaktowych. Widocznie Paweł przy okazji pokazywania kupcowi mieszkania postanowił zabrać jeszcze „kilka swoich rzeczy”. Nie zapomniał też o dwóch akwarelach Kossaka. Niech go szlag! Niech go jasny szlag!

Otworzyłam balkon, żeby wpuścić świeże powietrze, i położyłam się na kanapie. Dopadły mnie demony przeszłości. Zapomniałam o nich, dlatego nie zdążyłam się osłonić przed atakiem. Bolało jak jasna cholera. Muszę coś z tym zrobić, przeszłość nie może determinować mojego życia. Postanowiłam zamknąć ten rozdział. Wobec tego trzeba będzie pomyśleć o przyszłości. Ale to jutro.

Położyłam się spać bez kolacji. Spałam źle, przewracałam się z boku na bok. To pewnie z nerwów. Dawno minęła północ, kiedy wreszcie udało mi się zapaść w najgłębszą fazę snu. We śnie stałam na łące pełnej stokrotek, łąka wokół mnie falowała jak morze. W oddali widziałam kwitnący sad, chyba to był ten migdałowy gaj, z którego wyszłam. Od czasu do czasu dochodził do mnie zapach migdałowych kwiatów przywiewany przez podmuchy wiatru. Przypominałam sobie, że przez łąkę, na której stałam, wiodła droga. A tymczasem nie widziałam nawet śladu ścieżki. Otaczało mnie morze stokrotek.

Obudziłam się jeszcze przed świtem. Leżałam z zamkniętymi oczami i głęboko oddychałam. W powietrzu ciągle unosił się gorzki zapach migdałów i panowała niczym niezmacona cisza. Otulona szczelnie kołdrą, bo przez okno napływało zimne powietrze, wcisnęłam głowę w jaśka i zasnęłam. Przysięgłabym, że kiedy zasypiałam, usłyszałam szelest wielkich skrzydeł Michaesza.

Do Pawła zadzwoniłam dopiero w środę.

– Musimy pogadać.

– Michaśka, nie mamy ze sobą o czym rozmawiać. Nie zamierzam ci się z niczego tłumaczyć. Zabrałam tylko to, co mi się należało. I tak zatrzymałaś więcej, bo całe mieszkanie. I od następnego miesiąca już nie zamierzam płacić kredytu. Ty tam mieszkasz, więc ty płacić.

Co za drań! Z pewnością to nie jest ten sam człowiek, z którym się związałam wiele lat temu.

– Nie interesują mnie twoje tłumaczenia. Wzięłaś, to masz. Ja sobie poradzę. Nawet nie zapytałaś, o czym chcę z tobą rozmawiać.

– No dobrze, to o czym chcesz ze mną rozmawiać? – Ton jego głosu nie był zachęcający.

– O sprzedaży mieszkania.

– O, to coś nowego! – Zabrzmiął sarkastycznie, czym doprowadził mnie do szału. – Masz jakiś pomysł?

– Nie mam. Ale może wspólnie się naradzimy?

– Nad czym? Skąd wziąć pieniądze na spłatę kredytu? Ja też tego nie wiem.

– Paweł, proszę cię, przyjeźdź, to porozmawiamy.

– Zobaczą – rzucił do słuchawki i się rozłączył.

Wieczorem zadzwoniła Aga.

– Masz ochotę na wycieczkę?

– Pewnie, że mam. Dokąd mnie zabierasz? Do Elżuni?

– Do Elżuni! Zrobiłam dla niej paczkę, trochę ciuchów, książek, jedzenia.

– Ja też się dorzucę. O której jedziemy?

– Przyjadę do ciebie jutro na śniadanie, a potem poturlamy się wolniutko w plener. Co ty na to?

– A ja na to: TAK! – zapałam z radości.

Szybko przejrzałam szafę i przygotowałam całkiem niezłą stertę. Dorzuciłam kilka dawno przeczytanych książek i trochę sztucznej biżuterii, którą zgromadziłam przez lata i której już dawno nie nosiłam. Rano pobiegłam do sklepu i zrobiłam zakupy spożywcze dla Elżuni – cukier, mąkę, makarony. Kupiłabym więcej, ale bałam się, że nie zataszczę siatek do domu. Wybrałam jeszcze tylko trochę słodyczy dla Bartusia, brata Elżuni.

Zanim przyjechała Aga, byłam spakowana, a śniadanie czekało na stole.

Droga minęła nam szybko, dopiero za Pułtuskim trochę pobłądziłyśmy, bo Aga przejechała mało widoczny w lesie skręt prowadzący do wsi, w której mieszkała Elżunia. Drogowskaz ukryty był za gęstymi gałęziami. W rezultacie nadrobiliśmy dwadzieścia kilometrów, zanim Aga się zorientowała. Dopiero zapytany o drogę miejscowy rowerzysta wytłumaczył, jak nie ominąć skrętu.

– O! Jest drogowskaz! – Aga wypatrzyła wśród gęstwiny drzew obdrapaną, zardzewiałą tabliczkę. – To tam. Kolonia Pędzichów. – Skręciła ostrożnie, bo droga, a właściwie dróżka, była wąska i chyba mało uczęszczana. Nie wiem, co byśmy zrobiły, gdyby jechało coś z przeciwka. Trochę trzęsło, choć Aga starała się omijać wyboje i jednocześnie nie wjechać do rowu.

– Niesamowite, że ludzie jeszcze mieszkają w takich miejscach! – dziwiłam się. Las, przez który jechałyśmy, był gęsty i sprawiał wrażenie nieuczęszczanego.

– Cholera, długo jeszcze? – Aga cicho pytała samą siebie.

I nagle pojawił się pierwszy dom. Właściwie rudera. Zaraz za nią następny. Potem długo nic. Droga odrobinę się rozszerzyła, ale była tak samo wyboista.

– Elżunia mówiła, że tutaj jest tylko kilka gospodarstw, a ich dom stoi na uboczu.

– Aga, patrz! To chyba tam! – Pokazywałam palcem budynek oddalony o kilkaset metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Rzeczywiście stał na uboczu. Aga dodała gazu i po chwili zatrzymała samochód przed otwartą na oścież drewnianą bramą. Po zaniedbanym podwórku snuły się senne kury, na ganku leżał szary, chudy kot.

Kiedy stanęliśmy przy schodach, usłyszałyśmy szuranie butów. Z otwartej obory zbliżał się do nas gruby i zapijaczony chłop. W rękę trzymał widły.

– Do kogo? – zapytał groźnie. – Czego tu szukają?

– My do Elżuni.

– Mańka! – wrzasnął. – Szpiegi z opieki społecznej przyszły! Tfu! – Splunął nam pod nogi i odszedł.

– Matko boska! – szepnęła Aga. – To chyba jej ojciec.

– To chyba matka. – Wskazałam głową chudą, myszowatą kobiecinę nadchodzącą zza domu.

– Dzień dobry paniom. Panie z opieki społecznej? To chyba nowe jakie, bo nie znam – krygowała się.

– Dzień dobry. Nie, my nie z opieki. My do Elżuni. Znajome. Poznałyśmy się w szpitalu.

– Do Elżuni? Ze szpitala? A to zapraszam, zapraszam! – Wytarła ręce w fartuch. – Elżunia jest w ogrodzie. Zapraszam. – Poprowadziła nas za dom.

Ogród był zaskakująco zadbany.

Elżunia leżała na koślawym żelaznym łóżku postawionym pod krzakiem bzu. Była przerażająco blada i widać było, że cierpiała. Serce zabiło mi szybciej i łzy napłynęły do oczu. A więc jednak. Nie ma dla niej ratunku. Dziewczyna umierała.

Spojrzałyśmy na siebie z Agą przerażone.

– Elżuniu! – Pochyliłam się nad łóżkiem. Miałam wrażenie, że patrzy na mnie przez zamknięte powieki, takie były przezroczyście. – Elżuniu! – Poprawiłam kraciasty koc na jej chudym ciałku.

Powoli powieki uchylily się i spojrzała na mnie matowymi zielonymi oczami.

– Michasiu! Michasiu, jesteś! – Wyciągnęła do mnie ręce. – I Aga jest! Moje kochane! – Łzy spływały po woskowych policzkach. Mój Boże, taka zmiana przez dwa miesiące. Zapamiętałam ją jako radosną dziewczynę, a teraz leżała przede mną młoda kobieta naznaczona piętnem śmierci. – Przyjechałyście do mnie? Naprawdę?

– Tak, przyjechałyśmy do ciebie. – Gładziłam ją po przerzedzonych włosach, z trudem powstrzymując płacz. – Bardzo za tobą tęskniłam. Bardzo!

– Ja za tobą też. I za tobą, Aga. – Wyciągnęła do Agi drugą rękę. – Tak się cieszę, że mogę was jeszcze zobaczyć! – Śmiała się do nas przez łzy. Uśmiech wyglądał upiornie na jej chudej twarzyczce.

Spod łóżka wygramolił się umorusany chłopiec, może jedenastoletni. To pewnie brat Elżuni. Był do niej bardzo podobny, tak samo drobny, delikatny i zielonooki. Podbiegł do matki i wtulił się w jej kolana. Kobiecina głaskała go po jasnych włosach i patrzyła na nas w milczeniu.

– Nie zimno ci, Elżuniu? – zapytałam cicho. Rękę miała chłodną i drżała pod kocem.

– Nie. Może trochę. – Nie przestawała się uśmiechać. – Sama nie wiem. Opowiedz mi, co ci się śniło. Bo śniło ci się coś, prawda?

– Tak, Elżuniu. Miałam bardzo piękny sen. – Wzruszenie ścisnęło mi gardło. – Opowiem ci. Może i tobie się przyśni. – Boże, pomyślałam po raz nie wiadomo który. Skąd ona ma w sobie tyle siły? Za plecami słyszałam pociąganie nosem Agi.

– Opuściłam swoje ciało i chciałam odejść. Ale spotkałam swojego anioła stróża. Pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy?

Zielone oczy odzyskały odrobinę blasku i nie były już takie matowe.

– Pamiętam. I co się stało?

– Zatrzymałam się, bo powiedział mi, że nie jestem jeszcze gotowa.

– Ja jestem już gotowa. Myślisz, że i ja spotkam swojego anioła?

– Jestem pewna, Elżuniu. Będzie na ciebie czekał i przeprowadzi cię bezpiecznie na drugą stronę. Nie będziesz się bała. Będiesz wiedziała, że to jest właśnie ta chwila. I tam znajdziesz swoje miejsce – mówiłam spokojnie, ale nie potrafiłam powstrzymać łez.

– Nie płacz, Michasiu. Przecież wiesz, że tak musi być. – Przymknęła oczy. – Jak tam jest?

– Pięknie. Na pewno ci się spodoba.

– Wkrótce się przekonam. Już niedługo.

Zapadła w niespokojny sen. Otuliłam ją kocem i patrzyłam na jej drobną buzię. Ona już nie należała do tego świata.

Zostawiłyśmy ją śpiącą w ogrodzie. Wypakowałyśmy z samochodu przywiezione paczki i zaniósłyśmy do kuchni. Matka Elżuni nie chciała ich przyjąć.

– Ale po co taki kłopot i taki koszt – mówiła cicho. – Tyle pieniędzy.

Opuściła głowę i przestawiała bez celu puste garnki na węglowej kuchni. Biednie tam było, ale schludnie. Pewnie krępowała ją ta nasza dobroczynność, wstydziła się przyjąć pomoc, ale widać było, że bardzo jej potrzebowała. Nie wiedziałam, jak ją przekonać. Wyjęłam batonik i podałam Bartusiowi. Przestraszony, znowu schował się za matkę, ale zerknął pożądliwie.

– Nie bój się, Bartusiu, weź. Przywiozłam specjalnie dla ciebie. Elżunia mówiła mi, że bardzo lubisz słodocze i na pewno się ucieszysz. – Chłopczyk patrzył na mnie nieufnie, ale wyciągnął rączkę po batonik.

– Podziękuj pani, synku.

– Dziękuję – szepnął.

– I ja paniom dziękuję. Nie trzeba było.

– Proszę nam nie odmawiać i przyjąć paczki. – Aga postanowiła przejąć inicjatywę. – Ofiarujemy je z serca. Przecież nie przelewa się wam. Dla nas to drobiazg, a pani się przydadzą. Wszystkim wam się przydadzą.

– Ano, jak z serca, to proszę zostawić. Dziękuję i ja z serca. Niech Bóg paniom wynagrodzi. – Otarła oczy. – Toć prawda, że się przydadzą.

– Nie potrzeba wam czego jeszcze? Proszę powiedzieć, jeśli będziemy mogły, to pomożemy.

– Bóg zapłać, wystarczy. Jakoś sobie radzimy, z Bożą pomocą. – Kobięcina kłaniała nam się nieustannie.

– To my już pojedziemy. Proszę powiedzieć Elżuni, że przyjedziemy za kilka dni.

– Powiem, ale czy dziewczuszyna doczeka?

Pożegnałyśmy się z Bartusiem i jego matką i wsiadłyśmy do samochodu. W drodze powrotnej prawie nie rozmawiałyśmy wstrząśnięte tym, co tam zastałyśmy. Radość, z jaką wyruszyłyśmy do Elżuni, zmieniła się w głęboki smutek. Żadna z nas nie sądziła, że choroba tak szybko się rozwinie.

– Może powinniśmy zabrać ją do szpitala? – zapytałam Agę.

Zamyślona nie odpowiedziała. Patrzyła skupiona na drogę. Zapatrzyłam się i ja, dlatego zaskoczyła mnie, gdy po dłuższym milczeniu się odezwała.

– I co by to dało? Niech umrze w domu, wśród bliskich. Wydaje się, że są bardzo zżyci. Oprócz tatuścia, rzecz jasna. – A po chwili dodała: – To zresztą kwestia kilku dni. Może tygodnia.

Odchorowałam ten dzień. Rozboliła mnie głowa i nie mogłam znaleźć sobie miejsca. W nocy dręczyły mnie koszmary, których po przebudzeniu nie byłam w stanie sobie przypomnieć. Cały czas myślałam o Elżuni. Męczyła mnie świadomość, że nie można jej już pomóc.

Rano nie wytrzymałam i zadzwoniłam do księdza Jana, ale rozmowa z nim nie przyniosła mi pociechy. Wiedział o Elżuni.

– Możemy się przecież modlić, Michalino – powiedział.

Nie potrafiłam. Wszystko we mnie krzyczało w proteście przeciwko tej bezsensownej młodej śmierci.

– Michaśka, głupia jesteś! – dołożyła mi Aga. – Co można dla niej jeszcze zrobić? No co? Masz jakiś pomysł?

Milczałam, oburzona jej reakcją, i wtedy usłyszałam po drugiej stronie słuchawki płacz.

– Strasznie mi jej żal. Strasznie!

Wieczorem miałam wysoką gorączkę. Leżałam w ciemnej sypialni z zimnym kompresem na głowie. Nie mogłam usnąć. Po kilku godzinach zapadłam w dziwny stan. Wiedziałam, gdzie jestem, ale jednocześnie śniłam. Śniłam, że jestem ptakiem i lecę nad błękitnym bezkresem oceanu. Czasem leciałam bardzo nisko nad wodą i czułam na stopach zimne krople, którymi bryzgały spienione fale, a czasami unosiłam się bardzo wysoko i w dole widziałam masy rozkołysanego błękitu. Nie czułam zmęczenia. Przemieszczałam się szybko w kierunku zamglonego horyzontu, który wabił tajemniczą nieskazitelną bielą. W miarę zbliżania biel stawała się coraz bardziej oślepiająca, aż musiałam zmrużyć oczy.

Obudziło mnie słońce świecące ostro przez niezastłonięte okna. Dochodziło południe. Sen przyniósł spokój. Głowa jeszcze trochę mnie bolała i czułam się słabo, postanowiłam więc dzień spędzić w łóżku. Zresztą nie miałam nastroju na nic innego.

Paweł milczał, co specjalnie mnie nie zmartwiło. Nie to nie. Raz poprosiłam o spotkanie, więcej nie będę. Po weekendzie pójdę do banku i sama wszystkiego się dowiem. Na pewno jest jakieś rozwiązanie tej sytuacji. I chyba sama złożę wnioszek o rozwód, nie ma co czekać na ruch ze strony Pawła.

Postanowienia, które poczyniłam, poprawiły mi nieco nastrój i pobudziły do dalszego planowania. Kiedy odzyskam siły na tyle, żebym mogła sama prowadzić samochód, pojedę wreszcie na wieś, na grób babci. Nie będę nikogo ze sobą ciągnąć, pojedę sama. To będzie taka moja własna sentymentalna podróż.

Wieczorem usiadłam do komputera. Żeby Aga to zobaczyła! Uśmiechnęłam się sama do siebie. Jest wiadomość od Wiktora.

Michaś, dziękujemy za wsparcie. Natalia pozdrawia Cię serdecznie i życzy szybkiego powrotu do zdrowia. Do tych życzeń i ja się dołączam. Brakuje mi Ciebie w pracy. Na szczęście z bieżącymi zleceniami sobie radzimy, ale jesienią szykuje nam się projekt, do którego chciałbym dedykować Ciebie. To praca na Twoją miarę i mam nadzieję, że do tej pory będziesz już dyspozycyjna. Wpadnij do biura w najbliższych dniach, to pogadamy na ten temat.

Wiktor

PS Jeśli Twoja rekonwalescencja jeszcze się przedłuży, to jestem skłonny wynegocjować przesunięcie terminu tego projektu tak, żebyś zdążyła odzyskać siły. Bardzo mi zależy na Twoim udziale w tym projekcie.

W.

Ucieszyłam się. Wprawdzie jeszcze nie tęskniłam za pracą i obiecałam sobie, że zweryfikuję swoje życie zawodowe, ale miło było mieć świadomość, że jest do czego wracać.

Wiktor, dziękuję bardzo za życzenia i ofertę dalszej współpracy. Z chęcią ją podejmę, ale wszystko będzie zależęć od wyników badań kontrolnych. Mam nadzieję, że wszystko będzie OK, bo z każdym dniem czuję się coraz lepiej. Do biura wpadnę, bo stęskniłam się za Wami wszystkimi. Wcześniej zadzwonię i umówię się z Tobą albo zrobi to Aga.

Ściskam mocno

M.

Porządkowałam jeszcze wiadomości, kiedy komputer zasygnalizował przychodzący mail. Nie wierzyłam własnym oczom – wiadomość od Pawła. Z dopiskiem w temacie: „pilne”. Co takiego pilnego mogło się wydarzyć? I dlaczego nie zadzwonił?

Michasia, przelałem pieniądze na nasze konto. Mam nadzieję, że kwota rekompensuje utraczone oszczędności i wystarczy na spłatę kredytu. Proszę Cię – zabierz je jak najszybciej, żebym nie miał do nich dostępu. Spłać ten cholerny kredyt i daj mi znać, kiedy to zrobisz, to załatwimy nasze dalsze sprawy.

P.

Szybko zalogowałam się na nasze konto – pieniądze naprawdę tam były! Dużo więcej niż sprzeniewierzone przez Pawła oszczędności. Z podniecenia drżały mi ręce, kiedy robiłam przelew na moje konto osobiste. Na szczęście było w tym samym banku, więc pieniądze natychmiast się tam znalazły. W co Paweł znów wdepnął? I ta prośba. Czyżby był świadomy swojego nałogu? Muszę z nim o tym porozmawiać.

Jutro sobota, więc niczego w banku nie załatwię. Może i dobrze, trochę ochłonę i przygotuję wszystkie dokumenty, a w poniedziałek z rana umówię się z doradcą na spotkanie i omówię sprawę kredytu! Dzięki Ci, Panie Boże!

Będę mogła zacząć nowy rozdział życia. Wprawdzie żal mi tego mieszkania, bo pamiętam, z jaką miłością urządzany był każdy kąt. Każdy drobiazg miał tu swoją historię. No właśnie, ta historia. Postanowiłam, że z odzyskanych pieniędzy kupię sobie coś małego. Dwa pokoje mi wystarczą. Będzie moje własne.

Weekend spędziłam samotnie, bo Aga zajęta była chłopcami. W poniedziałek rozpoczęcie roku szkolnego. Nie chciałam jej przeszkadzać. Koniec sierpnia był jeszcze bardzo ciepły, choć w powietrzu czuć już było jesień. W pobliskim parku, dokąd wybrałam się na spacer, drzewa powoli przybierały jesienne barwy. Było pięknie.

W banku byłam pierwszym klientem. Formalności okazały się prostsze, niż myślałam. Wypełniłam tylko zlecenie całkowitej spłaty kredytu i pognałam do domu zrobić historyczny przelew. Według miłej pani, która przyjmowała ode mnie dyspozycję, całość powinna zamknąć się najpóźniej do czwartku. Potem już tylko zaświadczenie o całkowitej spłacie kredytu zaniosę do sądu hipotecznego i poczekam na wypis, że mieszkanie zostało zwolnione od obciążenia. I już. Jestem wolna. Jestem wolna! – Śpiewałam sobie w duchu radośnie.

Postanowiłam zacząć przygotowania do wyprowadzki. Przejrzę nasze wspólne dokumenty, podzielę książki. Które meble zatrzymać? Napiszę do Pawła, niech zdecyduje, co chce z naszego wspólnego dorobku. Nie zamierzałam być jak inne kobiety, które zażarcie walczą o odebranie byłym mężom całego majątku. Chcę być w porządku przed samą sobą. Musiałam też zaplanować, dokąd się wyprowadzę, zanim kupię sobie coś własnego. Pewnie wynajmę coś na przeczekanie. Warto więc przejrzeć oferty.

Całe to zamieszanie pozwoliło mi oderwać myśli od Elżuni. Aga miała rację. Nie zdołamy już jej

pomóc. Możemy tylko modlić się o lekką śmierć dla niej. Strasznie to smutne.

Właściwie to nie wiem, dlaczego tak bardzo przejęłam się losem tej dziewczyny. Po raz pierwszy w życiu spotkałam kogoś takiego jak Elżunia, kto od pierwszego spojrzenia i zamienionego słowa zajął na stałe miejsce w moim sercu. A może to ja, podświadomie, przelałam na nią niespełnione uczucia macierzyńskie? Eee, chyba nie. Przecież Aga też ją od razu polubiła. Elżuni nie sposób było nie lubić.

Zamyśliłam się. Po ostatnich mistycznych przeżyciach, w które niewielu chciało uwierzyć, przyszła mi do głowy myśl, że spotkanie z Elżunią nie było bezcelowe. Miało przypomnieć mi o pokorze wobec życia, bo zapomniałam już, czym jest, uwikłana w pęd codzienności. Miało spowodować, że wyhamuję i z innej perspektywy ocenię, co jest ważne, a co nie. I tak się stało.

* * *

Środa była dniem mojej wielkiej radości. Na rachunku kredytu hipotecznego zobaczyłam: „Pozostało do spłaty – 0 złotych”. Hura!!

Paweł, śpieszę Ci donieść, że kredyt już jest spłacony. Wkrótce – myślę, że w ciągu dwóch miesięcy – otrzymamy wszystkie potrzebne dokumenty (z hipoteką włącznie), które pozwolą nam na bezproblemowe sprzedanie mieszkania. Zajmę się formalnościami. Odezwij się, musimy podzielić ruchomy majątek.

M.

W piątek zadzwonił ksiądz Jan. Elżunia zmarła.

Nie zdążyłam się pożegnać, pomyślałam przez łzy.

* * *

Na pogrzeb pojechaliśmy we trójkę. Aga, ksiądz Jan i ja. Smutna to była uroczystość. Prosta, uboga trumna, matka Elżuni zalana cichymi łzami, nierozumiejący, co się dzieje, Bartuś, kurczowo uczepiony matczynej spódnicy, i ponury, łypiący spode łba ojciec. Prawie pusty drewniany kościółek. Ksiądz Jan dołączył do miejscowego proboszcza celebrującego mszę żałobną, a po mszy niewielki kondukt udał się na miejscowy cmentarz. Pomyślałam, że pięknie tutaj, tyle drzew i w ciszy słyhać ptasie śpiewy. Dobrze tu będzie Elżuni, spokojnie. Z zamyślenia wyrwał mnie głuchy odgłos ziemi spadającej na trumnę. Nie mogłam zapłakać, tylko mocniej ścisnęłam za rękę Agę. W kieszeni miałam talizman, który Elżunia zostawiła dla mnie, kiedy wychodziła ze szpitala – maleńkie szklane serduszko z zatopionym w środku jeszcze mniejszym kwiatuszkiem.

* * *

W połowie września nagle przyszło ochłodzenie i się rozpadało, a silny wiatr zrywał przedwcześnie liście z drzew i rozwiewał je po ulicach. Czułam się już bardzo dobrze i chciałam wracać do pracy, ale profesor był innego zdania.

– Jeszcze za wcześnie, dziecinko. Jeszcze musisz wydobrzeć, odpoczywać. Zobaczymy za miesiąc.

– Ale ja naprawdę dobrze się czuję.

– Wierzę ci, wierzę. Ale badania pokazują, że nie wszystko jest jeszcze w porządku. Musisz trochę poczekać.

Byłam niezadowolona, bo w domu umierałam z nudów. Przeglądałam dokumenty i książki. W prze-

rwach robiłam długie spacery, ale odkąd pogoda się zepsuła, wychodziłam tylko do sklepu. Kilka razy pojechałam do centrum handlowego, ale to nie rozrywka dla mnie. Nigdy nie lubiłam zakupów.

Coraz częściej też siadałam za kierownicę. Za pierwszym razem jechałam ostrożnie jak początkujący kierowca. Nie zauważywszy zmian w swoich reakcjach, zaczęłam poczynać sobie coraz śmiej i wypuszczałam się na dłuższe wycieczki.

– Uważaj, dziecinko, na jazdę po zmroku i w deszczu. Łatwo cię oślepić – przestrzegwał profesor.

Miał rację. Przekonałam się o tym pewnego późnego popołudnia. Na szczęście nie doszło do kolizji i żadnego nieszczęścia, stałam się jednak ostrożniejsza i o wiele bardziej czujna.

Paweł gdzieś przepadł, słuch o nim zaginął. Na początku października odebrałam przesyłkę z sądu hipotecznego o wykreśleniu banku z hipoteki kaucyjnej. Mogłam świętować i zacząć dalej działać. Zostało mi trochę pieniędzy przekazanych przez Pawła. Było ich niewiele i wolałam tego nie naruszać. Niech to będzie zabezpieczenie na czarną godzinę.

Zdecydowałam się na sprzedaż bezpośrednią.

– Będzie ci trudno je sprzedać – mówiła Aga, pomagając mi w przygotowaniu oferty i zdjęć. – To spore mieszkanie o podwyższonym standardzie. Drogie.

– Wiem, ale nie mam innego wyjścia. Może trafi się jakiś klient. To dobra dzielnica, mieszkanie jest w dobrym stanie, można od razu zamieszkać.

– Obawiam się, że będziesz musiała spuścić z ceny.

Też tak myślałam.

Przez kilka pierwszych dni zgłosiły się trzy agencje, poza tym nikt. Potem nastąpiła cisza i znów ze dwie agencje. Żaden inny chętny się nie odezwał. Zmartwiło mnie to.

– Bądź raczej przygotowana na dłuższe oczekiwanie. Nawet do roku. Widzisz, co się dzieje na rynku nieruchomości.

Widziałam i to spędzało mi sen z powiek. Byłam coraz bardziej zła na Pawła. Zostawił mnie z całym tym kłosem. A właściwie co się z nim dzieje? Nie miałam od niego żadnej wiadomości. Nie odpowiadał na maile. Niedobrze. Jeśli trafi się kupiec, Paweł będzie potrzebny.

Profesor znowu odmówił mi zgody na powrót do pracy, tłumacząc swoją decyzję niezbyt dobrymi wynikami badań. Zaczęłam się już niecierpliwić. Czulałam się naprawdę dobrze i coraz bardziej nudził mnie pobyt w domu. Wprawdzie byłam dzięki temu dyspozycyjna, gdyby trafił się chętny na mieszkanie, no ale jakoś się nie trafiał. Siedziałam więc w domu i wymyślałam sobie zajęcia. Bez większych efektów próbowałam szydełkować, potem zainteresował mnie haft, ale szybko się zniechęciłam. Rozważałam rozpoczęcie kursu garncarstwa, ale też do końca nie byłam przekonana.

Wielkimi krokami zbliżał się pierwszy listopada. W ferworze wszystkich zdarzeń wyleciał mi z głowy wyjazd na wieś i na grób babci. Może by tak pojechać teraz? Zimno, ale pogoda stabilna. Najlepiej by było z noclegiem, ale gdzie mogłabym przenocować? Trzeba będzie pojechać raniutko, żeby wrócić przed zmrokiem. I najlepiej tuż przed samym świętem.

– Ty chyba zwariowałaś! – Aga była sceptycznie nastawiona do tego pomysłu.

– To tylko dziewięćdziesiąt kilometrów. Godzinka i będę na miejscu.

– Godzinka, pewnie. Chcesz, żebym z tobą pojechała? – Kochana Aga, wiedziała, że jak coś postanowię, to nie ustąpię nawet na milimetr.

– Jeśli masz ochotę, to będzie mi bardzo miło. O ile Wiktor cię puści.

– Puści, co ma nie puścić. Ostatnio złagodniał.

W rezultacie umówiliśmy się na siódmą rano trzydziestego października. Zrobiłam w markecie zapas zniczy, a w kwaciarni zamówiłam wiązanekę. Byłam zdecydowana jechać sama, nawet gdyby Aga zrezygnowała lub nie mogła się wybrać ze mną. Przypomniałam sobie też, że przed pobytem w szpitalu miałam

poszukać w rzeczach z mieszkania ojca klucza do babciwego domu. Dawno nie zaglądałam do piwnicy, a tam stały wszystkie pudła. Namęczyłam się trochę, zanim przywiozłam i wtaszczyłam paczki do mieszkania.

Rozsiałam się w salonie na podłodze, pudła postawiłam na gazetach, żeby nie pobrudzić dywanu, i otworzyłam pierwsze z nich. Jakieś książki i stare listy związane sznurkiem. Ciekawe od kogo. Spojrzałam na koperty, ale nie miały nadawcy. Powściągnęłam ciekawość i odłożyłam je na bok. Drugie pudło zawierało ramki z fotografiami – moimi, babci i jakiejś nieznannej mi kobiety. Może to moja mama? Przyjrzałam się uważniej, ale jej twarz nikogo mi nie przypominała. Była nawet ładna. Nie zauważyłam podobieństwa do siebie. Jeszcze fotografie ojca z jakichś wyjazdów, ojciec w górach, ojciec nad morzem. O, jest i pani Nina, moja niby-macocha. Ojciec z panią Niną, z kolegami. A tu stoi z jakąś dziewczynką za rękę. Podobna do mnie. To ja? Nigdy nie miałam takiej sukienki. Nie, to chyba nie ja. Dziwne. W ogóle nie pamiętałam tego zdjęcia. Jak większość i to nie było podpisane. Jak to się stało, że nie zauważyłam tej fotografii podczas pakowania? Eee, zastanowię się nad tym kiedy indziej. Odłożyłam zdjęcie obok listów.

Trzecie pudło zawierało mniejsze pudełka. Z biurka ojca. Nigdy ich nie otwierałam, nauczona w dzieciństwie nie zaglądać do cudzych rzeczy. Teraz też dziwnie się czułam, grzebiąc w nich. Dlaczego ojciec nigdy nie poprosił o ich odesłanie? Czyżby nie chciał wracać do przeszłości, raz podjąwszy decyzję o wyjeździe i rozpoczęciu nowego życia? Teraz rozumiałam go trochę lepiej, chociaż nadal czułam się zraniona odrzuceniem. Tyle lat minęło, a ja wciąż czułam ból.

Odepchnęłam od siebie niemiłe uczucie wywołane wspomnieniami i otworzyłam pierwsze pudełko. Znowu paczka listów, tym razem koperty adresowane były ręką babci. Listy matki do syna. Odłożyłam je na miejsce. Nie byłam gotowa, żeby je przeczytać. Pod listami zżółkła koperta ze świadectwami ojca ze szkoły podstawowej. Ciekawe, jak się uczył. No proszę, polski – dobry, rosyjski – dobry, matematyka – bardzo dobry, fizyka – bardzo dobry. Która to klasa? Siódma? Nieźle. Uśmiechnęłam się do siebie i odłożyłam kopertę na miejsce. W drugiej kopercie jakieś dyplomy – za pierwsze miejsce w konkursie recytatorskim, za drugie miejsce w olimpiadzie matematyczno-fizycznej. Jakieś odznaki wzorowego ucznia, pochwały. Odłożyłam kopertę na miejsce i zamknęłam pudełko.

W kolejnym pudełku jakieś stare pieczętki, umowy, rozliczenia podatkowe, kalendarze z notatkami ojca. Chyba będę musiała z nim porozmawiać; po co to wszystko trzymać? Czy jeszcze komuś to potrzebne?

Na samym dnie pudła zobaczyłam dość grubą tekturową teczkę, taką z gumką. Nieopisaną. I to było to, czego szukałam. Testament babci, wyrok sądu potwierdzający przyznanie schedy mnie, a w plastikowym woreczku przypiętym zardzewiałym spinaczem do okładki teczki dwa komplety kluczy do domu. I całe mnóstwo papierów z urzędu gminy, jakieś plany, umowy z elektrownią i kto tam wie, co jeszcze. Ze wzruszeniem wyjęłam stare, zaśniedziałe klucze zawieszony na sparciałym skórzanym breloczku i pogładziłam je, jakby to była najcenniejsza na świecie rzecz. Nareszcie. Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie, abym wreszcie, po tylu latach, weszła do odziedziczonego przeze mnie domu po babci.

* * *

Jak mała dziewczynka odliczałam dni do wyjazdu. Nie mogłam się doczekać. Chciałam nawet, nie czekając na Agę, pojechać sama, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Chyba nie dałabym rady. Tyle lat tam nie byłam, nawet nie tęskniłam, a teraz, kiedy już miałam klucze, zżerały mnie emocje. Czy trafię? Czy bardzo się zmieniło? A może dom już się zawalił albo ktoś się włamał i go zniszczył? Tysiące myśli przelatywało mi przez głowę, chodziłam na przemian to podekscytowana, to przerażona. Sama byłam zaskoczona

siłą emocji, które mną targały. Porzuciłam nawet poszukiwanie mieszkań w Internecie. Nie martwiłam się, że nikt nie dzwoni w sprawie kupna. Żyłam tylko wyjazdem do domu mojego dzieciństwa.

* * *

Wyjechałyśmy wczesnym rankiem. Czekałam na Agę przed blokiem z paczkami zniczy i z wiązanką. Spóźniała się trochę, bo o tej porze miasto było zakorkowane. Kiedy wreszcie przyjechała, wrzuciłam znicze do bagażnika, a wiązankę na tylne siedzenie i sama, rozemocjonowana, zajęłam miejsce pasażera z przodu.

– Ale dzisiaj zimno. Ubrałaś się ciepło? – Tym razem ja zatroszczyłam się o przyjaciółkę.

– E, nie jest tak zimno. Ale mam zapasowy sweter i czapkę. I rękawiczki. Dla ciebie też. – Usiłowała włączyć się do ruchu, ale jakiś kierowca bmw zatrzymał swoje auto tak blisko samochodu Agi, że miała problem z wydostaniem się spomiędzy dwóch pojazdów.

– Co za baran, no! – wkurzyła się. – Załaduję mu w kuper i się skończy!

– Poczekaj, pójdę do niego, niech się przesunie. Siedzi przecież w samochodzie i ani drgnie niedorożwój.

– Idź, ale uważaj. Mało to kretynów po świecie chodzi? Ludzie są nieobliczalni.

– Przepraszam pana, mógłby pan na chwilę odjechać z pół metra? Wyjedziemy tylko i będzie pan mógł wrócić na to samo miejsce.

Zza szyby patrzyły na mnie zimno bladoniebieskie oczy. Miałam wrażenie, że już gdzieś widziałam tę twarz, ale nie mogłam sobie przypomnieć gdzie. Facet przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową, odpalił silnik i przesunął samochód, tak jak prosiłam, o pół metra.

– Dziękuję.

Wróciłam do Agi.

– Dziwny jakiś ten gość.

– W dupie z nim. Ważne, że odjechał. – Wymanewrowała samochodem i wyjechała na ulicę. Kiedy mijaliśmy bmw, facet znów przyglądał nam się uważnie. Zaniepokoiło mnie to.

– Mów, jak mam jechać.

– Jedź trasą na Gdańsk. Możesz przez Łomianki.

Do Łomianek ciągnęłyśmy się w gigakorku. Większość samochodów odbijała wcześniej na Cmentarz Północny na Wólce Węglowej, ale kierowcy blokowali oba pasy, bo każdemu było śpieszno, a co cwansi, nie chcąc czekać w kolejce do skrętu, podjeżdżali maksymalnie prawym pasem i wpychali się na chama między uczciwie czekających. Nienawidziłam takiego cwaniactwa.

– Po co ci ludzie jadą tak wcześnie na cmentarz! – denerwowała się Aga. – Przecież do pierwszego listopada jeszcze całe dwa dni! Ale nie! Muszą teraz i natychmiast! Co tu się pojutrze będzie działo!

– Pewnie tak jak my jadą na cmentarz ze zniczami.

– Ale tak rano? My to chociaż mamy sto kilometrów przed sobą, ale ci?

– Może przed pracą chcą zdążyć. Pierwszego nie będą mogli.

– Może i tak, ale wkurzają mnie korki.

– Nie denerwuj się. Mamy czas. Nie jedziemy przecież na godzinę.

W odpowiedzi Aga się uśmiechnęła.

Dawno tędy nie jechałam, więc rozglądałam się i podziwiałam wszystko wokół.

– Rany, Aga, ale tu zmiany! Nowa droga i domów aż gęsto.

– Ostatnio jechałam tędy jakieś dwa lata temu.

– Ojej, ja chyba jeszcze dawniej!

– Też mam problem z rozpoznaniem miejsc.

Za Łomiankami zrobiło się luźno, więc Aga przyśpieszyła. Niebawem wjechała na drogę ekspresową i pomknęłyśmy przed siebie.

– Andrzej dzwonił – oznajmiła nagle. – Chce wrócić.

– I co zamierzasz?

– Nie wiem. – Nie odrywała wzroku od drogi. – Muszę to przemyśleć.

Aga nie należała do kobiet, które bez mężczyzny nie potrafią żyć. Jak kochała, to niemal bezwarunkowo, zraniona nie wybaczała łatwo. Rozumiałam ją.

– Mówi, że był głupi, że się pomylił, a tak naprawdę kocha mnie i dzieciaki. Ale każdy tak mówi. Skoczył sobie w bok, zabawił się, a jak laska go kantem puściła, to chce wracać. A gdyby go nie puściła kantem, to co? Pewnie bawiłby się dalej, szczęśliwy i zadowolony.

Nie przerywałam jej monologu. Pierwszy raz tak otwarcie mówiła o rozstaniu z Andrzejem.

– Przez trzy miesiące nie zapytał, co u mnie, co u chłopców, czy nie potrzebujemy pomocy. Nie zatroszczył się o wakacje dla własnych dzieci, taki był pochłonięty nową miłością. Z obcym dzieckiem spędził dwa tygodnie w Bułgarii. A teraz po prostu przychodzi bez słowa „przepraszam” i mówi, że kocha tylko mnie. I myśli, że ja go przyjmę.

– A przyjmiesz?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.

– Zgłupiałaś? Całkiem dobrze mi bez niego. I poznałam kogoś interesującego.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– No co ty? Nic nie mówiłaś! – W moim głosie zabrzmiał wyrzut. Sama go usłyszałam.

– A, bo to jeszcze nic pewnego. Na razie się czarujemy.

Roześmiałam się z całego serca.

– Jesteś zakochana?

Widziałam, jak jej twarz wypiękniała w okamgnieniu, jak uśmiech rozjaśnił ją całą. Była zakochana! Jak nic!

– Może troszkę.

– Troszkę? Aga! Ty ściemniaro! Opowiadaj mi natychmiast!

– Nie chcę zapeszyć, bo to naprawdę nic pewnego. To nasz kontrahent. Może to ja sobie za dużo wyobrażam? Współpracujemy już jakiś czas, może ponad rok. Wiedziałam, że wpadłam mu w oko od początku, zawsze był wobec mnie bardzo szarmancki. A ostatnio zaczął mi nadskakiwać, zaprosił mnie na kawę, a ja się zgodziłam. Miło nam się rozmawia. Podoba mi się. Jest taki... dystyngowany. – Posłała mi uroczy pensjonarski uśmiech.

– Znam go?

– Tak. Ale nie pytaj jeszcze kto to. Powiem ci, jak będę gotowa.

Zaintrygowała mnie. Pewnie gdybym chodziła do pracy, zauważyłabym.

– Gdyby Andrzej nie odszedł, nigdy bym sobie na to nie pozwoliła – ciągnęła swoją opowieść Aga. – Ale w tej sytuacji...

Rzeczywiście, Aga była do bólu uczciwa. Romans pozamałżeński w ogóle nie istniał w jej normach moralnych. Pod tym względem byłyśmy do siebie podobne. Patrzyłyśmy z dezaprobatą na to, co działo się na imprezach firmowych i nie akceptowałyśmy takich zachowań. Pewnie też między innymi dlatego trzymałyśmy się razem.

– Właśnie sobie odpowiedziałam na pytanie, czy zgodzę się na powrót Andrzeja. – Roześmiała się nagle.

W odpowiedzi parsknęłam śmiechem. Oczywiście, że nie! Zranił ją. A to, że zaczęła się umawiać

z tym facetem, oznaczało, że skreśliła Andrzeja już wtedy. Na jego własne życzenie.

– Masz ochotę na kawę? – Aga zjechała do przydrożnej oberży. Usiadłyśmy w kącie, przy oknie z widokiem na puste pola. Między bruzdami spacerowało kilka wron, wydziobując z ziemi jakieś smakołyki. W oddali widać było ciemną linię lasu. Dopisała nam pogoda, było zimno, ale bezchmurnie.

Kawa była zaskakująco dobra. Z przyjemnością wypiliśmy filiżankę. Po operacji rzadko piłam kawę. Przez to zyskała świąteczny posmak, a ja delektowałam się każdym łykiem.

Do przejechania zostało nam około pięćdziesięciu kilometrów. Było jeszcze wcześniej, więc nie śpieszyliśmy się zbytnio. Stanęłyśmy na parkingu przy samochodzie i rozglądałyśmy się. Wiatr poświstywał na otwartej przestrzeni i nie wiadomo, skąd gnał kolorowe liście.

– Ta pustka wokół ma swój urok – stwierdziła Aga. – Jest naturalna. W mieście tego się nie czuje. A tutaj w każdej cząsteczce powietrza czuć, że ziemia teraz odpoczywa. I nie buntujesz się przeciwko jesieni i zimie, bo wiesz, że tak musi być. Że wszystko ma swoją kolej. Kiedyś nie wyobrażałam sobie życia poza miastem, a dzisiaj myślę, że mogłabym mieć dom na wsi. Myślisz, że to starość nadchodzi?

Zawiązałam mocniej szalik i postawiłam kołnierz kurtki. Było zimno, ale nie przeszkadzało mi to.

– Myślę, że do niektórych rzeczy trzeba dojrzeć.

– To chyba dojrzałam. Wsiadaj, jedziemy.

Musiałam wyjąć mapę. W młodości tyle razy przemierzałam tę trasę pekaesem, że znałam ją na pamięć, ale dzisiaj nie rozpoznawałam drogi, tak bardzo wszystko się zmieniło. Kiedyś lokalna szosa, dziś nowiutka droga ekspresowa.

– Za Modlinem trzeba odbić na Płock – zdecydowałam wreszcie. – A potem na Wyszogród. Nie jedź za szybko, żebyśmy nie zgubiły drogi.

– Co się martwisz, bak mamy pełny, możemy jechać, dokąd chcemy.

I ruszyłyśmy. Na szczęście Aga nie przejechała zjazdu. Potem odbiła na Wyszogród.

– Niezła nawierzchnia, jak nowa. Żadnych dziur. Tylko trochę wąsko.

Czasami mijaly nas kawalkady tirów, wtedy od pędu powietrza nasz samochód kołysał się jak statek na rzece.

– W Wyszogrodzie musimy zjechać na nowy most. Jakies rondo ma być. Kurczę, Aga, nie poznaję tych okolic.

– Nie martw się, pewnie jak dojedziemy do Wyszogrodu, to już nie będzie takich zmian.

– No nie wiem. Jak ja tam jeździłam, to nie było jeszcze nowego mostu. Nie wiem, czy trafię.

– Nie histeryzuj. Zapytamy o drogę. Przecież nie jesteśmy w obcym kraju. Najwyżej trochę pobłądzimy.

Ale w miarę zbliżania się do Wyszogrodu nadal nie rozpoznawałam okolicy. Naprawdę, bardzo się zmieniło. Aga skręciła do miasta.

– Pokaż tę mapę. Jak się nazywa ta twoja wioska?

– Szamociny.

– No jest, zobacz. O, tutaj. Kilka kilometrów za mostem. Trzeba skręcić w prawo. Tam jakiś las jest?

– Kiedyś był. Brzozowy. Teraz nie wiem.

– Z mapy wynika, że jest. Chyba będę musiała kupić sobie GPS. Chcesz się przejść po mieście?

Byłam niezdecydowana.

– Oj, chodź. Pół godziny nas nie zbawi.

– Myślisz, że pół godziny nam wystarczy?

– Myślę, że aż nadto. Przecież nie będziemy chodzić po sklepach. Zresztą jakoś nie widać, żeby było ich tu zatrzęsienie. Do domu towarowego nie musimy wchodzić. Pogapimy się trochę, może zapytamy kogoś o drogę. No i może coś rozpoznasz.

– Nie wiem, czy rozpoznam. Rzadko tu bywałam. – Ale jednak zaczęłam sobie przypominać. Poczta, Urząd Miejski, szkoła – znajdowały się w tym samym miejscu co kiedyś. Byłam rozedrgana wzruszeniem. Skręciłyśmy w zatłoczoną ulicę. Odbywał się tam cotygodniowy targ. Nie protestowałam, kiedy Aga skierowała pierwsze kroki prościutko między stragany. A miałyśmy nie chodzić po sklepach.

– Zaczekaj! Po co tam idziesz? – Usiłowałam ją dogonić, ale ciągle rozdzielali nas oglądający towar ludzie.

– Michaśka, no co ty! Taka okazja! Być na targu i nic nie kupić? Nawet wiejskich jajeczek? Zobacz, jakie piękne! A warzywa jakie! Widziałaś ceny? W Warszawie możesz o tym tylko pomarzyć! Nawet na Wolumenie!

Jak zwykle miała rację, a ja po chwili uległam atmosferze tego miejsca. Aga targowała się jak stara przekupka. Śmiać mi się chciało, nigdy nie widziałam jej w takiej sytuacji.

Wyszłyśmy objuczone siatami – wiejskie jajka, kiełbasa własnego wyrobu, twaróg, masło, ziemniaki i jabłka.

– Chyba oszalałaś! – Śmiałam się głośno. – Kto to wszystko zje?

– Połowa jest twoja, nie myśl sobie. Nawet nie zauważysz, kiedy zjesz i będziesz chciała jeszcze. Próbowалаś tego twarogu? Mmm, pychotka, palce lizać. A kiełbaska! Co za smak! Możemy jeszcze kupić sobie bułki albo chleb w piekarni GS-u. Na pewno też będzie pyszny.

Był pyszny. Taki jak wtedy, kiedy kupowała go babcia. Niesamowite, że wciąż ma ten sam smak. A może tylko tak mi się wydaje? – Rwałam świeżutkie pieczywo palcami i pożerałam po kawałku.

– Zagryź! – Aga podsunęła mi pod nos kawałek kiełbasy. Pachniała czosnkiem i przyprawami. Zagryzłam, chociaż nie przepadam za swojskimi wędlinami. Anielski smak rozpląnął się delikatnie na języku.

– Raaanyyy! Ale pycha! Daj jeszcze kawałek.

– A widzisz? Jeszcze powiesz, że za mało! – Aga śmiesznie wyglądała z wypchanymi jedzeniem policzkami. Bezwstydnie się objadała i mówiła z pełną buzią. – Nie mogę się doczekać jajecznicy z wiejskich jajeczek na tej kiełbasce. Mniam, mniam!

– Ze szczypiorkiem! – dodałam i poczułam, jak ślina napływa mi do ust. Ugryzłam jeszcze kawałek. – Herbaty!

– W bagażniku mam termos. – Aga już wyjmowała siatkę. – Napijemy się i jedziemy, bo południe niedługo, a my jeszcze nie dojechałyśmy na miejsce.

Siedziałyśmy w samochodzie na parkingu przed domem towarowym i piłyśmy sobie herbatkę z termosu. Byłyśmy obsypane okruskami z bułki, śmierdziało od nas czosnkiem, a my śmiałyśmy się z siebie do rozpuku.

– Musimy się trochę ogarnąć – chichotałam, ocierając łzy, które popłynęły mi ze śmiechu. Wsiadłam z samochodu i zaczęłam otrzepywać ubranie. Aga poszła w moje ślady, a potem zaczęłyśmy pakować nasze zakupy do bagażnika.

– Trzeba kogoś zapytać o drogę – przekrzyczałam hurgot przejeżdżającego traktora.

– Przecież z mapy wszystko wynika.

– Lepiej się upewnić.

– To zapytaj tego dziadka, co się na nas gapi. – Aga wskazała głową na jakiegoś miejscowego. Rzeczywiście stał niedaleko i obserwował nas od dłuższej chwili.

– Pewnie nigdy nie widział takich idiotek. – Znowu parsknęłam śmiechem i zatopiłam zęby w jabłku. Było tak soczyste, że aż pociekł mi sok po brodzie.

– No idź! – ponagliła mnie.

– Dzień dobry – zagaiłam rozmowę. – Pan miejscowy? – Kiwnął głową. – Można zapytać o drogę? – Znowu kiwnął głową. – Szukamy jednej wsi.

Przyglądał mi się bacznie. Krzaczaste brwi miał siwe jak włosy. Niebieskie oczy były zażawione. Zamilkłam speszona.

– Do Szamocin tera trza przez nowy most.

Otworzyłam buzię zdziwiona. Skąd wiedział, o którą wieś chciałam zapytać?

– Za mostem zjazd zrobili, ślimak taki. Tam trza jechać. Łatwo trafić, drogowskaz jest. Ze sześć kilometrów za mostem. Zobaczyta łatwo, bo stacja benzynowa przed skrętem jest.

Milczałam zaskoczona, a chłop nadal mi się przyglądał. Nagle uchylił czapki, skinął głową, odwrócił się i odszedł. Zapatrzona w jego postać stałam wciąż w tym samym miejscu.

– Co jest? Dlaczego jesteś taka blada? Źle się czujesz? – zaniepokoiła się Aga.

– Nie, tylko ten facet...

– Co „ten facet”? No mów! – krzyknęła na mnie, bo nie odpowiadałam.

– Nie zdążyłam zapytać go o drogę, a on mi sam powiedział, jak dojechać do Szamocin.

– Co?

– Właśnie. Tak się na mnie gapił, jakby wiedział, kim jestem.

– Może wiedział? A ty go nie znasz?

– Nie.

Teraz obie patrzyłyśmy w dół uliczki, którą odszedł, jakby nagle stamtąd miała nadejść odpowiedź.

– Chodź, jedziemy.

Z ulgą wsiałam do samochodu. Milczałam poruszona dziwnym spotkaniem.

Tymczasem Aga wyjechała z miasta i na rondzie skręciła w lewo, na most. Jechałyśmy wolno za kilkoma tirami. Za mostem ciężarówki przyśpieszyły, zostawiając nas w tyle.

– Jest stacja! – zawołałam. – Za stacją jest zjazd ślimakiem. W prawo.

Mężczyzna dobrze opisał drogę. Zjechałyśmy w brzozowy las. Nagle otoczyła nas cisza. Aga odruchowo zwolniła. Od białych pni drzew odbijało jesienne słońce. Bezlistne gałęzie poruszane wiatrem płały lekko jak w tańcu.

– Jak tu pięknie! – szepnęła.

– Patrz! Lis!

Rudzielec przebiegał chyłkiem przez drogę. W pysku trzymał kurę.

– A to łobuz! Postraszę go! – Wzburzona Aga przyśpieszyła.

– Daj spokój! To jego natura. Inaczej nie potrafi.

– Masz rację – roześmiała się.

Patrzyłyśmy, jak lis ze swoją zdobyczą przeskakuje rów i znika w lesie. Złodziej, no!

– Może ma rodzinę na utrzymaniu. Głodne lisięta i lisiczkę.

– Eee tam. Lisiczka sama sobie może zapolować. A lisięta to chyba już duże powinny być.

– Szamociny, trzy kilometry. – Pokazałam palcem tabliczkę z nazwą wsi. – Jesteśmy prawie na miejscu. – Gwałtownie zabiło mi serce. – Uważaj teraz, bo za przystankiem będzie ostry skręt w prawo.

Rozpoznałam pochylony ze starości przystanek. Prawie zapadł się w ziemię. Cementową wiatę pomalowali grafficiarze, a eternitowy daszek był wyszczerbiony i dziurawy. W środku pełno śmieci. Polski standard.

Droga, którą zapamiętałam, była zwirowa i miała mnóstwo dziur. Teraz pokrywał ją asfalt, ale chyba stary, bo nadal była pełna dziur. Rozglądałam się z ciekawością. Puste pola poprzecinane miedzami, na których rosły tak charakterystyczne dla Mazowsza rosochate wierzby. W dzieciństwie wierzyłam, że mieszkają w nich kłobuki i inne diabełki i bardzo się bałam przechodzić w ich pobliżu. Postarzały się przez te wszystkie lata, kiedy mnie tu nie było. Teraz jeszcze bardziej rosochate pnie pokryte były guzowatymi naroślami. Wyglądały jak stare wiedźmy. Patrzyłam na nie ze wzruszeniem. Mijane domy nie-

wiele się zmieniły. Jakby zmały. Gdzieniegdzie było widać nową elewację albo nowy dach. Nigdzie nie zauważyłam ludzi. Puste podwórka, żywej duszy na drodze. Może jest za zimno i wszyscy siedzą w domach. Spojrzałam na zegarek, dochodziła pierwsza. No tak, pora obiadowa.

– Najpierw dom czy cmentarz? – pytanie wyrwało mnie z zadumy.

– Chyba cmentarz. Potem możemy sobie siedzieć w domu, ile chcemy, nawet do wieczora.

– Dobra, to prowadź.

Cmentarz był większy, niż zapamiętałam. Miał nowe ogrodzenie i nie było już na nim starych drzew. Pewnie zostały wycięte, bo rozsadały korzeniami nagrobki. Szkoda. Drzewa dodawały cmentarzowi uroku i skłaniały do zadumy. Teraz był to ogromny plac wypełniony nowiutkimi pomnikami. Tylko w najstarszej części stały zniszczone zabytkowe nagrobki, a ubogie drewniane lub metalowe krzyże pojawiały się z rzadka.

– Trafisz?

– Nie wiem. Nawet tutaj wszystko się zmieniło.

Ruszyłam główną aleją obok kaplicy. W połowie cmentarza powinna być studnia. Pamiętałam, że tam trzeba było skręcić w prawo i dojść alejką prawie do muru.

Studnia nadal tam była. Kiedyś otoczona starymi, betonowymi kręgami, teraz na nowo ocembrowana i zadaszona, porządna. Na kamieniu obok stało błyszczące nowością wiadro.

Tuż przy studni kręciło się kilka osób. Kiedy ich mijaliśmy, przyglądały nam się z ciekawością.

– To gdzieś tutaj. – Przedzierałam się ostrożnie między nagrobkami. Strasznie tu ciasno. Czasami trzeba było iść po nagrobkach, tak ściśle przylegały do siebie. A potem nagle zrobiła się przestrzeń i zobaczyłam napis – „Helena Piotrowska”. Moja kochana babunia.

– Babuniu, jestem – szepnęłam, wzruszona. Miałam wrażenie, że babcia uśmiecha się do mnie z medalionu na tablicy.

Grób był zadbany. W kamiennej donicy ktoś zasadził zimowe kwiaty, przy tablicy stały wypalone znicze.

– Ktoś tu przychodzi. Ciekawe kto. – Obładowana zniczami i wiązanką Aga stanęła przy grobie.

– Pewnie ktoś z sąsiadów, bo któżby inny.

Zgarnęłam z płyty kilka zwiędłych liści i zajęłam się układaniem wiązanki. Aga rozpakowywała znicze.

– Znowu ktoś się na nas gapi – rzuciła półgłosem. Rzeczywiście, nieopodal dwie starsze panie sprzątając groby szeptały coś do siebie i popatrywały na nas ukradkiem.

– Pewnie zastanawiają się, kim jesteśmy. – Po kolei zapalałam i ustawiałam znicze. – Tutaj wszyscy się znają.

Źle się czułam pod obstrzałem spojrzeń. Na cmentarzu było sporo osób, jak to przed Świętem Zmarłych, i nasze przybycie wzbudziło powszechne zainteresowanie.

– Będą mieli o czym plotkować.

– Mam to gdzieś – skwitowałam. Mocniej otuliłam się szalikiem, włożyłam kaptur, żeby odgradzić się od wścibskich spojrzeń i zatonełam we własnych myślach.

Babuniu, wybacz mi, że tak długo mnie nie było. Ty rozumiesz, prawda? Tęskniłam za tobą, ale się zgubiłam. Teraz już jestem przy tobie. I znowu uświadamiam sobie, jak bardzo mi Ciebie brakuje.

Patrzyłam na drzewa za cmentarnym murem. To był cały zagajnik. Pewnie wiosną i latem gospodarzą tu ptaki i śpiewają swoje piosenki. Babcia lubiła słuchać świergotu ptaków, szczególnie nad ranem.

– Ładnie tu. – Aga przerwała moje rozmyślenia.

– Kiedyś było ładniej, bo drzewa rosły na cmentarzu. Chyba wszystkie zostały wycięte.

– Szkoda. Z drzewami byłoby bardziej swojsko.

– Swojsko?

– No tak. Swojsko. Bardziej przytulnie. Cmentarz przypominałby park.

– Może masz rację – powiedziałam po chwili.

– Pewnie, że mam.

– Masz, masz. – Uśmiechnęłam się do niej i zaczęłam zbierać nasze rzeczy. – Jedźmy już do wsi. Do domu.

Opuściliśmy cmentarz odprowadzane ciekawskimi spojrzeniami.

Po drodze do Szamocin minęliśmy po prawej miejscowy kościółek. Jaśniał nową farbą, a teren wokół był starannie utrzymany. Widać było, że ktoś dba i o cmentarz, i o kościół.

– Mam się zatrzymać?

– Nie, nie. Jedź dalej. Za sklepem, jeśli jeszcze jest, trzeba skręcić w lewo.

Był sklep. Z tym samym szyldem i tą samą ławeczką przy wejściu. Ciekawe, czy i sklepowa ta sama, pomyślałam. Tutaj czas się zatrzymał.

Aga jechała wolno, starannie omijając dziury i kałuże.

– Dojeżdżamy. – Głos mi się załamał. – Za tym niebieskim domem w prawo jest droga, która prowadzi do domu babci.

Drogi jakby nie było. Nie było kolein wyjeżdżonych kołami, tylko środkiem, w gęstej trawie wiła się cieniutka wydeptana ścieżka.

Podjechałyśmy pod samą bramę. Była stara i koślawa, ale zamknięta na nowy błyszczący haczyk. Zaniebane podwórko pełne było uschniętych ostów wielkości krzewów.

Babcine gospodarstwo znajdowało się trochę na uboczu. Chata za wsią, jak mawiała żartobliwie. Za domem rosły wysokie topole, za nimi stał drewniany płot, a tuż za płotem była łąka i wesoły strumyk, w którym w dzieciństwie pluskałam się pod okiem babci. Dalej, w kępie olch, ukryty przed oczami ciekawskich, mały staw zawsze pokryty rzęsą. Ciekawe, czy jeszcze tam jest, czy już może wyschł.

Dom stał szczytem do drogi. Z drugiej strony znajdowała się weranda. Za nią zaczynał się sad. Zapamiętałam z tego sadu kwitnące jabłonie z pomalowanymi na biało pniami i huśtawkę, którą pewnego lata ojciec zawiesił na gałęzi jednego z drzew.

Po lewej stronie stał – teraz nieco pochylony – tak zwany pawilon, który całe lato pełnił funkcję letniej kuchni, a zimą – składziku. Do niego przylegał ogród warzywny, dziś zarośnięty chwastami. Całość sprawiałaby dość ponure wrażenie, gdyby nie wąska ścieżka, która z drogi wiodła wśród chwastów do pawilonu.

– Ktoś tu mieszka? – Aga była zdziwiona tak jak ja.

– Na to wygląda.

Byłam zaniepokojona. Kto śmiał zająć moją własność? Furtka zaskrzypiała cicho. Ostrożnie stąpając po wąskiej ścieżynie, podeszłam pod drzwi pawilonu. Okiennice były zamknięte.

– Dziwne. – Usiłowałam wypatrzeć coś przez szczelinę okiennicy. Nie udało się. Nacisnęłam klamkę, ale drzwi były zamknięte. – Dziwne – powtórzyłam. Nie podobało mi się to.

– Wejdźmy do domu. Chyba nikt nas nie przegoni. W końcu jesteś u siebie.

Rozejrzałam się wokół z nadzieją, że w zaroślach wypatrzę intruza, ale wszędzie panowała niczym niezmacona cisza.

Weszłam na ganek i zajrzałam przez wąską szybkę w drzwiach, ale była zasłonięta starą firanką.

– Widzisz coś? – dopytywała Aga.

– Nie, chodźmy na werandę. Może stamtąd uda nam się coś zobaczyć.

Na werandę wychodziło okno z kuchni, ale też nie udało się zajrzeć, bo i tam zaciągnięta była zasłonka. Byłam zdezorientowana.

– Michaśka, a właściwie dlaczego nie wchodzimy? Przecież masz klucz.

Kiedy weszłam na podwórko, zaskoczyło mnie to, że ktoś tu bywa, i z tego wszystkiego zapomniałam o kluczu. Zachowywałam się, jakbym była na obcym terenie.

Klucz zazgrzytał przeraźliwie, widocznie zamek nie był dawno otwierany. Ulżyło mi. Drzwi wydały jeszcze bardziej upiorny dźwięk. Wstrzymałam oddech, gdy przekroczyłam próg domu mojego dzieciństwa, i weszłam w panujący tam półmrok. W przenikającym przez niestarannie zaciągnięte zasłony światła dnia wirowały drobiny kurzu. Wszędzie unosił się zapach stęchlizny.

Zatrzymałam się w drzwiach do pokoju babci. Serce mi waliło, a oddech znacznie przyśpieszył.

– Spokojnie. – Aga stała tuż za mną. – Przecież nic się nie dzieje.

– Wiem. To ze wzruszenia.

Nic się tu nie zmieniło. Ogromna szafa z lustrem, wąskie łóżko z zakurzoną narzutą na pościeli, biblioteczka pełna książek. Pod oknem wysiedziany fotel i małe biurczko. Przy łóżku nocna szafka, a na niej zakurzona ramka. Wzięłam ją do ręki i zdmuchnęłam kurz. Zobaczyłam swoją uśmiechniętą twarz na zdjęciu sprzed wielu lat.

Aga zaczęła kichać, była uczulona na kurz.

– Wyjdę na podwórko – oznajmiła w przerwach między seriami kichnięć.

Zostałam sama. Ze skrzypnięciem otworzyłam szafę. Wciąż wisały w niej babcine ubrania. Jakby wciąż tu mieszkała. Otarłam łzę. Babciu, kochana babciu, pomyślałam z bólem. Wciągnęłam mocniej powietrze z szafy. Miałam nadzieję, że jeszcze wyczuję zapach minionych lat. Ubrania przechowują zapachy najdłużej. Ale tylko się rozkaszałam.

Z pokoju babci przeszłam korytarzem do kuchni. Na podłodze wały się mysie bobki i grube warstwy kurzu. Na okiennym parapecie smętnie stały doniczki z uschniętymi kwiatami, a pod oknem znajdował się przekrzywiony dębowy stół. Miał złamaną nogę. Z sufitu zwisały girlandy pajęczyn. Kredens pod ścianą miał otwarte drzwiczki i prezentował całą swoją zawartość: zakurzone garnki i talerze, a z kaflowego pieca odpadło kilka płyt. Kiedyś w tym pomieszczeniu koncentrowało się życie całego domu, to tutaj, przy kuchennym stole, odrabiałam pierwsze lekcje i słuchałam babcinych opowieści, patrząc, jak śmiga na drutach.

Usłyszałam dobiegającą z podwórka rozmowę. Ruszyłam do wyjścia.

To Aga i jakaś starsza kobieta stały przy samochodzie.

– Dzień dobry! – Podeszłam do nich cicho.

Kobieta odwróciła się gwałtownie.

– Pani pyta, kim jesteśmy i czego tu szukamy.

Kobieta była stara i zniszczona, przyglądała się uważnie mojej twarzy załzawionymi bladoniebieskimi oczami.

– Jestem Michalina, wnuczka Heleny Piotrowskiej.

– Michalina – szepnęła kobieta. – Córka Stefana.

Przytaknęłam.

Patrzyłyśmy na siebie, milcząc.

– Nie wie pani, kto mieszka w letniaku? – Wskazałam głową na pawilon.

– Mieszka? – zdziwiła się nieszczerze i uciekła wzrokiem. – Nie, tam nikt nie mieszka.

– Wygląda, jakby ktoś mieszkał – wtrąciła Aga.

– Może tylko ktoś przychodzi?

– Wszystko jedno czy przychodzi, czy mieszka. Nie wie pani kto?

– Nikogo nie widziałam... – Kobięcina zawiesiła głos, patrząc w kierunku pawilonu, jakby nagle ktoś miał stamtąd wyjść.

– Szkoda. Będę musiała częściej tu zaglądać. Ale dziękuję pani.

– A u tatusia co słyhać? – spytała z zainteresowaniem.

– Ojciec na stałe mieszka w Kanadzie.

– To szmat drogi! – Zdziwiła się. – Gdzie go tam poniesło?

Nie odpowiedziałam.

– To ja już pójdę. Nie będę paniom przeszkadzać. Proszę pozdrowić tatusia.

– Pozdrowię, dziękuję.

– A od kogo te pozdrowienia? – Aga nie odpuściła.

– My do szkoły powszechnej razem chodziliśmy. Jadwiga od Kościelaków jestem. Grzybowa, za Zdzisławem Grzybem z Arciechowa. Gospodarka nasza po moich rodzicach tutaj, w Szamocinach jest. Jakem zobaczyła obcy samochód, to od razu przybiegłam, żeby jakie obce tu niczego nie popsęły. Przez tyle lat, Bogu dziękować, nic się nie stało, ale wiadomo: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Dziękujemy, pani Grzybowa. Przekażemy pozdrowienia. Do widzenia.

– Do widzenia, do widzenia! – Odeszła nieśpiesznie.

– Wierzysz jej?

– Niby w co?

– No, że nikt tu nie mieszka.

– A skąd! Przecież to jasne, że ktoś tu mieszka. A przynajmniej bywa. Ona wie kto, tylko nie chce powiedzieć. Widziałaś, jak uciekała wzrokiem? Jak nic kłamała!

– Ciekawe, kto tu bywa.

– To pewnie ktoś miejscowy, inaczej by go nie kryła.

– Myślałby kto, że tacy solidarni.

– Zapytamy w sklepie, w tym przy kościele. Chodź do domu, bo zmarzłam. Poszperamy jeszcze chwilę i wracamy, bo niedługo się ściemni.

Słońce schowało się za chmury, zerwał się wiatr, a na dodatek zaczął siąpić deszcz.

Wróciliśmy do domu, ale w środku było już ciemno. Nie miałyśmy ze sobą latarek.

Zajrzałam jeszcze tylko do łazienki, ale po ciemku nic nie było widać. Na pięterko, gdzie kiedyś był mój pokój i pokój ojca, bałam się wejść po drewnianych schodach. Następnym razem trzeba się lepiej przygotować na taką wyprawę, pomyślałam.

– Chodźmy – popatrzyłam ostatni raz po znajomych kątach, wyszłam na ganek i zamknęłam za sobą drzwi.

– Zajrzemy jeszcze do sadu? – Aga już się przedzierała przez chaszczkę porastające przejście.

– Możemy zajrzeć, ale pewnie drzewa podziczały. – Stałam zaskoczona widokiem, jaki mi się ukazał. Sadem wyraźnie ktoś się zajmował. Niektórych drzew już nie było, zostały po nich tylko wyrwy w równym szeregu. Za to pozostałe były starannie przycięte i miały już otulone na zimę pnie. Na ziemi ani śladu liści i zgniłych spadów.

– Ożeż... – powstrzymałam przekleństwo.

– Daj spokój! – Aga miała do tego bardziej pragmatyczny stosunek. – I tak z tego nie korzystałaś.

Pokiwałam głową, ale byłam zła. Ktoś bez mojej wiedzy naruszył moją przestrzeń.

– Miało się zmarnować? – Aga zadała retoryczne pytanie.

– No nie, ale ten ktoś mógł chociaż zapytać.

– Ale kogo? I jak?

Milczałam. Aga miała rację.

– Może to ten, kto tu przychodzi albo mieszka? – Wysnułam przypuszczenie.

– Może. Kto to wie?

– Muszę tu niedługo przyjechać. Może zastanę nieproszonego sublokatora.

– Daj spokój, Michaśka, nie narażaj się sama! Przyjadę z tobą.

– Będiesz na mnie urlop marnować?

– Mam go od groma i ciut-ciut. Zresztą podoba mi się tutaj. Wysprząta się i wyremontuje dom i będzie supermiejsce na wypady weekendowe i na wakacje. O ile ktoś lubi taką głuszę.

– Muszę to sobie wszystko poukładać, zaplanować.

– No to masz zajęcie, dopóki do pracy nie wrócisz.

Uśmiechnęłam się do Agi. Jak ona dobrze mnie znała!

Kiedy wyjeżdżałyśmy na główną drogę, ktoś nam się uklonił.

– Kto to? – spytała Aga.

– Nie wiem. To chyba ten człowiek, który powiedział mi, jak tu dojechać. Ten z Wyszogrodu – dodałam.

Obejrzałam się, żeby mieć pewność. Tak, to był on.

Ciekawe kto to.

Minęłyśmy dziewczynę na rowerze, która odjeżdżała spod sklepu. Dziwacznie ubrana w workowaty płaszcz i uszankę wyglądała groteskowo. Obejrzała się za nami.

– Przepraszam... – Aga przejęła inicjatywę i zagadnęła sklepową. – Przepraszam, mam pytanie. Koleżanka jest wnuczką zmarłej Heleny Piotrowskiej i przyjechałyśmy dzisiaj na jej grób i do jej domu. Koleżanka jest właścicielką tego opuszczonego domu, niedaleko tej niebieskiej chaty. Zauważyłyśmy, że ktoś się zagospodarował w letniej kuchni i w sadzie. Nie wie pani może kto to?

Pokręciła przecząco głową bez większego zainteresowania.

– A kim była ta dziewczyna, która przed chwilą odjechała na rowerze?

Aga spojrzała na mnie zdziwiona.

– A, to durna Marcia. – Sklepowa udzieliła wyczerpującej odpowiedzi.

– Dlaczego durna?

Sklepowa wzruszyła ramionami i zaczęła dłubać w zębach.

– Wszyscy ją tak nazywają. Od zawsze.

– No, jak od zawsze... – Aga patrzyła z niechęcią na grubą babę za ladą. – Dziękujemy pani. Do widzenia.

Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową jak angielska lady. Też coś!

Ruszyłyśmy spod sklepu z piskiem opon.

– Okropny babsztyl. – Aga była zde gustowana.

– A czego się spodziewałaś?

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się. Może nie wie. Ale mi chodzi o tę dziewczynę. Jak można kogoś nazywać durnym i nie wiedzieć dlaczego? Tylko z tego powodu, że od zawsze wszyscy tak mówią? No, sama powiedz.

– Może jest durna. – Słabo wyraziłam swoją wątpliwość.

– Może. Ale po co o tym informować każdego? To wstrętne! – Aga była zbulwersowana.

– Ludzie teraz są okropni. Jak widać nie tylko w mieście. Na wsi też.

Milczałyśmy do Wyszogrodu.

– Napiłabym się kawy.

– Ja też. Chcesz wypić tutaj czy na trasie?

– Sama nie wiem. Może tutaj dowiedziałybyśmy się jeszcze czegoś?

– Możemy spróbować. – Aga skrzyła do miasta. – A widziałaś tu jakąś restaurację?

– Nie. Kiedyś był tu hotel z restauracją, ale to było dawno. Zobaczmy, czy coś zostało.

Samochód zostawiłyśmy pod domem towarowym i ruszyłyśmy na poszukiwanie. Niestety, po hotelu i restauracji nie było śladu. Nie chciało nam się zapuszczać głębiej w miasto, dalej znajdowały się tylko wąskie uliczki i stare, jakby zapadnięte w ziemię domy. Okna miały tak nisko ziemi, że bez trudu można było przez nie wejść do środka. Za rogiem jednej z ulic znajdował się sklep papierniczy. Zatrzymałam się przy wystawie i zapatrzyłam na starą jak świat dekorację – drewniany wiatrak z ruchomymi śmigłami. Pamiętałam ten wiatrak. W dzieciństwie wpatrywałam się w niego zafascynowana i z trudem udawało się babci odciągnąć mnie od tej wystawy. Minęło tyle lat, a wiatrak wciąż działał. Niesamowite. I jakimś cudem sklep jeszcze funkcjonuje.

– Aga, zobacz. Gdy byłam dzieckiem, przychodziłyśmy tu z babcią. Pamiętam ten wiatrak. Wejźmy. – Roześmiałam się i podekscytowana ruszyłam do środka po trzech drewnianych, wytartych schodkach.

U drzwi wisiał stary mosiężny dzwoneczek, który oznajmiał właścicielowi, że do sklepu wszedł klient.

Pokonałyśmy jeszcze dwa schodki w samym sklepie i dopiero stanęłyśmy przy ladzie. Okno z wiatrakiem znajdowało się niżej niż reszta sklepu. Pamiętałam, że po drugiej stronie lady były strome schodki, po których zawsze schodził właściciel, kiedy zadzwieczał dzwonek.

Zdziwiona stwierdziłam, że wewnątrz niewiele się zmieniło. Było tylko bardziej zagracone, bo oprócz artykułów papierniczych teraz można tu było kupić także inne towary. Jeden z regałów wypełniony był pasmanterią – szpulkami nici i kłębkami różnokolorowej włóczki. W kącie był punkt wywoływania zdjęć.

Za ladą siedział mężczyzna w średnim wieku zajęty pisaniem czegoś na komputerze. Na nasz widok podniósł się z krzeselka i przyglądał ciekawie.

– Dzień dobry.

– Witam panie. – Był bardzo uprzejmy. – Czym mogę służyć?

Kiedy się uśmiechał, wokół jego oczu pojawiły się maleńkie zmarszczki, co dodawało mu takiego uroku, że nie mogłam od niego oderwać oczu.

– Panie chyba przyjezdne? – zagadnął.

– Nie, nie jesteśmy stąd. A właściwie trochę stąd – odpowiedziałam niemądrze. Za plecami usłyszałam prychnięcie Agi.

– Trochę stąd? – zdziwił się.

– Koleżanka pochodzi stąd. W dzieciństwie tu mieszkała – wyjaśniła za mnie Aga.

– Ach tak. A długo?

– Nie, nie tak długo. Tylko cztery lata. Nawet chodziłam tutaj do szkoły przez jakiś czas. To znaczy nie tutaj, tylko w Szamocinach.

Mężczyzna słuchał uprzejmie z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Pamiętam ten sklep, dlatego weszłyśmy.

– Pamięta pani ten sklep? – ożywił się.

– Tak. Kupowałyśmy tu z babcią zeszyty i inne rzeczy. I ten wiatrak pamiętam.

Widziałam, jak facetowi jaśnieją oczy.

– Naprawdę? To dzieło mojego taty, był z niego bardzo dumny. Postanowiłem go zostawić, kiedy odziedziczyłem po nim interes. Bardzo mi miło, że pani pamięta te czasy.

– Nazywam się Michalina Szawłowska. Z domu Piotrowska – przedstawiłam się. – A to moja przyjaciółka, Agnieszka Idzik.

– Waldemar Nieckarz. Czy pani jest spokrewniona z Heleną Piotrowską?

– To moja babcia. Właśnie u niej mieszkałam w dzieciństwie. Jestem córką Stefana Piotrowskiego.

Przyglądał mi się w milczeniu.

– Pamiętam pani tatę. Przyjaźnił się z moim ojcem, dopóki nie wyjechał na studia. Tata często wspominał tamte czasy. Może dadzą się panie zaprosić na kawę?

– Bardzo chętnie – odpowiedziałyśmy jednocześnie.

– Świetnie się składa. Bo widzi pan – dodałam – chciałybyśmy dowiedzieć się paru rzeczy, ale nikogo tu nie znamy. A do pana sklepu weszłyśmy właściwie z sentymentu. Ale czy nie przeszkadzamy panu?

– Nie. Na wszelki wypadek zostawię otwarte drzwi. Będzie słyhać, gdy ktoś wejdzie. Od razu przepraszam za skromne warunki. Nie mieszkam tutaj.

Waldemar podniósł fragment lady, żebyśmy mogły wejść, i otworzył drzwi do wnętrza mieszkania. Nigdy tu nie byłam, więc rozglądałam się ciekawie – przestronny pokój z wygospodarowanym miejscem na małą kuchenkę, teraz pustą. Tylko na małym stoliku stał elektryczny czajnik. Pośrodku stół nakryty ceratą w kratkę, a pod ścianą pojedyncze łóżko bez pościeli. Obok szafa, za szafą osłonięte zasłonką miejsce służące za łazienkę, a tam emaliowana miednica i wiadro z wodą. Okno pokoiku było zakratowane i wychodziło na zaniedbane podwórko.

Usiadłyśmy przy stole, a gospodarz zajął się parzeniem kawy.

– Panią też pamiętam, pani Michalino. Chodziliśmy do tej samej szkoły, tylko ja byłem trzy klasy wyżej.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie.

– Ja zapamiętałem, bo wszyscy plotkowali o pani, kiedy mieszkała pani u babci.

– Plotkowali? A o czym?

– Dziwili się, że miejskie dziecko chodzi do wiejskiej szkoły. Wie pani, jacy są ludzie na wsi. Wszystko, co obce, dziwi ich i zajmuje. Nie mają tu zbyt wielu rozrywek, to plotkują. No, a w pani wypadku plotki były podsycane tymi wszystkimi zdarzeniami.

– Jakimi zdarzeniami? Nic nie wiem.

Spojrzał na mnie dziwnie znad szklanki z kawą. O co mu chodzi?

– Przepraszam panie na chwilę. – Ze sklepu dobiegł dźwięk dzwoneczka. Waldemar wyszedł.

Popatrzyłyśmy na siebie konspiracyjnie.

– O czym on mówi? – spytała szeptem Aga.

– Nie mam pojęcia. Może o tym, że moja matka porzuciła mojego ojca i ślad po niej zaginął? To się często nie zdarza, więc o tym się mówi.

– Może. Nawet niezły ten cały Waldemar. – Puściła do mnie oko.

– Oj, głupiaś! – zdążyłam jej odszepnąć, bo Waldemar właśnie powrócił.

– To co chciałyby panie wiedzieć?

– Bywa pan czasem w Szamocinach?

– Teraz rzadko, mieszkam kilka ulic stąd. Ale tutaj wszyscy się znają.

– Byłyśmy dziś odwiedzić cmentarz i dom, który odziedziczyłam po babci. Wydawało nam się, że ktoś mieszka w letniej kuchni na terenie posesji. Wprawdzie okiennice były zamknięte, ale wśród trawy i chwastów jest wydeptana ścieżka wiodąca do drzwi. Nie wie pan, kto to może być?

Patrzył na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem. Głupio zapytałam. Niby skąd ma wiedzieć takie rzeczy, skoro nie mieszka w pobliżu.

– Ach tak – powiedział, cicho przeciągając słowa.

Teraz ja patrzyłam na niego zdziwiona, ale nie kwapił się z dalszymi wyjaśnieniami.

– A wie pan, kim jest durna Marcia? – wypaliła Aga.

Był zaskoczony pytaniem, to było widać. Opisałam mu więc dziewczynę na rowerze i powtórzyłam, co o niej powiedziała sklepowa.

– To nieszczęśliwa dziewczyna – odpowiedział. – Jest samotna, nie ma rodziny.

– A dlaczego nazywają ją durną?

– Bo jest inna niż wszyscy – odpowiedział po chwili zastanowienia. – A to już jest wystarczający powód, żeby kogoś nazwać durnym. Ale to miła dziewczyna. Czasami tu przychodzi.

Rozmowa się nie kleiła. Zaczęło się ściemniać, więc postanowiłam zakończyć wizytę.

– Dziękujemy panu serdecznie – wstałam od stołu i wyciągnęłam do niego rękę. – Było mi bardzo miło pana poznać.

– Mnie również. – Uśmiechnął się i znowu sieć zmarszczek wokół oczu zauroczyła mnie niebezpiecznie. Dłoń miał delikatną, ale uścisk zdecydowany. – Zapraszam przy następnej wizycie w naszym mieście.

– Do widzenia.

* * *

Na zewnątrz ciągle siąpił deszcz.

– I co myślisz?

Aga zręcznie ominęła podchmielonego rowerzystę. Po chwili wyjechała z Wyszogrodu na trasę do Warszawy.

– O czym?

– Oj, o czym. O tym, co ten facet mówił. O tej dziewczynie.

Adze też nie dawała spokoju.

– Ciekawe, kim jest. Chciałabym ją poznać.

– Ja też. Tylko jak to zrobić? Walduś był dość powściągliwy w informacjach. Odniosłam wrażenie, że ją zna i nie podoba mu się traktowanie jej przez ziomków.

– Powiedziałabym, że ją lubi, a może nawet jest nią zainteresowany.

– Zainteresowany? Nieee, chyba nie. A zresztą kto to wie? On sam sprawiał wrażenie, jakby tu nie pasował. Też jest jakiś inny. Nie uważasz?

Rzeczywiście, Waldemar Nieckarz był bardzo męski, ale jednocześnie delikatny. Aga miała rację. Nie pasował do tego miejsca. Zamilkłyśmy obie.

– On jest miastowy – powiedziałam po dłuższej chwili.

– Kto? – Moja przyjaciółka najwyraźniej myślami była już gdzie indziej.

– Waldemar. Miastowy jest. I dlatego tutaj nie pasuje. Jest tu z przymusu. Przecież powiedział, że sklep odziedziczył po ojcu.

– Masz rację. Ale coś go trzyma w tej miejscinie, bo po co by tu siedział?

– Spytamy przy następnej wizycie.

Tymczasem zrobiło się ciemno. Aga jechała dość wolno, bo zaczynało się robić ślisko. Na drodze było pusto, długie światła samochodu cięły ciemność bez litości. Przejżdżałyśmy przez las. Spomiędzy drzew na asfalt wypęły kłęby mgły i wpadały nam pod koła.

– Sceneria jak z filmu grozy – stwierdziłam. Mimo woli wstrząsnął mną dreszcz. Przypomniał mi się mój sen, w którym szłam na spotkanie z Michaeszem.

– Przestań, bo zaczynam się bać. Chybabym umarła ze strachu, gdyby nam się teraz samochód zepsuł.

Na szczęście las się skończył. Kilka kilometrów dalej był zjazd na drogę do Warszawy. Tam panował spory ruch. Poczułam zmęczenie. Aga przyśpieszyła.

– Długo nam zeszło. Ale fajnie było. Zadowolona jestem. Dziękuję ci za ten dzień.

– Nie ma za co. Mnie też się podobało. Latem musi być tam pięknie.

W Łomiankach ugrzęźłyśmy w korku z powodu przebudowy drogi. Dochodziła szósta. Powoli pokony-

wałyśmy kilometr za kilometrem. Zająłoby nam to blisko godzinę.

– Wejdiesz na górę? – zapytałam, gdy Aga wypakowywała pod moim domem nasze wiejskie zakupy.

– Nie, dziękuję ci. Muszę już jechać. Moja mama jest z chłopcami, chcę ją jeszcze odwiedzić. Na szczęście jutro sobota.

– Aguś, jeszcze raz ci dziękuję. Masz moją dozgonną wdzięczność! – Uściskałam ją serdecznie.

– Daj spokój, wariatko. Dla mnie to też była przyjemność, takie oderwanie się od codzienności. – Oddała uścisk. – Zobacz, to bmw ciągle tu stoi. I ktoś w nim siedzi. Ciekawe, czy to ten sam facet.

– Dziwne. Pewnie czekają na kogoś.

– Raczej pilnują. Mamy dziś dzień pełen tajemnic. Uważaj na siebie, Michaś! – Cmoknęła mnie w policzek i odjechała. Zgarnęłam swoje pakuiki i weszłam do budynku.

– Dzień dobry, panie Kaziu!

Ochroniarz uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Moje uszanowanie, pani Michalinko. Zaraz pani pomogę z tymi ciężarami. Jasiu! – Krzyknął w głąb pomieszczenia ochrony. – Zastąp mnie na chwilę.

– Z wycieczki pani wraca? Daleko? Ale coś ładnie pachnie, aż ślinka cieknie.

– Z wycieczki, panie Kaziu. Średnio daleko. Ze sto kilometrów. Kiełbaska wiejska tak pachnie. Dam panu kawałek.

– Chętnie skorzystam. Nie ma to jak wiejska kiełbaska porządnie naczosnkowana.

Pan Kazio bardzo starannie zamknął za sobą drzwi i wszedł za mną do kuchni.

– Pani Michalinko, sprawa jest – powiedział przyciszonym głosem.

– Jaka sprawa, panie Kaziu? – zapytałam przestraszona.

– Pan Paweł na panią czeka. W garażu, w moim samochodzie.

– Co takiego?

– Prosił mnie, żebym mu pomógł dostać się do pani, bo jacyś podejrzani goście za nim chodzą.

Rany boskie!

– Panie Kaziu – wykrztusiłam – na dole w bmw od rana siedzą jacyś dziwni ludzie.

– Cholera, to pewnie ci, co chodzą za panem Pawłem. Pani Michalinko, ale to dobrze. Widzieli panią samą, to będą dalej tam siedzieć i wyglądać pani męża. Skoczę po niego do garażu! – Nie poczekał nawet, aż się zgodzę, tylko pognął do wyjścia. Na wszelki wypadek zamknęłam za nim drzwi na zasuwę.

Po chwili przyszli. Paweł był jakiś zmięty, poszarzały, wślizgnął się do mieszkania ukradkiem. Pan Kazio rozejrzał się nerwowo po korytarzu i wszedł za nim.

– Panie Pawełku, zostawiam pana. Pan pamięta, że o szóstej kończę służbę. Jak pan chce, możemy stąd wyjechać, tak jak przyjechaliśmy.

– W porządku, panie Kaziu, dziękuję. W razie czego zadzwonię.

– Niech pan uważa, panie Pawełku. To cwani goście są. Nie otwierajcie nikomu obcemu. Pani Michalinko, pani da mi kawałek tej kiełbaski i znikam.

Wcisnęłam mu w rękę połowę kiełbasy i dwie bułki, a Paweł zamknął za nim drzwi.

– Do jasnej cholery! – wrzasnęłam. – Co ty wyprawiasz!

– Ciszej. – Paweł wyglądał przez wizjer. – Mów ciszej. Chodź do kuchni, głodny jestem. Cały dzień na ciebie czekam.

Usiadłam przy stole i patrzyłam, jak parzy herbaty dla siebie i dla mnie i jak w końcu dobiera się do kiełbasy.

– Pycha – wymamrotał z pełnymi ustami. – Skąd ją masz?

– Kupiłam na wsi, na targu. Mam też wiejskie jajka, mogę ci zrobić jajecznicę.

Pokiwał głową.

– Z trzech! – Wpychał do ust bułkę posmarowaną masłem.

Patrzyłam, jak jadł łapczywie. Milcząc, czekałam, aż skończy.

– Michaśka – sam zaczął rozmowę. – Wiem, co powiesz, ale potrzebuję twojej pomocy.

– Jakiej? – Sama byłam zaskoczona oschłością swojego głosu.

– Muszę pryskać z kraju. Jutro rano znajomy jedzie samochodem do Gdańska. Zabiorę się z nim. Stamtąd pojedę do Świnoujścia i promem popłynę do Szwecji. Ze Szwecji polecę do Londynu. Tam pomyślę, co dalej.

– A jaki ma być w tym mój udział?

– Przenocujesz mnie. I jak możesz, pożycz mi trochę forsy. Rano pan Kazio podwiezie mnie do tego znajomego i będziesz miała spokój.

– A nasz rozwód? Sprzedaż mieszkania? Kiedy wrócisz? Planujesz w ogóle wrócić?

– Nie wiem, Michaśka. Namieszałem we własnym życiu. Nikomu już nie ufam, tylko tobie. Panu Kaziowi muszę. – Nerwowo zapalił papierosa.

– Nie możesz się powstrzymać?

– Przepraszam, pozwól mi. Nie mogę wyjść na balkon.

– Coś ty narobił? Jacyś faceci od rana siedzą przed blokiem. To na ciebie czekają, tak?

Widziałam, że był zaskoczony.

– Jacy faceci?

– Z jednym rano rozmawiałam. Blondyn z takimi zimnymi bladoniebieskimi oczami.

– Cholera! – zaklął. – To oni!

– Paweł, co zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem. Zgrałem się i pożyczyłem od nich forszę. Nie mam z czego oddać.

– Nie pomogę ci. Sama mam niewiele.

– Wiem. Oddam ci wszystko.

– Daj spokój. Nie rób więcej długów, to już będzie dużo. Z resztą sobie poradzę.

– A jak się czujesz?

Trochę mnie zabolalo, że to pytanie padło dopiero teraz.

– Dobrze. Od stycznia prawdopodobnie wrócę do pracy.

– Cieszę się, Michaśka. Naprawdę.

Patrzyliśmy na siebie. Kiedyś tyle nas łączyło, a teraz siedzieliśmy jak dwoje obcych sobie ludzi.

– Pościelę ci w salonie.

Przytargałam z garderoby pościel i ułożyłam na kanapie. Paweł zamknął się w łazience. W tym czasie pozmywałam i pochowałam naczynia. Kiedy weszłam do sypialni, mój mąż spał słodko na swojej części naszego łóżka. Wyglądał na wykończonego, więc go nie budziłam. Zabrałam piżamę i poszłam do salonu na kanapę.

Nie mogłam zasnąć. Zdarzenia dzisiejszego dnia wprowadziły zamęt w mojej głowie. I martwiłam się o Pawła. To, co zrobił, mogło mieć wpływ na moje życie. Bałam się, że podejrzone typy będą mnie nękać.

Było mi niewygodnie. Wierciłam się do północy. Potem zdesperowana poszłam do sypialni i cicho położyłam na łóżku obok Pawła. Skulona pod kołdrą w pozycji embrionalnej zasnęłam, nawet nie wiem kiedy.

Budzik w telefonie Pawła zapikał o piątej trzydzieści. Zerwaliśmy się na równe nogi, jakby coś się stało. Przerazenie na jego twarzy podziałało na mnie jak zimny prysznic. Musiał być naprawdę w trudnej sytuacji.

– Zrobię ci śniadanie. – Wyszłam do kuchni. Wstawiłam owsiankę i włączyłam komputer. Przeląłam

połowę swoich pieniędzy na konto Pawła. Ja sobie poradzę, a on musi od czegoś zacząć. Żeby tylko przestał grać. Ale nie będę go uświadamiać. Jest dorosły, wie, co robi. Chciałam w to wierzyć.

O szóstej trzydzieści zadzwonił pan Kazio, że do nas jedzie. Staliśmy w przedpokoju, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Michaśka, nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczny za dzisiejszą noc. Dawno nie spałem tak spokojnie. I dziękuję za kasę. Oddam ci wszystko.

– Daj spokój, Paweł. Jesteś w potrzebie. Już mówiłam, że sobie poradzę. A ty postaraj się więcej nie grać. Sam widzisz, do czego to doprowadziło.

– Wiem. – Przygarnął mnie do siebie. Czułam, że drży. – Uważaj na siebie.

– Będę. Ty też uważaj. I odezwij się.

Obaj z panem Kaziem rozejrzeli się konspiracyjnie i poszli do schodów ewakuacyjnych.

Przy zgaszonym świetle wyjrzałam na ulicę. Czarne bmw nadal tam stało.

* * *

Pierwszego listopada po raz pierwszy od powrotu ze szpitala wyprawiałam się własnym samochodem poza miasto. Pojechałam na grób Elżuni. Uboga mogiła z drewnianym krzyżem wyróżniała się pośród dostatnich pomników glinianą pustką. Zapaliłam kilka zniczy i postawiłam białą chryzantemę. Śpij, aniołku.

* * *

Z cmentarza postanowiłam pojechać do rodziców Elżuni. Tym razem nie zabłądziłam, może dlatego, że nagie gałęzie drzewa nie zasłaniały drogowskazu. Droga była błotnista i pełna kałuż w koleinach.

Brama była zamknięta, tylko furtka stała otworem. Trochę się bałam ojca Elżuni, ale śmiało ruszyłam ku domowi. Drzwi do sieni były otwarte, ten sam szary, chudy kot siedział na progu i mył futerko. Spojrzał na mnie obojętnie i powrócił do swojego zajęcia. Zapukałam w szybę wewnętrznych drzwi. Po chwili usłyszałam szuranie kapci.

– Dzień dobry. – W drzwiach stał podchmielony gospodarz.

– Czego?

– Pamięta mnie pan? Byłam tutaj z koleżanką we wrześniu, u Elżuni.

– Co mam nie pamiętać – burknął znowu, ale otworzył szerzej drzwi i wpuścił mnie do środka.

Kocur przemknął mi pod nogami i czmychnął do kąta przy piecu. W półmroku świeciły jego bursztynowe oczy.

– Po co pani przyjechała?

– Chciałam zobaczyć, jak wam się wiedzie. Czy nie potrzebujecie pomocy.

Usiadł ciężko przy stole.

– Pani się napatrzy na nasze bogactwo! – Głos zabrzmiał szyderczo. – Może pani do garów zajrzeć, ale powiem pani, że pusto.

Zrobiło mi się głupio.

– Panie Dąbrowski, nie chciałam pana urazić, broń Boże. Jeśli pan chce, to sobie pójdę.

Chłop łyknął ze stojącej na stole butelki i podparł głowę rękami.

– Dajcie mi spokój. Mnie wszystko jedno.

Rozejrzałam się po kuchni. Z każdego kąta wiało opuszczeniem.

– Panie Dąbrowski, a gdzie Bartuś i pańska żona?

– Zabrała chłopaka i poszła precz do swojej siostry. Wyprowadziła się do Pułtusza. Powiada, że to

wszystko moja wina. A co ja temu winien? Tej biedzie? No co? Był u niej ksiądz proboszcz, ale się zaparła. Jak przestanie pić, to wrócę, mówi. Inaczej nie ma mowy.

Zdumiona spostrzegłam, że po nieogolonych policzkach płyną łzy.

– Panie Dąbrowski, nie trzeba płakać, tylko wziąć się z życiem za bary!

– Ot, powiedziała, co wiedziała – burknął pod nosem. – A toć nic innego nie robię, ino się baruję z życiem. Odkąd wyrostkiem byłem. Ojciec odumarł i trza było harować w polu, matce i rodzeństwu pomóc. I co z tego dzisiaj mam? Gospodarka podupadła, rodzeństwo wciąż rękę wyciąga po spłatę z gospodarstwa. A skąd ja mam wziąć? Same nieużytki tutaj, mało co się urodzi. Nawet nie zapytają, czy nie trza pomóc. Obce ludzie, jak pani, pomagają. Nikt nie przyjechał na pochówek Elżuni, sama pani widziała. Co mnie z tego życia? Co? – rozzalił się. – Teraz jeszcze kobita poszła precz. Trza mi się było utopić, a nie żyć i dzieci chore płodzić!

Chciał znowu łyknąć z butelki, ale w porę mu ją zabrałam.

Serce mnie bolało, ale musiałam zadziałać.

– Co pani? – Oburzenie niemal odebrało mu głos. – Muszę się napić.

– Nie musi pan pić. Musi pan przestać to robić i doprowadzić do tego, żeby Bartuś i jego matka tutaj wrócili. Panie Dąbrowski! A pomyślał pan, że i im ciężko przez pana picie? Przecież tutaj jest ich dom! Co mają siedzieć kątem u kogoś? Lepiej biednie, ale u siebie.

– Chłopak to nic nie pojmuje. On słaby na umyśle.

– Może i słaby, ale pewnie właśnie dlatego tęskni za swoim domem i za swoim tatą. Co, nie kocha go pan, bo ułomny?

– Jakże to? Co pani mówi? A toć to syn mój rodzony! Co on winien?

– No właśnie, panie Dąbrowski! Co on winien? A pana żona?

Chłop całkowicie się rozkleił. Łzy kapały na ceratę.

– No już, niech pan nie płacze. To nic nie pomoże. Niech pan coś zje i od razu lepiej się pan poczuje, a potem prześpi i wszystko zobaczy pan w innych kolorach.

Ktoś wszedł do sieni i drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Przez szparę wsadził głowę przestraszony Bartuś.

– Tata! – zawołał. – Tata!

Za Bartusiem do izby weszła jego matka. Chłop poderwał się z krzesła i chwycił chłopca w objęcia.

– Synek! Przyjechałeś do taty! – Ścisnął małego i gładził po główce.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Pamięta mnie pani?

Matka Elżuni tylko skinęła głową i poprawiła wiązanie chustki pod brodą.

– Mańka! – Stary zwrócił się do żony. – Mańka, ty mnie wybacz. Stary ja i głupi. Ot, myślał, że wódką nieszczęścia zaleję. Pusto tutaj bez was, smutno. Wracaj, kobito, bo to nie życie dla mnie. Nie będę już pił. Postanowiłem.

Kobiecina do niego podeszła i objęła swoich dwóch mężczyzn.

– Oj, Franek, stary i głupi ty chłop, ale tyś mąż mój. Gdzie mnie po świecie szczęścia szukać, kiedy tutaj dom mój.

Poczułam, jak w gardle rośnie mi gębla, a oczy wzbierają łzami.

Zawiozłam wszystkich troje na cmentarz. Staliśmy razem nad grobem Elżuni i szeptaliśmy modlitwy.

– Niech panią Bóg błogosławi za to, co pani dla mnie zrobiła – powiedział po wyjściu z cmentarza ojciec i uroczyście pocałował mnie w rękę. – Potrzeba mi było takiego kazania.

– I ja z serca dziękuję! – Matka Elżuni dołączyła do podziękowań, a Bartuś przytulił się do moich kolan. Wcisnęłam kobiecie w rękę parę groszy i obiecałam, że będę ich odwiedzać.

Do wsi zabrał ich zdezelowanym samochodem sąsiad.

* * *

Droga powrotna nie była łatwa. Panował duży ruch, szczególnie w okolicy cementarzy, a ja dawno nie prowadziłam. Jechałam ostrożnie, bo nie byłam pewna, czy po operacji moje umiejętności kierowcy nie ucierpiały. Miewałam dni, kiedy bolała mnie głowa i moje reakcje były spowolnione. Dziś czułam się dobrze, dlatego pozwoliłam sobie na tę wycieczkę. Jednak jazda kosztowała mnie trochę więcej uwagi niż zwykle. Poza tym wizyta w domu Elżuni wyczerpała mnie emocjonalnie. Trzeba będzie tam zaglądać od czasu do czasu i wesprzeć ich, nie tylko finansowo.

* * *

W domu zrobiłam sobie odprężającą kąpiel. Potem długo studiowałam swoją twarz w lustrze. Worki pod oczami znacząco się zmniejszyły, a cera od miesięcy niemęczona makijażem odzyskała dawny blask i sprężystość. Nawet fryzura nie martwiła mnie zbyt – włosy już odrosły na przyzwoitą kilkucentymetrową długość i nie były matowe. Pomyślałam, że chyba muszę zrobić coś z kolorem. Od lat eksperymentowałam, naturalna myszowata barwa zupełnie mi nie odpowiadała. Kiedyś miałam ładne włosy, popielaty blond. Koniecznie muszę odwiedzić fryzjera, postanowiłam, nakładając odżywczą maseczkę.

W szlafroku położyłam się do łóżka i włączyłam laptopa. Naprawdę byłam już znudzona siedzeniem w domu i chętnie wróciłabym do pracy. Podczas ostatniej wizyty kontrolnej profesor powiedział, że jest coraz lepiej, i obiecał, że w styczniu będzie to możliwe. Ale do stycznia pozostały jeszcze dwa miesiące, musiałam sobie coś zaplanować, żeby nie zwariować z bezczynności. Aga nie poświęcała mi już tyle czasu co dawniej. Zajęta dziećmi i nową miłością z trudem znajdowała chwilę na pogaduchy. Zdecydowała też, że złoży wniosek o rozwód. Nie chciała powrotu Andrzeja.

A swoją drogą ciekawe, kim jest nowy partner Agi. Muszę ją przycisnąć, żeby nas sobie przedstawiła. Może zaproszę ich na kolację. Skoro już zdecydowała o rozwodzie, to może ujawnić swojego mężczyznę.

W poczcie znowu pełno spamu i reklam. Przychodzi tego straszna ilość. Usuwałam je pojedynczo w obawie, że mogę usunąć ważną wiadomość, bo ludzie mają coraz bardziej udziwnione adresy mailowe. Myślą chyba, że to zabawne. A może to ja nie mam poczucia humoru?

No i o mało nie usunęłam wiadomości od Pawła. Założył sobie nowe konto, chyba dla zmylenia swoich prześladowców: „pysiulek” – też coś. Dobrze, że otworzyłam wiadomość.

Michasia, jestem w Szwecji. Nie napiszę Ci gdzie dokładnie dla Twojego i mojego bezpieczeństwa. Zresztą z tych samych powodów będę zmieniał miejsce pobytu co dwa lub trzy dni. Postanowiłem, że najpierw przez konsulat załatwię dla Ciebie wszystkie potrzebne pełnomocnictwa do dysponowania mieszkaniem i całym naszym wspólnym majątkiem. Potem wyruszę dalej. Jednak nie będzie to Londyn, za dużo jest tam Polaków. A wiadomo, jacy są. Jedni pomogą całkiem obcemu, a inni dla zysku sprzedaliby własną matkę.

Trzymaj się ciepło, mój najlepszy przyjacielu. Wybacz, że Cię zawiodłem.

Paweł

Wiadomość przeczytałam bez emocji. Może konieczność ucieczki czegoś go nauczy.

Dobrze, że pomyślał o tych pełnomocnictwach. Znacznie mi to ułatwi sprzedaż mieszkania, jak tylko znajdzie się kupiec. Niestety, jakoś nie było chętnych. Może cena za wysoka? Na szczęście nie miałam noża na gardle, mogłam czekać. Wprawdzie utrzymanie tak dużego lokum dla jednej osoby to spore wyzwanie, ale przy rozsądnym gospodarowaniu pieniędzmi nie było to niemożliwe.

Postanowiłam napisać do Wiktora. Od dawna milczał. Czy u nich wszystko w porządku? Eee, na pewno, Aga by mi powiedziała, gdyby coś było nie tak.

Cześć, Wiktor, dawno nie pisałeś. Mam nadzieję, że u Ciebie, u Was, wszystko w porządku. Jak się czuje Natalia? I kiedy spodziewacie się rozwiązania? Często o Was myślę.

Wiktor, prawdopodobnie w styczniu wrócę do pracy. Zresztą kończy mi się już możliwość ciągłego zwolnienia. Profesor powiedział, że wszystko idzie ku dobremu i będę mogła wrócić. Całe szczęście. Okropnie mi się nudzi. Dlatego pomyślałam, że – gdybyś się zgodził – mogłabym zacząć powoli wdrażać się w nowe projekty. Pisałeś mi ostatnio, że jesienią miał się zacząć jeden i że chciałeś, bym się tym zajęła. Ponieważ ciągle nie ma mnie w pracy, to rozumiem, że sprawą zajął się ktoś inny. Ale może mogłabym już zacząć nad czymś pracować? Interesują mnie również prace pomocnicze przy innych projektach. Oczywiście zdalnie, z domu. Pomyśl o tym, będę Ci bardzo wdzięczna, bo chyba oszaleję z nadmiaru wolnego czasu.

M.

Oj, jak już bym chciała zacząć coś robić! Chociaż kilka godzin dziennie! Byłoby to znakomitą rozgrzewką przed powrotem do pracy.

Włączyłam mały telewizor w sypialni, który Paweł wspaniałomyślnie mi zostawił. Jak zwykle nic ciekawego. Przerzucałam programy, aż wreszcie trafiłam na jakiś serial. Nie wiedziałam, o co w nim chodzi, ale gapiłam się bezmyślnie w ekran i robiłam się coraz bardziej senna.

Przyśniło mi się bijące źródło. Już kiedyś tu byłam, pomyślałam we śnie. Zanurzyłam dłonie w lodowatej wodzie i patrzyłam, jak bąbelki powietrza prześlizgują się między palcami i z cichym pufnięciem wydostają na powierzchnię. Pochyliłam się nad wodą i wpatrzyłam w swoje odbicie. Falowało z wodą, ale widziałam, że nade mną jest czyste, błękitne niebo. Ugasiłam pragnienie i wtedy zobaczyłam w wodzie nie tylko swoje odbicie. Obok uśmiechała się do mnie twarz Michaesza.

Ze snu wyrwał mnie dzwonek domofonu. Za chwilę drugi. Ktoś dobijał się natrętnie. Rozbita drzemką zwlokłam się z łóżka.

– Halo! – zawołałam mało przyjaźnie schrypniętym głosem.

– Dobry dzień! – Zaskoczył mnie rosyjski zaśpiew. – Z mężem ja by chciał pagawaric. Doma?

– Mąż tu od dawna nie mieszka. – Serce waliło mi jak młot.

– A gdzie ja jowo najdu? A?

– Niestety, nie wiem. Nie utrzymujemy kontaktów. – Odwiesiłam słuchawkę. Byłam sparaliżowana strachem. Podskoczyłam, gdy domofon znów zadzwonił.

– Ty jowo žena, da? Ty jemu skaži, szto my jowo najdziem.

– Mówiłam, że się nie kontaktujemy.

– Malieńkaja, ty jemu skaži! – rzucił groźnie i się oddalił.

Byłam przerażona.

Zaczęło się.

Pod koniec listopada spadł śnieg. Od razu w ilościach paraliżujących całe miasto. I jak zwykle zaskoczył drogowców. Przedzierałam się przez korki w drodze do centrum handlowego. Chciałam kupić prezenty dla Agi i chłopców. Nie dała się zaprosić na kolację ze swoim narzeczonym.

– Daj spokój, Michaś – mówiła. – To zbyt męczące dla ciebie. Korzystaj z ostatnich wolnych chwil i odpoczywaj.

Ale ja nie chciałam odpoczywać. Miałam już dość. Od dwóch tygodni Wiktor podsyłał mi różne małe zlecenia, które trochę wypełniały mi czas, ale jeszcze niewystarczająco. Z każdym dniem zdrowiałam i kipiałam energią. Całe szczęście, że obiecany przez Wiktora projekt przesunął się w czasie i będę mogła zająć się nim w całości już od stycznia. Zawarliśmy umowę, że na początku będę przychodzić do pracy na kilka godzin w tygodniu. Może i miał rację, mówiąc, że organizm potrzebuje czasu na ponowne przystosowanie do rytmu dnia pracy i wysiłku umysłowego. Zobaczymy, jak to będzie.

Byłam niezadowolona z odmowy Agi, ale nie potrafiłam jej przekonać. Uparła się. Wiedziałam, że jak coś postanowi, to musi się zdarzyć cud, żeby zmieniła zdanie. Na cud nie liczyłam.

A jednak mnie zaskoczyła. Zadzwoiła kilka dni temu, żeby zaprosić mnie na przyjęcie mikołajkowe połączone z jej urodzinami i przedstawieniem mi Wojtka. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam jego imię.

– Będziemy tylko my i chłopcy. Rodzice już go znają i zaakceptowali. – Śmiała się do telefonu. – Jakby ich akceptacja była mi potrzebna!

Pewnie, że ich akceptacja nie była potrzebna, ale była bardzo ważna. Miałam jedynie obawy co do tego, czy rodzice Agi są wystarczająco krytyczni w całej swojej tolerancji wobec wyborów córki.

Zżerała mnie ciekawość. Jeszcze tyle dni. Postanowiłam starannie przygotować się do tego spotkania. Kim był tajemniczy Wojtek? Szukałam w pamięci kontrahentów o tym imieniu – podobno go znałam – ale nikt nie przychodził mi na myśl. Trudno, muszę wytrzymać.

Wczoraj byłam u fryzjera i u kosmetyczki. Od razu lepiej się poczułam. Pani Basia, fryzjerka, dokonała cudu – kolor wyszedł rewelacyjny, a i w nowej, króciutkiej fryzurce było mi do twarzy. Pani Halinka, kosmetyczka, uściskała mnie serdecznie, uroniła kilka łez, a na koniec pochwaliła moją cerę.

– Pani Michasiu, jest bardzo dobrze. Skóra nawilżona jak trzeba, wypoczęta. Całe szczęście, znaczy, zdrowieje pani.

Zakrzątnęła się w swoim malutkim gabineciku i poddała mnie całej serii zabiegów. Cały czas mówiła. Na szczęście nie oczekiwała konkretnych odpowiedzi, wystarczały jej niewyraźne mruknięcia spod ziołowych kompresów.

* * *

Jechałam przez miasto w ślimaczym tempie. Trochę opadów i od razu klęska żywiołowa. A przecież kiedyś – pamiętałam to z dzieciństwa – zimy zawsze były śnieżne i mroźne. I jakoś to działało. A może ruch był wtedy mniejszy?

W podziemnym parkingu Arkadii było tłoczno. Z trudem znalazłam miejsce do zaparkowania. W sklepach pewnie też będzie tłok, pomyślałam.

Nie znosiłam tego.

Zaczęłam od empiku. Książki to dobry prezent na każdą okazję. Dla Agi przewrotnie wybrałam serię

książek o Mary Poppins. Mówiła mi kiedyś, że to jej ulubiona bohaterka z dzieciństwa. Aga miała podobne poczucie humoru do mojego, na pewno się ucieszy. Założyłam, że tajemniczy Wojtek musi nadać na tych samych falach, więc bez skrupułów wybrałam dla niego *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*. Dla chłopców kupiłam jeden wspólny prezent – grę planszową *Władca pierścieni*. Będą mogli zagrać całą rodziną.

Dla siebie, oczywiście, też kupiłam prezent. Wybrałam *Portret w sepii* Isabel Allende. Zastanawiałam się przez chwilę nad audiobookiem, ale w końcu zdecydowałam się wziąć wydanie papierowe. Uwielbiałam zapach stron pachnących świeżym drukiem. Może i byłam konserwatywna pod tym względem, ale nie wyobrażałam sobie, by książki drukowane mogły kiedyś zniknąć.

Po wyjściu z empiku postanowiłam zajrzeć do sklepów z ubraniami. Dawno nic nowego sobie nie kupowałam. Potrzebowałam nowych ciuchów, bo w czasie choroby schudłam ponad dziesięć kilogramów i wszystko na mnie wisało. Odwiedziłam kilka sklepów, zanim zainteresował mnie elegancki trzyczęściowy kostium w moim ulubionym granatowym kolorze. Wszędzie pozorna obfitość, ale jak trzeba wybrać coś konkretnego, to okazuje się, że albo nie ma rozmiaru, albo kiepski gatunek. Szczęśliwie kostium leżał na mnie idealnie, jakby był szyty na miarę. Dobrałam do niego dwie wizytowe bluzki i apaszkę. W kolejnym sklepie kupiłam dwie pary dżinsów i kilka T-shirtów, następnie dwa sweterki i trochę bielizny.

Na dzisiaj wystarczy, postanowiłam. Po buty i torebkę wybiorę się kiedy indziej.

Obładowana torbami parłam do wyjścia przez strumień kupujących.

Przy ruchomych schodach wpadłam na jakąś parę małolatów całujących się bez żadnego skrępowania.

– Uważaj, babciu! – zarechotał ordynarnie chłopak i wrócił do obłapienia swojej towarzyszki.

Z oburzenia zabrakło mi powietrza, ale postanowiłam nie reagować, jednak para nadal blokowała wejście na schody.

– Przesuń się, kolego. – Usłyszałam za sobą męski głos.

– Bo co, dziadku? – Tym razem to dziewczyna zaprezentowała swoją kulturę.

– Bo wnuki słuchają dziadków.

Dowcip wyraźnie przypadł do gustu parze, bo weszli wreszcie na schody.

– Co za chamstwo! – skomentowała jakaś kobieta, nie wiadomo, czy zachowanie gówniarzy, czy zwróconą im uwagę. W dzisiejszych czasach wszystkiego można się spodziewać.

Odwróciłam się, żeby podziękować obrońcy.

– Och, dzień dobry! – zawołaliśmy jednocześnie.

Stałam oko w oko z Waldemarem Nieckarzem.

– Co za spotkanie! – Śmiał się Waldemar i znowu zmarszczki wokół jego oczu spowodowały miękkość w moich kolanach.

Co jest? – zaniepokoiłam się swoją reakcją.

– Co pan tu robi? – zapytałam niemądrze.

– To, co wszyscy – odpowiedział radośnie.

– To cała wyprawa... – Znowu niemądrze, Michaśka, weź się w garść, strofowałam samą siebie w myślach.

– Może wypilibyśmy razem kawę i uczcili spotkanie. Porozmawiamy sobie spokojnie – zaproponował nagle. – Nie stójmy tak w przejściu, bo teraz nas ktoś objedzie.

Pozwoliłam poprowadzić się do kawiarni pod schodami. Udało nam się znaleźć wolny stolik i kiedy Waldemar poszedł po kawę, ja walczyłam z wielką liczbą pakunków.

– Odpowiadam na pytanie, co tu robię. Przyjechałem spotkać się z synem. Jest dziś w Warszawie ze swoją matką.

Aha, to ma syna. Jest i jego matka.

– Na stałe mieszkają w Gdańsku – dodał.

– I już po spotkaniu?

– Już. Teraz mam wolne. Zastanawiałem się, czy wracać do domu, ale na szczęście spotkałem ciebie.

Możemy mówić sobie po imieniu?

– Ależ oczywiście. Tak będzie lepiej i wygodniej.

– No właśnie. Dziękuję – rzekł i szarmancko pocałował mnie w rękę.

– Co tam na wsi słyszać? Jakież nowiny?

– Żadnych. Wszystko toczy się zgodnie z rytmem przyrody. – Zaśmiał się. Czy to tylko wrażenie, czy śmiech zabarwiony był goryczą?

– Dobrze się tam czujesz?

– Dlaczego pytasz?

– Bo mam wrażenie, że nie do końca jest to twoje miejsce.

Przyglądał mi się przez chwilę w zadumie.

– Nie do końca moje miejsce – powtórzył. – Hmm... To chyba dobre określenie. – Zapatrzył się w dal. Miał intensywnie niebieskie oczy i ciemne, siwiejące na skroniach włosy. Ani śladu łysiny, która mężczyznom w tym wieku często daje się we znaki.

– Wróciłem na wieś trzy lata temu, po śmierci ojca. Nie miałem pracy, więc pomyślałem, że może warto zacząć coś nowego. Przejąłem po nim sklep i jakoś się kręci. Wystarcza na życie. Czasem opublikuję jakiś artykuł, to wpadną dodatkowe pieniądze. Mam czas w sklepie. Całe mnóstwo czasu. Zabijam nudę czytaniem specjalistycznej literatury. Z wykształcenia jestem historykiem, a dla takich jak ja nie ma roboty. Rozważam otwarcie przewodu doktorskiego.

– A twoja żona i syn nie chcieli z tobą wyjechać?

– Jesteśmy po rozwodzie.

– Och, przepraszam, nie wiedziałam.

– Nie szkodzi. Nic się nie stało. – Znowu się uśmiechnął tym swoim urzekającym uśmiechem. – Mam to już za sobą. A co u ciebie?

– Ach, u mnie nic ciekawego. Jestem w trakcie rozwodu. Na szczęście nie mamy dzieci.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Oboje wiemy, że takie jest życie. Też mam to już za sobą.

– A praca?

– Skończyłam filologię polską, jakiś czas pracowałam jako nauczycielka polskiego, teraz zajmuję się marketingiem internetowym.

– O, to musi być ciekawe.

– Jest ciekawe. Ale bardzo absorbujące w dzisiejszej rzeczywistości. Ostatnio doszłam do wniosku, że potrzebuję zmiany, chciałabym trochę zwolnić tempo mojego życia. Widzisz, wiosną poważnie zachorowałam – dodałam po chwili. – Aktualnie mam przerwę w pracy, ale od stycznia już wracam. I tak sobie pomyślałam, że poświęcam pracy tyle czasu, że życie płynie obok mnie, a ja w ogóle nie mam kiedy go skosztować. Na wsi, na grobie babci, byłam po raz pierwszy od piętnastu lat. W jej domu też. Nawet tam nie pojechałam, kiedy go odziedziczyłam. Nie wiem, może się starzeję – kontynuowałam. – Albo nadszedł czas na przemyślenia, ale mam poczucie, że umyka mi coś istotnego.

Słuchał uważnie, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Masz rację, to chyba przychodzi z wiekiem. Ja też, przeprowadzając się z Gdańska, tak naprawdę uciekałem przed pędem współczesnej cywilizacji. Byłem zmęczony wieczną gonitwą po więcej. Wprawdzie teraz życie toczy się zbyt wolno, ale chyba nie chciałbym już wrócić do miasta. Dzisiaj jestem tu od

wczesnego rana i, prawdę mówiąc, czuję się zmęczony tłokiem i zgiełkiem. Z przyjemnością wrócę do domu i do swoich książek.

– Mieszkasz sam?

– Tak. Mama zmarła rok temu. Sam prowadzę swoje męskie gospodarstwo.

– I jak idzie?

– Wyśmienicie – roześmiał się. – Ku niezadowoleniu okolicznych kumoszek, które chętnie wyswatałyby mnie ze swymi córkami. Nie akceptują faktu, że sobie radzę, potrafię ugotować i nie zarastam brudem. W ich pojęciu to kobiece zajęcia. Ja powinienem wylegiwać się na kanapie i bez końca oglądać telewizję, popijając piwo. Taki dziwak ze mnie.

Coraz bardziej mi się podobał. Był pogodny i miał dystans do siebie i do otaczającego świata.

– Skoro mowa o dziwakach, to chciałabym się czegoś więcej dowiedzieć o Marcie, jeśli możesz mi cokolwiek powiedzieć, nie naruszając cudzych tajemnic.

– O Marcie? – Był szczerze zdziwiony.

– No, o tej nieszczęśliwej dziewczynie, którą spotkałyśmy na rowerze. Mówiłeś, że jest inna niż wszyscy. Durna Marcia, jak ją we wsi nazywają.

– Aaa! – Zrozumiał wreszcie. – Ona nie ma na imię Marta.

– Nie?

– Nie.

– A jak?

– Marcelina. Naprawdę nic o niej nie wiesz?

– Nic a nic. Niby skąd miałabym wiedzieć?

– Ojciec ani babcia nic ci o niej nie mówili?

Pokręciłam przecząco głową.

– Dziwne.

– A ty mi nic nie powiesz?

– Hmm... Tylko tyle, co mogę i sam wiem. To sierota, przez jakiś czas mieszkała w Płocku, w domu dziecka, bo nie miał kto się nią zająć. Potem wróciła do rodzinnego domu, a właściwie rudery, i mieszkała tam, dopóki nie spłonął. Teraz nikt nie wie, gdzie ona mieszka, ale kręci się tam po okolicy. Trochę maluje. Głównie akwarele. Nawet niezłe są te jej prace. Z tego chyba żyje, ale jest bardzo uboga.

Zrobiło mi się żal tej dziewczyny i jeszcze bardziej mnie zainteresowała.

– Chciałabym ją poznać.

Waldek spojrzał na mnie dziwnie.

– No cóż. To nie jest niemożliwe. Tylko żeby ona chciała.

– Dlaczego miałaby nie chcieć?

– Nie wiem, Michasiu. Dochodzę do wniosku, że życie bardzo dziwnie plecie ludzkie losy.

– Co masz na myśli?

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiając, co powiedzieć.

– No, choćby nasze spotkanie. Po tylu latach. Chodziliśmy do jednej szkoły, a teraz spotkaliśmy się w Warszawie – mówił, patrząc na mnie uśmiechnięty.

Dlaczego miałam wrażenie, że nie mówi mi prawdy?

– Wybierasz się niedługo na wieś?

– Nie wiem. Nie planowałam. Ale zawsze mogę zmienić zdanie.

– Gdybyś jednak zdecydowała się przyjechać, to zapraszam do siebie. Ugotuję coś dobrego. A żebyś mogła mnie uprzedzić, to zostawiam ci swoją wizytówkę. Masz tam numer mojego telefonu i adres mailowy. Muszę już uciekać, przede mną kawałek drogi, a robi się późno. Miło mi było, Michalinko, spędzić

dzić z tobą ten czas.

– Ojej, rzeczywiście, już późno. Ale się zasiedzieliśmy! – Zaczęłam zbierać spod stolika swoje paczki. – Mnie również było bardzo miło. Cieszę się, że cię spotkałam, Waldku. Przyjechałeś samochodem czy może gdzieś cię podrzucić?

– Mam samochód, dziękuję. To chodźmy razem na parking.

Zaparkowaliśmy w różnych miejscach, więc na poziomie minus jeden pożegnaliśmy się jeszcze raz.

W drodze powrotnej myślałam o Marcelinie. Nie wiem, dlaczego ta dziewczyna tak bardzo mnie intrygowała. Opowieść Waldka tylko podsyciła moją ciekawość. Kim jesteś? – myślałam. – Jaką kryjesz tajemnicę?

* * *

Aga nie wyraziła większego zainteresowania rewelacjami, które jej przekazałam. Podczas rozmowy była nieobecna myślami, odpowiadała bez ładu i składu, więc szybko się pożegnałam. Czułam się zawiedziona, tak bardzo chciałam z kimś o tym porozmawiać i spróbować rozwikłać zagadkę. Tysiące niestworzonych historii kłębiło mi się w głowie, a ja nie potrafiłam ich ogarnąć. Musiałam czymś wypełnić czas, więc usiadłam do komputera, żeby popracować, ale nie potrafiłam zebrać myśli. Sprawdziłam pocztę, nie było żadnych nowych wiadomości. Gapiłam się bezmyślnie w monitor, aż wreszcie wpisałam w przeglądarkę: „Waldemar Nieckarz”. Zaskoczyła mnie liczba znalezionych rezultatów – aż dwanaście stron różnych odnośników. Właściwego Waldemara znalazłam dopiero na szóstej stronie – Galanteria Papiernicza – sprzedaż, Wyszogród. Telefon – numer zgadzał się z tym na wizytówce. Adres mailowy też. Więcej żadnych informacji. Hmm... Też tajemniczy. Gdybym znała nazwisko Marceliny, też bym sprawdziła w Internecie. Niestety, nie znałam.

* * *

W sobotę, szóstego grudnia od rana szykowałam się na przyjęcie do Agi. Najpierw pojechałam tramwajem pod Halę Mirowską, żeby kupić kwiaty – tam można było dostać najładniejsze i najtaniej. Wybrałam koszyczek malutkich herbacianych różyczek. Żeby ochronić je przed mrozem, wróciłam do domu takśówką. Ponieważ kierowca nie mógł podjechać pod mój blok, bo akurat podjazd blokowałam śmieciarka, wysiadłam przecznicę dalej. Do klatki schodowej dotarłam, ślizgając się po zamrożonym chodniku jak mała dziewczynka. Niemal nie zauważyłam bmw i znajomego mi już blondyna, który tym razem nie siedział w samochodzie, ale stał oparty o maskę i palił papierosa. Zdrętwiałam ze strachu. Bandzior uchylił tylko czapki na przywitanie. Zdziwiona obejrzałam się. To do mnie? Za mną nie było nikogo, więc to na pewno do mnie. Odkłoniłam się sztywno i poszłam do domu. Rany boskie! To znowu oni. Zimną falą powrócił do mnie zapomniany na krótką chwilę strach.

Pamiętając ostatnią wizytę Pawła, nie wsiadłam do windy, tylko wspierałam się na czwarte piętro schodami. Tam ostrożnie otworzyłam drzwi klatki schodowej i zlustrowałam korytarz. Pusto. Z kluczami w garści przebiegłam odległość do swoich drzwi i dopiero gdy je za sobą zamknęłam, odetchnęłam z ulgą. Zza firanki wyjrzałam ostrożnie przez okno. Bandzior nadal stał przy samochodzie, ale już nie palił papierosa, tylko rozmawiał przez telefon. Potem wsiadł do samochodu i odjechał.

Wyczerpana opadłam na krzesło w kuchni. Boże! Czy to się nie skończy? Co ten Paweł nawywijał? Może trzeba zawiadomić policję?

Byłam bardzo zdenerwowana. Dochodziło południe. Do przyjęcia u Agi zostało jeszcze kilka godzin. Kwiaty postawiłam przy balkonie, w najzimniejszym miejscu w domu, a sama położyłam się w sypialni. Musiałam przemyśleć sytuację, w której się znalazłam.

Od Pawła już dawno nie było żadnej wiadomości, nie dotarły też do mnie dokumenty, o których poprzednio wspominał. Muszę do niego napisać, niech wreszcie odda im pieniądze albo niech powie, co mi grozi i co mogę zrobić, żeby się uwolnić.

Włączyłam komputer.

Paweł, odezwij się. Nie wiem, co się z Tobą dzieje, gdzie jesteś? Szukają Cię jacyś ruscy, byli pod domem i dzwonili do mnie domofonem. Kazali Ci powiedzieć, że Cię znajdują. To było miesiąc temu. Nie pisałam Ci nic, no bo jak Cię mogą znaleźć? Przecież nawet ja nie wiem, gdzie Ty jesteś. Dzisiaj znowu pod domem stało to bmw. Jestem pewna, że czekają na Ciebie, więc gdyby przyszło Ci do głowy pojawić się tutaj, to bądź bardzo ostrożny. Paweł, boję się. Co mam zrobić? Odezwij się!

M.

Powoli się uspokajałam. Po godzinie umyłam włosy, zrobiłam fryzurę i pomalowałam paznokcie. Sukienka wisiała gotowa. Nałożyłam makijaż i na godzinę przed planowanym wyjściem z domu byłam gotowa. Zwykle na przyjęcia szykowałam się w ostatniej chwili. A dzisiaj nie wiedziałam, co zrobić z czasem. Zamówiłam jeszcze taksówkę i włączyłam ponownie komputer.

Czekała na mnie odpowiedź Pawła.

Michasia, nie napiszę Ci, gdzie jestem, tak będzie bezpieczniej. Oni mają różne możliwości i boję się, że przeczytają. Uważaj na siebie i nic im nie mów ani, broń Boże, nie wpuszczaj ich do domu! Najlepiej by było, gdybyś na jakiś czas się wyprowadziła. Byłbym spokojniejszy. Postaram się załatwić w końcu tę sprawę, to się od Ciebie odcepią. Przynajmniej mam taką nadzieję.

P.

Łatwo powiedzieć: wyprowadź się na jakiś czas. Ale dokąd? Nie ma mowy. Najwyżej pójde na policję. I jak, na Boga, mogli czytać nasze maile? Pomyślałam o wszystkich serialach kryminalnych, które oglądałam, i uświadomiłam sobie, że przecież takie sprawy mogą się dziać w rzeczywistości. Rany boskie! Poczułam na plecach dreszcz grozy.

Sygnał SMS-a oznajmił, że taksówka czeka pod blokiem. Ubrałam się ciepło, zabrałam kwiaty, torbę z prezentami i zjechałam na dół. Wsiadając do taksówki, dyskretnie rozejrzałam się po ulicy. Ruskich nie było widać, ale to nie oznaczało, że przestali pilnować. Mogli siedzieć w innym samochodzie. Muszę być bardziej uważna.

Do Wesołej, gdzie mieszkała Aga, było daleko. Taksówka mknęła szybko, na szczęście nie było korków, choć ruch był duży. Dla uspokojenia oddychałam głęboko, żeby nie zepsuć wieczoru sobie i innym. Może uda mi się zamienić z Agą kilka słów na osobności.

Otworzyła mi sama jubilatka – uroczysta i z tajemniczym uśmiechem na ustach. Za nią czekali stęsknieni chłopcy; nie widzieliśmy się od lata.

– Michasia! Michasia! – Całowali mnie i ściskali na przemian. – Jaką masz fajną fryzurę.

– Moje kochane chłopaki. – Ich radość mnie wzruszyła. – Mam tu dla was prezent – wyciągnęłam z torby grę – wspólny.

– Hura! Takiej nie mamy! Idziemy zagrać!

– Hej, chłopcy! A kolacja?

Ale łobuziaki już zniknęli w swoim pokoju.

– Zaraz przyjdą, niech się nacieszą. Przecież od razu nie siadamy do stołu. Chodź, niech cię uściskam.
– Objęliśmy się serdecznie. – Wszystkiego najlepszego, moja przyjaciółko. Niech się spełnią twoje marzenia.

– Bardzo ci dziękuję, bardzo! Zaraz rozpakuję prezent. Kwiaty są cudne! Gdzie je zdobyłaś?

– Nie powiem ci, no co ty! – Śmiałam się, patrząc jak Aga rozdziera papier i jak szeroki uśmiech rozjaśnia jej twarz na widok książek. – Ty wariatko! Kocham cię za to! Daj buziaka! A teraz chodź, poznasz Wojtkę.

Na to czekałam.

Weszliśmy do jadalni. Tyłem do nas przy oknie stał przystojny, wysoki mężczyzna. Kiedy się odwrócił, oniemiałam i wszyscy troje ryknęliśmy śmiechem.

– Mówiłam ci, że go znasz! – wykrztusiła Aga.

Padłam na kanapę i wciąż nie mogłam opanować śmiechu.

– Ach, wy! – Chichotałam. – Kontrahent! Dystyngowany! Tak mnie podejść!

– Dałaś się! – Rechotał Wojtek, nasz firmowy szef informatyków.

– Dałam, to prawda! – Uwielbiałam Wojtkę. Był bezdzielnym rozwodnikiem, inteligentnym, przystojnym, z poczuciem humoru. – Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że was widzę razem. Nigdy bym na to nie wpadła, że to ty jesteś tym tajemniczym Wojtkiem. – Znowu zaczęliśmy się śmiać.

– Nie wpadłabyś, bo się zaczęło, jak ciebie nie było. Ja nie tykam mężatek. Sam tego doświadczyłem i przysiągłem sobie, że nie zrobię takiego świństwa innemu facetowi. Ale teraz Aga jest wolna, w styczniu ma sprawę rozwodową, to inna rozmowa. Zawsze miałem na nią oko. I się doczekałem.

Patrzyli na siebie z taką czułością, że aż im pozazdrościłam.

– No, siadajmy, bo wszystko wystygnie. – Na stół wjechała pieczeń wołowa w czerwonym winie z pieczonymi ziemniaczkami i miks sałat. – Chłopcy, kolacja! Umyjcie szybko ręce!

Przybiegli roześmiani i szczęśliwi.

– Wujku, zagrasz z nami? – Byli w dobrej komitywie z Wojtkiem. Wyraźnie go lubili.

– Zagram, ale pewnie dopiero jutro. Dzisiaj mamy gości.

Kolacja przebiegła w wesołym nastroju. Już dawno nikt nie sprawił mi takiej niespodzianki i radości jak Aga z Wojtkiem. Zajęci rozmową siedzieliśmy do późna. Nie było ani chwili, żeby pogadać z nią na osobności.

– Wojtek cię odwiezie. Jedzie do Łomianek, do swoich rodziców, ma po drodze.

– Aga, muszę z tobą porozmawiać. Znajdziesz jutro chwilę?

– Chcecie poplotkować o mnie? – Wojtek objął Agę. Naprawdę do siebie pasowali.

– Nie schlebiaj sobie, zarozumiałcze! – Szturchnęłam go żartobliwie w ramię. – Mamy swoje babskie tajemnice. To jak, Aga? Znajdziesz dla mnie chwilę?

– Postaram się. Zadzwoń.

Ucałowałyśmy się na pożegnanie i wyszłam z Wojtkiem. Byłam trochę zazdrosna o czas, którego Aga już dla mnie nie miała. Rozumiałam ją, ale potrzebowałam jej rady.

– Jak samopoczucie, Michaśka? Aga mówiła, że w styczniu wracasz?

– Tak. I bardzo się cieszę. Dosyć siedzenia i odpoczywania, pora zakasać rękawy.

– To super. Jakbyś czegoś potrzebowała, to mów. Wiktor wspomniał, że zaczniesz od razu projekt dla ministerstwa, chciałbym to ja wspierać twoją pracę od strony IT. Lubię z tobą pracować. Stęskniłem się za naszymi warsztatami.

– Dzięki, Wojtek, chętnie.

Ja też lubiłam z nim pracować. Stanowiliśmy zespół nie do pokonania. Rozumieliśmy się bez słów, Wojtek miał bardzo dobre pomysły, którymi udoskonalał moje propozycje. Nadawaliśmy na tych samych

falach.

* * *

Zanim wysiadłam z samochodu Wojtka, zlustrowałam dokładnie ulicę i stojące tam samochody, ale nie zauważyłam niczego podejrzanego.

– Dzięki, Wojtuś, trzymaj się, do zobaczenia wkrótce. – Cmoknęłam go w policzek.

– Nie ma za co. Uważaj na siebie. Pa!

Dopiero w domu poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Podczas kolacji u Agi zapomniałam o bandziorach pod blokiem. Teraz obawy powróciły ze zdwojoną siłą. Muszę z kimś porozmawiać, poradzić się. Aga była jedyną osobą na świecie, której mogłam zaufać. Pozostało mi tylko czekać na jej telefon.

Długo nie mogłam zasnąć, więc rozmyślałam o wszystkim co mnie w ostatnich miesiącach spotkało. Sporo tego było. Jakby moje życie nagle przyspieszyło, a odejście Pawła i moja choroba były tylko punktami zwrotnymi w całej masie zdarzeń. Pomyślałam o Marcelinie. Jak Aga nie będzie miała dla mnie czasu, żeby porozmawiać, przecież mogę sama pojechać do Szamocin i ją odszukać.

Z tą myślą nad ranem zasnęłam.

* * *

W połowie grudnia ociepliło się nagle i leżący od kilku tygodni śnieg zaczął gwałtownie topnieć. Na zewnątrz niepodzielnie zapanowała plucha. Nie chciało mi się nigdzie wychodzić, coraz więcej czasu poświęcałam pracy. Wszyscy wokół pochłonięci byli kupowaniem prezentów i przygotowaniami do Bożego Narodzenia. Ja w tym roku nie miałam dla kogo tego robić. Wyglądało na to, że Wigilię i całe święta spędzę sama, bo Aga z Wojtkiem zaplanowali wyjazd do Austrii na narty. Chłopcy mieli zostać u rodziców Agi. Wprawdzie pani Ela zapraszała mnie i wiedziałam, że robi to ze szczerego serca, ale jej podziękowałam. Zaplanowałam jedynie w tygodniu przedświątecznym wyjazd do rodziców Elżuni. Zrobię dla nich zakupy. Aga spakowała mi już dwie torby ubrań po bliźniakach, będzie dla Bartusia. Powoli też gromadziłam dla nich paczkę żywnościową. Na pewno im się przyda. Poza tym ciekawa byłam, jak im się układa, czy ojciec Elżuni rzeczywiście przestał pić. Miałam poważne wątpliwości co do tego, ale jednocześnie nie chciałam tracić wiary. Wyobrażałam sobie, że jeśli nie będę wierzyć, to chłop to wyczuje i nie będzie miał siły do walki z nałogiem. Infantylnie to były myśli, ale chciałam, żeby tak było.

W dniu podróży do Pułtuska na szczęście nie padało, droga była sucha i pusta. Rozkoszowałam się jazdą na nowiutkich zimowych oponach. Wyjechałam rano, bez pośpiechu. Miałam czas. W Pułtusku wypiliśmy kawę i odpoczęłam, a potem pojechałam na cmentarz, na grób Elżuni. Nic tam się nie zmieniło od mojej ostatniej bytności. Posprzątałam zmarznięte kwiaty i wypalone znicze, zapaliłam nowe i położyłam świeżą wiązankę. Już nie ogarniał mnie smutek tego miejsca. Raczej napłynął do mnie spokój.

Do domu państwa Dąbrowskich dotarłam przed południem. Po podwórku biegał Bartuś, który na mój widok zapiszczał z radości i rzucił mi się w ramiona.

– Ciocia, ciocia! – wołał i śmiał się.

– Stęskniłeś się za mną, Bartusiu? – Przygarnęłam ufne ciało. Był drobny i chudy jak Elżunia.

– Tęskniłem. Bardzo.

Wycisnął mi na policzku wilgotny całus. Trzymając się za ręce, weszliśmy do domu. Matka Elżuni zajęta była myciem okna, nie usłyszała naszego wejścia. W całej kuchni widać było świąteczne, choć ubogie przygotowania. Jak to dobrze, że przywiozłam im trochę prowiantu.

Przy stole całkiem trzeźwy siedział stary Dąbrowski. Ucieszył się na mój widok i serdecznie mnie powitał.

– Dzień dobry! A jakie to bogi przywiały panią w nasze progi! Stara, kończ tę robotę, herbaty trza zrobić pani!

– Oj, dzień dobry pani, dzień dobry! Nie usłyszałam! Już robię, już! Proszę siadać, proszę! Franek, rusz się, przysuń pani fotel! – Mężczyzna w mig przytaszczył z kąta wysiedziany fotel i prawie siłą zmusił mnie do zajęcia miejsca. Bartuś od razu wgramolił mi się na kolana.

– Oj, przepraszam panią! Bartuś, zejdz z kolan pani!

Ale malec nie miał zamiaru posłuchać.

– Proszę go zostawić.

Chłopiec tulił się do mnie, wyraźnie spragniony pieszczot.

– Przyjechałam z życzeniami świątecznymi i z prezentami. I chciałam zobaczyć, jak wam się wiedzie. Ale widzę, że na szczęście wszystko w porządku. Panie Dąbrowski, a jak tam u pana z wódeczką?

– Nie piję! – Walnął się wielką piąchą w pierś. – Ani kropelki od ostatniego razu. Tak mi pani nagała, że nawet nie spojrzę. Od razu inne życie! Stara zadowolona, nie zrzędzi, dzieciak się nie boi. Oj, durny ja był, durny! Zmarnować tyle lat!

– Bardzo się cieszę.

Dąbrowska postawiła przede mną szklankę z herbatą i zamieszała aluminiową łyżeczką. Uśmiechnęłam się do niej i parząc sobie język, wypiałam łyczek.

– Co prawda, to prawda, dobrze stary gada. Jak nie pije, to od razu inne życie! Inne życie! Ino szkoda, że Elżunia nie doczekała. – Otarła fartuchem oczy. – Cieszyłaby się, oj, cieszyła!

Oboje pochylili głowy i zamilkli na chwilę.

– Wola boska. – Stary wykonał znak krzyża i pomodlił się bezgłośnie.

– Przywiozłam wam trochę jedzenia i ubrań dla Bartusia od mojej koleżanki. To po jej synkach, wyrosli już, a Bartusiowi się przyda.

– Pewnie, że się przyda, ale nie trzeba było. Taki kłopot.

– Żaden kłopot. Bartusiu, pomożesz przynieść mi paczki?

Mały ochoczo zerwał się z kolan, złapał porzuconą wcześniej kurtkę i czapkę i wybiegł na podwórko. We troje poszliśmy za nim. Podałam mu z przedniego siedzenia torbę ze słodyczami, a sama wyjęłam pakunki z bagażnika. Ubrania wzięła matka, a cięższą paczkę z prowiantem stary Dąbrowski.

– Może zostanie pani na obiedzie? Zacierków na mleku zrobię.

– Nie, pani Dąbrowska, dziękuję. Wypiję tylko herbatę i pojedę do domu, praca na mnie czeka. – Wzruszyłam się. Pamiętałam, że babcia też w nierzadkich chwilach niedostatku ratowała nas zacierkami na mleku. Biedna to była potrawa, ale dla mnie już zawsze będzie się kojarzyła z ciepłem rodzinnego domu.

Posiedziałam u nich jeszcze pół godziny, bawiąc się z Bartusiem i rozmawiając z jego rodzicami. Patrzałam, jak mały pochylony nad kuchennym stołem w skupieniu rysuje zwierzęta i pejzaże. Rysunki były ładne, nawet bardzo ładne jak na takiego brzdąca, na dodatek opóźnionego w rozwoju. Kogut otoczony stadkiem kur grzebiących w ziemi, za nimi płot i ogródek ze słonecznikami.

– To dla ciebie, ciociu! – Podał mi obrazek.

– Dziękuję ci bardzo. Jest piękny. Powieszę go sobie na ścianie w sypialni, żeby zawsze o tobie pamiętać.

Mały znowu usiadł mi na kolanach i przytulił się do mnie, słuchając zachłannie pochwał.

– Następnym razem przywiozę ci kredki, farby i bloki do malowania, chcesz?

Oczy rozbłyły mu radością.

– Chcę, ciociu!

Kiedy odjeżdżałam, zęgnęła mnie przy furtce cała rodzina. Życzeniom szczęśliwej drogi i wesołych

święt nie było końca. Bartuś machał rączką i machał, i wołał coś, czego już nie słyszałam.

Po odjeździe poczułam samotność. Prości to byli ludzie, ciężko doświadczeni przez los, ale zjednoczeni więzami rodzinnymi. Tylko pozazdrościć.

W Pułtusku zatrzymałam się na obiad w tej samej restauracji co rano na kawę. Sala była niemal pusta. Usiadłam przy oknie i czekając na zamówienie, gapiłam się na rynek przystrojony już świątecznie. Wciąż myślałam o rodzinie Dąbrowskich. Biednie było u nich, ale się kochali. Mieli siebie nawzajem. I tylko to się liczyło.

Boleśnie zatęskniłam za kimś bliskim obok mnie. Pochyliłam głowę nad talerzem pomidorowej, żeby kelner nie zobaczył łez. Smutne będą moje święta w tym roku.

Po obiedzie wsiadłam do samochodu, ale nie ruszyłam od razu. Patrzyłam na przechodzących w pośpiechu ludzi i zastanawiałam się nad pustką w moim życiu. Święta zawsze pokazują, jak bardzo człowiek jest lub nie jest sam. Niby miałam przyjaciół, na których mogłam liczyć, ale oni mieli swoje rodziny i swoje plany. Nie chciałam wchodzić w ich życie tylko dlatego, że nie miałam nikogo bliskiego.

Dam sobie radę, pomyślałam i włączyłam silnik. Ale tak naprawdę wcale nie byłam przekonana, czy dam sobie radę. Bałam się samotności.

Wyjechałam z rynku wąską uliczką i za skrzyżowaniem zatrzymałam się na poboczu. Wyjęłam ze schowka mapę i uważnie studiowałam drogę. Potem zdecydowanie wcisnęłam pedał gazu i po wyjeździe z miasta skręciłam w kierunku Nasielska, a nie do Warszawy. Tutaj szosa też była dość pusta, więc nie zwracając uwagi na przepisy, jechałam trochę szybciej. Na szczęście dla mnie nigdzie nie było policyjnych patroli. W Nowym Naruszewie odbiłam w kierunku Czerwińska nad Wisłą. Po niespełna godzinie wjechałam na trasę z Warszawy do Wyszogrodu. Ominęłam miasto i pojechałam prosto na rondo, a tam skręciłam na most. Do Szamocin dotarłam bez przeszkód, choć już niemal o zmroku. Przy sklepie zwolniłam, żeby nie zgubić drogi, ale niestety, po ciemku minęłam niebieski dom i przejechałam skręt na posesję babci. Zatrzymałam samochód i zastanawiałam się, co mam zrobić. Po co ja tu przyjechałam na bożą noc? Nie mam ani latarki, ani klucza do domu. Co mi odbiło?

Wysiadłam z auta i w ciemności zrobiło mi się trochę straszno. Wszędzie cisza, tylko gdzieś z daleka słychać szczekanie wioskowych psów. Gdzieniedzie migotały rozświetlone okna, ale w najbliższej okolicy ciemno, choć oko wykol. Włączyłam światła postojowe i zamknęłam samochód.

Z podniecenia i strachu było mi gorąco. Cicho podeszłam do furtki. Była uchylona. Czy myśmy jej nie zamknęły? Czy może ktoś tu jednak przychodzi? Rozejrzałam się wokół – nic. W domu też martwa cisza. W pawilonie zamknięte okiennice, jak ostatnio. Z duszą na ramieniu ruszyłam w ciemności. Prawie się skradałam. Serce mi waliło i nie mogłam normalnie oddychać. Michaśka, odbiło ci? Strofowałam sama siebie w myślach. Wracaj! Stałam pod drzwiami i czekałam, aż ucichnie łomot w mojej piersi. Byłam pewna, że słychać go było w promieniu kilku kilometrów.

Ale hałas, który usłyszałam, nie pochodził z mojego wnętrza. Stało się jasne, że w środku ktoś chodzi i pokasłuje. Sparalizowana strachem obejrzałam się za siebie i nie zauważywszy niczego strasznego, przycisnęłam twarz do szpary w okiennicy. Czy mi się wydawało, czy mignęło tam słabe światełko?

Boże miłosierny! Co mam zrobić? W wewnętrznej walce ze strachem górę brała ciekawość. Kto tam jest? Na miłość boską!

Dygotałam, nie wiem, czy ze strachu, czy z zimna. Przemokły mi buty nieprzystosowane do wiejskiego błota. Poczułam, że odruchowo zaciskam pięści zgrabiałych dłoni. Raz kozie śmierć! – powiedziałam sobie w duchu i zanim pomyślałam, nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi. Ustąpiły. Pawilon stał przede mną otworem. Powoli przestąpiłam próg.

W środku było zimno niemal jak na zewnątrz. Budynek nie był przystosowany do całorocznego zamieszkiwania. Wprawdzie stał tam piec, ale albo był nieczynny, albo obecny lokator nie rozpalił w nim

ognia. Rozejrzałam się po mrocznym pomieszczeniu – oświetlała je tylko mała lampa naftowa i ogarek. Stały na kuchennym stole razem z wyszczerbionym kubkiem, butelką wody mineralnej i dwiema suchymi bułkami w torebce foliowej. W ciemności pod ścianą zauważyłam stary, koślawy tapczan i siedzącą na nim okutaną w palto postać.

To była ona. Marcelina. Była równie przerażona, jak i ja. Jej rower stał oparty o ścianę przy łóżku.

Stałam w otwartych drzwiach i nie mogłam się zdecydować, czy wejść. Mimo że byłam u siebie, czułam, jakbym naruszała czyjąś prywatność.

– Wejdz i zamknij drzwi – odezwała się schrypniętym głosem dziewczyna. – Zimno wpuuszczasz. – Wstała z łóżka i zapaliła jeszcze jedną świecę. Ale w pomieszczeniu nadal panował półmrok. Stała przy zimnym piecu opatulona w stare palto i koc.

– Co tutaj robisz? – zapytałam.

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, milcząc.

– Mieszkam.

– Mieszkasz?

– Tak. Co w tym dziwnego?

– Bo to nie jest twój dom.

– Nie?

– Nie. To moja własność.

Milczała.

– Stał pusty, a ja nie miałam się gdzie podziać. Przeszkadza ci to?

Właściwie nie przeszkadzało.

– Mogłaś chociaż zapytać.

– Kogo?

Teraz ja milczałam. Rzeczywiście, kogo miała zapytać?

– Jeśli chcesz, mogę się wynieść – mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszałam. – Chcesz?

Zrobiło mi się głupio.

– Nie, zostań. Przecież i tak tu nie mieszkam. Dlaczego nie napaliłaś w piecu? Jeszcze zamarzniesz.

– Nie zamarznię. Bywało gorzej.

Nie podobało mi się to. Jak to „bywało gorzej”? Czy to oznacza, że ona spędza tutaj już kolejną zimę?

W nieogrzewanym pomieszczeniu?

– Przecież możesz napalić w piecu. Nie działa?

– Nie wiem, nie próbowałam.

– Dlaczego?

– Jakaś ty naiwna! – zirytowała się wreszcie. – Dlaczego i dlaczego! Nie pomyślałaś, że nie mam czym? Ani za co? Gdybym miała pieniądze... – Nie skończyła mówić. Rozkaszła się okropnie.

Uświadomiłam sobie, że cały czas stoję oparta o drzwi. Wiało przez nie okropnie. Jak ona może tu wytrzymać? Podeszłam do stołu i usiadłam na starym taborecie.

– Jestem Michalina Szawłowska. A ty?

– Wiem, kim jesteś.

Zaskoczyła mnie.

– Wiesz, kim jestem? A niby skąd?

Roześmiała się. Nie podobał mi się ten śmiech. Patrzyłyśmy na siebie badawczo. Nie odpowiedziała.

Rozejrzałam się po jej królestwie. Pod przeciwległą do łóżka ścianą stał prowizoryczny stół, a na nim jakieś stopy papieru, słoiczki, pędzelki. Prawda, przecież ona maluje. Waldemar mi o tym mówił. Wzięłam z kuchennego stołu lampę naftową i podeszłam do miniwarsztatu mojej dzikiej lokatorki. Ruszyła za

mną, pilnowała mnie.

Blat zarzucony był akwarelami – przeważnie pejzaże i martwe natury. Gdzieś tam pojawiały się zwierzęta, głównie koty i psy.

– Ładne. Mogłabyś sprzedawać i na tym zarabiać.

Wzruszyła ramionami.

– A kto to kupi?

– Ktoś może się znajdzie. Próbowalaś?

Wróciła na łóżko i podciągnęła nogi.

– Nie raz i nie dwa. Czasem ktoś kupi, ale częściej oglądają i odchodzą. Gdybym dała darmo, to może by i wzięli. A tak...

– Ja bym kupiła.

– To wybierz sobie i możesz wziąć za darmo. Za mieszkanie – dodała.

Przerzucałam prace i nie potrafiłam się zdecydować. Wszystkie mi się podobały. Miały w sobie szczególną ulotność w delikatnych pociągnięciach pędzelka. Nie wiedziałam, czy to zasługa słabego oświetlenia, czy talentu autorki, ale patrząc na te obrazki, miałam wrażenie, że żyją własnym życiem. Kwiaty i trawy kołysały się na papierze, niemal słyszałam szum łąki i cykanie świerszczy. Kolejna akwarela przedstawiała grupę sikorek walczących o jakiś smakowity kasek – prawie słyszałam harmider, jaki robią. Jeszcze chwila, a z obrazka poleciałyby ptasie pióra. Akwarele były co najmniej dobre. A na pewno urzekały. Dziewczyna może i była amatorką, tego nie wiedziałam, ale miała niepowtarzalny styl.

– Zapłacę ci. Powiedz ile.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Nie chcesz ich po prostu zabrać?

– Nie. Powiedziałam, że zapłacę. O mieszkanie się nie martw. Możesz zostać. Pomyślę nad ogrzewaniem.

Odwróciłam się od niej. Nie chciałam patrzeć, jak walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać. Pomyślałam, że jest bardzo dumna i nie chce, żebym zobaczyła, że płacze. Uznałam, że jest jej wystarczająco ciężko, nie chciałam dodatkowo jej upokarzać.

Nad stołem z akwarelami wisały półki – pamiętałam je. Kiedyś stały na nich talerze i kubki do codziennego użytku. Teraz stało tam kilka książek i fotografii w ramkach. Podniosłam lampę naftową i oglądałam tytuły i twarze na zdjęciach. Książki, zaczytane i postrzępione, były chyba bardzo stare. Na jednym ze zdjęć uśmiechała się do mnie kobieta w średnim wieku, miałam wrażenie, że jej twarz jest mi znana. Może spotkałam ją w dzieciństwie? Nie mogłam sobie przypomnieć. W głębi, nieco cofnięte, stało zdjęcie małej dziewczynki z mężczyzną. Podniosłam wyżej lampę i wzięłam je do ręki. Znałam je, już je gdzieś widziałam, całkiem niedawno. Tylko gdzie? Tak! Przecież to jest takie samo zdjęcie, jakie znalazłam w rzeczach z mieszkania ojca! Dziewczynka podobna do mnie, ale nie ja, i mój tata. Trzymają się za ręce!

Gwałtownie odwróciłam się do dziewczyny. Siedziała na łóżku i obserwowała mnie.

– Skąd masz to zdjęcie? – zapytałam cicho. – Kto na nim jest?

Znowu milczała.

– Powiedz! Kto jest na tym zdjęciu? I skąd je masz? – Mój głos był zduszony i niebezpiecznie przechodził w piskliwe tony. Znałam siebie dobrze. To się mogło skończyć krzykiem.

– To moje zdjęcie.

– Kim jest ta dziewczynka?

– To ja.

– Ty? Ty? Dlaczego stoisz z moim ojcem?

Przekrzywiła głowę, a na jej ustach zagościł ironiczny uśmiech.

– To mój tata.

– Kłamiesz! – wrzasnęłam. – Kłamiesz!

Pokręciła przecząco głową.

– To mój tata – powtórzyła. – Byliśmy na wakacjach w Krynicy Morskiej.

– To niemożliwe! To przecież mój ojciec! – Podeszłam do niej wzburzona. Musiałam mieć straszny wyraz twarzy, bo aż się skuliła. – Kim ty jesteś? Kim ty, do cholery, jesteś!

– Jestem Marcelina Piotrowska.

Patrzyłam na nią pustym wzrokiem. Marcelina Piotrowska?

– Jestem twoją przyrodnią siostrą.

Zrobiło mi się słabo i pewnie bym upadła, gdyby Marcelina w porę nie złapała mnie za ramię i nie posadziła na łóżku. Dyszałam jak po ciężkim biegu, miałam wrażenie, że za chwilę eksploduję.

– Naprawdę nigdy o mnie nie słyszałaś? Nikt ci nic nie mówił? – spytała po chwili.

Nie mogłam mówić, więc tylko pokręciłam przecząco głową. Nie wierzyłam jej. Ta dziewczyna kłamie! Na pewno włamała się do babcinego domu i znalazła gdzieś to zdjęcie, a teraz opowiada kłamstwa, żeby coś zyskać!

– Chcesz wody?

Nie chciałam. Za to gwałtownie usiłowałam przypomnieć sobie zdarzenia z dzieciństwa. Nic. Czarna dziura. Nikt nigdy w mojej obecności nawet słowem nie wspomniał o tej... o tej osobie!

O nie! Nie pozwolę sobą manipulować! Wstałam zdecydowanie i ruszyłam do drzwi.

– Dokąd idziesz? Zaczekaj. Wszystko ci wyjaśnię.

– Nie ma nic do wyjaśniania. Kłamiesz i tyle. Nie jesteś moją siostrą.

Rozpalona wypadłam na podwórko i ruszyłam do samochodu, potykając się w ciemnościach o zamrożone grudy ziemi, ale nie zważałam na to. Dopiero, gdy niemal upadłam, zatrzymałam się na chwilę i obejrzałam.

Stała w drzwiach, ciemna figurka na tle niewiele jaśniejszego tła. Niech to szlag!

Dawno nieużywane przekleństwo i zimne powietrze otrzeźwiły mnie nieco. Byłam wściekła do granic wytrzymałości. Wsiadłam do samochodu jak automat, włączyłam silnik i odjechałam z tego straszego miejsca, jakim stało się, z powodu Marceliny, moje dziedzictwo po babci. Za szybko weszłam w zakręt i o mało nie wylądowałam w rowie. Stanęłam przy sklepie, żeby ochłonać. Gruba sklepowa właśnie zamykała, było po osiemnastej. Przyglądała mi się podejrzliwie, w końcu wsiadła do samochodu i odjechała. Zostałam sama. Byłam ogłuszona informacją o tym, że mam przyrodnią siostrę. Zupełnie nie wiedziałam, co zrobić. Przede wszystkim nie wierzyłam Marcelinie. No bo jak to możliwe? Wyglądała na młodszą ode mnie. Ale z drugiej strony przecież mogło tak być. Moja matka porzuciła ojca, gdy byłam małym dzieckiem. Potem wychowywała mnie babcia. Nie wiem, co w tym czasie robił mój ojciec. Gdy zabrał mnie do Warszawy, tam była już pani Nina.

W żaden sposób nie mogłam przyjąć do wiadomości tego, co powiedziała mi Marcelina. Ona kłamie, na pewno kłamie, przekonywałam sama siebie.

Gdzieś w kieszeni kurtki poczułam wibrowanie telefonu.

– Michaśka, gdzie ty jesteś? – Aga była mocno zaniepokojona. – Byłam u ciebie, ale ten znajomy ochroniarz powiedział mi, że wyjechałaś rano i do tej pory nie wróciłaś. Wszystko w porządku?

– W porządku, Aga, niedługo wracam. Będę za godzinę.

W słuchawce zaległa cisza. Widocznie coś w moim głosie musiało zaniepokoić Agę, bo zapytała:

– Na pewno? Masz taki dziwny głos.

Sama słyszałam, że jestem zachrypnięta.

– Na pewno. Nie martw się. Słuchaj, muszę kończyć, zadzwonię, jak wrócę. – Rozłączyłam rozmowę.

Wokół było ciemno, lampa nad wejściem do sklepu tylko pogłębiała mrok. Było też pusto i jakoś tak straszno. Miałam wrażenie, że w tej ciemności ktoś się porusza, jakiś cień. Przypomniał mi się wszystkie horrory, jakie w życiu obejrzałam, szybko włączyłam silnik i odjechałam. Matko kochana, jak Marcelina może mieszkać sama na takim odludziu? Mimo woli poczułam podziw.

Nie lubiłam samotnej jazdy nocą, na dodatek gdy szosa wiodła przez zimową pustkę pól lub ciemne, bezlistne lasy. Dlatego po czterdziestu minutach z ulgą powitałam drogowskaz, a zaraz za nim zjazd na drogę ekspresową do Warszawy. Tutaj były latarnie i większy ruch. Poczułam się bezpieczniej, mimo że zaczął padać gęsty śnieg. Padał do samej Warszawy. Kiedy dojechałam do domu, wszędzie już było białe. I przez ten padający śnieg o mało nie przeoczyłam znajomego bmw. Ścisnęło mi serce ze strachu. W garażu skradałam się jak złodziej, rozglądając się na boki. Znów przezornie weszłam schodami. Na czwarte piętro dotarłam zziębnięta. Ostrożnie wyjrzałam na korytarz. Droga wolna. Uspokoiliłam się, dopiero gdy zamknęłam za sobą drzwi mieszkania.

Zza firanki wyjrzałam na ulicę, ale bmw już nie było. Dziwne.

Nie zadzwoniłam do Agi. Po raz pierwszy nie miałam ochoty na rozmowę z nią. Byłam rozbita i niešťeśliwa, w łóżku przypominałam sobie, już po raz setny chyba, słowa Marceliny: „Jestem twoją przyrodną siostrą”, „jestem twoją przyrodną siostrą”. Dźwięczały w mojej głowie coraz głośniej, rozchodziły się bólem od wewnątrz i moczyły poduszkę łzami.

Obudziłam się w środku nocy zmarznięta, bo podczas snu zsunęła się ze mnie kołdra. Od razu pomyślałam o Marcelinie. Jak jej musi być zimno w nieogrzewanym domu pełnym przeróżnych szpar. Zdziwiła mnie ta myśl, że nagle wykazywałam o nią troskę. A jeśli naprawdę Marcelina jest moją siostrą?

Nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. Byłam dezorientowana i biłam się z myślami. Z jednej strony wściekłość i niewiara w to, że jest moją przyrodną siostrą, z drugiej strony moje sumienie już się wyrывało, żeby jej pomóc. Przypominałam sobie, co o Marcelinie mówił Waldek Nieckarz, że to niešťeśliwa dziewczyna.

Dochodziła trzecia rano. Włączyłam komputer i sprawdziłam pocztę. Wiadomość od Pawła przywitałam bez entuzjazmu.

Michasia, zrobiłem Ci wszelkie pełnomocnictwa, jak obiecałem. Wysłałem je kurierem do Pana Kazia, dla bezpieczeństwa. On Ci wszystko przyniesie. Możesz działać. Ja wyruszę jutro w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Mam nadzieję, że je znajdę. Oczywiście dam znać. Trzymaj się ciepło.

P.

Dobre i to, chociaż wolałabym nie widzieć bmw pod domem.

„Możesz działać”, a to dobre. Nie miałam ani jednej osoby zainteresowanej mieszkaniem. Chyba będę musiała skorzystać z usług jakiejś agencji nieruchomości. Pomyślę o tym po świątach.

Idąc zrobić sobie herbatę, podeszłam do okna i wyjrzałam na ulicę. Widok bmw zaskoczył mnie, ale jeszcze bardziej widok pana Kazia rozmawiającego z jednym z bandziorów. Wyglądali, jakby się znali. Niech to szlag! Muszę być jeszcze ostrożniejsza i przestrzec Pawła, bo chyba za bardzo mu zaufał. Obym się myliła.

Herbatę zrobiłam po ciemku. Uznałam, że tak będzie bezpieczniej. Usiadłam na łóżku z laptopem na kolanach i napisałam do Pawła.

Paweł, potwierdzę Ci otrzymanie dokumentów od pana Kazia, jak tylko je dostanę. Właśnie

widziałam go przez okno rozmawiającego z podejrzanym typem z tego bmw. Oni ciągle tu stoją, czekają na ciebie. Bądź ostrożny, nie ufaj nikomu.

M.

PS Kim oni, do cholery, są?

Miałam dreszcze, nie wiem, czy z emocji, czy z zimna. Piłam gorącą herbatę, szcękając zębami. Chyba się nie przeziębiłam? Jeszcze tego brakowało.

Nie byłam senna. Wstałam po dodatkowy koc. Dlaczego tutaj jest tak zimno? Sprawdziłam kaloryfer – zimny. W salonie też. W łazience zimno jak w jakiejś komórce. Termometr za oknem sypialni wskazywał minus jedenaście. No tak, zima zaczęła dawać o sobie znać na dobre.

Włączyłam w sypialni farelkę i opatuliłam się szczelnie kołdrą i kocem. Brrr, jak ja nie lubię zimna.

Dochodziła czwarta. Miałam nadzieję, że zasnę jeszcze przed świtem. Jednak byłam zbyt zdenerwowana wydarzeniami poprzedniego dnia i widokiem pod domem podejrzanego człowieka w bmw w towarzystwie pana Kazia. Na dodatek nie mogłam rozgrzać stóp pod kołdrą, wierciłam się, poszukując najlepszej pozycji i usiłowałam nie myśleć o tym, co powiedziała mi Marcelina. Moja siostra. Czy to możliwe? Rósądek podpowiadał mi, że tak. Serce jednak protestowało.

O szóstej skapitulowałam. Ubrana w dres i w gruby szlafrok, zaparzyłam kawę. Nie miałam ochoty na śniadanie. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, zaczęłam porządkować dokumenty porzucone niedbale na komodzie. Miałam nadzieję, że choć na chwilę przestanę się zadrećzać myślą o dziewczynce, która kiedyś ukradła mi miłość ojca. Czułam się w perfidny sposób oszukana i boleśnie odrzucona. Ani matka, ani ojciec mnie nie kochali, żadne z nich nie chciało się mną zajmować. Matka gdzieś przepadła i nie interesowała się mną wcale, a ojciec znalazł sobie inne dziecko, które z pewnością kochał bardziej niż mnie.

Otarłam łzy i wydmuchałam nos. Ależ się czułam nieszczęśliwa! Tyle lat ukrywano przede mną prawdę. Gdyby nie przypadek, pewnie żyłabym dalej w nieświadomości.

Ze złości rzuciłam papierami o podłogę. Rozsypały się wachlarzem na dywanie. Sięgnęłam po mały kartonik, który wypadł spod rachunków. Co to? Trzymałam w ręku ręcznie wypisaną wizytówkę księdza Jana. Czas, kiedy ją dostałam, wydawał mi się tak odległy, że aż nierealny. Jak z innego życia. „Gdybyś potrzebowała duchowego wsparcia, daj znać. Jestem do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy”, usłyszałam w głowie jego głos. Czy teraz też mogę zadzwonić?

Dochodziła siódma. Jak w transie wybrałam numer telefonu Jana.

– Halo! – Odebrał niespodziewanie szybko. – Dzień dobry, Michalino.

Skąd wiedział, że to ja? Ach, prawda, przecież już dzwoniliśmy do siebie, kiedy umarła Elżunia. Pewnie zapisał sobie mój numer. To dobrze.

– Dzień dobry, Janie. – Głos miałam piskliwy od powstrzymanego płaczu.

– Coś się stało? Dlaczego płaczesz?

Nie hamowałam już łez.

– Muszę się z tobą spotkać. Potrzebuję cię! – Ostatnie słowa wypiszczałam histerycznie. – Jak naj-
szybciej.

– Oczywiście. Do południa jestem zajęty w noclegowni dla bezdomnych przy wydawaniu posiłków i podziale odzieży z darów. Jeśli chcesz, potem możemy się spotkać.

– Chcę teraz, nie potem. Naprawdę cię potrzebuję. Mogę przyjechać do tej noclegowni?

– Przyjedź, pomożesz mi i przy okazji porozmawiamy. Zapisz sobie adres. Będę tam za godzinę. – Zanotowałam adres. Na szczęście wiedziałam, gdzie to jest. Było mi wszystko jedno, gdzie ze mną porozmawia, byle to zrobił.

Noclegownia zaskoczyła mnie czystością i porządkiem, mimo dużej liczby pensjonariuszy, którzy z powodu mrozu i zbliżających się świąt ściągnęli licznie z letnich wędrówek po parkach, z nadwiślańskich zarośli i najprzeróżniejszych kryjówek. Każdy skrawek wolnego miejsca był zajęty porozkładanymi wprost na podłodze materacami i dobytkiem popakowanym w foliowe torby.

Księżda Jana znalazłam w kuchni, gdzie sami bezdomni przygotowywali jedzenie dla siebie i współtowarzyszy niedoli. Przed kuchnią stał już tłumek oczekujących na śniadanie „miejscowych” i „obcych” przychodzących tutaj regularnie na ciepłe posiłki.

– Dobrze, że jesteś – przywitał mnie Jan. – Potrzebna nam każda para rąk.

Nie wiedziałam, do czego mogłabym się przydać, ale nie zaprotestowałam.

– Pomożesz panu Zdzisiowi.

Jakiś starszy facet obdarzył mnie szczerbatym uśmiechem i podał fartuch.

Moje zadanie polegało na nalewaniu rzadkiej owsianki do plastikowych miseczek. Pan Zdzisio otworzył okienko kuchni, czym wzbudził aplauz oczekujących. Potem zaczął odbierać ode mnie napełnione miseczki i stawiać je na tacach, dokładając po dwie kromki chleba i jednym ugotowanym na twardo jajku. Następnie podawał tacę osobie stojącej w kolejce. Jan z dwoma innymi mężczyznami mieszał w ogromnych garnkach kolejne porcje owsianki i nadzorował krojenie chleba.

Pracowaliśmy sprawnie, jakbyśmy robili to od lat. Skupiona odmierzaniem mlecznej zupy przestałam myśleć o dręczącym mnie problemie i nie domagałam się, aby Jan natychmiast poświęcił mi czas na rozmowę.

Kiedy ostatni z kolejki odebrał swoją porcję, pan Zdzisio zamknął okienko i oznajmił:

– Teraz nasza kolej. – Postawił przed każdym pracującym w kuchni taki sam zestaw, jaki przed chwilą rozdawaliśmy.

Głupio mi było objadać bezdomnych.

– Jedz, Michalino, zapracowałeś – powiedział Jan i podał mi łyżkę.

Pan Zdzisio z kolegami zabrali swoje miski i usiedli przy osobnym stoliku.

– Nie będziemy przeszkadzać. – Znowu posłał mi szczerbaty uśmiech. Spojrzałam na niego z wdzięcznością.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Owsianka była nadspodziewanie smaczna. Zjadłam odrobinę i odłożyłam łyżkę.

– Co cię dręczy, Michalino? – Jan również przestał jeść i był gotowy do wysłuchania mnie.

Opuściłam wzrok i palcami bezmyślnie rozgarniałam okruszki. Drżały mi usta.

Jan cierpliwie czekał.

– Co byś zrobił – zapytałam wolno po dłuższej chwili – gdybyś nagle dowiedział się, że masz rodzeństwo? Całe życie funkcjonowałeś ze świadomością, że jesteś jedynakiem, że rodzice cię odrzucili, nie kochali i nagle pojawia się ktoś, kto w dzieciństwie odebrał ci uczucie ojca?

Milczał. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień na twarzy.

– A co ty zrobiłaś, Michalino?

– Zapytałam pierwsza.

– Nie wiem, co bym zrobił – powiedział po zastanowieniu. – Niezbadane są ścieżki umysłu ludzkiego. Człowiek nie zna sam siebie ani potęgi uczuć, jakie w nim drzemią. W każdym z nas toczą walkę dwie bestie: dobro i zło. Zło to zazdrość, chciwość, zawiść i kłamstwo. Dobro to miłość, pokora, życzliwość i prawda. Wiesz, która wygrywa?

Pokręciłam przecząco głową.

– Ta, którą karmisz.

Zrobiło mi się wstyd. Zawsze pomagałam potrzebującym obcym ludziom – takim jak ci, którym przed chwilą wydawałam posiłki – wpłacając spore sumy pieniędzy na konta różnych organizacji, a samotnej dziewczynie w potrzebie nie chciałam, tylko dlatego, że zraniła mnie słowami, o których nie wiedziałam, czy są prawdą, czy kłamstwem. Kłamczucha czy nie, potrzebowała pomocy.

Podniosłam oczy i napotkałam spojrzenie księdza Jana. Uśmiechał się do mnie.

– Już wiesz, co masz zrobić, prawda?

– Mam nadzieję, że nie jest za późno – wstałam. – Dziękuję ci.

– Z Bogiem, Michalino.

Dochodziła jedenasta. Dość czasu już zmarnowałam.

* * *

Z samochodu zadzwoniłam do Waldemara. Przez telefon brzmiał jeszcze lepiej niż w rzeczywistości. Miał głęboki, ciepły baryton... Poczułam na karku lekki dreszcz podekscytowania.

– Dzień dobry, Waldemarze. Mówi Michalina Szawłowska.

– Witaj, Michalino, miło cię słyszeć.

Naprawdę się ucieszył. Postanowiłam od razu przystąpić do rzeczy.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Och. A w czym mogę ci pomóc?

Chyba był rozczarowany. A może tylko mi się wydawało.

– Właściwie to nie mnie – zaczęłam się plątać. – Chodzi o Marcelinę. – Zdecydowałam się nie owijać w bawełnę.

– O Marcelinę?

Wyczułam jeszcze większe zdziwienie.

– Tak, właśnie o nią. Poznałam ją wczoraj. – Cisza w słuchawce nie brzmiała zachęcająco. – Słuchaj, powiedziała mi. Nie wiem, ile jest w tym prawdy. Nic nie wiedziałam, muszę porozmawiać z ojcem. Ale nie o to mi chodzi.

– Aaa... A o co?

– Domyślam się, że byłam jedyną osobą, która nic nie wiedziała – rzuciłam z przekąsem.

– Michalino, posłuchaj. To nie tak.

– Jeśli nie tak, to przy okazji opowiesz mi jak. Bo z tego, co widzę, to mnóstwo ludzi jest zorientowanych we wszystkich moich sprawach rodzinnych, tylko nie ja.

– No, nie przesadzaj, nie we wszystkich – zaprotestowałam. – I nie mnóstwo.

– Mniejsza z tym. Wyobraź sobie, że właśnie Marcelina mieszka w letniej kuchni mojej babci.

– Co takiego? – Zdumienie Waldemara było autentyczne. – Skąd o tym wiesz?

– Byłam tam wczoraj.

Milczał.

– Przejeżdżałam wieczorem w okolicy i postanowiłam zajrzeć. – Nie wiedziałam, czy zdumiał się tym, gdzie Marcelina mieszka, czy tym, że to odkryłam. Po ostatnich przeżyciach nie wierzyłam nikomu.

– Zaskoczyłam ją – dodałam po chwili.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Zdumienie nie opuszczało jego głosu. – Byłaś nieostrożna. A gdyby tam był jakiś bandzior? Pomyślałaś o tym?

– Wtedy nie – przyznałam uczciwie. – Ale na szczęście nie było żadnego bandziora. – Roześmiałam się. – Chyba nie muszę ci mówić, jakie tam są warunki.

– Zaczekaj chwilę, mam klienta. – Odłożył telefon i słyszałam, jak z kimś rozmawia. Czekałam cierpliwie, zdecydowana działać i żądać działania od Waldemara. Skoro tak się nad nią litował, to dlaczego do tej pory jej nie pomógł? Ej, nie mów tak, zgańłam siebie w myślach, nie wiesz tego. Może właśnie jej pomagał, zna ją dobrze, dlatego jest taki litościwy? A może chciał, ale nie mógł jej pomóc, bo nie wiedział, gdzie jej szukać? – Już jestem, przepraszam. Zaskoczyłaś mnie tą informacją.

– Którą? – zapytałam trzeźwo. – Tą, że znalazłam Marcelinę, czy tą, że mi powiedziała?

– Prawdę mówiąc, obiema. Michalina, nie łap mnie za słowa. Nie miałem pojęcia, gdzie mieszka. Nikt chyba nie wie. Mówiłem ci. Pojawia się to tu, to tam, ale zawsze gdzieś przepada, nie zostawiając żadnych śladów. Jest sprytna i strasznie harda.

Właśnie, harda. Dobrze to Waldemar określił.

– Zauważyłam, że jest niezwykle dumna. Ale miałaś rację, to nieszczęśliwa dziewczyna.

– I pewnie chciałabyś jej pomóc?

– Tak.

– Ale czy się zgodzi?

– Jak nie spróbujemy, nie będziemy wiedzieć. Wymyśliłam coś, ale ty jesteś mi do tego potrzebny, bo ja nie mam pojęcia, jak to zrobić.

– Mów.

– Wczoraj chciała się wyprowadzać, ale powiedziałam jej, że może zostać. I że pomyślę o ogrzewaniu.

– No tak, mówiłaś coś o warunkach, jakie tam panują.

– Waldek, to rudera, stara drewniana rudera z nieszczelnymi oknami i drzwiami. Cud, że jeszcze stoi. Wiesz, jak tam jest zimno?

– Wyobrażam sobie – szepnął.

– Wprawdzie jest tam piec, bo przecież to była kiedyś letnia kuchnia, ale nie mam pojęcia, czy działa. Marcelina też tego nie sprawdziła. Mówiła, że nie ma ani pieniędzy, ani węgla. Siedzi w tym zimnie zakutana w wytarty paltocik i jakieś łachy. Waldek, mrozy są! Ona nawet czajnika nie ma! Zresztą, na co jej czajnik, jeśli tam nie ma prądu. Boję się, że się rozchoruje albo, nie daj Boże, zamarźnie.

– Co mam zrobić?

– Cholera, mógłbyś sprawdzić ten piec? I zorganizować jej trochę opału?

– Na piecach się nie znam, lepiej zduna sprowadzić. I kominiarza, niech sprawdzi komin, bo się nam dziewczyna zaczadzi. Zrobię to, pewnie, że tak, ale chyba przed świętami nie zdążę.

– Niech to szlag! – zakląłam impulsywnie. – Przepraszam.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. Ale mam inny pomysł.

Podeksytowana nadstawiłam uszu.

– Mam gdzieś w komórce stary żeliwny piecyk, taką kozę. Kiedyś, jak były siarczyste mrozy, wstawiało się do mieszkania i grzało. W przerwie obiadowej poszukam, mam nadzieję, że działa. Na szczęście pamiętam, jak się instaluje to urządzenie, to nie będę musiał nikogo prosić o pomoc. Pojadę tam wieczorem i zamontuję. Mam nadzieję, że zastanę Marcelinę i mnie wpuści.

– Waldek, jesteś wielki! A węgiel?

– Zawiozę jej dzisiaj trochę od siebie, tyle, ile mogę wrzucić w samochód. Potem jeszcze coś zorganizuję, żeby miała czym grzać.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Oczywiście za wszystko zapłacę.

– Daj spokój. To drobiazg. Już dawno myślałem o tym, żeby jej pomóc, ale nie miałem jak, była nieuchwytna. Teraz już wiem, gdzie ją znaleźć. Chyba mnie nie wyrzuci.

– Tylko jej nie zdradź, bo znowu ucieknie! – Śmiałam się przez łzy. – Naprawdę nie wiem, jak ci dzię-

kować. Na razie chociaż tyle jej pomóżmy, ja w święta pomyślę, co dalej. Może dam jej klucz do domu, by się tam przeniosła? Ale tam też potrzebny remont, bo strasznie brudno.

– Ale i tak pewnie lepiej niż w tym pawilonie.

– Na pewno. Jeszcze raz ci dziękuję. Daj znać wieczorem, jak poszło.

– Na pewno. Trzymaj się.

– Cześć.

Po drodze do domu wstąpiłam do supermarketu. Pojutrze Wigilia, a ja jeszcze nic nie kupiłam. W ogóle nie sły mi przygotowania w tym roku. Tłok w sklepie zakręcił mi w głowie – ludziom chyba rozum odebrało. Ładowali do koszyków wszystko i na oślep, jakby koniec świata miał nadejść lada moment. Ze smutkiem pomyślałam, że po świętach połowa tego jedzenia wyląduje na śmietniku. Kolejki do kas też nie wyglądały zachęcająco, wiły się między regałami, utrudniając kupującym dostęp do towarów. Nie lubiłam takiego tłoku. Zwykle omijałam supermarkety przed świętami, zakupy robiłam dużo wcześniej, mroziłam, co się dało, a czego nie można było zamrozić, kupowałam w małych osiedlowych sklepikach albo wysyłałam po to Pawła. On miał więcej cierpliwości. Ale w tym roku skazana byłam tylko na siebie. Zresztą nie potrzebowałam wiele, więc szybko uporałam się z wyborem produktów i stanęłam pokornie w kolejce do kasy, obserwując zachowania ludzi. Do biegających i wrzeszczących jak na placu zabaw dzieci już przywykłam, choć wkurzało mnie to maksymalnie, ale skąd one miały czerpać wzory zachowań, skoro z dorosłymi wcale nie było lepiej? Z ulgą opuściłam sklep i zatłoczony parking.

Wjazd do garażu w domu blokował wielki wykop robót wodociągowych i ciepłowniczych. No tak, przecież w nocy nie grzały kaloryfery, niech szybko naprawiają, żeby na święta było ciepło. Zmuszona byłam zaparkować przed blokiem. Na szczęście o tej porze dnia były wolne miejsca.

– Dzień dobry, pani Michalino kochana! – Pan Kazio powitał mnie wylewnie. – Z zakupów pani wraca?

– Z zakupów, panie Kaziu. – Uśmiechnęłam się do niego krzywo, pamiętając, że widziałam go rozmawiającego z bandziorem z bmw. A właśnie, nie zauważyłam, czy nie było bmw, kiedy parkowałam. Muszę sprawdzić.

– Wpadnę wieczorkiem do pani, mam przesyłkę od pana Pawła – szepnął konspiracyjnie. Kiwnęłam głową i poszłam do windy.

W mieszkaniu nadal było zimno. Włączyłam farelkę i wyjrzałam przez okno – bmw nie było. Może wreszcie przestaną przyjeżdżać – pomyślałam.

Postanowiłam ubrać choinkę. Święta samotne czy nie, choinka musi być. Choćby sztuczna. Gotowania nie miałam dużo, bo dla siebie samej nie będę przecież lepić pierogów i wypiekać ciast. Kto by to później zjadł? A tak ugotuję tylko trochę i nie zmarnuję jedzenia.

Oczywiście, tradycyjnie, nie świeciły lampki choinkowe. Gdzie ja teraz kupię lampki? Że też nie sprawdziłam przed wyprawą do marketu. Może uda mi się kupić na jakimś ulicznym straganie? Iść teraz czy jutro? Nie miałam już ochoty na wyjście. Po chwili wahania zdecydowałam jednak załatwić to od razu.

– Panie Kaziu, nie wie pan, jak długo może potrwać usuwanie awarii?

– Oj, pani Michalino, to chyba coś grubszego, ale brygadzysta mówi, że do świąt się z tym uporają.

– No, do świąt jeszcze dwa dni, a tu mróz. Niech robią, byle szybciej, bo zimno w mieszkaniu.

Na bazarek postanowiłam iść piechotą. Zaczęło się ściemniać. Czy jeszcze zastanę handlujących?

Ku mojemu zaskoczeniu ruch był duży. Widocznie handlarze chcieli zarobić jak najwięcej w ten przedświąteczny czas.

Lubiłam taką jarmarczną atmosferę świątecznych straganów. Oprócz kompletu chińskich lampek kupiłam małą drewnianą szopkę, stroik z żywych gałązek, dla zapachu, i nową gwiazdę na czubek mojej

sztucznej choinki.

A może upiec sernik? Chociaż malutki? Z polewą czekoladową? Stałam przed budką i rozważałam swój świąteczny dylemat. Na myśl o serniku ślinka napłynęła mi do ust. W końcu co mam innego do roboty? Zdążę przecież.

Kupiłam kilogram sera.

Do domu dotarłam zmarznięta, temperatura musiała spaść grubo poniżej minus dziesięciu stopni. Farelka dzielnie dmuchała ciepłe powietrze, jednak wciąż było chłodno. Włożyłam ciepły dres i gruby sweter i włączyłam w kuchni gaz, niech grzeje. Dokończyłam ubieranie choinki, a potem odkurzałam z zapalem, żeby tylko coś robić i nie marznąć.

Około dziewiątej przyszedł pan Kazio.

– Pani Michalinko kochana, to od pana Pawełka! – Wcisnął mi do ręki grubą kopertę. – Wie pani, o co chodzi?

Kiwnęłam głową.

– No to dobrze. A co tam u pana Pawełka?

– Niestety, nie wiem, panie Kaziu. Milczy, tyle co zawiadomił mnie o przesyłce. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pana fatygował, zamiast przesłać to bezpośrednio do mnie – udałam zdziwienie.

– Żadna fatyga – krygował się mężczyzna. – To drobiazg, naprawdę. Pan Pawełek pewnie miał swoje powody, rozumie pani. – Puścił do mnie porozumiewawczo oko.

– Pewnie tak. Dziękuję panu, panie Kaziu. A pan w święta pracuje?

– W drugi dzień świąt przychodzę na nockę. To pójdę już, pani Michalino. Wesołych świąt.

– Wesołych świąt.

– Aha, a samochodzik zostawi pani na zewnątrz? – zapytał, stojąc w drzwiach. – Bo taki mróz, akumulator może sięś.

– Nie mam wyjścia, panie Kaziu, wjazd do garażu niemożliwy. I tak jestem w lepszej sytuacji od tych, co nie mogą z garażu wyjechać. Może do jutra uda się naprawić awarię, to wstawię samochód. Dobranoc.

– Dobranoc, dobranoc.

Wreszcie poszedł. Jakoś nie mogłam pozbyć się niechęci do niego.

Poczułam głód. Od śniadania w noclegowni nic nie jadłam. Trzymając kanapkę w dłoni, wyjrzałam przez okno. Czarne bmw wróciło. Niech to szlag! Pewnie myślą, że Paweł na święta tu przyjdzie.

Postanowiłam napisać mu o przesyłce. Wzięłam laptopa i poszłam do łóżka. Opatuliłam się kołdrą i kocami. Czułam, że marzną mi palce. Od Pawła żadnej wiadomości.

Paweł, Twoja przesyłka dzisiaj dotarła – dziękuję. To mi znacznie ułatwi działania. Po świątach poszukam agencji nieruchomości, niech fachowcy zajmą się sprzedażą, bo jakoś do tej pory chętnych nie ma.

Odezwij się. Co u Ciebie? Jak sobie radzisz? Wszystkiego dobrego na święta. I uważaj na siebie.

M.

Mimo chłodu w mieszkaniu spałam bardzo dobrze. Odespałam poprzednią noc i pewnie spałabym jeszcze dłużej, ale obudził mnie sygnał SMS-a. Od Waldka – „Załatwione”. Ucieszyłam się. „Dzięki” – odpisałam.

Od Pawła żadnej wiadomości. Hmm...

Zająłam się pieczeniem sernika. Szybko zagniotłam ciasto i wstawiłam do lodówki. W tym czasie

przygotowałam masę serową. Ser starannie ucierałam w makutrze z żółtkami i cukrem, aż stawał się puszystą masą. Zawsze wychodził pyszny, był moją specjalnością. Zapach wypełnił całe mieszkanie, a ja patrzyłam, jak rośnie. Tylko po co mi taki wielki sernik? Kto go zje?

Po południu usłyszałam w kaloryferach obiecujące bulgotanie. Na szczęście, bo mimo farelki zimno zaczynało mi bardzo doskwierać. Pewnie trzeba jeszcze poczekać, zanim mieszkanie się nagrzej, ale najważniejsze, że naprawili. No i samochód będę mogła wstawić do garażu. Właśnie, samochód! Miałam nadzieję, że mróz nie zaszkodził akumulatorowi. Trzeba będzie trochę pojeździć. Nie chciało mi się wychodzić na ten mróz, ale nie miałam wyjścia.

Samochodu bandziorów nie było w okolicy, za to pod wycieraczką swojego znalazłam kopertę zapakowaną w foliową torebkę. To mnie zaniepokoiło. Na kartce, którą wyjęłam z koperty, napisane było: „Odbierzemy swoje pieniądze”.

Nie mogę dłużej czekać, muszę to zgłosić na policję. Przecież to groźba. Czuję, że drżą mi ręce i serce wali jak młot.

Wsiadłam do samochodu i przez dłuższą chwilę nie mogłam zebrać myśli. Szyby były zamrożone, nie miałam siły ich skrobać, więc włączyłam silnik – na szczęście odpalił bez kłopotów. Na przednią szybę poleciało zimne powietrze. Długo musiałabym czekać na jej odlodzenie, więc wysiadłam i wyskrobałam małą szparkę, żeby widzieć wjazd do garażu.

Kartka znaleziona za wycieraczką zepsuła mi nastrój. Usiadłam przy stole w kuchni zrezygnowana.

Nadal żadnej wiadomości od Pawła. Mocno wystraszona poszłam do łóżka. Spałam jak zajac pod miedzą, nasłuchiwałam każdego odgłosu pochodzącego spoza mieszkania. Wstałam zmęczona i zdenerwowana, z mocnym postanowieniem zgłoszenia zdarzenia na policję.

Dodzwoniłam się po dziesiątej.

– Zgłoszenia musi pani dokonać podczas osobistej wizyty – poinformował mnie uprzejmy damski głos. – Zapraszamy po świętach, dzisiaj trzeba dłużej poczekać w kolejce, mamy dużo wezwań. Umówić panią z dzielnicowym?

– Tak, poproszę. Może rzeczywiście po świętach będzie lepiej. – Sama nie byłam przekonana do tego, co mówię, pewnie ze strachu.

Okazało się, że dzielnicowy miał czas dopiero po Nowym Roku. Umówiłam się, co miałam robić.

– Jeśli pani będzie chciała zgłosić to wcześniej, to codziennie od ósmej do dwudziestej policjant dyżurujący przyjmuje interesantów. Tylko trzeba poczekać w kolejce.

– Dziękuję pani, przemyślę to. Wesołych świąt.

– Wesołych świąt, do widzenia.

Myślałam, że uda mi się załatwić sprawę od ręki i będę spokojniejsza. To jeszcze tyle dni. Że też musiało mnie to spotkać i to właśnie teraz, westchnęłam.

Wypiłam herbatę i zeszłam do sklepu po pieczywo. Skurczeni z zimna ludzie stali w kolejce na zewnątrz. Dołączyłam do ogonka, rozglądając się nerwowo. Niech to szlag, przecież nie będę przemykać wszędzie jak złodziej. Zgłoszę się wcześniej, zaraz po świętach. Po Nowym Roku wracam do pracy i od razu na dzień dobry musiałabym poprosić o wolne. Święta jakoś muszę przeżyć.

Dopiero to postanowienie uspokoiło mnie trochę, chociaż nadal nie czułam się bezpiecznie.

W domu było już cieplej. Wstawiłam barszcz i robiłam polewę czekoladową do sernika. Bez pośpiechu, miałam czas. Dużo czasu w samotności na przemyślenia.

Nadal żadnych wiadomości od Pawła. Niedobrze. Zaczynałam się martwić.

Wcześniej nakryłam do wigilijnego stołu. Dwa samotne nakrycia i wszechobecne w mediach kolędy działały na mnie przygnębiająco. Uświadomiłam sobie, że to była moja pierwsza naprawdę samotna Wigilia. Nawet po śmierci babci nie byłam sama, wtedy zapraszał mnie ojciec. Dopóki nie poznałam

Pawła. Przez tyle lat spędzaliśmy święta albo w swoim towarzystwie, albo z rodzicami Pawła. Ale to zdarzało się rzadko. Moi teściowie nie za bardzo mnie lubili, a i Paweł nie był w stosunku do nich zbyt wylewny. To był zimny dom, ale mając w pamięci własne układy rodzinne, niczemu się nie dziwiłam. Żyliśmy własnym życiem.

Pomyślałam o Marcelinie. Chociaż starałam się panować nad uczuciami, nie ustrzegłam się bolesnego ukłucia w sercu. Dlaczego przez tyle lat nikt mi nic nie powiedział? To pytanie wracało do mnie jak bumerang.

Postanowiłam jeszcze raz zajrzeć do rzeczy po ojcu. Szybko odszukałam pudełko ze zdjęciem jego i Marceliny. Kolory wypłowieły, a raczej zrudziały. Obrazy straciły na ostrości, ale widać było, że para na zdjęciu jest uśmiechnięta i w dobrej komitywie. Znowu poczułam w sercu ukłucie zazdrości. Ze mną ojciec nigdy nie wyjeżdżał, nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek trzymał mnie za rękę z taką czułością. Nie mieliśmy „swoich” spraw. A ci dwoje na zdjęciu spoglądali na siebie porozumiewawczo, wyraźnie łączyła ich jakaś wspólna tajemnica, jakaś wakacyjna psota.

Marcelina na fotografii rzeczywiście była do mnie bardzo podobna, ale jednak się różniłyśmy. Miała ciemniejsze włosy i była drobniejsza. Było w niej coś eterycznego, ulotnego. Ale uśmiechała się tak samo jak ja. Obie przypominałyśmy ojca.

A więc jednak jest moją siostrą. Jak to możliwe? Przecież jesteśmy w podobnym wieku. I kim jest jej matka? Stanowczo muszę porozmawiać z ojcem. Zadzwońię do niego w nocy z życzeniami świątecznymi, jak co roku.

Uświadomiłam sobie, że to ja zawsze dzwonię do niego. Robię to ten jeden raz w roku, na Boże Narodzenie, ale to zawsze ja inicjowałam kontakt. Rozmawialiśmy poprawnie, niemal obojętnie. Chyba jednak nic nas nie łączyło. Przecież nawet nie zawiadomiłam go o swojej chorobie. Nie pomyślałam o tym.

Ciekawe, czy Marcelina ma jakiś kontakt z ojcem? Czy oboje, Marcelina i ojciec, będą chcieli o tym rozmawiać?

Podgrzałam gotowe uszka do barszczu i pierogi z kapustą oraz grzybami i usiadłam do kolacji wigilijnej. Nie, nie byłam samotna. Przy dodatkowym nakryciu postawiłam zdjęcie Marceliny z naszym ojcem. Wesołych świąt!

Po kolacji nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. W telewizji nic mnie nie zainteresowało, nad książką nie potrafiłam się skupić. Chodziłam bez celu po mieszkaniu. To wyjrzałam przez okno, to bezmyślnie przestawiałam bibeloty. Termometr za oknem wskazywał szesnaście stopni mrozu. Chociaż w domu było ciepło, skuliłam się na samą myśl, że miałabym teraz wyjść na zewnątrz.

Na stole, wśród nieposprzątanых resztek po kolacji, dogasała świeca. Znowu pomyślałam o Marcelinie. Kiedy płomyk błysnął ostatni raz i wreszcie zgasł, byłam zdecydowana.

Wyciągnęłam ze spiżarni kosz piknikowy. W jednym termosie zaparzyłam gorącą herbatę, w drugim – kawę. Do dużego słoja przelałam resztę barszczu, do pudełek zapakowałam uszka i pierogi, a połowę sernika i chleb owinęłam folią. Wzięłam też ze sobą garnek, patelnię, talerze i sztućce. Wszystko to zniosłam do samochodu i wróciłam po śpiwór i koc. Wyłączyłam choinkę, pogasiłam światła, tylko w sypialni zostawiłam włączoną lampkę przy łóżku i w kuchni światło w wyciągu. Tak dla zmyłki, na wypadek gdyby bandziory z bmw obserwowały w nocy mieszkanie.

Uspokoiliłam się, dopiero gdy wyjechałam z Łomianek i upewniłam się, że nikt za mną nie jedzie. Droga była pusta, czasami tylko minął mnie jakiś samochód. Wszyscy siedzieli w domach przy wigilijnych stołach. Na szczęście jezdnia nie była śliska. Włączyłam ogrzewanie i swoją ulubioną płytę Cesarii Evory i przycisnęłam pedał gazu.

Jechałam do Marceliny. Najwyżej mnie przegoni.

W świetle reflektorów lasy miały bajkowy wygląd. Mróz posrebrzył pnie i gałęzie, między drzewami

leżały połacie śniegu. Wszystko wokół pokryte było szadzią, która skrzyła się kolorowo w świetle księżyca. W scenerii brakowało tylko bajkowych postaci – reniferów, krasnali i wróżek.

We wsi też było pusto, w oknach domów świeciły choinki, gdzieś przez drogę przebiegał pies. W światłach samochodu oczy zwierzaków błyszczały demonicznie, aż dreszcz przebiegał po plecach. Droga była zamrznięta, koła ślizgały się w koleinach, mimo to jazda i tak była lepsza niż po błocie.

Tym razem nie przejechałam skrzyżowania za niebieskim domem. Zaparkowałam pod samą bramą. Na posesji babci było cicho i pusto. Nie czuć było dymu, który powinien wydostawać się z pawilonu, przynajmniej tego oczekiwałam po informacji od Waldemara. A może Marceliny nie ma, pomyślałam, wchodząc na podwórko. Eee, a dokąd by poszła? Podeszłam do okna i przycisnęłam twarz do szpary w okiennicy. Chyba w środku migotało światło. Czułam się nieswojo w tej zimowej ciszy. Podglądając przez okno, odczułam dziwny strach, ale nie chciałam rezygnować ze swoich zamiarów. Pod drzwiami poślizgnęłam się na zamrzniętej kałuży, jednak nie upadłam. Całe szczęście, inaczej mógłby się stłuc słoń z barszczem i termosy, które taszczyłam. Spojrzałam na zegarek, dochodziła jedenasta. Późno. Może Marcelina już śpi?

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszłam i szybko zamknęłam je za sobą. We wnętrzu było zimno, mimo że pośrodku stał żeliwny piecyk, a obok niego kosz węgla. Marcelina w nim nie napaliła. Dlaczego? Spojrzałam na stary tapczan. Pod stertą jakichś szmat ktoś leżał. Obok, na małym stołeczku świeciła lampa naftowa. Podeszłam bliżej.

– Kto tam? – wychrypiał ktoś z barłogu.

– To ja, Michalina – szepnęłam poruszona. Podeszłam jeszcze bliżej i napotkałam spojrzenie Marceliny. Była rozpalona gorączką, miała wypieki i spierzchnięte usta.

– Co ci jest? – Pochyliłam się nad nią. Dotknęłam jej czoła. Aż parzyło. Miała chyba ze czterdzieści stopni gorączki.

– Zostaw mnie w spokoju! – Zamknęła oczy i oblizała usta.

– Chyba zwariowałaś. Zaraz się tobą zajmę.

– Nie potrzeba. Dam sobie radę.

– Właśnie widzę – mówiłam, jednocześnie wydając z kosza termos z herbatą. Nie wzięłam z domu żadnej szklanki, więc herbaty nalałam do stojącego na stole wyszczerbionego kubka.

– Pij. – Podsunęłam jej kubek do ust.

Nie protestowała. Łapczywie piła, parząc sobie usta.

– Zaraz rozpalę w piecyku, będzie cieplej.

– A potrafisz?

– Nie wiem, ale spróbuję.

Podkreśliłam lampę naftową, żeby dawała więcej światła, i zabrałam się do rozpalania ognia. Słabo pamiętałam, jak to się robi. Włożyłam do środka starą gazetę znaną na podłodze i kilka suchych patyków, które leżały przy koszu z węglem.

– Gdzie masz zapalki? – Rozglądałam się po pomieszczeniu, ale nieprzywykła do półmroku niewiele widziałam.

– Tutaj. – Leżały na stołeczku przy łóżku.

Zapaliłam gazetę i patrzyłam, jak płomień zajmuje patyki. Ostrożnie wrzuciłam kawałek węgla. Ogień przygasł, ale po chwili znowu się rozjarzył. Zamknęłam drzwiczki piecyka i czekałam, aż rozpalą się na dobre, żeby dorzucić więcej węgla. Nieźle mi poszło, pomyślałam zadowolona.

– Po co przyjechałaś? – Marcelina rozkaszała się okropnie, aż bolało samo słuchanie.

– Do ciebie. Dziś Wigilia.

Spojrzała na mnie dziwnie.

– Wigilię powinno się spędzać z rodziną, nie uważasz?

Milczała, ale miała dziwny wyraz twarzy.

– Rozgość się – szepnęła.

Nie czekając na zaproszenie, wyciągałam na stół wiktuały.

– Zaraz zrobię coś do jedzenia. Pewnie nic nie jadłaś.

– Coś jadłam – burknęła i znowu targnął nią paroksyzm kaszlu.

– Zaraz przyjdę. – Wyszłam do samochodu po resztę bagaży. Tym razem uważałam na zdradziecką ślizgawkę pod drzwiami.

Kiedy wróciłam, Marcelina siedziała na łóżku. Wyglądała okropnie. Ogień nie zgasł, na szczęście. Od razu do niego dołożyłam. Na razie nie było czuć ciepła, piecyk dopiero się rozgrzewał. Przełałam barszcz do garnka, wrzuciłam do niego uszka i postawiłam na piecyku.

Powoli nakrywałam do stołu. Bez obrusa, bez choinki czy choćby stroika. Kątem oka widziałam, że Marcelina mnie obserwuje. Oczy płonęły jej gorączką.

– Dasz radę wstać czy podać ci do łóżka?

– Dam radę – kiwnęła głową, ale musiałam jej pomóc, bo zachwiała się niebezpiecznie. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj, jesteś chora. I to bardzo. Dam ci coś na gorączkę. Zjesz i położysz się do łóżka.

– A ty? – spytała, ciężko dysząc.

– A ja będę tu i przypilnuję ognia. Bądź spokojna, mam śpiwór i koc.

– Możesz położyć się koło mnie. Tapczan jest dwuosobowy.

– Może tak zrobię. Na razie jedz.

Postawiłam przed nią talerz barszczu z uszkami i zaczęłam odsmażać pierogi.

– Ale pachnie. – Marcelina powiedziała to tak cicho, że przez chwilę zastanowiłam się, czy się nie przesłyszałam. Jadła powoli, z opuszczoną głową. Ten widok był wzruszający. Poczułam napływające do oczu łzy. Odwróciłam głowę.

Jedzenie rozgrzało Marcelinę. Po chwili zrzuciła z ramion koc i rozpięła palto. Boże, pomyślałam, jakie to smutne. Niemal namacalnie poczułam samotność wyglądającą z każdego kąta i z pochylenia ramion Marceliny. Mojej siostry.

Postawiłam przed nią talerz z pierogami. Dolałam do kubka gorącej herbaty. Sobie nalałam kawy do plastikowego kubeczka znalezionego na stole i usiadłam. Piecyk nareszcie zaczął promieniować przyjemnym ciepłem.

– Dziękuję ci. – Marcelina odstawiła talerz i wzięła się do pierogów. – Nie wiem, czy dam radę zjeść. Już się najadłam.

– Zjedz, ile możesz. Wypij herbatę. Musisz dużo pić.

Posłusznie sięgnęła po kubek. Wygrzebałam z torebki apap i podałam jej opakowanie.

– Co to?

– Lekarstwo. Zbije ci gorączkę i złagodzi ból. Weź dwa.

Kiwnęła głową i pokornie łyknęła obie tabletki. Po zjedzeniu jednego pieroga odłożyła widelec i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Położę się. Jestem słaba.

Pomogłam jej. Otuliłam ją stosem, spod którego wstała, i usiadłam obok na stołeczku.

– Dlaczego przyjechałaś?

– Nie mogłam przestać o tobie myśleć – odpowiedziałam po chwili. – A poza tym jesteś moją siostrą – dodałam.

Patrzyła na mnie uważnie.

– Wierzysz mi?

Kiwnęłam głową. Nie mogłam mówić.

– Bałam się, że nie uwierzysz. Naprawdę nic nie wiedziałaś?

– Naprawdę.

– Myślałam, że wiesz, i dlatego nie przyjeżdżasz, żeby mnie nie spotkać.

– Nie przyjeżdżałam z innych powodów.

– Opowiesz mi?

– Kiedyś na pewno.

Zamknęła oczy. Powieki miała tak przezroczyście, że widać było niebieskie żyłki. Przyszła mi na myśl Elżunia i aż serce mi się ścisnęło. Myślałam, że zasnęła, dlatego zaskoczyła mnie pytaniem:

– A tata?

– Co „tata”?

– Co u niego?

– Nie wiem. – Zawstydyłam się. – Rzadko się kontaktujemy. A wy? Utrzymujecie ze sobą kontakt?

– Nie. Ale chciałabym. Kiedyś pisał do mnie od czasu do czasu, jak byłam w domu dziecka. Ale jak stamtąd wyszłam, to przestał.

– Ojciec od lat na stałe mieszka w Kanadzie. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Dzwonię do niego raz w roku, na Boże Narodzenie. Miałam dzwonić dzisiaj w nocy, ale przyjechałam do ciebie. Jutro zadzwonię. Coś mu przekazać od ciebie?

– Nie, chyba nie – odparła szybko, ale po chwili dodała: – Albo może pozdrów go ode mnie.

– Dobrze, pozdrowię.

– I powiedz, że mam się dobrze.

Milczałam. Było już bardzo późno, minęła pierwsza.

– Spróbuj zasnąć. – Dotknęłam czoła Marceliny, gorączka nie spadła ani trochę.

– Ty też się połóż. – Przesunęła się do ściany. – Razem będzie nam cieplej.

– Dobrze. Dołożę tylko do pieca. – Wstałam ze stołeczka i po dorzuceniu węgla rozłożyłam śpiwór.

Położyłam się obok Marceliny i przykryłam nas obie śpiworem i kocem. Wtulona w moje plecy, grzała jak rozpalony piec. Po chwili zasnęła, oddychając nierówno i pokaszując przez sen.

Nie mogłam zasnąć. Wsłuchiwałam się w oddech mojej siostry i ogień buzujący pod płytą piecyka. Poza tym cisza, nawet psy nie szczekały.

Pozwoliłam myślom płynąć swobodnie. Dumałam nad tym, co zrobić. Nie mogłam zostawić tutaj chorej Marceliny. To nie są warunki do mieszkania dla kogokolwiek, a tym bardziej dla osoby chorej.

Musiałam przysnąć, bo obudziło mnie wrażenie, że ktoś stoi przy tapczanie. Byłam zdrtwiała od leżenia w jednej pozycji, ale bałam się poruszyć, żeby nie obudzić Marceliny. Spocona przylegała nadal do moich pleców, oddychając nierówno. Wydawało mi się, że czuję zapach migdałów. Pomyślałam o Michaeszu. Jesteś? – zapytałam w myślach. Odpowiedziała mi cisza, tylko ogień w piecyku zaczął trzaskać. Dochodziło wpół do piątej. Wstałam ostrożnie i po cichu dołożyłam węgla do piecyka. Biło od niego ciepło, ale dla mnie wciąż było tu zimno. Wiatr świstał w szparach okiennic i drzwi. Naprawdę to cud, że Marcelina rozchorowała się dopiero teraz. Dotknęłam jej czoła. Było wilgotne i ciepłe, choć nie tak gorące, jak wczoraj. Dobrze, że przyjechałam.

I nagle powzięłam postanowienie. Zabiorę ją ze sobą do Warszawy czy tego chce, czy nie. Przezimuje u mnie, a potem może sobie wrócić na wieś, jeśli bardzo będzie chciała. Stać mnie na utrzymanie nas obu. Wiosną dam jej klucze do domu babci, niech tam zamieszka. Razem posprzątamy i naprawimy, co trzeba. A jeśli będzie miała ochotę, zostanie ze mną w mieście. Oddam jej gabinet, mnie jest niepo-

trzebny. Niech sobie maluje te swoje akwarele. Może nawet będziemy je sprzedawać, żeby miała swoje pieniądze. Pomogę jej. W końcu to moja siostra.

Uśmiechnęłam się do swoich myśli. Jeszcze kilka dni temu nawet nie wiedziałam, że mam siostrę, a dzisiaj, proszę – już nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Przecież ona nie jest niczemu winna, tłumaczyłam sama sobie. Też nie miała miłości rodziców, ja miałam chociaż babcię, a ona nie. A że ojciec kochał ją bardziej niż mnie? To nie jej wina, ona była tylko dzieckiem.

Pokrzepiona tymi myślami wróciłam do łóżka. Marcelina spała odwrócona do mnie plecami, teraz ja do niej przyłgnęłam, obejmując ją ramieniem. Przez sen otuliła się moją ręką. Było mi dobrze i ciepło. Zasnęłam.

Obudziło nas pukanie do drzwi. Przez szpary w okiennicach napływało światło dnia. Dochodziła dziewiąta. Zanim wygramoliłam się spod przykryć, w uchylonych drzwiach stanął Waldemar.

– Dzień dobry! – zawołał radośnie. – Wesołych świąt! Gwiazdor przyjechał!

Patrzyłyśmy na niego zaspane i zdziwione. Waldemar wtaszczył worek z węglem.

– To jeszcze nie wszystko! Wstawać, miłe panie! Śniadanie przyjechało!

Roześmiałam się i spojrzałam na Marcelinę. Była blada, wymęczona gorączką, ale uśmiechnięta. Miała naprawdę śliczny uśmiech.

– Cześć, Waldek – wychrypiała.

– A co to? Chora jesteś? – Przyglądałyśmy się, jak mężczyzna gospodarzy, sprzątajac stół po naszej wigilii.

– Trochę.

– Ładne trochę – włączyłam się do rozmowy. – Wczoraj była prawie nieprzytomna z gorączki, jak przyjechałam. Piec zimny, a ona zakutana w te wszystkie kołdry na łóżku.

– Ale widzę, że pojadłyście. – Waldek dołożył węgla do dogasającego piecyka i zebrał talerze ze stołu. – Pora na śniadanie.

Wygrzebał gdzieś stary czajnik, cały usmolony sadzą, nalał wody i postawił na kozie.

– O, nawet czajnik jest. Wczoraj nie zauważyłam.

– Przywiozłem poprzednim razem. Pamiętałam, że mówiłaś, że tu nie ma nawet czajnika. – Wyszczerezył do mnie rząd równiutkich, białych zębów w uśmiechu. – Ale widzę, że sobie poradziłaś. – Zajrzał do termosu z resztką herbaty. – A co w drugim?

– Kawusia.

– Mmm, kawusia! Jeszcze ciepła! Z przyjemnością się napiję. – Wyjmował z plecaka jakieś paczki. – Przywiozłem świąteczną wędlinkę.

– Boże! Ile dobroci! – dziwiła się Marcelina. – Kto to wszystko zje?

– Damy radę. – Waldek zręcznie ukroił plaster pasztetu i podał Marcelinie. – Spróbuj tylko! O! I serniczek jest! Skąd macie?

– Ja przywiozłam – śmiałam się serdecznie, patrząc na krzątanicę Waldka. Fajny z niego facet. Podał mi się.

– Sama piekłaś?

Kiwnęłam głową, filuternie mrużąc oczy.

– No, no, no! Kto by pomyślał, że taka uzdolniona jesteś!

– Są jeszcze pierogi? – zapytała Marcelina. – Zjadłabym jednego.

– Są pierogi, już wrzucam na patelnię. Zapraszam do stołu! Marcelina, dasz radę wstać?

– Dam. Dla pierogów dam. – Podniosła się chwiejnie z łóżka i podeszła do stołu.

Siedzieliśmy we trójkę w tej ruderze, na koślawych stołkach i krzesłach, ogień w piecyku wesoło

buzował i choć było biednie i w prymitywnych warunkach, czułam się szczęśliwa jak jeszcze nigdy. Troje samotnych rozbitków. Jak niewiele potrzeba do szczęścia, pomyślałam. Wystarczy tylko ze sobą być.

– Marcelino – powiedziałam po śniadaniu – chcę, żebyś pojechała do Warszawy i zamieszkała ze mną.

Patrzyła na mnie oniemiała.

– No co ty! – wydukała wreszcie. – Dlaczego?

– Jak to „dlaczego”? Po pierwsze, jesteś chora i nie możesz sama tutaj zostać. Po drugie, nawet jak jesteś zdrowa, tu nie ma warunków do mieszkania.

Milczała. Waldek przyglądał nam się z boku.

– Nie wiem. Nie wiem, czy chcę. Tu mi dobrze.

Rany boskie! Dobrze jej tu! Nie mogłam tego pojąć, ale milczałam w obawie, że powiem coś niewłaściwego i Marcelina nie da się przekonać.

– Marcelino – Waldek wziął ją za rękę – myślę, że to dobry pomysł.

Wyrwała mu rękę i wstała. Była bardzo osłabiona, bo po kilku krokach zachwiała się i opadła na tapczan.

– Zaplanowaliście to, prawda?

– Nie! – krzyknęliśmy jednocześnie. – Nie, to przypadek! – dodałam. – Nie planowałam tu przyjechać i nie umawiałam się z Waldkiem. Uwierz mi! Wymyśliłam to w nocy.

– Ale dlaczego?

– Bo jesteś chora! Nie możesz sama zostać w tym zimnie! Zamarzniesz!

Prychnęła zniecierpliwiona.

– Przecież to nie pierwszy raz. Jakoś do tej pory dawałam sobie radę. Dlaczego teraz miałabym sobie nie dać?

Zawisła między nami cisza. Po radosnej atmosferze świątecznego śniadania nie zostało ani śladu. Waldek usiadł w kącie i patrzył na nas w milczeniu.

– Marcelino, posłuchaj – zaczęłam. – Nie chcę cię do niczego zmuszać ani namawiać. Tylko proponuję. Pojedź ze mną i zostań na czas choroby. Zaopiekuję się tobą. A potem zobaczymy. Będziesz chciała wrócić, to wrócisz. Nie będę cię zatrzymywać. Nawet cię odwiozę. Ale pomyślałam, żebyś została na całą zimę. Na wiosnę posprzątam dom babci, naprawimy, co trzeba, i zamieszkaasz w domu, zamiast w tej ruderze. Jeśli będziesz chciała.

Milczała.

– Przemyśl to chociaż, proszę cię. Nie odmawiaj dla zasady. Dostaniesz osobny pokój i będziesz robić, co chcesz.

– A twój mąż? Co on na to?

– Mój mąż nie mieszka ze mną. Jest za granicą. Rozwódzimy się.

– Nie stać mnie na mieszkanie w Warszawie.

– Ale ja nic od ciebie nie chcę. Tego, co mam, wystarczy na nas dwie, damy sobie radę.

– Nie potrzebuję niczyjej łaski! – krzyknęła nagle. – Niczyjej!

Zadrżałam.

– To żadna łaska. Nie myśl tak.

– A jak mam myśleć? Jeszcze nikt w życiu nie zrobił dla mnie nic za darmo! Dlaczego ty miałabyś zrobić? Dlaczego?

– Bo jesteś moją siostrą.

Zamilkła zaskoczona moją odpowiedzią.

– Marcelino, proszę cię. Zgódź się.

Płakała. Naprawdę płakała. Zanosila się płaczem i zawodziła jak mała dziewczynka. Usiadłam obok

niej i przytuliłam do siebie, gładząc ją po głowie.

– Zgódź się. Potrzebuję cię. Zobaczysz, będzie nam dobrze razem.

Była rozpalona i spocona, nadal miała gorączkę. Nie mogłam jej tutaj zostawić.

– Obiecujesz? – chlipnęła mi gdzieś w dekolt.

– Obiecuję! Pewnie, że obiecuję!

Tuliłam ją do siebie i kołysałam w objęciach jak małe dziecko. Powoli się uspokajała.

– Zrobisz mi herbatę? Pić mi się chce – poprosiła. – Zjadłabym jeszcze tego pysznego pasztetu.

Waldek rzucił się do stołu, żeby spełnić jej prośbę.

– I weź jeszcze leki – dodałam. – Wciąż masz gorączkę i rzezi ci w piersiach.

– Dobrze – odpowiedziała pokornie.

Spojrzeliliśmy na siebie z Waldkiem ponad głową Marceliny – dzięki Bogu, mówiły nasze spojrzenia.

– Jak zjesz, spakujemy twoje rzeczy.

– Mogę zabrać swoje farby?

– Wszystko możesz zabrać. Wszystko, jeśli tylko zmieścimy do samochodu, a jeśli nie, to przyjedziemy po resztę później.

– Waldek, a może i ty pojedziesz z nami? Jest gdzie spać, mógłbyś zostać do jutra.

Wyraźnie był zaskoczony.

– No nie wiem. Nie jestem przygotowany.

– Możemy przecież po drodze podjechać do ciebie. Zabierzesz, co ci tam potrzeba, i pojedziemy.

Przecież też siedzisz sam, co ci szkodzi. Razem będzie nam raźniej.

– Prawdę mówiąc, to chętnie bym pojechał, bo mi trochę nudno samemu, ale nie chcę robić kłopotu.

– Ale jaki kłopot, co ty mówisz! Przecież inaczej bym cię nie zapraszała. Marcelino, namów Waldka.

– Waldek – zaczęła tylko z uśmiechem – jedź z nami. Będzie mi raźniej na początek.

– No i co ja mam z wami zrobić?

– Jechać!

– No to pakujmy się!

Niewiele tego było, ale nawet przy pakowaniu tej odrobiny dobytku Marcelina miała problem. Była rozkojarzona, nie mogła się zdecydować, co zabrać, a co zostawić. Nie wiem, czy to z powodu gorączki, czy niespodziewanej sytuacji, w której się znalazła, dość, że kręciła się bezproduktywnie pomiędzy tapczanem a stołem, który służył jej za warsztat. Po godzinie zdecydowałam, że muszę jej pomóc, bo wyraźnie nie mogła poradzić sobie z emocjami.

– Spakuj swoje obrazki i farby, a ja zajmę się resztą. Część rzeczy możemy zostawić, nie będą ci chyba potrzebne.

– A rower?

– Rower mogę zabrać do siebie – zaoferował Waldek.

– Rower wstawimy do domu babci. Mam ze sobą klucz. Tyle lat nikt się tam nie włamał, to i do wiosny postoi.

Wreszcie zapakowaliśmy wszystko do samochodów. Część zabrał Waldek, część pojechała z nami. Marcelina jeszcze się wahała, niechętnie opuszczała pawilon.

– Chodź, przecież nie odjeżdżasz na zawsze.

– Wiem, ale jakoś tak... Tyle lat tu przebidowałam.

– No właśnie, przebidowałaś. Teraz będzie inaczej.

– No tak, ale wiesz... Mam sentyment do tego miejsca.

– Wiem, wiem. Ja też. Ale wsiadaj już, bo jeszcze musimy pojechać do Waldka, po jego rzeczy, a czas ucieka. Musisz się położyć do łóżka i wygrzać to paskudne przeziębienie.

Ruszyliśmy.

W Wyszogrodzie nawet nie wysiadliśmy z samochodu, Waldek uwinął się w dwadzieścia minut.

– Ale szybki jesteś – powiedziałam z podziwem.

– Ba! Lata doświadczeń – zaśmiał się. – Niewiele mi potrzeba na jedną noc. Rach-ciach i jestem spakowany!

– To co masz w tej wielkiej torbie?

– Aaa, to niespodzianka! Pokażę wam na miejscu. – Uśmiechnął się przebiegle.

Nareszcie ruszyliśmy do Warszawy. Ja z Marceliną, Waldek za nami. Marcelina milczała, zapatrzona w drogę.

– Wiesz, że nigdy nie byłam w Warszawie?

– Naprawdę? – Byłam bardzo zdziwiona. – No to będę mogła ci ją pokazać. – Jak się czujesz?

– Tak sobie. Boli mnie głowa i piecze w gardle.

– Ale wytrzymasz? W domu coś ci zaordynuję jako samozwańczy domowy lekarz. Jak nie pomoże, trzeba będzie do prawdziwego lekarza. Długo masz gorączkę?

– Wytrzymam. Nie wiem. Trzy, może cztery dni. Nie mam termometru. Ani ubezpieczenia.

– Tym się nie martw. Masz ze sobą dokumenty?

Kiwnęła głową.

Droga nie była już taka pusta, minęliśmy nawet dwa wypadki. Pewnie alkohol, jak to zwykle w święta. Odruchowo zwolniłam.

– Od dawna znasz Waldka? – Marcelina zaskoczyła mnie pytaniem.

– Nie, od niedawna. Właściwie to prawie go nie znam. Widziałam go dwa razy. Dziś widzę trzeci.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Waldek jest fajny. Zawsze mi pomagał.

– Też myślę, że fajny. – Pilnie wpatrywałam się w drogę.

– Naprawdę tego nie planowaliście?

– Naprawdę, uwierz mi. Szczerze mówiąc, kilka dni temu poprosiłam go tylko, żeby sprawdził u ciebie piec i dostarczył trochę węgla, żebyś nie marzła. Nie mogłam przestać myśleć o tym zimnie. Jeszcze wczoraj po południu nie planowałam, że do ciebie pojedę. Dopiero po kolacji tak mnie naszło. Nigdy jeszcze nie spędzałam samotnie Wigilii. Pomyślałam, że ty też jesteś sama, i postanowiłam pojechać. Nie wiedziałam, czy cię w ogóle zastanę. Waldek mi mówił, że już dawno chciał ci pomóc, ale nie wiedział, gdzie mieszkasz. Pewnie więc chciał ci dzisiaj dostarczyć trochę jedzenia i węgla. To naprawdę przypadek. Ale dobrze się stało.

Milczała.

– Boję się – szepnęła po chwili.

– Czego się boisz?

– Wszystkiego. Przecież nawet się nie znamy. Ja nigdy nie byłam w wielkim mieście, może będę ci przeszkadzać?

– Nie mów tak. Dogadamy się. Zostaniesz, ile będziesz chciała. Pomyślałam, że może uda nam się sprzedać te twoje akwarele na Allegro. Miałabyś swoje pieniądze i lepiej byś się poczuła.

– Co to jest Allegro? – spytała.

– To taki portal, na którym można coś sprzedać i kupić. Pomogę ci. Wszystko ci pokażę.

Miała dziwną minę. Wyglądała jak mała dziewczynka, którą wiozą do jaskini smoka.

– Ile masz lat? – zapytałam impulsywnie.

– Trzydzieści trzy.

Zamilkłam. Wyglądała na dużo mniej. Zaskoczyła mnie. Tylko cztery lata ode mnie młodsza. Znaczący, że zdjęcie, które obie miałyśmy, było robione, kiedy ja już mieszkałam z ojcem. Miała na nim może sześć

lat. Pewnie ja byłam na wakacjach u babci, a z nią ojciec wyprawił się do Krynicy Morskiej. Musimy sobie wiele opowiedzieć, będzie na to dużo czasu.

– Dojeżdżamy.

Skręciłam przy moście Północnym na Młociny. Kilkanaście minut i byłam na miejscu. Zatrzymałam się na chwilę na parkingu przed blokiem, żeby pokierować Waldka.

– Zaparkuj tutaj, zabierz swoje rzeczy i wskakuj do nas. Wjedziemy do garażu i stamtąd windą do domu. Później zapytam ochronę, czy nie mają jakiegoś wolnego miejsca parkingowego. Warto by było zaparkować w garażu w taki mróz.

Marcelina była bardzo zmęczona, buzię miała wymizerowaną. Wyglądała okropnie w tym swoim palto-ciku przewiązonym skórzanym wojskowym paskiem i w uszance. Będzie trzeba wszystko wyprać, bo rzeczy trzymane tyle czasu w wilgoci w ciepłym pomieszczeniu wydzielają zapach stęchlizny.

– Michalina, ja śmierdę – szepnęła zawstydzona.

– Nie przejmuj się. Poradzimy sobie z tym.

Kupię jej nowe ubrania, postanowiłam, tylko muszę sobie opracować strategię działania, żeby jej nie obrazić.

– Fiu, fiu! Nieźle mieszkasz! – Waldek rozglądał się po przedpokoju, trochę onieśmielony, ale z uznaniem w oczach.

– Mieszkanie jest na sprzedaż. Mój mąż chce odzyskać włożone pieniądze, ja nie jestem w stanie go spłacić. Kupię sobie coś mniejszego i mniej wystawnego – śmiałam się. – Zapraszam, rozgośćcie się. Waldka dzisiaj zainstalujemy w gabinecie, Marcelina zostanie ze mną w sypialni. Jak wyzdrowiejesz, moja droga, przeniesiesz się na stałe do gabinetu. Będiesz tam miała miejsce do malowania. Co wy na to?

– Ja jestem za! – Waldek stuknął zabawnie obcasami.

– Ja też – szepnęła Marcelina.

– A teraz, Michalino, pokaż mi, gdzie jest kuchnia. Muszę zająć się niespodzianką. – Waldek wniósł swoją ogromną torbę do kuchni i zaczął ją rozpakowywać. Patrzyłyśmy z Marceliną wielkimi oczami na wypakowywane smakołyki.

– Wałówka! A niech cię, Waldek! – zaśmiałam się. – Że też chciało ci się taszczyć!

– A co miałem zrobić? Zmarnowałyby się. Kurczaczek faszerowany zaraz się upiecze. Masz piekarnik, prawda?

Miałam piekarnik i z przyjemnością patrzyłam na krzątającego się po kuchni mężczyznę. Coraz bardziej mi się podobał.

– Miałem go sobie dzisiaj upiec i potem mordowałbym go przez tydzień, ale trafiła mi się okazja spożycia tej delikcji w waszym towarzystwie, miłe panie! Więc skorzystałem. – Błaznował z wdziękiem.

Dałam mu wszystko, czego potrzebował, po czym wygonił nas z kuchni.

– Zajmij się Marceliną przez ten czas. To chwilę potrwa. Potem zjemy i posiedzimy sobie przy świątecznym stole.

Marcelina wyglądała jak wystraszone kurczątko. Chyba źle się czuła i była zagubiona w obcym miejscu. Przygarnęłam ją do siebie, była niższa ode mnie i strasznie chuda.

– Chodźmy do łazienki, weźmiesz kąpiel. Dobrze ci robi. Masz tutaj torbę na swoje rzeczy, wystawimy je na balkon, żebyś nie musiała się wstydzić zapachu.

Zarumieniła się.

– Po świętach zajmiemy się praniem. Pomogę ci. Zaraz napuszczę ci wody i poszukam czegoś do ubrania. Pewnie wszystko będzie za duże – uśmiechnęłam się do niej ciepło.

Zawstydzona ściągała z siebie kolejne warstwy zniszczonych ubrań. Rozciągnięty, zmechacony sweter,

pod spodem dwa podarte T-shirty, poszarzała ze starości koszulka. Do tego wytarte sztruksowe spodnie, za duże na nią i przewiązane w pasie zwykłym sznurkiem. Nie patrzyłam już, kiedy zdejmowała poszarpaną, szarą bieliznę i wchodziła do wanny. Chciało mi się płakać na ten widok. Pod żółtawą skórą widać było żebra. Była skrępowana swoim wyglądem.

– Zostawię cię na chwilę samą. W razie czego wołaj. Tutaj masz mydło i ręcznik. Szampon stoi na półeczce nad wanną. – Pokazałam jej kolorowe buteleczki, pogłaskałam po głowie, zabrałam torbę z jej rzeczami i wyszłam.

Z przedpokoju zabrałam nędzny, śmierdzący paltocik i wszystko wyniosłam na balkon. Musiałam chwilę ochłoniąć po tym, co zobaczyłam. W sypialni, w dawnej części Pawła położyłam wyjętą ze skrzyni pościel i zaczęłam przeszukiwać szafę, by znaleźć rzeczy dla Marceliny. Wygrzebałam bawełnianą koszulkę nocną i zapasowy szlafrok. Na szczęście zawsze miałam gościnne kapcie i szczoteczki do zębów. Z bielizną też nie było kłopotu, miałam kilka par nowych, jeszcze nieużywanych majtek. Na razie musi jej to wystarczyć.

Zaniosłam to wszystko do łazienki. Marcelina wystraszona siedziała w wannie zanurzona w pianie po szyję.

– W porządku? – zapytałam.

Tylko kiwnęła głową.

– Nie siedź za długo, osłabiona jesteś. Potrzebujesz pomocy? – Pokręciła głową przecząco.

Jak dzikie zwierzątko, pomyślałam z bólem serca.

W kuchni Waldek gospodarzył w najlepsze. Kurczak się piekł, wydzielając smakowitą woń, a na stole stały kolorowe surówki.

– Pomóc ci?

– Nie, dziękuję. Wszystko jest pod kontrolą. Masz ocet winny?

Podałam mu butelkę.

– Jak tam nasza podopieczna?

– Kąpie się. Bardzo wystraszona. Zaraz po obiedzie nafaszeruję ją lekami, ale ma taki okropny kaszel, że chyba nie obejdzie się bez lekarza. Tylko nie wiem, czy uda mi się ją przekonać. Dziękuję ci, że pomogłeś mi ją namówić na przyjazd tutaj.

– Nie ma za co, Michasia. Dobrze zrobiłaś, że zabrałaś ją stamtąd. Kto wie, czym by się to skończyło.

– Pewnie ostrym zapaleniem płuc, pod warunkiem że ktoś by ją w porę znalazł. Wiesz, jak tam było zimno, kiedy przyjechałam? Marcelina miała taką gorączkę, że nie dała rady napalić w piecyku. Ledwo miała siłę wstać i coś zjeść.

– Całe szczęście, że cię tknęło i do niej pojechałaś.

– Całe szczęście. To był impuls. Byłam gotowa w piętnaście minut. Nawet nie posprzątałam ze stołu – przypomniałam sobie. – Pewnie wszystko zaschło.

– Nic się nie martw, już wszystko zebrałem i namoczyłem.

– Waldek!

– Ćśśś! Nic nie mów. Ananaska? – Podsunął mi pod nos plaster ananasa z puszki.

Pokręciłam przecząco głową.

– Idę zobaczyć, co u Marceliny.

Ale Marcelina właśnie weszła do kuchni w za dużym szlafroku i za dużych kapciach, co potęgowało jeszcze bardziej jej kruchość.

– Co tak pachnie? Głodna jestem.

– Kurczaczek Waldka.

– Kiedy będzie gotowy?

– Jeszcze z pół godzinki. Siadajcie, dziewczyny. Zjemy w kuchni czy w pokoju?
– Ja chcę w kuchni – oznajmiła Marcelina i ziewnęła. – Nie mam siły się stąd ruszać.
– Niech będzie kuchnia – przytaknęłam wspaniałomyślnie. – Jak się czujesz?
– Zmęczona jestem i ciągle boli mnie głowa.
– Zjesz obiad i położysz się do łóżka. Zdrzemiesz się troszkę. Poszukam termometru, zmierzysz temperaturę.

– Dobrze, mamusiu.

Roześmialiśmy się wszyscy.

– Cieszę się, że tu jestem.

– A ja się cieszę, że was tutaj mam! – Rozstawiałam talerze na kuchennym stole i wcale mi nie przeszkadzało, że nie siedzimy w pokoju przy wykwintnych nakryciach i w eleganckich ubraniach.

– Na deser będzie sernik. Nie próbowałaś go.

– Ja próbowałam. Pycha. Chętnie zjem jeszcze. Ale też mam coś dobrego! – Waldemar zanurkował w swojej przepastnej torbie i wyjął wielkie pudełko. – Proszę bardzo! Własnego wypieku!

Rzuciliśmy się z Marceliną do pudełka.

– Kruche ciasteczka! Naprawdę sam piekęś? – Nie mogłam wyjść z podziwu.

Marcelina patrzyła z zachwytem na złociste gwiazdki, choinki, księżycy i serca.

– Można powiesić na choince.

– Szkoda zachodu. Szybko znikają. Zresztą, nie zrobiłem im dziurek na nitki.

– Można pozawijać w złotka, ale chyba masz rację, szkoda zachodu. Bardzo szybko znikną – stwierdziła Marcelina i wpakowała sobie do buzi serduszko. – Mmm... pyszne!

– A oto i kurczak! – Waldek wyjął brytfannę z piekarnika. Kurczak miał złocistą, przypieczoną skórę i pięknie pachniał. – Szef kuchni zaprasza!

Wszyscy byliśmy głodni, od śniadania w „królestwie” Marceliny minęło kilka godzin. Rzuciliśmy się więc na kurczaka, a był wyśmienity, wprost rozpływał się w ustach. Zestaw surówek wspaniale podkreślał delikatny smak drobiu. Waldek naprawdę miał talent.

– Już dawno nie jadłam czegoś tak pysznego – powiedziałam z pełną buzią i upapranymi palcami. Czulałam się swobodnie, chociaż ledwo znałam moją siostrę i Waldka. Nigdy nie sądziłam, że można tak przyjemnie spędzać święta.

– Gorąco mi. – Marcelina poluzowała pasek szlafroka. – Nie jestem przyzwyczajona do takiego ciepła. Chyba pójdę spać na balkon.

Rzeczywiście, miała wypieki i błyszczące oczy. Pewnie znowu podskoczyła jej gorączka. Ale wyglądała na szczęśliwą.

– Mogę wam zrobić grzane wino z korzeniami – zaproponowałam. – Taki grzaniec jest dobry na przeziębienie. Co ty na to, Marcelino? Waldek, masz ochotę?

– Mogę się napić – zgodziła się Marcelina.

– Ja też chętnie. A ty, Michalino?

– Ja, niestety, nie mogę, ale chętnie powącham.

Znów zapanowała radosna atmosfera.

Z grzany winem i sernikiem przeszliśmy do salonu. Zapaliłam lampki na choince i włączyłam kolędy.

– Może zaśpiewamy? – zaproponowała Marcelina i zaintonowała *Wśród nocnej ciszy*. Zanim jednak skończyła pierwszą zwrotkę, rozkaszała się okropnie, aż jej łzy pociekły. – Wy śpiewajcie, ja nie mogę.

– Ja nie bardzo potrafię – przyznałam. – Słoń mi na ucho nadepnął.

– Ja też nie bardzo umiem, ale zaśpiewam. – Waldek ochoczo i z pełnej piersi huknął: „Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów obnażony!”. Rzeczywiście, głos miał ładny, ale nieco fałszował. Zupełnie

mu to nie przeszkadzało, bo ciągnął niezrażony kolędę za kolędą. Dołączyłam do niego swoim cieniutkim głosikiem i tak sobie śpiewaliśmy we dwoje, dopóki nie spostrzegłam, że Marcelina zasypia na siedząco.

– Koniec śpiewów! – oznajmiłam. – Marcelina maszeruje do łóżka! – Podniosłam się i wyciągnęłam do niej rękę. – Chodź. A ty, Waldek, odpocznij trochę. Niedługo przyjdę, to sobie pogawędzimy.

– Zaparzę kawę, jeśli pozwolisz.

– Dla mnie zielona herbata. Kawa jest w puszcze, w szafce, przy zmywarce. Mleko w lodówce, jeśli chcesz.

W sypialni Marcelina przytuliła się do mnie.

– Dziękuję ci bardzo za ten dzień. Za wszystko.

– Nie masz za co dziękować. Cieszę się, że tu jesteś. Wskakuj w pościel. – Zapaliłam lampkę po swojej stronie łóżka. – Nie będzie ci przeszkadzać?

– Nie, skądże.

Otuliłam ją kołdrą i kocem.

– Jeszcze przyniosę ci picie. Śpij spokojnie. Później do ciebie przyjdę.

– Michalina... – głos Marceliny zatrzymał mnie w drzwiach. – Miałyśmy zadzwonić do taty.

No tak, zupełnie o tym zapomniałam. Spojrzałam na zegarek – szósta trzydzieści.

– Jeszcze za wcześnie. U nich dopiero zaczyna świtać. Jeśli obudzisz się w nocy, to wtedy zadzwonimy, dobrze?

– Dobrze. – Zwinięta w kłębek zamknęła oczy. Zostawiłam uchylone drzwi, żeby słyszeć, czy mnie nie woła, i poszłam do kuchni po wodę.

Waldek właśnie parzył sobie kawę.

– Może jednak się skusisz?

– Nie, dziękuję. Nie wolno mi pić kawy. Wprawdzie czasami ulegam pokusie, ale nie dzisiaj, dziękuję.

Wyjrzałam dyskretnie przez okno i na szczęście nie dostrzegłam bmw.

Zaniosłam szklankę z wodą do sypialni. Marcelina spała mocno i ufnie. Wzruszyła mnie jej bezbronność. Delikatnie dotknęłam jej czoła, było ciepłe, pewnie nadal miała gorączkę, choć niższą niż wczoraj. Dobrze, że ją tu przywiozłam, musi wygrzać to przeziębienie. A potem ją odkarmię, bo jest strasznie chuda. Teraz już zawsze będę o nią dbać.

– Jak Marcelina? – Waldek zajadał się kawałkiem sernika.

– Śpi. Gorączka trochę spadła.

– To dobrze. Mam nadzieję, że obejdzie się bez lekarza. Pyszny ten sernik. Musisz dać mi przepis.

– Mimo wszystko będę chciała, żeby obejrzał ją lekarz. Jest przeraźliwie chuda. Nie wiadomo, kiedy ostatni raz robiła badania. Strasznie jest zaniedbana. I te jej ubrania...

– Musisz zrozumieć...

– Ależ rozumiem, rozumiem. Chciałam tylko powiedzieć, że to był ostatni dzwonek na zajęcie się nią.

– Tylko żeby nie potraktowała tego jak jałmużnę, bo nic z twoich planów nie będzie.

– Wiem. Postaram się wszystko zorganizować tak, żeby miała własne pieniądze. Każdy ma lepsze samopoczucie, kiedy nie jest od nikogo uzależniony. Ale najpierw musi odpocząć i nabrać sił.

– Chcesz ją do pracy posłać?

– Eee, nie! – Roześmiałam się. – Chyba że sama będzie chciała. Pomyślałam, że mogłaby sprzedawać swoje akwarele, są bardzo ładne. Na pewno będą chętni.

– Kilka sprzedałem w swoim sklepie. Mogę to robić nadal, tylko trzeba by to jakoś formalnie zorganizować, bo mnie fiskus skubnie.

– Pomyślimy i o tym. Na razie możemy spróbować na Allegro. Nauczę ją wszystkiego, a ona niech

sobie maluje. Nawet nie wiem, czy ma skończoną jakąś szkołę. Może jakiś kurs rysunku by ją zainteresował?

– O ile wiem, chodziła do liceum plastycznego, ale chyba go nie skończyła. Dom dziecka nie miał środków na finansowanie jej nauki.

– Wyobrażam sobie. Teraz pewnie też wszystko, co miała, przeznaczala na papier, farby i pędzle, dlatego nie dojadła. Nie wiesz, czy ktoś z jej bliskich żyje?

– Nie, chyba nie. Jej matka się zabiła, a babcia była chora na serce, nie mogła, a może nie chciała się nią zająć. To jakaś rodzinna tragedia, ale nie znam szczegółów. Musi ci sama opowiedzieć.

Odniosłam wrażenie, że Waldek zna szczegóły, przynajmniej ich część, ale zwyczajnie nie chce mówić. Może rzeczywiście lepiej będzie, jak sama mi opowie. Biedna Marcelina, los nie szczędził jej ciosów, pomyślałam. Tym bardziej zawstydziałam się, kiedy przypomniałam sobie, że byłam zazdrosna o uczucie, jakim obdarzał ją ojciec.

– Dziwne to wszystko, prawda? – stwierdził, przyglądając mi się.

– Też tak sądzę. – Pokiwałam głową. – Ostatnio spotykają mnie same dziwne rzeczy.

– Naprawdę? Opowiedz mi. – Waldek wziął mnie za rękę i zajął w oczy.

Zawahałam się.

– Nie chcę nudzić. I tak mi pewnie nie uwierzysz. – Trochę byłam skrupowana myślą, że miałabym powierzyć obcej osobie tak bardzo osobiste przeżycia. – To naprawdę trudne do uwierzenia.

– Pozwól mi chociaż spróbować.

Głos Waldka nabrał niebezpiecznych tonów. Podrywa mnie? Czy wyobraźnia mnie poniosła? Chyba miałam wypisaną na twarzy rozterkę, bo puścił moją rękę.

– Nie nalegam, nie zrozum mnie źle. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– Nie uraziłeś mnie, tylko... – Nie wiedziałam, jak wyrazić myśli, żeby teraz on nie poczuł się dotknięty.

– Tylko za mało się znamy – dokończył za mnie. – Trudno ci otworzyć duszę przed obcą osobą, a taką tak naprawdę jestem. – Patrzył na mnie z uśmiechem.

Milczałam.

– Nie gniewam się. Naprawdę. Bardzo dobrze cię rozumiem. Ciasteczko? – Nałożył sobie na talerz garść ciasteczek i opychał się nimi uśmiechnięty.

– Będiesz grubasem! – Dźgnęłam go palcem w płaski brzuch.

– Będę. – Kiwnął głową pogodnie. – Lubię jeść.

– Nie widać tego po tobie – zaśmiałam się z podziwem. Ja musiałam bezustannie się pilnować, żeby utrzymać jako taką figurę, przynajmniej tak było przed chorobą. Chciałabym móc opychać się tak bezkarnie. – Zrobię kolację.

– Nie, dziękuję – odmówił. – Ale grzanego wina to jeszcze bym się napił, jeśli ci nie przeszkadza, że będę pił sam. W ogóle chodźmy do kuchni. Przygotujesz wino, a ja pozmywam.

– Nie musisz. Wstaw tylko do zmywarki.

– Nie jestem przyzwyczajony do tych miejskich luksusów. – Wywrócił zabawnie oczami. – Ale przy okazji popatrzę, jak ty się krzątasz.

Znowu mnie podrywa? Pochlebiali mi to. Już dawno nikt mnie nie adorował, odruchowo się wyprostowałam i poprawiłam włosy. Fajny facet z tego Waldka, a ja właściwie jestem rozwiedziona, chociaż jeszcze nieformalnie. Mnie też należy się chwila przyjemności, pomyślałam i posłałam Waldkowi zalotny uśmiech.

Wlałam wino do garnka i postawiłam na kuchence. Podczas gdy Waldek wstawiał naczynia do zmywarki, ja schowałam do lodówki resztki kurczaka, z zamrażarki zaś wyjęłam mięso na jutrzejszy obiad.

– Co tam masz?

– Połędwiczki wieprzowe.

– Ooo! Delicje! Uwielbiam połędwiczki wieprzowe. Będę mógł je zrobić?

– A proszę bardzo. – Zaśmiałam się. – Widzę, że kuchnia to twój żywioł!

– A ty nie lubisz gotować?

– Lubię, ale ostatnio nie miałam dla kogo. Teraz będę eksperymentować na Marcelinie. Ale tobie jutro bez bólu odstąpię stanowisko szefa kuchni.

– Suuuper!

Naprawdę się ucieszył. Patrzyłam na niego z uśmiechem. Mieć takiego faceta w domu...

Otrząsnęłam się z niespodziewanych myśli i nalałam Waldkowi wina.

– Twoje zdrowie, Michalino! – Podniósł szklanke, patrząc mi w oczy.

– Dziękuję – skinęłam głową. – Zdrowie bardzo się przyda.

Dochodziła dopiero dziewiąta, a ja czułam zmęczenie i senność. W końcu nie dospałam poprzedniej nocy w zimnym pałacu Marceliny. Z trudem hamowałam ziewanie.

– Chyba i ty wpadniesz zaraz w objęcia Morfeusza.

Zrobiło mi się głupio, że zauważył.

– Michalina, nie przejmuj się wszystkim tak bardzo. Kładź się spać, ja sobie poradzę. Mam ze sobą książkę, chwilę poczytam i też się położę. Tylko powiedz mi gdzie.

– Zaraz ci pościelę. W gabinecie będziesz się czuł swobodnie, nikt ci nie będzie przeszkadzał. To cichy pokój, nie dochodzi tam zgiełk z ulicy.

– Pomogę ci. – Poszedł za mną do garderoby i wziął ode mnie pościel i prześcieradło. Sam rozłożył kanapę w gabinecie i nie pozwolił mi nic robić. – Zostaw, nie szarp się. Masz dosyć kłopotu z nieplanowanymi gośćmi.

– To naprawdę żaden kłopot. Bardzo mi miło, że tu jesteście.

– Ja też się cieszę. Wprawdzie przyzwyczajony jestem do samotności, ale zawsze milej w towarzystwie. Idź się myć, ja zaczekam.

W łazience ogarnęłam nieporządek pozostawiony przez Marcelinę i z przyjemnością wskoczyłam pod prysznic. Byłam bardzo śpiąca. Po toalecie zapukałam do Waldka.

– Proszę. – Siedział przy biurku w rozpiętej koszuli. Nie mogłam oderwać wzroku od jego torsu. Nie zrobił nic, żeby się zasłonić. To dobrze, pomyślałam, jest na co popatrzeć.

– Zostawiłam ci ręczniki na półce w łazience. Śpij dobrze, dobranoc.

Przyglądał mi się w półmroku, lekko przechylając głowę.

– Dobranoc, Michalino. Ty również śpij dobrze.

– Gdybyś czegoś potrzebował, wiesz, gdzie jestem. A poza tym czuj się jak u siebie w domu. – Wciąż stałam w progu i gapiłam się na Waldka. Był bardzo przystojny, ale nie w nachalny, żurnalowy sposób. Że też od razu tego nie zauważyłam.

Kiwnął głową i uśmiechnął się figlarnie.

– Będę pamiętał.

Zamknęłam za sobą drzwi niezwykle poruszona. Niech to szlag! Poruszona jak pensjonarka!

Marcelina spała głęboko. Nie zanosilo się, że się przebudzi, żeby dzwonić do ojca. To dobrze. Potrzebowała spokojnego, uzdrawiającego snu, a ja czułam, że nie jestem gotowa do rozmowy z ojcem. Może jutro.

Sprawdziłam, czy jej ciało jest rozpalone. Na szczęście nie było, ale coś jej rzeziło w piersiach, gdy oddychała. Koniecznie trzeba do lekarza. Może doktor Liber mógłby ją przyjąć? Sprawdzę jutro, postanowiłam.

Wyłączyłam lampkę i leżałam na brzeżku swojej części łóżka. Marcelina nawet nie drgnęła, posapując ciężko przez sen. Dziwnie mi było tak leżeć obok swojej siostry, która w rzeczywistości była dla mnie obcą osobą. Tak jak Waldek. Dwie obce osoby pod moim dachem, ciemna noc. Czułam, że wyobraźnia zaczyna wymykać się spod kontroli i płata mi figle, podsuwając różne obrazy widziane przeze mnie w horrorach. Chyba zwariowałam!

Właśnie! Chyba zwariowałaś! Pozbądź się tych myśli i śpij, nakrzyczałam sama na siebie.

Ale nie mogłam usnąć. Przez jakiś czas słyszałam Waldka, potem i on się położył i wszystko ucichło. Patrzyłam w ciemności rozświetlonej tylko słabym blaskiem księżycy w pełni na profil śpiącej Marceliny i słuchałam jej oddechu. Wydarzenia ostatnich dni przyniosły takie zmiany w moim dotychczasowym życiu, że wprost trudno w nie uwierzyć. Ciekawe, jak zareaguje Aga, kiedy jej sprzedam te wszystkie rewelacje. A przecież ja sama nie wiem jeszcze wszystkiego.

Na rozmyślaniach minęło mi kilka godzin, aż wreszcie zasnęłam głęboko. Obudziłam się wcześniej, ale mimo krótkiego snu byłam rześka i wyspana.

Moja siostra ciągle spała zwinięta w kłębek. Podniosłam z podłogi kołdrę, która w nocy spadła z łóżka, i otuliłam Marcelinę, przy okazji sprawdzając, czy nie ma gorączki. Na szczęście jej czoło było chłodne i suche. Miałam nadzieję, że to początek powrotu do zdrowia, a nie tylko chwilowa poprawa.

Było jeszcze wcześniej, dochodziła szósta. Nawet z ulicy nie słychać było szumu przejeżdżających samochodów.

Waldek też jeszcze spał, więc po cichutku zaparzyłam sobie zieloną herbatę i z kubkiem w dłoni usiadłam w salonie, zastanawiając się, co ze sobą zrobić, zanim moi goście wstaną. Nikłe światło choinkowych lampek potęgowało poranną świąteczną ciszę, jednocześnie nadając jej tajemniczy wymiar. Nie czułam lęku przed nadchodzącymi dniami, nawet musiałam przyznać, że świadomość mnogości spraw do wyjaśnienia, tych związanych z pochodzeniem Marceliny, dawała mi solidnego kopa. Cieszyłam się, że czeka mnie tyle godzin rozmów z siostrą i planowania naszego wspólnego już życia. Marcelina nieoczekiwanie wypełniła pustkę powstałą po rozstaniu z Pawłem i po części zajęła miejsce Agi pochłoniętej nowym związkiem. Chyba obie znalazłyśmy się w takim momencie naszego życia, że potrzebowałyśmy siebie nawzajem i los szczęśliwie skrzyżował nasze drogi.

A jak na to wszystko zareaguje ojciec? Postanowiłam, że najpierw sama zadzwonię i przygotuję go na nowiny. Niech nie będzie zaskoczony, nie jest już młodzieńcem, a na dodatek rok temu mówił, że dokucza mu serce. Mogłoby się to źle skończyć.

Troska o ojca zaskoczyła mnie. Miałam do niego dużo żalu i traktowałam go jak obcego człowieka, mając w pamięci swoje samotne dzieciństwo. Dziś jednak, będąc dojrzałą kobietą po przejściach, nie chciałam już osądzać nikogo i niczego, zanim nie poznam prawdy.

Przez chwilę nasłuchiwałam odgłosów domu. Moi goście spali. Nic dziwnego, było jeszcze wcześniej. Może by tak wykorzystać okazję i zadzwonić do Kanady?

Z biciem serca czekałam na połączenie. Długo nikt nie podnosił słuchawki, już miałam się rozłączyć, kiedy wreszcie usłyszałam głos ojca:

– Halo?

– Dzień dobry, tato. To ja, Michalina.

– Córeczko!

Zaskoczył mnie radością powitania.

– Córeczko! Już myślałem, że nie zadzwonisz! Czekałem na twój telefon, wiesz?

Ty też mogłeś zadzwonić, pomyślałam.

– Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Chorowałem latem, miałem atak serca i tak sobie pomyślałem, że może wiosną przyjechałbym do

Polski, do ciebie. Na stare lata jakoś tęsknię coraz bardziej.

Nie dość, że zaskoczył mnie ciepłym, wylewnym powitaniem, to jeszcze zdumiała mnie zbieżność wydarzeń w naszym życiu. Czy ktoś na górze robi wszystko, żeby nas do siebie zbliżyć? Pomyślałam o Michaeszu. Czy maczał w tym swoje anielskie paluszki?

– A co u was, córeczko? Jak żyjecie?

Nie mogłam przyzwycząić się do tej córeczki. Nie pamiętałam, by kiedykolwiek tak do mnie mówił.

– Tato... – zawiesiłam głos, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć. – Tato, z Pawłem rozstaliśmy się już jakiś czas temu.

– Przykro mi, kochanie.

No coś takiego! Mówi do mnie „kochanie”!

– Naprawdę. Wiem, jak to smakuje.

Powinieneś wiedzieć, pomyślałam z przekąsem.

– Jak sobie radzisz w tej sytuacji?

Świetnie sobie radzę, chciałam krzyknąć. Świetnie! Gdyby nie długi Pawła, radziłabym sobie jeszcze lepiej!

– A ty zdrowa jesteś? Wiesz, jak chorowałem, miałem takie dziwne sny. Opowiem ci, jak przyjadę.

Znowu mnie zaskoczył.

– Ja też chorowałam latem, ale już wszystko dobrze.

– Michasiu! Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Tato, a co by to dało? Nie chciałam cię martwić. – Skąd miałam wiedzieć, że w ogóle byś się martwił, pomyślałam. – Zresztą ty też chorowałeś. I dlaczego ty nie zadzwoniłeś?

Roześmiał się do słuchawki.

– A co by to dało? Nie chciałem cię martwić! – Śmiał się serdecznie jak jeszcze nigdy. W końcu i ja się roześmiałam.

– Tato... – Nie wiedziałam, jak zacząć. – Muszę ci coś powiedzieć. Ale obiecaj mi, że przyjmiesz to spokojnie.

– Jak tak mówisz, to dopiero się zaczynam denerwować. Co takiego się stało?

– Poznałam Marcelinę. Jest u mnie.

W słuchawce zapadła cisza. Słyszałam tylko przyśpieszony oddech ojca. Pewnie się zdenerwował, trudno. Kiedyś i tak by to usłyszał.

– Poznałaś Marcelinę... Dzięki Bogu, że tak się stało. Nie umiałem ci tego powiedzieć przez tyle lat, chociaż wiele razy próbowałem. Bóg mi świadkiem, że nie umiałem.

No, domyślałam się, że to nie była prosta sprawa, myślałam z przekąsem.

– Całe szczęście, całe szczęście – powtarzał. – A co u niej? – Chyba się wzruszył, bo głos nagle zmienił zabarwienie. – Wiesz – nie pozwolił mi dojść do słowa – że nie widziałem jej, odkąd poszła do domu dziecka? Tyle lat, tyle lat – powtarzał roztrzęsiony.

Dlaczego Marcelina wychowywała się w domu dziecka, mając ojca? Kolejne rodzinne tajemnice wysypywały się jak trupy z szafy.

– Jak się dowiedziałaś?

– Przypadkowo. Też mnie opanowała tęsknota podczas choroby i pojechałam na grób babci. Przy okazji wstąpiłam zobaczyć, co z domem, i okazało się, że ona tam mieszka, w letniej kuchni.

– Mieszka w letniej kuchni? Jak to możliwe?

– Sama nie wiem. Gdybyś zobaczył warunki, w jakich przyszło jej żyć! Tato, ona żyła w nędzy! Nie dojadła. Oberwana jak jakaś żebraczka. Mówię ci, mało mi serce nie pękło, jak to wszystko zobaczyłam! I do tego to zimno, które tam panowało! Pojechałam do niej niespodziewanie, w Wigilię, i zabra-

łam ją stamtąd chorą. Śpi teraz w mojej sypialni.

– Biedne dziecko. – Usłyszałam tylko szept. Poczułam znajome ukłucie zazdrości.

– Ona chce z tobą rozmawiać, dlatego dzwonię wcześniej, żeby cię uprzedzić.

– Dobrze, dobrze. Chętnie z nią porozmawiam. – Jednak się zdenerwował. Mówił trochę chaotycznie, jakby myślami był gdzie indziej. – Tylko kiedy, Michasiu? Kiedy chcecie zadzwonić?

– Kiedy ty chcesz, tato.

– Dobrze, dobrze – powtarzał bezładnie. – Daj mi trochę czasu.

– Tato, uspokój się, proszę. To tylko rozmowa.

– Łatwo ci mówić, córeczko. Gdybyś wiedziała wszystko, rozumiałabyś. Boję się.

– To powiedz mi, żebyś wiedziała – zirytowałam się. – Myślisz, że dla mnie to było proste?

– Nie, nie, pewnie, że nie. Zrozum mnie. Przynajmniej się postaraj.

Cały czas się staram, chciałam krzyknąć. Dlaczego mnie nikt nie stara się zrozumieć? Zamiast tego milczałam.

– Z kim rozmawiasz? – Marcelina stanęła przede mną jak duch, zaspana i rozczochna. – Z tatą? – Ten tata w jej ustach brzmiał bardzo po dziecinnemu. Kiwnęłam głową, a ona wyciągnęła rękę po telefon. Podałam jej bez słowa.

– Tatusiu? – Załamał jej się głos. – Tatusiu, to ja, Marcelina. Tak, wiem. Ja też. Bardzo! – Zaczęła płakać. Wysłałam i zamknęłam za sobą drzwi. Nie chciałam im przeszkadzać.

W kuchni targnął mną szloch. Stałam przy oknie i wypłakiwałam skumulowane uczucia: samotność, złość, odrzucenie i najzwyklejszą w świecie zazdrość. Z nią najbardziej nie mogłam sobie poradzić.

Nie usłyszałam Waldka, który podszedł do mnie i wziął w ramiona. Wtuliłam się w niego i rozszlochałam na dobre. Na szczęście nic nie mówił, tylko pozwolił mi płakać do woli. Potrzebowałam tego jak jeszcze nigdy.

Uspokajałam się powoli. W końcu wzięłam głęboki wdech i wytarłam nos.

– Już lepiej?

Waldek patrzył na mnie łagodnie. Znowu moją uwagę przykuła sieć maleńkich zmarszczek wokół jego oczu. Budziły zaufanie.

– Lepiej. Trzeba zajrzeć do Marceliny, też płakała.

Poszedł za mną do salonu. Nie było jej tam. Zajrzałam do sypialni. Leżała zwinięta w kłębek i nie płakała. Uśmiechnęła się do nas i wyciągnęła do mnie rękę.

– Jak się czujesz?

Objęła mnie w pasie, kładąc głowę na kolanach.

– Lepiej. – Nie miała gorączki. – Tylko trochę boli mnie głowa.

– Spałaś jak suseł. – Pogłaskałam ją. – A głowa boli, bo jesteś osłabiona.

– To ja was zostawię, pogadajcie sobie. Tymczasem zajmę łazienkę na trochę, a potem zakręcę się koło śniadanka.

Zostałyśmy same. Okryłam Marcelinę kocem i głaskałam jak kociątko po głowie.

– Tata powiedział, że przyjedzie do nas na wiosnę. Cieszysz się?

– Cieszę. – Znowu coś uwięzło mi w gardle. – A ty?

– Ja się boję. Nie widziałam go tyle lat. Właściwie go nie znam. Ale jestem ciekawa.

– Ja też właściwie go nie znam. Od lat kontaktujemy się sporadycznie.

– Masz do mnie żal?

Milczałam. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

– Miałam. – Nie chciałam kłamać.

– Ja też miałam. Przez te wszystkie lata. Dopóki cię nie poznałam. Myślałam, że o mnie wiesz. A ty

nic nie wiedziałaś. Więc jak mogłam cię obwiniać?

Zdumiała mnie prostota jej rozumowania.

– Ja przeżyłam szok, kiedy mi powiedziałaś, że jesteś moją siostrą. Nie uwierzyłam ci na początku.

– Wiem, widziałam.

– Ale potem, już na spokojnie, pomyślałam, że przecież nie jesteś niczemu winna.

– Dlatego przyjechałaś w Wigilię? – Patrzyła mi w oczy z bardzo bliska.

– Tak. Między innymi dlatego. Ciągłe o tobie myślałam.

– Ja też. Chciałam, żebyś wróciła. Sama bym do ciebie przyjechała, gdybym wiedziała dokąd.

– Naprawdę? – pociągnęłam nosem.

– Naprawdę. Nie płacz. Teraz już będziemy razem! – Przytuliła się do mnie mocno. – Co tak pachnie?

Znowu zgłodniałam! Ciągłe u ciebie jestem głodna!

– To dobrze. Znaczy, że zdrowiejesz. Pewnie Waldek szaleje w kuchni. Zmykaj do łazienki, a ja pójde mu pomóc. Jest gościem, nie mogę tak niecznie go wykorzystywać. Zaraz coś znajdę dla ciebie do ubrania.

Spojrzała z wdzięcznością, zabrała szlafrok i poszła.

Zanurkowałam w garderobie w poszukiwaniu czegoś, co nie będzie za duże dla Marceliny. Była strasznie chuda i drobna, ale udało mi się znaleźć bawełnianą tunikę i legginsy, które powinny na nią pasować. Wszystko zaniosiłam jej do łazienki.

Waldek nakrywał już do stołu w kuchni. Od zapachów świątecznych wędlin pociekła mi ślinka. Jak ja dawno nie jadłam domowych wyrobów. Zapomniałam, jak smakują, bo od dawna wszystko kupowałam gotowe.

– Paszтет też sam piekęś?

Kiwnął głową i zajął się krojeniem ogórków pachnących koprem. Żołądek zwinął mi się wściekle z głodu.

– Nie rusz! – Waldek trzepnął mnie po rękę, którą łakomie wyciągnęłam po plasterek upieczonego schabu ze śliwką.

– Nie bądź chytrusem, no!

– Sio! Nie myłaś się! O, następny łakomczuch! – Powitał wchodzącą Marcelinę – Michalina do łazienki, marsz, a Marcelina do krojenia chleba! Już!

Zachichotałyśmy i posłusznie każda ruszyła w swoją stronę.

Byłam tak głodna, że zrezygnowałam z umycia włosów i nałożenia makijażu, byle prędzej wrócić do kuchni na śniadanie. Nawet nie przeszkadzało mi, że zjemy w kuchni. Rzeczywiście, było tam wygodniej i przytulniej, i bardziej domowo. Z deserem przeniesiemy się do salonu.

Mój powrót powitali radosnymi okrzykami i rzucili się na jedzenie, jakby z tydzień go nie widzieli. Wszyscy wcinaliśmy, aż nam się uszy trzęsły.

– Waldek, jesteś mistrzem kuchni! – powiedziałam z uznaniem. – Wszystko jest takie pyszne, że chyba za chwilę pękne z przejedzenia!

– Ja też – wymamrotała Marcelina z pełnymi ustami.

– Do usług, miłe panie. – Kłaniał nam się bohater dzisiejszego śniadania i wczorajszego obiadu. – Bardzo się cieszę, że smakuje. Zwykle nie mam dla kogo gotować i takie słowa uznania są miodem na moje serce!

– Muszę się wyciągnąć, nie mogę tak siedzieć, bo mi brzuch przeszkadza – przyznałam. – Zrobię herbatkę i chodźmy do salonu. Ktoś chce serniczka? – Spojrzałam na Waldka, ale odmownie pokręcił głową.

– Teraz nie dam rady, ale później owszem.

– Dobrze mi z wami – powiedziałam, gdy już wszyscy umościli się na swoich miejscach. – To jedne z najwspanialszych świąt, jakie miałam. A miały być samotne!

– Moje też – odezwał się Waldek. – Od dawna nie miałem takich świąt. I też miały być samotne.

– Moje też, jak zwykle, miały być samotne – dodała Marcelina. – Trochę się bałam, jadąc tutaj, ale nie żałuję. Nawet nie wiedziałam, że można tak fajnie spędzać święta. Może pójdziemy na spacer?

– To świetny pomysł, ale nie dla ciebie, Marcelinko. Ty jeszcze nie wyzdrowiałaś, mogłabyś się przeziębic. Jest bardzo zimno.

Nie wiedziałam, że Waldka stać na taki mentorski ton.

– Ja jestem przyzwyczajona do chłodu.

– Nie, Marcelino. – Uznałam, że powinnam się włączyć. – Waldek ma rację.

– To może wy pójdziecie? Przecież nie musicie siedzieć ze mną jak pokutnicy.

– To żadna pokuta. Posiedzimy z tobą. Nic nam się nie stanie. Porozmawiamy albo jeszcze pośpiewamy kolędy.

– Możemy też pooglądać twoje prace – zaproponowałam.

– To nic ciekawego, naprawdę. – Zawstydzila się chyba. – Chce wam się marnować świąteczny czas?

– Chce. Dawaj je tutaj – zażądałam stanowczo.

– Dawaj – poparł mnie Waldek.

Ociągając się, przyniosła grubą teczkę. Waldek zmienił miejsce z fotela na kanapę. Siadając, oparł się o moje ramię. Marcelina przysiadła z mojej lewej strony, jakby zazdrośnie strzegąc zawartości teczek, którą położyła na moich kolanach.

Prace były starannie posegregowane i troskliwie popakowane w osobne przegródki. Nigdy bym jej nie podejrzewała o taką staranność, sądząc po tym, co zobaczyłam w letnim domu. W dodatku były naprawdę dobre, a przynajmniej tak mi się wydawało. Były ładne, a nawet powiedziałabym, że piękne. Kolory grały ze sobą, każdy szczegół był starannie dopracowany. Obrazy żyły swoim życiem. Zauważyłam to już wtedy na wsi, gdy po raz pierwszy oglądałam je w półmroku pawilonu. Myślałam, że taki efekt daje niedostateczne oświetlenie, ale teraz w pełnym świetle były równie piękne.

– Te brzozy są mi znajome. – Waldek wziął do ręki pejzaż przedstawiający wiosenny zagajnik.

– To brzozowy las po drodze do Szamocin. Jest też w szacie jesiennej. – Poszukała w teczce i wyłowiła jesienną odsłonę lasu. – Chcę jeszcze namalować te brzozy zimą.

Patrzyłam zafascynowana.

Każda akwarela, którą wzięłam do ręki, przemawiała do mnie swoim językiem. Nie umiałam zdecydować, która najbardziej mi się podoba.

– Och! – krzyknęłam. – Przecież to dom babci! I sad za domem! – Oglądałam ze zdumieniem serię ołówkowych szkiców. Najbardziej wzruszyła mnie huśtawka zawieszona na jednym z drzew. Skąd ona wiedziała, że tam była huśtawka?

Wszystko na tych szkicach było takie... żywe. Dom nie był opuszczony, bo drzwi zostały szeroko otwarte, a na werandzie, na stole stały kwiaty w wazonie. Sad dojrzewał dorodnymi owocami, a podwórko nie było zarośnięte chwastami. Nawet pawilon był w dobrym stanie, a na jego progu siedział łaciaty kot i mył łapką wąsy.

– Może wyślemy te szkice ojcu? – zaproponowałam.

– Miałam je namalować, ale możemy wysłać. Poradzę sobie bez szkiców. Myślisz, że mu się spodoba?

– Czy myślę? Jestem pewna!

– Niesamowite! – Waldek kręcił z podziwem głową.

– Naprawdę wam się podobają?

– Nie, tak tylko mówimy, żeby ci sprawić przyjemność. Pokaż, co tam jeszcze masz?

– To nieskończone jeszcze. – Chyba nie chciała pokazać nam reszty.

– Pokazuj – zarządziłam. – Mogą być nieskończone, mnie wszystko jedno. Nie jestem znawcą. Chcę je obejrzeć.

Z wahaniem wyjęła zawartość ostatniej części teczki.

Zaniemówiłam. Zobaczyłam na rysunkach siebie, jak oglądam akwarele Marceliny w pawilonie podczas swojej pierwszej wizyty. Na następnym też byłam ja, rozgniewana, w drzwiach, w półobrocie. Potem przy samochodzie, wściekła coś krzyczę, gestykulując rękami. Ależ ona ma talent!

– Naprawdę tak wyglądałam?

– Gorzej... – Zachichotałyśmy jednocześnie.

– To już wszystko czy masz coś jeszcze? – pytał Waldek, grzebiąc w teczce Marceliny. – Ooo, coś tu jeszcze mamy! – Wyciągnął triumfalnie zawiązaną tekturową teczkę. – Można?

– Można. To z ostatnich dni. Skończyłam w Wigilię rano.

Z otwartej teczki wypadły na moje kolana trzy małe akwarelki przedstawiające kwitnące kwiaty. Już je widziałam, znałam ich eteryczny jasnoliliowy kolor ze swojego snu. Zaskoczona spojrzałam pytająco na Marcelinę.

– To kwiaty migdałowca – wyjaśniła. – Tak kwitną drzewa migdałowe.

Przyglądałam się obrazkom i zastanawiałam, dlaczego wybrała kwiaty z mojego snu.

– A to? Kto to jest? – Waldek z kolei przyglądał się jakiemuś portretowi.

– Pokaż. – Zajrzałam mu przez ramię i wbrew sobie krzyknęłam.

– Co się stało? – Dopytywali oboje.

– Michalina, wszystko w porządku? Okropnie zbladłaś! – Waldek pochylił się nade mną, mocno zaniepokojony.

Moje serce oszalało, bijąc na alarm jak opętane, i zaschło mi w ustach.

– Skąd? – bełkotałam. – Skąd to masz?

– Co? Co skąd mam? Michalina, co ci się stało?

– Kto to jest? Na tym portrecie?

– Nie mam pojęcia. Przyśnił mi się tej nocy, kiedy byłaś u mnie pierwszy raz. W migdałowym gaju. Stąd te kwiaty migdałowca. Tak mnie oczarowały, że musiałam je namalować.

Już jej nie słuchołam. Byłam wstrząśnięta. Z akwareli Marceliny patrzyła na mnie tajemniczo uśmiechnięta twarz Michaesa.

– To niemożliwe – szepnęłam.

– Co jest niemożliwe? Dobrze się czujesz? Kim jest ten gość z obrazka? – Waldek naprawdę był zaniepokojony.

– To mój anioł stróż.

– Co? Co ty bredzisz?

– Ach, wcale nie bredzę. Wiedziałałam, że mi nie uwierzysz.

– Michalina! – zachnął się Waldek. – Mów trochę jaśniej!

– Zaraz. Zaraz wszystko powiem. – Sięgnęłam po kubek z herbatą, ale był już pusty.

– Przyniosę wodę. – Marcelina pobiegła do kuchni.

Wypiłam całą szklankę duszkiem, ale i tak nie ugasiło to mojego pragnienia.

Oboje patrzyli na mnie wyczekująco.

– Marcelino – wyszeptałam wreszcie. – Opowiedz mi swój sen.

– Nie ma co opowiadać. – Wzruszyła ramionami. – Wtedy, jak już odjechałaś, wściekła na mnie, wiesz kiedy? – Kiwnęłam głową. – No więc wtedy w nocy śniło mi się, że jestem w jakimś kwitnącym gaju. Nie wiem, skąd wiedziałam, że to kwitną migdałowce, bo nigdy ich nie widziałam. Stałam tam i po prostu wiedziałam. Zachwyciły mnie kwiaty, takie delikatne, nigdy takich nie widziałam. Zaczęłam je

oglądać, dotykać, wachać. Chciałam je poznać, żeby potem móc namalować. Chodziłam od drzewa do drzewa, aż dotarłam na skraj tego gaju. I tam spotkałam jego. Jakby na mnie czekał.

Przerwała na chwilę, a ja nie śmiałam jej popędzać.

– Przed nami rozciągała się kwiecista dolina, a przez jej środek wiodła polna dróżka. Gdzieś daleko rozrastała się w szeroką drogę, która wiodła aż po horyzont. Daleko przed sobą widziałam wędrującą postać.

– Mówił coś do ciebie? – Byłam w stanie jedynie szeptać.

– Nie. Pokazał mi tylko ręką, że mam iść tą drogą. Zanim poszłam, dał mi kwiat migdałowca.

– To niemożliwe – powtórzyłam do siebie.

– Co takiego? – zapytali jednocześnie.

Przyglądałam się twarzy Michaesza. Marcelina idealnie uchwyciła podobieństwo, a przecież spotkała go tylko raz. Ma niesamowitą pamięć, pomyślałam z uznaniem i podziwem. Na wąskich wargach Michaesza igrał uśmiech zadowolenia. Oczy żyły, miałam wrażenie, że wpatrują się we mnie źrenice żywego człowieka. Byłam jak zahipnotyzowana.

– Waldek, wczoraj rozmawialiśmy, jakie to wszystko dziwne, prawda?

– Tak. Powiedziałaś, że ostatnio spotykają cię same dziwne rzeczy. – Przyglądał mi się czujnie.

– Bo to prawda. Latem zachorowałam – zaczęłam swoją opowieść. – Leżałam w szpitalu i miałam operację. Miała być łatwa i bezproblemowa, ale niestety, nie wiadomo dlaczego, zapadłam w śpiączkę, a nawet mnie reanimowano.

Marcelina usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę.

– I wtedy go spotkałaś, tak?

– Tak. – Nie musiałam mówić nic więcej. Ona zrozumiała.

– A potem spotkałaś mnie.

– Tak.

– To ciebie widziałam wędrującą w oddali.

– Nie wiem. Możliwe.

– Ja wiem. To byłaś ty. Dlatego kazał mi iść za tobą.

– Powiedział mi, że jestem gotowa. Wtedy nie wiedziałam na co.

Zamilkłyśmy. Waldek siedział w milczeniu. Minę miał nietęgą, pewnie nie wierzył w te opowieści.

– To naprawdę niesamowite! – Moja siostra przyglądała się twarzy Michaesza ze zdumieniem, jakby to nie ona go namalowała.

– Zupełnie nie wiem, co o tym myśleć – wreszcie przemówił Waldek. – Brzmi jak bajka. Naprawdę trudno w to uwierzyć.

– Wiem. Dlatego nie chciałam ci opowiedzieć. Ale też nie sądziłam, że Marcelinę spotka podobne przeżycie.

– O wielu rzeczach nawet nam się nie śni. – Marcelina wyraźnie była zadumana. – Trudno uwierzyć, że to możliwe. A jednak coś w tym jest.

– Muszę przyznać, że mam mieszane uczucia. – Waldek ciągle był sceptyczny. – Mocno stąkam po ziemi, ale zawsze zostawiam margines na takie tajemnicze zdarzenia. Jednak nigdy żadne z nich nie było tak blisko mnie. Gdybym nie wiedział, jak się z wami sprawy mają, nigdy bym wam nie uwierzył. To naprawdę zdumiewające.

Nadal zszokowana próbowałam uporządkować wszystkie wydarzenia ostatnich miesięcy. Sporo tego było.

– Wiecie, jak ma na imię mój anioł stróż?

– Powiedział ci?

Kiwnęłam głową.

– Jak?

– Michaesz.

– A ty Michalina. Ciekawe, jak ma na imię mój – zastanawiała się Marcelina.

– Pewnie Marceli – otwarcie śmiał się Waldek.

– Albo Marcellus – wtórowała mu moja siostra. – A twój? Jak myślisz?

– To pewnie jakaś anielica – parsknęłam.

– Ale jak ma na imię? – Marcelinie ciekły łzy od serdecznego śmiechu.

– Waldemara, a jak?

– Eee – zaprotestował Waldek. – Co tak pospolicie?

– No dobra – zgodziłam się. – To Valdemara. Przez „V”!

– I przez dwa „r”! – dorzuciła Marcelina. – Valdemarra!

– Jak mi się przyśni, to wam powiem!

Żarty rozluźniły atmosferę.

– Ale się uśmiełem! – Waldek ocierał łzy z oczu. – Dobrze mi tu z wami, ale muszę powoli zbierać się do domu. Robi się późno.

– Już? Dopiero dochodzi pierwsza! – Poczułam smutek na myśl, że niedługo Waldek pojedzie. – Mia-
łeś zrobić obiad.

– Zrobię, zrobię. Na razie jestem objedzony jak bąk. Ale chętnie zjem sernik.

– Zostań jeszcze troszkę – prosiłam.

– No, jeszcze nie wychodzę. Poproszę o kawę. – Waldek zasiadł przy stole.

– Ja też – Marcelina dołączyła do niego.

Zaparzyłam im kawę. Sernik został zjedzony do ostatniego okruszka.

– Pyszny był... – Rozanielona Marcelina oblizywała usta.

– Właśnie, był. I to jego główna wada! – Waldek wskrobywał z talerzyka resztki polewy czekolado-
wej. – Dostanę przepis?

– Dostaniesz, dostaniesz. To żadna tajemnica. A może prześlę ci go mailem? – zaproponowałam. Faj-
nie by było mieć z nim stały kontakt. SMS-y mnie krępowwały, a mail jak list, zawsze więcej można napi-
sać.

– Dobrze. Nawet lepiej – przytaknął. – Kartka może się zapodziać.

Patrzył na mnie filuternie. Podrywa mnie jak nic, pomyślałam, czując wypływający na szyję i twarz
rumieniec. Podobał mi się. Nawet bardzo. Był zupełnie inny niż Paweł. Ja też już byłam nie ta sama,
oczekiwałam od mężczyzny czegoś innego niż kiedyś.

Właśnie, Paweł, przypomniało mi się. Od Wigilii nie sprawdzałam poczty. Ciekawe, czy coś napisał.
Kiedy Waldek odjedzie, muszę sprawdzić. Ale chyba nie potrzebował niczego pilnego, inaczej przysłałby
mi SMS-a, uspokajałam sama siebie. Mimo wszystko martwiłam się o niego i zrobiło mi się wstyd, że
przez całe święta, zaabsorbowana gośćmi i swoimi sprawami, nie pomyślałam o nim.

– Waldek, a co robisz w sylwestra? – Marcelina czarowała go jak wytrawna kokietka.

– Nic. Pooglądam telewizję i pójdę spać. Może wpadniecie do mnie?

– Hura! – Pisk Marceliny przeszył mi uszy. Skąd ona ma tyle siły w piersiach? – Michasia, co ty na to?

– Zobaczmy, jak się będziesz czuła. Może pojedziemy. A może Waldek przyjedzie do nas?

– Masz rację, Michasiu, wszystko zależy od samopoczucia Marceliny. Mamy już kontakt do siebie, to
nie będzie problemu, żeby się umówić. Nie idziemy na bal, to i nie będzie specjalnych przygotowań. I nie
jest znowu tak daleko, godzinka jazdy i jesteśmy razem.

Posiedział z nami do czwartej, zjedliśmy obiad.

– Naprawdę już muszę jechać. – Zaczął się zbierać. – Zostawiłem kota w domu, pewnie zjadł już wszystko, co miał w misce. Nie mogę dłużej zwlekać.

– No tak, zwierzątko nie może czekać. Na drugi raz weź go ze sobą. Lubię twojego rudzielca.

– On ciebie też lubi. No to trzymajcie się ciepłutko, dziewczyny. Ciekawe, czy samochód odpali, mróz jest tęgi, aż powietrze gęste.

– Odprowadzę cię. – Szybko się ubrałam, żeby nie zdążył zaprotestować. Chciałam pobyć z nim sam na sam, chociaż przez chwilę. Na szczęście nie miał nic przeciwko temu. Może nawet był zadowolony.

Milczeliśmy w drodze do samochodu. Schował torbę do bagażnika i wziął mnie za rękę.

– Dziękuję ci bardzo – powiedzieliśmy jednocześnie.

– Naprawdę dziękuję ci za wszystko. – Śmiałam się. – Bardzo mi pomogłeś z Marceliną.

– Dałabyś sobie radę beze mnie. To musiało kiedyś nastąpić. A ja... Dziękuję za gościnę.

– Ładna mi gościna, z twoją wałówką! – Znowu się roześmiałam.

– No to co? W dobrym towarzystwie zawsze wszystko lepiej smakuje. To były naprawdę udane święta. Gdyby nie wy, siedziałbym sam.

– Jak każde z nas.

– Jak każde z nas – powtórzył. Pochylił się i pocałował mnie w policzek. – Trzymaj się ciepłutko i zmykaj, bo jest okropnie zimno. Jesteśmy w kontakcie.

Wsiadł do samochodu. Czekałam, czy uda mu się uruchomić silnik. Odpalił od razu.

– Pamiętaj o przepisie na sernik. – Odczytałam z ruchu warg przez szybę. Z uśmiechem na ustach pomachałam ręką na pożegnanie. Odjechał.

Rzeczywiście było okropnie zimno. Chyba ze dwadzieścia stopni mrozu. Śnieg chrzęścił mi pod stopami i skrzył światłem odbitym od latarni. Rozejrzałam się po okolicy za bmw – na próżno. Pewnie też świętują, pomyślałam z ulgą i pobiegłam do domu.

Marcelina czekała na mnie w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiliśmy.

– Jesteś! – Ucieszyła się, jakbym wróciła po kilkugodzinnej nieobecności.

– Czemu tu stoisz?

– Nie wiem. Jakoś tak. – Była zawstydzona. – Pooglądamy telewizję?

– Jeśli chcesz, to pooglądamy.

Oczywiście w łóżku, bo miałam tylko mały telewizor w sypialni. Wzięłam ze sobą laptopa, żeby sprawdzić pocztę. Żadnej wiadomości od Pawła. Naprawdę się martwiłam.

Leżałam na boku i patrzyłam na moją siostrę rozradowaną oglądaniem telewizji, przeskakiwaniem z kanału na kanał. Na niczym dłużej się nie zatrzymała. Jak dziecko.

W końcu zorientowała się, że na nią patrzę.

– Przepraszam, może chcesz coś pooglądać, a ja tak sobie przełączam programy.

– Nie chcę. Możesz przerzucać do woli.

Marcelina, mając świadomość, że jest obserwowana, nie robiła już tego z taką radością jak przed chwilą. Wstydziła się. Pewnie sama nie pamiętała, kiedy ostatni raz oglądała telewizję.

Piknął sygnał SMS-a. To Aga. „Jak mijają święta?” Odpowiedziałam szybko: „Cudnie! Mam ci bardzo dużo do opowiedzenia. A jak u was?”. Niemal natychmiast nadeszła odpowiedź: „Też cudnie! Jak wrócę, zagadam cię na śmierć! Szykuj się”.

Uśmiechnęłam się do telefonu. Bardzo się za Agą stęskniłam.

– To Waldek?

Jaka ta Marcelina ciekawska!

– Nie, to nie Waldek. Pewnie jeszcze nie dojechał.

– Wpadłś mu w oko.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Znam go.

– A długo?

– Co długo? – Mała cwaniara unikała odpowiedzi.

– Czy długo znasz Waldka?

– Aaa! – Zamilkła. – Dość długo. Trochę mi pomagał. Chcesz coś o nim wiedzieć? – dorzuciła po chwili.

– Nie, wystarczy mi to, co wiem. Lepiej opowiedz mi o sobie.

Wyłączyła telewizor i położyła się na boku twarzą do mnie. Dzisiaj jej oczy były niebieskie i błyszczały intensywnie. Przedtem wydawało mi się, że są raczej zielonkawe, ale może to z powodu choroby albo kiepskiego oświetlenia.

– Kiedy nie wiem co.

– Kim była twoja mama?

Przez chwilę patrzyła niewidzącym wzrokiem, jakby jej myśli uciekły gdzieś daleko.

– Naprawdę nie znasz tej historii?

– Naprawdę. Nigdy nikt nie powiedział mi ani słowa o twoim istnieniu. Nawet moja babcia. Znacząca nasza wspólna babcia.

– No tak – zamyśliła się. – To trochę skomplikowana i romantyczna historia. Jak z przedwojennego romansu.

– Opowiadaj! – Zaciekawiała mnie jeszcze bardziej.

– Mój dziadek Władysław był rodzonym bratem naszego dziadka Konstantego – zaczęła swoją opowieść. Nie pamiętałam dziadka Konstantego. Zmarł, zanim zamieszkałam z babcią. – Moja babcia Weronika i nasza babcia Helena przyjaźniły się od dzieciństwa. – Ciekawe, czy to ta sama Weronika, która mi się przyśniła? – Weronika była zakochana w Konstantym, ale Konstanty kochał z wzajemnością Helenę. Kiedy się pobrali, Weronika postanowiła wyjść za mąż za Władysława. Żeby być bliżej Konstantego. Ale Władysław wiedział o zamiarach Weroniki i zdecydował, że zamieszkają po drugiej stronie Wisły, w innej wsi. Jak postanowił, tak zrobił. Kupił gospodarzkę i odjechał z żoną. Miał nadzieję, że Weronika go pokocha, kiedy tylko straci z oczu Konstantego.

Słuchałam z zainteresowaniem, ale nie wiedziałam, do czego zmierza wywód Marceliny.

– I co? Pokochała?

– Nie wiadomo. Dość że po dwóch latach urodziła im się córka Marianna. Moja mama. A w tym samym czasie Helenie i Konstantemu urodził się syn Stefan. Twój tata. Nasz tata.

Powoli docierała do mnie straszna prawda.

– Ale jak to? – Znowu byłam zszokowana. – Czy to znaczy...?

– Tak. To znaczy właśnie to, co myślisz. Nazywam się Piotrowska po mojej mamie, nie po naszym tacie. Nigdy mnie oficjalnie nie uznał. Nie figuruje formalnie w dokumentach jako mój ojciec.

– Jezu! Co ty opowiadasz! – Aż usiadłam z wrażenia.

Na jej twarzy gościł smutek, chociaż uśmiechała się do mnie.

– To prawda. Stefan i Marianna spotkali się w szkole podstawowej w Wyszogrodzie, w siódmej klasie, kiedy zlikwidowano szkołę podstawową we wsi, gdzie mieszkała moja mama. Zaiskrzyło. Od tej pory byli nierozłączni, mimo że nie raz im się za to dostało. Nawet zostali posłani do różnych szkół średnich. Moja mama tak bardzo tęskniła za Stefanem, że rozchorowała się i w rezultacie szkoły nie skończyła. Podobno nasz tata ciągle uciekał z domu, żeby chociaż na chwilę spotkać się z Marianną. Przysięgli sobie miłość do grobowej deski. Tata obiecał, że poślubi mamę. Chciał tylko skończyć studia, żeby zabrać ją i wyjechać jak najdalej od ich rodzin, które nie akceptowały tego związku. Mama na niego cze-

kała.

– Ale na studiach poznał moją mamę – dokończyłam za Marcelinę.

– Tak. Podobno szybko zaszła w ciążę i tata został przymuszony do małżeństwa.

Teraz moje myśli wróciły do dzieciństwa, kiedy wspólnie z rodzicami pomieszkivaliśmy w akademiku i wynajętych pokojach. Wieczne awantury, pretensje, krzyki. Odrzucenie ojca. Porzucenie przez matkę.

Nie kochał jej, to jasne. Dlatego nie mogli się dogadać. Wpadli, a ja byłam niechcianym dzieckiem.

– I co dalej? – Zaszło mi w ustach z emocji.

– Moja mama znowu zachorowała z żalu, leżała w szpitalu. Długo się leczyła, ale nigdy już nie odzyskała pełni sił. Czasami spotykała się z tatą, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do swoich rodziców. Aż zaszła w ciążę. Moja babcia ze zgrzyoty i ze wstydu miała zawał, ledwo przeżyła. Dziadek zaczął pić. Podobno we wsi wszyscy z nich sztydziłi i wytykali ich palcami. Nie dość że mama była panną w ciąży, to jeszcze zaszła w ciążę ze swoim kuzynem.

Milczałam wstrząśnięta tym, co usłyszałam. Marcelina opowiadała głosem wypranym z emocji.

– Dziadek Konstanty wyrzekł się syna. Zabronił mu przyjeżdżać do domu. Zmarł wkrótce po moich narodzinach. Moja mama długo chorowała. Nie chciała już widywać naszego ojca. Miała do niego żal, że ją zostawił. Kiedy miałam sześć lat, znowu trafiła do szpitala. Dowiedziała się wtedy, że zabrał cię do Warszawy i mieszka z jakąś kobietą. Kiedy leżała w szpitalu, wyjechałam z tatą na tydzień do Krynicy Morskiej. To wtedy ktoś nam zrobił to zdjęcie, jedyne, jakie mam. Babcia nie wyrażała zgody na ten wyjazd, ale w końcu oboje z dziadkiem dali się ubłagać, bo musieli zająć się mamą.

Marcelina zamilkła, by po chwili opowiadać dalej:

– Moja mama powiesiła się w stodole, kiedy miałam dwanaście lat. Na szczęście to nie ja ją znalazłam. Byłam wtedy w szkole.

Płakałam, słuchając tej tragicznej historii.

– Nie płacz. – Pogłaskała mnie po twarzy. – Przecież to nie twoja wina.

– A potem mieszkałaś w domu dziecka? – Raczej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Skąd wiesz?

– Waldek mi powiedział.

– Tak. Sześć lat. Babcia nie mogła się mną zająć. Śmierć mamy była dla niej ciosem, chorowała na serce. Umarła, kiedy skończyłam podstawówkę. Dziadek mówił, że to przekleństwo. Nienawidził mnie. Kiedy wróciłam z domu dziecka, uciekł do lasu i tam mieszkał w jakiejś ziemiance. Przychodził tylko czasami, kiedy był pijany, żeby mi wymyślać i wygrażać. Kiedyś zasnął za stodołą pijany, z papierosem, i wszystko spłonęło. On też. Od tamtej pory tułałam się po okolicy. Trochę mieszkałam w ziemiance po dziadku, na zimę szłam do miasta do pracy. A kiedy nasza wspólna babcia wyjechała i już nie wróciła, bo umarła w Warszawie, zimą przemieszkiwałam w pawilonie. Ale było tam coraz gorzej, zeszłej zimy piec przestał działać, miałam coraz mniej pieniędzy. Jesienią sprzedawałam owoce z twojego sadu. Kilka miesięcy temu sprzedawałam też swoją ziemię odziedziczoną po dziadkach. Nie wiedziałam, co ze sobą począć. Ludzie na wsi nie ułatwiali mi życia.

– Wyobrażam sobie! – Co ja mogłam sobie wyobrazić? Tę gehennę, którą przeszła Marcelina? – Przepraszam. To tylko puste słowa.

– Nie przepraszaj. Najważniejsze, że rozumiesz. Tobie też nie było łatwo.

– Do tej pory tak mi się wydawało, ale po tej opowieści stwierdzam, że ja to miałam życie jak księżniczka.

– Przytul mnie. – Marcelina wkręciła się we mnie całą sobą, twarz przytulając do mojej piersi. – Dobrze, że cię spotkałam. – Głos miała przytłumiony.

– Nawet nie wiesz, od jak dawna o tobie myślałam i chciałam cię poznać. Jak bardzo chciałam mieć starszą siostrę. Byłam ciebie ciekawa, chociaż miałam żal i chociaż dziadek z babcią mówili o tobie najgorsze rzeczy. Wspominali, jak się cieszyli, kiedy twoja mama cię porzuciła. Nie podobało mi się to. Myślałam, że przecież ty też byłaś tylko małą dziewczynką i tęsknisz za swoimi rodzicami.

Przytuliłam się do niej mocniej i przełknęłam ślinę wzruszona.

– Wyobrażałam sobie, że mieszkamy razem, że razem się bawimy i opiekujemy sobą. Że bronisz mnie przed innymi dziećmi, nie pozwalasz im mi dokuczać. Ciągłe cię rysowałam, chociaż nie wiedziałam, jak wyglądasz. Zobaczyłam cię dopiero na pogrzebie babci. Bałam się podejść.

– Trzeba było to zrobić. Miałybyśmy to za sobą wiele lat temu.

– Potem żałowałam, jednak nie mogłam już nic zrobić. Myślałam, że będziesz przyjeżdżać do domu po babci, ale ty się nie pokazywałaś. Mieszkając w pawilonie, trochę cię pilnowałam. Czekałam tam na ciebie.

– Masz jeszcze te rysunki?

– Które?

– Te z dzieciństwa. Na których mnie rysowałaś.

– A, te. Nie mam. Wszystko spłonęło. Niewiele uratowałam. Dom stał w ogniu i nikt nie pomógł mi go gasić, dopiero gdy przyjechała straż, to ludzie ruszyli z pomocą.

– To okropne! – Byłam oburzona. – Nikt ci nie pomógł?

– Nikt. Nawet nikt mi nie zaproponował noclegu, chociaż wszyscy wiedzieli, że nie mam gdzie spać i nie mam nic, tylko to, co na sobie. Dobrze, że lato było. Spałam w stogach. A potem znalazłam ziemiankę dziadka.

Kołysałam ją w ramionach jak maleńkie dziecko. Nie potrafiłam wyrazić, co czułam na myśl o tym, jaki los spotkał Marcelinę. Muszę jej to wynagrodzić.

– Ja też zawsze chciałam mieć rodzeństwo – szepnęłam. – Obojętne, siostrę czy brata. Byle mieć do kogo mówić. Babcia była jedyną osobą, która mnie kochała, wypełniła swoją miłością miejsce, które należało do moich rodziców. Oni mnie nie chcieli. Nie powinni w ogóle się pobierać.

– Pewnie. Jedna błędna decyzja i zobacz, ile osób cierpiało.

Pokiwałam głową.

– Ich też mi szkoda – powiedziałam. – Naszych rodziców i dziadków. Oni też cierpieli. A twoja mama i nasz tata? Czy to powinno im się przytrafić? Taka miłość?

– Może gdyby to się zdarzyło w mieście, byłoby im łatwiej?

– Łatwiej by im było się ukryć, miasto jest bardziej anonimowe, chociaż zła sława potrafi dogonić uciekających i w mieście. Ale nie powinno było dojść do takiej sytuacji – byli stryjecznym rodzeństwem.

– Kto zna ścieżki ludzkich uczuć? – zapytała sentencjonalnie moja siostra. – Pewnie to było silniejsze od nich. A na pewno silniejsze od mojej mamy.

– Na pewno. Wydaje się, że ojciec usiłował z tym walczyć. Ale czy tak było?

– Może nam opowie, gdy przyjedzie?

– Może. Teraz to już żadna tajemnica. Tata ostatnio jest jakiś bardziej uczuciowy i wylewny. Z wiekiem człowiek się zmienia, a i samotność pewnie mu dokucza.

Na tych zwierzeniach i opowieściach czas szybko minął. Zrobiło się późno. Zjadłyśmy w kuchni kolację ze świątecznych resztek.

– Jutro trzeba zrobić zakupy.

– Co będziemy kupować? Mam jechać z tobą?

– Pewnie, że tak. Musimy ci kupić jakieś ubrania. A potem pójdziemy do marketu po zakupy spożywcze.

– Ale ja nie mam pieniędzy na ciuchy. Może wystarczy wyprać moje stare?

– Nie panikuj. Stare wypierzemy, ale trzeba kupić nowe.

– Głupio tak... – Wyraźnie posmutniała.

– Daj spokój. Może i ja kiedyś będę potrzebować pomocy, a wtedy ty mi pomożesz. Potraktujmy to jako pożyczkę. Jak będziesz miała, to mi oddasz, chociaż nie musisz.

– Dobrze. Wszystko ci oddam.

– A teraz zmykaj do łazienki, pościelę ci łóżko.

– W gabinecie?

– W gabinecie. To będzie twój pokój.

– A mogę jeszcze spać z tobą?

Rozczuliła mnie prośba w jej głosie.

– Możesz, pewnie, że możesz.

Uradowana pobiegła do łazienki. Miała w sobie taką młodzieńczą świeżość i niczym nieskażoną radość. Wniosła nowe życie do mojego domu.

Jutro rano muszę z nią jeszcze porozmawiać o leczeniu. Wciąż kasłała, a poza tym chciałam sprawdzić, czy nie jest na coś chora. Tyle czasu żyła i mieszkała w takich prymitywnych warunkach, nie dojadła. Nigdy nic nie wiadomo. Może teraz, w okresie poświętecznym będzie łatwiej znaleźć wolny termin u lekarza. A najlepiej u doktora Libera. Może się uda, żeby tylko ona się zgodziła.

* * *

Za żadne skarby świata nie chciała iść do lekarza.

– Jestem zdrowa. Nie ma potrzeby tam iść – argumentowała.

– Okropnie kaszlesz.

– Przejdzie. To nie pierwszy raz.

– No właśnie! Trzeba to sprawdzić.

– Nie chcę. Proszę cię, nie zmuszaj mnie.

– Nie zmuszam cię. Tylko proszę.

Milczała.

– Muszę pomyśleć. Powiem ci, jak się zdecyduję.

– Obiecujesz?

Była zła, bo spojrzała na mnie krzywo, więc nie naciskałam. Poczekam. Może rzeczywiście potrzebuje czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji? Staralam się ją zrozumieć.

Za to kupowanie ciuchów bardzo przypadło jej do gustu, chociaż była onieśmielona i musiałam ją namawiać do kupna niektórych rzeczy, bo twierdziła, że tyle nie jest jej potrzebne. To było za drogie, to niepotrzebne. Ale widziałam jej oczy. Ten zachłanny blask na widok jakiegoś fajnego fatałaszk. Miała dobry gust, musiałam to przyznać. Pomyślałam, że pewnie nigdy nie mogła sobie pozwolić na takie zakupy, lata wyrzeczeń kazały jej kupowanie ciuchów umieścić w kategorii szaleństwa. I to było widać w jej wyborach – zanim zdecydowała się na cokolwiek, najpierw patrzyła na cenę.

– Nie wydziwiał – syknęłam. – Jak ci się podoba, to przymierzaj.

– No coś ty! Widziałas, ile to kosztuje? To majątek! Nie ma mowy!

Ciągle zapominałam, że przez całe swoje życie musiała wspinać się na palce po to, co ja podnosiłam z podłogi. Nic już nie mówiłam. Ale i tak nakłoniłam ją do zakupu sporej liczby rzeczy. Wreszcie będzie porządnie wyglądać, pomyślałam, chociaż jeszcze dużo brakowało w jej garderobie.

Obładowane torbami poszłyśmy połaszyć w cukierni Grycana.

– Czuję się jak dziewczyna z amerykańskiego filmu. – Śmiała się. – Same przyjemności, ciuchy, ciastka! I co masz jeszcze dla mnie?

– Już nic. Przyjemności muszę reglamentować, żeby ci się w głowie nie przewróciło.

– Ho, ho! To dla równowagi musisz mi przydzielić jakieś obowiązki.

– Coś dla ciebie znajdę. – Śmiałam się razem z nią. – Coś specjalnego.

Było mi dobrze. Jak ja mogłam żyć tyle lat, nie znając Marceliny?

* * *

W sylwestra po śniadaniu Marcelina w salonie zajęła się szkicowaniem. Rysunki pochłoneły ją bez reszty, była nieobecna duchem. Stałam przy desce i prasując, spoglądałam na nią od czasu do czasu, ale tak mnie zafascynowała, że w pewnym momencie odstawiłam żelazko, usiadłam w fotelu i zaczęłam ją obserwować. Z dnia na dzień rozkwitała i coraz bardziej otwierała na otaczający ją świat. Była inteligentna, ale nie przemądrzała. Jak na kogoś, kto tyle lat żył samotnie w swoim świecie i nagle znalazł się w wielkowiejskiej dżungli, radziła sobie świetnie. Życie nauczyło ją pokory, ale i gotowości do walki o swoje miejsce. Kaszłała zdecydowanie mniej. Wyglądała lepiej. Nie mogę powiedzieć, że dobrze, do tego jeszcze sporo jej brakowało. Już nie przypominała chorego, zaszczutego zwierzątka. Regularne posiłki i życie w przyzwoitych warunkach wygładziły jej buzię, a oczy błyszcząły jak dwa diamenty. Skóra nie była już chorobliwie blada, choć brakowało jej jeszcze rumieńców. Nawet włosy, kiedy dobrze się przyjrzeć, zaczynały mieć delikatny miedziany połysk. Były gęste i długie, w kolorze włoskiego orzecha. Marcelina splatała je w gruby warkocz, co dodawało jej pensjonarskiego uroku.

Pochylona nad szkicownikiem rozchyłała usta i od czasu do czasu ruchem głowy niecierpliwie odrzucała wymykający się niesfornie kosmyk włosów. Byłam ciekawa, co rysuje z takim zapamiętaniem, ale nie chciałam wyrywać jej z transu.

Wróciłam do prasowania i zagłębiłam się w rozmyśleniach. Myślałam o mojej nieszczęśliwej matce. Do tej pory moja matka – jako kobieta, która porzuciła własne dziecko – była dla mnie nikim. Po opowieści Marceliny całą tę sytuację rozumiałam dużo lepiej. Dzisiaj, sama będąc dojrzałą kobietą, znałam ból odrzucenia przez mężczyznę. Nie rozgrzeszałam jej i nie chciałam osądzać. Byłam ciekawa, dlaczego nigdy mnie nie odszukała. Może już nie żyła? Nic o niej nie wiedziałam.

Pomyślałam też o Pawle. Od tyłu dni żadnej wiadomości. Wysłałam do niego kilka maili, ale pozostały bez odpowiedzi. Na szczęście bandyci z bmw zniknęli spod mojego bloku. Może Paweł uregulował rachunki?

Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Znieruchomiałam nagle sparaliżowana strachem. Dlaczego ktoś dzwonił do drzwi, a nie domofonem?

– Dlaczego nie otwierasz? – Marcelina popatrzyła na mnie zdumiona, kiedy nawet nie drgnęłam po drugim i trzecim dzwonku. – Mam otworzyć? Jesteś bardzo blada. Dobrze się czujesz? – Była zaniepokojona.

– Nie, ja otworzę. Nic mi nie jest. – Zaszło mi w ustach z przerażenia i nogi miałam jak z ołowiu.

– Kto tam? – zapytałam przez drzwi i ostrożnie wyjrzałam przez wizjer. Zobaczyłam dwóch facetów, zupełnie mi nieznanym.

– Proszę otworzyć, policja. – Jeden z nich podsunął do wizjera legitymację. Moja wyobraźnia szalała. Założyłam łańcuch i uchyliłam drzwi.

– Mogę zobaczyć legitymację?

Mężczyzna pokazał mi ją w powstałej szparze, ale nie wypuścił z ręki.

– Pani Michalina Szawłowska?

Kiwnęłam głową.

– Proszę otworzyć, musimy porozmawiać. – Niechętnie zdjęłam łańcuch i wpuściłam ich do środka.

Marcelina jak duch stanęła obok mnie i wzięła mnie za rękę.

– A kim pani jest?

– To moja siostra. Proszę się rozebrać. Zapraszam do salonu. Marcelinko, pozbieraj rysunki i prasowanie, a ja zrobię panom coś do picia.

Obaj chcieli kawę. Zaparzałam ją trzęsącymi się rękami. O co chodzi? Może o to moje zgłoszenie sprzed świąt? Na pewno tak! Uspokajałam sama siebie.

Spisali nasze dane z dowodów i lustrowali ciekawie otoczenie. Nie podobało mi się to.

– Mąż dawno z panią nie mieszka? – pytanie mnie zaskoczyło. Co ich to obchodzi?

– Od marca.

– Często się kontaktujecie?

– Nie, niezbyt często. Może ostatnio trochę częściej.

– A kiedy ostatnio? – Co ten Paweł nawywijał, że aż policja się nim interesuje?

– Przed świątami. Ale tylko mailowo. Mąż jest za granicą, ale nie wiem gdzie. Ostatnio pisał do mnie ze Szwecji, ale wiem, że chciał ruszyć gdzieś dalej. Niestety, nie wiem dokąd – ubiegłam pytanie. – Czy coś się stało?

Milczeli.

– A może zauważyła pani coś dziwnego ostatnio?

– Na przykład co? – Zrobiłam się czujna. Serce biło mi jak oszalałe.

– Jakieś telefony, wizyty, pogrożki.

– Tak. Nawet po Nowym Roku wybierałam się do was w tej sprawie.

– Proszę nam wszystko opowiedzieć.

Opowiedziałam. O bmw, o wiadomości od Rosjanina, o kartce z groźbą za wycieraczką samochodu.

– A domyśla się pani, o co chodzi w tej sprawie?

– Tak. Mój mąż jest hazardzistą, z tego powodu się rozstaliśmy. Pożyczył pieniądze od jakichś podejrzanych typów i teraz żądają zwrotu. Dlatego wyjechał za granicę, żeby zniknąć im z oczu.

– Pani Michalino – powiedział jeden z nich, chyba starszy stopniem, choć obaj byli po cywilnemu. – Nie mamy dla pani dobrych wiadomości.

Patrzyłam na niego w napięciu. Znowu zaschło mi w ustach i zaczynało brakować tchu.

– Pani mąż nie żyje. Dwudziestego piątego grudnia został śmiertelnie potrącony przez samochód w Göteborgu. Szwedzka policja twierdzi, że to nie był przypadek. Zatrzymali podejrzanego, który ma przeszłość powiązaną z międzynarodową mafią. Nie wie pani, ile mąż był im winien?

– Nie mam pojęcia, ale chyba sporo. – Było mi słabo. Opadłam na oparcie fotela i oddychałam szybko. Marcelina przyniosła szklanekę z wodą i mokry ręcznik, którym wytarła mi czoło. Byłam jej za to wdzięczna. Musiałam zapanować nad emocjami.

– Może przypomina sobie pani jeszcze coś podejrzanego? – indagował policjant.

Myśli szalały w mojej głowie, nie mogłam nic z nich wyłowić, chociaż podświadomie czułam, że jest coś, o czym wiem, ale nie mogę sobie przypomnieć. Wstałam i podeszłam do okna. Nie chciałam na nikogo patrzeć, musiałam się uspokoić. Spoglądałam na ulicę, na zabieganych ludzi i nagle mnie olśniło.

– Tak. Jest coś, co mnie zaniepokoiło.

– Mianowicie?

– Mój mąż uczynił chyba swoim powiernikiem, a na pewno pośrednikiem w załatwieniu pewnych spraw jednego z pracujących tu ochroniarzy.

– I co panią zaniepokoiło?

– Pewnej nocy widziałam tego ochroniarza, jak rozmawiał z kierowcą bmw, które tutaj przez jakiś czas stało pod blokiem. Wyglądało, jakby się znali. Do tego właśnie mężczyzny mój mąż wysłał ze Szwecji dokumenty dla mnie. On mógł znać w przybliżeniu miejsce pobytu męża.

– To bardzo cenna informacja. Poprosimy panią o wskazanie tego pracownika ochrony. Musimy wszystko sprawdzić.

Powiedziałam im wszystko, co wiedziałam o panu Kaziu. Czy słusznie, nie wiem. Ale to nie żarty. Poza tym bałam się. I to bardzo.

Spisali wszystko i wreszcie poszli. Do drzwi odprowadziła ich Marcelina. Ja nie dałam rady. Byłam w szoku. Powoli docierała do mnie wiadomość o tym, że Paweł nie żyje. Chciało mi się płakać, mimo że niewiele już nas łączyło. Przecież kiedyś się kochaliśmy, był mi najbliższym człowiekiem i przyjacielem.

Marcelina podała mi chusteczkę. Nawet nie wiedziałam, że płaczę.

– Michasiu, strasznie mi przykro, naprawdę. Mogę ci jakoś pomóc?

– Wiem, kochanie. Dziękuję. Muszę sama się z tym uporać.

Najgorsze było to, że nie wiedziałam, czy jego rodzice o tym wiedzą. Nie zapytałam policjantów.

– Co teraz zrobisz?

– Nie mam pojęcia. Boję się.

Nie zapytałam też, co z ciałem, z jego rzeczami. Trzeba pomyśleć o pogrzebie. Pewnie śledztwo potrwa kilka miesięcy. Rozboliła mnie głowa. Na szczęście Marcelina ze swoim współczuciem nie była nachalna. Zostawiła mnie samą w sypialni, otuliła kocem, przyniosła świeżo zaparzoną herbatę i podała leki. Naprawdę byłam jej wdzięczna.

Nie mogłam zebrać myśli, nie byłam w stanie. Zapatrzona w sufit przypomiinałam sobie różne zdarzenia z naszego życia. Ostatnie wspólne wakacje na Krecie, które nazwaliśmy naszą drugą podróżą poślubną. Ostatni wspólny sylwester na Słowacji, a potem narciarskie szaleństwa na stoku. Kiedy to wszystko się skończyło? Jeszcze nie tak dawno żyliśmy pełną piersią, a dziś wydaje się, jakby to było tysiące lat temu, w zupełnie innym życiu. Z tą myślą zasnęłam.

Chyba krótko spałam, bo kiedy natrętny dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu, za oknem było jeszcze widno. Byłam nieprzytomna i nie widziałam, kto dzwoni.

– To wszystko przez ciebie!

Dotarł do mnie kobiecy krzyk w słuchawce.

– To ty jesteś wszystkiemu winna!

– Kto mówi? – Kręciło mi się w głowie.

– Mój syn, mój syn! – Kobieta zawodziła nieustannie. Nie mogłam zrozumieć, co mówi. – Zabiłaś go!

To przez ciebie!

Milczałam. Dałam prawo matce Pawła do rozpacz, choć zaskoczyła mnie jej siła. Nigdy nie była wylewna ani uczuciowa, przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

– Mamo... – Poczułam, że zaczynają mi płynąć łzy. – Mamo, proszę cię.

– Nie mów do mnie mammo! Nigdy więcej nie mów do mnie mammo! – Szlochała i zawodziła, a mnie z bólu pękało serce. Rozumiałam ją i nie miałam do niej żalu. Milczałam. Po chwili połączenie zostało przerwane.

Byłam jak ogłuszona. Nie wiedziałam, co robić.

Telefon zadzwonił ponownie. To pewnie znowu matka Pawła. Niechętnie odebrałam połączenie. Co miałam jej powiedzieć?

– Michalino. – Tym razem to był ojciec Pawła. – Michalino, przepraszam cię za żonę. Postaraj się zrozumieć. – Płakał, chwilami załamywał mu się głos.

– Tato, rozumiem. Nie przepraszaj. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów, dziecko. Nasz syn, nasz syn! – Rozszlochał się. – Zadzwoń później. Musimy się uspokoić.

– Dobrze, tato. Może przyjadę do was albo wy przyjedźcie do mnie?

– Nie, nie. Na razie nie. Odezwę się.

Nie sądziłam, że to będzie dla nich taki cios. Szczególnie dla matki. Oboje byli bardzo powściągliwi w wyrażaniu i okazywaniu uczuć. Paweł miał do nich o to żal, wiele razy mi o tym opowiadał. Rozumiałam ich. To ich jedyny syn. Byli dumni z niego, z jego osiągnięć, szczególnie tych zawodowych. Mnie za bardzo nie lubili, szczególnie matka. Byłam nie z tej sfery. Marzyli o innej żonie dla syna, dość długo manipulowali jego życiem, ale Paweł w końcu wymknął im się spod nadmiernej kurateli i sam zaczął podejmować decyzje. Z oporami, ale pogodzili się z tym. Dziś zostali zupełnie sami.

Ani trochę nie czułam się winna śmierci Pawła. Oskarżenia były niesprawiedliwe, krzywdzące. Chciałam wierzyć, że dyktowały je rozpacz i ból po utracie dziecka.

W drzwiach stanęła Marcelina.

– Kto dzwonił?

– Teściowie.

– Już wiedzą?

Kiwnęłam głową.

– Ja jestem wszystkiemu winna.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Jak to?

Wzruszyłam ramionami. Byłam zaskoczona tym, że atak teściowej mnie uspokoił. Byłam już opanowana.

– Najchętniej w ogóle bym się z nimi nie kontaktowała, ale musimy omówić sprawę pogrzebu. Może sami będą chcieli go zorganizować. Tylko nie zapytałam policji, kiedy wydadzą mi ciało. Mam nadzieję, że nie będę musiała jechać do Szwecji, żeby dokonać identyfikacji.

– Możesz zadzwonić. Zostawili wizytówki. Położyłam na komodzie w salonie.

– Dam im dzisiaj spokój. Zadzwoń później.

Nie mogłam się na niczym skupić. Chodziłam po całym mieszkaniu, przekładając bezmyślnie z miejsca na miejsce różne przedmioty. Marcelina mnie nie odstępowała.

– Michasia, usiądź, nie chodź tak – powiedziała wreszcie. – Nic już nie możesz zrobić.

– Wiem, ale jakoś tak mnie nosi. Jestem wstrząśnięta tym, co się stało. Tak mi żal Pawła, tak mi żal... – biadoliłam. – Mam nadzieję, że bandyci nie zaczną teraz gnębić mnie. Nie wytrzymałabym tego.

– Może się odczepią. Nie wystarczy, że zabili Pawła?

– Właśnie obawiam się, że nie. Boję się, że będą chcieli odzyskać pieniądze. A ja ich nie mam.

– Może ich złapią.

– Oby. Chociaż, jeśli to jest mafia, to wszystkim nie dadzą rady. Muszę szybko sprzedać to mieszkanie i wyprowadzić się jak najdalej stąd. Tylko dokąd? – Bezradnie patrzyłam na Marcelinę. Nie mogła mi pomóc.

Zastanawiałam się, co zrobić. Myśli znowu zaczęły galopować w poszukiwaniu pomysłu na rozwiązanie tej sprawy.

Dochodziła czwarta po południu.

– Chodź do kuchni, zrobimy coś do jedzenia. Niedługo przyjedzie Waldek, trzeba coś przygotować.

Wszystko leciało mi z rąk. Stłukłam kubek i wylałam mleko, a na koniec rozsypałam ryż.

– Zostaw, ja to zrobię.

Marcelina siłą posadziła mnie przy stole i zajęła się kucharzeniem. Poprzedniego dnia ulepiłyśmy cały

stos pierogów ruskich, wystarczyło je tylko odsmażyć. Na dzisiaj w planach była wołowa pieczeń w czerwonym winie, ale nic nie przygotowałyśmy.

Nie miałam apetytu. Zjadłam tylko trzy pierogi i odsunęłam talerz.

– Może chcesz pogadać? – Marcelina nie spuszczała ze mnie oka.

– Sama nie wiem.

– Domyślam się, jak się czujesz. – Usiadła przy mnie. – Czekają cię trudne dni.

– Wiem. I boję się.

– Jestem przy tobie. – Uśmiechnęła się. – I twój anioł stróż też – dodała.

Pomyślałam ciepło o Michaeszu. Na pewno mnie nie opuścił i pomoże mi przez to przejść. Żebym tylko nie wpadła w histerię, bo narobię głupstw.

Wyjęłam z komody małżeński album ze zdjęciami.

– Mogę z tobą pooglądać?

Do tego albumu jeszcze nie doszłyśmy.

– Pewnie.

Otworzyłam na pierwszej stronie. Nasze ślubne zdjęcie i zaproszenie na ślub. To ja uparłam się, żeby tak było, Paweł śmiał się i mówił, że to kicz. Może i kicz, ale teraz spoglądałam na to ze smutkiem i ze wzruszeniem. Byłam wtedy taka szczęśliwa. Pewnie jak każda świeżo upieczona mężatka. Paweł był wtedy zupełnie innym człowiekiem. Miałam nadzieję, że naszej miłości wystarczy do końca życia albo i dłużej, że wreszcie będę miała dom i rodzinę, kogoś, kto kocha mnie równie mocno, jak ja jego, komu będę mogła bezgranicznie ufać. I długo tak było.

Album ze zdjęciami był kroniką naszego życia, które zostało już tylko we wspomnieniach. Nie udało nam się razem zestarzeć, tak jak sobie to obiecaliśmy. Pawła już nie ma.

Wytarłam oczy i nie chciałam już więcej oglądać. Na szczęście Marcelina o nic nie pytała. Jej obecność działała na mnie kojąco.

O dwudziestej znowu zadzwonili rodzice Pawła. Tym razem rozmawiał ze mną teść.

– Michalino, czy ty wiesz coś więcej o tej sprawie? Paweł ostatnio prawie się do nas nie odzywał, mówił, że jest bardzo zajęty. Nigdy nie miał czasu z nami porozmawiać. Nie widzieliśmy go ponad rok.

– Niewiele, tato. Przecież nie mieszkaliśmy razem.

– Jak to nie mieszkaliście razem? Jak to? Nic nie rozumiem!

– Paweł nic wam nie powiedział? – zdziwiłam się.

– Nic! Nic nie widzieliśmy!

– Rozstaliśmy się prawie rok temu i Paweł nie mieszkał ze mną. Rzadko się kontaktowaliśmy, teraz ostatnio trochę częściej, bo zdecydowaliśmy się na rozwód i podział majątku.

– Ale co się stało? – dopytywał zdumiony.

– Nie znam szczegółów, ale Paweł wpadł w złe towarzystwo i przegrał w kasynie cały nasz majątek.

– Ależ co ty mówisz! To przecież niemożliwe! Paweł? – Teść był święcie oburzony tym, co powiedziałam. Rodzicom zawsze trudno uwierzyć, że ich dziecko robi coś złego.

– Paweł był hazardzistą, tato. – Świadomie wbiłam tę szpilę.

W słuchawce zapadła cisza.

– To okropne, co mówisz! – Z intonacji głosu teścia wywnioskowałam, że dla niego nie było okropne to, że Paweł był hazardzistą i przegrał nasz wspólny majątek, ani to, że wpadł w złe towarzystwo. Okropne było to, że ja o nim źle mówiłam.

– Ale tak było. Nawet chciał sprzedać nasze mieszkanie bez mojej wiedzy, kiedy chorowałam, bo pilnie potrzebował pieniędzy.

– No cóż, skoro tak mówisz. – Wyraźnie był dotknięty moimi słowami. – Ale porozmawiamy o tym

kiedy indziej. Zadzwoń, żeby uzgodnić z tobą szczegóły pogrzebu. Chcielibyśmy z żoną, aby Paweł był pochowany w naszym mieście, w grobowcu rodzinnym. Ale ponieważ to ty jesteś jego żoną, Michalino, to ty będziesz decydować, chociaż już się rozstaliście.

Zabolał mnie ton jego głosu.

– Nie, tato, nie mam nic przeciwko temu. Niech będzie, jak wy chcecie. To wasz syn i macie do tego prawo. – Powiedziałam to trochę wbrew sobie, ale nie chciałam się z nimi kłócić. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci wiadomością o śmierci Pawła, a ja starałam się pamiętać, że oni stracili jedynego syna. – Zawiadomię was, gdy tylko czegoś się dowiem.

– No i po pogrzebie trzeba będzie omówić sprawy majątkowe. Nie mieliście dzieci, a my wnuków, nad czym oboje z żoną ubolewaliśmy, więc my dziedziczymy połowę po naszym synu.

Ach, więc nie zawiodłam się na was, pomyślałam. O to chodzi. Taka rozpacz, ale jednak o sprawach majątkowych nie zapomnieli ani na chwilę.

– Oczywiście, tato – odpowiedziałam sucho. – Gdybym mogła wam jeszcze w czymś pomóc, to służę. I, oczywiście, zapraszam do siebie, gdy będziecie w Warszawie.

Pozegnaliśmy się chłodno. Byłam naprawdę zła. No coś takiego! Jeszcze nic nie ustalono co do pogrzebu, a oni już o pieniądzach! Niesłychane!

Poczułam, że tęsknię za Agą. Potrzebowałam jej zdrowego rozsądku i opanowania. Nie chciałam do niej dzwonić i psuć jej sylwestra. Prawda! Przecież dziś sylwester! Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam. I Waldek miał przyjechać! Późno już, powinien już być na miejscu. Zaniepokoiłam się.

– Waldek nie dzwonił?

Marcelina siedziała beczynnie i milcząco, przysłuchiwała się mojej rozmowie z teściem. Pokręciła przecząco głową.

– Powinien już być. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Do piątej miał być w sklepie.

– No to powinien już być – powtórzyłam.

Jak na rozkaz zadzwonił domofon. Zobaczyłam w oczach Marceliny błysk radości.

– Biegnij mu otworzyć.

Poleciała. Pewnie nieco jej obco w moim domu. W końcu krótko się znamy i mimo że dużo rozmawiamy i bardzo się do siebie zbliżyliśmy, na pewno trochę tęskni za Szamocinami. Waldek jest dla niej kimś znajomym. Z nim jest bardziej swojsko. Ja też poczułam radość, mimo zmartwienia. Potrzebowałam chyba męskiego ramienia.

Słyszałam, że coś szepczą w przedpokoju. Pewnie Marcelina zdawała mu relację ze wszystkiego, co się wydarzyło. Poczułam maleńkie ukłucie zazdrości.

Wysłałam im naprzeciw.

W progu salonu wpadłam prosto w ramiona Waldka. Nic nie mówiąc, zagarnął mnie całą i przytulił mocno do siebie. Nie protestowałam, oparłam policzek na jego piersi i z zamkniętymi oczami wdychałam zapach wody kolońskiej.

Chociaż był to smutny sylwester, to jednak czułam się dobrze. Marcelina i Waldek stali się najbliższymi mi osobami i ważne dla mnie było to, że mam ich wsparcie. Kiedy wybiła północ, przestałam się bać przeszłości. Cokolwiek się stanie, poradzę sobie. Byłam tego pewna.

Pogrzeb Pawła miał się odbyć w połowie stycznia, dopiero wtedy możliwe było wydanie nam ciała. Na szczęście nie musiałam lecieć do Szwecji, identyfikacji dokonał prawnik, z którym Paweł załatwił dla mnie pełnomocnictwa. Okazało się, że ów prawnik był również dobrym znajomym Pawła. Jednak formalności było tak dużo, że nie mogłam wrócić do pracy po Nowym Roku i musiałam wziąć urlop. Często byłam wzywana na przesłuchania, ciągle pojawiały się jakieś nowe wątki i nowe pytania. Byłam zaskoczona i przerażona rozległymi kontaktami Pawła ze światem przestępczym. Myślałam, że chodziło tylko o zwrot pożyczonych pieniędzy, tymczasem okazało się, że dług był jedynie wierzchołkiem góry lodowej.

– Lepiej było nie wiedzieć – zwierzałam się Adze i Marcelinie pewnego wieczoru. – Całe szczęście, że ze mną nie mieszkał, bo chybaby mnie przymknęli zamiast niego.

– E tam, zaraz przymknęli! – Aga ze zniecierpliwieniem odstawiła filiżankę z kawą na stół. – Nie pleć głupstw. Ciągaliby cię jeszcze częściej, na pewno. Ale zaraz przymknęli? Całe szczęście, że się wyprowadził. Przeryliby ci cały dom!

– I tak chyba mi nie uwierzyli, że nie mam żadnych osobistych rzeczy Pawła. Nie wiem, co znaleźli w jego wynajmowanym mieszkaniu, nie chcieli mi powiedzieć.

– Jak sama słusznie zauważyłaś, lepiej nie wiedzieć – wtrąciła Marcelina.

– Właśnie – poparła ją Aga.

Na szczęście polubiły się od pierwszego wejrzenia. Czekałam na powrót Agi z niecierpliwością, miałam dla niej mnóstwo nowin. Dopadłam ją zaraz następnego dnia po powrocie z Austrii. Trochę unikała spotkania, tłumaczyła się zmęczeniem i zaległościami w domu i w kontaktach z dziećmi, ale kiedy powiedziałam jej, że Paweł nie żyje i to nie jest jeszcze koniec nowin, rzuciła wszystko i przyjechała do mnie.

– Michaś, to wszystko brzmi jak opowieść z jakiejś wenezuelskiej telenoweli – skwitowała, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nie uwierzyłabym, gdyby ktoś inny mi to wszystko opowiedział. – W zamyśleniu przyglądała się milczącej Marcelinie. – Więc jednak nie wydawało nam się, że ktoś tam mieszkał, w tym pawilonie. Nieźle się zamaskowałaś, skoro nawet miejscowi nic nie wiedzieli. Przyleciała tam taka jedna, kiedy przyjechałyśmy, mówiła, że pilnują, by nikt nie rozkradł. Więc jak to się stało, że cię nie zauważyli? Michasia, jak się ta kobiecina nazywała? Zapomniałam jakoś.

– Chyba Grzybowa. Zapamiętałam, bo z zupą mi się skojarzyło.

– Aaa! Pani Grzybowa! – Rozjaśniła się Marcelina. – Ona naprawdę pilnuje. Do mnie też przyleciała, jak tam osiadłam, ale my się znamy, to mi dała spokój. Litowała się nade mną, czasem mi coś do jedzenia przynosiła. Ona nie jest plotkarą, nikomu nie powiedziała. Więcej nikt się mnie nie czepiał, chociaż może niejedni wiedzieli, że tam mieszkam. Nie pomagali, ale i nie przeszkadzali.

– To niesamowita historia. – Aga wciąż nie mogła uwierzyć. – Ciekawe, czy ojciec miał zamiar kiedykolwiek ci o tym powiedzieć – zastanawiała się. – Tyle lat trzymać w tajemnicy, nie pisnąć nawet słówkiem. Że jego nie ciekawiło, co dzieje się z drugą córką.

– A, to już nie ma znaczenia. Nie trzeba rozpamiętywać. Może jak przyjedzie do nas wiosną, to opowie szczegóły. Ważne, że dobrze się skończyło.

– To może zapytaj też o swoją matkę. Tyle lat minęło, może warto się dowiedzieć czegokolwiek. – Aga snuła dalekosiężne plany.

– Na pewno zapytam, też o tym myślałam. Ale nie wiem, czy jestem już na to gotowa.

– Na siostrę też nie byłaś gotowa. – Aga była bezlitosna.

– To co innego! – Zabolało wspomnienie dzieciństwa bez matki i świadomość porzucenia.

– No co innego, pewnie – zamyśliła się. – Ale ja na twoim miejscu chciałabym poznać prawdę.

Odszukałabym matkę. Może jeszcze żyje?

– Może. – Nie chciało mi się ciągnąć tematu.

– W końcu to twoja matka. Nie wiesz, dlaczego cię opuściła.

– Nie wiem.

Stałam przy oknie i patrzyłam na ulicę. Odkąd Marcelina opowiedziała mi historię nieszczęśliwej miłości jej rodziców, często myślałam o swojej matce. Ciekawe, co czuła. Czy tęskniła za mną? Co musiało się stać, że mnie porzuciła? Czy bardzo cierpiała? I czy w ogóle jeszcze żyje, co się z nią dzieje? Dręczyły mnie tysiące pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Nie wiedziałam nawet, gdzie jej szukać. Zresztą nie mogłam się tym teraz zajmować, całą uwagę musiałam skierować na sprawy związane z pogrzebem Pawła.

Westchnęłam.

– Michaś, przepraszam. – Aga przytuliła się do mnie. – Czasem jestem taka gruboskórna. Za dużo dla ciebie tego wszystkiego.

– Nic nie szkodzi. Jakoś sobie radzę. Potrzeba czasu, żeby to wszystko uporządkować. Na szczęście mam was, ciebie i Marcelinę. Nie jestem samotna.

Przysiadły się do mnie z obu stron.

– Wiesz już, kiedy wydadzą ciało?

– Nie znam dokładnej daty, podobno w przyszłym tygodniu. Jest mnóstwo formalności do załatwienia w związku z transportem zwłok z zagranicy. To trwa. Rodzice Pawła bardzo się niecierpliwią.

Nie powiedziałam, że wydzwaniam do mnie po kilka razy dziennie, obwiniając mnie o opieszałość. Uważali, że powinnam naciskać, by przyspieszyć wydanie ciała. Byłam tym już bardzo zmęczona. Starałam się ignorować arogancję teściowej, rozumiałam, że po stracie syna traci kontrolę nad emocjami, ale ja też straciłam męża i też miałam prawo do bólu.

Aga pożegnała się z nami późnym wieczorem.

– Ale się zasiedziałam. Wpadnę do was jutro, może wykroję chociaż krótką chwilę. Informuj mnie o wszystkim i mów, kiedy potrzebujesz pomocy. Musisz być teraz ostrożna, bo nie wiadomo, co z tymi bandytami – ciągnęła swój wywód, ubierając się. – Trzymajcie się! – Przesłała nam buziaka i poszła.

Przez ostatnie wydarzenia w moim życiu znowu miałam trudności z zasypianiem. Leżałam godzinami i wsłuchując się w spokojny oddech mojej siostry, rozmyślałam. Analizowałam raz po raz życie Pawła i jego smutny koniec. Odtwarzałam w myślach swoje samotne dzieciństwo i zastanawiałam się, jak by ono wyglądało, gdybym wtedy poznała Marcelinę. Co by się stało, jak by się potoczyło oraz co by było gdyby... W końcu zasypiałam i potem spałam już głęboko, bez snów i majaków.

Waldek dzwonił codziennie. Troszczył się o nas na odległość. Tęskniłam za jego telefonami, od rana odliczałam czas do wieczora, bo wtedy mogłam z nim porozmawiać. Nasze pogaduchy stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej intymne. Marcelina robiła tylko chytrą minę, przewracała oczami i wychodziła z sypialni, żeby nam nie przeszkadzać w rozmowie. Trochę mnie to zawstydzalo, ale cieszyłam się, że mogę pomruczeć do słuchawki bez świadków. Poznawaliśmy się coraz lepiej. Pisaliśmy też maile. Może to głupie, ale czułam się bezpieczniej, mając świadomość, że Waldek się mną opiekuje. Wiedziałam, że gdybym tylko poprosiła, natychmiast znalazłby się obok mnie, żeby mnie wesprzeć radą i chronić.

– Mówiłam ci, że wpadłaś mu w oko – droczyła się ze mną Marcelina. – Tobie też się podoba! – Nie mogłam zaprzeczyć. – Fajna byłaby z was para.

– Tak myślisz? – Pilnowałam się, żeby nie pokazać po sobie, że cieszą mnie jej słowa.

– I myślę, i widzę, że z tego może coś być – twierdziła.

– Głupio tak trochę.

– Co głupio?

– Oj, Marcysia! – Wkurzała się, kiedy mówiłam do niej Marcysia. – No głupio, jeszcze męża nie pochowałam.

Wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? Przecież nie byliście razem. A poza tym z Waldkiem dopiero się poznajecie. Nie idziecie jutro dać na zapowiedzi.

Miała rację. Ale flirtowaliśmy i z tego powodu czułam się niezręcznie. Powiedziałam o tym Waldkowi.

– Michalina, przepraszam, to moja wina! – Mogłam przewidzieć, że to powie. – Ale... nie będę ukrywał, że mi się podobaś i że każda rozmowa z tobą sprawia mi przyjemność. Nie chciałbym tego stracić. Jeśli jednak źle się z tym czujesz, nie będę dzwonił. No, przynajmniej nie tak często. Rozumiem sytuację, w jakiej się znajdujesz. Może potrzebujesz czasu, żeby się z tym wszystkim oswoić?

Serce trzepotało mi w piersi jak oszalałe. Bałam się, że Waldek usłyszy w słuchawce to stukanie. Uspokój się! Strofowałam sama siebie w myślach.

– Michalina, jesteś tam?

Nie zdawałam sobie sprawy, że milczałam dłuższą chwilę.

– Jestem, jestem. Przepraszam. Zamyśliłam się.

– Bałam się, że się rozłączyłaś bez pożegnania. No więc jak będzie?

– Będzie tak samo. Proszę. Miałam tylko wątpliwości, czy moje zachowanie jest odpowiednie, i dlatego ci o tym powiedziałam. Może rzeczywiście sama sprowokowałam ten flirt. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe.

– Za złe? Chyba oszalałaś! I niczego nie sprowokowałaś. Po prostu miałem ochotę spróbować. Czuję, że nadajemy na tych samych falach. Od razu to wiedziałem, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz u mnie w sklepie. Nie przewidziałem tylko, że tak się stanie z twoim mężem.

– Nikt tego nie przewidział, nawet on sam.

– A wiesz już coś na temat pogrzebu?

– Niestety nie. Jego rodzice mnie wykończą. Chciałabym mieć to już za sobą, ale to będzie chyba dopiero początek batalii. Po pogrzebie zacznie się atak na majątek pozostawiony przez Pawła.

– Jaki majątek? Przecież mówiłaś, że wszystko przegrał w karty.

– Bo przegrał. Nie wiem, o co chodzi, pewnie o połowę wartości mieszkania, w którym mieszkam.

– Brzmi jak kiepski żart. Stracili syna, a liczą pieniądze.

– Też mnie to zaskoczyło. A właściwie nie – poprawiłam się. – Znając ich, powinnam się tego spodziewać. Ale uważam, że to takie... Hmm... – Nie mogłam znaleźć odpowiedniego słowa. – Takie niesmaczne – powiedziałam wreszcie. Tak, czułam się tym zażenowana. – Gdybym miała gdzie mieszkać, dla świętego spokoju oddałabym im wszystko, ale nie mam się dokąd wyprowadzić.

– Nie żartuj. To mieszkanie należy do ciebie tak samo, jak należało do twojego męża. Kupiliście je wspólnie.

– Ale nie chce mi się o to spierać. Tyle że muszę, nie mam innego wyjścia. Wezmę kredyt i ich spłacę, nie powinnam mieć z tym problemu. A potem na spokojnie poszukam czegoś mniejszego. Nie potrzebuję takiego dużego lokum. W dodatku z tym miejscem wiążą się wspomnienia, a nie chcę, by dręczyły mnie na każdym kroku.

– Rozumiem cię. Ja też podczas rozwodu oddałem żonie prawie wszystko. Nie miałem ani siły, ani ochoty prowadzić sporów, tym bardziej przed sądem. Wystarczy mi to, co mam.

Coraz bardziej mi się podobał.

Następnego dnia obudził mnie dzwonek telefonu.

– Dzień dobry, czy pani Michalina Szawłowska? Mówi młodszy aspirant Andrzej Łukaszyk z Komendy Stołecznej. – Nie dał mi nawet szansy na odpowiedź, tylko meldował jak swojemu przełożonemu: – Komisarz Brodnicki polecił mi poinformować panią, że jutro będzie pani mogła odebrać ciało swojego męża i rozpocząć organizowanie pogrzebu. Ciało przywieziono w nocy ze Szwecji i będzie do odebrania w policyjnej kostnicy. Zapraszamy panią dzisiaj na komendę w celu załatwienia niezbędnych formalności.

Poczułam ulgę. Zmęczyło mnie już to oczekiwanie i ciągła niewiedza.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała? – dopytywała Marcelina.

– Nie, kochanie, poradzę sobie. Zostań w domu albo, jeśli chcesz, jedź na zakupy.

– Zostanę w domu. Nie poradzę sobie bez ciebie na zakupach, nie znam miasta. Zresztą nie lubię łażenia po sklepach.

– Najlepiej nikomu nie otwieraj! – Bałam się, że podczas mojej nieobecności ktoś ją będzie nękał. – Ale na pogrzeb mogłabyś ze mną pojechać. Będzie mi raźniej.

– Pewnie, że pojedę. Będę z tobą – zapewniła mnie żarliwie.

Przed wyjściem na komendę zadzwoniłam jeszcze do teściów, potrzebowali czasu, by wszystko zorganizować, chociaż mówili mi kilka dni temu, że są gotowi, by pogrzeb odbył się jak najszybciej. Czekali tylko na ciało, żeby ustalić ostateczny termin.

– Chcemy być przy odbiorze ciała – poinformował mnie teść. Teściowa od czasu pamiętnej rozmowy w sylwestra nie zamieniła ze mną ani słowa.

– Dobrze, tato, zawiadomię was, o której jutro będzie można to załatwić. Może przyjedziecie do mnie dzisiaj, przenocujecie tu i od rana będzie można już działać.

– Nie, Michalino, dziękujemy. Przyjedziemy bezpośrednio do kostnicy, a stamtąd, po odebraniu zwłok, pojedziemy od razu do domu. Nie będziemy ci robić kłopotu.

– To dla mnie żaden kłopot, ale zróbcie, jak uważacie. Do usłyszenia.

Formalności przeciągnęły się do wczesnego popołudnia. Musiałam podpisać mnóstwo różnych oświadczeń i zobowiązań, a wszędzie trzeba było czekać. Komisarz Brodnicki chciał się ze mną zobaczyć i na niego też musiałam poczekać.

– Pani Michalino, chciałem pani przekazać informację, że pani spostrzeżenie co do pracownika ochrony, pana Kazimierza Baranowskiego, było słuszne. Zebraliśmy o nim informacje i okazało się, że w przeszłości był notowany. Nie wiem, jak udało mu się ukryć ten fakt i podjąć pracę w ochronie. To też zbadamy. W każdym razie tak jak pani przypuszczała, to pan Baranowski wystawił pani męża gangsterom. Do wszystkiego się przyznał. Tłumaczył, że nie spodziewał się takiego zakończenia, zależało mu tylko na pieniądzach, a sporo mu zapłacili. No cóż, może mu się przydadzą w więzieniu.

Nie byłam zaskoczona, ale było mi przykro. Pan Kazio okazywał mi zawsze wiele sympatii, nieraz mi pomógł, przykra była świadomość, że nie robił tego bezinteresownie. A może naprawdę z jakiegoś ważnego powodu dał się skusić pieniądзом i nie pomyślał o skutkach?

– Razem ze szwedzką policją, dzięki zeznaniom pana Kazimierza, jesteśmy na tropie międzynarodowej szajki fałszerzy pieniędzy, której członkiem był pani mąż. Nie wiemy jeszcze, jaką odgrywał w niej rolę. W każdym razie proszę panią o zachowanie szczególnej ostrożności, ponieważ nie wiemy, jaki będzie oddźwięk na aresztowania. Najlepiej, gdyby pani wyjechała na jakiś czas.

Dobre sobie, wyjechała. Ciekawe dokąd. A praca?

Podziękowałam mu za informacje i wyszłam. Od razu zadzwoniłam do teścia.

- Tato, to ja, Michalina. Zwłoki Pawła możemy zabrać jutro między dziewiątą a piętnastą. O której przyjedziecie? Pytam, bo muszę przy tym być.
- Dziękujemy ci, Michalino. W takim razie będziemy o dziesiątej. Zabierzemy Pawła do zakładu pogrzebowego w Kozienicach. Pochówek odbędzie się pojutrze o jedenastej, żeby rodzina i znajomi zdążyli dojechać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?
- Nie, nie mam. Przyjadę z siostrą i przyjaciółką. Do zobaczenia jutro. – Przerwałam połączenie, mimo że ojciec Pawła jeszcze coś mówił.
- Do domu dotarłam głodna i zziębnięta. Mróz ciągle trzymał.
- Co tak ładnie pachnie? – W przedpokoju ogarnął mnie apetyczny zapach, aż poczułam skurcz w żołądku.
- Przyszłaś w samą porę – przywitała mnie zaaferowana Marcelina. – Rozbieraj się szybko, bo już wyjmuję jedzonko z piekarnika!
- Co upichciłaś? Pachnie bosko!
- Domową musakę. Nauczyłam się w domu dziecka.
- Zjem całą! Jestem okropnie głodna!
- Ja też jestem głodna!
- No dobrze, to trochę ci zostawię – droczyłam się z nią.
- Musaka była pyszna, dobrze, że Marcelina ją zrobiła. Nie miałam głowy do gotowania.
- Pojedziesz jutro ze mną? Lepiej bym się czuła.
- Pewnie, że tak. Jutro od razu pogrzeb?
- Nie, jutro tylko rodzice zabiorą ciało, ale ja muszę tam być, bo to mnie wydają zwłoki. Pogrzeb jest pojutrze, w Kozienicach. Paweł stamtąd pochodził i tam mieszkają jego rodzice.
- Pojedziesz z nimi jutro?
- Chyba nie. Nie jestem im do niczego potrzebna. Wszystko już mają załatwione. Pojadę na pogrzeb. Zamówiłam już wieniec.
- Pojadę z tobą jutro i będę z tobą pojutrze. Trzeba się ciepło ubrać.
- Masz rację, okropny mróz. Długo trzyma, już nie pamiętam takiej mroźnej zimy. Dobrze, że jesteś ze mną – dodałam.
- Wieczorem opowiedziałam Waldkowi o dzisiejszym dniu. Był dobrym i cierpliwym słuchaczem.
- Michasiu, może po pogrzebie przyjedziecie do mnie na kilkanaście dni? Mnie będzie różniej, a ty będziesz bezpieczniejsza. No i będę spokojny, że nic ci się nie stanie.
- Waldek, a praca? Przecież ja po pogrzebie muszę wracać do pracy! I tak już przełożyłam powrót o dwa tygodnie.
- Może da się to jakoś załatwić? Sytuacja jest szczególna.
- Nie wiem. Pomyślę i porozmawiam z Wiktorem, ale chyba nie będzie zachwycony. Chyba że zgodzi się, żebym pracowała w domu. – Miałam ochotę spędzić kilka dni z Waldkiem, nawet w towarzystwie Marceliny, ale zastanawiałam się, czy wypada. – Dziękuję ci za zaproszenie, ale czy nie będzie to zbyt dużym kłopotem?
- Daj spokój. Dom jest duży. Nie będziemy sobie przeszkadzać. Tylko jak się zdecydujecie, to daj mi znać wcześniej, żebym włączył ogrzewanie. A teraz połóż się już, jutro i pojutrze czekają cię ciężkie chwile.
- Masz rację, zresztą już późno. Dobranoc.
- Śpij dobrze, Michalino.

Spałam dobrze. Poranek był mroźny i słoneczny. Punktualnie o dziesiątej w towarzystwie Marceliny i Agi stawiałam się w policyjnej kostnicy. Rodzice Pawła już tam byli. Trochę obawiałam się emocji, sama byłam zdenerwowana, ale szczęśliwie obeszło się bez scen. Skupiliśmy się na jak najszybszym załatwieniu ostatnich formalności, a nie na wzajemnym obwinianiu. Matka Pawła zachowała lodowatą wyniosłość. Nawet się ze mną nie przywitała, skinęła mi tylko głową. Nie chciałam jej oceniać, na pewno na swój sposób cierpiała.

O wpół do dwunastej samochód zakładu pogrzebowego był już gotowy do drogi.

– Przyjedź jutro trochę wcześniej – poprosił mnie teść. – Będzie sporo dalszej rodziny, dziwnie by wyglądało, gdyby ciebie nie było.

– Dobrze, tato, przyjadę z samego rana. Postaram się być najpóźniej na dziewiątą. Jedźcie szczęśliwie, do jutra.

– Do jutra, Michalino. Dziękuję ci.

Ze ściśniętym sercem patrzyłam za odjeżdżającym samochodem.

Czy mi się wydawało, czy po drugiej stronie ulicy stało znajome bmw?

* * *

Większości rodziny nie znałam. Stałam obok rodziców Pawła i przyjmowałam kondolencje, ale nie wiedziałam od kogo. Jakieś ciotki, wujkowie, znajomi i ich rodziny. Było mnóstwo ludzi, podchodzili i podchodzili, a ja marzyłam tylko o tym, żeby wreszcie to się skończyło. Zmarłam okropnie, nie czułam nóg. Chciałam wrócić do domu i ukryć się w łóżku. Miałam nadzieję, że będę mogła w samotności popłakać trochę. W końcu wiele nas z Pawłem łączyło przez lata. A tu, nie dość że uroczystości w kościele i na cmentarzu się przeciągnęły, to jeszcze czekała mnie stypa w domu teściów, a następnie odczytanie testamentu Pawła. Okazało się, że ze Szwecji przyjechał przyjaciel Pawła, prawnik, który przygotowywał wszystkie pełnomocnictwa dla mnie i zidentyfikował zwłoki. Mój mąż, chyba przeczuwając, że może stać się coś złego, zdeponował u niego testament i ustanowił jego wykonawcą. Byłam zaskoczona, kiedy tuż przed rozpoczęciem mszy żałobnej podszedł do mnie i do teściów.

– Dzień dobry państwu. Nazywam się Michał Tatarski. Pan Paweł Szawłowski, który był zarówno moim klientem, jak i bardzo dobrym znajomym pozostawił u mnie swój testament, a także ustanowił mnie jego wykonawcą. Jeżeli państwo nie macie nic przeciwko temu, chciałbym odczytać jego ostatnią wolę dzisiaj po pogrzebie lub nieco później, kiedy skończy się okolicznościowe przyjęcie. Szczerze mówiąc, nie chcę tego odkładać, bo najpóźniej jutro muszę wracać do Szwecji. Interesy mnie wzywają. – Patrzył na nas wyczekująco.

– Oczywiście, oczywiście! – Mój teść podjął rozmowę. – Zapraszamy pana po uroczystościach do domu, na obiad. Potem będziemy mogli zająć się interesami.

Zastanawiałam się, jakim to majątkiem, oprócz naszego mieszkania, mógł dysponować mój mąż.

Ale teraz stałam nad grobem Pawła i w przerwach między uściskami obcych rąk rozglądałam się po cmentarzu. Latem musiało tu być bardzo ładnie. Żałobników ubywało, każdy po złożeniu kondolencji jak najszybciej uciekał do ciepłego domu lub do samochodu. Aga i Marcelina, skulone z zimna, czekały niedaleko w alejce. Patrzyłam na nie, jak coś do siebie mówią, i nagle zamarłam. Kilka metrów za nimi zobaczyłam znajomego blondyna z bmw w towarzystwie niezwykle eleganckiego starszego pana z laską. Nasze spojrzenia się spotkały, a wtedy starszy pan uchylił kapelusza i skinął mi głową, po czym odwrócił się i odszedł. Blondyn pomaszerował za nim.

Co to mogło oznaczać? Bałam się nawet pomyśleć.

– Jesteś pewna, że widziałaś wczoraj to bmw? – Aga była podenerwowana. Ja też. Marcelina mil-

czała.

– Wczoraj nie byłam pewna, stał daleko. Ale dzisiaj to chyba nie jest zbieg okoliczności! – Szeptaliśmy w kącie przedpokoju, czujne, żeby nikt z gości nas nie usłyszał.

– Trzeba było zadzwonić do komisarza. Może by ich śledzili?

– Przeszła mi przez głowę taka myśl, ale nie byłam pewna, czy to oni. Zresztą pewnie zanim policjanci by przyjechali, to po tych bandytach nie byłoby już śladu.

– Ale może dzisiaj na pogrzebie pojawiłby się ktoś z policji! – Aga nie ustępowała. Nie poznawałam jej.

– Może się pojawił? Tego nie wiemy.

– Cholera, będziemy wracać po ciemku, żeby tylko nie dopadli nas po drodze.

– Nie panikuj, Aga. – Marcelina uznała za stosowne wtrącić swoje trzy grosze. – Przecież muszą być ostrożni, wiedzą, że policja ma ich na oku.

– Oj, wiedzą, wiedzą! Wszystko się może zdarzyć!

Poniekąd Aga miała rację.

– Nie widać nic ani nikogo podejrzanego. – Marcelina wyjrzała dyskretnie przez okno, odchyłając odrobinę żaluzję.

– Miejmy nadzieję – mruknęłam pod nosem.

Na szczęście przyjęcie trwało krótko, goście zjedli obiad i niezachęceni przez gospodarzy do pozostania choćby chwilę dłużej, szybko się pożegnali. Aga i Marcelina zniknęły w kuchni i zajęły się sprzątaniami.

– Zapraszam do salonu – wreszcie odezwała się teściowa. Miała wyniosłą minę i wysoko zadarty podbródek obrażonej królowej. Udawałam, że tego nie widzę.

– Drodzy państwo – zaczął Michał Tatarski. – Nieżyjący pan Paweł Szawłowski, mój klient, a także przyjaciel na wypadek swojej śmierci zdeponował w mojej kancelarii w Malmö swoją ostatnią wolę, a także ustanowił mnie wykonawcą tegoż testamentu.

Słuchaliśmy tego, co mówił, milcząc. Widocznie mężczyzna przyzwyczajony był do takich scen i zachowań, bo nie zwracając na nas uwagi, wyjął z teczki zapieczętowaną kopertę.

– Proszę sprawdzić pieczęcie. – Posłusznie obejrzelismy kopertę z każdej strony. Pieczęcie nie były naruszone. Na naszych oczach zostały złamane przez prawnika, który wyjął z koperty odręcznie zapisaną kartkę i dwie kolejne koperty.

Spokojnym, niemal monotonnym głosem zaczął odczytywać treść. Po dość długim wstępie wreszcie nastąpiły konkrety.

– Mojej żonie, Michalinie Szawłowskiej, pozostawiam w całości prawo do dowolnego dysponowania naszym wspólnym mieszkaniem, a także wszystkimi ruchomościami znajdującymi się w nim.

Ulga wbiła mnie w krzesło.

– Ponadto pozostawiam jej w całości wszystkie pieniądze zgromadzone na naszym wspólnym rachunku.

No, dużo tego nie było, ale zawsze.

– Moim rodzicom, Alicji i Wiesławowi Szawłowskim, pozostawiam wszystkie pieniądze zgromadzone na moim osobistym rachunku, a także zawartość skrytki depozytowej, do której klucz jest w posiadaniu Michała Tatarskiego.

No nieźle. Mój mąż miał skrytkę, a ja nic o tym nie wiedziałam. Czym mnie jeszcze zaskoczy zza grobu?

– Osobiste pamiątki po mnie zostawiam do dyspozycji moich rodziców – czytał dalej Tatarski.

Moja teściowa zaczęła płakać.

– Żonie i rodzicom zostawiam również listy, w których wszystko wyjaśniam. Listy przekaże pan Michał Tatarski.

Podał nam koperty, które wyjął z zapieczętowanego testamentu.

Pouczył nas jeszcze o przysługujących nam prawach i ciężących na nas obowiązkach, ale słuchałam go jednym uchem. Trzymałam w ręku kopertę z listem Pawła. Słowa z zaświatów? Byłam bardzo ciekawa, co jest w środku, ale chciałam przeczytać to w samotności.

Matka Pawła również wpatrywała się w trzymaną przez siebie kopertę. Skurczyła się jakoś i zmaląła, mina obrażonej królowej gdzieś zniknęła, przez co nabrała bardziej ludzkiego wyglądu. Nawet zrobiło mi się jej żal.

Panującą w pokoju ciszę przerywał szelest papierów przekładanych przez Tatarskiego.

– No cóż – odezwał się teść. – Chyba nie ma co dyskutować z ostatnią wolą zmarłego, prawda, kochanie? – zwrócił się do żony.

Podniosła głowę i, co stwierdziłam z zaskoczeniem, zobaczyłam w jej oczach łzy. Nic nie odpowiedziała, tylko pokiwała głową.

– Nie będę już państwu zabierał więcej czasu. W celu załatwienia reszty formalności związanych ze spadkiem zapraszam do filii mojej kancelarii w Warszawie, która mieści się przy ulicy Niskiej. – Podał nam wizytówki. – Moi pracownicy pomogą państwu w sfinalizowaniu zapisów testamentu. Proszę się tylko wcześniej umówić. Są uprzedzeni i otrzymają ode mnie niezbędne dokumenty i pełnomocnictwa. – Podniósł się i zaczął żegnać. Kiedy poszedł, ja również postanowiłam zakończyć wizytę w domu moich teściów. Aga i Marcelina były już gotowe do drogi, siedziały w jadalni i czekały na mój znak.

– Dziękuję wam za wszystko. – Nie wiedziałam, co mogłabym im powiedzieć. Słabo się znaliśmy mimo powinowactwa. Nie miałam zamiaru utrzymywać z nimi bliskiego kontaktu. – Życzę wszystkiego dobrego.

Nie zatrzymywali mnie. Pewnie chcieli zostać sami. Nie zdziwiło mnie to. Nie lubili mnie, ale to nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Stracili jedyne dziecko i potrzebowali czasu na zaakceptowanie tej sytuacji, o ile w ogóle było to możliwe. Pożegnaliśmy się bez żalu.

W drodze powrotnej milczałam. Siedziałam z tyłu pogrążona w myślach. Czułam wyczerpanie psychiczne i fizyczne. Nie sądziłam, że odczytanie testamentu tak mną wstrząśnie. Uświadomiło mi, że oto znowu zamknęłam pewien etap w moim życiu. Ciekawa też byłam, co znajduje się w liście Pawła, ale tę lekturę zostawiłam sobie na później. Potrzebowałam do tego znajomej domowej samotności.

Aga jechała powoli. Mróz był tęgi, aż powietrze zgęstniało i skrzyło się w świetle reflektorów. Przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy przed stypą, i obróciłam się, by sprawdzić drogę. Była pusta, nikt nas nie śledził. To zaczyna zakrawać na manię prześladowczą, skarciłam siebie w myślach.

– Wejdiesz na górę, żeby się rozgrzać?

Aga pokręciła przecząco głową.

– Późno już. Wszystkie jesteśmy zmęczone, a na mnie czekają moje chłopaki. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Dzięki, Agnieszka. – Ucałowałam ją serdecznie. – Wielkie dzięki za wszystko!

– O! Agnieszka! Jak oficjalnie! – Śmiała się wzruszona. Rzeczywiście, rzadko zwracałam się do niej pełnym imieniem.

Pożegnałyśmy się pod blokiem.

– Pójdę dzisiaj spać do gabinetu. – Marcelina przytuliła się do mnie. – Czuję, że chcesz pobyć trochę sama. Dobranoc.

– Dobranoc!

Dobrze, że się domyśliła.

Poczekalam, az zwolni lazienke, i zrobilam sobie dluga, ciepla kapiel. Zanurzylam sie w wannie az poszyje i zamknelam oczy. Cieplo i cisza w domu dzialaly na mnie kojaco.

Musialam sie zdrzemnac, bo obudzil mnie chlod wody i znajomy delikatny zapach migdalow. Dochodzila polnoc.

Pozylam sie do lozka z listem od Pawla. Balam sie otworzyc koperte. Nie wiem czego dokladnie, ale sie balam. Obracalam zamkniety list w drzacych dloniach i przygladalam sie znajomemu zamaszystemu pismu Pawla. Wreszcie zdecydowalam sie otworzyc. Z koperty wypadly drobno zapisane kartki.

Michasiu, kochana moja, tak, pisze „kochana”, bo mimo ze sie rozstalismy, jestes jedyna kobieta, ktora kochalem w calym swoim zyciu. W moich uczuciach nic sie nie zmienilo.

A skoro czytasz ten list, to znaczy, ze nie ma mnie juz wzrod zywych. Dopadli mnie, nie udalo mi sie uciec od bagna, w ktore wdepnalem kilka lat temu. Dzis nie potrafię racjonalnie stwierdzic, dlaczego tak sie stalo. Chyba rozzuchwalony sukcesem stracilem zdolnosc oceny sytuacji i konsekwencji czynow, ktore zdecydowalem sie popelnic dla pustej zachcianki i snobizmu. Wydawalo mi sie, ze moge manipulowac losami innych ludzi, a nie spostrzeglem, ze to moim losem ktos manipuluje, ze jestem narzedziem w rekach ludzi bezwzglydnych i okrutnych. Myslam, ze jestem jednym z nich, ze mam wladze, w rzeczywistosci bylem tylko marionetka.

Wiedzialam, o czym pisze. Pamietalam, kiedy to sie stalo. Rzeczywiscie, kilka lat temu Pawel porzucil stanowisko i prace w banku i otworzyl wlasna firme zajmujaca sie posrednictwem finansowym. Bylam temu przeciwna, nawet dosc ostro sie o to klócilismy. Pawel nie sluchal zadnych argumentow, byl podniecony perspektywa wielkich zyskow, twierdzil, ze z latwoscia sobie poradzi, a moj strach przed nowymi wyzwaniem go ogranicza. Skapitulowalam wtedy i wiecej nie dyskutowalam, zwlaszcza ze, jak mi sie wydawalo, firma odniosla sukces. Pawel tez sprawial wrazenie zadowolonego. Za jaka cene, pokazywaly slowa listu. To byla swoista spowiedz, rozliczenie zycia, ktore wlasnie sie skonczylo. Pawel mial tego swiadomosc.

Teraz, kiedy juz znasz prawde, chcialbym Cię ostrzec – badz bardzo ostrozna. Jezli mozesz, zniknij im z oczu. Wprawdzie zwrócilem dlug w calosci, ale moga chciec zemsty. Tak dla sportu. To ludzie bez sumienia. Bardzo zaluje, ze postawilem Cię w takiej sytuacji, ale w pewnym momencie sprawy calkowicie wymknely mi sie spod kontroli. Dlatego bez szemrania wyprowadzilem sie, kiedy o to poprosilas. Nie chcialem Cię dluzej narazac. I dlatego tez nie kontaktowalem sie z Tobq. Dzis moge cię tylko prosic o wybaczenie. Zabraklo mi pokory.

To prawda, Pawel. Zabraklo ci pokory. A mnie sily, zeby cię wesprzec i stac przy tobie do konca. Gdybym tylko znala prawde... No wlasnie. Czy gdybym znala prawde, postapilabym inaczej?

Wrocilam do listu.

Michasiu, mam nadzieje, ze ulozysz sobie zycie i bedziesz szczesliwa. Zaslugujesz na to. Zyczę Ci jak najlepiej. Będe za Tobq tęsknil z tamtej strony (mam nadzieje, ze jest jakaś tamta strona).

Na kartke papieru skapnela pierwsza lza. Potem druga i nastepne. Plakalam.

Przelałem na nasz wspólny rachunek trochę pieniędzy. Są Twoje. Na pewno Ci się przydadzą.

Nie zaglądałam na nasz wspólny rachunek od dłuższego czasu. Z tego, co pisał Paweł, pieniądze powinny już tam być. Wstałam po laptopa, szybko weszłam na stronę banku i zalogowałam się na nasze konto. Oniemiałam. To ma być TROCHE pieniądze? Dla mnie to bająńska suma! Jakimi sumami musiał obracać Paweł, skoro dla niego to drobiazg? W coś ty wdepnął? Naprawdę lepiej, że nie wiedziałam!

Zszokowana, opadłam na poduszki. Po chwili wróciłam do listu.

Zanim sprzedasz mieszkanie, poszukaj w garderobie ruchomej płytki w podłodze. Jest pod skrzynią na zapasową pościel. Jakiś czas temu zrobiłem tam skrytkę, tak na wszelki wypadek. Znajdziesz tam trochę waluty i kilka sztabek złota. Nie jest tego dużo, ale zawsze. Miało być na czarną godzinę. Trochę zabrałem, kiedy ostatnio u Ciebie nocowałem, ale sporo zostało. Wszystko jest Twoje, nie musisz dzielić się z moimi rodzicami. Ich też zabezpieczyłem.

Bywaj zdrowa, Michasiu, moja kochana. Jeśli kiedyś o mnie pomyślisz, nie myśl źle.

Paweł

Zapłakana, potykając się, poszłam do garderoby. Miałam nadzieję, że nie obudziłam Marceliny. Chciałam być sama.

Bez trudu odsunęłam skrzynię. Na pierwszy rzut oka wszystkie płytki wyglądały jednakowo. Kiedy on to zrobił, że się nie zorientowałam? Uklękałam i zaczęłam obmacywać każdą płytkę po kolei. Żadna ani drgnęła. Przyjrzałam im się. Przy jednej z nich brakowało nieco fugi. Spróbowałam podważyć palcem, na próżno. Przyniosłam z kuchni nóż do trybowania kości, ale był za gruby, nie pasował do szpary. Wróciłam więc po inny nóż. Po kilku próbach udało mi się wreszcie podważyć i podnieść płytkę. Moim oczom ukazała się sporych rozmiarów skrytka, a w niej tkwiło idealnie dopasowane drewniane pudełko z uchwytem. Wyciągnęłam je i otworzyłam. W środku starannie ułożono dziesięć stugramowych sztabek złota, a obok plik banknotów pięćdziesięciofuntowych. Szybko policzyłam – sto siedemdziesiąt tysięcy funtów. Zrobiło mi się duszno z wrażenia.

Schowałam wszystko do pudełka i do skrytki, a następnie przysunęłam skrzynię na miejsce.

Wiedziałam, że już dziś nie zasnę. Zrobiłam sobie herbatę i usiadłam w kuchni. Włączyłam komputer.

Czekała na mnie wiadomość od Waldka.

Michasiu, cały dzień o Tobie myślę, zastanawiam się, jak mija ten trudny dla Ciebie dzień. Chciałbym być z Tobą i Cię wspierać. Wiem, że nie mogę, że nie ma tam dla mnie dzisiaj miejsca. Ale wiedz, że myślami jestem z Tobą.

Lubię o Tobie myśleć. Często to robię. Zastanawiam się wtedy, o czym myślisz, czym się akurat zajmujesz. Przypominam sobie Twój śliczny uśmiech i ciepło Twoich oczu. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Dzisiaj nie porozmawiamy, dlatego piszę. Stęskniłem się za Tobą, ale grzecznie czekam, aż Ty się odezwiesz, bo nie wiem, kiedy będziesz gotowa, a ja nie chciałbym się narzucać.

Waldek

Zrobiło mi się ciepło na sercu. Fajnie mieć takiego przyjaciela. Podobał mi się i bardzo go lubiłam. Nawet więcej niż lubiłam. Byłam w nim zadurzona. A może już zakochana?

Dopiłam herbatę i zajrzałam do Marceliny. Spała zwinięta w kłębek, kołdra leżała na podłodze. Podniosłam ją i otuliłam tę moją niespodziewaną siostrę. Przyglądałam się jej przez chwilę i nagle zapragnęłam poczuć jej ciepło. Cicho wsunęłam się pod kołdrę i przytuliłam do jej pleców. Zamruczała coś sen-

nie i spała dalej. Po chwili ogarnięta spokojnym ciepłem Marceliny zasnęłam.

* * *

Następnego dnia była sobota. Obudziłyśmy się grubo po dziewiątej.

– Ooo! – zawołała Marcelina. – Spałaś ze mną? Nawet nie wiem, kiedy przyszałaś.

– Tak mi się za tobą zatęskniło, więc przyszałam.

– Głodna jestem – oznajmiła. Ciągle była głodna. Zaokrągliła się ostatnio i nie przypominała już zabiedzonego kociaka.

– Mam propozycję. Nie do odrzucenia!

– No? Jaka? – Jej oczy błyszczały z trudem powściąganą ciekawością.

– Zjemy śniadanie i pojedziemy na wycieczkę.

– W taki mróz? A dokąd?

– A co tam mróz. Ubierzemy się ciepło. Pojedziemy do Waldka i przy okazji zajrzemy do naszego domu. Co ty na to?

Zapisała z radości.

– Wiedziałaś, że się stęskniłaś.

– Trochę tak. Nie gniewaj się. Dobrze mi u ciebie.

– Nie gniewam się. Wiem. Ale jesteś trochę jak uwięziona. A ty potrzebujesz przestrzeni, mój wolny ptaszku.

– No to wstajemy! Już! – Wyskoczyła z łóżka. – Pierwsza do łazienki! – pognała, tupiąc bosymi stopami.

Uwinełyśmy się szybko jak nigdy dotąd. Do tej pory celebrowałyśmy śniadanka, ciesząc się swoim towarzystwem. Dzisiaj szast-prast i było po śniadaniu. Nawet posprzątałyśmy kuchnię.

– Spakuj rzeczy na noc. Waldek chyba nie będzie miał nic przeciwko, wciąż nas zaprasza. Może nawet zostaniemy kilka dni.

– Kilka dni? – zdziwiła się. – Nie wracasz do pracy?

– Na razie nie. Postanowiłam wziąć bezpłatny urlop na kilka miesięcy, a potem pomyślę. Paweł zostawił mi sporo pieniędzy.

– Naprawdę?

– Tak. Mam pewien pomysł, ale na razie zachowam go dla siebie. Muszę wszystko dobrze przemyśleć.

Patrzyła na mnie zaintrygowana.

– Nie gap się tak. Pakuj plecak! – Sama wpychałam do torby piżamę i bieliznę, do kosmetyczki wrzuciłam podstawowe kosmetyki. Jeszcze ręcznik i sweter. – Jestem gotowa! – krzyknęłam do Marceliny.

– Ja też! – Stała przede mną ubrana do wyjścia.

– No to w drogę!

Cieszyłam się jak dziecko. Co tu dużo gadać, tęskniłam za Waldkiem i nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę. Perspektywa kilku dni spędzonych w jego towarzystwie uskrzydlała mnie, ale nie zapomniałam rozejrzeć się za znajomym bmw, kiedy wyjechałam z garażu. Na szczęście nikogo nie zauważyłam.

Jechałam ostrożnie, bo było ślisko. W nocy trochę popadało, a mróz ciągle trzymał. Było dwanaście stopni na minusie. Słońce ostro świeciło, więc wyjęłam ze schowka okulary przeciwsłoneczne. Usłyszałam sygnał SMS-a.

– Zobacz, co to.

– Mam przeczytać? – zdziwiła się Marcelina.

– No dobra, zobacz od kogo, zanim przeczytasz.

Posłuchała.

– Jakiś Wiktor.

– Czytaj.

Wzruszyła ramionami i zaczęła czytać.

– Kochani, dziś w nocy zostałem tatą Zuzi. Obie panie, mama i córka, czują się dobrze. Wiktor.

– Ooo! Cudownie! – ucieszyłam się.

– Kto to jest Wiktor?

– To mój szef.

– To aż tak się cieszysz?

– Tak. Lubię Wiktora i Natalię. Mała miała się urodzić z jakąś wadą genetyczną, ale Wiktor pisze, że czuje się dobrze. Mam nadzieję, że jest zdrowa.

– Wygląda, że pisze do wielu osób, może nie wszystkich chciał o tym informować.

– Może. Jak dojedziemy, napiszę do niego. Może Aga wie coś więcej. Dłużej się znają i przyjaźnią.

To była dobra wiadomość, ucieszyłam się. Jeszcze większą radość poczułam, kiedy w Modlinie odbiłam z drogi ekspresowej w kierunku Płocka. No, tutaj drogi wyglądały trochę gorzej, były nieodśnieżone i śliskie. Zwolniłam.

Droga do Wyszogrodu zajęła nam dwa razy więcej czasu niż zwykle, ale dojechałyśmy szczęśliwie. Zaparkowałam niedaleko sklepu Waldka.

– Ciekawe, czy jeszcze otwarte – zastanawiała się Marcelina.

– Mówił, że w soboty zwykle ma czynne do piętnastej.

– Ciekawe po co, tu i tak nikt nic nie kupuje. W każdym razie rzadko.

– Zobaczymy. Wyskakuj.

Było otwarte. Z bijącym sercem weszłam za Marceliną do środka. Waldek był na zapleczu. Stanęłyśmy cicho przy ladzie.

– Już idę! – krzyknął i po chwili pojawił się w drzwiach. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona.

– No proszę! Co za niespodzianka! Moje dziewczyny kochane! – Wpuścił nas za ladę i witał wylewnie, ściskając i całując raz jedną, raz drugą. – Ale się cieszę! Nawet nie macie pojęcia! Zostajecie na noc, nie przyjmuję odmowy.

Popatrzyłyśmy na siebie i parsknęłyśmy śmiechem.

– Szczerze mówiąc, przyjechałyśmy z takim zamiarem – oznajmiłam. – Jesteśmy przygotowane.

– No to rewelacja! Tak się cieszę!

Powtarzał wciąż, że się cieszy, i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Ale jeszcze muszę zostać w sklepie. Umówiłem się z dostawcą na zamknięcie, a to jeszcze godzina. Zrobię wam herbatki i poczekacie ze mną. Albo dam wam klucze i pojedziecie do mnie do domu.

– Nie, to raczej poczekamy tutaj.

Marcelina gorliwie mi przytakiwała.

– Albo przez ten czas skoczmy na chwilę do Szamocin, bo z dostawcą też ci pewnie trochę zejdzie – zaproponowała nagle. – Co ty na to, Michasia?

– Sama nie wiem. – Miałam ochotę zostać, ale na razie oboje z Waldkiem byliśmy nieco skrepowani. Może rzeczywiście trzeba dać mu czas, żeby ochłonał.

– Chodź, zajrzemy tylko, czy wszystko w porządku, i wrócimy po Waldka. Półtorej godziny w zupełności nam wystarczy.

– To weźcie mój samochód. Swoim możecie nie dojechać, tam wszędzie pełno śniegu. – Waldek dał mi kluczyki i dokumenty do swojej terenówki. – Nie musicie się śpieszyć, będę tu na was czekał.

Rzeczywiście, swoją toyotą chyba bym nie dojechała, szczególnie już we wsi. W lesie było jako tako, ale jak już skręcałam na drogę do Szamocin, to zakoleisałam się w wyslizganych koleinach. Tu trzeba mieć samochód z wysokim zawieszeniem. Nie, swoim na pewno nie dałabym rady.

Nadciągał wieczór. Na drodze za niebieskim domem nie było żadnych śladów, śnieg był dziewiczy, gdzieś tylko poprzecinany śladami ptasich łapek.

– Chyba musimy iść na piechotę, za wysoki śnieg. – Zatrzymałam samochód jak najbliżej prawej krawędzi drogi. Marcelina już wyskoczyła i pognęła śmiesznymi skokami do bramy. Niczemu się nie dziwiłam, przyjechała do domu.

– Chyba nikogo tu nie było od naszego wyjazdu.

– Chyba tak.

Marcelina już otwierała drzwi pawilonu. Poszłam za nią. Stałam w progu i patrzyłam, jak rozgląda się po pomieszczeniu, jak dotyka pozostawionych na stole rzeczy.

– Ale tu zimno – powiedziała nagle. – Jak ja tu mogłam wytrzymać?

– Naprawdę nie wiem. Ja bym zamarzła.

– Ale latem było tu całkiem dobrze. Chciałabym wrócić. Nie mogę przecież ciągle siedzieć ci na karku.

– Nie siedzisz mi na karku i nie przeszkadzasz.

– Ale jestem na twoim utrzymaniu i źle mi z tym.

Rozumiałam ją.

– Zupełnie niepotrzebnie. Umawialiśmy się, że coś z tym zrobimy, ale przeszkodziły nam okoliczności. Wrócimy do tego tematu, chociaż wpadł mi do głowy inny pomysł.

– Znowu? A jaki? Powiedz mi, proszę! – Już się do mnie przymilała.

– Może powiem. – Śmiałam się z niej. – Na razie zajrzemy do domu, póki w miarę jasno, bo znowu nie wzięłam latarki.

Ale i tak było za ciemno, żeby dokładnie obejrzeć dom. Czuć w nim było wilgoć i pachniało stęchliną. Mimo to weszliśmy do środka.

– Nigdy tu nie byłam – szepnęła Marcelina przyklejona do moich pleców. – Co jest na górze?

– Trzy pokoje i łazienka. Ale chyba po ciemku nie będziemy tam wchodzić, bo nie wiem, w jakim stanie są schody. Przyjedziemy tu jutro w dzień. Albo w poniedziałek, jeśli zostaniemy. Zobaczmy, co da się z tym zrobić.

– Chcesz coś z tym zrobić? A co? – dopytywała ciekawie.

– Jeszcze nie wiem, panno ciekawska.

– Czy to jest ten pomysł, o którym mówiłaś?

– Wszystko ze mnie wyciągniesz, ty mały wścibasio! – Naciągnęłam jej czapkę na oczy. – Tak, to jest ten pomysł. Tylko na razie nikomu nic nie mów. Muszę to dokładnie przemyśleć.

– Znaczą coś? No mów!

– Pomyślałam, żeby wyremontować ten dom i przenieść się tutaj.

– To by było cudnie! Ale za co? A praca? – pytała gorączkowo.

– Paweł zostawił mi sporo pieniędzy. Ale muszę wszystko przekalkulować. Można na razie wyremontować na lato, chociaż wolałabym od razu całość, za jednym zamachem i bałaganem. A praca? Może mogłabym brać zlecenia i robić je w domu? Muszę porozmawiać z Wiktorem, ale nie w tej chwili, nie chcę go absorbować, jest pochłonięty nową rolą życiową. Niech się cieszy. – Szczerze mówiąc, trochę mu zazdrościłam. Gdzieś we mnie głęboko piknął instynkt macierzyński. – Chodź, wracamy, bo Waldek się nas nie doczeka.

– Michasia, oj, jak by było cudnie! Jak cudnie! – Marcelina popiskiwała i podskakiwała jak mała

dziewczynka.

– Chciałabyś wrócić?

– Chciałabym, ale już nie w takie warunki jak dotąd. Trochę duszno mi w mieście. Może dlatego, że nie mam zajęcia?

– Dlaczego nie malujesz?

– A, jakoś brakuje mi pomysłów. Ostatnie wydarzenia całkowicie pochłonęły mój umysł. Martwiłam się o ciebie.

– Moja kochana! – Posłałam jej buziaka. – Teraz już będzie spokojniej, mam nadzieję. – Nie chciałam jej straszyć tym, co napisał Paweł. Postanowiłam, że po powrocie do Warszawy pomyślę o sprzedaży mieszkania. Wyjazd tutaj byłby idealnym rozwiązaniem. Przynajmniej dopóty, dopóki nie ucichnie sprawa Pawła. A na to potrzeba czasu. Liczyłam na to, że bandziory dadzą mi spokój, ale pewności nie miałam.

Waldek akurat pożegnał swojego dostawcę i był gotowy do zamknięcia sklepu. Przesiadłam się do swojego samochodu i pojechałam za nim. Rzeczywiście mieszkał blisko, kilka przecznic dalej. Na szczęście można było wjechać samochodem na podwórko. Dom był dość okazały, piętrowy, co mnie ucieszyło, bo to oznaczało, że nie robimy Waldkowi aż tak wielkiego kłopotu i będzie gdzie spać.

– Rozbierajcie się, zaraz zaprowadzę was do waszego pokoju.

Wziął nasze torby i zaniósł na piętro. Poszliśmy za nim. Pokój, do którego nas zaprowadził, był duży, ale przytulny, urządony prosto, trochę staroświecko, ale mimo to funkcjonalnie.

– Po lewej macie łazienkę tylko dla siebie, ja śpię na dole. – W duchu podskoczyłam z radości. – A teraz rozgośćcie się i zapraszam do kuchni, zrobię coś do jedzenia. Na obiad trzeba będzie poczekać.

– A co będzie na obiad? – Marcelina nie zareagowała na moje szturchnięcie.

– Kaczuszka pieczona z jabłkami. Nie myślcie, że jestem zarozumiała, ale kaczkę robię pyszną.

– Nie wątpię – mruknęłam. Poczułam, że jestem bardzo głodna. – Ale kaczka to chyba będzie na kolację, zanim się upiecze.

– Może tak być. Ale nie dam wam umrzeć z głodu. Mam barszcz ukraiński, zaraz odgrzeję.

– Matkooo, jak ja dawno nie jadłam barszczu ukraińskiego! – Marcelina aż przymknęła oczy. – Już nie mogę się doczekać!

– No to uciekam do kuchni i czekam na was! – Waldek puścił do niej oko i poszedł.

– Gdzie on się uchowal? Toż to skarb, a nie chłop! – Nie mogłam wyjść z podziwu.

– Czekał na ciebie!

Moja siostra wyciągnęła się na łóżku. Rzuciłam w nią poduszką.

– Ty nie bądź taka mądra!

– Bo co? A ty nie bądź taka ślepa. Wpatrzony w ciebie jak sroka w gnat. A ty nic tylko rżęsami trzepoczesz, aż robisz przeciągi.

– No wiesz! – Wzięłam się pod boki. – Jesteś bezczelna!

– Pewnie, że jestem! – Śmiała mi się w twarz. – Kochana siostró, ty nie trać czasu!

Zaniemówiłam, ale nie byłam zła na tę małą diabolicę, przemądrzalucha jednego.

– Naprawdę tak myślisz?

Usiadłam obok niej.

– Naprawdę. Przecież ci się podoba. To o co ci chodzi?

– Sama nie wiem. Głupio tak. Dopiero męża pochowałam.

– No niby tak. Ale wiadomo, jak było. Nie zastanawiaj się. A poza tym przyjechałaś do niego!

Miała rację.

– Chodźmy na dół. Głodna jestem.

– Ja też. Mam wielką ochotę na tę zupę. Uwielbiam barszcz ukraiński.

W kuchni Waldek krzątał się jak najlepsza gospodyni – nalewał barszcz, a kaczką zaczynała skwierczeć w piekarniku. Zwabiony zapachami tuż za nami pojawił się rudy kot. Radośnie podbiegł do Waldka i miaucząc, ocierał się o jego nogi.

– No dzień dobry, Panie Bronku, wyspany?

Parsknęłam śmiechem, a Waldek wziął zwierzątko na ręce i głaszcząc, posadził na moich kolanach.

– Przedstawiam ci Michalinę. Michalino, oto Pan Bronek. Z Marceliną już się znacie, więc prezentacji nie będzie.

Śmiałam się i głaskałam rudzielca, który rozanielony mruczał i dopraszał się pieśczot.

– Pan Bronek pewnie głodny, przybiegł na obiadek. – Przytuliłam rude futerko.

– Ooo! Na pewno! To okropny łakomczuch. I łasy na pieśczoty, to kot nie do zagłaskania. I terrorysta, miziania nie odda bez walki. No, chyba że za miskę strawy. – Waldek, mówiąc to, postawił kotu miskę z jedzeniem z puszki. Pan Bronek na widok obiadu bez skrupułów porzucił moje kolana.

– Dlaczego nazwałś kota Panem Bronkiem?

– Odziedziczyłem go z imieniem. To pomysł mojego ojca, taki żart. Mówił, że jest rudy zupełnie jak jego znajomy, pan Bronisław. I tak zostało. Pan Bronek już nie jest młodzieńcem, a przeszłość ma burzliwą i waleczną. Jedzcie, dziewczyny, bo zupa stygnie.

Na obiad była już najwyższa pora, byliśmy głodne. Od śniadania minęło wiele godzin, a podróż i świeże powietrze zaostrzyły apetyt. Barszcz był pyszny, już zapomniałam, że zwykła zupa może tak smakować. W oczekiwaniu na kaczkę Waldek pokazał mi dom. Marcelina bywała tu już wcześniej, więc wołała zostać w kuchni i bawić się z Panem Bronkiem. Podejrzewałam, że zrobiła to celowo, żebyśmy mogli być sami.

Obeszliśmy parter, pokazał mi salon z kominkiem i gabinet, który jednocześnie był chyba biblioteką, tyle tam stało książek.

– Mój pokój pokażę ci na samym końcu – powiedział, prowadząc mnie po schodach na piętro.

Nie wiem, czy sobie wmówiłam, czy rzeczywiście tak było, dość, że Waldek wydawał się niezwykle onieśmielony. Jak nie on. Szarmancko mi nadskakiwał, aż zaczęło mnie to krępować.

– Waldek!

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Waldek, bądź sobą!

– A nie jestem? – Jego twarz pokrył rumieniec.

– Nie jesteś.

– To dlatego, że tak bardzo się cieszę z twojej obecności. Z waszej obecności – poprawił.

Parsknęłam śmiechem.

– Ale ja nie jestem królową brytyjską! – Podniosłam Pana Bronka, który przybiegł za nami i łasił się do mnie.

– Polubił cię! – Waldek podrapał kota za uchem.

– Ja jego też. – Przytuliłam ciepłe futrzane ciało. – Chodźmy dalej. – Wyciągnęłam rękę, a Waldek bez wahania ją ujął.

– Tutaj jest pokój dla mojego syna, ale rzadko i niechętnie tu przyjeżdża.

Rzeczywiście, pomieszczenie sprawiało wrażenie nieużywanego.

– Nie interesuje go wieś i nie chce tu spędzać wakacji. Nie zmuszam go. Należy do pokolenia MP4, nie potrafi żyć bez gier komputerowych, iPhona, głośnej muzyki i wszystkich tych gadżetów, którymi interesuje się i szpanuje młodzież. Ale chcę, żeby wiedział, że jest tu dla niego miejsce i w każdej chwili może przyjechać, jeśli tylko zmieni zdanie. – W głosie Waldka słychać było nutkę żalu.

Podziwiałam go za opanowanie i poświęcenie swoich oczekiwań na rzecz zachcianek syna. Mimo

wszystko uważałam, że mógłby powalczyć o chłopca, ale nie powiedziałam tego. Nie chciałam się wymądrzać.

– Ten ostatni pokój należał do mojej mamy. Nic tam nie zmieniłem.

Zobaczyłam surowy, skromnie umeblowany pokój, podobny do pokoju mojej babci. Na stoliku, obok łóżka ciągle leżała książka. Rozumiałam Waldka. Po śmierci mojej babci też przez wiele miesięcy nie chciałam ruszyć jej rzeczy. Wydawało mi się, że w ten sposób ona ze mną wciąż jest. Widocznie Waldek odczuwał samotność tak samo jak ja wtedy. Teraz też zamilkł i widziałam, jak ukradkiem dotyka, a właściwie głaszcze rzeczy w tym pokoju.

– Chodźmy na dół, do Marceliny – zaproponowałam. – Napijmy się kawy, jeśli kaczką jeszcze niegotowa.

– No, jeszcze trochę czasu jej potrzeba. – Spojrzał na zegarek. – Ale chodźmy. Zrobię kawę, a potem zajmę się surówką.

Zagarnął mnie ramieniem i objęci zeszliśmy na parter. Nie protestowałam.

Marcelina w kuchni przeglądała jakąś gazetę. Byстрыm wzrokiem spojrzała na nas i kiedy Waldek nie widział, puściła do mnie oko. I jak? – zdawała się pytać. Uśmiechnęłam się chytrze, czym pewnie podsycałam jej ciekawość.

– Wieczorem rozpalimy w kominku – oznajmił Waldek. – Będzie trochę cieplej. Pan Broniek bardzo lubi wylegiwać się przed paleniskiem.

Kot odwrócił głowę, usłyszawszy swoje imię, ale pozostał na moich kolanach.

– Marcelina, pomożesz mi?

– Pewnie, chętnie. – Musiała tu często bywać, bo wiedziała, gdzie znajdują się kubki i kawa. Znowu poczułam dźgnięcie zazdrości.

Z uwagą śledziłam ich krzątanie. Nieźle jej szło. Pan Broniek przysnął i przez sen zaczął głośno mruczeć.

– No proszę, jak mu dobrze. – Zaśmiała się Marcelina. – Mały zdrajca. Kiedyś nie schodził z moich kolan, wystarczyło, że pojawiły się nowe i już tam siedzi.

Kot uchylił jedno oko, łypnął na nią i znowu pogrzyzył się w drzemce.

Było mi dobrze. Tak domowo i ciepło. Słońce chyliło się ku zachodowi, trzymał mróz, a tu było tak swojsko i przyjaźnie. Czulałam, jak schodzi ze mnie napięcie ostatnich tygodni.

Marcelina postawiła przede mną wielki kubaś kawy.

– Brakuje tylko ciasta – zawiesiła głos.

– Ciasta nie ma. Ale są jeszcze kruche ciasteczka. – Z kredensu wyjechał półmisek z ciastkami. – Ale bez obżarstwa, bo kto zje kaczkę?

Pachniała już w całym domu. Zajrzałam przez szybę do piekarnika. Wyglądała obłędnie, skórka przyrumieniona, lśniaca, aż poczułam napływającą do ust ślinę. Ciekawa byłam smaku. W zasadzie nie przepadałam za kaczką, była dla mnie za tłusta, ale teraz miałam na nią ochotę.

Nie rozczarowałam się.

– Będę ci mówić mistrzu – powiedziałam, oblizując palce. Z żalem patrzyłam na obgryzione kosteczki. Z łakomstwa zjadłabym jeszcze.

– Dopilnuję tego. – Nareszcie powrócił Waldek, którego znałam, dowcipny, wyluzowany, ciepły. – Cieszę się, że smakowało. – Uśmiechał się radośnie. I znowu te zmarszczki wokół oczu... Poczułam dreszcz na plecach i rumieniec wypływający na twarz.

– To ja pozmywam. – Zdjęłam z kolan śpiącego jak kamień Pana Bronka i podałam go Marcelinie.

– Daj spokój! – zaprotestował, tak jak się spodziewałam. – Jesteś gościem. Ja pozmywam.

– Nie ma mowy. Ty u mnie też byłeś gościem, a nie tylko zmywałeś, ale i gotowałeś. Ja dzisiaj niczego

nie tknęłam. Ani słowa! – Uprzedziłam jego argumenty. – Wy przez ten czas rozpalcie w kominku. Marcelina, zabierz Waldka.

– Zdażymy z tym kominkiem. Wolę popatrzeć, jak zmywasz – droczył się Waldek.

– A patrz do woli. – Zakasałam rękawy i przystąpiłam do dzieła. Lubiłam to robić, czym budziłam wielkie zdziwienie wśród znajomych. Cieszyła mnie malejąca góra brudnych naczyń, przynajmniej widziałam szybki efekt swojej pracy. Teraz też poszło mi całkiem sprawnie. Uporałam się z talerzami i brytfanną, umyłam zlew i powycierałam blaty.

– Możemy iść do salonu. Ale najpierw herbatka. Kto chce, ręka do góry!

Ujrzałam las czterech rąk, bo oboje podnieśli obie ręce.

– Bez przepychanek! Dla każdego wystarczy!

W rezultacie zrobiliśmy tę herbatę razem i każdy ze swoim kubkiem zasiadł na kanapie, w salonie. To znaczy Marcelina z Panem Bronkiem utonęła w fotelu, ja i Waldek rozgościliśmy się na kanapie. Bardzo blisko siebie.

– To teraz opowiedz mi o ostatnich dniach. Jeśli, oczywiście, nie jest to dla ciebie zbyt bolesne.

Nie było. Nie wstydziłam się opowiedzieć temu wyjątkowemu mężczyźnie o swoim rozczarowaniu, bólu, rozterkach i sama nie zauważyłam, kiedy podzieliłam się z nim również strachem przed bandziorami i pomyślałam na wyremontowanie domu po babci za pieniądze pozostawione przez Pawła. Zobaczyłam, jak zabłyśły mu oczy.

– Michalina, to genialny pomysł! – Zapalił się.

– Spokojnie, to dopiero pomysł! – Śmiałam się, zadowolona z jego entuzjazmu.

– Ale jaki! Planujesz mieszkać w nim tylko latem czy cały rok?

– Jeszcze nie wiem, ale myślę, że szkoda robić coś połowicznie. Jak już remontować, to całość. Jeśli zmienię zdanie, to nie będę zaczynać od nowa. Poza tym Marcelina woli mieszkać tutaj. Miasto ją przytłacza. – Marcelina gorliwie mi przytakiwała. – Więc dom musi być całoroczny. Musimy tam wszystko obejrzeć, to potem pomyślimy, co zrobić. Zajrzałyśmy tam, ale było za ciemno, więc znowu widziałyśmy niewiele.

– Możemy pojechać tam jutro po śniadaniu. Spokojnie wszystko obejrzycie. Mogę ci polecić ekipę remontową, są solidni, naprawdę, remontowali ten dom kilka lat temu. Właściciel robi też aranżacje wnętrz, jest po architekturze. Może zaprojektować wszystko od podstaw albo ograniczyć się tylko do doradzania. I można mu zaufać, wszystkiego dopilnuje, nie trzeba być na miejscu.

– Ooo! Super! – Ucieszyłam się. – Na pewno skorzystam, bo i skąd miałabym wziąć fachowców? To miejscowi?

– Z Płocka. Znacząca firma jest z Płocka. A pracownicy to nie wiem, pewnie z okolic. Właściciel jest moim kolegą z liceum.

– A pawilon? Co myślałaś zrobić z pawilonem? – spytała zaniepokojona Marcelina. – Zburzysz?

Właściwie to powinnam go zburzyć, przeszła mi przez głowę taka myśl. Ale w oczach Marceliny było coś, co powstrzymało mnie od wypowiedzenia tego pomysłu.

– Jeszcze nie wiem. – Uśmiechnęłam się do niej i zobaczyłam, jak spływa na nią ulga. Przecież pawilon to ruina, pomyślałam, dlaczego jest tak przywiązana do tego miejsca?

– Szkoda by było – powiedziała, odwracając wzrok.

Szkoda? No tak, nie wzięłam pod uwagę, że pawilon był schronieniem Marceliny przez wiele lat. Właściwie był jej jedynym domem.

– Może urządzimy w nim pracownię dla ciebie? – zaproponowałam. – Miałabyś gdzie malować. Takie twoje własne miejsce, co ty na to? – Wiele razy czytałam, że radość rozświetliła czyjąś twarz, ale nigdy dotąd tego nie widziałam. Aż do dzisiaj. Twarz Marceliny rozbłysła szczęściem.

– Michasia – szepnęła, składając ręce jak do modlitwy. – Michasia, naprawdę?

– Naprawdę. Ale najpierw dom. A potem z pawilonu zrobimy pracownię.

Nie powiedziała więcej ani słowa. Mieniła się na twarzy wszystkimi odcieniami czerwieni, otwierała buzię, jakby chciała coś powiedzieć, po czym zamykała ją i milczała. W końcu zakryła twarz dłońmi i zaszlochała. Pan Bronek przestraszony zeskoczył z jej kolan i wszedł pod fotel.

– Marcyś – chciałam ją sprowokować. – Dlaczego płaczesz? Niezadowolona jesteś?

– Niezadowolona? – Patrzyła na mnie zdumiona i ocierała łzy. – Niezadowolona? Zwariowałam? Płaczę z radości! Czy ty wiesz, ile lat o tym marzyłam? Ile lat? To najlepsze, co mogło mnie spotkać! – Nagle roześmiała się serdecznie. – I nie mów do mnie Marcyś! Ani Marcysia! Bo popamiętasz! – Przesiadła się z fotela na kanapę i przytuliła do mojej szyi. – Przyjechałaś do mnie w Wigilię jak Święty Mikołaj. I ciągle coś dla mnie wyjmujesz ze swojego wielkiego wora. – Wzruszyła mnie tymi słowami. – Jakby to, że odzyskałam siostrę, było wciąż za mało.

– Pamiętaj, że ja też zyskałam siostrę. – Pocałowałam ją w policzek. – Nie płacz już, bo i ja się rozpłaczę.

– No to jutrzejszą wycieczkę mamy zaplanowaną – przypomniał o swojej obecności Waldek. – Obejrzymy wszystko w najdrobniejszych szczegółach i gdy zdecydujesz o remoncie, to skontaktuję cię z kolegą.

– Pewnie najpierw trzeba będzie zabrać stamtąd rzeczy po babci – stwierdziłam.

– Pewnie tak, ale na to będziesz miała dużo czasu. Trzeba najpierw wszystko porządnie zaplanować, a poza tym z robotami trzeba poczekać do wiosny.

– A gdybym wreszcie sprzedała mieszkanie, to w ogóle byłoby super. Zatarłabym za sobą ślady i spała spokojnie – dodałam. – Kupiłabym coś mniejszego, po co mi taki metraż.

– Duże mieszkania pewnie trudniej jest sprzedać. Może warto pomyśleć o obniżeniu ceny?

– Myślałam o tym, ale kompletnie się na tym nie znam. Miałam zamiar sprzedać bez pośredników, ale chyba nie dam rady bez pomocy fachowców. Teraz, po zakończeniu sprawy Pawła, będę wreszcie miała czas i głowę, żeby się tym zająć.

– To pewnie jeszcze nie koniec sprawy twojego męża, ale może nie będzie tylu przesłuchań.

– Mam nadzieję. Ja nic nie wiem, w każdym razie nic, o czym mogłabym powiedzieć policji. Już im wszystko powiedziałam.

– Waldek, masz jeszcze ciasteczka? – Marcelina bezceremonialnie przerwała nam rozmowę.

– Już się skończyły. Zjadłaś wszystkie. Możemy za to usmażyć faworki, nie jest jeszcze tak późno.

– O! Lubię faworki, ale beze mnie. Po pierwsze, nie umiem, po drugie, jestem śpiąca. Chcecie, to smaźcie sami. Ja idę na górę.

– Co tak szybko? – zdziwiłam się. Dochodziła dopiero dziewiąta. Marcelina nie chodziła spać tak wcześnie. Spojrzałam na nią pytająco, ale miała minę niewiniątka. Zaspanego niewiniątka.

– A jakoś tak mnie wzięło. Dobranoc. – Pocałowała mnie w policzek, szelma, pomachała Waldkowi i poszła. Pan Bronek został z nami.

– To co? Idziemy działać w kuchni? Półtorej godzinki i załatwimy sprawę.

– Idziemy. – Podniosłam się. – Dawno nie smażyłam faworków, ty zarządzasz. Ja będę podkuchenną.

Poszło nam naprawdę sprawnie. Z przyjemnością patrzyłam, jak Waldek zagniata, a potem wałkuje ciasto na cieniusieńkie placki. Przewijaliśmy faworki i smażyliśmy wspólnie. Ja układałam na półmisku i posypywałam cukrem pudrem. O wpół do jedenastej mieliśmy już posprzątane. Pachniało rozgrzanym tłuszczem i cukrem z wanilią.

– Wyglądają apetycznie, aż mi ślinka cieknie. – Z trudem powstrzymywałam się od zjedzenia kilku ciasteczek.

– Dlaczego nie spróbujesz?

– Tak na noc nie chcę. Są ciężkostrawne – tłumaczyłam sama sobie.

Waldek pałaszował, słuchając mnie nieuważnie.

– Zrobię gorącej herbaty – zaproponowałam. Kiwnął głową i jadł dalej. Nie wytrzymałam, kiedy woda w czajniku szumiała, poddałam się i sięgnęłam po jednego.

– No, nareszcie! Zastanawiałem się, kiedy pękiesz!

– Pyszne! – wymamrotałam. Rozpływały się w ustach. – Mistrzu!

– No! – Skromnie pochylił głowę. – Chodźmy do salonu, co będziemy tu siedzieć.

Zabrał ze sobą półmisek. Ja zabrałam kubki z herbatą.

– Siadaj tu koło mnie. – Bezceremonialnie zagarnął mnie ramieniem.

– Że też te zapachy nie zwabiły do kuchni Marceliny – puścił do mnie oko.

– Jak już zaśnie, to śpi jak zarżnięta. Trąby jerychońskie z trudem ją budzą – zażartowałam.

– To dobrze. – Mruknął mi we włosy.

Przymknęłam oczy od niespodziewanej pieszczoty. Zamilkłam, a Waldek muskał wargami moje czoło, brwi i zamknięte powieki. Poddałam się nastrojowi chwili i pozwoliłam mu całować skronie, policzki i okolice ucha. Czułam narastające podekscytowanie, szczególnie gdy ciepłymi ustami dotykał wrażliwego miejsca na szyi, tuż za uchem, tam, gdzie zaczynają się włosy. Odchyliłam głowę. Po chwili wsunął mi rękę we włosy i odgarnął je z czoła. Otworzyłam oczy i napotkałam jego błyszczące spojrzenie, bardzo blisko. Stykaliśmy się nosami. Chciałam, żeby wreszcie mnie pocałował. Rozchyliłam wargi w oczekiwaniu.

Smakował wanilią i czymś jeszcze, nie wiem czym. Usta miał miękkie i zaskakująco delikatne. Całował z wprawą, ale nie zachłannie, jakby każdym muśnięciem odkrywał nowe terytorium. Degustował powoli.

Zarzuciłam mu ręce na szyję, a on objął mnie mocno i lekko posadził sobie na kolanach. Po chwili wziął moją dłoń i z zamkniętymi oczami zaczął całować po kolei każdy palec. Wstrzymując oddech, przyglądałam się, jak czubkiem języka obrysowuje ich kształt. Kiedy zanurzył usta we wnętrzu dłoni, poczułam ciepło i wilgoć jego oddechu. Westchnęłam z rozkoszy.

– Chodźmy stąd – wychrypiał.

Trzymając się za ręce, cicho poszliśmy do jego pokoju. Nie zapalaliśmy światła. Przy świetle księżyca pozwoliłam na niecierpliwość rąk Waldka i swoich, na chłód pościeli studzącej rozgrzane ciała, na przyspieszone oddechy i na namiętność tak wielką, że odpłynęłam, mając w źrenicach bezwstydną i wścibską księżyc w pełni wiszący nisko na nocnym niebie.

Obudziłam się wtulona w nagie plecy śpiącego Waldka. Było mi ciepło, dobrze i bezpiecznie. Uśmiechnęłam się zawstydzona na wspomnienie jego śmiałych poczynań i doznań, które przeżyłam. Musiałam iść do łazienki. Na wyświetlaczu telefonu widniała czwarta trzydzieści. Spanikowana, co powiem Marcelinie, wstałam po cichu i po omacku zaczęłam szukać swoich ubrań.

– Michasia – wymamrotał zaspany Waldek. – Co ty robisz?

– Pójdę spać na górę.

– Zostań – poprosił i wyciągnął rękę.

Pochyliłam się nad nim ledwie ubrana w bieliznę. Zanurzył nos między moimi piersiami i zamruczał. Miałam ochotę na więcej, ale wysunęłam się z jego ramion.

– Przecież Marcelina nie jest dzieckiem – tłumaczył i położył mi głowę na kolanach. – I chyba nie ma nic przeciwko, że my... No wiesz.

– Wiem. – Pocałowałam go. – I nie ma nic przeciwko. Ale jakoś tak... Trochę się wstydzę.

Wciągnęłam przez głowę sweter.

– Wariatka. – Przewrócił mnie na łóżko i pochylił się, całując namiętnie. – I tak trzeba będzie jej powiedzieć.

– Sama się domyśli. – Opędzałam się od jego rąk. – Ale wolę jej najpierw powiedzieć, nie chcę jej zaskoczyć, wychodząc rano z twojej sypialni.

– No dobrze, niech ci będzie. – Puścił mnie wreszcie i patrzył, jak się ubieram. – Będę za tobą tęsknił.

– Ja też. – Śmiałam się. – Chociaż to tylko kilka godzin.

– Aż kilka godzin. – Otulił się kołdrą i ziewnął. – Dobranoc o świcie.

– Dobranoc.

Cicho zamknęłam za sobą drzwi. Światło w salonie wciąż było włączone, więc je zgasiłam i na palcach weszłam się na piętro. Po drodze do pokoju odwiedziłam łazienkę. Kochana Marcelina zostawiła tam moją szczoteczkę do zębów, ręcznik i piżamę, pewnie żeby jej nie budzić. Szybko się umyłam, prysznic zostawiając na później, i poszłam do pokoju. Spała, jak zwykle zwinięta w kłębek, kołdra leżała na podłodze. Ponieważ cała pachniała Waldkiem, wolałam dzisiaj spać osobno, na przygotowanym dla mnie łóżku. Wtulona w puchatą pierzynę nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

Śnił mi się kwitnący sad. Drzewa miały pomalowane wapnem pnie i sypały wokół białe i różowe płatki. Unosiły się wszędzie jak gęsty śnieg, opadały na włosy i na ramiona. Całą sukienkę miałam nimi pokrytą, brodziłam w tej bieli i różowości po kostki. Szeleściły pod stopami jak kartki papieru. Kiedy chciałam rozgarnąć je dłonią, zobaczyłam, że to nie są płatki kwiatów, tylko otwarte koperty, które wabiły mnie wysuwającymi się liścikami. Podniosłam jeden, ale gdy chciałam przeczytać, zamienił się w białego gołębia i furkocząc skrzydłami, odleciał. W ślad za nim spod stóp poderwało się całe stado białych listów zamienionych w gołębie i odfrunęło.

Budziłam się powoli. Przez zamknięte powieki dochodziło do mnie migoczące słoneczne światło. Otworzyłam zaspane oczy i napotkałam bursztynowe spojrzenie Pana Bronka, który leżąc przy mnie, mruzczał i hipnotyzował wzrokiem.

– Miau! – Powitał mnie i wygiął grzbiet.

Pogłaskałam rudą główkę.

– Witaj. Głodny jesteś?

– Ja na pewno – odezwała się Marcelina. – O której przyszłaś? Nic nie słyszałam.

– Nad ranem – przyznałam mężnie i poczułam, że się czerwienię.

– Jak było? – Jeden sus i już była przy mnie. – Opowiadaj!

– No co ty! – zachnęłam się.

– Jakie „no co ty”? Opowiadaj!

– A idźże! – Uderzyłam ją jaśkiem.

– Nie ma mowy! Powiedz choć trochę!

– Nie ma co opowiadać – ucięłam.

– Akurat!

Uśmiechnęłam się do niej.

– Było super! – wypaliłam.

Zapiszczała, aż Pan Bronek podskoczył przerażony.

– Wiedziałaś!

– Co wiedziałaś? – Natychmiast stałam się podejrzliwa.

– Że będzie super! Ale się cieszę! Trzeba było zostać do rana, po co tu przychodziłaś?

– Jak to po co? Dopilnować ciebie. Jak zwykle spałaś odkryta! – Pokazałam jej język i wstałam. – Która godzina?

– Dziewiąta. Umieram z głodu!

– Poczekaj jeszcze trochę. Ja idę pod prysznic.

– Nie wytrzymam. Idę na dół poszperać w lodówce, może coś znajdę.

Wyszliśmy razem na korytarz. Waldek już krzątał się w kuchni, co w Panu Bronku wzbudziło silne zainteresowanie, bo wyprzedził nas i pobiegł na dół z zadartym ogonem.

– Lecę za nim. A ty się nie grzeb za bardzo!

Weszłam do łazienki i wzięłam dość długi prysznic. Byłam cała obolała. Nic dziwnego, moje ciało odwykło od namiętności. Bolały mnie piersi i mięśnie ud. Mimo to czułam szczęście i spełnienie. Z lustra patrzyła na mnie twarz zadowolonej kobiety. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia i w szlafroku zeszłam do kuchni.

– Dzień dobry! Co robicie?

Waldek na mój widok uśmiechnął się porozumiewawczo. Spojrzenie było takie... intymne, że mimo woli poczułam wypływający na szyję rumieniec. Postanowiłam jednak nie robić uników i nie udawać, że nic się nie stało, więc śmiało podeszłam do Waldka i obdarzyłam go czułym pocałunkiem. Był zaskoczony, ale widziałam po minie, że sprawiło mu to przyjemność. Wiedziałam też, że zyska to aprobatę Marceliny, a na tym też mi zależało. A zresztą, pomyślałam, czy ja muszę się tłumaczyć z tego, co zrobiłam?

– Robimy naleśniki – oznajmiła Marcelina. Nie wiem, co miała na myśli, mówiąc „robimy”, bo siedziała przy stole beczynnie, a Waldek krzątał się wokół patelni i miski z ciastem, które mieszał drewnianą łyżką.

– Siadaj, zaraz zaczynam smażenie – rzucił w moją stronę.

– Może chociaż zaparzę herbatę albo kawę – zaproponowałam.

– A proszę bardzo. Wiesz, gdzie wszystko stoi. Naleśniki będą z dżemem truskawkowym, własnej roboty – oznajmił z dumą.

Pokręciłam głową z podziwem.

Włączyłam czajnik i wyjęłam z szafki kubki. Byłam zadowolona, że mogę się czymś zająć, bo chyba jednak spłonęłabym z zażenowania. Potrzebowałam czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji.

– Jak się spało? – Waldek bardzo starannie podtrzymywał rozmowę.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałyśmy jednocześnie z Marceliną, co rozładowało nieco napiętą atmosferę, bo parsknęliśmy śmiechem.

– Jeszcze by nie – śmiała się moja siostra.

– A jak tam pogoda? – zmieniłam temat i wyjrzałam przez okno.

– Mróz trzyma, ale dzięki temu jest słonecznie. Zjemy i możemy jechać. Marcelinko, nakarm Pana Bronka, niech głodomór nie marudzi. – Waldek podał jej puszkę z karmą dla kota. Pan Bronek od razu znalazł się przy niej i bacznie obserwował, jak napełnia miskę. Rzucił się na jedzenie, jakby nie jadł od kilku dni.

– Straszny z niego żarłok. – Marcelina z podziwem pokręciła głową.

– Okropny – przytaknął Waldek. – Z torbami mnie puści, taki ma apetyt.

Pan Bronek zajadał, łypiąc na nas znad miski, jakby wiedział, że jest obiektem zainteresowania.

W trakcie śniadania zadzwonił mój telefon.

– Gdzie się podziewacie? – Aga była zaniepokojona. – Poszłam do was wczoraj wieczorem, ale pocałowałam kłamkę! Chciałam z tobą pogadać.

– Wybrałyśmy się na wycieczkę. Jesteśmy u Waldka w Wyszogrodzie. A co się dzieje? Myślałam, że chcesz ode mnie odpocząć.

– Pewnie, że chcę. Ale mam sprawę!

Wyszłam z kuchni do salonu.

– Mów.

– Eee, to nie na telefon. Kiedy wracacie?

– Nie wiem, planowałam jutro. Muszę przecież wrócić do pracy, porozmawiać z Wiktorem. A ty, jak zaczęłaś, to skończ, bo nie wiem, co ci zrobię, jak cię dorwę.

Aga wiedziała, że nie znoszę, gdy ktoś zaczynał coś mówić i nie kończył.

– Dostałaś wiadomość od Wiktora?

– Dostałam, bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że z małą wszystko w porządku.

– Nie jest w porządku. Urodziła się z wadą serca.

– A jednak. A już miałam nadzieję.

– Jak wszyscy, Michaś, jak wszyscy! – Aga westchnęła. – Chociaż lekarze mówią, że i tak jest dużo lepiej, niż się spodziewali. Dzięki temu maleństwo ma ogromne szanse na normalne funkcjonowanie w przyszłości, oczywiście pod warunkiem odpowiedniego leczenia.

– Chyba Wiktor i Natalia się tego spodziewali? – Podskórnie czułam, że w związku z tym Aga ma mi coś do powiedzenia, że na razie krąży wokół zasadniczego tematu jak drapieżnik wokół swojej ofiary. – I o tym chciałaś ze mną pogadać? Nie wiem, jak mogłabym im pomóc, nie mam żadnych znajomości wśród lekarzy.

– Nie, nie o tym, ale to ma ścisły związek z tym, o czym chcę z tobą pogadać.

– No to powiedzże wreszcie – zniecierpliwiłam się. Byłam ciekawa tego, co miała mi do powiedzenia, ale chciałam też jak najszybciej wrócić do kuchni, do Marceliny i Waldka. Wyszłam podczas śniadania, niezbyt to było grzeczne.

– Michaś, w wielkim skrócie: małą trzeba operować dość szybko. Najlepiej za granicą. Wiktor chce sprzedać udziały w firmie komuś zaufanemu i wyjechać z rodziną.

– Chce sprzedać firmę? – Byłam bardzo zaskoczona. Firma była ukochanym dzieckiem Wiktora, budował ją od podstaw. Na początku zatrudniał dwie osoby, by stworzyć z tego pręźnie działającą agencję, jaką była dzisiaj.

– Tylko część. Zależy mu na kimś zaufanym.

– Nie znam nikogo takiego.

– Michasia, no dlatego chcę z tobą pogadać. Możesz wrócić dzisiaj? Spotkałybyśmy się wieczorem.

– Postaram się. Ale najpierw muszę załatwić coś na miejscu. Dam ci znać. To naprawdę takie niecierpiące zwłoki? – Było mi żal czasu, który zamierzałam spędzić z Waldkiem.

– Naprawdę. Inaczej bym cię nie ściągała. Przecież mnie znasz! – To prawda. Aga nigdy nie robiła sprawy z niczego. Skoro twierdziła, że to ważne, to powinnam jej zaufać.

– Dobrze, Aga. Postaram się być po południu. Zadzwońię do ciebie, OK?

– Czekam. Baw się dobrze, buziaczek! – Rozłączyła się.

Stałam w salonie zaintrygowana tymi wszystkimi wiadomościami. Zastanawiałam się, jakimi rewelacjami Aga jeszcze sypnie. Wprawdzie zamierzałam odejść z firmy albo przynajmniej znacznie ograniczyć czas pracy, o tym właśnie chciałam porozmawiać z Wiktorem, ale wobec tego, co powiedziała Aga, poczułam żal. Kawał życia tam spędziłam. Wolalabym, by firma funkcjonowała w niezmienionej formie.

– Po południu musimy wracać – poinformowałam Marcelinę i Waldka. Obojgu zrzędy miny. – Naprawdę muszę być w Warszawie.

– Szkoda – westchnęła Marcelina.

– No szkoda – zgodziłam się z nią. – Wszystkie plany wzięły w łeb.

– Ale mamy jeszcze cały dzień dla siebie – pocieszył nas Waldek. – Zaraz pojedziemy do Szamocin i obejrzymy dom. Ty, Marcelinko, możesz przecież zostać, jeśli masz ochotę. Miejsce jest, a i mnie będzie różniej.

– Nie, wróć z Michasią. – Uśmiechnęła się. – Nie zostawię jej teraz tak łatwo.

– No to kończmy śniadanie i jedziemy. Szkoda czasu, skoro musicie wracać.

Do Szamocin dotarliśmy przed południem. Pojechaliśmy samochodem Waldka. Słońce ostro świeciło i odbijało się od bezkresnej bieli okolicznych pól. Zmrużyłam oczy i popatrzyłam wokół. Zimowa cisza aż onieśmiała, od czasu do czasu tylko poświstywał wiatr. Poczułam się intruzem naruszającym spokój śpiącej ziemi. Z daleka dobiegł nas dźwięk kościelnego dzwonu oznajmającego niedzielne południe.

– Chodźmy, bo zimno. – Marcelina kurczyła się w swojej nowej, ale zbyt lekkiej jak na taki mróz kurtce.

– Chodźmy – odruchowo ściszyłam głos.

Po kolei weszliśmy do domu. Tym razem było jasno, słońce świeciło przez brudne okna, a w smugach światła wirowały drobiny kurzu.

– Zamknij drzwi – poprosiłam Waldka. Wewnątrz było zimno, latami nieogrzewane mury przesiąkły chłodem i wilgocią.

– Jak tu cicho – szepnęła Marcelina. – Pewnie nawet wszystkie duchy już odeszły.

– Albo śpią w oczekiwaniu – mruknęłam. W irracjonalnym odruchu poczułam dreszcz przebiegający po plecach.

Rozeszliśmy się każde w inną stronę. Waldek zniknął w sypialni babci, Marcelina myszkowała w kuchennych szafkach. Ja stanęłam u stóp schodów prowadzących na piętro. Tam jeszcze nie byłam. Trochę się bałam. Schody były drewniane, mogły być spróchniałe, ale bardzo chciałam tam wejść i zajrzeć do swojego pokoju. Ostrożnie weszłam na pierwszy stopień. Zaskrzypiało okropnie, ale deski nie pękły. Zwiększyłam nacisk, przenosząc ciężar ciała na nogę na schodku i ostrożnie weszłam na drugi stopień.

– Uważaj. – Waldek przyglądał mi się z korytarza.

– Uważam. – Weszłam na kolejny stopień. Nic się nie stało. Następny krok zrobiłam już śmieiej. Deski skrzypiały, ale nie było to skrzypienie ostrzegawcze. Doszłam do półpiętra. Stamtąd widziałam już korytarz, z którego wchodziło się do pokoi. Do mojego, ojca i gościnnego. Na lewo, tuż przy schodach było wejście do łazienki. Serce biło mi coraz mocniej, kiedy pokonywałam kolejne stopnie. Wreszcie dotarłam na piętro.

– Michalina, wszystko w porządku? – Usłyszałam niepokój w głosie Waldka.

– W porządku! – odkrzyknęłam.

– Bądź ostrożna, podłoga może się zapaść!

– Spokojnie, strop jest betonowy.

Ruszyłam prosto do swojego pokoju. Drzwi były uchylone, tak jak zawsze. Pchnęłam je lekko, co wywołało istną lawinę kurzu. Zamknęłam oczy, zasłaniając twarz ręką, i zaczęłam kasłać i kichać na przemian.

Każdy oddech powodował nowy atak kichania od wirującego wszędzie kurzu. W końcu zasłoniłam nos i usta szalikiem, inaczej musiałabym wrócić na dół, a tego nie chciałam. Skoro już odważyłam się tu wejść, obejrzę wszystko.

Okno było zasłonięte zszarzałą od brudu zasłonką. Nie miałam odwagi jej dotknąć w obawie przed kolejnymi tumanami kurzu. Stanęłam w progu i przyglądałam się miejscu mojego dzieciństwa – łóżko przykryte kolorową kapą, teraz bezbarwną, nad łóżkiem półka, a na niej kilka książek. Obok nich siedział poszarzały, chyba ze smutku, bo całkowicie przeze mnie zapomniany ukochany miś. Jego widok przyprawił mnie o wzruszenie tak silne, że aż oczy zaszły mi łzami.

– Jesteś. – Waldek stanął obok mnie.

Nie słyszałam, jak wchodził. Kiwnęłam tylko głową i weszłam do pokoju. Pod oknem znajdowało się

biurko, na nim stały lampka i równiutko ułożony stosik starych zeszytów. W wyszczerbionym kubku w polne maki kredki i ołówki. Wszystko tak, jak zostawiłam, będąc tu ostatni raz piętnaście lat temu.

Za drzwiami, we wnęce, była szafa. Otworzyłam ją ostrożnie, żeby uniknąć kłębowiska kurzu. Tak jak w pokoju babci wciąż wisiały w niej moje letnie sukienki, a na dole stały stare, rozdeptane sandały, w których biegałam podczas wakacji.

Waldek milczał, obserwując mnie bacznie. To dobrze, bo nie miałam ochoty na rozmowę, najchętniej zostałabym sama, ale nie umiałam mu o tym powiedzieć.

Do pokoju ojca zajrzałam tylko przez próg. Nie było tam nic ciekawego. Rzadko tu bywał przed śmiercią babci, w środku nie było ani jednej jego rzeczy. Pokój sprawiał wrażenie opuszczonego, tak jak pokój gościnny, do którego zajrzałam na końcu. Wszystko było pokryte grubymi warstwami kurzu, z sufity wisiły pajęczyny. Na podłodze i na dywanach widać było ślady gospodarowania polnych myszy. Na myśl o tym, jaki ogrom pracy mnie czeka, dostawałam gęsiej skórki. Ale już postanowiłam – wyremontuję ten dom, choćby to miało trwać latami. Wiosną przyjadę na dłużej i najpierw posprzątam, przejrzę pozostawione rzeczy. Do tego czasu rozwiążę sprawy zawodowe i dogadam się z ekipą remontową. Zimą nie ma co ruszać tego wszystkiego.

– Zajrzę jeszcze do łazienki i możemy schodzić – rzuciłam do Waldka, który chodził za mną krok w krok. Z trudem otworzyłam drzwi, bo zamek zardzewiał.

– Weź latarkę.

W łazience było ciemno, bo nie miała okna. Omiotłam strumieniem światła zakurzone ściany, brudną wannę i sedes ze starą żeliwną spłuczką. Lustro było tak brudne, że nawet nie odbijało światła. Na półeczce pod nim stał jeszcze kubek ze szczoteczką do zębów, a na wieszaku wisiał mój stary szlafrok.

– Dlaczego nie włączycie światła? – Marcelina stała na dole przy schodach. – Ciągłe jest prąd! Tylko korki były wykręcone!

Z niedowierzaniem przekręciłam włącznik i słabe światło rozbłysło z żarówki pod sufitem.

– Niebawale! – zdumiałam się. – Tyle lat! – Jakby w odpowiedzi na moje słowa żarówka zaświeciła mocniej, zamigotała i zgasła. – Koniec żywota – powiedziałam. – I tak długo wytrzymała. Chodźmy stąd.

Ostrożnie, gęsiego zesliśmy po schodach na parter. Stanęliśmy pośrodku kuchni, gdzie było najjaśniej.

– No i co? – Waldek patrzył na mnie pytająco. – Co zamierzasz?

– Remontuję. Na razie nie mam pomysłu jak, ale wyremontuję na pewno.

– Hura! – krzyknęła Marcelina, podskakując jak mała dziewczynka. – Ja mam kilka pomysłów! Wszystko ci narysuję!

– No to super, moja droga! Będziemy musiały tu posprzątać. Ciekawe, czy jest woda. Skoro jest prąd... – Skierowałam się do kranu.

– Nie ma. Już próbowałam.

– Może kurek jest zakręcony? Nie pamiętam, gdzie jest główny zawór. Ale to sprawdzimy następnym razem. Możemy wracać. Marcelinko, nie chcesz zabrać jeszcze czegoś z pawilonu?

– Zaraz zobaczę.

Wyszła na zewnątrz, a my z Waldkiem zostaliśmy.

– Twoja ekipa będzie mi potrzebna.

– Jutro do nich zadzwonię, a potem dam ci namiary. – Objął mnie i przytulił. – Bardzo się cieszę. Będziesz blisko mnie. Możecie z Marceliną zamieszkać u mnie na czas remontu.

– Dzięki. Czeka mnie baaardzo dużo pracy! – Dobrze było tak stać i przytulać się do męskiej piersi. – Chodźmy do Marceliny – szepnęłam.

Ale moja siostra wychodziła właśnie z pawilonu z jakąś torbą pod pachą.

– Moje książki – wyjaśniła. – Chcę jeszcze zajrzeć do sadu.

– Nie wiem, czy dasz radę. Tam jest śniegu po kolana.

– Przynajmniej spróbuję.

Położyła torbę na śniegu i poczłapała za werandę. Śnieg chrząścił jej pod nogami, zlodowaciały z wierzchu załamywał się pod jej ciężarem. Doszła tylko do skraju domu i śmiesznie wyjrzała za węgiew.

– Nie pójdę dalej! – krzyknęła. – Na oko wygląda, że w porządku. Wiosną okaże się, czy drzewa nie wymarzęły.

Obróciła się z trudem i po własnych śladach wróciła do nas. Z wysiłku dostała kolorów i wyglądała jak porcelanowa lalka.

– To co? Wracamy? – Spojrzałam na zegarek. Właśnie minęła pierwsza.

– Wracamy.

Pół godziny później siedzieliśmy w ciepłej kuchni Waldka i piliśmy gorącą herbatę, a na kuchence gotował się wywar na krupnik. Wszędzie pachniało koprem, który Waldek wrzucił do garnka hojną ręką. Było mi smutno na myśl o rychłym wyjeździe. Głaskałam łaszącego się do mnie Pana Bronka i słuchałam tego, co mówi Marcelina.

– Kuchnię trzeba połączyć z jadalnią, a najlepiej i z pokojem babci. Będiesz miała ogromny salon na parterze. A na górze można zostawić tak jak jest. To znaczy trzy pokoje, bo wyremontować je trzeba. A na dole chyba można będzie zrobić kominek. Wszystko ci narysuję.

– Widzę, że wyobraźnia zadziałała. – Uśmiechnęłam się.

– I to jak! – Marcelina miała wypieki z podniecenia. – Samo mi się wszystko układało, jak tak stałam i oglądałam.

– No to super. Mam nadzieję, że twój pomysł będzie można zrealizować. Wymyśl też swoją pracownię w pawilonie.

– A, to już wiem od dawna! – Zarumieniła się zawstydzona. – Jak tam sama siedziałam, to wyobrażałam sobie różne rzeczy, co zrobię, jak umebluję. Teraz to urzeczywistnię. Dzięki tobie! – Patrzyła na mnie z wdzięcznością. – A ty masz jakiś pomysł na ten dom? Bo ja tak gadam i gadam, a może sama masz coś innego w planach.

Zastanowiłam się.

– Nie, nie mam nic szczególnego na myśli. Podoba mi się twój pomysł otwartej przestrzeni na parterze. I kominek mi się podoba. Następnym razem trzeba na strych zajrzeć. Pamiętam, że był dość wysoki i pomyślałam, że można tam wygospodarować jakieś gościnne pomieszczenie. Ciekawe, czy dałoby radę zrobić mansardowe okna.

– O, to byłoby fajne!

Waldek milczał, pochylił głowę i obierał ziemniaki.

– Daj, pomogę ci – wyciągnęłam rękę po nóż – a ty w tym czasie zrobisz coś innego. – Uśmiechnął się i podał mi nóż i koszyk z ziemniakami.

– A właściwie to dlaczego dziś musimy wracać? – Marcelina patrzyła na mnie pytająco.

– Nie znam szczegółów, Aga mówiła, że to nie na telefon. Coś z firmą, to ponoć ważne. Przynajmniej tak twierdzi. Ale w sumie dobrze się stało. Powinnam już wrócić do pracy, żeby porozmawiać z Wikto-rem. Przez tę sprawę Pawła nie wróciłam planowo. Pewnie zaszły duże zmiany.

– Nie mogli poczekać jeszcze dzień albo nawet i dwa? – rzucił Waldek znad garnka.

– Skoro Aga mówi, że to pilne, to znaczy, że pilne. Całkowicie jej ufam. Też nie chciałabym wracać. Dobrze mi tutaj – dodałam, patrząc w smutne oczy Waldka. – A skoro wrócimy dzisiaj, to od razu od jutra poszukam agencji, która zajmie się sprzedażą mieszkań.

– Poczekaj, aż wyremontujesz dom. Co zrobisz, jak kupiec trafi ci się szybko?

No tak, nie pomyślałam o tym. Waldek miał rację. Planowałam kupić coś mniejszego za pieniądze uzyskane ze sprzedaży, ale przecież zmieniłam plany i chciałam porzucić miasto.

– Może masz rację – zadumałam się. – Ale to już trwa tyle czasu i prawie nie ma chętnych, więc myślę, że mimo wszystko zgłoszę do sprzedaży. Przecież od razu nikt nie przyleci.

– Kto wie?

– Zaryzykuję. Ale najpierw zobaczę, co w pracy.

Z żalem żegnałyśmy Waldka. Marcelina dyskretnie poszła wcześniej do samochodu, zostawiając nas samych. Stałam z odchyłoną głową, a Waldek całował mnie namiętnie i żarłocznie. Oddawałam mu pocałunki z zamkniętymi oczyma. Pozwoliłam sobie na chwilę zapomnienia.

– Będę za tobą tęsknił – szeptał mi do ucha i całował po szyi. – Przyjedź jak najszybciej.

– Przyjadę. – Wargami skubałam jego ucho. – Pisz do mnie. – Wtulałam się w niego coraz mocniej, jakbym chciała nasze ciała połączyć w jedno. – Muszę już iść – szepnęłam.

– Wiem. – Puścił mnie bardzo niechętnie i oparł swoje czoło o moje. – Moja Michasia. – Potarł swoim nosem mój nos i pocałował mnie po raz ostatni. – Idź już, bo inaczej nie wiem, jak to się skończy.

Zanim wyszliśmy z domu, pociągnęłam usta pomadką. Nie chciałam, żeby Marcelina zauważyła wargi obrzmiałe od pocałunków. Waldek otworzył nam bramę i pomachał na pożegnanie. Wyjeżdżając na ulicę, zobaczyłam jeszcze w oknie na parapecie Pana Bronka.

Było już dość ciemno, chyba zaczynało się chmurzyć.

– Pewnie jutro sypnie śniegiem – powiedziałam, byle tylko się odezwać.

– Na to wygląda – rzuciła Marcelina, pogrążona w swoich myślach. – Będzie trochę cieplej.

Zerknęłam na nią. Była jakaś taka odległa, zamyślona.

– O czym myślisz?

– A tak o wszystkim i o niczym. – Odpowiedź nastąpiła po dłuższej chwili. – Czuję się rozdarta.

– Rozdarta? Co chcesz przez to powiedzieć? – Byłam zdziwiona.

– Bo chciałabym tam zostać, ale z tobą.

– Moja kochana! – Wzruszyłam się.

– Bardziej wolę być z tobą niż tam, dlatego wracam. Ale wolałabym być tam.

– Po remoncie możesz tam zamieszkać na stałe. Ja też to rozważam. Na razie musisz przezimować, żebyś znowu się nie rozchorowała. Poza tym nie możesz mieszkać w takich prymitywnych warunkach.

Pomyślałam, że Marcelina to wolna dusza i potrzebuje przestrzeni dla wyobraźni, a miasto jej to uniemożliwia. Tam, na wsi był jej dom, mimo że ubogi, to jednak tam czuła się najlepiej. Rozumiałam ją. Widziałam, że coraz mniej rysuje, snuje się po domu, kiedy myśli, że tego nie widzę. Tęskniła.

– Dobrze, że będziesz remontować. Pomogę ci, dopilnuję wszystkiego, żebyś nie musiała o tym pamiętać. No, chyba że będziesz chciała.

– Trochę bym chciała. Zrobimy to razem, co ty na to?

– Michasia, będzie super! Bardzo się cieszę, już nie mogę się doczekać! Od jutra siadam do pracy i wszystko narysuję!

Cieszyłam się, że była taka ożywiona.

– Może już latem będziemy mogły tam zamieszkać? Chciałabyś?

– Pewnie, że bym chciała. Muszę tylko załatwić wszystko w pracy. A właśnie, miałam zadzwonić do Agi. – Sięgnęłam po telefon, ale uświadomiłam sobie, że słuchawki zostawiłam w torbie z rzeczami, a torba stała w bagażniku. – No trudno, zadzwonię, jak dojedziemy.

Skupiłam się na drodze, bo, ku mojemu zaskoczeniu, ruch był spory. W miarę zbliżania się do Warszawy pogarszały się warunki jazdy, zaczął prószyć śnieg, zrobiło się ślisko. Zwolniłam i kilku kierowców zaczęło na mnie trąbić. Nie miałam zamiaru reagować i ryzykować, wystarczył mi widok rozbitych

samochodów w rowie. Niech trąbią, skoro muszą.

– Niech to szlag! – Zagapiłam się i przejechałam zjazd na drogę ekspresową.

– Co się stało? – przeraziła się Marcelina.

– Gapa ze mnie! Przejechałam zjazd! – Byłam wściekła.

– Ale dojedziemy?

– Dojedziemy, pewnie, ale okrężną drogą. Nadrobimy parę kilometrów i więcej czasu nam to zajmie.

– A śpieszymy się dokądś?

Poraziła mnie prostota tego pytania.

– Nie. Masz rację. – Powoli się uspokajałam, uświadamiając sobie bezsens swojego zdenerwowania.

Uśmiechnęłam się do Marceliny z wdzięcznością.

Jechałam wolno, droga była jednopasmowa i musiałam dostosować prędkość do długiego sznura samochodów przed sobą. Przed Jabłonną stanęłam w korku, posuwaliśmy się bardzo powoli, na przemian stając i jadąc kilka metrów.

– Pewnie jakiś wypadek – mruknęłam. Robiło się coraz bardziej ślisko. Rzeczywiście, kilka kilometrów dalej policja kierowała ruchem na drodze, bo na przeciwległym pasie doszło do karambolu. Nic dziwnego, śnieg padał coraz obficie, a nigdzie po drodze nie zauważyliśmy żadnej piaskarki. Powolutku posuwałam się dalej. Do domu dotarliśmy późno, ale całe i zdrowe.

– Ale zmęczyła mnie ta droga! – Rzuciłam się na kanapę w salonie. – Aż mnie głowa rozbolała. Że też musiałam przegapić ten zjazd na ekspresówkę!

– Daj już spokój. I tak nic nie zmienisz – mitygowała mnie moja siostrzyczka.

– Wiem, że nie. Najchętniej poszłabym do łóżka, a tu Aga jeszcze ma przyjechać. Jeśli będzie jechać tak jak my, to dotrze o północy.

– Może nie będzie tak źle. Zadzwoń wreszcie do niej.

– No nareszcie! – przywitała mnie Aga. – Już myślałam, że nie wrócisz!

– Strasznie długo jechałam, warunki na drodze są tak okropne, że aż nie do opisania! – oburzałam się. – Właśnie myślę o tym, jak do nas dojedziesz.

– A widzisz, ja byłam przewidująca. Jestem w okolicy. Będę u was za piętnaście minut! – Rozłączyła się swoim zwyczajem bez pożegnania.

Przyjechała trochę później niż po piętnastu minutach. Ja w tym czasie rozpakowałam torbę i zaparzyłam dla niej świeżutką kawę.

– Zawsze można na ciebie liczyć. – Odebrała ode mnie kubas i usiadła w fotelu. – Pyszna. – Popijała małymi łyчками.

Pozwoliłam jej na chwilę przyjemności w delektowaniu się smakiem kawy, ale nie zamierzałam długo czekać na wiadomości. Ciekawość wprost mnie zżerała, poza tym byłam zmęczona i chciałam jak najszybciej odpocząć. Marcelina wyniosła się do swojego pokoju, nie chcąc nam przeszkadzać.

– No mów – popędziłam ją.

Odstawiła kubek na ławę i się zamyśliła.

– No mów! – krzyknęłam.

– Co ty taka niecierpliwa? – Naprawdę była zdziwiona moją reakcją.

– Jestem ciekawa. Od rana trzymasz mnie w niepewności.

– A właśnie, jak było?

Zabiła mnie tym pytaniem.

– Aga! – huknęłam. – Mów albo...

– Albo co? – Zdziorność w jej głosie graniczyła z jawną zaczepką. Niegrzeczną zaczepką. Zrobiło mi się przykro. Nigdy tak ze mną nie rozmawiała. – Nie chcesz, to nie mów. – Wzruszyła ramionami.

– Ty też – odpaliłam i wstałam. Nie znosiłam takich gierek słownych i Aga doskonale o tym wiedziała. Dlaczego postąpiła wobec mnie tak... dziwnie? Podeszłam do okna i z przyzwyczajenia wyjrzałam na zewnątrz. Nic. Pusto. Tylko w świetle latarni wirowały grube płatki śniegu.

Obie milczałyśmy. Nie miałam zamiaru więcej pytać. Znała mnie, musiała wiedzieć, że nie odezwę się pierwsza. Miałam gdzieś jej rewelacje związane z firmą. W tej właśnie chwili postanowiłam definitywnie odejść. Pomogła mi podjąć decyzję.

– Wiktor sprzedaje firmę – powiedziała wreszcie.

– Już to mówiłaś. – Miałam nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco obojętnie.

– Nie obchodzi cię to?

– Szczerze mówiąc, już nie. Postanowiłam odejść.

– Michasia, no co ty! – Wreszcie jakaś normalna reakcja. – Wygłupiasz się!

– Nie, nie wygłupiam. – Byłam zła. – Wiosną przenoszę się na wieś. – Usiadłam na kanapie i patrzyłam na zdumioną minę Agi.

– A praca? – zapytała niepewnie.

– Rzucam pracę. Będę żyła ze sprzedaży jabłek, jeśli o to pytasz. – Byłam złośliwa. Złośliwa i coraz bardziej zła.

– Michasia, chyba się nie obraziłaś? – Pytanie zawisło między nami. – Chciałam poprosić cię o radę.

– To dlaczego tego nie zrobiłaś, tylko bawisz się w słowne podchody?

– Przepraszam. Nie sądziłam, że tak to odbierzesz.

– A jak miałam odebrać? Reglamentujesz mi informacje, zmieniasz temat i na dodatek jesteś zdziwiona, że się denerwuję. Wiesz, komu Wiktor chce sprzedać firmę? I dlaczego? – Nie miałam zamiaru rozwlekać tematu.

– Nooo... właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. – Jakoś straciła rezon. – Zaproponował kupno mnie – powiedziała wreszcie.

– No i? – Jednak byłam zaskoczona.

– Nie mam tyle pieniędzy. Muszę spłacić Andrzeja, wiesz, jego część mieszkania. Zgodził się, żebym została z chłopcami tu, gdzie mieszkamy. Dogadaliśmy się, że nie będzie płacił alimentów na poczet tej spłaty. Ale i tak mi brakuje. Pomyślałam więc, że może ty byś kupiła część. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą, zanim zaproponuję to Wiktorowi. – Patrzyła na mnie smutno. – Ale skoro chcesz zrezygnować z pracy, to już nie wiem. Chyba niepotrzebnie tu przyszedłam.

– A na jakich warunkach miałoby dojść do tego kupna?

– Wiktor chce wyjechać z rodziną. Przyjeżdżałby do Polski raz na kwartał lub w razie potrzeby. Reszta w moich lub w naszych rękach. I oczywiście zdalne zarządzanie.

Zastanawiałam się nad propozycją Agi, ale byłam zbyt zaskoczona, żeby tak szybko podjąć jakąkolwiek, nawet wstępną decyzję. Musiałam poznać szczegóły. W pewnym sensie była to dobra propozycja. Gdybym była w stanie pracować zdalnie, to mogłabym kupić część firmy. Przynosiła spore zyski, więc miałabym stały dochód. Bo na pewno chciałam wrócić na wieś. To już postanowiłam.

Przyglądała mi się wyczekująco.

– To jest do rozważenia. Ale pod pewnymi warunkami. Nie wiem, czy wyrazicie na to zgodę.

– Nie wiem na co, ale chyba się domyślam. O wszystkim zdecyduje Wiktor.

– Do kiedy trzeba podjąć decyzję?

– Nie wiem, nie mówił. Ale pewnie dość szybko. Będiesz jutro w pracy?

– Będę, pewnie, że będę. Umów spotkanie z Wiktozem, musimy to przedyskutować. – Na razie nie powiedziałam jej, że jeśli nie kupię części udziałów, to pożyczę jej pieniądze. Zresztą, nawet nie zapytałam o cenę, a ona też nie powiedziała. Ale skoro jest to prawie w jej zasięgu, to chyba nie powinna być

wygórowana.

– Pójdę już. – Podniosła się z fotela, a ja jej nie zatrzymywałam. – Cieszę się, że chociaż rozważysz propozycję kupna. Szczerze mówiąc, liczyłam na ciebie. Ale tak mnie zburczałaś...

– No zburczałam cię, przepraszam. – Trochę jeszcze byłam na nią zła.

– To ja przepraszam. Sprowokowałam cię, chociaż nieświadomie. Ale jestem podenerwowana całą tą sytuacją. Chętnie bym kupiła te udziały, ale oprócz tego, że brakuje mi kasy, zwyczajnie mam stracha. Żadna ze mnie bizneswoman.

– Ze mnie też, ale strach ma wielkie oczy. Przecież siedzisz w tej firmie od początku, znasz ją od podszewki, a Wiktor na pewno częścią spraw się zajmie, a czym nie będzie mógł, to pokieruje. Nie bez powodu to właśnie tobie złożył propozycję. Dasz radę.

– Naprawdę tak myślisz? – pytanie zadała jakby nie moja Aga, zwykle zdecydowana, twarda i wiedząca, czego chce, teraz wystraszona do granic możliwości. Zrobiło mi się jej żal.

– Naprawdę. Nie histeryzuj. Zresztą, sama to wiesz. – Uśmiechnęłam się do niej.

– Dzięki. Kochana jesteś. – Przesłała mi buziaka. – A teraz naprawdę już pójdę.

Odprowadziłam ją do przedpokoju i tam uścisnęłyśmy się serdecznie, jak dotychczas bywało. Od razu zrobiło mi się lżej na duszy, nie lubiłam się boczyć.

Zajrzałam do Marceliny, zasnęła w ubraniu. Pewnie znudziło ją czekanie i brak zajęcia. Nie miałam serca jej budzić, przykryłam ją tylko pledem, niech śpi. Chciałam chwilę pobyć sama, musiałam przemyśleć propozycję Agi. Żałowałam, że nie ma obok mnie Waldka. Na pewno wsparłby mnie dobrą radą i podzielił się swoim spokojem. Potrzebowałam tego. I tęskniłam za nim. W pierwszym odruchu wzięłam telefon i chciałam do niego zadzwonić, ale zanim wybrałam numer, zrezygnowałam. Najpierw sama uporządkuję wszystkie informacje, przemyślę, czego chcę, i dopiero potem zapytam Waldka. Nie chciałam, żeby pomyślał, że się narzucam.

Napuściłam wody do wanny i zanurzyłam się w pachnącej igliwem pianie. W domu panowała cisza. Zamknęłam oczy i pomyślałam o nocy spędzonej z Waldkiem. Uśmiechnęłam się na wspomnienie jego pieśczoć i tego, jak chętnie je przyjmowałam. Musiałam przyznać, że był wirtuozem. Pamięć jego dotyku wywołała we mnie przyjemne dreszcze, z trudem otrząsnęłam się z tych myśli i powróciłam do rzeczywistości. Ciepła kąpiel i świeże jeszcze przeżycia rozleniwiły mnie tak bardzo, że zrobiłam się senna, więc szybko poszłam do sypialni. Przed snem zamierzałam jeszcze przemyśleć swoje oczekiwania związane z ewentualnym kupnem części firmy Wiktora, ale nawet nie zapamiętałam chwili, w której dotknęłam głową poduszki i od razu zasnęłam.

O siódmej obudziła mnie Marcelina. Z trudem wracałam do rzeczywistości, nie mogłam rozkleić oczu. Czułam tylko intensywny zapach migdałów i delikatne poszarpywanie za ramię.

– Michasia! Wstawaj! Miałaś dzisiaj iść do pracy!

Niech to szlag, na śmierć zapomniałam nastawić budzik.

Usiadłam zaspana na łóżku.

– Rany, czuję się, jakbym spała tylko godzinę! Co tu tak pachnie?

– Nic nie pachnie, no co ty? – zdziwiła się moja siostra.

– Naprawdę nic nie czujesz? – Zwlokłam się wreszcie z trudem. – Pachnie migdałami.

– Nie czuję, ale może to mój balsam. A właściwie twój. Użyłam po kąpeli. Znalazłam w szafce pod umywalką. Chyba właśnie migdałowy.

– Daj się powąchać!

Marcelina posłusznie podstawiła mi pod nos gołe ramię. Pachniała delikatnie, a zapach w pokoju był intensywny.

– Ładnie – nie chciałam ciągnąć tematu. – Zapomniałam, że go tam postawiłam.

– Zrobię ci śniadanie – zaproponowała. – A ty idź się szykować.

Posłusznie poczłapałam do łazienki. Myjąc zęby, myślałam o zapachu migdałów. Spojrzałam w lustro, ale zobaczyłam tam tylko siebie, niemiłosiernie rozczochraną. Włosy już mi odrosły, prosiły się o rękę fryzjera. Oczy miałam zaspane, nieprzytomne. Po raz pierwszy w życiu nie miałam ochoty iść do pracy. A jeszcze nie tak dawno cieszyłam się na powrót. Teraz wolałabym zostać w domu, a najlepiej być z Waldkiem i o niczym nie myśleć, tylko wtulać się w niego.

Westchnęłam i weszłam pod prysznic z nadzieją na otrzeźwienie. Niestety, nie poprawił mi nastroju. Musiałam mieć to wypisane na twarzy, bo na mój widok Marcelina tylko przewróciła oczami.

– Zrobiłam ci kawę.

Pierwszy raz to ona krzątała się w kuchni, a ja siedziałam i czekałam na posiłek. Postawiła przede mną miskę z owsianką. Poczułam ucisk w gardle.

– Chyba nie mam apetytu.

Wypiłam łyk z kubka.

– Ja ci dam „nie mam apetytu”! – Moja siostra spojrzała na mnie groźnie. – Masz zjeść, nie przyjmuję odmowy. Inaczej nie wypuszczę cię z domu.

Nie poznawałam jej. Do tej pory była potulna i pokorna, sprawiała wrażenie bezradnej i zagubionej, dzisiaj zaprezentowała się jako dziewczyna zdecydowana i bardzo zorganizowana. Po jej słowach odruchowo przełknęłam dwie łyżki owsianki. Dobra była, z suszonymi owocami i orzechami. Przełknęłam trzecią, potem czwartą, kolejne zjadałam już z przyjemnością.

– Dziękuję, zjadłam. – Uśmiechnęłam się do siostry i oddałam jej pustą miskę.

– No widzisz! – Kiwnęła głową z aprobatą, jak troskliwa mamusia do swojego dziecka. – Jak chcesz, to potrafisz!

Pokazałam jej język. Nie chciało mi się ruszyć, popijałam więc kawę małymi łyżkami, żeby tylko maksymalnie opóźnić moment wyjścia z domu. Patrzyłam, jak Marcelina sprząta kuchnię. Czuła się już jak u siebie. Ja wprost przeciwnie. Po wizycie u Waldka, po wspólnie spędzonej nocy, czułam się tutaj obco. Jakbym wróciła z dalekiej podróży, a ktoś w tym czasie zagospodarował moje miejsca w obcy mi sposób i zaprosił tylko w gościnę. Nawet nie było mi żal lat spędzonych tutaj, tego wszystkiego, co przeżyłam wspólnie z Pawłem, a potem już sama. Miałam wrażenie, że podglądam cudze życie, jakby przede mną rozgrywał się film.

– Muszę się zbierać – westchnęłam. – Nie wiem, co zrobić.

– Co masz na myśli? – Marcelina przerwała wycieranie naczyń i patrzyła na mnie zdumiona.

Prawda, przecież ona nie wie o propozycji Agi. Spojrzałam na zegarek, dochodziło wpół do dziewiątej, było za późno, żeby ze szczegółami jej to opowiedzieć. Poza tym musiałam się jeszcze ubrać i umalować. Na pewno się spóźnię tego pierwszego dnia po długiej nieobecności. Najbardziej jednak byłam zdumiona tym, że w ogóle mnie to nie obchodziło. To coś nowego w moim zachowaniu, coś, co nawet mnie zaskoczyło.

Marcelina wyraźnie oczekiwała wyjaśnień.

– Aga zaproponowała mi kupienie części firmy, w której pracuję. Właściciel chce ją sprzedać, a Aga nie ma dość pieniędzy i zaoferowała mi udział w tej inwestycji.

– I co? – Spytała ostrożnie i przysiadła na brzeżku krzesła, trzymając w jednej ręce garnek, w drugiej ściereczkę.

– No właśnie nie wiem, co zrobić. Mam ochotę, jeśli Wiktor się zgodzi, ale nie ukrywam, że także wiele obaw.

– Czego się boisz?

– Że zburzy to mój precyzyjny plan zamieszkania z tobą w Szamocinach. – Podniosłam się z krzesła. –

Ale czas już na mnie. Dzisiaj się wszystko rozstrzygnie. Opowiem ci po powrocie.

– Ale ja umrę z ciekawości! – Też podniosła się z krzesła, jakby chciała biec ze mną.

– To zadzwonię do ciebie, tylko odbierz telefon.

Marcelina dotychczas bardzo starannie unikała odbierania domowego telefonu. Udawała, że go nie słyszy. Nie rozumiałam dlaczego, ale wielu jeszcze rzeczy nie wiedziałam o swojej siostrze.

Dzisiaj pierwszy raz miała zostać sama w domu na tak długo, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa. Ciekawa byłam, jak zamierza spędzić ten czas. Teraz stała w progu sypialni i patrzyła, jak się ubieram.

– Co będziesz robić?

– Narysuję plan domu po babci. Obiecałam ci przecież. I ugotuję obiad. Mogę?

– Pewnie że możesz. – Ucałowałam tę moją niespodziewaną siostrę. – Jesteś u siebie. Chętnie spróbuję twojej kuchni. – Byłam ciekawa, co zamierzała ugotować, bo lodówka była niemal pusta. – A teraz zmykam. – Zabrałam torebkę, sprawdziłam, czy mam dokumenty, i westchnęłam ciężko: – Trzymaj kciuki, Marcyś. – Posłałam jej buziaka i wyszłam.

Oczywiście, jak przewidziałam, dojechałam spóźniona. W całej firmie panowała cisza, na korytarzu nikogo nie spotkałam. Dziwne, ale może to tylko zbieg okoliczności? Weszłam na swoje piętro, wszędzie pustki i cicho. Może nastąpiły jakieś zmiany? Przeprowadzili się? Ale nie, biurka były ustawione w ten sam sposób, rozpoznawałam rzeczy stojące na nich, charakteryzujące właścicieli. Może mają jakąś naradę? Bo chyba wszyscy się nie spóźnili?

Poczułam niepokój. Postawiłam torebkę na swoim pustym biurku. Na biurku Agi leżały porozkładane dokumenty, to znaczy, że była już w pracy. Rozejrzałam się – wszędzie to samo. Ruszyłam do gabinetu Wiktora. Miał zamknięte drzwi, na pewno jakaś narada. Ale jak oni się tam wszyscy zmieścili? Zapukałam i nie czekając na zaproszenie, weszłam.

Ogłuszyły mnie oklaski. Byli tam wszyscy, rozradowani i szczęśliwi, że mnie widzą. Poczułam, że zaczynam płakać, nie byłam w stanie powstrzymać łez. Naprawdę cieszyli się na mój widok, nie było ani jednej twarzy, która uśmiechałaby się z przymusu.

Poczułam, że ktoś mi wciska w ręce ogromny bukiet kwiatów, nagle setka rąk poklepywała mnie po plecach, ktoś mnie obejmował, ktoś inny całował z dubeltówki. Nie widziałam już nic, bo łzy zamazywały mi obraz.

– Michasia! Jak dobrze, że wróciłaś! Michasia, witaj, tęskniliśmy za tobą! Cieszymy się, że wreszcie jesteś z nami!

No kurczę! Powitanie przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Dopiero teraz poczułam, jak za nimi wszystkimi tęskniłam.

– Kochani! Zupełnie nie wiem, co mam powiedzieć! Tak bardzo mnie zaskoczyliście! Jestem autentycznie wzruszona! – Ocierałam z policzków łzy i pociągałam nosem, ktoś podał mi chusteczkę.

Wiktor stał wśród tłumu i uśmiechał się do mnie ciepło, Wojtek wyciągnął zza pleców butelkę szampana.

– Trzeba to uczcić!

Korek strzelił niemal natychmiast, ktoś podstawił tacę z kieliszkami, ktoś inny rozdawał je napełnione.

– Wreszcie jesteśmy w komplecie – Wiktor rozpoczął przemowę. – Michasiu, martwiliśmy się o ciebie i myślami byliśmy razem z tobą. Cieszymy się, że nareszcie wróciłaś. – Gwar był nie do opisanego, każdy podchodził i życzył mi zdrowia. Impreza na całego. Naprawdę byłam bardzo wzruszona.

– Rozmawiałam już wstępnie z Wiktorem – szepnęła mi Aga, kiedy wreszcie udało jej się do mnie dopchać. – Powiedział, że nie ma nic przeciwko. O jedenastej mamy spotkanie, omówimy szczegóły.

Po dziesiątej wreszcie wszystko ucichło, każdy wrócił do swojego biurka, żeby zająć się pracą. Ja nie

miałam co robić, spróbowałam się zalogować do służbowej poczty.

– Musisz chyba odświeżyć hasła. Po tylu miesiącach na pewno wygasły. – Wojtek usiadł obok Agi i podał jej plik dokumentów. – Tu masz założenia techniczne tego projektu dla skarbowki. Do końca tygodnia mają przysłać parametry swojego sprzętu i łączy. Nie wiem, czy uda się to spiąć, mają niewielkie możliwości, ale poczekamy. Po południu przyślę ci schemat kampanii dla tych kamieniarzy z Mławy, teraz lecę, bo mam za chwilę spotkanie z klientem. Pa! – Cmoknęła ją w policzek.

Do naszego spotkania z Wiktorem zostało jeszcze pół godziny. Zaczynałam się denerwować. Usłyszałam, że piknął sygnał SMS-a. To od Waldka. „Puk puk, jest tam kto?” Uśmiechnęłam się do telefonu i wysłałam ikonkę całusa: „Do usłyszenia później. Ściskam mocno”.

– Chodź na kawę. – Aga pociągnęła mnie do kuchni. – I tak nie mogę skupić się na niczym. Pogadamy sobie, jeśli będzie pusto.

W kuchni była Maryla z księgowości, zmywała kieliszki po szampanie. W milczeniu, z opuszczoną nad zlewem głową pociągała nosem. Głupio mi było zapytać o powód, tym bardziej że wyraźnie całą postawą dawała do zrozumienia, żeby dać jej spokój. Jakoś tak chyłkiem wyszła z kuchni, kiedy skończyła. Spojrzałam pytająco na Agę.

– Co jej jest? – Maryla zawsze była bardzo zamknięta, nigdy nie widziałam jej wyrażającej jakieś gwałtowne emocje, a tym bardziej płaczącej. Zwykle była uśmiechnięta i sprawiała wrażenie zadowolonej.

– Nikt nie wie na pewno, bo ona nikomu nic nie mówi. Nie zwierza się. Ale podobno jest w ciąży.

– I z tego powodu płacze?

– Chyba tak. Kiedyś mówiła, że nie lubi dzieci i nie chce ich mieć.

– To nie mogła się zabezpieczyć? – dziwiłam się. Jeśli ktoś nie lubi dzieci i nie chce ich mieć, to ma różne możliwości. Dlaczego Maryla z nich nie skorzystała?

– A kto ją tam wie? Może skorzystała, tylko nie zadziało.

– To szkoda mi i jej, i tego dziecka.

– Mnie też. Ale może jeszcze jej się zmieni? Na razie jest zaskoczona, a potem może instynkt się obudzi, kto wie? Z mlekiem chcesz? – Aga nalewała wodę z czajnika.

– Z mlekiem.

Właściwie nie powinnam już pić tej kawy. Jedna dziennie miała mi wystarczyć, a to była już druga. Usiadłyśmy przy stoliku w kuchni.

– I co mówił Wiktor na twoją propozycję? – Byłam ciekawa, czy jest szansa na cokolwiek.

– Zgadza się, jeśli tylko zaakceptujemy warunki.

– Znasz je?

– Tylko pobieżnie. Też jestem ciekawa szczegółów. Chociaż stanowisko dyrektora zarządzającego całkowicie by mi wystarczyło.

– To powiedz mu to. Mnie też nie do końca pasuje bycie właścicielem. Ale jak ma sprzedać obcemu, to lepiej nam.

– No właśnie. Podobno kręcił się tutaj jakiś Rosjanin. Sporo wiedział o firmie, aż Wiktor był zdziwiony skąd...

Spojrzałam na Agę zaskoczona. Nie słuchałam już, co mówi. Włączyła mi się lampka alarmowa. Rosjanin?

– Widziałas tego Ruska? – weszłam jej w słowo. Zamilkła zaskoczona i gapiła się na uważnie.

– Nie, nie widziałam.

Na jej twarzy szalała burza myśli.

– Michaśka, chyba nie myślisz, że... że to ten TWÓJ Rosjanin?

– Pojęcia nie mam, ale trzeba zachować czujność. Nie wejść w żaden podejrzany interes.

– O cholera! Ja też nie! – Ze zdenerwowania na dekolcie pojawiły jej się krwiste plamy. – Że też o tym nie pomyślałam!

– Daj spokój, a dlaczego miałabyś pomyśleć? Zresztą może to zbieg okoliczności, może to tylko moja chora wyobraźnia.

– Chora czy nie chora, lepiej być czujnym. Wiktor też przecież o wszystkim nie wie, trzeba mu powiedzieć. – Spojrzała na zegarek. – Chodźmy, dochodzi jedenasta. – Wstała.

– A nie wiesz, czy będzie ktoś jeszcze? – spytałam pod drzwiami gabinetu Wiktora.

– Chyba nie, ale nie wiem na pewno. Teraz to się zdenerwowałam, wiesz?

– Lepiej trzymać nerwy na wodzy – powiedziałam zimno – bo nas łatwo wykiwają. Wprawdzie Wiktora nie podejrzewam, ale, jak sama zauważyłaś, on nic nie wie. Nie wiadomo, jak zaawansowane są rozmowy i czy w ogóle się toczą.

Byliśmy sami – Aga, ja i Wiktor. Wiktor wyglądał kiepsko. Był nieogolony, przez co wyglądał dość niechlujnie, oczy miał podkrążone, matowe. Wokół ust pojawiły mu się głębokie zmarszczki. Postarzał się o dobrych kilka lat, odkąd go ostatni raz widziałam. Milczał, patrząc w okno, zupełnie jakby nie miał nam nic do powiedzenia.

– Wiktor – postanowiłam zagaić rozmowę – co się dzieje? Dlaczego chcesz sprzedać agencję? Przecież prosperuje dobrze, przynosi zyski.

– Potrzebuję mnóstwo pieniędzy na leczenie i rehabilitację Zuzi. Dlatego nie sprzedaję całości, bo potrzebuję również stałych dochodów – wyjaśnił. – Poza tym nie będę mógł angażować się w sprawy firmy tak jak dotychczas. Potrzebuję kogoś zaufanego tutaj na miejscu, bo ja chcę być razem z Natalią i Zuzią. Szczególnie przez najbliższe miesiące.

Rozumiałam go, ale pomyślałam, że działa zbyt pochopnie.

– Dziewczyny, zrozumcie, ja nie mam wyjścia. Jeśli wy nie kupicie udziałów, będę musiał sprzedać firmę komuś obcemu.

– Mów. – Aga już zapanowała nad emocjami. – Podaj ostateczną cenę i warunki.

Okazało się, że cena była poza moim zasięgiem. Musiałabym zainwestować wszystko, co mam, a to oznaczałoby weryfikację wszystkich moich planów. Nie miałam zamiaru z nich rezygnować, dopiero co zaplanowałam przyszłość. Nie chciałam już żyć tak jak dotychczas, choroba i otarcie się o śmierć przewartościowały moje priorytety. Chciałam być blisko Waldka. Oferta Wiktora nie pozwoliłaby na to. Jako współwłaściciel musiałabym być na miejscu, praca zdalna nie wchodziła w rachubę. Poczulałam ulgę.

– Ja pasuję – powiedziałam radośnie. Spojrzeli na mnie zaskoczeni. – Nie stać mnie na to. Poza tym chcę wrócić na wieś. Prawdę mówiąc, miałam zamiar złożyć dzisiaj wypowiedzenie, ale Aga namówiła mnie na tę rozmowę, więc postanowiłam wstrzymać się z ostatecznymi decyzjami. Ale w tej sytuacji nie ma co dalej drażyć tematu.

– Mnie też nie stać na to, co mi zaproponowałeś. – Aga była wyraźnie zawiedziona. – Mogę kupić mniejszą część, jeśli ci to pasuje.

– Szkoda. – Wiktor wyraźnie posmutniał. – Myślałem, że będziemy współnikami. Aga, ja oczywiście mogę ci sprzedać mniej, ale ponieważ i tak muszę sprzedać tę część, na którą cię nie stać, więc będzie to zależało od trzeciego współnika. Mam jednego chętnego, ale on chce kupić konkretną część, więc nie wiem, czy się zgodzi na mniej. A ja jestem pod ścianą.

– Czy to ten Rosjanin, o którym aż huczy od plotek? – Aga zapytała wprost.

– Tak, ten pan jest Rosjaninem od lat mieszkającym w Polsce – potwierdził Wiktor. – Jestem z nim umówiony dzisiaj o czternastej. Prosiłbym cię, Aga, żebyś była w pogotowiu, jeśli dojdziemy do porozumienia, poproszę cię na dalsze rozmowy.

– OK.

Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo.

– A ty, Michasia, jesteś pewna, że chcesz odejść?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Może zastanów się jeszcze, co? Nie chciałbym cię stracić, jesteś cennym członkiem zespołu.

– Wiktor, poznałam kogoś i zamierzam wyjechać do niego na wieś. Nie chcę już mieszkać w mieście.

Paweł zostawił mi dość pieniędzy, wystarczy na remont domu po babci i na przetrwanie przez jakiś czas.

Będę musiała poszukać innej pracy albo wymyślić nowy sposób na zarobkowanie. Zostanę w firmie tyle,

ile zakłada okres wypowiedzenia. Żadnego nowego projektu raczej nie wezmę, ale mogę uczestniczyć

w pracach nad innymi przedsięwzięciami.

– A może mogłabyś współpracować z nami jako niezależny konsultant? – zaproponował Wiktor. –

Wtedy mogłabyś pracować w domu i tylko od czasu do czasu przyjeżdżałabyś do Warszawy. Co ty na to?

– Bardzo chętnie, ale co na to powie nowy wspólnik? – Jakoś trudno mi było uwierzyć, że się zgodzi.

– Oczywiście porozmawiam z nim o tym, ale to ja będę głównym udziałowcem i to ja będę podejmowa-

łał kluczowe decyzje, także w sprawie zatrudnienia. – Uśmiechnął się do mnie. – Zakładam, że ty, Aga,

zgadzasz się na taką formę współpracy?

– Pewnie, że tak.

– W takim razie wstrzymam się jeszcze z ostatecznymi decyzjami. I już wam nie przeszkadzam, na

pewno macie do omówienia jeszcze wiele spraw. – Podniosłam się z krzesła. – Skoczę teraz na lunch,

a potem rozejrzę w projektach. Na razie.

– Na razie.

W drzwiach obejrzałam się, ale oboje byli już pochyleni nad sprawozdaniem finansowym.

Naprawdę czułam ulgę. Bałam się, że ulegnę pokusie i kupię część firmy. Z jednej strony miałam na to

ochotę, ale z drugiej strony bez żalu podjęłam decyzję. Inaczej nie zmieniłabym w swoim życiu niczego.

Tydzień, dwa i znowu żyłabym pracą.

W barze naprzeciwno kupiłam kanapkę z pieczonym indykiem i sałatą. Usiadłam przy oknie i jedząc,

obserwowałam ulicę. Rzadko tu przychodziłam, ale dzisiaj zrobiłam to specjalnie, bo miałam nadzieję,

że zobaczę owego Rosjanina. Ze swojego miejsca widziałam wejście do pracy. Chciałam się upewnić,

a on musiał tędy wejść. Jeśli to był on, na pewno go rozpoznam.

Do czternastej brakowało jeszcze godziny. Zamówiłam deser i postanowiłam zadzwonić do Waldka.

Na samą myśl o nim poczułam w sercu ciepło. Nie minęła jeszcze doba od naszego pożegnania, a ja już

tęskniłam.

Z niecierpliwością czekałam na połączenie.

– Cześć, kochanie – usłyszałam ciepły głos Waldka. – Wszystko w porządku?

– W porządku, jak najbardziej. A u ciebie?

– Też. Bardzo za tobą tęsknię! – przyciszył głos, jakby nie chciał, żeby ktoś go usłyszał. – Przepra-

szaam, ale nie mogę teraz rozmawiać. Mam kontrolę z urzędu skarbowego. Mogę zadzwonić do ciebie

wieczorem?

– Oczywiście. Będę czekać. Trzymaj się!

Byłam trochę zawiedziona, bo bardzo chciałam z nim pogadać. Ale skoro nie może, to trudno. Jakoś

wytrzymam do wieczora.

Deser mnie rozczarował. Po kilku kęsach odstawiłam talerzyk z szarlotką. Przypomniałam sobie, że

miałam zadzwonić do Marceliny. Ciekawe, czy odbierze.

– Halo? – Głos miała wystraszony i niepewny.

– To tylko ja, Michasia. – Roześmiałam się. – Jak mija dzień?

– Aaa, dobrze, bardzo dobrze. – Wyraźnie usłyszałam, jak się odprężyła. – Jak tam twoje interesy?

– Mam dobrą wiadomość, nie kupuję!

– Hura! – wrzasnęła, aż odsunęłam od ucha telefon.

– Też się cieszę, wariatko!

– Już się bałam, że jednak kupisz.

– Powiem ci coś w tajemnicy. Ja też się bałam! I mam jeszcze dla ciebie sporo nowin, ale opowiem ci wieczorem.

– Dobra, ja też mam dla ciebie nowinę.

– Jaką? – zapytałam zaniepokojona. Stanowczo zrobiłam się zbyt nerwowa i podejrzliwa.

– Dzwoniła do ciebie jakaś pani z agencji nieruchomości i koniecznie chce się z tobą spotkać i podpisać umowę. Mówi, że ma klienta na twoje mieszkanie. – Wydało mi się dziwne, że dzwoniła na numer domowy, skoro w ogłoszeniu podałam numer komórki. Znowu zrobiłam się czujna.

– Zostawiła namiary?

– Tak, już ci podaję.

Zapisałam numer na serwetce.

– Dzięki, skarbie, zaraz do niej zadzwonię.

Wprawdzie rozważałam współpracę z jakąś agencją nieruchomości, ale wolałabym sama ją wybrać. No i skąd ta pani znała mój numer domowy?

Zamyślona o mało nie przegapiłam eleganckiego, czarnego jaguara, który zatrzymał się przed wejściem do agencji. Serce zabiło mi mocno i wstrzymałam oddech w oczekiwaniu, kto z niego wysiadzie.

Kiedy wysiadł kierowca, żeby otworzyć drzwi pasażerowi, zrobiło mi się słabo. Przeczucie mnie nie myliło. To był blondyn przesiadujący w bmw pod moim blokiem. Niech to szlag! Niech to jasny szlag! Właściwie nie musiałam już czekać, żeby zobaczyć, kto jest pasażerem jaguara. Nie byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam dystyngowanego starszego pana, który ukłonił mi się na pogrzebie Pawła. Za nim wysiadł młody mężczyzna, równie elegancki. Zmasowany atak.

Napisałam krótkiego SMS-a do Agi: „To on. Bądź ostrożna!”. Odpowiedziała niemal natychmiast: „OK, dzięki”.

Zastanawiałam się, czy wracać do pracy. Miałam ochotę jechać do domu i nigdy już się tu nie pojawić, ale nie chciałam tego robić Wiktorowi. Zapłaciłam więc rachunek i powlokłam się do biura.

– Dobrze, że jesteś – przywitała mnie szeptem Aga. – Boję się. Chyba zrezygnuję i poszukam sobie innej pracy.

– Daj spokój, sprzedać zawsze zdążysz, a jak kupisz, to Rusek dostanie mniej i nie będzie mógł się rzędzić.

– Może masz rację, ale i tak się bardzo denerwuję. – Szczękała zębami, jakby jej było zimno. – Posiedź ze mną.

– Posiedzę. Ale jak Wiktor cię wezwie, to chwilę poczekam i jadę do domu. Zadzwonisz do mnie, jak skończycie. Nie chcę się z nim spotkać. Zostawię na biurku podanie o rozwiązanie umowy, przekażesz je Wiktorowi, dobrze?

– Dobrze, Michaśka, chociaż wolałabym, żebyś została. Byłoby mi raźniej. Może jeszcze się zastanowisz?

– Też bym wolała, ale sama rozumiesz.

– Jasne, jasne. – Ze zdenerwowania zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Weź coś na uspokojenie i usiądź, ogarnij się! Nie możesz pokazać się taka wystraszona!

– Masz rację. – Usiadła sztywno, zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. – Dam radę, prawda?

– Pewnie, że dasz!

– Żeby to był ktoś inny, nie ten Rusek, byłoby inaczej. – Zadzwoił telefon. – To Wiktor! – Tak, już idę! – Odłożyła słuchawkę. – Trzymaj kciuki.

– Będę!

Patrzyłam, jak odchodzi. W miarę zbliżania się do gabinetu Wiktora prostowała plecy i jakby rosła. Da sobie radę, pomyślałam.

Czas mijał powoli, jak zwykle, gdy się na coś czeka. Napisałam podanie o rozwiązanie umowy, ale je podarłam. A, poczekam z tym jeszcze. Przejrzałam ulotki reklamowe, poszperałam w Internecie. Wreszcie postanowiłam zadzwonić do pani z agencji nieruchomości. A niech tam, jak nie zadzwonię, to niczego się nie dowiem.

Odebrała dopiero po siódmym sygnale.

– Dzień dobry, Jadwiga Cherubińska, agencja nieruchomości, w czym mogę pomóc? – Zawodowy, zmęczony głos wskazywał na kobietę w wieku więcej niż średnim.

– Dzień dobry pani, nazywam się Michalina Szawłowska. Dzwoniła pani dzisiaj do mnie.

– Och, witam panią! Cieszę się, że pani dzwoni! Czy możemy się spotkać w celu omówienia warunków współpracy?

– Skąd pani wie, że jestem zainteresowana współpracą?

– Przepraszam, wszystko pani wyjaśnię podczas spotkania. Kiedy jest to możliwe?

– Nawet dzisiaj. – Postanowiłam iść na całość. – Woli pani u siebie w agencji, czy u mnie w domu?

– To zapraszam do agencji. Mieści się niedaleko pani pracy, będzie łatwiej.

Ciekawe skąd wiedziała, gdzie pracuję. Coraz bardziej mi się to nie podobało.

– Jestem już dzisiaj wolna. Proszę zanotować adres i przyjść o dogodnej dla pani porze.

– Doskonale, będę za dwadzieścia minut. Do zobaczenia.

Rzeczywiście, tylko trzy przecznice od biura. Postanowiłam iść na piechotę.

Jadwiga Cherubińska była drobną kobietą około sześćdziesiątki, szczupłą i zadbaną. Miała krótko ostrzyżone, siwe włosy i równie siwe, życzliwe oczy.

– Witam, bardzo miło mi panią poznać! – Wyciągnęła do mnie delikatną dłoń. – Zanim podadzą nam herbatę, muszę wyjaśnić, skąd wiem o pani mieszkaniu. – Otworzyła leżącą przed nią tekturową teczkę. – W październiku zeszłego roku zwrócił się do mnie pani mąż, pan Paweł Szawłowski, żeby pomóc państwu, a właściwie pani, w sprzedaży waszego wspólnego mieszkania. Dodam tylko, że znałam pana Pawła od wielu lat, bo pracowaliśmy razem w banku, a potem, kiedy oboje rozpoczęliśmy działalność na własny rachunek, nasze firmy bardzo ściśle ze sobą współpracowały. Proszę się więc nie obawiać żadnych podstępnych działań. Informacja o śmierci pana Szawłowskiego bardzo nami wstrząsnęła i serdecznie pani współczujemy. – Asystentka pani Jadwigi weszła, niosąc tacę z herbatą, więc moja rozmówczyni na chwilę zamilkła. Po jej wyjściu kontynuowała. – Nie miałam zamiaru wtrącać się w pani interesy, obserwowałam tylko ogłoszenie w Internecie, ale chyba nie miała pani zbyt wielu chętnych.

– Rzeczywiście, nie miałam – przytaknęłam. – Prawdę mówiąc, ostatnio zaczęłam rozważać współpracę z jakąś agencją nieruchomości, więc pani telefon i ewentualna propozycja pojawiają się w jak najbardziej odpowiednim momencie. Jestem podejrzliwa z powodu wielu zdarzeń, do których doszło w ostatnich miesiącach, więc proszę o wyrozumiałość.

– Rozumiem panią, ale, jak już mówiłam, proszę się niczego nie obawiać. Postanowiłam odezwać się do pani, ponieważ były wspólnik pana Pawła poszukuje mieszkania dla swojego syna.

Poczułam, jak wewnątrz siebie się jeżę. Ach tak!

– Pomyślałam o pani, może będzie pani zainteresowana. – Spojrzała na mnie i pośpiesznie dodała: – Oczywiście to pani podejmie ostateczną decyzję. Ale myślę, że warto rozważyć propozycję pana Szawłowskiego, jest wyjątkowo korzystna.

Milczałam.

– Nie będzie pani łatwo sprzedać tego mieszkania za cenę, której pani oczekuje. Rynek wtórny bardzo przysiadł, ludzie wolą kupować nowe lokale. Pan Szaposznikow natomiast woli kupić na rynku wtórnym. Jeśli chce pani przemyśleć wszystko spokojnie, to oczywiście możemy poczekać kilka dni. Nie ma pośpiechu. Może zasięgnie pani u kogoś fachowej porady. Ale to dobra propozycja, proszę mi wierzyć. Dodam, że pan Szaposznikow jest osobą wypłacalną i bardzo skrupulatną w interesach. Przez dziesięć lat współpracy nie zawiódł ani razu.

– Może rzeczywiście poproszę o czas do namysłu. – Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby w tej chwili coś racjonalnego postanowić.

– Doskonale. Proszę mnie poinformować o swojej decyzji bez względu na to, jaka ona będzie. – Uśmiechnęła się. Teraz jej oczy przybrały fiołkowy odcień.

Po wyjściu z agencji udałam się do pobliskiej kawiarni. Musiałam ochłoniąć i przemyśleć zdarzenia dzisiejszego dnia. Byłam oszołomiona.

A więc nazywa się Szaposznikow. Że też Paweł nigdy nie wymówił jego nazwiska, tyle lat współpracy, a on nic. Znałam wszystkich współników i ich żony, a Szaposznikowa nie. Dziwne, ale ze względu na przeszłość Pawła, nie powinnam być już niczym zdziwiona. Czego jeszcze się o nim dowiem? Muszę się kogoś poradzić. Może Aga znajdzie czas? Sprawdziłam, czy jest jakaś wiadomość od niej, ale nie, żadnego SMS-a ani nieodebranego połączenia.

Zostawiłam niedopite espresso i poszłam wolno do samochodu. Nie miałam zamiaru pokazywać się w biurze, postanowiłam pojechać do domu. Zdecydowałam, że nie powiem o wszystkim Marcelinie, zauważyłam, że i tak jest mocno zestresowana, nie chciałam jej dokładać kłopotów. Przecież i tak mi nie doradzi. Że też wszyscy są czymś zajęci! Czułam, że pęknę, jeśli z kimś szybko nie porozmawiam!

W progu powitał mnie apetyczny zapach.

– Co tak ładnie pachnie?

– Zapiekanka ziemniaczana! – Marcelina pękała z dumy.

– Wychodziłaś do sklepu?

– A skąd! Zrobiłam przegląd lodówki i zamrażarki. Coś tam znalazłam, ale trzeba jechać na zakupy, bo już nic nie zostało. Tylko światło się świeci – zażartowała.

– Możemy pojechać, jak zjemy. Pachnie wspaniale! Kiedy będzie gotowe?

– Za piętnaście minut. Rozbierz się, a ja nakrywam do stołu.

Było pyszne. W życiu nie przypuszczałam, że z ziemniaków można zrobić coś tak wyśmienitego. Po prostu rozpływało się w ustach.

– Dzwoniłaś do tej agencji?

Moja siostra przystąpiła do sprzątnięcia po obiedzie.

– Nawet byłam tam.

– I co?

– Sama nie wiem. Muszę przemyśleć i poprosić kogoś o radę.

– O, to chyba nie mnie. Ale opowiedzieć mi możesz. Jak myślisz? Wstawić do zmywarki, czy pozmywać ręcznie?

– Jak chcesz, wszystko jedno. Ja mogę pozmywać.

– Wiesz co, to na razie wstawię do zlewu, a ty mi opowiedz. Odpoczniemy chwilę i pojedziemy na zakupy, pasuje ci taka kolejność?

– Pasuje. To chodźmy do sypialni, muszę się wyciągnąć. Zmęczył mnie ten dzisiejszy dzień.

Nawet nie wiem, kiedy opowiedziałam Marcelinie wszystko – o sprzedaży agencji przez Wiktora i o tym, kto ma zamiar kupić jej część, o propozycji Jadwigi Cherubińskiej i swoich rozterkach związa-

nych z tym wszystkim.

– Kurczę, ale się porobiło! – Kręciła z niedowierzaniem głową. – To wszystko wygląda tak, jakby ten Rusek zawziął się na ciebie. Z każdej strony się pojawia.

– No właśnie, i to mnie martwi. Nawet zaczynam się bać.

– E tam, bać to się chyba nie musisz. Ale z tym mieszkaniem to rozważ. Co ci szkodzi sprzedać właśnie jemu? Kasa to kasa. Pieniądz nie śmierdzi, jak mawiał mój dziadek.

– Czasem śmierdzi – mruknęłam.

– Jeśli kradniesz, to nawet cuchnie. Ale ty nie kradniesz, tylko sprzedajesz mieszkanie. Przecież gdybyś sprzedawała komuś zupełnie obcemu, to też byś nie wiedziała, skąd pochodzą pieniądze.

Znowu poraziła mnie prostota jej rozumowania.

– Poradź się jeszcze Waldka. Ale to nie jest zła propozycja. Zobacz, sama mówiłaś, że wystawiłaś mieszkanie na sprzedaż jeszcze w zeszłym roku. Ilu miałaś chętnych?

– Chyba mnie przekonałaś, ale jeszcze porozmawiam z Waldkiem i Agą. Na szczęście nie muszę decydować o tym jutro. Tylko gdzie zamieszkamy, gdy sprzedam mieszkanie teraz?

– Pojedziemy do Waldka albo wynajmiemy coś małego. Przetrywamy, nie martw się na zapas.

Zrobiło mi się lżej, wszystko nie wyglądało już tak czarno, jak przed kilkoma godzinami.

– No to możemy teraz jechać do marketu, bo potem będę czekała na telefon od Waldka. – Poderwałyśmy się z łóżka i w pięć minut byłyśmy gotowe. Dobrze mieć Marcelinę przy sobie.

W kolejce do kasy odebrałam telefon od Agi.

– Mów w skrócie, bo jestem w sklepie. Oddzwonię, jak wrócę.

– To powiem tylko, że wszystko jest OK. Dopiero skończyliśmy, pędzę teraz do domu. Zdzwonimy się wieczorem. Pasuje ci około dwudziestej drugiej?

– Pasuje. Buźka.

– Słuchaj, po co my kupiłyśmy tyle tego wszystkiego? – zapytała Marcelina, pakując zakupy do bagażnika. Zabrakło miejsca i część trzeba było położyć na tylnych siedzeniach.

– Bo nie cierpię chodzić na zakupy i zawsze kupuję na zapas. Spakowałaś? To wskakuj i jedziemy do domu, bo już mam dosyć.

Z włączonym silnikiem czekałam, aż się wgramoli.

– Też nie lubię zakupów – stwierdziła.

– I tak dziś mało ludzi, bo to i poniedziałek, i styczeń. Ludzie mają jeszcze poświąteczne zapasy.

– Mało ludzi? – Patrzyła na mnie ze zdumieniem. – Przecież tłok był jak diabli!

– Jaki tam tłok! Nie widziałaś tłoku.

– Matko! To straszne! Jak dobrze, że nie mieszkam w mieście.

– Jak dobrze, że ucieknę z miasta – dodałam. – A właśnie, jak plan domu? Narysowałaś?

– Narysowałam. Ciekawa jestem, co powiesz. To na razie szkic.

Podobało mi się i to jak!

– Super! Nie wpadłabym na taki pomysł! – entuzjasmowałam się.

– Cieszę się. – Była wyraźnie zawstydzona pochwałami.

– Poproszę Waldka, żeby umówił nas ze swoim kolegą, i pokażemy mu twój szkic. Niech zobaczy, czy jest możliwe zrobienie tego w ten sposób. Muszę poszukać planów domu, ale pojęcia nie mam gdzie. Może są w rzeczach ojca?

– Powinny być w gminie, jeśli w ogóle są. To stary dom.

– Zobaczymy. Ale pomysł bardzo mi się podoba.

– Jutro narysuję pawilon. Pomyślałam, że może by remont zacząć jednak od pawilonu, to robotnicy mogliby tam mieszkać. Albo my, jak już sprzedasz mieszkanie.

– Dobry pomysł, nie pomyślałam o tym. – Patrzyłam na nią z podziwem. Muszę zastanowić się nad dalszym jej kształceniem, na naukę nigdy nie jest za późno. Szkoda zmarnować taki talent.

Marcelina chłonęła pochwały zarumieniona i wyglądała, jakby nie umiała ich przyjmować, ale sprawiała jej wyraźną przyjemność. Pewnie niewielu pochwał wysłuchała w życiu.

Wyciągnęłam się na kanapie w salonie, a Marcelina na dywanie i jadłyśmy ze wspólnej miski popcorn. Dochodziła dwudziesta pierwsza.

– Waldek mógłby już zadzwonić – mruknęłam.

– Lubię Waldka. Fajnie, że jesteście razem.

– Nie wiem, czy jesteśmy razem. Ale chciałabym, żeby tak było. – Uśmiechnęłam się na myśl o nim. –

Podoba mi się. I to nawet bardzo.

– Ty jemu też. Od początku było to widać.

Już mi to kiedyś mówiła.

– Coś się z tego wykroi. Waldek nie jest kobieciarzem. To porządny facet. Nie to co inni.

Coś w jej głosie przykuło moją uwagę.

– Co masz na myśli?

– Nic szczególnego. Tak powiedziałam, ogólnie.

Nie patrzyła mi w oczy.

– Zresztą sama wiesz. Pomyśl o swoim mężu. Faceci są dziwni.

– Chyba nie wszyscy – powiedziałam niepewnie. Nie miałam wielkiego doświadczenia. – Kobiety też są dziwne, nie uważasz?

– Uważam. Są dziwne, czasem nawet dziwniejsze niż faceci. W ogóle ludzie są jacyś dziwni. – Wzruszyła ramionami. – Lepiej na nich uważać.

– Marcysia – położyłam się na boku i spojrzałam jej w oczy.

– Proszę, nie mów do mnie Marcysia. Nie cierpię tego.

– No dobrze. Ale szkoda. A więc Marcelinko... – Zawiesiłam głos, bo nie wiedziałam, jak zadać pytanie. – Marcelinko, a ty masz jakiegoś chłopaka? Albo miałas? Jeśli nie chcesz, to nie mów! – Od razu zastrzegłam, bo spojrzała na mnie oczami zbitego psa.

– Nie mam – burknęła.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie. Może kiedyś. Przepraszam.

Chyba była zła.

– Nie ma sprawy. – Nie cisnęłam, choć byłam ciekawa.

Zapadła niezręczna cisza. Na szczęście zadzwonił telefon.

– Cześć, Aga, co tak wcześniej dzwonicz? Miało być po dwudziestej drugiej.

– Ojej, rzeczywiście, nie spojrzałam na zegarek. – Roześmiała się. – Ale przecież i tak skręca cię z ciekawości. No, chyba że nie możesz teraz rozmawiać, to zadzwonię później.

– No co ty! Jakie „później”?! Chcesz, żebym się z ciekawości rozchorowała?

– Wiedziałałam! Znam cię!

– Znasz, znasz. No mów. Zamieniam się w słuch, tym bardziej że chyba jesteś zadowolona.

– A jestem. No więc ten Rusek chce kupić dla syna.

Ach, znowu dla syna! Pomyślałam, ale jej nie przerwałam.

– Doszliśmy do porozumienia, że kupimy po ćwiartce, ja dwadzieścia pięć procent i Rusek dwadzieścia pięć procent. Dla mnie to nawet lepiej, bo trochę kasy mi zostanie, więc będę się czuła lepiej. Ten syn, Jurij Jewgieniejewicz Szaposznikow, jest specjalistą w tej dziedzinie i ma nawet fajne pomysły. Studiował w Polsce i doskonale mówi po polsku. Sympatyczny. Zgadza się na współpracę z tobą i chce cię

poznać. Będzie dyrektorem zarządzającym do spraw rozwoju, a ja zostałam dyrektorem do spraw sprzedaży. Poza tym nie chce nikogo zwalniać, tylko zmienić trochę profil agencji. Wiktor na wszystko wyraża zgodę. Mnie odpowiada ta oferta, więc przygotowujemy dokumenty do sfinalizowania sprzedaży.

– No proszę, jakie to proste – zakpiłam. – Oby tylko było prawdziwe, Aga.

– Oby. Muszę w to wierzyć, bo jak inaczej? Może będzie dobrze.

– Może i tak. Wiesz, byłam dzisiaj w agencji nieruchomości w sprawie sprzedaży mieszkania i okazało się, że właścicielka agencji zna starego Szaposznikowa. Był współnikiem mojego męża. Twierdzi, że nigdy się na nim nie zawiodła i że jest w porządku.

– Bo powiem ci, że sprawia takie wrażenie. Jeden i drugi. A dlaczego rozmawialiście o nich? Co to ma wspólnego ze sprzedażą twojego mieszkania?

– Wyobraź sobie, że stary Szaposznikow chce kupić ode mnie mieszkanie dla swojego syna. Dla tego Jurija.

– No co ty! – Zatkąło ją. – I co? Sprzedasz mu?

– Jeszcze nie wiem. Wszystko wydaje mi się podejrzane. Takie śliczne i gładkie, że aż niemożliwe. Ale oferuje dobrą cenę, więc się zastanawiam. Marcelina mówi, żeby sprzedać.

– Hmm... Nie wiem, co ci poradzić.

– Z jednej strony mam ochotę sprzedać i mieć już spokój, bo mogę czekać na innego kupca kilka lat albo będę zmuszona obniżyć cenę. A z drugiej strony nie chcę mieć nic wspólnego z gangsterami.

– No niby tak. Ale jaką masz gwarancję, że jak sprzedasz komuś innemu, to ten nie będzie gangsterem? Mieszkanie jest drogie, więc kupi ktoś zamożny. A wśród zamożnych wielu jest takich, co mają ciemne interesy. Zresztą co? Napiszesz w ogłoszeniu: „Sprzedam tylko uczciwemu człowiekowi”? Bez sensu.

– Marcelina mówi to samo. Dlatego to rozważam. Ale poradzę się jeszcze Waldka, zobaczą, co on będzie miał do powiedzenia na ten temat. Jak powie to samo co wy, to sprzedam. Co mi tam. Tylko nie wiem, gdzie potem zamieszkamy.

– Jakby co, to może będziecie mogły na jakiś czas zamieszkać w mieszkaniu Wojtka. On się przeniósł do mnie i jego mieszkanie będzie stało puste. Pogadam z nim. Zamierzał je wynająć, to może wam udostępni.

– O, dzięki. To tylko na jakiś czas, dopóki nie wyremontuję domu na wsi, żeby mieć gdzie przenieść. Jakies dwa, maksymalnie trzy miesiące.

– Myślę, że nie będzie problemu. Nawet się ucieszy, że to ktoś znajomy, bo już płakał, że obcego będzie musiał wpuścić. Wiesz, jaki on jest.

Nie wiedziałam, ale byłam w stanie go zrozumieć.

Ledwie pożegnałam Agę, zadzwonił Wiktor.

– Zakładam, że już wiesz.

– Wiem, właśnie skończyłam rozmowę z Agą.

– I co ty na to?

– Wiktor, szczerze?

– Pewnie, że szczerze, jak inaczej? Przecież po to do ciebie dzwonię.

– Byłabym ostrożna z tym Ruskiem. On pachnie ciemnymi interesami.

– Aga coś mi mówiła. Ale, Michasia, wiesz, ja go znam od lat. To porządny człowiek.

– Znasz go od lat? – Zachłysnęłam się wiadomością. – Jakim cudem? I ktoś mi mówił, że on się kręcił wokół agencji i dużo o niej wiedział, a ty nie mogłaś zrozumieć skąd.

– To nie on. Był jeszcze jeden, taki podejrzany gość, Polak. A Jewgienij jest w porządku.

– W porządku? Jesteś pewien?

I opowiedziałam mu, jak zimnooki blondyn wystawał pod moim blokiem w oczekiwaniu na Pawła.

– Jewgienij mi opowiedział. Wiesz, Michasia, Paweł zrobił spory przekręt w ich firmie. Jewgienij się zorientował i postawił sprawę na ostrzu noża, dlatego między innymi Paweł zwał za granicę, bo oprócz Jewgienija i wspólników ścigała go mafia, dla której Paweł wynosił z firmy informacje i niemal doprowadził do ruiny, robiąc fikcyjne transakcje. To nie Jewgienij go załatwił, to ci z mafii. Pawłowi marzyło się życie jak w amerykańskim filmie gangsterskim, raz w coś wdepnął i już nie mógł się uwolnić.

Zrobiło mi się słabo. Ile jeszcze rewelacji usłyszę na temat mojego męża? Okazuje się, że wszyscy naokoło wiedzieli o nim wszystko, tylko nie ja!

– Wiktor – powiedziałam cicho – czy jesteś tego pewien?

– Jestem. Na sto procent. Dlaczego mi nie wierzysz?

– Bo jakoś tak wszystko składa się na niekorzyść tego pana. I jeszcze chce kupić moje mieszkanie.

Wiesz, jak ja się czuję?

– Michasia, to przypadek, na pewno.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Nie wiem, jak mógłbym cię przekonać. Może Jewgienij rozwieje twoje wątpliwości? On chce cię poznać.

– Nie, Wiktor. Nie jestem gotowa.

– I tak będziecie musieli się spotkać, jeśli podejmiesz decyzję o sprzedaży mieszkania.

– Jeśli. Jeszcze nie zdecydowałam. Czuję się osaczona.

– Zupełnie niepotrzebnie. Wmawiasz sobie coś.

– No nie wiem.

Przypomniała mi się rozmowa z Rosjaninem i pan Kazio rozmawiający z blondynem z bmw. Czy to mi się śniło?

– Jak chcesz. Nie mogę cię zmusić do zmiany zdania. Będziesz jutro w pracy?

– Będę, chociaż nie mam nic do roboty.

– Mam coś dla ciebie. Ale nie musisz być z rana, wystarczy, jak pojawisz się koło południa. Będziesz mogła pracować nad tym w domu. Jeśli chcesz, oczywiście.

– Pewnie, że chcę. Dzięki, Wiktor. Zastanowię się, czy wcześniej nie rozwiązać umowy i nie zacząć dla was pracować jako wolny strzelec.

– Nie musisz się śpieszyć z decyzjami. W takim razie do jutra.

– Do jutra.

Rozdrażniła mnie ta rozmowa. Nie potrafiłam się odnaleźć w nowej sytuacji. A skoro nie potrafię zaakceptować zmian, to po co mam w tym tkwić?

Poszłam do kuchni, do Marceliny. Właśnie kończyła zmywać.

– I co? Słyszałam część rozmowy, chyba jest dobrze?

– I tak, i nie. Nadal mam mieszane uczucia. Za szybko wszystko się dzieje. Chyba rzucę to w diabły i będzie święty spokój.

– Jeśli masz się denerwować, to faktycznie lepiej rzucić.

Moja mądra siostra patrzyła na mnie z troską. Jakie dla niej wszystko jest proste! A może to ja sama wszystko komplikuję?

– Idę do łazienki i spać. – Dochodziło wpół do jedenastej. – Waldek nie dzwoni, widocznie zajęty. Nie budź mnie jutro. Mam być w pracy na dwunastą.

– Dobrze. Daj znać, jak zwolnisz łazienkę.

Chyba byłam zbyt szorstka dla Marceliny. Przecież w niczym nie zawiniła. Odreagowałam na niej swoją frustrację. Muszę ją przeprosić.

Szybko wklepałam w twarz krem odżywczy, włożyłam piżamę i poszłam do gabinetu. Leżała na kana-

pie, patrząc w sufit. Usiadłam obok niej i wzięłam ją za rękę.

– Już jest wolna. Przepraszam.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Przepraszasz? Za co?

– Bo byłam dla ciebie niemiła.

– No co ty, Michasia!

– Nie gniewasz się?

– Pewnie, że nie! Nawet tak nie pomyślałam!

– Jestem rozdrażniona tą sytuacją.

– Widzę, że się denerwujesz. Zrób tak, żeby dla ciebie było jak najlepiej. Resztą się nie martw. Jakoś się ułoży.

– Może masz rację. Jutro spojrzę na wszystko innym okiem. Dobranoc, moja kochana. – Ucałowałam ją.

– Dobranoc. – Uścisnęła mnie.

W tym momencie w salonie zadzwonił domowy telefon.

– Kto tak późno dzwoni? – zrzędziłam, idąc odebrać.

– Córeczko, to ty?

– Tato! Co się stało? – Byłam widocznie bardzo podenerwowana, bo sam głos ojca, tak niespodziewany, podziałał na mnie pobudzająco.

– Nic się nie stało, nic! Wszystko w porządku! Stęskniłem się za wami!

Ojciec się stęsknił? Coś niebywałego!

– Marcelina jest u ciebie? Zdrowe jesteście?

– Tak, tato, Marcelina jest u mnie i obie jesteśmy zdrowe. Wszystko jest w porządku. Chcesz z nią rozmawiać?

– Za chwilę, Michasiu. Z tobą też chcę porozmawiać.

– Zaczekaj, tato, włączę tryb głośnomówiący i porozmawiamy jednocześnie we trójkę, OK?

– Cudownie, córeczko!

Wcisnęłam odpowiedni guzik i położyłam telefon na ławie.

– Już, tato!

– Dzień dobry, tatusiu! – Marcelina uklękła przy ławie, prawie modląc się do telefonu.

– Dzień dobry, kochanie! Jak się cieszę, że was słyszę! Co porabiacie, moje drogie?

– Tatusiu, Michalina wyremontuje dom po babci i przeniesiemy się do Szamocin! I będę miała własną pracownię, żeby malować! – Marcelina wołała do telefonu jednym tchem jak mała dziewczynka, rozradowana i podniecona. – I będziemy mieszkać razem! Strasznie się cieszę i nie mogę się doczekać!

– Naprawdę? Właśnie ostatnio często myślałem, co z domem po mamie. No to cudownie, bardzo się cieszę! A znajdzie się tam miejsce dla starego ojca?

– Tato, no co za pytanie! Oczywiście, że się znajdzie! – Byłam bardziej powściągliwa w okazywaniu uczuć niż Marcelina. – Ale to jeszcze chwilę potrwa, nawet nie zaczęłyśmy. Wszystko jest dopiero w fazie planów.

– A kiedy chcecie zacząć?

– Nie wiem, zależy od ekipy remontowej. Mam nadzieję, że w marcu będzie można już coś zrobić. Może wcześniej, naprawdę nie wiem.

– Dziewczynki, to byłoby świetnie! Bo właściwie dzwonię, żeby powiedzieć, że wybieram się do was pod koniec kwietnia. Na trochę dłużej. Zdecydowałem się przejść wreszcie na emeryturę, bo zdrowie już nie to, więc nie będę ograniczony czasowo. Już kupiłem bilet. I, prawdę mówiąc, po cichu zastanawiałem

się, co byś, Michalinko, powiedziała na remont domu. A tu proszę, wszystko już zaplanowane. Oczywiście partycypuję w kosztach. Mam nadzieję, że się zgodzisz.

Zatkało mnie.

– Tatusiu! – zapiszczała Marcelina. – Ale się cieszę! Nareszcie się spotkamy!

Nie wiem, czy byłam tak uradowana, jak ona. Ale patrzyłam na jej radość i nie miałam serca powiedzieć, że się nie zgadzam.

– Musimy sobie wiele rzeczy wyjaśnić – mówił dalej ojciec. – Już pora na to. Dość czasu zmarnowaliśmy.

Słuchając ojca, zastanawiałam się, czy jeszcze jest to możliwe. A może warto dać mu szansę? Przecież niewiele wiem o tym, co się zdarzyło między rodzicami, gdy byłam małym dzieckiem, nie powinnam nikogo osądzać bez wysłuchania argumentów.

– To kiedy planujesz przyłot?

– Dwudziestego ósmego kwietnia. Jeszcze ponad trzy miesiące, nie wiem, jak to wytrzymam.

– Wytrzymasz, tatusiu! My też wytrzymamy, choć nie będzie łatwo!

– A jak się czujesz, tato? Jak twoje serce?

– W porządku na tyle, na ile może. Jak dla mnie jest dobrze. – Roześmiał się. – A jak was zobaczę, to będzie bardzo dobrze!

Prawdę mówiąc, przyjazd ojca przysparzał mi trochę kłopotów. No bo gdzie się zatrzyma, jeśli sprzedam mieszkanie i same z Marceliną będziemy mieszkać kątem u kogoś? Poczułam się przytłoczona problemami, które zewsząd mnie osaczyły.

Z ulgą pożegnałam się z ojcem. Marcelina była rozradowana, ja przygnębiona.

– Idź się połóż. – Zauważyła mój nastrój. – Późno już.

– Ty też nie siedź długo. – Całe szczęście, że nie chciała dzisiaj ze mną spać. Zamknęłam drzwi od sypialni, choć zwykle zostawiałam je uchylone. Potrzebowałam samotności.

Ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Leżałam na boku, patrząc w jaśniejszy prostokąt niezastłoniętego okna. Zateśkniłam za kimś bliskim, kto przytuliłby mnie i zabrał wszystkie kłopoty. Kiedy to się skończy? Westchnęłam i nakryłam głowę kołdrą.

Obudziło mnie moje własne kichnięcie. Za oknem było jeszcze ciemno. Spojrzałam na zegarek, dochodziła piąta. Szkoda, mogłabym jeszcze pospać, skoro mam okazję. Położyłam się na wznak i zamknęłam oczy. Zaczęłam sobie przypominać dzisiejszy sen, w którym wszystko było bardzo realne. Śniła mi się wiosenna burza w jakimś sadzie, wiał silny wiatr, szarpał konarami drzew i rozwiewał wokół płatki kwiatków. Mokre pachniały intensywnie, słodko i odurzająco. Oblepiały mi twarz i ręce, którymi zdejmowałam je z policzków i czoła. Jeden z nich przylepił mi się do nosa. Silny zapach spowodował, że kichnęłam. To właśnie to kichnięcie wyrwało mnie ze snu.

– Nie, chyba już nie zasnę – mruknęłam i usiadłam na brzegu łóżka. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Czulałam, że mam zły nastrój.

Włączyłam laptopa, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości od Waldka. Smutno mi było, że się wczoraj nie odezwał. Chciałam wierzyć, że naprawdę nie mógł.

Była wiadomość. Z radości zabiło mi serce.

Michasiu, kochana moja,

bardzo chciałem Cię usłyszeć, ale jest za późno na telefon. Pewnie już śpisz, wtulona w poduszkę, i pachniesz snem, a mnie nie ma przy Tobie. Pamiętam Twój zapach, jest wszędzie wokół mnie. Pachnie Tobą poduszka, więc trzymam ją przy sobie, żeby tylko czuć Twoją bliskość... Ja sam pachnę Tobą i wyobrażam sobie, że przeniknęłaś mnie głęboko, bardzo

głęboko, tak, że zostaniesz we mnie już na zawsze.

Zakochałem się w Tobie. Proszę, nie miej mi tego za złe i nie śmiej się ze mnie. Jeśli moje uczucie jest dla Ciebie ciężarem lub przeszkodą, nie będę Ci się narzucał. Ale chciałbym, żebyś była blisko mnie, każdego dnia, tak zwyczajnie, a jednocześnie niezwyczajnie. Chciałbym słyszeć, jak w kuchni robisz herbatę, nucąc, patrzeć, jak kręcisz kosmyk włosów, kiedy się nad czymś zastanawiasz, wtulać się w Ciebie, kiedy zasypiasz, i strzec Twoich snów.

Kurczę, jaki on jest romantyczny! Poczułam, że się rumienię, aż po koniuszki włosów, a usta same rozciągają się w uśmiechu.

Chyba tęsknię za Tobą, Michasiu. Nie ma Cię przy mnie dopiero drugi dzień, a ja mam wrażenie, że to całe lata tej pustki wokół.

Jak myślisz, można z tym coś zrobić? Mam nadzieję, że jutro uda nam się porozmawiać choć przez chwilę, a wkrótce zobaczyć.

Tymczasem całuję Cię tak gorąco, jak tamtej pamiętnej nocy.

Waldek

Przymknęłam oczy pokrzepiona słowami Waldka. Świadomość jego uczucia dodała mi siły. Już nie bałam się tego, co mnie czeka, nie byłam sama.

* * *

Kończyłyśmy z Marceliną późne śniadanie, kiedy zelektryzował nas dzwonek do drzwi. Nie dzwonek domofonu, ale do drzwi. Spojrzałyśmy na siebie, zaskoczone.

– Ciekawe kto to.

Żadna się nie ruszyła. Siedziałyśmy w piżamach, rozmamłane i rozczochrane, na stole panował poranny rozgardiasz. Poczułam panikę, ale nie wstałam, żeby otworzyć. Ktoś za drzwiami zadzwonił jeszcze raz, tym razem długo, natarczywie.

– Cholera, kto to może być? – Podniosłam się wreszcie i poszłam po szlafrok.

– Kto tam? – Przez wizjer nic nie widziałam, bo ktoś stał za blisko.

– Eta ja, Jewgienij Nikołajewicz Szaposznikow.

Ugięły się pode mną nogi, myślałam, że zemdleję, aż oparłam się o ścianę. Podbiegła do mnie Marcelina, zaniepokojona wyrazem mojej twarzy.

– Otkrojtie, Michalina, ty mienia słyszysz? Nam nužno pagawaric.

Człowieku, a o czym ty chcesz ze mną rozmawiać, krzyczałam w duchu. Byłam zdenerwowana do granic możliwości, ale wiedziałam, że nie odpuści.

– Kto to? – zapytała Marcelina bezgłośnie, samym ruchem warg.

– Ten Rusek – szepnęłam.

W przerażeniu zakryła dłonią usta.

Co mam zrobić?

– Michalina! – Szaposznikow wytrwale stukał do drzwi.

Jak on tu wszedł? Gdzie była ochrona?

– Michalina, oj, durna ty! Otkroj!

Nazwanie mnie durną przywróciło mnie do rzeczywistości. Niech to szlag! Stawię mu czoło!

– Chwileczkę, muszę się ubrać.

Pobiegłam do sypialni, na migi pokazując Marcelinie, żeby też coś narzuciła na siebie. W panice grzebałam w szafie, wreszcie na oślep wydobylam luźny sweter i domowe spodnie z szarej flaneli. Wpadłam do łazienki, żeby rzucić okiem w lustro, kilka ruchów szczotką przywróciło mojej fryzurze jako taki wygląd.

Cierpliwie czekał oparty o ścianę korytarza. Kiedy otworzyłam drzwi, skinął mi głową i wszedł bez słowa. Był sam. Wzięłam od niego palto i zaprosiłam do salonu.

– Kawy? – Z trudem wykrztusiłam to jedno słowo.

– Poproszu. – Usiadł na kanapie i lustrował wszystko wokół. Marcelina zniknęła w kuchni. Usiadłam w fotelu naprzeciwko niego i czekałam, aż się odezwie. Nie miałam zamiaru robić tego pierwsza. Byłam zła i wystraszona.

– Nu, ładnie tu. – Odchrząknął nagle speszony. – Pacziemu ty sprzedajesz?

– Nie wie pan? – Byłam ironiczna i złośliwa.

– Niet, nie znaju. – Spojrzał na mnie, o zgrozo, życzliwie!

– Akurat – mruknełam.

– Szto ty gawarisz? Nie słyszu tiebia. – Uśmiechnął się. – Michalina, ty mienia pasłuszaj. – Wrzucił kostkę cukru do kawy przyniesionej przez Marcelinę i zamieszał. – Ty nie bojsia, ja tiebia niczewo nie zrobiu. Ja nie żaden bandit.

Milczałam. Nie chciałam wchodzić z nim w żadne dyskusje. Najlepiej by było, gdyby sobie poszedł. Niestety, nie mogłam go wyprosić.

– Nu, ty pasłuszaj – powtórzył. – Ja nie bandit i mnie oczień nrawitsia twoja kwartira. Ja choczju jejo pakupic majemu synu. Jemu toże oczień nrawitsia. My smotrieli kartiny. Ty znajesz, ja i twój muž byli znakomy. Nu, on mienia oszukał. Ja nie budu od tiebia zdał dzienieg. Ja znaju, szto ty niczewo nie znała, Pawieł tiebie toże oszukał. Ja pokupaju od tiebia etu kwartiru i ja tiebie dam dzienieg tyle, ile ty chocziesz. Mogu jeszczio pakupać miebiel, jesli ty chocziesz.

Słuchałam go i przyszło mi do głowy, że przecież powinnam też odziedziczyć po Pawle udziały w jego firmie! Dlaczego adwokat nawet o tym nie wspomniał? Będę musiała zadzwonić do kancelarii i zapytać.

– Michalina, szto ty dumajesz, a? – Patrzył na mnie wyczekująco.

– Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam. Nie miałam czasu się zastanowić.

– Jadwiga mnie gawariła, szto ty dumajesz. No, ja chotieł sam z tobj pogawaric. Szto by ty nie dumala, że ja kakij-to bandit.

– A dlaczego pan chce kupić akurat to mieszkanie?

– Potomu, szto ja znaju, szto ono cziesnoje. Nikto mienia nie oszuka.

Milczałam, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć.

– Kak dołgo ty chocziesz dumac?

– Nie wiem. Kilka dni. Muszę się poradzić.

– Możiet być. Niedzielu, możiet dwie ja budu żdac. Ja pozwanju k'tiebie czieriez dwie niedzieli. Jeśli ty budziesz znac rańsze, ty pozwoni Jadwigie. Potom my dogoworimsia. Możiet być?

– Dobrze, panie Szaposznikow, niech będzie. Przemyślę pana ofertę i dam panu znać.

– Umnaja dziewczuszka. – Uśmiechnął się, dopił kawę i wstał. Był nienagannie ubrany w doskonale skrojony, szyty na miarę, szary garnitur. – A gdzie ty budziesz żyć, a?

– Jeszcze nie wiem. Jak podejmę decyzję o sprzedaży, pomyślę o czymś dla siebie.

Tego jeszcze brakowało, żebym mu powiedziała o swoich planach!

– Nu, niech będzie. Ale ty podumaj, na szto tiebie dżierewnia?

Zesztywniałam. Niech to szlag! A skąd on o tym wie?

– Wiktor mnie skazał, szto ty chocziesz w dżierewniu ujechać. – Przechylił głowę i przyglądał mi się

ciekawie.

Chyba urwę głowę Wiktorowi!

– Nu, ja użę pajdu.

W przedpokoju podałam mu palto i otworzyłam drzwi.

– Daswidanija, malieńkaja!

Poszedł, a ja stałam z otwartą buzią. Malieńkaja! No coś takiego! Zwykła bezczelność!

Wściekła zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie, trzymając się za głowę.

– I co? – Marcelina wyjrzała z kuchni. Miała wystraszoną minę i była blada.

– Niech to szlag, cholera jasna! – Nie byłam w stanie nic innego wyartykułować.

– Straszyl cię?

– I tak, i nie. Nie wiem, co o tym myśleć. – Rzuciłam się na kanapę. – Aaaaaa! – Musiałam

wykrzyknąć z siebie napięcie.

– Spróbuj się uspokoić i przemyśl wszystko bardzo dokładnie. Przekalkuluj.

– Wiem, wiem! – krzyknęłam.

– Nie krzycz na mnie. – Patrzyła na mnie żałośnie.

– Boże, przepraszam cię, Marcelinko, ale nie panuję nad emocjami! – Naprawdę byłam rozedrgana. –

Nie mam pojęcia, co robić!

– Na szczęście nie musisz decydować już teraz. Poradzisz się Waldka, Agi albo kogo chcesz. A teraz musisz się zbierać do pracy, już po jedenastej.

– Wcale nie chcę tam iść! – krzyknęłam, ale podniosłam się z kanapy. Szybko zmieniłam ubranie, nałożyłam lekki makijaż i ucałowałam Marcelinę. – Niedługo wrócę. Pa!

– Pa!

Zamknęła za mną drzwi.

Wiktor był zajęty, zanosilo się, że na dłużej.

– Aga, muszę pogadać, już, natychmiast!

Mój wygląd poderwał Agę z krzesła.

– To nie rozbieraj się, pójdziemy do baru naprzeciwko, bo tutaj nie będzie za chwilę możliwości.

Zbiegłyśmy szybko schodami na parter.

– Chyba muszę się napić czegoś mocniejszego – sapnęłam, kiedy już usadowiłyśmy się przy stoliku w kacie.

– Po moim trupie! – Aga spojrzała groźnie i zamówiła dla mnie herbatę z cytryną, a dla siebie kawę. –

Opowiadaj.

Aga była dobrym słuchaczem. Nie przerywała, a na koniec skwitowała:

– Ty nie dopisuj gangsterskiego scenariusza, tylko, jeżeli naprawdę chcesz je sprzedać, to sprzedaj w cholere i będzie spokój. Nawet jeśli rzeczywiście jest bandyta, to co tobie do tego? Świat chcesz zbawić? Myśl przez pryzmat ceny mieszkania, bo nieprędko ktoś ci taką da. Zresztą, jak Rusek się uprze, to przyśle kogoś podstawionego, kto i tak to dla niego kupi.

– Ale niepokoi mnie fakt, że za bardzo się mną interesuje, za dużo o mnie wie!

– A, daj spokój! I co z tego? Teraz to nie sztuka wiedzieć o kimś dużo. Wystarczy wpisać w przeglądarce. A ten sam się przyznał, że wie od Wiktora!

– Nawet nie wiesz, jaka jestem wściekła!

– Kochana, i co ci to da?

– Nic, wiem. To co? Sprzedać mu?

– Potrzyj go w niepewności jeszcze kilka dni i sprzedaj. A co tam!

– Może masz rację – zasepiłam się. Postanowiłam jednak porozmawiać jeszcze z Waldkiem. – I wiesz

co? Chyba złożę dziś podanie o wcześniejsze rozwiązanie umowy. Nie chcę już tutaj przychodzić.

– Nie działaj pochopnie, proszę cię.

– To już postanowione, to tylko kwestia czasu.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że za jakiś czas ciebie już tu nie będzie. – Aga posmutniała. – Za szybko to wszystko się dzieje.

– To prawda, szybko, ale też nie chcę tego przedłużać.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o Waldku. Zasługiwała na to, żeby wiedzieć, ale było mi jakoś niezręcznie.

– Naprawdę wyjedziesz na wieś? – Jednak mi nie dowierzała.

Powiem jej.

– Naprawdę. Poza tym zakochałam się. Z wzajemnością. – Nie sądziłam, że tak trudno będzie to wyznać bądź co bądź mojej najlepszej przyjaciółce.

– Wiedziałam! – Aga uśmiechnęła się szeroko. – Wiedziałam, że coś się wykręci z tym Waldkiem!

Zarzuciła mi ręce na szyję.

– Ale się cieszę! Zamieszkacie razem?

– Jeszcze nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym. Puść mnie, ty wariatko! – Roześmiałam się w końcu.

– Ale się porobiło, co? Ja w nowym związku, ty w nowym związku, kto by pomyślał jeszcze pół roku temu?

– Nie wiem. Może to taka ostatnia nić babiego lata? – Dopiliśmy herbatę i wstałam. – Chodźmy już, bo może Wiktor czeka.

Niestety, w tym czasie, gdy ja omawiałam z Agą swoje sprawy, Wiktor skończył spotkanie i nie doczekawszy się mnie, wyjechał do klienta. Zostawił mi tylko na biurku teczkę z założeniami nowego projektu i przyklepioną kartką: „Przejrzyj, oceń i daj znać. Może być mailem. Termin – 14 dni od jutra”.

– Coś nowego? – Aga zajrzała mi przez ramię.

– Tak, ale zabiorę to do domu. Mogę pracować zdalnie, tak ustaliłam z Wiktorem. Gdybym była potrzebna do czegoś, to zadzwoń do mnie, przyjadę. Byle nie jutro, bo wyjeżdżam na dzień albo dwa. – Uśmiechnęłam się do siebie na myśl, że jutro zobaczę Waldka.

– Jedziesz do niego? – Nie potrafiła powstrzymać ciekawości.

– Jadę. Potrzebuję jego wsparcia. Daj buziaka, lecę. Jesteśmy w kontakcie.

– Baw się dobrze!

Ucałowała mnie na pożegnanie.

Było jeszcze wcześniej, dopiero dochodziła druga. Może by tak pojechać już dziś? Muszę z Marceliną porozmawiać. No i z Waldkiem, przecież nie mogę mu się zwać niespodziewanie po raz kolejny.

* * *

– Wróciłam! – zawołałam od progu.

Marcelina rysowała w gabinecie.

– Zaraz kończę. – Uśmiechnęła się, kiedy do niej zajrzałam.

– Kończ, kończ, nie przeszkadzaj sobie.

Postanowiłam w tym czasie zadzwonić do Waldka.

Serce waliło mi z podekscytowania, kiedy wybierałam numer.

– Michasia! – Odebrał tak szybko, że poczułam się zaskoczona. – Jak się cieszę! Stęskniłem się! – Słyszałam radość w jego głosie. – Czytałaś maila?

– Czytałam.

– I nie masz mi za złe?

– No coś ty. Nawet nie wiesz, jaką radość mi sprawiłeś, że to napisałeś. Bo ja... – Zawiesiłam głos.

– Bo ty... – podpowiedział mi.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, wstydziłam się, co też bardzo mnie zaskoczyło.

– Bo mnie też na tobie zależy – wybrnęłam wreszcie.

– Michasia – zamruczał, aż poczułam dreszcze przebiegające po plecach. – Będę jutro w Warszawie.

Może mógłbym wpaść do ciebie?

Poczułam lekkie rozczarowanie zmianą planów.

– Jasne, że tak! Nawet dobrze się składa, bo chciałam się ciebie poradzić. O której będziesz?

– O dziesiątej odbieram syna z pociągu z Gdańska i spędzę z nim czas do drugiej. Potem pakuję go do pociągu do Zakopanego, bo jedzie na tydzień na zimowisko. A potem już jestem wolny i mógłbym do ciebie przyjechać, chyba że wolisz spotkać się na mieście.

– Nie, nie, przyjeźdź do nas. Koniecznie!

Zapomniałam, że ma syna. Przypomnienie dźgnęło mnie niebezpiecznie w okolicy serca. Niech to szlag, zazdrosna jestem?

– No pokaż, co tam narysowałaś. – Usiadłam na krześle obok Marceliny.

– Pawilon. Zobacz. Zrobiłam tam pracownię, ale wygospodarowałam też pokój dla siebie i łazienkę, żeby ci w domu nie przeszkadzać.

– Marcysiu! – Udałam, że nie widzę jej srogiego spojrzenia. – Co ty za głupstwa opowiadasz!

– Oj, zaraz głupstwa. Tak będzie lepiej, zobaczysz.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Pawilon jest OK, podoba mi się twój projekt, ale mieszkać będziesz w domu.

– Dobrze, porozmawiamy o tym kiedy indziej. Trzeba do Waldka zadzwonić, żeby umówił nas z tym swoim kolegą.

– Właśnie z nim rozmawiałam, jutro u nas będzie.

– A jak w pracy? Gadałaś z Agą?

– Tak. – Wiedziałam, o co pyta. – Mówi, żeby sprzedać i się nie zastanawiać. Ale chyba chcę jeszcze porozmawiać o tym z Waldkiem.

– To jutro porozmawiasz. Chodź na obiad. Ugotowałam pomidorową z ryżem.

– Kiedy ugotowałaś? – zdziwiłam się. – Że też wystarczyło ci czasu. Na jutro trzeba coś zrobić, bo Waldek pewnie na obiad wpadnie.

– A to nie idziesz jutro do pracy?

– Nie, dostałam pracę do domu.

– Hura! – ucieszyła się. – Nawet pracując, będziesz blisko. Nie lubię być sama w mieszkaniu.

Przytuliłam ją mocno.

– A na jutro możemy zrobić gołąbki.

– Możemy, zrobimy je razem – zgodziłam się.

Zadzwęczał dzwonek domofonu. Zdziwiona podniosłam słuchawkę.

– Tak?

– Dzień dobry, komisarz Brodnicki. Muszę z panią porozmawiać!

Zaskoczona wpuściłam go, o nic nie pytając.

– Znowu policja – szepnęłam do Marceliny i wzruszyłam ramionami.

Otworzyłam drzwi i czekałam na niego w progu. Jak zwykle był po cywilnemu. Wyglądał niepozornie jak pospolity zjadacz chleba. Nigdy bym nie pomyślała, że to policjant śledczy.

– Mam do pani jeszcze kilka pytań o męża. – Usadowił się na kanapie i wyjął notatnik. Marcelina

zniknęła w kuchni. – Czy w jego rzeczach nie znalazła pani czegoś podejrzanego?

– Pani komisarzu, mąż, kiedy się wyprowadzał, zabrał ze sobą niemal wszystko. Może i coś zostało w domu, ale, prawdę mówiąc, nie robiłam jeszcze porządków. Nie miałam czasu. Może podczas przeprowadzki przejrzę. Ale co pan ma na myśli, mówiąc o czymś podejrzanym? Obawiam się, że mogę nie zwrócić uwagi, dla mnie może to być zwyczajna rzecz. Zresztą, zdecydowana większość została w jego mieszkaniu i to już macie – mówiłam bez przekonania.

– Ma pani rację, większość mamy. Ale brakuje nam jeszcze kilku dokumentów. Ze śledztwa wynika, że pani mąż je gdzieś ukrył.

Rozłożyłam bezradnie ręce.

– Nie sądzę, żeby to było w domu, zamierzaliśmy sprzedać to mieszkanie.

– Pani Michalino, a może nam pani udostępnić to, co zostało po mężu?

– Oczywiście, ale teraz?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Rozumiemy, że musi je pani przygotować. Ale gdyby mogła to pani zrobić w miarę szybko, to bardzo by nam pomogło w śledztwie. Stanęliśmy w martwym punkcie, ale to poufna informacja. – Uśmiechnął się do mnie.

– Może pan liczyć na dyskrecję. – Odwzajemniłam uśmiech. – W takim razie zajmę się tym jeszcze dzisiaj i zawiadomię pana, kiedy wszystko będzie gotowe. Może nawet jutro.

– Wspaniale, jestem ogromnie wdzięczny. – Nie potrafił ukryć radości. – Wspominała pani o przeprowadzce. Kiedy to nastąpi?

– Jeszcze nie wiem, ale mam chętnego do kupna mieszkania, więc i tak muszę zacząć się przygotowywać. To niemałe przedsięwzięcie.

– To prawda. Ale w związku z tym mam małą sugestię – spojrzał na mnie wyczekująco.

– Tak?

– Może podczas pakowania i wynoszenia mebli zauważy pani miejsce na skrytkę. Może pani mąż, w tajemnicy przed panią, miał w domu takie miejsce?

– Naprawdę pan tak sądzi? – Udałam zdziwienie i miałam nadzieję, że nie było widać w moich oczach paniki.

– Pani Michalino, ja już tyle w życiu widziałem, że nic mnie już nie zdziwi. Nie byłoby dla mnie zaskoczeniem takie rozwiązanie. Myślę nawet o tym, by – o ile się pani zgodzi – przysłać do pani ekspertów, którzy poszukają tej skrytki. Bo najprawdopodobniej pani ją przeoczy, jeśli jest. Pan Paweł wykazał się dużym sprytem i kreatywnością w kamuflowaniu swoich lewych interesów, a jego ostatnie posunięcia przed śmiercią świadczą o tym, że był w posiadaniu dowodów na nielegalną działalność swoich współpracowników.

Siedziałam, uśmiechając się do komisarza Brodnickiego, i czułam, jak od tego uśmiechu sztywnieją mi mięśnie. Panikowałam i byłam śmiertelnie przerażona. Przypomniała mi się skrytka z pieniędzmi zrobiona przez Pawła w garderobie. Dlaczego nie miał zrobić jeszcze jednej na dokumenty? Paweł wcale nie miał chętnego na kupienie mieszkania, kiedy ja leżałam w szpitalu nieprzytomna. Klucze były mu potrzebne, żeby ukryć dowody przestępstw Szaposznikowa. I dlatego Szaposznikow zacieśnia wokół mnie krąg. Dlatego chce kupić mieszkanie. Ma nadzieję, że ja nie wpadnę na ślad skrytki, a on po zakupie będzie mógł swobodnie przeryć cały lokal w poszukiwaniu ukrytych dokumentów. Musi to być dla niego bardzo ważne, skoro gotowy jest zapłacić tyle pieniędzy za dostęp do mieszkania. Poczułam lodowaty skurcz w sercu. Paweł! Nie dość, że sam wdepnąłeś w bagno, to jeszcze mnie w to wmanewrowałeś!

– Pani Michalino, dobrze się pani czuje? – Komisarz był szczerze zaniepokojony.

– Tak, dziękuję. Jestem tylko trochę zdenerwowana tym wszystkim, co mi pan mówi – tłumaczyłam mętnie, mając nadzieję, że mi uwierzy.

Nie wiedziałam, co począć. Już byłam pewna, że wszystko się układa, a tu proszę, takie rewelacje. Czy to się już nigdy nie skończy?

– Czy wspólnik mojego męża nazywa się Szaposznikow?

– Tak, Jewgienij Nikołajewicz Szaposznikow. – Miał czujne spojrzenie. – Dlaczego pani pyta?

– Bo to on właśnie chce kupić ode mnie mieszkanie. Mówi, że dla syna.

Komisarz milczał.

– Nawet był tutaj, żeby mnie przekonać, że jest uczciwym i wypłacalnym człowiekiem.

– Był tutaj – powtórzył komisarz. – Mówił coś jeszcze?

– Nic specjalnego. Sprawiał wrażenie wiarygodnego, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Może dlatego, że to jego ludzie wystawiali pod moim domem i to z nimi widziałam tego naszego ochroniarza, pana Kazimierza. Śmierć mojego męża kojarzy mi się z nimi, nie wiem, może mylnie.

– Dobrze się pani kojarzy. Niech pani będzie ostrożna, pani Michalino. Od dawna obserwujemy tego Szaposznikowa, ale jest bardzo cwany i nie mamy żadnych dowodów przeciw niemu. Wiemy na pewno, że jest szefem organizacji przestępczej zajmuje się wyłudzeniami i fałszerstwami finansowymi. Ale robi to tak sprytnie, że nie można go przyłapać. To, że chce kupić od pani mieszkanie, dowodzi tego, że jest pewien, że pan Paweł ukrył dokumenty tutaj, i zrobi wszystko, żeby je odzyskać. Na razie chce zachować pozory i dokonać legalnego zakupu. Stać go na to. Ale jeśli pani odmówi, nie zawaha się przed bardziej drastycznymi posunięciami.

– Zgodził się na dwa tygodnie do namysłu – szepnęłam przerażona.

– To mamy tyle na poszukiwania. W takim razie jutro muszą tu wejść nasi ludzie. Co pani na to? Oczywiście z zachowaniem pełnej dyskrecji, żeby pani nie narażać.

– Co mam zrobić? Oczywiście, niech wchodzą – zgodziłam się posępnie. – Udostępnię im każde pomieszczenie.

Pomyślałam o skrytce w garderobie. Powiedzieć komisarzowi? Chyba trzeba, przecież i tak znajdą.

– Coś panu pokażę. – Wstałam z fotela i ruszyłam do garderoby. Zaskoczony patrzył, jak odsuwam skrzynię na pościel i przyniesionym z kuchni nożem podważam płytkę w podłodze.

– Są tam pieniądze, które mąż mi zostawił. – Wyjęłam drewnianą skrzynkę. – Ale może nie zauważyłam, że jest tam coś jeszcze. – Komisarz pochylił się nad otworem w podłodze i badał ręką każdy zakamarek. Obejrzał również płytki obok skrytki, ale niczego nie znalazł.

– Czegoś takiego właśnie szukamy. – Otrzeptał ręce i spodnie na kolanach. – Kiedy dowiedziała się pani o tej skrytce?

– Po śmierci męża. Napisał mi o tym w liście. Wcześniej niczego nie zauważyłam. Nawet nie wiem, kiedy ją zrobił. Możliwe, że jest druga gdzieś w domu.

– Na razie zobaczymy, czy nic więcej nie ukrył w pudełku.

Niechętnie oddałam mu szkatułkę. Patrzyłam, jak wyjmuje po kolei pieniądze i sztabki złota.

– Fiu, fiu, nieźle. – Gwizdnął z podziwem.

Nie podobało mi się to i głupio mi było, ale postanowiłam nie reagować. Komisarz obejrzał dokładnie każdy banknot, każdą sztabkę, ale nic nie znalazł. Zajął się zatem samym pudełkiem. Gładził palcami brzegi, naciskał dno, kręcił kluczykiem i obmacywał zawiasy. Nic się nie działo.

– Chyba nic tu nie ma. – Westchnął rozczarowany. – Ale chętnie zabrałbym je do laboratorium.

– Proszę bardzo – zgodziłam się zrezygnowana.

W końcu zawartość pudełka może leżeć luzem w skrytce w podłodze. Co to szkodzi?

– Bardzo pani dziękuję, pani Michalino. Teraz wracam do pracy i zadzwonię do pani wieczorem, żeby przekazać szczegóły jutrzejszych poszukiwań. Dobrze?

– Tak, tak, oczywiście. – Pokiwałam głową. – A ja postaram się jeszcze dzisiaj poszukać w domu rze-

czy męża.

– Wyśmienicie, pani Michalino, wyśmienicie! – Cieszył się jak dziecko. – W takim razie pozostaniemy w kontakcie, a ja już zmykam.

Odprowadziłam go do przedpokoju i z ulgą zamknęłam za nim drzwi. Byłam zdruzgotana.

– Słyszałaś?

Marcelina stała w drzwiach kuchni. Pokiwała głową.

– No to się narobiło – skwitowała tylko.

– Ech – westchnęłam. – Za wcześnie uwierzyłam, że to już koniec. To byłoby zbyt piękne.

Zgnębiona usiadłam w fotelu i ukryłam twarz w dłoniach. Marcelina stanęła za mną i pocieszająco głaskała mnie po plecach.

– A już myślałam, że sprzedam mieszkanie.

– Przecież nie byłaś jeszcze pewna – zauważyła trzeźwo moja siostra.

– No, miałam wątpliwości, ale raczej byłam skłonna to zrobić. No nic, może jeszcze nie jest przesądzone. Najwyżej opuszczę cenę. Nie mam noża na gardle. Chodź, zjedźmy zupę i zajmę się rzeczami Pawła.

Nie wiedziałam, gdzie ich szukać, bo miałam wrażenie, że wszystko zabrał, ale słowo się rzekło.

– Mogę ci pomóc – zaproponowała Marcelina. – A przynajmniej posiedzę z tobą.

– Kochana jesteś. Nie muszę ci mówić, że przede wszystkim przeschukam gabinet?

– No nie, nie musisz. To ja najpierw pozbieram swoje rzeczy, żeby ci się nie myliło.

Po obiedzie stanęłam bezradnie na środku gabinetu. Przede wszystkim biurko. Marcelina spakowała swoje rysunki do teczki i postawiła ją w przedpokoju.

– Dobrze by było mieć jakieś pudło, to od razu wrzuciłabyś tam jego rzeczy.

Moja genialna siostra stała, trzymając się pod boki.

– Nie mam takiego.

– To zacznij przeglądać, a ja skoczę do sklepu naprzeciwko, może coś mi odpałą.

Wskoczyła w buty, narzuciła kurtkę i wybiegła z mieszkania.

Usiadłam przy biurku i pogładziłam jego lśniący blat. Długo szukaliśmy takiego biurka. Miało być dębowe, masywne i pojemne. I takie było. W pierwszej szufladzie leżały starannie poukładane tekturowe teczki, a w nich nasze wspólne dokumenty – akt notarialny własności mieszkania, akt małżeństwa, decyzje podatkowe, rachunki. Nic ciekawego, nic, co mogłoby zainteresować policję. Na wszelki wypadek opróżniłam szufladę i wyjęłam ją z szafki, żeby obejrzeć, czy nie ma w niej na przykład drugiego dna. Ale była to najzwyczajniejsza szuflada. W drugiej i trzeciej to samo, to znaczy nic.

– Jestem! – Marcelina wtaszczyła do pokoju dwa spore pudła. – Możesz pakować.

– Na razie nie mam co.

Otworzyłam szafkę z drugiej strony biurka. Dwie zapełnione segregatorami półki, a w nich popakowane w koszulki świadectwa szkolne Pawła i moje. Nasze prace magisterskie, rozliczenia podatkowe. Koszulki z dokumentami Pawła wyjęłam z segregatorów i wrzuciłam do pudełka.

– Myślisz, że to ważne?

– Nie mam pojęcia, niech policja zdecyduje.

W osobnym segregatorze znalazłam dokumenty dotyczące założenia firmy Pawła. Dziwne, że je tutaj zostawił. Cały segregator powędrował do pudełka. Wpełzłam pod biurko, żeby zobaczyć, czy nie ma nic przyklejonego od spodu.

– Daj spokój, Michasia, to zbyt proste.

Marcelina rozsiadła się na kanapie i przyglądała moim wyczynom.

– Czasem najtrudniej jest znaleźć to, co jest na widoku – powiedziałam sentencjonalnie.

– Masz rację, ale zostaw to tym policjantom.

Rozejrzałam się po pokoju – półki z książkami nie zachęcały do poszukiwań. Niestety, część już popakowałam w pudła kilka miesięcy temu, jak tylko wystawiłam mieszkanie na sprzedaż. Stały w pudełkach pod oknem.

– Mam to wszystko przeglądać? – Byłam zniechęcona.

– A to wszystko Pawła?

– Nie, nie tylko. Moje też. Większość moich, bo swoje najukochańsze zabrał.

– Nie wiem, co ci poradzić. Mogę ci tylko pomóc przeszukiwać.

Zabrałyśmy się do przeglądania pozostałych książek. Jedna za drugą, półka za półką. Po godzinie miałam dość.

– Muszę odpocząć. – Padłam na kanapę wyczerpana. – Najgorsze jest to, że nie wiem, czego szukam.

– No chyba dokumentów...

– A może tylko wskazówki? Cholera wie, może zapisał coś gdzieś i będziemy tak szukać całe lata.

– Michasia, pomyśl. Komisarz mówił, że twój mąż był sprytny i inteligentny. Jeśli coś ukrył w domu, to na pewno tak, żebyś znalazła przy przeprowadzce. A jeśli zostawił wskazówkę, to na pewno tak, żebyś ją znalazła.

– Pewnie masz rację, ale ja dzisiaj nie mam żadnego pomysłu. Za bardzo mnie to zaskoczyło. Chodź na herbatę, dzisiaj już nie szukam.

Zrobiło się dosyć późno, zgłodniałam. Zajrzałam do lodówki.

– Chcesz kabanosa?

– Dawaj, głodna jestem.

Siedziałyśmy przy stole, milcząc. Myślałam o tym, co komisarz powiedział na temat Szaposznikowa. Zapomniałam mu wspomnieć o pani Jadwidze, w końcu też może być zamieszana w te przekręty. Tak mi wmawiała uczciwość Szaposznikowa, że aż mnie samej wydało się to podejrzone. No i okazało się, że jednak nie byłam przewrażliwiona, że przecucia mnie nie myliły.

– Chyba w garderobie są jeszcze rzeczy Pawła, pójdę je przejrzeć.

Byłam zła, że obcy ludzie przeszukają moje mieszkanie, zajrzą do każdego kąta, nawet do kosza z brudną bielizną. Jakie to upokarzające! Ale co mogłam zrobić?

– A może w piwnicy coś jest? – wyraziła przypuszczenie Marcelina.

– A może najpierw poślę ich do piwnicy, jak myślisz?

– To chyba dobry pomysł – roześmiała się. – Ty w tym czasie przeszukasz resztę książek. Może nie będą po tobie sprawdzać.

– Akurat! – Byłam pewna, że wszystko przetrząsną. – Ale chyba najpierw będą szukać takich skrytek jak ta w garderobie. Zresztą, kto ich tam wie.

Zdjęłam z wieszaka kilka ubrań Pawła, wyniosłam do gabinetu i schowałam do pudła. Naprawdę niewiele u mnie zostawił.

Zadzwonił pozostawiony w gabinecie telefon.

– Komisarz Brodnicki – przedstawił się krótko. – Pani Michalino, zgodnie z umową moi ludzie byliby jutro u pani około dziesiątej. Będą we dwóch. Ja wpadnę później, koło południa. Może być?

– Może, może – westchnęłam.

– A znalazła pani coś ciekawego? Szukała pani?

– Szukałam, ale niewiele tego. I nic ciekawego, ale to już panowie sami ocenicie. Odłożyłam do pudła. Jutro jeszcze będę szukać.

– Doskonale, doskonale! To do jutra – pożegnał się.

– Do jutra – rzuciłam w przestrzeń, bo komisarz już się rozłączył.

Usiadłam zrezygnowana w kuchni i patrzyłam, jak Marcelina przygotowuje gołąbki. Nie miałam zamiaru jej pomagać. Byłam przygnębiona. Dochodziła dziewiąta, a ja byłam zmęczona, jakbym przepracowała fizycznie cały dzień.

– Pójdę się położyć, rozbolała mnie głowa.

Marcelina kiwnęła głową zajęta parzeniem kapusty.

– Może weź coś na uspokojenie, po co się męczyć?

– Na razie poleżę.

W sypialni z ulgą wyciągnęłam się na łóżku. Patrzyłam w jaśniejszy prostokąt okna i wsłuchiwałam się w stłumione zamkniętymi drzwiami odgłosy z kuchni. Wyciszałam się powoli, nie myśląc o niczym, i zapadłam w półsen. Miałam wrażenie, że jestem w szklanej bańce, a życie toczy się obok mnie.

Ocknęłam się zdrętwiała i zmarznięta. W domu panowała cisza, Marcelina chyba poszła już spać. Po cichu wstałam, żeby się umyć i napić wody. Szybko włożyłam piżamę i położyłam się do łóżka. Musiałam jednak zasnąć, bo było już po północy.

Skulona pod kołdrą pozwoliłam myślom płynąć swobodnie. Nie chciało mi się zatrzymać na dłużej nad żadną z nich. Co to zmieni? Byłam rozgoryczona i znowu zła na Pawła. Jak bardzo musieliśmy się od siebie oddalić, skoro niczego nie zauważyłam? A jak czuł się Paweł – osaczony i pozostawiony bez niczyjego wsparcia?

Otarłam pierwszą łzę spływającą z oka, potem drugą i następną. Płynęły nieprzerwanym strumieniem, a ja nie potrafiłam ich zahamować.

Nie mogłam zasnąć. O drugiej włączyłam lampkę i usiadłam. Chyba poczytam, bo co innego mogę robić? Laptopa zostawiłam w gabinecie, nie chciałam tam wchodzić, żeby nie obudzić Marceliny. Nie potrafiłam się zdecydować na żadną książkę. Nawet na swoją ukochaną Fleszarową. Nie byłam w stanie zagłębić się w losy bohaterów, byłam zbyt pochłonięta swoimi własnymi problemami. Osaczały mnie, wdzierwały się w każdą myśl i wyglądały z każdego zakamarka umysłu. Nie mogłam sobie z tym poradzić.

Paweł, Paweł, coś ty najlepszego zrobił? – myślałam. – Jak mam teraz z tego wybrnąć? A miało być tak cudownie, tyle sobie obiecywałam.

Przypomniałam sobie naszą pierwszą wycieczkę rowerową do Kampinosu. Byliśmy ze sobą niemal rok, Paweł złożył pierwsze deklaracje. Byłam w nim zakochana po uszy. Wokół kipiał maj, wszystko kwitło i pachniało. Wjechaliśmy w głąb lasu, weekendowy harmider zostawiliśmy za sobą. Ludziom nie chciało się iść tak daleko, tylko nieliczni podążyli rowerami za nami. Otoczyły nas cisza lasu, szum drzew i ptasie trele. Usiedliśmy pod drzewem i wdychaliśmy świeży zapach ziemi, całując się od czasu do czasu. Byłam szczęśliwa.

– Obiecuj mi – powiedział Paweł – że będziesz zawsze pamiętać ten dzień. – Siedział blisko mnie, obejmując mnie jedną ręką. Drugą zanurzył mi we włosach i rozczesywał je palcami. Poddawałam się tej pieśczości z zamkniętymi oczami.

– Dlaczego akurat ten dzień? – przekomarzałam się z nim. Byłam pewna, że będę pamiętać każdy dzień spędzony z Pawłem.

– Bo ten dzień będzie szczególny. Zamierzam ci się oświadczyć. – Muskał ustami szyję i kark. Czułam narastające pożądanie.

– Yhyyy – mruczałam, całkowicie zatapiając zmysły w pragnieniu połączenia się z Pawłem. Oparłam policzek na jego głowie, a tymczasem on rozpiął mi bluzkę i dobierał się do moich piersi. Nie protestowałam.

– Dzień dobry! – Otrzeźwił nas czyjś okrzyk. Tuż obok przejeżdżało kilkanaście rowerów. – Dzień dobry! Dzień dobry! – wołał każdy z rowerzystów, uśmiechając się porozumiewawczo.

Zawstydzona szybko zapięłam bluzkę. Też sobie miejsce znaleźliśmy na kochanie, pomyślałam zmie-

szana. Spojrzałam na Pawła, ale on tylko się śmiał i machał ręką do przejeżdżających cyklistów, odkrzykując radośnie.

– Teraz to na pewno zapamiętam ten dzień – roześmiałam się speszona. – Dobrze, że nie zabrnęliśmy dalej.

– Dokończymy później – uśmiechnął się chytrze. – Teraz ci się oświadczę!

Położył się na trawie i pociągnął mnie za sobą. Pochylona nad nim patrzyłam mu w oczy. Jak ja go wtedy kochałam!

– Tak na leżąco?

– Tak na leżąco.

Pocałowałam go i położyłam się obok niego.

– To zaczynaj – zażartowałam. Przez chwilę milczał, po czym zaczął bardzo cicho recytować jakiś wiersz. Słuchałam jak zaczarowana.

*Są chwile o świcie jak jabłka rumiane,
południe jak złota gotycka lawina,
a potem wieczór ścieżki dnia splątane
księżycowym sierpem przecina.*

*Wciąż stukot serca, wciąż dni odpływ,
i nawet nie wiem, ile mi zostało,
żeby tobie mówić pierwsze dzień dobry
i tobie ostatnie dobranoc.*

*Że się troski nauczyć nie można,
wiedziałem – lecz dziś więcej wiem.
Kiedy nadciąga rzeka snu powolna,
pod powiekami cię unosić w sen...*

*Tyle gwiazd i jabłek pod ręką -
wszystkie dla ciebie. A jeszcze chciałbym łąką
razem iść na wiosenne święto
wniebowstąpienia skowronków.*

*Dla ciebie słowa prowadzić w złote wesele pieśni.
Dla ciebie żyć i nie umierać.
Z tobą patrzeć, jak kluczem dzikich gęsi
jesień się otwiera.*

*I niech w roku będą tylko same lipce,
z płonących lipców lata całe.
Bo kocham cię. Jak Cygan skrzypce.
Jak zima dzwonki białe.*

Wzruszenie nie pozwalało mi mówić. Wtuliłam się tylko w Pawła i wdychałam jego zapach. Ach, zatrzymać tę chwilę na zawsze!

- Wyjdiesz za mnie? – Objął mnie bardzo mocno.
- Tak, Paweł. Wyjdę za ciebie. Kocham cię. Jak w tym wierszu.
- To Jan Zych. Podobało ci się?
- Bardzo!

Dokończyliśmy ten dzień w łóżku, u Pawła, a miesiąc później pobraliśmy się, bez jego rodziców i bez weselnej pompy, w małym kościółku na Mokotowie.

* * *

Poruszona wspomnieniem tego dnia zapragnęłam przeczytać ten wiersz jeszcze raz. Po cichu przeszłam do salonu i na półce obok okna po omacku odszukałam kilka leżących tam książek. Że też o nich zapomniałam! To ulubione tomiki Pawła, między innymi wyszperany gdzieś w antykwariacie tomik Jana Zycha. Zaczytany do granic możliwości. Paweł kochał jego wiersze, aż dziw, że nie zabrał książki ze sobą.

Przerzucałam pozółkłe ze starości kartki i czytałam znajome strofy – naprawdę były piękne. Zadumałam się. Tyle uczuć, tyle emocji w kilku prostych słowach. *Błękitna elegia, Boli mnie, więc jestem. Wreszcie jest! – Tobie mówić.* Nie zdziwiło mnie, że strona z wierszem była założona, ale zdziwiło mnie, czym była założona. Delikatnie przyklejone tkwiło tam nasze wspólne zdjęcie. Zrobiliśmy je w automacie na Dworcu Centralnym. Co ono tam robiło? O ile dobrze pamiętałam, powinno być w albumie z początków naszej znajomości. Sama je tam wklejałam. Może Paweł miał drugą odbitkę? Zwykle korzystał z zakładek do książek, dlaczego akurat tutaj jest to zdjęcie? I na dodatek przyklejone?

Podważyłam ostrożnie taśmę trzymającą zdjęcie i nie uszkodziwszy kartki książki, odkleiłam fotografię. Na odwrocie ręką Pawła były wykaligrafowane cztery cyfry. Dziwne. To nie była data zrobienia zdjęcia. Zdjęcie robiliśmy zimą, a jeśli to była data, to sierpniowa. Nic nie rozumiałam.

Odłożyłam książkę i zgasiałam światło. Zdjęcie położyłam obok, na miejscu Pawła.

- W co ty grasz, Paweł? – szepnęłam.

Zastanawiałam się, co to może znaczyć...

* * *

Znowu, jak kiedyś, byłam na łące. Obok biło źródło. Słońce rozświetlało całą okolicę, tworząc w kropkach źródlanej wody maleńką tęczę. Spragniona przełknęłam ślinę. Ale kiedy sięgałam dłonią po wodę, źródło nagle przestawało bić, a tęcza zniknęła. Kiedy cofałam dłoń, źródło znowu biło i ponad wodą kolorowo migotały krople wody.

– Nie poddawaj się! Jesteś blisko! – doszedł mnie szept i zapach migdałów. Obejrzałam się, ale nikogo nie było. Usiadłam obok źródła i wtedy dostrzegłam w trawie papierowy kubek. Skąd on się tutaj wziął, pomyślałam, ale byłam tak bardzo spragniona, że nie czekając dłużej, chwyciłam go i nabrałam źródlanej wody. Kiedy zaspokoiliłam pragnienie, kubek rozwinął się i zobaczyłam, że w dłoni trzymam zdjęcie uśmiechniętego Pawła. Coś do mnie mówił, ale nie słyszałam co, jego słowa zagłuszał dziwny dźwięk, który wdzierał się do mojej świadomości.

- Cholera jasna! – Usiadłam zaspana na łóżku.

Dzwonił telefon. Byłam zła, bo dzwonek we śnie przytłumił słowa Pawła.

- Halo! – burknęłam mało przyjaźnie.

– Dzień dobry, komisarz Brodnicki. Chyba panią obudziłem. – Spojrzałam na zegarek. Dziewiąta trzydzieści. O jasny gwint! Pewnie zaraz zadzwonią do drzwi.

- Dzień dobry, tak, obudził pan, ale to dobrze. Będę miała czas na przygotowanie się do waszej

wizyty.

– To będziemy za pół godziny. Ja też. Do zobaczenia! – Jak zwykle rozłączył się, zanim mu odpowiedziałam.

Zajrzałam do Marceliny, ale wciąż spała.

– Wstawaj, mała, zasnęliśmy. Zostało tylko pół godziny.

Patrzyła na mnie nieprzytomna.

– Na co pół godziny? – Nie mogła się obudzić.

– Za pół godziny panowie policjanci zastukają do naszych drzwi. Lecę do łazienki, a ty oprzytomniej.

Zastali nas przy śniadaniu i chętnie przystali na filiżankę kawy. Był komisarz Brodnicki i dwóch szarych, milczących facetów, jeden w grubych okularach. Skąd oni ich biorą?

Po kawie każdy z nich zabrał się do oględzin mojego mieszkania. Komisarz zajął się pudłem z rzeczami Pawła.

– Niewiele tego – mruknął rozczarowany.

– No niewiele – przytaknęłam. – Sprawdziłyśmy też wczoraj część książek w gabinecie.

– I nic?

– Nic.

Zastanawiałam się, czy mówić mu o zdjęciu znalezionym w książce. Może na razie nie? Zainstalowałam się na kanapie w salonie i przeglądałam materiały przyniesione z pracy. Jednak nie mogłam się skupić, ciągle myślałam o fotografii. Dlaczego Paweł przykleił ją właśnie tam? I dlaczego wyjął ją z albumu?

Właśnie! Postanowiłam do niego zajrzeć i sprawdzić, czy zostało stamtąd wyjęte, czy może Paweł miał drugą odbitkę.

Usiadłam na podłodze przed komodą i wyciągnęłam albumy ze zdjęciami. Ten właściwy był na samym dnie. Szybko przerzucałam strony. Jest! W miejscu po zdjęciu tkwił przyklejony mały kluczyczek! Co Paweł chciał mi przekazać?

Oderwałam kluczyczek i obejrzałam go dokładnie. Były na nim wygrawerowane cztery cyfry, te same, które Paweł zanotował na zdjęciu.

– Panie komisarzu. – Stałam w progu sypialni, bo akurat tam myszkował. – Chyba coś znalazłam.

– Tak? – Wynurzył się spod łóżka. – A co takiego?

Pokazałam mu kluczyczek.

Błyskawicznie znalazł się obok mnie i podniecony oglądał znalezisko.

– Wygląda jak kluczyczek do jakiejś skrytki. Nic więcej pani o nim nie wie?

– Dopiero go znalazłam. – Zmarszczyłam czoło, usilnie myśląc. – Ale chyba wiem, dokąd może prowadzić.

Opowiedziałam komisarzowi, gdzie go znalazłam.

– Pani Michalino! Toż to chyba to, czego szukamy! Musimy zaraz jechać na Centralny! Panowie! Zbierajcie się!

– Mogę z wami pojechać?

– Może lepiej nie, na wszelki wypadek, gdyby ludzie Szaposznikowa panią obserwowali. Obiecuję, że do pani zadzwonię i wszystko opowiem. Panowie! Dyskretnie, po kolei. Spotkamy się przy markecie na parkingu, ja już lecę, a wy się szykujcie.

Szybko ubrał się i wybiegł, jakby go ktoś gonił. Pozostali panowie z namaszczeniem zaczęli zbierać przyniesiony ze sobą sprzęt. Chwilę później już ich nie było.

Popatrzyłyśmy na siebie z Marceliną.

– O co tu chodzi? – zdziwiłam się.

– Wkrótce będziemy wiedzieć. – Wzruszyła ramionami i pozbierała opróżnione filiżanki.

Żałowałam, że nie mogłam pojechać z nimi, spotkałabym tam Waldka.

– Trochę nabałaganili – zrzędziłam, porządkując poprzekładane przez policjantów rzeczy. Dobrze, że nie zdążyli przeszukać całego domu, pomyślałam.

– Zrobiłam ci kawę. – Marcelina podała mi dymiący kubek. – Odpocznij.

– O, dzięki! – Upiłam łyczek. – Zastanawiam się, czy nie zacząć pakować w pudła rzeczy, których nie będę używać. Zawsze zostanie mniej pracy na później.

– Myślisz o pozostałych książkach?

– Między innymi.

– Niezły pomysł. Trzeba tylko skombinować pudła – zgodziła się ze mną. – Już chciałabym pojechać na wieś. Tęsknię za przestrzenią.

– Możemy pojechać z Waldkiem – zaproponowałam. – Niewiele mnie tu trzyma. Poczekam tylko na wiadomość od komisarza. I można zacząć przenosiny.

– Co z mieszkaniem?

– A mieszkanie będzie czekać na kupca, jeśli nie sprzedam Szaposznikowowi. Zabierzemy tylko potrzebne rzeczy, a reszta niech zostanie. Weźmiemy po remoncie domu.

– Myślisz, że Waldek zgodzi się, żebyśmy zamieszkały u niego przez jakiś czas?

– Chyba tak. Zresztą zawsze możemy zamieszkać w swoim domu. Chyba damy radę, jak myślisz?

– Ja na pewno, jestem przyzwyczajona.

– A ja się przyzwyczaję. – Uśmiechnęłam się do tej mojej siostry szalonej. – W końcu nie takie to odległe czasy, kiedy o luksusie mogłam tylko pomarzyć.

Zadzwonił telefon.

– Jadę do was! – zawołał Waldek, przekrzykując huk przejeżdżającego pociągu. – Będę za pół godziny!

Rzeczywiście, było już po drugiej.

– Idziemy do kuchni szykować obiad. Wstawiaj gołąbki, żeby zdążyć na czas.

* * *

Po obiedzie opowiedziałam Waldkowi wszystkie rewelacje ostatnich godzin.

– I co tam było w tej skrytce? – Był podekscytowany.

– Jeszcze nie wiem, komisarz nie dzwonił. Sama jestem ciekawa. Jak dziś nie zadzwoni, to ja zadzwonię do niego jutro.

– Niesamowita historia. – Waldek nie mógł się nadziwić i zdumiony wciąż kręcił głową. – Jaki ten Szaposznikow okazał się przebiegły!

– A już postanowiłam, że sprzedam mu mieszkanie. – Roześmiałam się. – Widocznie Paweł z góry czuwał nade mną.

– Ale i tak nic by nie znalazł, gdyby kupił, bo książki zabrałabyś ze sobą.

– Co najwyżej pomyślałby, że coś było w tej skrytce w garderobie. Wtedy dopiero zaczęłby mnie ściagać. Dobrze się stało, że znalazłam.

– Jeszcze nie wiadomo, czy w skrytce było coś ważnego. Bo może problem sam się rozstrzygnie.

– Mógłby się rozstrzygnąć – przyznałam. – Bo zaczynam się bać. Tkwię w tej sytuacji po uszy, a o niczym nie mam pojęcia.

– A taki był uprzejmy i czuły dla ciebie. – Śmiała się Marcelina. – Niemalże ojczulek!

– Uchowaj Boże przed takim ojczulkiem! – Wzdrygnęłam się przestraszona. – Trzeba przed nim ucie-

kać i zacierać ślady, żeby nigdy nas nie odnalazł.

– Może jak go przymkną, to na długo. – Waldek miał zacięty wyraz twarzy.

– Byle przymknęli, bo jak nie, to nie będzie wesoło. – Marcelina jak zwykle trzeźwo oceniła sytuację.

– A jak wasze plany przeprowadzki tam gdzie pieprz rośnie? – Waldek wreszcie zmienił temat.

– A rośnie tam pieprz? Nie zauważyłam. – Śmiałam się z tego utartego zwrotu.

– Rośnie. Pokażę ci. – Waldek wziął mnie za rękę. – Jak plany?

– Marcelina rysowała, ja zaakceptowałam. Teraz tylko potrzeba nam twojego kolegi cudotwórcy.

I miejsca do zamieszkania.

– Z kolegą jestem umówiony pojutrze u siebie. Dacie radę przyjechać? A o miejsce do zamieszkania nie ma co się martwić. U mnie jest dużo przestrzeni, a i ten niebieski dom obok waszego jest do wynajęcia. Zmieścicie się i wy, i robotnicy w razie potrzeby. A także wasze warszawskie rzeczy, jeśli trzeba je będzie stąd zabrać.

– Waldek! Jak to wszystko zorganizowałeś? – Byłam zdumiona jego przedsiębiorczością.

– Samo się wszystko zorganizowało. Ja tylko zadzwoniłem do Jurka i szczęśliwie miał czas. A informacja o niebieskim domu sama do mnie przyszła. Spadkobiercy chcą go sprzedać, ale nie ma chętnych, więc postanowili wynająć. Nie pytając ciebie, wstępnie zarezerwowałem pierwszeństwo, bo to okazja. Naprawdę ktoś nad tobą czuwa tam w górze.

Poczułam, jak rozpiera mnie radość, o mało nie eksplodowałam. Śmiały mi się oczy i buzia.

– Ale się cieszę! – pisałam wreszcie. – To możemy do ciebie przyjechać nawet jutro! Jeśli się zgodzisz!

– Nawet tego żądam! – Śmiał się, kiedy obydwie z Marceliną dusiłyśmy go w uściskach.

W radosnym hałasie utonął dźwięk telefonu. Odebrałam w ostatniej chwili.

– Halo! – To komisarz, pokazałam na migi.

Natychmiast zapadła pełna wyczekiwania cisza. Waldek i Marcelina przysunęli się do mnie, usiłując coś podsłuchać.

– Pani Michalino! Ta skrytka to prawdziwa żyła złota! Teczka pełna dokumentów, mamy wszystkie dowody na przestępczą działalność Szaposznikowa! Pułkownik mało nie dostał zawału, jak to zobaczył! Kilka lat poszukiwań haczyka spełzało na niczym, a tu nagle taki prezent! Właśnie prokurator wystawia nakaz aresztowania, oby nam Szaposznikow nigdzie nie zniknął. Zaraz zaczynamy akcję! Jestem pełen uznania! Jak dobrze, że pani znalazła ten klucz!

– Panie komisarzu, bardzo, bardzo się cieszę!

– Muszę kończyć, bo zaraz jedziemy! Pozwoli pani, że odwiedzę panią jutro? Na pewno będę miał do pani jeszcze dużo pytań!

– Dobrze, proszę bardzo. Ale po południu chciałabym wyjechać na kilka dni, mam nadzieję, że nie będę potrzebna.

– Powinienem zdążyć do popołudnia. W razie czego zadzwonię do pani i powiem, jak się sprawy mają.

– A zatem do usłyszenia, panie komisarzu. I... powodzenia!

– Nie dziękuję! – Rozłączył się.

– I co? I co? – Marcelina i Waldek tłoczyli się wokół mnie z oczami płonącymi ciekawością.

– I mają go! Właśnie jadą z nakazem aresztowania. W skrytce były wszystkie potrzebne dowody. Jakie to szczęście, że coś mnie tknęło i zajrzałam do tej książki!

– A będziesz mogła jutro przyjechać? – Waldek patrzył na mnie niecierpliwie.

– Jeszcze nie wiem, ale chyba tak. W razie czego przyjadę pojutrze raniutko.

– Przyjedziemy – poprawiła Marcelina.

– Przyjędziemy – zgodziłam się. – Słuchajcie, trzeba to uczcić!

– Koniecznie! – Marcelina podskakiwała śmiesznie na jednej nodze.

– Ja bardzo chętnie, ale, niestety, muszę dzisiaj wracać. Jutro rano jestem umówiony w Urzędzie Miasta, nie mogę się spóźnić – wyjaśnił Waldek, patrząc na nasze zawiedzione miny. – Ale obiecuję, że uczcimy to bardzo uroczyście. Zrobimy przyjęcie u mnie na wsi. Możecie zaprosić, kogo chcecie, nawet komisarza!

– Dobrze, to zaplanujemy wszystko bardzo szczegółowo. A teraz zjedzmy chociaż po cukierku! – Marcelina zanurkowała w szafce barku w poszukiwaniu łakoci.

– Mam coś lepszego. – Waldek przyniósł z przedpokoju torbę. – Upiekłem wam babkę piaskową. – Wyjął starannie zapakowane pudełko, a z niego lukrowaną, apetycznie pachnącą babę.

– Waldek, ty to jesteś! – podziwiała Marcelina, patrząc łakomie na ciasto.

– Lecę po talerzyki! – Poderwałam się z fotela.

– Chodźmy do kuchni. Zrobimy kawę. – Marcelina złapała ciasto i pognała za mną do kuchni.

– Wiedziałem, że się ucieszycie. Marcelinko, dla mnie herbata, za późno na kawę.

– Dla mnie też herbatka! – Z radością nakrywałam do stołu i kroiłam ciasto. – Ale pachnie ta baba. – Skubnęłam okruszek. – Ale pycha! Waldek, jesteś mistrzem!

– E tam, zaraz mistrzem. Zwykła baba.

– No, nie taka zwykła. Ja takiej nie potrafię.

– Ale za to jaki sernik potrafisz! Mniam, mniam! Musisz mnie nauczyć!

* * *

Z zalem pożegnał się z nami po dwudziestej. Nie zatrzymywałam go, bo wiedziałam, że jutro, najdalej pojutrze już się zobaczymy. Poza tym znowu zaczynał padać śnieg. Chciałam, żeby pojechał, zanim rozpuła się śnieżycą. Zima tego roku była bardzo śnieżna, nie oszczędzała nas.

* * *

Od rana zaczęłam pakowanie, by być gotowa do wyjazdu w każdej chwili. Marcelina też pozbierała swój skromny dobytek. Jak na złość czas okropnie się dłużył. Usiadłam przy stole w kuchni i usiłowałam się czymś zająć. Nie bardzo wiedziałam czym, ciągle myślałam o wczorajszym dniu, w końcu zatopiłam się w projekcie. Wyglądał interesująco. Koszty też, na oko, wyglądały przystępnie, ale musiałam wszystko bardzo szczegółowo sprawdzić. Zaczęłam notować spostrzeżenia i robić wstępny plan, kiedy zadzwiezczał domofon.

– Komisarz Brodnicki! – niemal krzyczał do słuchawki. Głos miał schrypnięty, ale szczęśliwy. Wpuściłam go bez słowa.

Wbiegł po schodach, nie czekając na windę i – ku mojemu zaskoczeniu – uściskał mnie w progu.

– Pani Michalino, zwycięstwo na całej linii!

Wyglądał, jakby nie spał całą noc, nieogolony, zmęczony, ale szczęśliwy.

– Mamy go! Nawet nie piknął, kiedy zobaczył księgi rachunkowe. Te prawdziwe, nie te na potrzeby kontroli skarbowej! Pani mąż miał wszystko, nawet dowody na fałszowanie faktur i wyłudzenia z banku! Koledzy z gospodarczej aż zacierają ręce z radości. Nie wyjdzie szybko facet, oj, nie wyjdzie! Oprócz małwersacji finansowych ma na koncie kilka zleceń zabójstw, między innymi pani męża. Nie wywinie się! – wykrzyczał wszystko jednym tchem i padł na kanapę.

Marcelina podała mu szklankę z wodą. Wypił duszkiem i uśmiechnął się szeroko.

– A jego gwardia?

Byłam ciekawa, co się stało z blondynem spod mojego domu. Miałam nadzieję, że też go zatrzymali.

– Wszyscy siedzą! Nawet się nie bronili, tak ich zaskoczyliśmy. Niezłe z nich ziółka, mówię pani!

Strach się bać!

– To pewnie dopiero teraz zacznie się prawdziwe śledztwo, prawda?

– Prawda, pani Michalino. Ale przyjechałem powiedzieć, że jeśli pani chce wyjechać, to może pani to zrobić. Tylko proszę zostawić adres, gdzie pani przebywa. Telefon mamy. Jak będzie pani potrzebna, to się skontaktujemy. Na razie prokuratura ma co robić, muszą zabezpieczyć dowody, a to na pewno potrwa. Więc spokojnie proszę korzystać z wolnego czasu.

– To bardzo dobra wiadomość. – Gdybym mogła, wyjechałabym natychmiast. – Bardzo panu dziękuję.

– A nie ma za co. To będę leciał, muszę się trochę przespać. Bardzo pani dziękuję za pomoc.

Ubierał się w przedpokoju, a ja napisałam na kartce adres Waldka.

– O, dziękuję. Byłbym zapomniiał. – Schował kartkę do notatnika. – Do widzenia paniom.

– To co? Jedziemy?

– Jedziemy! Tylko zadzwonię do Waldka i go uprzedzę. Spakuję też dokumenty, to trochę tam popracuję, bo czas ucieka. Jedzenie chyba możemy zostawić w lodówce, jak myślisz?

– Może zamrozę na wszelki wypadek?

– Masz rację. Ciekawe, co na to wszystko powiedzą Aga i Wiktor. Muszę do nich zadzwonić.

– A, to nie będę się śpieszyć.

Marcelina puściła do mnie oko. Miała rację, szybko tego nie da się opowiedzieć. Ale najpierw zadzwoniłam do Waldka.

– Czekam na was! Jedźcie ostrożnie!

Ciekawa byłam, jak mi się uda ta ostrożna jazda. Chciałam pędzić do niego jak na skrzydłach!

Teraz Aga i Wiktor.

– Cześć, Aga!

– Cześć, kochana! Już się za nami stęskniłaś?

– Pewnie, że tak! Zawsze za wami tęsknię. Ale mam do was obojga sprawę, znaczy do ciebie i do Wiktora. Mam nadzieję, że jest?

– Czekaj, zaraz sprawdzę. – Słyszałam, że przełącza rozmowę. – Jest. Przełączę cię teraz do niego, chwilę z nim porozmawiaj, a ja zaraz do niego pójde, to porozmawiamy na głośnomówiącym, ok?

– OK. Cześć, Wiktor!

– Cześć, Michasia. Jak się czujesz? Co się wydarzyło, że tak alarmujesz?

– Dziękuję, w porządku. Zaraz opowiem, ale uprzedzam, że nie mam dobrych wiadomości.

– Już jestem. – Usłyszałam Agę. – Możesz mówić.

Nie przerwali mi ani jednym pytaniem. Kiedy skończyłam, po chwili ciszy, odezwał się Wiktor.

– Niech to jasna cholera! Czy jesteś tego pewna?

– Tak, Wiktor. Przed chwilą wyszedł ode mnie ten komisarz, co prowadził sprawę Pawła. Teraz dopiero wszystko nabierze rozpędu, więc spodziewajcie się różnych kontroli i przesłuchań.

– Niech to szlag trafi! Że ja ciebie nie posłuchałem! Ale kto by pomyślał? Znałem go tyle lat!

– Wiktor, daj spokój, wyluzuj – uspokajała go Aga. – Już teraz nic nie zmienisz. Księgowość mamy w porządku, przecież przygotowywałeś się do sprzedaży, wszystko jest gotowe do wglądu. Nie panikuj!

– Łatwo ci mówić, wiesz, jak to jest. Zawsze mogą coś znaleźć!

– No mogą, ale nie przekręt, lecz błąd. A to różnica. Wiktor, no! Przecież dokumenty do sprzedaży przygotowywała zewnętrzna niezależna firma! Nie mieli uwag!

– Wiktor, ty się ciesz, że nie zdążyłeś sprzedać! – wtrąciłam swoje trzy grosze.

– Teoretycznie nie zdążyłem, ale chyba już nie mogę cofnąć decyzji. Muszę się dowiedzieć. Faktycznie

firmę miał kupić syn Szaposznikowa, a on chyba jest czysty. Przynajmniej taką mam nadzieję. Ale się, kurwa, porobiło! Właśnie teraz, kiedy muszę być przy Natalii i Zuzi!

– Przykro mi, że przekazałam wam złą wiadomość. – Naprawdę było mi przykro. – Ale uznałam, że lepiej, żebyście się dowiedzieli jak najszybciej.

– Dobrze zrobiłaś, Michasia, bardzo dobrze. Zaraz zacznę działać. Dziękujemy ci bardzo.

– To nie przeszkadza, trzymajcie się. W razie potrzeby dzwońcie, bo za chwilę wyjeżdżam na kilka dni.

Rozłączyłam się z ulgą. Bardzo im współczułam, bo wiedziałam, co ich czeka. Nie wyglądało to różowo.

* * *

Z Warszawy wyjechałyśmy po piętnastej. Korek był do Łomianek, potem nagle na drodze zrobiło się luźno. Na szczęście było sucho, nie padał śnieg. Wciąż trzymał lekki mróz.

– Zobaczysz, zapłacisz mandat – zrzędziła Marcelina. – Pędzisz, jakby cię tygrysy bengalskie goniły.

Zwolniłam na chwilę, po czym znowu nieświadomie przycisnęłam pedał gazu. Do Wyszogrodu dojechałyśmy w niespełną godzinę.

– Chyba zwariowałaś. – Marcelina wysiadła z samochodu przed sklepem Waldka. – Do domu jadę z Waldkiem, ty wariatka jesteś!

– A co ty taka nerwowa?

– Bo chciałam jeszcze trochę pożyć! – Była na mnie zła. A ja tak się cieszyłam na spotkanie z Waldkiem, że wcale się tym nie przejęłam. Przejdzie jej.

U Waldka, o dziwo, był tłok w sklepie.

– Dam wam klucz, rozgoście się. I uważajcie, żeby Pan Broniek nie uciekł. Tylko czyha na szparę w drzwiach. Ja będę najpóźniej za dwie godzinki.

– Jedziesz ze mną, czy czekasz w sklepie, aż Waldek skończy? – zapytałam złośliwie. Marcelina łypnęła na mnie złym spojrzeniem i wsiadła do samochodu.

– Jadę z tobą tylko dlatego, że na takim krótkim odcinku nie zdążysz się rozpędzić – oznajmiła z obrażoną miną.

– Chcesz się przekonać? – Postanowiłam trochę ją podrażnić.

– Głupia jesteś, wiesz?

– A czy kiedyś twierdziłam, że jestem mądra?

Widziałam kątem oka, że drżą jej wargi od tłumionego śmiechu. Wreszcie nie wytrzymała i rozchichotała się do łez.

– Naprawdę jesteś nienormalna! Ale nie rób tego więcej, bo mało nie umarłam ze strachu. Otworzę bramę.

Podaliśmy jej klucze.

Na ganek weszłyśmy bez przeszkód. Dokładnie zamknęłam za sobą drzwi na zewnątrz i dopiero wówczas Marcelina otworzyła drzwi do mieszkania. Pan Broniek tylko na to czekał – natychmiast wybiegł, ocierając się nam o nogi, i wcisnął nos między ścianę a drzwi, prychnając głośno.

– Miau! – oznajmił swoje niezadowolenie.

– Brońciu, a dokąd się wybierasz? Przecież jeszcze nie marzec. – Marcelina podniosła rudzielca z podłogi i przytuliła do siebie, głaszcząc. – Wracaj do domu, bo zmarzniesz. Ty kanapowy kotek jesteś.

Chociaż się wrywał, nie wypuściła go, dopóki nie zamknęłam drzwi. Obrażony zadarł ogon i poszedł gdzieś w głąb mieszkania.

– Ale go przyparło. – Roześmiałam się.

– Zupełnie jak ciebie – mruknęła Marcelina. Nie odpowiedziałam na tę jawną zaczepkę. Zabrałam swoją torbę i poszłam na piętro do pokoju, gdzie poprzednio spałyśmy.

– A ty nie śpisz u Waldka?

– A co? Nie odpowiada ci moje towarzystwo?

– W każdym razie nie przeszkadza. – Była złośliwa, ale nie miałam jej tego za złe.

– No to dobrze. Ale jak mnie zaprosi, to skorzystam.

– Ja myślę, że skorzystasz. Aż tak głupia przecież nie jesteś!

Nie zastanawiając się, rzuciłam w nią poduszką, ale się uchyliła.

– Czekaj, dorwę cię jeszcze – powiedziałam z godnością i zeszłam do kuchni. Na mój widok Pan Broniek zeskoczył z okna i zaczął się ocierać o moje nogi, miauczając przeraźliwie. Nie dał się pogłaskać, tylko podbiegał do drzwi, oglądając się wymownie.

– Jak wróci twój pan, to cię wypuści. Ja nie mogę. Zakazał mi!

Zwierzątko jakby zrozumiało, bo skuliło się na sofie pod oknem i za chwilę mruczało rozkosznie. Zwróciłam się po kuchni w poszukiwaniu czajnika. Stał na blacie przy oknie. Nalałam wody, by ją zagotować i zrobić herbatę. Marcelina wyjęła kolorowe kubki z szafki przy ścianie.

– Herbata jest w tej niebieskiej puszcze. – Pokazała palcem.

Rzuciłyśmy się jak u siebie, Marcelina nawet spenetrowała lodówkę w poszukiwaniu jedzenia.

– Głodna jestem – oznajmiła, ale nie znalazła niczego dla siebie.

Rozczarowana usiadła obok Pana Bronka i wzięła go na kolana, głaszcząc delikatnie rude futerko. Nie protestował, wydawało się, że nadal drzemie.

– Szkoda, że nie zabrałyśmy gołąbków. Nie musiałabym teraz cierpieć, czekając na Waldka. – Zrobiła śmieszny minę i zapatrzyła się w ciemność za oknem.

– Może skoczę do sklepu? – Też byłam głodna. – Naprawdę w lodówce nic nie ma?

– Sama sprawdź.

Rzeczywiście półki świeciły pustką.

– To do Waldka niepodobne – mówiłam, robiąc przegląd nielicznych pudełek.

– No właśnie – mruknęła Marcelina.

– Może chociaż są ziemniaki, to placki byśmy zrobiły. – Szperałam po szafkach.

– Ziemniaki są w piwnicy.

Marcelina podała mi Pana Bronka i wzięła koszyk na ziemniaki.

Niedługo w całej kuchni pachniało rozgrzanym olejem i słychać było skwierczące placki. Jadłyśmy je prosto z patelni, jeszcze gorące i chrupiące.

– Ale pychaaa! – Marcelina obficie posypywała każdy placek cukrem. – Chcesz?

– Ja bez cukru. – Pożerałam kolejnego, parząc sobie usta.

– Zostało coś dla mnie?

Nie słyszałyśmy, kiedy wszedł Waldek.

– Pachnie już przed drzwiami! A co to? Nie ma ani jednego?

Szczęśliwie akurat zdjęłam porcję z patelni.

– Wszystkie moje! Wy już jadłyście!

Na szczęście placków wystarczyło na całą naszą trójkę.

Po kolacji Waldek napadł na Marcelinę.

– Pokazuj, co narysowałaś!

– Ale co? O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Pokaż plany domu.

– Aaa! Już się przestraszyłam, że będziesz kontrolował, ile obrazków namalowałam. – Zadowolona wyjęła z teczki plik rysunków z planami i podała Waldkowi.

Oglądał z zainteresowaniem. Ja też pochyliłam się jeszcze raz nad rysunkami.

– Bardzo ciekawe rozwiązania – pochwalił.

– Oby tylko udało się je wdrożyć, bo mnie też się podobają. Ciekawa jestem zdania tego twojego kolegi.

– Naprawdę możesz na niego liczyć. Uczciwie ci powie, co jest możliwe, a co nie. I jeszcze udoskonalili każdy pomysł. Ma chłopak talent.

– Czekam z niecierpliwością na jutrzejsze spotkanie.

Oparłam się o Waldka, a on objął mnie i przytulił.

– Ja na dzisiejszą noc – szepnął mi do ucha, dmuchając we włosy. Poczułam, jak coś we mnie drgnęło nagłym pożądaniem. Zaczerwieniłam się i zerknęłam na Marcelinę, ale ona udawała, że z wielkim zainteresowaniem ogląda telewizję. To dobrze, nie lubiłam takiego afiszowania się uczuciami, więc dyskretnie odsunęłam się od Waldka. Nie protestował, z żalem wypisanym na twarzy pozwolił, żebym usiadła na fotelu.

– Mam nadzieję, że mi wybaczyście dzisiejsze pustki w lodówce. – Waldek zręcznie zmienił temat. – Byłem ostatnio tak zajęty, że nie miałem czasu na zakupy ani na gotowanie. Jutro muszę uzupełnić zapasy. Wybierzecie się ze mną?

– Beze mnie – mruknęła Marcelina. – Nie cierpię zakupów. Jedźcie sobie sami – dodała mało uprzejmie.

– A ja chętnie! – Ucieszyłam się na sam na sam z Waldkiem, chociaż tylko na zakupach. – Jesienią kupiłam tu różne pyszności na targu.

– No właśnie wybieram się na targ. Ale trzeba raniutko wstać, najlepiej tam iść przed śniadaniem.

– To tym bardziej beze mnie. – Moja złośliwa siostra przeciągnęła się bezwstydnie. – Muszę odespać ostatnie afery w domu Michaliny.

– Mogłabyś chociaż śniadanie zrobić, skoro my zaopatrzymy spiżarnię, leniuchu – przekomarzałam się z nią.

– Mogę zrobić, ale nie mam z czego. I tak muszę czekać, aż wrócicie. Potem pozwolę wam odpocząć – zgodziła się wspaniałomyślnie.

– Ooo! Dziękujemy, wasza łaskawość!

– Żadnego odpoczynku nie będzie. Przypominam, że zaraz po śniadaniu przyjeżdża nasz mistrz remontowy. – Waldek sprowadził nas na ziemię. – I każde jedzie na swoje pole bitwy, wy do Szamocin, a ja do sklepu. Ostatnio jest duży ruch, co mnie bardzo cieszy, niestety nie mogę się wyrwać ani na chwilę.

– Myślałam, że pojedziesz z nami. – Byłam zawiedziona.

– Przykro mi, nie mogę. Naprawdę bardzo żałuję. Ale spokojnie oddam was w ręce mojego kolegi.

Uśmiechnęłam się ze zrozumieniem. Nie chciałam robić mu przykrości. Przecież miał obowiązki, nie mógł ich porzucić dlatego, że ja chciałam z nim spędzać każdą chwilę. Jeszcze będzie na to czas, jeszcze się nasycę.

– Nie widziałyście Pana Bronka? – Waldek nagle się zaniepokoił. – Nie przywitał mnie, jak wróciłem.

– Obraził się na nas, bo go nie wypuściłyśmy. – Marcelina podniosła się z fotela. – Ale że ciebie nie przywitał, to dziwne. Trzeba go poszukać.

Rozeszliśmy się po mieszkaniu, nawołując kota.

– Kici, kici! – rozlegało się po pokojach. Niestety, bezskutecznie.

– Gdzie on się podziewa? – Waldek naprawdę był zmartwiony. – Może go nie zauważyłem, kiedy otworzyłem drzwi i poszedł sobie? – Włożył kurtkę i wyszedł na podwórko. Wkrótce usłyszałyśmy, jego

„kici, kici!”

– Panie Bronku! – zawołałam w głąb mieszkania. Nic. Cisza.

– Panie Bronku!

Marcelina wspinała się po schodach na piętro. Otwierała każde pomieszczenie, nawet łazienkę. Nic. Pan Bronku przepadł.

– Cholera, gdzie to kocisko?

Marcelina zaczęła otwierać szafy.

– Może naprawdę Waldek nie zauważył, jak kot wychodzi na podwórko? Tylko czyhał na okazję.

– Niedobrze, Waldek jest do niego bardzo przywiązany.

– Kot do niego też – dodałam. – Kurczę, dopiero tutaj był. Plątał się pod nogami, jak smażyłyśmy placki.

– To prawda. I nie chciał jeść. Wrzuciłam mu karmę do miski i nawet nie ruszył. Może chory? Kici, kici! – Ponowiłam nawoływania. Zajrzałam pod kanapę, pod stół, za zasłonki. Nic. Kot przepadł.

Stałam przy uchylonych drzwiach do sypialni Waldka.

– Może tutaj?

Jakoś nie miałam śmiałości tam wejść.

– Możliwe. No wchodź! – Marcelina zniecierpliwiła się na mnie.

Pchnęłam drzwi z uczuciem, że naruszam czyjąś prywatność.

– Kici, kici! – rzuciłam w ciemność pokoju.

– Miau! – Odpowiedziało mi cichutkie stłumione miauczenie.

– Jest tutaj! Zawołaj Waldka!

Włączyłam światło i rozejrzałam po pokoju. Marcelina pognęła na ganek.

Gdzie on wlaź? Nigdzie go nie było widać.

– Kici, kici! – nawoływałam.

– Miau!

Nadstawiłam bacznie uszu.

– Panie Bronku, gdzie jesteś?

– Miau!

Wreszcie zlokalizowałam, skąd dochodził głos. Zanim podniosłam kołdrę na łóżku, stanął za mną Waldek, a tuż za nim była Marcelina.

– Ja mu dam! – Waldek był zły. – Nie wolno mu wchodzić do łóżka!

Pod kołdrą leżało w wymiocinach rude nieszczęście. Bursztynowe oczy patrzyły na nas przeprasza-
jąco.

– O mój Boże! Brońciu! – Waldek usiłował czyścić kocie futerko chusteczkami higienicznymi. – Co się stało?

– Przyniosę papierowe ręczniki. – Marcelina pobiegła do kuchni.

– Weź po drodze jakiś stary ręcznik! – zawołał za nią Waldek.

Patrzyłam, z jaką czułością podniósł Pana Bronka z pościeli, zawinął w przyniesiony przez Marcelinę ręcznik i zaniósł do łazienki.

– Pewnie znowu zjadłeś coś niedozwolonego, staruszk. Trzeba jechać do lekarza, będzie zastrzyk – mówiąc to, wycierał kocie futerko. Pan Bronku poddawał się tym czynnościom spokojnie, a nawet pokornie. Wzruszało mnie, gdy cicho pomiaukując, podstawiał do głaskania głowę.

Waldek przyniósł koci transporter i delikatnie włożył do niego owiniętego w ręcznik Pana Bronka.

– Pojadę z tobą – zaoferowałam pomoc, gdy zaczął się ubierać. – Obie pojedziemy.

Marcelina kiwnęła głową na znak, że się zgadza.

– Dziękuję wam, kochane moje, ale nie ma potrzeby, żebyście zarywały noc. Kładźcie się spać. Rano macie spotkanie, a ja nie wiem, kiedy wrócę. Jadę do Płońska, mam tam znajomą panią weterynarz. Zna już Pana Bronka, bo leczy go od kilku lat. To nie pierwszy raz. W razie potrzeby zostanę u niej na noc i przyjadę rano. We trójkę byłby kłopot z noclegiem.

– Wobec tego poczekamy na ciebie.

Podaliśmy Waldkowi transporter z kotem.

– Jeśli nie wrócę do pierwszej, to się kładźcie. Na razie.

Zamknęłam za nim drzwi.

Czas dłużył się okropnie. Wpatrzona w telewizor bezmyślnie przerzucałam programy. Marcelina rysowała coś w milczeniu.

– Poddaję się. – Wstała po jedenastej, ziewając potężnie. – Zostajesz czy idziesz spać?

– Jeszcze poczekam. Zrobię sobie coś do picia i poczytam.

– To pa. Ja idę, jestem nieprzytomna.

Czekając, aż wystygnie herbata, zdjęłam zabrudzoną pościel z łóżka Waldka. Okropnie śmierdziała, więc namoczyłam ją w wannie. W szafie znalazłam zapasową kołdrę i koc. Koc zabrałam ze sobą i przykryłam nim nogi. Po północy odłożyłam książkę, którą usiłowałam czytać, i wyciągnęłam się na kanapie. Otoczyła mnie cisza domu. Coś skrzypiało, coś trzeszczało, ale się nie bałam. Przeciwnie, czułam spokój i bezpieczeństwo. Po chwili opanowała mnie senność nie do pokonania.

* * *

Było jeszcze ciemno, kiedy poczułam głaskanie po policzku i pocałunek w czoło. To Waldek. Poznałam po zapachu. Nie otwierając oczu, zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Jesteś – szepnęłam.

– Tak. – Położył mi głowę na ramieniu. Coś w jego głosie przykuło moją uwagę. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że płacze.

– Waldek! – powiedziałam tylko tyle. Przytulił się mocniej.

– Pan Bronek odszedł. Martyna dała mu kroplówkę, ale to nic nie pomogło. Usnął po trzeciej.

– Tak mi przykro!

Naprawdę było mi przykro. Polubiłam tego rudzielca. Wiedziałam, że wiele dla Waldka znaczył.

– Będzie mi go brakowało. Był ulubieńcem mojego taty.

– I twoim.

– I moim.

Głaskałam go po głowie jak dziecko. Czułam, jak się uspokaja.

– Która godzina?

– Po piątej.

– Chodź na kawę. Położysz się potem na trochę?

– Nie, nie będę się już kładł. Posiedzę w sklepie do południa, a potem zamknę wcześniej. Ale ty możesz się jeszcze trochę przespać.

– Posiedzę z tobą.

Zajęłam się parzeniem kawy. Waldek milczał, a ja go nie zagadywałam. Widziałam, że był zgnębiony.

– Może chcesz coś zjeść?

– Nie, dzięki. Nie jestem głodny.

Postawiłam przed nim parujący kubek kawy i usiadłam po drugiej stronie stołu. Milczeliśmy.

Po chwili zapytał.

– Czy miałabyś coś przeciwko, gdybyśmy pochowali go u was w sadzie?

– Oczywiście, że nie.

– To zrobię to dzisiaj po południu. Pojadę prosto ze sklepu.

– Chcesz, żeby z tobą pojechać?

– Jeszcze nie wiem.

– To powiedz, jak się zdecydujesz.

Kiwnął głową i gapił się w ciemność za oknem. Miałam wrażenie, że chce być sam. Wstałam więc od stołu.

– Chyba jednak położę się na trochę, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie mam, Michasiu, oczywiście, że nie mam. Żaden ze mnie teraz towarzysz. Zdrzemnij się trochę, bo na pewno się nie wyspałaś, czekając na mnie. Obudzę was przed dziewiątą.

Wyciągnął do mnie ręce. Kiedy podeszłam, przytulił się do mnie mocno. Odwzajemniłam uścisk i pocałowałam go w policzek.

– Spróbuj i ty się zdrzemnąć. Masz za sobą nie dość że bezsenłą noc, to i mnóstwo emocji. Przynajmniej się połóż i odpocznij. Jeszcze do rana jest trochę czasu.

– Może masz rację. Dopiję kawę i się położę. Dziękuję ci bardzo. – Przytuliliśmy się do siebie policzkami. – Nie miej mi za złe, że chcę trochę побыć w samotności.

– Nie mam ci za złe, nawet tak nie myśl. – Pocałowałam go delikatnie i weszłam na piętro.

Marcelina swoim zwyczajem spała zwinięta w kłębek. Oddychała tak cicho, że musiałam wyężyć słuch, żeby usłyszeć. Szybko się rozebrałam i położyłam na sąsiednim łóżku. Spokój tego miejsca, mimo smutku jego gospodarza, działał na mnie kojąco. Podłożyłam sobie pod głowę jasek i nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

* * *

– No to mamy wszystko dogadane. Startujemy w marcu.

Przyjaciel Waldka okazał się miłym, konkretnym facetem. Szczęśliwie aż do września nie miał żadnych zamówień, remont mojego domu spadł mu jak gwiazdka z nieba.

– Jeszcze sprawdzę w gminie plany, czy ten pomysł pani Marceliny z wyburzeniem ściany jest możliwy, ale na moje oko tak.

– Panie Jurku, tak czy siak, w marcu zaczynamy remont. – Cieszyłam się jak dziecko. – Wyburzenie ściany to w zasadzie sprawa drugorzędna.

Resztę pomysłów Marceliny, ku jej wielkiej radości, łyknął bez zastrzeżeń.

– Ma pan cały miesiąc na sprawdzenie, a my będziemy miały czas na uprzątnięcie rzeczy po babci i wyrzucenie tych niepotrzebnych. Tak, żeby pan mógł od razu działać. Zainstalujemy się też w tym niebieskim domu i zaczniemy już kupować materiały i wyposażenie. Jakby było potrzeba, to są tam również pokoje, które możecie panowie zająć, żeby nie tracić czasu na dojazdy.

– Pani Michalino, interesy z panią to prawdziwa przyjemność! – Szarmancko cmoknął mnie w rękę. – Mam nadzieję, że dalej też tak będzie.

– Ja też mam taką nadzieję. – Uśmiechnęłam się. – W przyszłym tygodniu podpiszemy umowę, tak?

– Ma się rozumieć. Adres mojego biura ma pani na wizytówce. I proszę pamiętać – kupuje pani tylko te rzeczy, które zależą od pani gustu. Resztą zajmę się ja. Do zobaczenia!

Zatrzasnął drzwi samochodu i odjechał.

– Ale suuupeeer! – pisnęła Marcelina, kiedy tylko zniknął z pola widzenia. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona i odtańczyłyśmy zwycięski taniec pośrodku zaśnieżonego podwórka.

– Jesteś pewna, że chcesz mieszkać tutaj, a nie u Waldka? – spytała zarumieniona z emocji.

– Tak będzie lepiej. Musimy przecież pilnować zakupionych materiałów. A i ludzie by plotkowali, a tego nie chcę.

– I tak będą plotkować. Nie przepuszczą takiej sposobności. Będą nas mieli na oku.

– Wiem, dlatego chcę im dać jak najmniej okazji do tego.

– Waldek jedzie.

Patrzyłyśmy na nadjeżdżający samochód. Spotkanie z panem Jurkiem zajęło nam dobrych kilka godzin.

– Nie wiem, jak on chce zakopać Pana Bronka, ziemia taka zmarznięta.

– Jakoś musi, przecież nie będzie czekał na odwilż. Pomożemy mu wybrać miejsce.

Pomachałam Waldkowi i zapraszającym gestem otworzyłam na całą szerokość bramę wjazdową.

– Witaj w domu. – Podałam mu obie ręce. Bez ceremonii ujął je i pocałował mnie w usta.

– Pani Michalinko kochana, to gdzie my mamy wstawiać te rupiecie?

Pan Jurek z panem Krzysiem, swoim pracownikiem, wynosili ze strychu stare, zniszczone meble i jakieś bliżej nieokreślone przedmioty. Przygotowywali dom do naprawy dachu i przebudowy poddasza. Od rana pracowali ciężko, robiąc nieopisany harmider i wzniecając tumany kurzu.

Stałam z załzawionymi oczami i od czasu do czasu potężnie kichałam.

– Do pawilonu, panie Jurku. Wszystko wstawiajcie do pawilonu. Potem się tym zajmę.

Miałam nadzieję, że do końca remontu domu zdołam przejrzeć zgromadzone przez babunię papierzyska i wybrać najładniejsze i najmniej zniszczone meble. Marcelina wypatrzyła wśród nich kilka interesujących sztuk i namówiła mnie na ich odnowienie. Wprawdzie nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak takie nic niewarte, zniszczone rupiecie można doprowadzić do stanu używalności, ale skoro Marcelina twierdziła, że to jest możliwe, ja nie zamierzałam jej tego odmawiać. Niech się cieszy, tak niewiele miała w życiu radości.

Na szczęście w pawilonie było sporo miejsca. Zanim pan Jurek ze swoją ekipą rozpoczął remont, wyrzuciłyśmy stamtąd prawie wszystko. Nie do wiary, ile tam tego było...

– Zostawcie te starocie, będzie zimą czym w piecu palić – doradzał nam Waldek.

– Ale gdzie to trzymać? Musimy zrobić w pawilonie miejsce na rzeczy z domu. – Marcelina z zafrasowaną miną przyglądała się stercie połamanych desek, które jeszcze nie tak dawno służyły jej za półki.

– Na razie niech leżą. Po remoncie zrzucicie do piwnicy albo zrobicie dobudówkę do pawilonu. Taka komórka na różne graty na pewno się przyda. Będzie gdzie trzymać opał i narzędzia ogrodnicze.

Sterna rzeczy wynoszonych z domu wciąż rosła.

* * *

Był koniec kwietnia. Świeżutka zieleń aż kipiała wokół. Wiosna buchnęła nagle dwa tygodnie temu, po długim i kapryśnym marcu. Zawiązki listków na krzewach i drzewach rodziły się w prawdziwych bólach, na przemian mrożone ostatnimi śnieżycami i zlewane pierwszymi wiosennymi ulewami. Już myślałam, że nie doczekam końca zimy. Aż pewnego dnia, po nocnej nawałnicy, kiedy o świcie obudził mnie oszalały ptasi świergot za oknem, oniemiałam na widok, jakim powitało mnie własne podwórko i sad. Wszystko kwitło i pchało się do słońca, które przeświecało i migotało przez gałęzie drzew jak przez kolorowe szkiełka witraży.

Patrzyłam na dom. Pozbawiony okien, z otwartymi na oścież drzwiami tętnił życiem i jakby się do mnie uśmiechał. Już niedługo, pomyślałam, mrużąc oczy. Już niedługo tam zamieszkam. Nie mogłam się doczekać. Mimo że niebieski dom, który wynajęłam na czas remontu, był dość obszerny i wygodny, z niecierpliwością odliczałam dni do zakończenia prac.

– Wariatko, przecież to dopiero początek remontu! – Śmiała się ze mnie Marcelina.

– A ty byś nie chciała, żeby to było już? – Broniałam się.

Usiłowałam nie myśleć o całym mnóstwie spraw do załatwienia, które mnożyły się przez pączkowanie w miarę postępowania prac remontowych.

– Pewnie, że bym chciała. Co u siebie, to u siebie.

Połowę wynajętego domu zajmowała ekipa pana Jurka – pan Krzysio, wesoły, wiecznie rozczochrany,

przystojny brunet, pan Jarek, nijaki, mały blondynek i pan Stanisław, ogolony na łyso, milczący mężczyzna po pięćdziesiątce. Stanowili zgrany zespół, choć każdy z nich był inny. Trzymeni byli przez pana Jurka żelazną ręką, po pracy cisi i spokojni, nie urządzali pijackich ekscesów, jak to bywa z budowlańcami. Pan Krzysio często grał na gitarze jakieś własne kompozycje, ale nie przeszkadzało nam to. Obie lubiliśmy go słuchać. Odkąd zrobiło się ciepło, okupował ławkę przed domem i grając, wodził wzrokiem za Marceliną. Pan Jarek strugał coś ze znalezionych patyków albo czytał stare kryminały, których miał chyba pełną walizkę, bo co rusz widziałam go z inną książką. Pan Stanisław natomiast wszystkim trzem, a czasem i czterem, bo i pan Jurek często zostawał na noc, prowadził męskie gospodarstwo. Pichcił coś we wspólnej kuchni na węglowym piecu i prawie się nie odzywał. Po wieczornym posiłku sprzątał, mrucał niewyraźne „dobranoc” i szedł spać. W weekendy rzadko jeździli do domu. Mówili, że nie mają rodziny, że daleko i nie opłaca się jechać na jeden dzień. Nie byli specjalnie uciążliwi, jednak czułyśmy się trochę skrępowane tym życiem pod jednym dachem z obcymi mężczyznami.

Waldek wciąż nas namawiał, żebyśmy zamieszkały u niego. Czasami korzystałyśmy z jego gościny, szczególnie w dni wolne, ale ja wolałam przypilnować prac w Szamocinach.

– Michasia, daj spokój! – Śmiał się ze mnie Waldek. – Jest z wami Jerzyk, zaufaj mu!

Ufałam. Ale pańskie oko konia tuczy.

– Może jak przyjedzie twój ojciec, to trochę odpuścisz. – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież wszystko macie dogadane, na razie wykonują grubsze prace, więc nie jesteś im tam potrzebna. W razie czego Jurek zadzwoni do ciebie i pojedziesz, to przecież nie jest daleko.

– Oj, wiem. Ale ja lubię patrzeć, jak się wszystko zmienia.

– Boisz się, że jak zobaczysz zmiany po kilku dniach, to szoku nie przeżyjesz? – kpiła ze mnie Marcelina.

Obrzuciłam ją złym spojrzeniem, ale wcale się tym nie przejęła.

– To dlaczego tkwisz tu ze mną? – Odgryzłam się mojej przemądrzałej siostrze.

– Muszę cię pilnować!

Ale nie powiedziała przed czym. Rzeczywiście, nie odstępowała mnie na krok. Jeździła ze mną wszędzie, nigdy nie chciała zostać sama. Rozumiałam ją, ale czasami było to męczące. Tylko u Waldka w domu czuła się swobodnie. Miałam wrażenie, że chowa jakąś tajemnicę, ale nie drążyłam tematu. Wciąż jeszcze wiedziałyśmy o sobie zbyt mało. Tyle że Marcelina wiedziała o mnie więcej niż ja o niej. Rozmowę z nią wciąż odkładałam na później. Jakoś ciągle brakowało okazji. Może rzeczywiście, kiedy przyjedzie nasz ojciec, będę miała więcej czasu.

No właśnie, ojciec. Przyjeżdżał jutro. Miałyśmy po niego pojechać na lotnisko do Warszawy. Marcelina bardzo to przeżywała. Ja na swój sposób też. Nie widziałam go jedenaście lat, a Marcelina jeszcze dłużej. Była dziewczynką, kiedy spotkała go po raz ostatni.

Obie byłyśmy podekscytowane. Samolot z Toronto lądował na Okęciu o trzynastej.

– Jedziemy z noclegiem czy prosto na lotnisko?

– No właśnie nie wiem. Warto by zajrzeć do mieszkania, skoro już jedziemy. Ale nie wiem, czy zrobić to rano, zanim odbierzemy ojca, czy pojechać na noc. A ty jak myślisz?

– Też nie wiem. Ale chyba nocleg nam się nie opłaca, nie mamy nawet nic do jedzenia. Może pojedźmy rano. Tak dość wcześnie, żeby nie trzeba się było śpieszyć. Zabierzesz przy okazji trochę rzeczy, bo ciągle narzekasz, że coś by ci się przydało, ale zostało w Warszawie.

– Masz rację – zgodziłam się z Marceliną. Nadchodziło lato, potrzebowałam lekkich rzeczy. – To wyruszymy skoro świt. Znaczy po śniadaniu. Waldek pożycza nam samochód, bo ojciec pewnie będzie miał sporo bagażu.

Zastanawiałam się, kiedy znajdę czas, żeby sprawić Marcelinie nową garderobę. Potrzebowała jej

bardziej niż ja. Miała jedną parę dżinsów, w której wciąż chodziła, i parę T-shirtów. Jutro pewnie nie zdążymy, chyba że naprawdę wyjedziemy skoro świt. Pobudkę zaplanowałam na piątą, a Marcelina była śpiochem. Chyba mnie zabije, pomyślałam z uśmiechem.

Cały wolny czas, którego i tak miałam bardzo mało, pochłaniał mi projekt otrzymany jeszcze w styczniu od Wiktora. Często siedziałam nad nim do późna, bo termin zakończenia pracy zbliżał się nieubłaganie. Nie jeden raz pomyślałam, że przeceniałam swoje siły, ale o rezygnacji nie było już mowy. Jeszcze tylko przywiozę ojca i będę mogła całkowicie poświęcić się dokończeniu projektu. Bardzo liczyłam na to, że ojciec przejmie ode mnie nadzór nad pracami remontowymi. Mężczyźnie na pewno będzie łatwiej.

– Panie Jurku, dużo jeszcze zostało tych rupieci na strychu?

– Z mebli szafa i komoda, bo połamanych krzesel nie liczę. No i luzem jest sporo śmiecia. – Pan Jurek otarł pot z czoła i przysiadł na ławeczce. – Krzysiu, skocz po colę, pić się chce!

Pan Krzysio posłusznie pobiegł do domu po picie.

– A pani babcia to chyba niczego nie wyrzucała. Pani Michalino, czego tam nie ma! Jakies zegary, stare walizki, książki. Na co to komu?

– Panie Jurku, wie pan, jacy są starzy ludzie. Wszystko im się przyda.

– Ale i pani teraz ma robotę – perorował. – Że też pani się chce przeglądać to wszystko. A spalić to i będzie święty spokój.

– No niby tak. Ale może są tam jakieś pamiątki? Szkoda tak wyrzucić bez obojętności. A w książkach może coś ciekawego znaleźć, kto wie.

Pan Jurek patrzył na mnie z dezaprobatą. Ale ja książek nie wyrzucałam nigdy. Za bardzo je kochałam. Już sama myśl, że w stosie staroci ze strychu mogę znaleźć jakiegoś białego kruka, działała na mnie podniecająco. Bolało mnie, że będą leżały w pawilonie bez żadnego zabezpieczenia. Jeszcze zamkną podczas deszczu. Marcelina mówiła mi, że dach był tam nieszczelny. Muszę pomyśleć o innym miejscu, w którym można by je schować.

Jakby w odpowiedzi na moje myśli gdzieś w oddali zagrzmiało.

– Oho! – Pan Jurek spojrzał w niebo. – Z wodą jadą! – Uśmiechnął się do mnie.

Rzeczywiście, horyzont pociemniał od kłębow ciężkich chmur. Od czasu do czasu w tym kłębowisku błyskały pioruny.

– Trzeba zabezpieczyć materiały i okna. Panowie! – krzyknął w głąb domu.

Naprawdę byli zgranym zespołem. Nie musiał nic mówić. Pan Stanisław już biegł z folią, a pan Jurek z panem Krzysiem chowali i przykrywali brezentem zgromadzone na podwórku materiały budowlane.

– Panie Jurku, przenieście to wszystko na werandę! – zawołałam. – Pod dachem będzie łatwiej ochronić to przed deszczem. Albo nawet do domu.

Nic nie odpowiedział, nie wymówił nawet żadnego słowa. Wykonał tylko jeden gest i ekipa sprawnie zaczęła przenosić worki z cementem i zaprawami – część do domu, a część na werandę. Zanim spadły pierwsze krople, wszystko było już bezpieczne, a panowie oklejali folią otwory okienne.

Lunęło w chwili, kiedy dobiegłam do schodów na ganek niebieskiego domu. Za mną wpadła Marcelina. Szybko zamykałyśmy okna, bo zerwała się wichura. Ekipa została w starym domu.

– U chłopaków też trzeba zamknąć. – Marcelina bez ceremonii wparowała do pomieszczeń zajmowanych przez robotników.

– Głupio tak! – Stałam w drzwiach i rozejrzałam się wokół.

– Jakie głupio? Szkoda szyb. – Mówiąc to, złapała zręcznie zamykające się gwałtownie skrzydło okna i zabezpieczyła je haczykiem. – Co byśmy zrobili, gdyby szyby się potłukły?

Jak zwykle miała rację.

– Ale ciemno!

Na zewnątrz szalał huragan, strugi deszczu spływały po oknach, jakby ktoś lał na nie wodę wiadrami. Błyskawice co chwila rozświecwały ciemności.

– Żeby tylko rzeczy w pawilonie nie zamokły, szczególnie książki. Ten deszcz to chyba wykrakałam, wiesz? – przyznałam się Marcelinie. – Właśnie myślałam, jak zabezpieczyć książki, kiedy lunęło.

– To ty wiedźma jesteś! – zakpiła. – Nie martw się. Kazałam im układać tak, żeby w miejscu, gdzie przecieka, nie leżało nic papierowego. No, chyba że zaczną przeciekać gdzie indziej, ale tego nikt nie przewidzi.

– No nikt. Włącz światło, bo nic nie widać.

– Nie ma prądu – oznajmiła.

– I co teraz zrobimy? – Byłam zaniepokojona.

– Kolację przy świecach! – Zaśmiała się moja szalona siostra. – Pozostaje mieć nadzieję, że wichura nie zerwała starych przewodów.

Nie byłam tego taka pewna. Za oknem wyło i świstało. Nie chciałam wyobrazić sobie, co jeszcze może się stać.

– A mamy jakieś świece?

– Nie wiem. Ale na ganku widziałam lampę naftową. Byle nafty w niej nie brakło. – Wyszła na ganek i słyszałam, jak szpera na półkach. – Jest! – zawołała triumfalnie.

– Oj, to dobrze – ulżyło mi. – Trzeba w piecu rozpaścić. I nagrzać wody do mycia, bo terma przecież nie działa.

– I terma, i pompa do wody. Trzeba ze studni przynieść.

– O cholera! – Nie pomyślałam o tym. – To trzeba poczekać, aż przestanie padać.

Marcelina rozpaściła ogień w piecu, bo ja niezbyt dobrze sobie z tym radziłam. Od razu zrobiło się jakoś przytulniej, mimo że było ciemno, bo lampa naftowa dawała niewiele światła. Nastrój chwili przypomniał mi dzieciństwo, wieczory przy trzaskającym ogniu i babcię siedzącą na koślawym stołeczku przy piecu. Mruczała jakieś modlitwy, czasem śpiewała cicho, a czasem po prostu drzemała.

– Co tak zamilkłaś?

– A tak jakoś. – Zapatrzyłam się w ogień. Opanowała mnie bolesna tęsknota za babcią. Poczułam wzbierające łzy. To ten ogień i śpiew czajnika, pomyślałam. Dziwne, że dopiero dzisiaj dopadły mnie wspomnienia, przecież mieszkamy tu już od kilku tygodni. Otarłam łzy wierzchem dłoni i uśmiechnęłam się do Marceliny. – Usmażymy jajecznicę, co ty na to?

Moja siostra patrzyła na mnie zamyślona.

– Dobrze. – Kiwnęła głową. – Może zaczekamy na wszystkich i zjemy razem? Chyba że jesteś głodna, to zrobię ci od razu.

– Nie, nie trzeba. Zjemy wszyscy razem. Deszcz chyba już słabnie. – Wyjrzałam w ciemność za oknem. – Pokroję chleb. – Nie chciałam, żeby Marcelina widziała moje wzruszenie.

Deszcz wcale nie padał słabiej. Nadal lało, tylko wiatr trochę ścichł i dzięki temu nie zacinało w okna.

Powoli nakrywałam do stołu. Marcelina w wielkim skupieniu rozbijała jajka do miski. Wyjęłam z lodówki masło, wędlinę i pomidory, a z koszyka za piecem kupioną wczoraj dymkę z ogromnym szczyporem.

– O, widzę, że będzie wiosenna uczta. Daj, pokroję szczypior. Wrzucę do jajecznicy. Ty zrób herbatę, woda się gotuje.

Pracowałyśmy w milczeniu. Nawet Marcelina, wiecznie szczebiocząca, teraz milczała.

– Mogliby już przyjść – mruknęłam. – Z cukru nie są. Głodna jestem.

– No mogliby, ale nie wiedzą, że na nich czekamy.

Jak na zawołanie w sieni skrzypnęły drzwi i rozległ się gwar męskich głosów.

– Ty to naprawdę wiedźma jesteś! – Marcelina pokręciła głową.

– Ale leje! – Pierwszy do kuchni wpadł pan Jurek. – A jak zimno się zrobiło! A tu proszę! Nasze panie witają nas ciepłkiem! Może i kolacja dla nas się znajdzie?

– Siadajcie, siadajcie! – Za panem Jurkiem wchodziła przemoczona reszta ekipy. – Zaraz będzie kolacja.

– Pani Michalino kochana, musimy najpierw się umyć i przebrać w suche łachy – perorował pan Jurek.

– A co na kolację? – Pan Krzysio już szperał po garnkach. – Wciągnąłbym coś ciepłego. Zimno, że aż strach!

– Jajecznica ze szczypiorkiem – oznajmiła Marcelina, wyciągając wielką jak młyńskie koło patelnię.

– Może być?

– Może, może! Byle szybko!

– Już, już się robi! – Śmiała się moja siostra. Pan Stanisław, jak zwykle milcząc, wyjął z lodówki słoninę i położył na stole.

– Lepsza będzie – mruknął. – I jak komu będzie mało, to kartofle z obiadu zostały, można usmażyć z cebulą. I kiełbasa jest.

– To ja od razu usmażę. Na pewno znajdą się chętni. – Bez słowa wzięłam się do siekania cebuli. – Ale jak chcecie się umyć, to trzeba wodę ze studni przynieść, bo nie ma prądu.

– To skoczę od razu, póki się nie przebrałem – zaofiarował się pan Jurek. – Bo i nagrzać pewnie trzeba.

– Super, wiadra stoją w sieni.

– Pójdę z tobą, będzie szybciej – mruknął pan Stanisław. Zniknęli obaj.

Pan Jurek z panem Krzysiem poszli się przebrać, Marcelina pokroiła i usmażyła słoninę, ja siekałam zawzięcie cebulę, od czasu do czasu ocierając łzy.

Było mi to na rękę, bo mogłam wytłumaczyć łzy krojeniem cebuli. Nie wiem, dlaczego tak się rozkleiłam. W ogóle nie mogłam opanować łez.

– Weź się w garść, Michaś – szepnęła mi do ucha moja mała siostrzyczka. – Co się stało?

A więc nie zwiódłam spryciary.

– Nic szczególnego, naprawdę – chlipnęłam. – To ten ogień i deszcz za oknem. I lampa naftowa. Tak mnie naszło – posłałam jej krzywy uśmiech. – Zatęskniłam za babunią.

Przytuliła się do moich pleców i objęła mnie mocno. Policzek oparła na mojej szyi.

– Teraz mamy siebie – powiedziała cicho. – A babunia na pewno patrzy na nas z góry i cieszy się, że wróciłaś do domu. – I po chwili dodała: – Ja też się cieszę.

– Szefowo, co z tą wodą? Gdzie wlewać? – Pan Jurek przez drzwi wsadził głowę do kuchni.

– Część trzeba zagrzać, żeby było się w czym umyć. Zaraz poszukam garnków. A pozmywać możemy jutro.

– To może wlejemy do wanny. Zrobimy jeszcze ze dwa albo trzy kursy, to wystarczy dla wszystkich, aby się obmyć. Wykąpiemy się, jak włączą prąd.

– Słusznie, panie Jarku – pochwaliłam. – Umyjemy się w miskach. Tylko w czym nagrzać wodę?

– W stodole widziałam balię i wielki gar, może się nadadzą? – Marcelina popatrzyła na mnie pytająco. – Postawimy w kuchni, o tutaj, przy piecu. Trzeba tylko stół i ławkę przesunąć. Będzie łatwiej nabierać do garnków.

Rzeczywiście, to był znakomity pomysł. Panowie uwinęli się i balia stanęła koło pieca.

– Już wystarczy. – Musiałam wkroczyć, bo lali do niej wodę z wiader bez opamiętania. – Idźcie się

przebrać, bo zmarzniecie. Tylko nie marudźcie, bo kolacja zaraz będzie gotowa.

Wreszcie wszyscy siedzieli przy stole. W kuchni pachniało cebulą i szczypiorkiem, ogień buzował pod płytą i w ogóle było tak jakoś przytulnie. Atmosfera się rozluźniła, a panowie zaczęli dowcipkować.

– To może ja naleweczkę przyniosę? Szanowna małżonka zrobiła, z derenia!

Pan Jurek już biegł do pokoju i po chwili wrócił z butelką.

– Drogie panie, zarządzcie jakieś kieliszeczki! Trzeba wypić po jednym, dla zdrowotności! – Śmiał się. – Przemokliśmy jak kury, dobrze nam to robi.

– Kieliszków nie ma.

Marcelina już rozstawiała na stole znalezione w kredensie szklaneczki.

– Mogą być, panie Jurku?

– Mogą, mogą, pani Marcelinko kochana! Byle dla wszystkich wystarczyło!

– Szklaneczek to wystarczy, byle naleweczki nie zabrakło – droczyła się.

– Pani Marcelina niech się nie kłopotczy – zamruczał pan Stanisław. – Szef zawsze ma ze sobą zapas.

Nie zabraknie.

– Krzysiu, leć po gitarę i zagraj coś ładnego. Weselej nam będzie.

– Się robi, szefie.

Pan Krzysław wrócił po chwili z gitarą pod pachą. Usiadł na ławce obok pieca i zaczął coś cicho brzdąkać.

Nalewka z derenia miała ładny pomarańczowoczerwony kolor. Ciekawa byłam jej smaku. Nigdy nie pomyślałabym, że z derenia można zrobić nalewkę. Patrzyłam na pana Jurka, który w skupieniu rozlewał alkohol.

– Częstujcie się, bardzo proszę! Pani Michalino, to dla pani! – Podał mi szklaneczkę. – Pani Marcelinko, chłopaki!

Nikt nie odmówił.

– Za naszą pomyślność! – zawołał, podnosząc swoją szklanekę.

– Za pomyślność!

Umoczyłam tylko usta. Nie wolno mi pić, ale chciałam uniknąć długiego tłumaczenia. Nalewka była bardzo słodka, jak to nalewka, i nieco cierpka. Intrygujący ten smak derenia. Przypadła mi do gustu.

– Szef poleje jeszcze. – Pan Stanisław podsunął szklaneczkę. – Na drugą nóżkę.

Wszyscy, oprócz mnie, wychylili drugą kolejkę.

Pan Krzysio znowu zaczął grać na gitarze.

Za oknem wciąż szalała nawałnica. Błyskawice rozświetlały czarne od chmur niebo, a grzmoty przetaczały się nad okolicą. W kuchni było miło i gwarno. Siedziałam w towarzystwie obcych mężczyzn i dobrze się bawiłam. Patrzyłam na roześmianą Marcelinę, pana Krzysia, który wodził za nią wzrokiem, i uśmiechałam się do swoich myśli. Moja siostra była świadoma zainteresowania, jakie wzbudziła w panu Krzysiu. Miałam wrażenie, że od razu wyglądała bardziej kobieco, jakoś tak uwodzicielsko. Do twarzy jej było z tym zadowoleniem. Ożyła jak kolorowy motyl.

Z myśli tych wyrwał mnie dzwonek telefonu.

– Cześć, Michaś – miękki głos Waldka poruszył coś we mnie. – Jak tam u was? W porządku?

– Cześć – odchrząknęłam. – Straszna burza. Nie mamy prądu. Ale poza tym jest w porządku. Siedzimy przy kolacji.

– Miałem do was wpaść, ale u nas też strasznie leje. Ciemno, że światła nie widać. Ale słyszę, że macie wesoło.

Rzeczywiście, w kuchni było coraz gwarniej, kolejne szklaneczki nalewki robiły swoje. Pan Krzysio zaczął śpiewać, a Marcelina do niego dołączyła. Ładnie brzmiali w duecie. Po chwili pan Stanisław

dołączył do nich ze swoim basem.

– Poczekaj, pójdę do pokoju, bo nic nie słyszę.

Przeciskałam się przy ścianie do drzwi. Dobrze zrobiłam, bo w tej chwili właśnie pozostali panowie dołączyli do chóru.

– Szkoda, że cię tu zabrakło. Mamy ucztę z jajecznicy ze szczypiorkiem i ziemniaków smażonych z cebulką.

– I pewnie Jerzyk uraczył was jedną ze słynnych nalewek swojej żony! – Śmiał się cicho Waldek.

– Tak, dereniówką. – Roześmiałam się i ja. – Ale jest wesoło. Byleby tylko nie przeholowali.

– Tym się nie martw. Jerzyk ich upilnuje. Słuchają go jak Boga.

– Zauważyłam. Nawet pan Stanisław. To superekipa. Dziękuję ci, Waldek.

– Mówiłem, nie pożałujesz. O której jutro wyjeżdżacie? – zręcznie zmienił temat.

W tej chwili uświadomiłam sobie, że nie uzgodniłam z Waldkiem godziny wyjazdu, a przecież miał nam pożyczyć samochód.

– No, raniutko. Chciałabym o szóstej, najpóźniej o siódmej, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie mam. Może być o szóstej. Jutro muszę wstać wcześniej, bo mam spotkanie w Płocku o dziewiątej, więc w niczym mi nie przeszkodzicie. Nawet miałem wam zaproponować nocleg u siebie, pospałybyście dłużej. I mógłbym się do ciebie przytulić. – Po chwili dodał cicho: – Stęskniłem się.

– Ja też – zamruczałam do telefonu.

Widzieliśmy się poprzedniego dnia, ale naprawdę tęskniłam. Najchętniej nie rozstawałabym się z Waldkiem.

– W najbliższych dniach nie będzie okazji do bycia sam na sam – westchnął. – Szykuje się trochę zamieszania.

– Jakoś sobie poradzimy, przecież nie jesteśmy dziećmi – pocieszałam nie wiem kogo bardziej.

Tak naprawdę nie wiedziałam, jak będzie. Nigdy nie byłam zbyt zżyta z ojcem, całe życie czułam, że mu zawadzałam. Ale jednak ostatnie nasze kontakty były dość ciepłe, odniosłam wrażenie, że nie kłamał, mówiąc, że się zmienił. Choć wiele lat temu zranił mnie bardzo, odcinając się ode mnie, nie chciałam być oschła i obrażona. Teraz znałam powody jego postępowania, inaczej wszystko oceniałam, ale nadal uważałam, że był wobec mnie niesprawiedliwy. Życie pokazało mi wielokrotnie, że nie wszystko jest tak, jak byśmy chcieli, zdarzenia często wymykają się spod kontroli i nic nie można zrobić. A umysł ludzki? Niezbadane są jego ścieżki. Zresztą, jak często mawiała babunia, krew nie woda. To mój ojciec. On i Marcelina to jedyna rodzina, jaka mi pozostała.

Jednak bałam się jutrzejszego spotkania. Powiedziałam o tym Waldkowi.

– On pewnie też się boi. Musi stanąć przed wami dwiema i spojrzeć wam w oczy. A może chcesz, żebym do was jutro przyjechał?

– Do Warszawy?

– Tak. Na lotnisko.

Zaskoczył mnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Jeśli nie chcesz, to nie ma sprawy, Michasia. Pomyślałem, że byłoby wam raźniej.

– Sama nie wiem. – Myśli szalały w mojej głowie. Z jednej strony wolałabym, żebyśmy same powitały ojca, z drugiej strony w obecności Waldka łatwiej byłoby trzymać emocje na wodzy. I od razu byłoby wiadomo, kim dla siebie jesteśmy. – A zdążyłbyś?

– Myślę, że tak. Samolot ląduje o trzynastej, odprawa przecież też chwilę potrwa. To jak?

– Tak! Waldek, tak! Przyjeźdź! To znakomity pomysł!

Od razu poczułam, jak zelżał ucisk w żołądku, który dręczył mnie na każdą myśl o jutrzejszym dniu.

– Jeśli oczywiście chcesz i zdązysz – dodałam.

– Chcę i zdążę. – Roześmiał się. – Przyjadę prosto na lotnisko.

– To w takim razie nie będziemy się wymieniać samochodami – zdecydowałam. – Nie będziemy cię nawiedzać o świcie. Pojedziemy do Warszawy prosto z Szamocin.

– Szkoda – mruknął, zawiedziony. – Uściskałbym was na drogę. Może jednak? I tak przejeżdżacie przez Wyszogród.

– Wiesz, że ja chętnie. Zobaczę, czy uda mi się zwlec Marcelinę o takiej nieludzkiej porze. Dla niej to środek nocy. Bez walki się nie obejdzie.

– Wiem, wiem. Rozumiem. Jeśli się uda, to wpadnijcie, zapraszam.

Jak zwykle rozmowa z Waldkiem podziałała na mnie krzepiąco. Rozumieliśmy się bardzo dobrze. Ceniłam prostolinijność i szczerłość naszych kontaktów. Czy to jest właśnie jedność dusz?

Uśmiechałam się do swoich myśli, siedząc na łóżku w pokoju. Zabawa w kuchni trwała w najlepsze. Dochodziła dziesiąta. Kiedy ten czas przeleciał?

Deszcz ciągle padał rześście, jednak burza się oddalała, bo przewalające się grzmoty słyhać było coraz słabiej. W pokoju zrobiło się duszno, uchyliłam więc jedno skrzydło okna i zabezpieczyłam haczykiem. Od razu poczułam chłodny, wilgotny powiew. Ściekająca z dachu woda szumiała w trawie pod oknem. Zasłuchałam się w ten dźwięk. Znowu dopadły mnie wspomnienia z dzieciństwa. Lubiłam zasypiać, słuchając szumu deszczu. Brakowało tylko rechotu żab, ale chyba w okolicy nie było ani jednej.

Otrząsnęłam się ze wspomnień i ruszyłam do kuchni.

– Jesteś! – powitała mnie Marcelina. – Wszystko w porządku?

Kiwnęłam głową.

– Grzejemy wodę do kąpieli. Pora spać, pewnie jutro zerwiesz mnie skoro świt.

– Zerwę, a jakże – przytaknęłam. – Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość!

Zaświeciły jej oczy.

– Będiesz mogła pospać pięć minut dłużej, bo nie jedziemy rano do Waldka!

– To tylko pięć minut na Waldka przeznaczyłaś? – zakpiła. – A dlaczego nie jedziemy?

– Waldek przyjedzie na lotnisko, więc nie ma potrzeby wymieniać się samochodami.

– Fajnie, że będzie z nami – szepnęła. – Prawda, Michaś? – Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Była w nich radość przemieszana z lękiem.

* * *

O jedenastej wszyscy już byli w swoich pokojach. Powoli cichły odgłosy krzątania. Przez okno wciąż napływał szum deszczu. Wtuliłam głowę w poduszkę i nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

Znowu śniłam sen o stokrotkach. Tylko że teraz zrywałam je nie na łące za babcinym domem, ale w sadzie. Wiał lekki, ciepły wiatr, w powietrzu wirowały opadające płatki kwiatów jabłoni. Było ich coraz więcej i więcej, powietrze aż zgęstniało od tej różowawej bieli. Wyciągnęłam dłoń, żeby złapać kilka, ale kiedy opadły na rękę, stopniały od ciepła ciała jak płatki śniegu. Podniosłam twarz i wtedy poczułam, że to nie płatki kwiatów, ale gęsty śnieg oblepia mi policzki i ziębi coraz bardziej.

– Michasia, Michasia! – Usłyszałam z oddali. Ktoś szarpał mnie za ramię. – Michasia, obudź się! – Z trudem wracałam do świadomości. Na twarzy wciąż czułam zimno i wilgoć. Otworzyłam oczy i poderwałam się zaspana.

Z otwartego na oścież okna padał mi na twarz zimny deszcz. Widocznie wiatr poluzował haczyk.

– Ale mocno spałaś. – Marcelina już zamykała okno. – Nie dam rady zasnąć. Mogę do ciebie? – Stała przy moim łóżku jak mała dziewczynka i patrzyła prosząco. Bez słowa odchyliłam kołdrę, a ona wskoczyła i natychmiast wtuliła się we mnie. Była zimna i drżąca. Oparłam policzek na jej głowie i zamknę-

łam oczy. Burza chyba wracała, bo grzmoty jakby się przybliżyły i znowu błyskawice przecinały niebo, rozświetlając ciemność groźnym blaskiem.

– Boję się jutra – szepnęła nagle.

Myślałam, że zasnęła, bo oddychała równo.

– Ja też.

– Myślisz, że będzie dobrze?

Znowu poraziła mnie prostota jej rozumowania. Będzie dobrze. Dwa słowa, które wyrażały wszystkie obawy i nadzieje.

– Myślę, że tak – odpowiedziałam.

– Tobie będzie łatwiej.

Ledwo ją usłyszałam. Milczałam. Nie wiem, dlaczego tak sądziła. Myślałam, że to jej będzie łatwiej. Do tej pory nie ujawniła nawet cienia żalu do ojca o cokolwiek, z entuzjazmem przyjmowała każdą rozmowę z nim i wiadomość, że przylatuje do Polski prawdopodobnie już na stałe. To ja byłam powściągliwa w wyrażaniu emocji w stosunku do niego i to ja nosiłam w sobie żal. Moje wspomnienia związane z ojcem były pełne pretensji o odrzucenie. Jej – były wspomnieniami najlepszych chwil w życiu. I to mnie miało być łatwiej?

– Dlaczego?

– Bo się lepiej znacie. Mieliście ze sobą kontakt. A ja pamiętam go oczami dziecka. Spotkaliśmy się może ze trzy, cztery razy. I to wszystko.

Znowu milczałam. Nie widzieliśmy się od jedenastu lat. Rozstaliśmy się chłodno i bez emocji jak dwoje obcych sobie ludzi. Obecna serdeczność naszego ojca była dla mnie zaskoczeniem. Wydawała mi się tak nieprawdopodobna, że nie potrafiłam jej przyjąć. Odkąd powziął decyzję o powrocie do kraju, często myślałam o tym, jak będzie. Czy owa serdeczność, która wydawała mi się sztuczna, nie wyparuje po kilku dniach lub tygodniach i znowu nie zobaczę surowego, oschłego oblicza naszego ojca, takiego jak zapamiętałam? Nie wiedziałam, które jest prawdziwe, – tamto z dzieciństwa i młodości czy dzisiejsze – ciepłe i czułe.

– Nie wiem, czy masz rację. Odnoszę wrażenie, że wcale go nie znam.

Teraz ona milczała.

– Będzie dobrze, prawda? – W głosie miała strach i nadzieję. To wszystko, co i ja czułam. Przygarnęłam ją mocniej do siebie.

– Będzie dobrze. Musi być.

W ciemności poszukała mojej dłoni.

– Dzięki, Michasia – szepnęła.

Nie odpowiedziałam, uścisnęłam tylko jej drobne paluszki.

* * *

Na lotnisko dojechałyśmy mocno spóźnione. Rano zasnęłyśmy, następnie zbyt długo zabawiłyśmy w moim warszawskim mieszkaniu. Na Żwirki i Wigury zatrzymał nas gigantyczny korek – jeden pas jezdni był zablokowany przez roboty wodno-kanalizacyjne. Na parkingu z trudem znalazłam wolne miejsce. Marcelina wyczuła, że jestem wściekła, i siedziała cicho jak trusia. Sprawiała wrażenie wystraszonej. Ledwo dotrzymywała mi kroku, kiedy biegłam do hali przylotów. Na miejscu powitał nas niebываły tłum oczekujących. Szybko odszukałam odpowiedni komunikat na tablicy informacyjnej i odetchnęłam z ulgą.

– Samolot z Toronto ma dwugodzinne opóźnienie, które może ulec zmianie. Z Chicago też opóźniony.

Nieźle – westchnęłam. – Ciekawe dlaczego.

– W Chicago podobno burza śnieżna opóźniła starty – poinformował mnie starszy pan stojący tuż obok. – A w Toronto podobno strajk na lotnisku.

Spojrzałam na zegarek.

– To mamy jeszcze trochę czasu. Chodźmy na kawę. I trzeba do Waldka zadzwonić, bo nie wypatrzymy go w tym tłumie.

Zanim dotarliśmy do kafejki, zadzwonił Waldek.

– Matko jedyna! Co tu się dzieje! Gdzie jesteście? Nie mogę was znaleźć.

– Na pierwszym piętrze, w kawiarni. Nie ma potrzeby tam stać. Jeszcze co najmniej czterdzieści pięć minut do lądowania.

– Zamówcie mi latte, zaraz będę. – Rozłączył się.

Nawet w kawiarni były tłumy oczekujących. Z trudem znalazłyśmy wolny stolik i usiadłyśmy na niewygodnych pufach. Wychylałam się poza barierkę oddzielającą kawiarnię od holu i wypatrywałam Waldka. Zobaczyłam go w ostatniej chwili, kiedy nas mijał.

– Tutaj, tutaj jesteśmy! – zawołałam.

– Masz ci los, nie zauważyłem was. – Odetchnął z ulgą. – Ale tłumy. Ciekaw jestem, kiedy uda im się rozładować ten zator. Już dawno nie widziałem tu takiego tłoku... Niezła ta kawa. Może macie ochotę na ciastko?

Obie pokręciłyśmy przecząco głowami.

– Głodny jestem.

– To zjedz coś, bo nie wiadomo, ile potrwa to oczekiwanie. Zamówić ci?

– Dzięki, sam pójdę.

Po chwili wrócił z trzema czekoladowymi muffinami.

– Może jednak? – Częstował nas.

– Ja nie mogę, denerwuję się. – Marcelina była niepokojąco blada.

– Ja też. – Przełknęłam głośno ślinę.

– Dziewczyny, weźcie się w garść! To nic takiego!

– Łatwo ci mówić – burknęłam.

Patrzył na nas z uśmiechem.

– Dobra, daj to ciacho.

Było nadspodziewanie dobre. Po pierwszym kęsie i ja poczułam głód. Od śniadania nic nie jadłam. Marcelina nadal odmawiała poczęstunku. Martwiłam się o nią. O ojca też. Przejmowałam się także warunkami, w jakich przyjdzie mu mieszkać, zanim skończymy remont babcinego domu. W końcu był schorowanym starym człowiekiem nawykłym do wygod. Żeby tylko prąd dziś włączyli, pomyślałam. Kiedy wyjeżdżałyśmy do Warszawy, awarii wciąż nie naprawili.

Czas włókł się niemiłosiernie. Piliśmy zimną kawę i usiłowaliśmy rozmawiać, ale rozmowa niespecjalnie się kleiła. Marcelina milczała, a ja uśmiechałam się bezmyślnie do Waldka. Obie byłyśmy spięte. W końcu i Waldek umilkł.

Wreszcie z megafonu popłynął komunikat o lądowaniu opóźnionego samolotu z Toronto. Poderwałyśmy się z ulgą.

– Spokojnie. – Śmiał się Waldek. – Jeszcze postoiimy z godzinę.

Czułam, jak napięcie we mnie rośnie z każdym otwarciem drzwi ze strefy odpraw. Uczepiłam się kurczowo Waldka, a Marcelina mnie. Trzymając jego ciepłą rękę, poczułam pewność i spokój. Tłum oczekujących powoli się zmniejszał.

– Czy ja go poznam? – zastanawiałam się głośno.

– Na pewno, nie martw się na zapas – Waldek uspokajał mnie, jak mógł.

Wreszcie się pojawił. Wysoki jak dawniej, jednak przygarbiony i posiwiały, z twarzą pooraną głębokimi bruzdami. Lekko utykał na lewą nogę. Bardzo się postarzał przez te piętnaście lat. Przed sobą pchał wyładowany walizkami wózek.

Nie widział nas. Rozglądał się wokół z wielką ciekawością.

– To on – szepnęłam, ściskając dłoń Marceliny i ramię Waldka. Wzruszenie ścisnęło mi gardło, nie mogłam ruszyć z miejsca.

I nagle Marcelina podbiegła do niego, wołając:

– Tato! Tatusiu!

– Marcysiu! – Rozłożył ramiona, a ona wpadła w nie, szlochając. Tulił ją i płakał, powtarzając: – Marcysiu, moje dziecko kochane!

Poczułam, że po policzkach spływają mi łzy. Łzy goryczy wszystkich minionych lat, zazdrości, że bez zastanowienia rozpoznał Marcelinę, i radości, że wreszcie go widzę. Niech to szlag! Niech to jasny szlag!

– Chodź. – Waldek pociągnął mnie w ich stronę. Patrzyłam, jak ojciec kołysze w ramionach szlochającą Marcelinę, a spod jego zaciśniętych powiek płyną strumyki łez. Nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa, więc wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego rękawa.

– Tato. – Nie wiem od czego tak nagle zachryłam. – Tato – odchrząknęłam. Otworzył oczy.

– Michasia, córeczko moja! – Przyciągnął mnie do siebie i Marceliny i kołysał nas obie. – Moje kochane dziewczynki, nareszcie jesteście!

Wtulałam się w jego marynarkę i było mi dobrze. Czułam się jak mała dziewczynka. Żeby spojrzeć ojcu w oczy, musiałam zadzierać głowę. Był wysoki, choć wydawało mi się, że okaże się jeszcze wyższy. Na pewno był szczuplejszy niż kiedyś. Musiał schudnąć niedawno, bo ubranie na nim wisało.

– Chodźmy stąd, bo budzimy powszechne zainteresowanie – szepnął Waldek.

Rzeczywiście, ludzie dookoła gapili się na nas ze zdziwieniem, jakby nigdy nie widzieli ludzi witających się po długiej rozłące.

– Tato, przejdźmy gdzieś na bok – zaproponowałam.

Patrzył nie na mnie, ale na Waldka.

– Znam pana. Pan jest... – zawiesił głos.

– Waldemar Nieckarz – przedstawił się Waldek. – Syn Jana.

– Syn Jana! Witam, witam pana serdecznie! Miło mi poznać ponownie, bardzo się cieszę – potrząsał ręką Waldka, oszołomiony.

– Tato, Waldek jest ze mną – postanowiłam wykorzystać okazję. – Przyjechał z nami – poprawiłam.

– Taki jestem wzruszony, taki wzruszony! – Ojciec ocierał chusteczką oczy. – Tyle lat! Naprawdę, nie sądziłem... – Nie dokończył zdania i nie było wiadomo, czego nie sądził. – Ale pan ma rację, chodźmy stąd gdzieś, nie trzeba budzić niepotrzebnej sensacji. Muszę chwilę ochłonać, zanim pojedziemy.

– Jak się czujesz, tato? Nie jesteś nazbyt zmęczony, żeby od razu jechać? – dopytywałam. – Może chciałbyś zostać dziś w Warszawie? Możemy pojechać do mojego mieszkania, stoi puste.

– Poczekaj, córeczko, chwilę odsapnę i pomyślimy.

Waldek odebrał od niego wózek z bagażem i ruszyliśmy w głąb hali, żeby usiąść na ławce. Marcelina nie odstępowała go nawet na centymetr, kurczowo trzymając za rękę.

Usiedliśmy na ławce, milcząc. Ojciec ocierał chusteczką pot z czoła i kręcił głową.

– Tyle lat, tyle lat! – powtarzał. – Moje dziewczynki kochane! – Popatrywał to na mnie, to na Marcelinę.

– Już dobrze, tato, już dobrze – uspokajałam go. – Już jesteśmy razem.

– Tak, Michasiu, tak! Wreszcie jesteście razem.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy, ojciec zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem; w końcu westchnął głęboko i uśmiechnięty zapytał:

– To jakie macie propozycje?

– Jedźmy od razu do Szamocin – pisnęła Marcelina.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

– A ty, Michasiu?

– Ja, tato, wybór zostawiam tobie.

Patrząc na mnie, podniósł wysoko brwi.

– Możemy od razu jechać do Szamocin, jak chce Marcelina, ale możemy także najpierw pojechać do mojego mieszkania. Możemy tam nawet zanocować, a do Szamocin pojechać jutro. Jak wolisz. Wszystko zależy od tego, jak się czujesz po podróży.

Nieznacznie wydał wargi.

– Sam nie wiem. Czuję się trochę zmęczony, nie ukrywam. Jestem przecież starym, chorym człowiekiem i chciałbym wyciągnąć się na łóżku. Ale jednocześnie coś mnie rwie do Szamocin. – Jego oczy roz błysły młodzieńczym blaskiem. – No, sam nie wiem – zastanawiał się głośno.

– Jeśli można, chciałbym wtrącić swoje trzy grosze. – Wszyscy z zaskoczeniem spojrzeliśmy na Waldka, który stał z boku i do tej pory milczał. – Proponuję ruszyć od razu na wieś. Ale nie do Szamocin, ale do mnie, do Wyszogrodu. – Uśmiechnął się. – Już mówię dlaczego. – Ubiegł mój i Marceliny protest. – Pan – tu skłonił się ojcu – jest zmęczony długą podróżą. U ciebie, Michasiu, w twoim mieszkaniu, mógłby się położyć i odpocząć. Ale – jak sama mówiłaś – mieszkanie jest nieużywane i trzeba by zrobić zakupy, żeby przetrwać przynajmniej noc. A jutro znowu w drogę – taszczenie bagaży, pakowanie i tym podobne. Proponuję wam i waszemu ojcu gościć u siebie, nawet na dłużej, do końca remontu, co pewnie potrwa jeszcze kilka miesięcy. W ten sposób pan będzie miał w miarę przyzwoite warunki do mieszkania, bo, wybaczenie, dziewczyny, w niebieskim domu będzie wam ciasno. A i warunki są tam raczej polowe.

Obie z Marceliną milczaliśmy. Argumenty Waldka były logiczne, a uwagi – słuszne. Też wiele razy zastanawiałam się, gdzie umieścić ojca. Ale tak zwalić się Waldkowi na głowę... głupio trochę, choć ojcu byłoby wygodnie. My mogłybyśmy nadal mieszkać w niebieskim domu.

– Tatusiu, i co ty na to? – Marcelina chyba nie miała takich skrupułów jak ja.

– A co wy o tym sądzicie? – Odbił pytanie jak piłeczkę.

– Ja jestem na tak. – Moja siostra już poderwała się z ławki. – U Waldka będzie ci wygodnie, prawda, Michasiu?

– Prawda, ale to dla Waldka kłopot – mruknęłam.

– Żaden kłopot, naprawdę! – zaprotestował Waldek. – Przecież bym nie proponował, gdyby mi nie pasowało. Panu będzie u mnie wygodnie, a ja będę miał towarzystwo. Wam proponuję to samo, zmieścimy się.

Już widziałam radość w oczach Marceliny, Waldek też uśmiechał się coraz szerzej. Spojrzał na mnie chytrze, aż się zarumieniłam. Wiedziałam, co mu chodzi po głowie.

– Ale budowa! – Usiłowałam jeszcze protestować. – Przecież muszę tam być, dopilnować.

– Michasiu, to tylko osiem kilometrów! – Słyszałam już to przekonywanie. – Mówiłem ci, Jerzyk jest na miejscu. W każdej chwili możesz tam pojechać!

Patrzyliśmy na siebie ciepło.

– No więc jak?

– Jedźmy – nagle odezwał się ojciec. – Szkoda czasu. Podoba mi się pana pomysł. – Wyciągnął do Waldka rękę. – Dziękuję, przyjmuję pana goście. Ale od razu zastrzegam – chciałbym dzisiaj zobaczyć

Szamociny. – W jego głosie zadźwięczała jakaś miękka nuta.

Nigdy nie podejrzewałamby mojego ojca o taką czułość. Musimy lepiej się poznać, pomyślałam.

Bez problemu zmieściliśmy cały bagaż w samochodzie Waldka.

– Reszta przyplynie spokojnie statkiem – oznajmił ojciec. – Wziąłem tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Oboje z Marceliną wpakowali się na tylne siedzenie mojego samochodu, widziałam ich rozradowane twarze w lusterku. Ojciec rozglądał się ciekawie po mieście.

– Jakie zmiany, aż trudno uwierzyć! To nie ta sama Warszawa!

Znowu staliśmy w korku. Nadeszły popołudniowe godziny szczytu i wszyscy wracali do swoich domów. Starłam się mieć w zasięgu wzroku samochód Waldka, ale to było trudne. Cwani kierowcy wpychali się pomiędzy nas z pasów przeznaczonych do skrętów, lawirowali między samochodami, byle tylko przeć do przodu. Żaden pewnie nie pomyślał, że właśnie w ten sposób spowalniają ruch.

Wlekliśmy się tak ponad godzinę aż do Łomianek. Potem nagle korek się skończył i wystrzeliłam do przodu jak z katapulty. Ale dogoniłam Waldka dopiero za Zakroczymiem.

– Jeździsz jak szatan. – Ojciec pokręcił siwą głową, nie wiadomo, czy z podziwem, czy z dezaprobatą.

– Muszę sobie jakoś radzić, tato. – Roześmiałam się. Powoli zmierzchało, byłam zmęczona i głodna.

Poza tym z emocji rozboleła mnie głowa i to było niepokojące. Już nie pamiętam, kiedy po przeprowadzce na wieś bolała mnie głowa. W kwietniu powinnam była zrobić badania kontrolne, ale w ferworze rozpoczętego remontu nie znalazłam na to ani chwili. Może teraz, kiedy prace idą pełną parą i ojciec będzie mógł doglądać ekipy remontowej, znajdę chwilę na wizytę w szpitalu. Żeby tylko profesor miał dla mnie czas, pomyślałam ze wstydem. A tak mnie upominał, żeby pilnować terminów badań.

Jednym uchem słuchałam rozmowy Marceliny z ojcem. Nie wszystko do mnie dotarło, bo musiałam skupić się na jeździe. Zerkaliśmy na nich we wstecznym lusterku. Gawędzili, jakby nigdy się nie rozstawali, zaprzyjaźnieni już ze sobą na zawsze. Znowu poczułam ukłucie zazdrości. Zastanawiałam się, czy gdybym to ja siedziała na miejscu Marceliny, też zachowywałabym się jak ona? Pewnie nie, nie było we mnie tego pierwotnego entuzjazmu, który w niej aż kipiał. Ale czy na pewno? Wydarzenia ostatniego roku już mi pokazały, że nie znam samej siebie.

Ojciec przyglądał się mijanym krajobrazom. Widać było, że z trudem rozpoznaje drogę. Zupełnie jak ja niespełna rok temu. A przecież niektóre miejsca nie zmieniły się wcale, nie licząc, oczywiście, wybujałej zieleni. Jednak pamięć jest ulotna, pomyślałam. Pielęgnowujemy latami jakiś obraz, a potem okazuje się, że wszystko wygląda całkowicie inaczej.

– Zupełnie nie poznaję tej drogi. Zdaje mi się, że kiedyś jeździliśmy inną trasą, chyba przez Płońsk. – Uśmiechnął się do mnie w lusterku. – No bo przecież nie mogła zmienić się aż tak bardzo?

– Przez Płońsk też można, tato. – Marcelina pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Ale teraz tędy jeździ się szybciej. Michasia mówi, że pekaes jeździł kiedyś tędy. Prawda, Michasiu?

– Prawda – zgodziłam się. – Ja też nie poznałam tej drogi, kiedy jechałam tu w zeszłym roku. Trochę się zmieniło. Ale im bliżej Wyszogrodu, tym wszystko wyda się bardziej znajome, zobaczysz, chociaż tam też zaszły spore zmiany. I nie ma już drewnianego mostu w Wyszogrodzie. Zbudowali nowy, jest piękny. Już go nie zrywa coroczna powódź. Słyszałeś o tym?

– Niemożliwe! – zdumiał się. – Trudno mi to sobie wyobrazić!

– Niedługo sam zobaczysz. – Śmiała się Marcelina. – Naprawdę jest nowy most!

– Jak tu pięknie – szepnął ojciec. – Już zapomniałem, jak tu jest pięknie.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tak mówił o swoich rodzinnych stronach.

Wszyscy zapatrzyliśmy się w krajobraz po lewej stronie drogi – wiosenna zieleń aż kipiała w prakorycie Wisły. Między drzewami w zachodzącym słońcu błyszczwały dachy domków. Gdzieś tam nad dachami unosiły się smugi siwego dymu z kominów.

Powoli zbliżaliśmy się do Wyszogrodu. Zwolniłam przed skrzyżowaniem i za Waldkiem skręciłam do miasta.

– A tutaj chyba czas się zatrzymał. – Ojciec z ciekawością rozglądał się po mijanych uliczkach.

Widziałam w jego oczach podekscytowanie i niecierpliwość.

– Dojeżdżamy. – Marcelina pokazała palcem dom Waldka.

– Wiem. Poznają.

W milczeniu wjechałam na podwórko i zatrzymałam samochód. Myślałam, że ojciec wyskoczy na zewnątrz, żeby wreszcie odetchnąć powietrzem dzieciństwa, ale on siedział nieruchomo. Patrzyłam na niego z niepokojem, bałam się, czy to nie za duże wzruszenie dla jego chorego serca.

– Tato... – Marcelina też się zaniepokoiła. – Wsiadasz?

– Co? A tak, tak! Oczywiście!

Trochę niezdarne zaczął się gramolić. Podałam mu rękę i przytrzymałam drzwi. Gdy wysiadł, nie puścił już mojej dłoni.

– Bądź przy mnie, Michasiu.

– Jestem, tato.

Poprowadziłam go do drzwi, gdzie Waldek już zdążył przynieść dwie walizy ojca.

– Zapraszam serdecznie, już otwieram!

Weszliśmy do domu.

– Jest prąd! – wykrzyknął radośnie. – Ciekawe, czy i u was w Szamocinach też jest.

– Widzę, że w kwestii prądu wiele się nie zmieniło – zażartował ojciec. – Wciąż tak samo.

– Mieliśmy tu wczoraj wielką nawałnicę, proszę pana. Pewnie wichura zerwała sieć. Na szczęście już naprawili. Zaraz zrobię herbatkę i zajmę się kolacją. Bardzo proszę, niech się pan rozgości. Zaraz zaprowadzę pana do pańskiego pokoju.

– Dziękuję, serdecznie panu dziękuję, panie Waldku. Ale czy miałby pan coś przeciwko, gdybyśmy poczekali z kolacją ze dwie godzinki? Bardzo chciałbym zaraz pojechać do Szamocin, zanim zrobi się całkiem ciemno. Chociaż na trochę – cicho wypowiedział prośbę.

Uśmiechnęłam się do niego. Rozumiałam to pragnienie. Być tak blisko rodzinnego domu i nie pojechać tam od razu? Nie, to niemożliwe!

– Zaraz cię zawiozę, tato, tylko pomożemy Waldkowi wnieść twoje rzeczy. Na pewno nie chcesz napić się herbaty?

– Nie, nie córeczko. Wytrzymam.

– Możemy napić się w Szamocinach. – Marcelina wykazała się przytomnością umysłu. – Przecież tam wszystko jest.

– To świetnie, Marcysiu, to świetnie! – ucieszył się.

– To wy jedźcie, a ja zostanę i przygotuję kolację. Jak wrócicie, wszystko będzie gotowe. Zostawcie te walizy, ja je wniosę. Jedźcie już, póki noc nie zapadła, bo nic nie będzie widać. Tylko nie siedźcie za długo – szepnął mi do ucha.

Po chwili jechaliśmy już drogą do Szamocin.

– Jedź trochę wolniej – poprosił ojciec. – Chcę popatrzeć.

Zwolniłam. Nie wiem, co chciał zobaczyć, bo robiło się coraz ciemniej, szczególnie w lesie, ale nie miałam serca mu odmawiać. Kilka minut nie robi przecież żadnej różnicy.

– Chyba jest prąd – ucieszyła się Marcelina.

Rzeczywiście, mijane domy miały rozświetlone okna.

Zajechałam z fasonem przed niebieski dom.

– Szefowa przyjechała! – rozległo się wołanie pana Krzysia. – Moje uszanowanie paniom! I panu. –

Uklonił się. – Jak minęła podróż?

– A dziękuję, dobrze. – Ojciec skinął głową, wyminął go i ruszył prosto do otwartej na oścież bramy babcinego domu.

Poszłam za nim, a Marcelinę wysłałam do kuchni, żeby zrobiła nam herbatę.

Ojciec potykał się o nierówności na podwórku. Staralam się być blisko niego, ale szedł wyjątkowo szybko, mimo chorej nogi. Milczał, słyszałam tylko jego urywany, ciężki oddech. Zatrzymał się tak nagle, że prawie na niego wpadłam.

Wokół panowała wieczorna cisza, którą wypełniały cykanie świerszczy i tajemniczy szelest dochodzący z sadu za domem. Poza tym było tak cicho, że dało się słyszeć szum wiosennego wartkiego nurtu strumyka. Gdzieś w oddali czekały wioskowe psy.

– Do domu pewnie nie da się wejść? – zapytał tak nagle, że aż drgnęłam.

– Można wejść, tylko tam prace są już dość zaawansowane i pełno jest materiałów budowlanych. Może odłożymy to do jutra, kiedy będzie widno?

– Dobrze, Michasiu – przystał niechętnie na moją propozycję. – A do sadu możemy wejść?

– Możemy, tato. Tylko uważaj, bo tam pewnie sporo błota po wczorajszej ulewie.

Prawdę mówiąc, wołałabym, żeby tam nie wchodził po ciemku, ale czułam, że go nie zatrzymam.

Potknął się kilka razy, zanim stanął między pierwszymi drzewami. W ciemności świeciły świeżo pobielone pnie.

– Pamiętam te drzewa, jak były zaledwie drzewkami – wyszeptał.

Robiłam to samo, w ciszy wiejskiego wieczoru zawsze odruchowo ściszałam głos.

– Cieszę się, że sad przetrwał.

– To dzięki Marcelinie. Dbła o drzewa przez te wszystkie lata. Gdyby nie ona, już nic by tu nie było.

Wieczór pachniał kwitnącymi jabłoniemi. I ziemia pachniała w ten szczególny, zapamiętany na zawsze sposób.

– Hej, hej! Gdzie jesteście? – Dobiegło nas wołanie Marceliny. – Herbata gotowa!

– Za chwilę przyjdziemy! – odrzyknęłam. – Chodźmy, tato, bo się przeziębisz. Wieczory są jeszcze chłodne, a ty jesteś w samej marynarce. Przyjedziemy tu jutro, na cały dzień, jeśli będziesz chciał. Dzisiaj musisz odpocząć. Mamy teraz dużo czasu. – Nie mógł widzieć, że uśmiechnęłam się do niego. Miałam nadzieję, że wyczuł to w ciemnościach.

Ruszyliśmy do czekającej na nas w bramie Marceliny.

– A co zrobiliście z rzeczami z domu?

– Są w pawilonie. Niczego nie wyrzucałam. Chcę je przedtem przejrzeć. Niektóre meble zamierzamy z Marceliną zatrzymać, a te, które się rozpadły ze starości, leżą na podwórku. Spalimy je.

– To dobrze, córeczko. To bardzo dobrze. – Był teraz starym, zgarbionym człowiekiem. Skurczył się i zmalął, jakby zeszło z niego powietrze. Aż bolało patrzeć na niego.

Trzeba wracać, pomyślałam. Postanowiłam, że chwilę odpoczniemy przy herbacie i dopiero pojedziemy. Waldek na nas czeka. A tutaj wrócimy jutro.

Wyprostowałam się i mocno chwyciłam ojca pod ramię. Dalej szliśmy już razem.

* * *

Obudziły mnie promienie wschodzącego słońca, które zajrzały do sypialni przez niedokładnie zasunięte zasłony, i ciepło bijące od Waldka, w którego byłam wtulona. Jeszcze spał, posapując cicho w czubek mojej głowy. Przycisnęłam mocniej policzek do jego muskularnej piersi i uśmiechnęłam się na myśl o namiętnej nocy. Miałam nadzieję, że nie było nas słychać w całym domu. Czułam się trochę skrepo-

wana, kiedy po kolacji poszłam z Waldkiem do jego sypialni. Obawiałam się, co ojciec o nas pomyśli, ale nie dał poznać swoich myśli. Był wyraźnie zmęczony. Prawie nie odzywał się przy stole, podczas gdy my, a szczególnie Marcelina, paplaliśmy wesoło. Po kolacji nie siedział długo, pierwszy dał sygnał do zakończenia wieczoru. Zresztą zrobiło się późno, wszyscy byliśmy zmęczeni.

– Chodź, tato, zaprowadzę cię do pokoju. – Marcelina wzięła na siebie opiekę nad ojcem i pomogła mu wspiąć się po schodach. Jeszcze przez jakiś czas słychać było z piętra odgłosy wieczornej krzątania, a potem wszystko ucichło.

Zostawiliśmy niepozmywane naczynia i też poszliśmy do sypialni.

– Chodź do mnie. – Waldek rzucił się na łóżko i wyciągnął ręce. – Stęskniłem się – wymruczał mi do ucha i zaczął całować po szyi i dekolcie. Ręce niecierpliwie wsunęły się pod sweterek i zaczęły masować piersi. Nie broniłam mu tego, byłam bardzo spragniona jego pieśczoć. Tak jak i on moich.

Nigdy wcześniej nie przeżywałam takiej rozkoszy. Wciąż było mi mało, chciałam jeszcze więcej i więcej. Z wypiekami na twarzy powiedziałam o tym Waldkowi, a raczej wydyszałam, kiedy opadłam obok niego na poduszki. Nasze nagie ciała lśniły od potu w przesączającym się przez szparę w zasłonie świetle księżycy. Waldek wodził wskazującym palcem po linii moich bioder i brzucha. Leżał na boku z podpartą na łokciu głową i przyglądał mi się z tajemniczym uśmiechem. Czułam rozkoszny dreszcz i narastające podniecenie. Wygięłam ciało w łagodny łuk, poddając się pieśczoć z cichym westchnieniem.

– Jesteś nienasycona. – Pochylił się nade mną i polizał nabrzmiące sutki. Wstrzymałam oddech. Kiedy zaczął je delikatnie ssać i nagryzać, poczułam napływającą falę rozkoszy.

– Och – nie powstrzymałam okrzyku. – Nie przestawaj!

Po chwili byliśmy jednym ciałem pulsującym w odwiecznym, zgodnym rytmie.

Nie wiem, kiedy zasnęłam, zmęczona i nasycona, jak jeszcze nigdy.

* * *

Najdelikatniej, jak potrafiłam, wysunęłam się z ramion Waldka i patrzyłam, jak śpi. Na policzkach i podbródku ciemniał zarost, lekko rozchylone wargi były wilgotne i bardzo kuszące. Poczułam dreszcz na myśl o tym, co te wargi potrafią ze mną zrobić. Z trudem powstrzymałam się od pocałunku. Nie chciałam jeszcze go budzić. Niech śpi, noc była namiętna, ale krótka.

Po cichutku przemknęłam do łazienki. Z żalem zmyłam z siebie zapach miłości Waldka. Już nie byłam obolała jak za pierwszym razem. Teraz byłam świadoma każdego milimetra swojego ciała, z każdym wiązało się wspomnienie jakiejś wymyślnej pieśczoć i dreszcz przyjemności. Nawet w tej chwili. Musiałam mocno odetchnąć i znacznie schłodzić strumień wody.

Spojrzałam na siebie w lustro – błyszczące oczy, zaróżowione policzki, ślady zębów Waldka na pierśsiach. Dotknęłam ich opuszkami palców, sutki od razu się nastroszyły, poczułam znajome ciepło w brzuchu. Dość!

Otuliłam się grubym frotowym szlafrokiem i boso podreptałam do kuchni.

– Dzień dobry, kochana siostrzyczko! – przywitała mnie radośnie Marcelina. – Jak się spało? – Siedziała przy stole, popijając coś z wielkiego kubka.

– Dzień dobry, kochana siostrzyczko! – odpowiedziałam równie radośnie. – To była boska noc. – Spojrzałam na nią porozumiewawczo, na co ona poruszyła śmiesznie brwiami i od razu wszystko było wiadomo. Roześmiałam się cicho.

– Jak ja lubię taką rozmowę bez słów! – Wycisnęłam na jej policzku wilgotnego, głośnego całusa. – Co tak wcześnie wstałaś?

– Zawsze wcześniej wstaję. – Wyszczерzyła zęby.

– Prawie mnie przekonałaś. – Potargałam jej włosy. Wszyscy wiedzieli, że Marcelina była okropnym śpiochem.

– No widzisz! – Przysunęła mi krzesło, żebym usiadła obok niej.

– Powiedziałam: „prawie”! A wiesz, co to jest „prawie”? – Rozchichotałyśmy się jak pensjonarki. – Jak tam ojciec?

– Jeszcze spał, jak wstałam. Zajrzałam do niego – wyjaśniła. – Trochę się o niego martwiłam wczoraj wieczorem. Nie wyglądał najlepiej.

– Nic dziwnego. Swoje lata ma, podróż daleka i tyle wspomnień.

Pamiętałam jeszcze swoje przeżycia, kiedy jesienią zeszłego roku przyjechałam tu pierwszy raz po wielu latach nieobeności. – No i zmiana czasu.

– Da radę. – Moja siostra była pełna optymizmu. – Twardy jest. Mam to po nim.

– A już myślałam, że on ma to po tobie!

Parsknęła w kubek, obryzgując zawartością siebie i stół.

Zrobiłam sobie kawę i usiadłam obok niej. Nie wiem, o której wstała i jak to zrobiła, ale naczynia po wczorajszej kolacji były pozmywane i pochowane. Musiałam bardzo mocno spać, skoro nic nie słyszałam. No ale po takiej nocy to chyba nic dziwnego.

– Marcyś. – Już nie reagowała nerwowo na to zdrobienie. – A co myślisz o zamieszkaniu tutaj? Masz ochotę się przenieść?

Patrzyła na mnie zamyślona.

– Nie wiem. – Upiła łyk herbaty. – Dobrze mi tutaj i tata jest blisko, ale – zawiesiła głos i przygryzła wargi – w niebieskim domu też jest mi dobrze. Jakoś tak bliżej mojego miejsca. Własnego miejsca. – Spojrzała na mnie poważnie. – Wiesz, co chcę powiedzieć, prawda?

– Wiem, skarbie. – Oparłam policzek na jej ramieniu.

– Co to za czułości tak z samego rana? – Do kuchni wszedł Waldek, jeszcze zaspany i rozczochrany. – Też się chcę przyłączyć! – Pociągnął zabawnie nosem. – Pachnie kawą! Też chcę!

– Już ci robię. – Wstałam z krzesła. – Ale może byś się najpierw umył?

– Liczyłem na kąpiel z tobą, ale zasnęłam. – Napił się z mojego kubka. – Dobra.

– Pewnie, że dobra! Robię przecież najlepszą kawę! – Przekomarzałam się. – No, zmykaj do łazienki, a ja się zajmę parzeniem.

– Kto mówi o kawie? – Do kuchni wszedł ojciec. – Też chcę!

– O ho, ho! Jakie ranne ptaszki! – Przewróciłam oczami. – Widzę, że trzeba się brać do roboty! Jak się spało, tato?

– Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! Nie ma to jak wiejskie powietrze! I ta cisza! Już odwykłem od takiej ciszy. To co z tą kawą?

– Michalina każe się najpierw umyć. – Waldek stał na środku kuchni i bezczelnie wypijał moją kawę. – To ja uciekam. – Odstawił pusty kubek i umknął przed moim groźnym spojrzeniem.

– Nawet łyeczka nie dostanę? – Ojciec też spenetrował mój kubek.

– Nie ma już. Waldek wszystko wyłopał. Ale już parzę świeżą.

– To ja też pójdę do łazienki. Jak mus to mus – zażartował. – A potem kierunek Szamociny! Wczoraj niewiele zobaczyłem. – Miał taką rozradowaną twarz. – Już nie mogę się doczekać!

* * *

Do Szamocin ostatecznie dojechaliśmy około południa. Ojciec chciał najpierw pojechać na cmentarz, by

odwiedzić grób babuni. Musieliśmy też zatrzymać się po drodze w brzozowym lesie, bo chciał koniecznie dotknąć, jak powiedział, polskiej brzozy. Wszędzie doszukiwał się śladów sprzed lat, cały czas wspominał miejsca i ludzi i zabawiał nas opowiastkami z dzieciństwa i młodości. Był tak wszystkim podekscytowany, że aż zaczęłam się niepokoić o jego samopoczucie.

Tak jak ja z Agą wiele miesięcy temu na cmentarzu wzbudził sensację. Kiedy stał nad grobem swojej matki, wokół zrobiło się nagle tłoczno – nie wiadomo skąd wzięła się grupka ciekawskich. Szeptali coś między sobą i pokazywali ojca palcami, aż stało się to krępujące. Obie z Marceliną stałyśmy kilka kroków za ojcem, dając mu chwilę intymności w modlitwie.

– Czy ci ludzie zupełnie nie mają wstydu? – szepnęła do mnie rozdrażniona Marcelina. – Jeszcze trzeba, żeby ktoś nas zaczepił.

– Jeśli nie teraz, to na pewno później, ale ktoś zaczepi – odszepnęłam. – Zeżre ich ciekawość. A poza tym pewnie kiedyś znali naszego ojca i będą chcieli się przywitać.

– Ale daliby mu na razie spokój – burknęła.

Zgodziłam się z nią. Na powitania i wspominki będzie mnóstwo czasu.

Zapaliliśmy na grobie znicze i ruszyliśmy alejką do wyjścia. Tłumek miejscowych za nami. Obejrzałam się na nich, mając nadzieję, że moje wymowne spojrzenie będzie wystarczającą tarczą.

– Uważaj – mruknęła Marcelina, bo potknęłam się o jakiś wystający kamień i o mało nie upadłam.

Przed bramą cmentarza ojciec nagle skręcił w prawo i ruszył między grobami wzdłuż muru. Dokąd on idzie?

– Tato! – zawołała cicho Marcelina. – Tato! – Nie słyszał albo nie chciał słyszeć, bo szedł, nie zatrzymując się. Pobiegła za nim. Tłumek gapiów zatrzymał się nieopodal. Zdziwiona, ruszyłam i ja między grobami.

I nagle mnie olśniło. Matka Marceliny! Przecież musi być gdzieś tutaj pochowana! Samobójczyni w samotnym grobie przy murze. Przyśpieszyłam.

Mogła była skromna i uboga, ale zadbana. Widocznie Marcelina przychodziła tutaj, bo w słoiku stały uschnięte kwiaty. Nie było krzyża, tylko starta metalowa tabliczka wetknięta w ziemię. „Marianna Piotrowska”, odczytałam z trudem.

Oboje stali z pochylonymi głowami. Nie było tam dla mnie miejsca, więc nie podchodziłam. Przysiadłam na ławeczce przy jakimś obcym grobie i czekałam na nich. Zapanowałam nad dawnym uczuciem wrogości i pomyślałam o smutnym losie kobiety, która była matką Marceliny. Mojej siostry. Nie ma lekarstwa na miłość, teraz już o tym wiedziałam.

Kiedy odeszli od grobu, gotowi do powrotu, tylko uśmiechnęłam się do nich.

Przy bramie ojciec ukłonił się zgromadzonej tam grupce osób i wyszedł z cmentarza, trzymając Marcelinę za rękę. W milczeniu poszłam za nimi.

* * *

W Szamocinach prace szły pełną parą. Panowie uwijali się, aż miło było popatrzeć. Po nawałnicy sprzed dwóch dni nie było już śladu. Wiosenne słońce igrało na młodych listkach pokrytych kurzem z remontowanego domu i zaglądało do środka przez puste otwory okienne. Z domu dochodził huk rozbijanej ściany i zdzieranych tynków. Pan Jurek wyjrzał przez okienko strychu i zawołał do nas pogodnie:

– Dzień dobry państwu! Piękna pogoda, prawda?

– Piękna, panie Jurku – odkrzyknęłam. – Wszystko w porządku?

– W porządku, pani Michalinko kochana! Powoli wszystko nabiera kształtów. Uśmiechnął się szeroko i zniknął.

Nie wiem, gdzie on te kształty widział, bo dla mnie wszystko pozostawało raczej jedną wielką ruiną. Miałam nadzieję, że wie, co mówi.

Przy werandzie zobaczyłam nowy stos starannie poukładanych desek. Pachniały świeżym drewnem i kłuły w oczy żywym jasnym kolorem. Ojciec rozglądał się wokół z wielką ciekawością. Obszedł podwórko i zniknął w sadzie.

– O, dzień dobry, szefowo! – Pan Krzysio uchylił czapki i przyłożył rękę do oczu, jakby czegoś wypatrywał na drodze.

– Dzień dobry, panie Krzysiu. Kogo pan tak wypatruje?

– Stach z Jarkiem pojechali po betoniarkę, już powinni być z powrotem. No, wracam do roboty, bo czasu szkoda. – Zerknął na Marcelinę i szybko uciekł wzrokiem.

Po jej minie wiedziałam, że była świadoma tych wymownych zerknięć. Przypadła do gustu Krzysiu i ten stan jej się podobał. Speszyło ją tylko to, że ja widziałam tę wymianę spojrzeń. Schyliła się po torby wyjęte z bagażnika i zniknęła w niebieskim domu.

Dochodziło południe, nadszedł czas na drugie śniadanie.

Ruszyłam za ojcem do sadu, ale nie doszłam nawet do zagraconej werandy, a pojawił się zza węgła. Uśmiechnięty i zadowolony, wciąż rozglądał się wokoło, jakby nie mógł się napatrzeć. Na mój widok uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Michasiu, jak tu pięknie! – zawołał. – Jak to dobrze, że postanowiłaś wyremontować ten dom! Tak się cieszę, że tu jestem. Razem z wami!

– Chodź, tato, odpoczniesz chwilę i będziesz mógł dalej oglądać. – Zagarnęłam go ramieniem. – Pora na drugie śniadanie, Marcysia pewnie już działa w kuchni.

– Dobrze, córeczko, pokażesz mi całe wasze królestwo. – Zatrzymał się przy stercie starych, połamanych mebli ze strychu, które ekipa zrzuciła wprost na ziemię przy pawilonie.

Pokiwał głową i zamiast do domu skierował się do pawilonu. Drzwi były otwarte. Zatrzymał się w progu i z rękami w kieszeniach patrzył bez słowa.

Wnętrze nie wyglądało zachęcająco. Zagracone do granic możliwości straszło ciemnością.

– Naprawdę Marcelina tu mieszkała? – W głosie brzmiało niedowierzanie.

– Tu ją znalazłam. Nie wiem, czy cały czas tu była. Musisz ją zapytać.

Wcisnął się pomiędzy jakąś komodę a pudła poukładane jedno na drugim.

– Ostrożnie! – zawołałam, ale ojciec zaskakująco zwinnie przeciskał się pomiędzy zgromadzonymi w pawilonie rzeczami.

Nie miałam ochoty tam wchodzić. Czuć było wilgoć, kurz i stęchliznę.

– To moje szkolne biurko. Odrabiałem przy nim lekcje. – Wskazał palcem na stolik wciśnięty między starą trzydrzwiową szafę a biblioteczkę z drzwiczkami wyrwanymi z zawiasów.

Stolik spodobał się Marcelinie, a szafa była moim oczkiem w głowie. W środku miała stare, mętne lustro, którego powierzchnia była upstrzona czarnymi plamami. Postanowiłam ją zatrzymać.

– Nie wiedziałem, że matka trzymała wszystkie te rzeczy. – Był zdziwiony.

– Były na strychu. I różne inne graty. Oraz całe mnóstwo książek i szpargałów. Też są tutaj. Mam zamiar wszystko przejrzeć.

– Pewnie nie ma tam nic ciekawego.

– Pewnie nie, ale i tak to zrobię.

– Ale po co ci te stare meble? Są bardzo zniszczone. Nie wolisz nowych?

– Nie, tato. Lubię rzeczy z duszą. Postanowiłam oddać je do renowacji. Zobaczysz, będą jak nowe! – Już się zapalałam do swoich planów. – Wiem, że na razie nie wygląda to przekonująco, ale przynajmniej spróbuję.

Pomogłam mu wyjść z pawilonu i poszliśmy do domu. Marcelina już na nas czekała z herbatą i kanapkami.

– Nic się tu nie zmieniło. – Ojciec, zanim usiadł do stołu, rozejrzał się po niebieskim domu. Zajrzał do pokoi i do łazienki. – W młodości byłem w tym domu częstym gościem. – Zamyślił się.

Patrzyłam na niego z zadumą. Był człowiekiem innym, niż zapamiętałam. Jakby zrzucił gdzieś zimną maskę, którą nosił w dawnych czasach.

W milczeniu jedliśmy kanapki przygotowane przez Marcelinę. Każde pograżone było we własnych myślach. Cisza aż dzwoniła w kuchni, odgłosy remontu z podwórka babci dochodziły tu słabo.

– Ktoś jedzie? – Marcelina podniosła głowę. – Waldek ma być dopiero po południu.

– Pewnie jadą z betoniarką. – Nadstawiłam ucha. – Nie, to nie ciężarówka. To osobowy – stwierdziłam, podnosząc się od stołu podekscytowana. Czyżby to naprawdę Waldek? Poczułam, jak moje serce roztrzepotało się gwałtownie. Wyszłam, a raczej wyfrunęłam na ganek.

– Niemożliwe! Aga! To naprawdę ty? – Rzuciłam się na moją dawno niewidzianą przyjaciółkę, która właśnie wysiadała z samochodu. – Co ty tu robisz? Sama? A gdzie Wojtek i chłopcy? – zarzuciłam ją pytaniami, ściskając i całując na przemian.

– To naprawdę ja, wariatko! – Śmiejąc się, opędzała się od mojej radości. – Stęskniłam się za tobą i postanowiłam przyjechać, bo ciebie to raczej prędko się nie doczekam.

Trochę się zawstydziałam. W nawale prac jakoś nie miałam czasu do niej zadzwonić.

– Mam nadzieję, że znajdzie się dla mnie miejsce na jedną noc?

– Dlaczego tylko na jedną noc? Zostań dłużej! Ale się cieszę! – skakałam z radości. – Chodź, przedstawię cię naszemu ojcu. Wczoraj przyjechał. – Już ją ciągnęłam za rękę.

– Zaczekaj, nie tak szybko.

Coś w jej głosie mnie zastanowiło.

– Stało się coś? – Od razu byłam czujna.

– Nieee, nic się nie stało.

Wiedziałam, że nie mówi prawdy.

Popatrzyłam na nią uważnie. Była chyba trochę zmęczona, bo miała podkrążone oczy i dość bladą twarz.

– Pewnie się przepracowujesz. Tutaj trochę odpoczniesz, pooddychasz świeżym powietrzem – mówiłam jak troskliwa mamuśka. – Chodź, wypijesz herbatę, zjesz kanapkę, a potem pójdziemy na spacer.

Posłusznie weszła za mną po schodkach.

– Aga! – Marcelina, zupełnie jak ja przed chwilą, rzuciła się Adze na szyję. – Wypiękniałaś! I wyszczuplałaś! – Odsunęła ją od siebie na długość ramienia i okiem znawcy oglądała od góry do dołu. Potem znów przytuliła się do niej.

Aga była widocznie wzruszona naszą radością.

– I ty wypiękniałaś, Marcelinko. Z oczu wygląda ci szczęście. – Patrzyła na Marcelinę z wyraźnym zachwytem.

Rzeczywiście, moja siostra nabrała kobiecych kształtów, jej porządnie wyszczotkowane włosy błyszczały. Z oczu nie wyglądała już dzikość zaszczutego zwierzątka. Poruszała się z kocim wdziękiem.

– Bo jestem szczęśliwa. – Zaśmiała się. – Ale siadaj, siadaj!

Z radości Marcelina zapomniała przedstawić Adze naszego ojca. Siedział przy oknie i z uśmiechem na nas patrzył.

– Tato, to moja przyjaciółka, Agnieszka Idzik. – Przejęłam rolę gospodyni.

Podali sobie ręce.

– Miło mi panią poznać. – Ojciec szarmancko cmoknął Agę w rękę.

– Mnie również. – Aga uśmiechnęła się do niego. – Wiele o panu słyszałam.

Prawili sobie uprzejmości, prowadząc książkową konwersację, a my z Marceliną krzątałyśmy się przy piecu, robiąc Adze herbatę i kanapki.

– Zajmiesz się ojcem przez jakiś czas? – zapytałam cicho. – Aga chyba pilnie chce pogadać, zdaje się, że ma jakiś problem. Zabiorę ją na spacer.

– Jasne. – Kiwnęła głową. – Chociaż miałabym ochotę pójść z wami. Lubię Agę.

– Wiem. Potem będziecie mogły pogadać, bo zostaje do jutra. Będziemy miały dużo czasu.

– O! To super – ucieszyła się Marcelina. – Stęskniłam się za nią.

– Ja też. – Zabrałam talerz kanapek i usiadłam obok Agi. – Częstuj się. Schudłaś. Tutaj odzyskasz apetyt. A jeśli boisz się przytyć – dodałam, widząc mordercze spojrzenie Agi – to po przekasce pójdziemy na dłuugi spacer. Pokażę ci wszystko w wiosennej perspektywie. Co ty na to?

– Chętnie, Michaś. Bardzo tu pięknie, tak zielono. Zimą nie wyglądało tak obiecująco. – Sięgnęła po kanapkę i ugryzła maleńki kąsek.

– Prawda? – Patrzyłam na nią z niepokojem. Jeszcze nie widziałam jej w takim stanie.

Przełknęła tę odrobinę, którą miała w ustach, i odłożyła kanapkę na talerzyk. Była spięta, ale znałam ją na tyle dobrze, że widziałam, że nie jest sobą. Ciekawe, co ją dręczy, pomyślałam.

– Szykuje nam się piękna majówka – starałam się podtrzymać rozmowę. – Może pierwszego nie będzie padało, jak nakazuje tradycja.

– To chodźmy na ten spacer, póki nie pada – podchwyciła Aga.

– Nie zjadłaś kanapki.

– Zjem później. – Spojrzała na mnie przepaszająco.

Popatrzyłam krytycznie na jej buty – eleganckie miejskie pantofelki na niewysokim wprawdzie, ale jednak obcasie. Do tego zwiewna spódniczka i żakiecik. Wystroiła się jak na spacer po nadmorskiej promenadzie, a nie po wyboistych wiejskich drogach i łąkach.

– Masz coś na przebranie, czy ci pożyczyć?

– Mam dzinsy.

– Chodzi mi o buty.

Spojrzała zdziwiona na swoje stopy.

– Chyba mam adidas z siłowni w bagażniku.

– To się przebierz. Będzie ci wygodniej. – Nie poznawałam jej. Stała przede mną bezradna miejska lala. To nie była moja Aga. Co jest grane?

Patrzyłam, jak z ociąganiem wydobywa z bagażnika neseser. Zaprowadziłam ją do naszego pokoju i zostawiłam, żeby się przebrała. Czekałam w kuchni.

– Chyba coś z nią nie tak – skwitowała cicho Marcelina.

– Też tak myślę – zgodziłam się. – Chyba ma jakiś problem. Tato, nie obrazisz się, że cię zostawię z Marceliną?

– Ależ skąd, dziecko drogie! Idźcie sobie poplotkować. Widać, że dawno się nie widziałyście. A na nasze gadanie będzie jeszcze dużo czasu. Ja sobie z Marcysią pochodzę i porozmawiam. Mam tu wiele do oglądania. Chcę odszukać swoje ścieżki, a nikt mi tak nie pomoże, jak Marcysia.

Tak martwiłam się Agą, że nawet nie poczułam znajomego ukłucia zazdrości.

* * *

Poszłyśmy ścieżką przez sad i łąkę za domem. Wzdłuż strumienia ruszyłyśmy do widocznego na horyzoncie lasu. Aga w milczeniu szła obok mnie z rękami w kieszeniach. Nie ponaglałam jej.

– Pięknie tu – odezwała się wreszcie. – Ty też jesteś szczęśliwa? – To TEŻ zabrzmiało jakoś dziwnie.

– Jestem. A ty nie jesteś? – Zatrzymałam się na miedzy świeżo zaoranego pola.

Wiatr poświstywał i unosił tumany kurzu. Gdyby nie te poświsty, pewnie słychać by było, jak jej bije serce. Stanęła obok mnie i gapiła się przed siebie.

– Jestem – powiedziała po chwili, zbyt długiej w moim odczuciu, żeby mnie przekonać do tego, co mówi. – Pewnie, że jestem.

– To co się dzieje? Jesteś jakaś dziwna.

– Dziwna? Dlaczego?

Zaskoczyłam ją tym stwierdzeniem.

– Milczysz albo mówisz półsłówkami. Sprawiasz wrażenie nieobecnej. Czuję, że chcesz mi coś powiedzieć, a nic nie mówisz. Jakbyś się bała.

Patrzyła na mnie zdumiona.

– Nie, Michaś! To nie tak! Ojej! Naprawdę tak to widzisz?

– Właśnie tak. – Zaczynałam być zła.

– Przepraszam cię! Nie zdawałam sobie sprawy! Ale zaskoczyła mnie ta sytuacja.

– Jaka sytuacja?

Milczała.

– No powiedz wreszcie!

– Jestem w ciąży. – Uśmiechnęła się.

Zamurowało mnie. Patrzyłam na nią z otwartą buzią.

– Co? – wykrztusiłam. Aga miała chorobę Hashimoto i zajście w ciążę graniczyło z cudem.

– No właśnie.

Nie wiem, co miało znaczyć to „właśnie”.

– Nie patrz tak na mnie!

– Kurczę, Aga! Nie wiem, co powiedzieć! Wojtek wie? Bo zakładam, że to Wojtek jest ojcem?

– Wojtek, Wojtek. – Roześmiała się i w tym śmiechu nareszcie usłyszałam swoją Agę. – Nie, jeszcze nie wie. Jesteś pierwsza. Nawet mamie nie mówiłam.

– Ale... – zawahałam się. – Czy to znaczy...

– To nic nie znaczy, Michaś. Po prostu jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się, naprawdę. Nie planowałam tego.

– A kiedy się dowiedziałaś?

– Wczoraj. I od razu postanowiłam przyjechać do ciebie. Wojtka nie ma, pojechał do Wiktora z dokumentami, chłopcy są na zielonej szkole, a ja muszę z kimś pogadać, zanim...

– Zanim co?

Pytanie zawisło między nami.

– Zanim ogłoszę to całemu światu, wariatko! O co ty mnie posądzasz?

– Znaczy cieszysz się?

– Pewnie, że się cieszę! No co ty! Michaś! A myślałaś, że co?

– No, myślałam, że... że się nie cieszysz! Nie wyglądałaś na ucieszoną.

– Chodź, idziemy, bo wieje.

Rzeczywiście, na otwartej przestrzeni wiatr był dość silny. Ruszyliśmy w dalszą drogę do lasu.

– No wiesz, trochę się boję reakcji. Szczególnie chłopców i mojej mamy. Zaraz powiedzą, że jestem za stara, że chora i że będzie trudno. Przecież wiem, że będzie trudno. I że jestem trochę stara.

– No co ty, Aga! Stara?

Nigdy tak o niej nie myślałam. Chociaż rzeczywiście była starsza ode mnie o dwa lata. Dobiegała

czterdziestki. To już późno na rodzenie dzieci. Ale z drugiej strony to nie pierwsza ciąża. No i medycyna przecież tak szybko się rozwija.

– No ale wiesz, co mam na myśli.

Wyprzedziła mnie i przyśpieszyła kroku. Musiałam iść za nią, bo miedza się zwężała. Nie widziałam jej twarzy, ale miałam wrażenie – przecież znałam dobrze ten sposób trzymania głowy – że znowu się spięła.

– I bałam się, co ty na to powiesz.

– Ja?

Jakoś z trudem prowadziło mi się tę rozmowę. Ciągłe coś mnie dziwiło i zadawałam głupie pytania.

– Ty – burknęła.

Szłam za nią, milcząc. Staralam się wyobrazić sobie, jak ona widzi naszą rozmowę. Musiałam przyznać, że nie wypadłam dobrze w tym wyobrażeniu.

– Aga, zatrzymaj się!

Stała tak nagle, że niemal na nią wpadłam.

– Aga, bardzo się cieszę. Bardzo! Rozumiesz?

Spojrzała na mnie figlarnie przez ramię.

– Naprawdę?

– Naprawdę! – Objęłam ją mocno i wtedy Aga się rozplakała.

– Tak strasznie się boję, Michaś! – Łzy ciekły jej strumykiem po zapadniętych policzkach. Nie wiedziałam, jak się zachować, głaskałam ją tylko po plecach i po głowie. Bo i cóż mogłam jej powiedzieć? Sama nie miałam dzieci, nie wiem, co mogła czuć czterdziestoletnia kobieta, która właśnie dowiaduje się, że jest w ciąży. I na dodatek z zaburzeniami hormonalnymi, które nie wiadomo jak wpłyną na przebieg ciąży i zdrowie dziecka. Znałam dobrze Agę, wiedziałam, że pusta, bezmyślna radość jest jej obca. Widocznie była świadoma zagrożenia, stąd jej strach przed przyszłością. Że też o tym nie pomyślałam. Ale tak mnie zaskoczyła, że nie potrafiłam racjonalnie zareagować.

Byłam na siebie zła. Moja najbliższa przyjaciółka, na której zawsze, w każdej sytuacji mogłam polegać, co wielokrotnie udowodniła, przyjechała do mnie szukać wsparcia i duchowej pociechy, a ja potrafiłam się tylko dziwić. Nie zapytałam nawet, jak się czuje. Czy tak bardzo jestem zaskorupiona we własnym życiu, że nie potrafię zauważyć potrzeb mojej jedynej przyjaciółki?

Poczułam wstyd. Kiedy ja potrzebowałam jej wsparcia, gdy zachorowałam, stała przy mnie wiernie, mimo że właśnie przeżywała własną, osobistą porażkę. Gdyby nie Aga, gdyby nie to, że zmusiła mnie do pójścia do lekarza, może bym już nie żyła.

Stałyśmy na skraju lasu. Patrzyłam ponad jej głową na drzewa okryte młodymi listkami. Powoli się uspokajała, płacz ucichł tak nagle, jak się pojawił. Czasami jeszcze spazm wstrząsał jej drobnym ciałem.

– Agus – szepnęłam. – Będę przy tobie. Będę cały czas. Przecież jestem twoją przyjaciółką.

Kiwnęła głową.

– Zresztą, będzie dobrze. Bo niby dlaczego ma nie być? Sama powiedz. Teraz medycyna ma ogromne możliwości, na pewno wszystko się uda. I będziemy przy tobie. Ja, Marcelina, Wojtek. Twój rodzice i chłopcy. Nie zostaniesz sama. Przecież gdyby miało być źle, to w ogóle byś nie była w ciąży, nie uważasz?

– Tak się pocieszam – wychrypiała. – Lekarz powiedział to co ty, że medycyna ma teraz ogromne możliwości. Że jeszcze parę lat temu nie byłoby o czym marzyć.

– Bo to prawda. Zobacz, nie tak dawno jeszcze konflikt serologiczny całkowicie uniemożliwiał macierzyństwo. Albo toksoplazmoza. A teraz odpowiednio prowadzona ciąża kończy się sukcesem.

– Na to liczę, Michaś. Najbardziej się boję, że dziecko urodzi się z jakąś ciężką chorobą.

– Tego chyba obawia się każda matka – mruknęłam. – A powiedz mi, jak ty się czujesz. Coś ci dolega? Masz mdłości?

– Nic mi nie dolega. Czuję się rewelacyjnie. Trochę tylko schudłam, ale to dlatego, że się denerwowałam i mało jadłam.

– No widzisz. – Ucieszyłam się. – Musisz o siebie dbać i dużo wypoczywać. Pewnie zmęczyłam cię tą długą wycieczką. Wracajmy.

– Chwilkę. – Aga otarła łzy. – Tak tu pięknie i ptaki tak ładnie śpiewają. Już dawno nie słyszałam ptaków. Przejdźmy się jeszcze kawałek.

Szłyśmy skrajem lasu. Zieleń, jeszcze mało obfita, nie chroniła zazdrośnie wnętrza zagajnika. W głębi widać było drzewa i kępy krzaków. Młode paprocie rozwijały liście, poszycie pokryte było świeżą zieleńią mchu. Rozświergotane ptaki uwijały się wśród koron drzew wokół swoich gniazd.

W cieniu było przyjemnie, ożywczy wiosenny wiaterek przynosił ze sobą z wnętrza lasu chłodne powietrze.

– Nie zimno ci? – zapytałam zatroskana. – Wracajmy, bo się przeziębisz.

Aga była w cienkiej bluzce, na plecy zarzuciła lekką chustę. Chyba zmarzła, bo objęła się ramionami. Zdjęłam bezrękawnik, który ostatnio stale nosiłam, i okryłam jej plecy.

– Michaś, no co ty! – zaprotestowała. – Przecież teraz ty zmarzniesz! Powinnam być bardziej przewidująca, ale ostatnio coś tracę głowę.

– Ja jestem przyzwyczajona i już zahartowana.

Powstrzymałam ją przed oddaniem mi bezrękawnika.

– I jako twoja przyjaciółka muszę o ciebie dbać.

Ruszyłyśmy w drogę powrotną. Teraz słońce świeciło nam w oczy, a wiatr wiał w plecy. Był silniejszy i chłodniejszy niż godzinę wcześniej, kiedy wychodziłyśmy na spacer. Ale niebo było bezchmurne.

– A co u ciebie, Michaś?

Aga wzięła mnie pod rękę natychmiast, gdy zeszyliśmy z wąskiej miedzy.

– Jak twoje zdrowie? Bo że jesteś szczęśliwa, to masz wypisane na twarzy. Promieniejesz, moja droga. – Posłała mi wiele mówiący uśmiech.

– Jestem szczęśliwa – przyznałam. – Tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy. Nawet z Pawłem... – Urwałam. – Nawet z Pawłem... – znowu się zacięłam.

– Chodzi ci o to, że nawet z Pawłem, z którym przeżyłaś wiele lat, nie odczuwałaś takiego zadowolenia jak przy Waldku? – dokończyła za mnie.

Kiwnęłam głową.

– To naturalne. Wtedy byłaś młoda, teraz wiesz, czego chcesz. To dojrzałe uczucie.

Milczałam. Jak jej miałam powiedzieć, że to dojrzałe uczucie jest tak szalone, jakbym miała naście lat.

– Michaś, ale nie miej z tego powodu wyrzutów sumienia, dobrze?

– Nie mam, Agus. Tylko czasami. Staram się zamknąć za sobą drzwi.

– I bardzo dobrze. Masz być szczęśliwa. Zasłużyłaś na to.

Uścisnęłam jej dłoń i zmrużyłam oczy.

– A jak zdrowie? Robiłaś badania kontrolne?

Myślałam, że jednak uniknę tego tematu. Zbliżałyśmy się już do sadu i miałam nadzieję, że nie zdążymy tego omówić. Nie doceniłam Agi.

– Czuję się świetnie – odparłam wymijająco.

– A badania? – Jak zwykle nie odpuszczała.

– Właśnie będę robić. Może w przyszłym tygodniu, po majówce.

- Oczywiście, nie umówiłaś się jeszcze, prawda?
- Oczywiście. – Roześmiałam się. – Nic się przed tobą nie ukryje!
- Bo ja jestem wszystkowiedźma!

Roześmiane weszłyśmy na podwórko.

- Fajnie tu będzie, jak się skończy remont – Aga rozglądała się dookoła.

– Mam nadzieję, bo, prawdę mówiąc, jakoś nie potrafię sobie tego wszystkiego wyobrazić – powiedziałam kwaśno. – Czasem myślę, że porwałam się z motyką na słońce.

– Dlaczego tak myślisz? – zdziwiła się. – Przecież wszystko idzie bardzo dobrze, nie spodziewałam się, że aż tak dobrze. Nie widzisz tego?

– Jakoś nie – przyznałam. – Ja na niczym się nie znam. Przytakuję tylko i udaję, że wiem, o co chodzi. Nawet Marcelina jest mądrzejsza ode mnie w sprawach budowlanych.

- No coś ty, Michaśka! – Oczy Agi ze zdumienia zrobiły się wielkie i okrągłe.

– Naprawdę. – Rozejrzałam się i ściszyłam głos. – Tylko nie mów nikomu. Na szczęście mogę zaufać panu Jurkowi, inaczej nie wiem, co bym zrobiła.

Agę aż przygięto ze śmiechu. Chichotała bezgłośnie, trzymając się za brzuch, łzy pociekły jej z oczu.

– A ja myślałam... Cha, cha, cha! A ja myślałam, że ty wiesz, co robisz! – Ocierała oczy wierzchem dłoni.

– Też tak myślałam – powiedziałam cicho, żeby nikt prócz Agi mnie nie usłyszał. – Ale mnie to przeszło. Nie dość, że nie umiem sobie wyobrazić efektu końcowego, to każdy wciąż czegoś ode mnie chce, jak od szefa budowy. Pytają mnie o różne rzeczy, każą decydować i wybierać, a ja nie wiem, o czym do mnie mówią. Szczęście, że Waldek trochę się na tym zna i czasem coś mi wytłumaczy.

Patrzyłam na Agę, która śmiała się bez ustanku.

– A pan Jurek chyba się zorientował, że ze mnie kompletny ignorant w tym względzie, bo już przestał pytać, tylko mnie informuje.

– Przydałby ci się ktoś do pomocy. Wiesz, taki zaufany, który by za ciebie o wszystkim decydował – stwierdziła.

– Ba! Ale skąd go wziąć? Nie mam nikogo takiego. Ten remont pochłania cały mój czas, prawie nic nie robię z projektem, który już powinnam kończyć. Wszystko mam rozgrzebane – i dom babci, i swoją pracę.

– A tu jeszcze zwala ci się na głowę jakaś przyjaciółka z problemem i uprzejmie przypomina o badaniach kontrolnych. – Pokiwała głową.

– No właśnie – przytaknęłam. – I jeszcze te badania. I ojcem muszę się zająć – westchnęłam. – Prawdę mówiąc, Aga, liczę, że ojciec przejmie ode mnie nadzór nad tą budową. Wtedy ja będę mogła skupić się nad projektem i go skończyć, bo terminy zbliżają się nieubłaganie. No i zrobić te cholerne badania.

– A rozmawiałaś z nim o tym?

– Nie, no co ty! Przecież dopiero wczoraj przyjechał, nawet nie było kiedy. Dam mu kilka dni, a potem go zaprzęgnę. Bez żadnej litości!

Usiadłyśmy na deskach obok werandy. W tym miejscu nie wiało, siedziałyśmy osłonięte od wiatru, a słońce grzało całkiem mocno. Wystawiłam twarz na pierwsze wiosenne promienie.

– Nie zimno ci? – zapytałam znowu Agę.

– Nie, nie. Jest w porządku. – Wyciągnęła przed siebie nogi i też wystawiła twarz do słońca. – Ale fajnie – mruknęła.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, ciesząc się wspólną chwilą. Nie ma co, stęskniłam się za Agą. Zabiegana i zaferowana swoimi sprawami niemal zapomniałam, jak bardzo jestem z nią zżyta i jak

bardzo mi jej brakuje w codziennych troskach i radościach.

– Dobrze, że przyjechałaś. – Wyciągnęłam do niej rękę. – Brakowało mi ciebie.

Uśmiechnęła się do mnie.

– I ja tęskniłam. Odkąd nie ma ciebie w biurze, wszystko się zmieniło. – Zapatrzyła się w dal. – Nowe projekty, nowe rządy. Sama wiesz, jak jest.

Znowu coś w jej głosie mnie zastanowiło.

– Czy na pewno wszystko w porządku?

– Tak, tak, na pewno. Tylko jest inaczej. Ale to nie znaczy, że źle – dodała, widząc moją minę. – Po prostu inaczej.

– A dokładnie? – Nie ustępowałam.

Milczała, a ja jej nie ponaglałam. Wiedziałam, że i tak mi powie.

– Chodzi o to – odchrząknęła. – Chodzi o to, że w czasach Wiktora byliśmy wszyscy bardzo zżyci. To była naprawdę niemal rodzinna firma. Przyjaźniliśmy się. A teraz... – przerwała na chwilę. – Teraz wszystko zrobiło się takie formalne. Niby Jurij uśmiecha się do wszystkich, poklepuje każdego po ramieniu i zapewnia o swojej przyjaźni i zrozumieniu, ale ludzie są jakby ostrożniejsi. Już nie ma serdecznych pogaduszek i nie załatwia się spraw po koleżeńsku. Na wszystko musi być papier i dziesięć podpisów.

– Ale przecież to Wiktor nadal jest szefem – wyraziłam zdziwienie.

– Faktycznie rządzi Jurij. Wiktor prawie się nie wtrąca.

Odniosłam wrażenie, że Aga ma o to pretensje do Wiktora. Moim zdaniem słuszne, bo obiecywał coś innego.

– Michaś, ja nic nie mogę samodzielnie zrobić, nawet decyzje leżące w moich kompetencjach muszę uzgadniać z Jurijem. Męczy mnie to. Straciliśmy już kilku kontrahentów. Miałam zamiar sprzedać udziały, poszukać sobie innej pracy, ale teraz muszę zmienić plany – dodała po chwili. – W każdym razie raczej nie wrócę po macierzyńskim.

– Nie martw się tym teraz – usiłowałam ją pocieszyć, choć widziałam, że jest bardzo przygnębiona. – Poszukasz na spokojnie. Będiesz miała dużo czasu. Może otworzysz coś swojego i będziesz pracować na własny rachunek?

– Myślałam o tym. Mam jakieś plany, ale jeszcze niesprecyzowane. Może przez najbliższy rok się wykrystalizują.

– Ile jeszcze zamierzasz pracować?

– Nie wiem. Lekarz chce, żebym wyłączyła się od razu, ale chciałabym pokończyć i przekazać sprawy. Nie potrafię wszystkiego zostawić tak z dnia na dzień. Czuję się nieźle, więc kilka tygodni, mam nadzieję, nie zrobi różnicy.

– Ale nie zaczynaj już niczego nowego, bo nigdy się nie wyrwiesz. Musisz teraz dbać o siebie.

– A! Tutaj jesteście! – Marcelina stanęła przed nami jak duch. – Wszędzie was szukam, a wy sobie tutaj gruchacie. – Patrzyła na nas radośnie, oczy jej się śmiały. – Macie pojęcie, jak długo was nie było? Martwiliśmy się już.

Spojrzałam na zegarek. Rzeczywiście, nie było nas ponad trzy godziny. Dochodziła szesnasta.

– Waldek zaraz przyjedzie. – Podniosłam się z desek i wyciągnęłam rękę do Agi. – Trzeba obiad zrobić.

– Tata smaży placki ziemniaczane – poinformowała Marcelina. – Będzie cała góra. Tarłam i tarłam, aż mi ręka prawie odpadła.

Zapach smażonych placków rozchodził się po całym podwórku. Ojciec przepasany jakąś ścierką zajęty był ogromną patelnią. Na stole talerz z usmażonymi plackami, a na płycie kuchennej równie ogromna jak patelnia – miednica z masą ziemniaczaną.

- Zmienię cię, tato. – Podeszłam do pieca.
- Nie trzeba, Michasiu. Nie zmęczyłem się. Siadajcie do stołu, gorące są najlepsze.
- Ale jestem głodna – Aga zajadała z apetytem, posługując się palcami.
- Tutaj masz cukier i śmietanę. – Marcelina rozstawiała na stole naczynia i sztucce. – Zaraz będzie herbata.

Szum silnika samochodowego, a potem trzaśnięcie drzwiami oznajmiły przybycie Waldka.

- No proszę, ale pyszności robicie, pachnie na całym podwórku! Aga? Kiedy przyjechałaś?

Przywitał się z nami i wcisnął za stół obok Agi.

- Błada jesteś. Musisz chyba odpocząć. – Przyglądał się jej uważnie.

– Jedz. – Podsunęłam mu talerz w nadziei, że odwróć jego uwagę od Agi. – Tata mówi, że gorące najlepsze. Prawda, tato?

- Prawda, córeczko. – Ojciec z wprawą zdejmował z patelni kolejną porcję gotowych placków.

- Wiem, wiem. – Waldek chyba zrozumiał, bo nie wrócił już do tematu.

Tak jak Aga jadł placki palcami.

* * *

To była bardzo udana majówka. Aga została trzy dni, podczas których rozmawiałyśmy bez końca, jakbyśmy chciały nadrobić życiowe zaległości i jeszcze nagadać się na zapas, a przecież nie widziałyśmy się niespełna trzy miesiące.

– Jesteście jak te kumy, co przesiedziały razem w więzieniu, w jednej celi dziesięć lat, razem wyszły i jeszcze stały pod bramą więzienia i gadały. – Śmiał się z nas Waldek.

Podejrzewałam, że jest trochę zazdrosny, bo nie miałam dla niego tyle czasu, ile by chciał.

Świeże powietrze i spokojny sen zrobiły swoje – Adze wrócił apetyt, buzia się zaróżowiła i zaokrągliła, a oczy odzyskały dawny blask.

- Nie zapomnij o badaniach – powiedziała mi podczas pożegnalnego uścisku.

Zmusiła mnie do umówienia wizyty. W Warszawie u profesora miałam być za trzy tygodnie.

- Przypomnę ci odpowiednio wcześniej. I oczywiście nocujesz u mnie!

Nie chciałam jej się sprzeciwić, więc tylko kiwnęłam głową.

- Dopilnuję, żebyś dotarła, gdzie trzeba. Na wypadek gdybyś chciała się wykręcić.

- Nie wykręci się. – Waldek objął mnie ramieniem. – Też będę pilnował.

- Wszyscy będziemy pilnować – włączył się ojciec, a Marcelina gorliwie mu przytakiwała.

W końcu Aga odjechała żegnana przez wszystkich serdecznie. Posmutniałam. Jej wizyta uświadomiła mi, jak bardzo za nią tęsknię, jak bardzo jesteśmy żyte i obecne w swoich życiach. Kiedyś Wiktor nazwał nas siostrami syjamskimi. Dzisiaj, po jej odjeździe, przypominałam sobie o tym i – mimo obecności Waldka, ojca i Marceliny – poczułam się bardzo samotna. Musiałam mieć to wypisane na twarzy.

- Niedługo się zobaczycie – pocieszali mnie.

– I znowu będziecie mogły trajkotać, gaduły jedne. – Poczułam, jak Waldek ramieniem mocniej mnie do siebie przyciska. Od razu zrobiło mi się lepiej.

Pogoda po kilku ciepłych dniach popsukała się drastycznie. Było zimno, wietrznie i wciąż padało. Remont domu znowu mnie pochłonał. Nie miałam nawet czasu porozmawiać z ojcem. Oboje podświadomie zachowywaliśmy wobec siebie pewien dystans. Wymienialiśmy uprzejmości jak dwoje obcych sobie ludzi. O wiele lepiej ojciec dogadywał się z Marceliną, wciąż mieli sobie coś do powiedzenia. Zastanawiałam się, czy wina nie leży po mojej stronie. Starłam się być bardziej serdeczna, ale kiedy tylko udawało mi się cieplej zagaić, byłam odrywana, a to przez ekipę remontową, a to przez prace nad swoim

projektem. Po powrocie do Warszawy Aga napisała, że Jurij zaczął się dopytywać, kiedy wreszcie skończę pracę. Rzeczywiście, czas na wykonanie kurczył się nieubłaganie.

– Michasia, musisz zaangażować kogoś w ten remont – strofował mnie Waldek pewnego wieczoru w sypialni. Ojciec i Marcelina poszli już spać. – Wszystkiemu sama nie podołasz. Przecież mówiłaś, że chcesz, by ojciec w tym uczestniczył. Mam wrażenie, że chętnie przejąłby od ciebie część obowiązków, bardzo się wszystkim interesuje, ale widzę, że coś go powstrzymuje. Jakby się ciebie bał. Porozmawiaj z nim wreszcie. Lada moment pojedziesz do Warszawy na kilka dni, więc i tak będzie musiał stanąć na wysokości zadania. Im wcześniej to zrobisz, tym lepiej. Będziesz mogła skupić się na pracy zawodowej i skończyć, co tam masz do skończenia.

– No wiem, ale jakoś mi nie wychodzi – broniłam się.

– A ja już nawet pomyślałem, że jest ci tak wygodnie. Przepraszam cię, Michaś, ale tak to wygląda. Nawet nie mogłam zaprzeczyć.

– Nie uciekniesz od tego.

– Wiem – mruknęłam.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Przytuliłam się do niego mocniej.

– Ja po prostu martwię się o ciebie.

Leżeliśmy teraz twarzami do siebie.

– Boję się, że znowu zachorujesz. Przecież miałaś się oszczędzać.

– Nic mi nie jest – uspokajałam go.

– Ale często narzekasz, że boli cię głowa. Musisz odpocząć. Obiecuj mi, że porozmawiasz z ojcem.

I to szybko. Bo inaczej ja to zrobię – zagroził.

– Dobrze, obiecuję – szepnęłam.

Pogłaskał mnie po policzku i pocałował.

– A teraz spać, późno już. – Wtuliłam się w niego i posłusznie zamknęłam oczy.

Kiedy się obudziłam, Waldka już nie było. Wyspałam się i wypoczęłam. Dochodziła dziesiąta. Dawno tak późno nie wstałam.

W kuchni przy kawie samotnie siedział ojciec.

– Dzień dobry, tato.

Otuliłam się szczerzej szlafrokiem. W domu było zimno. Za oknem znowu lało.

– Dzień dobry, córeczko. – Uśmiechnął się do mnie. – Chyba dobrze ci się spało?

– Bardzo dobrze. Pogoda akurat do łóżka. A gdzie Marcelina?

Włączyłam czajnik.

– Pojechała z Waldkiem do Płocka. Chce kupić sobie jakieś rzeczy do malowania. Nie znam się na tym, więc nie wiem co, chociaż mówiła.

Patrzył, jak robię sobie kawę.

– Też ci zrobić?

– Nie, dziękuję, jeszcze mam. – Wskazał na kubek z kawą.

– Jadłeś śniadanie? Zrobię jajecznicę.

– Jadłem, ale już dawno. Na jajecznicę zawsze jestem głodny. Możesz mnie uwzględnić. Boczek jest w lodówce.

Na myśl o jajecznicy na boczku poczułam ssanie w żołądku.

– Chyba powinniśmy porozmawiać, Michasiu. – Ojciec odstawił talerz po jajecznicy. – Mamy teraz okazję, może nikt nam nie przeszkodzi.

Postawiłam przed nim świeżo zaparzoną herbatę i talerzyk z herbatnikami.

– Chyba tak – przyznałam. – Jakoś się nie składało do tej pory.

– No nie składało się. Ale nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu i w zasadzie nie musimy się śpieszyć. Chciałem, żeby wyszło samo z siebie, z potrzeby serca, ale Waldek wspominał, że się przepracowujesz i że trzeba cię wspomóc.

Prychnęłam niezadowolona.

– Daj spokój Waldkowi. Martwi się o ciebie. Ja zresztą też. Jestem tu od niedawna i już widzę to i owo. – Uśmiechnął się do mnie i poklepał po ręce. – Przepracowujesz się.

– Powiedziałabym, tato, że raczej sobie nie radzę.

– Och, kochanie, nie bądź wobec siebie taka surowa. – Roześmiał się. – Jeśli sobie nie radzisz, to dlatego, że zbyt dużo na siebie wzięłaś. Poza tym nie jesteś specjalistą od remontów.

– W przeciwieństwie do ciebie – dokończyłam jego wywód.

– W przeciwieństwie do mnie – zgodził się z uśmiechem.

Ojciec był architektem z uprawnieniami budowlanymi. Co tu dużo gadać, znał się na rzeczy. Przed wyjazdem do Kanady przez wiele lat pracował w zawodzie, na obczyźnie również z zawodem nie zerwał.

– Nie chcę, żebyś pomyślała, że chcę ci odebrać to, co sobie wymarzyłaś i konsekwentnie realizujesz.

– Nie myślę tak, tato. Ale przyznam, że chciałam sama to zrealizować. Postaraj się zrozumieć.

– Ależ rozumiem, bardzo dobrze rozumiem. Tak się jednak składa, że stało się to również moim marzeniem. Od pewnego czasu, powiedzmy, że od dwóch, może trzech lat, bardzo często o tym myślałam. Byłam coraz bardziej zmęczony życiem i wieczorami, kiedy zostawałam sam, nawiedzały mnie wspomnienia z młodości. Bardzo piękne wspomnienia. – Mówił cicho, zapatrzony nieobecny spojrzeniem w dal. – I pewnego wieczoru – kontynuował – postanowiłem, że wrócę do Polski i osiadę w domu mojego dzieciństwa. Miałem nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko, bo przecież dom należy do ciebie. Liczyłem, że znajdzie się dla mnie jakiś kąt, mimo że nie byłem dla ciebie dobrym ojcem.

– Tato!

Nie pozwolił sobie przerwać.

– Michasiu, przecież sama wiesz, jak było.

– No wiem, tato. Ale dzisiaj, kiedy znam prawdę, inaczej to oceniam.

– Dziękuję ci, córeczko. To miłe z twojej strony, ale oboje wiemy, jak było. Skrzywdziłem cię. Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. A teraz, wracając do meritum... Chciałbym, żebyś przekazała mi nadzór nad remontem domu, a sama zajęła się swoją pracą. Waldek mówił, że robisz jakiś projekt i zbliża się termin jego zakończenia, a ty nie masz czasu na jego wykonanie. Dam sobie radę – dodał, widząc moją minę.

– Nie o to chodzi – broniłam się niepewnie. Nie miałam argumentów, żeby mu odmówić. A właściwie to nawet taki miałam plan. Nie wiem, dlaczego poczułam opór przed przekazaniem mu pałeczki.

– A o co?

No tak. Powinnałam spodziewać się tego pytania.

– Michasiu, daj spokój. Nie chcesz chyba zawalić sprawy przez dziecinny upór. Przecież nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała. Marcelina trochę mi opowiadała, jakie macie plany, pokazała mi projekt, który zrobiła, więc już wiem co nieco. Podobają mi się wasze pomysły. A jeśli będę chciał coś zmienić albo udoskonalić, to obiecuję, że nie zrobię tego bez uzgodnienia z wami.

Jeszcze ze sobą walczyłam. Nie wiem dlaczego. Przecież zdawałam sobie sprawę z tego, że tak będzie lepiej.

– Córeczko, za tydzień pojedziesz na kilka dni do Warszawy. I tak musisz komuś przekazać sprawę. Teraz jest najlepszy moment. No, nie daj się prosić!

Widziałam w jego oczach życzliwość i czułam, że pękam. Usta same rozciągnęły mi się w uśmiech.

– To jak? Umowa stoi? – Wyciągnął do mnie rękę.

– Stoi, tato. – Podałam mu swoją.

– No to jedziemy do Szamocin. Dzisiaj mi przekażesz, co trzeba, a od jutra siadasz nad swoim projektem. Dasz radę skończyć przed wyjazdem?

– Będzie ciężko, ale się postaram.

– Tylko z umiarem, bo się rozchorujesz.

– Nie ma co gadać, zawaliłam sprawę. Przeliczyłam się z czasem i możliwościami. Jak się uda, zacznę nawet dzisiaj – mówiłam do niego, zmywając. – Chcesz plany obejrzyć tutaj czy w Szamocinach?

– W Szamocinach. Od razu porozmawiamy z panem Jerzym i dowiemy się, na jakim są etapie. A jak ci się w ogóle podoba to, co do tej pory zrobili?

– Prawdę mówiąc, nie widzę tego. – Spojrzałam na niego zawstydzona. – Marcelina i Waldek mówią, że idzie bardzo dobrze, pan Jurek mówi to samo, a ja nie potrafię tego dostrzec.

– Naprawdę? – Był tak zdumiony, że aż zatrzymał się na środku korytarza.

– Naprawdę, tato. Jakoś brakuje mi wyobraźni.

– Może trzeba było zrobić symulację komputerową?

– Jest, pan Jurek zrobił. I było idealnie. Tak jak obie z Marceliną chciałyśmy. Ale nie potrafię tego dostrzec w tej kupie gruzu. No nie potrafię, nic na to nie poradzę.

– Na pewno wszystko będzie w porządku. Nie każdy ma do tego smykałkę.

– Ja jej nie mam, niestety.

– Nie przejmuj się tym. Z Marceliną wszystkiego dopilnujemy.

* * *

Do Szamocinjechałam wolno, znowu padało rzeświście.

– Cholera z tym deszczem – zakląłam – trochę go za dużo. Na szczęście nie opóźnia prac.

– Pan Stanisław mówił mi kilka dni temu, że lada dzień przyjadą okna.

– Tak mówią. Trochę mi szkoda, że nie mogły zostać stare, ale były tak zniszczone, że nie nadawały się do niczego. Mam nadzieję, że będą w tym samym stylu. Bardzo o to prosiłam.

– Więc na pewno będą, Michasiu. W dzisiejszych czasach to nie jest problem, można odtworzyć architekturę dawnych lat. O ile, oczywiście, ktoś chce.

– Na to liczę. Zupełnie nie znam się na tym wszystkim.

Zdałam sobie sprawę, jaką ulgę przyniosła mi rozmowa z ojcem i świadomość, że przejmie ode mnie sprawy, których nie dość, że nie czułam, to jeszcze nie lubiłam. To naprawdę nie moja bajka.

– Dziękuję, tato. – Uśmiechnęłam się do niego znad kierownicy.

– Dla mnie to też radość, kochanie. Wreszcie nie będę się błąkał z kąta w kąt, tylko zajmę się czymś pożytecznym i jeszcze tobie ulżę. Starzy ludzie lubią być pożyteczni.

Na podwórko w Szamocinach wjechaliśmy w strugach deszczu.

– Dzień dobry, szefowo, dzień dobry panu! – Pan Stanisław usłużnie wybiegł z domu z parasolem. – Zapraszamy na kawę, akurat mamy przerwę. Czekamy na okna, a deszcz nie pozwala pracować na zewnątrz.

– A chętnie, panie Stanisławie. A jest pan Jurek?

– A jest, pewnie że jest.

Weszliśmy do ciepłej kuchni. Pan Jerzy dokładał drewna do pieca. Od razu ogarnęła nas domowa atmosfera.

– A pani Marcelina nie przyjechała? – Pan Krzysio wyraźnie był zawiedziony.

– Może przyjedzie później. Pojechała do Płocka. – Chyba nie pocieszyłam go tą informacją.

Przekazanie nadzoru nad budową mojemu ojcu wyraźnie ucieszyło pana Jurka, chociaż tego nie powiedział. Od razu zagłębili się w fachowej rozmowie, której nie rozumiałam. Całe szczęście, pomyślałam, najważniejsze, że się zaakceptowali i potrafią porozumieć.

Zbierałam dokumenty dotyczące projektu w pokoju zajmowanym przeze mnie i Marcelinę, kiedy przyszedł ojciec.

– Michasiu, ten pan Jurek to znakomity fachowiec! – Był bardzo podekscytowany. – Naprawdę zna się na rzeczy!

– To super, tato. Więc się dogadacie! – Naprawdę czułam wielką ulgę.

– Jak tylko wstawią okna, będzie można robić tynki. Oby jak najszybciej przestało padać. – Śmiały mu się oczy. W ogóle cały promieniał. – Muszę sobie kupić jakiś samochód, żeby tu dojeżdżać, i telefon, żeby być cały czas w kontakcie.

– Telefon możemy kupić nawet dzisiaj, nie wiem, czy Waldek w swoim sklepie nie ma czegoś, co by ci odpowiadało. Miałam ci kupić przed przyjazdem, ale nie zdążyłam, a później wyleciało mi z głowy. Samochód na razie możesz brać mój, ja będę siedzieć w domu, więc nie będzie mi potrzebny. Dogadamy się. A potem czegoś poszukamy.

– Mogę też tu zanocować od czasu do czasu, miejsca jest dość.

– Możesz, tato. – Roześmiałam się. – Jesteś panem siebie. – Patrzyłam na niego z przyjemnością. Radość, która biła z jego oczu, odmłodziła go i dodała wigoru.

– A może przejdziemy się zobaczyć, co do tej pory zostało zrobione? – zaproponował.

– To chodźmy, dokończę później – zgodziłam się. Odłożyłam na stół swoje rzeczy, zarzuciłam płaszcz i z parasolem w ręce ruszyłam za ojcem.

W koleinach drogi i na podwórku zdążyły już utworzyć się całkiem duże kałuże. Próbowалаm je przeskakiwać, ale nie zawsze mi się udawało. Pożałowałam, że nie wzięłam kaloszy.

W domu panowała wilgoć.

– Jak tu się zmieniło! – Byłam zaskoczona widokiem, który zastałam. Nawet dla mnie zmiany były widoczne.

Pomieszczenia miały już swój kształt, taki jak w projekcie Marceliny. Poczułam dreszcz podniecenia na myśl o tym, jak będzie tu jasno i pięknie, kiedy już wszystko urządzimy, postawimy meble, lampy i rozpalimy ogień w kominku. Wreszcie zobaczyłam to, czego nie potrafiłam dostrzec w remontowanym wnętrzu.

– Ale ile jeszcze jest do zrobienia!

– Damy radę, pani Michalinko kochana! – Pan Jurek przydreptał za nami. – Jesienią będzie już pani na swoim!

Jakoś trudno mi było w to uwierzyć.

– Jak wstawimy okna, zabierzemy się do ogrzewania, potem podłogi, łazienki i tynki zewnętrzne. Reszta to już pikuś. – Jego niepoprawny optymizm był zaraźliwy.

Stałam na środku przyszłego salonu i patrzyłam z podziwem. Że też można ze starej rudery zrobić coś takiego!

– Zapraszam państwa do obejrzenia pokoju kąpielowego! – Pan Jurek gestem zapraszał w głąb budynku. – Na górę proszę jeszcze nie wchodzić, bo nie ma porządných schodów, jeszcze by nam pani spadła, szefowo. – Puścił do mnie oko.

– Myśli pan, że ze mnie taka łamaga?

– O kobiety trzeba dbać. – Złożył przede mną szarmancki ukłon.

Pokój kąpielowy, jak nazwał łazienkę pan Jurek, nie pobudził mojej wyobraźni tak jak salon. Surowe

i puste wnętrze nie zrobiło na mnie wrażenia. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaki miał być efekt końcowy.

– Trochę mała ta łazienka – bąknęłam, nie wiedząc, co innego powiedzieć.

– Mała? – Obaj panowie byli zdziwieni.

– Ależ to będzie naprawdę duża łazienka! – Pan Jurek patrzył po szarych ścianach, jakby tam były już marmury. – Zobacz pani, zmieści się i wanna, i prysznic. Toaleta będzie obok, w odrębnym pomieszczeniu. A na pralkę wygospodarowaliśmy osobne miejsce w piwnicy, będzie pani miała pralnię co się zowie! – zachwalał z zapałem. – A na pięterku będzie druga łazienka, trochę mniejsza.

– To super, panie Jurku!

Nie chciałam przyznać, że znowu nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

Z podwórka doszedł nas warkot ciężarówki.

– Przywieźli okna. – Pan Jurek już był przy wyjściu. Usłyszeliśmy, jak nawołuje swoich pracowników do wypakowania ładunku. Deszcz nie ustawał. Patrzyłam na nich i podziwiałam ich sprawność.

– Po powrocie z Warszawy trzeba będzie zająć się wyborem glazury i sanitariatów. – Ojciec chodził po domu i głaskał ściany. – A może w Warszawie coś wypatrzysz?

– Mogę się rozejrzeć, ale wspólnie z Marceliną. Ona lepiej się na tym zna.

– Porozmawiamy z nią o tym dzisiaj.

Ruszyliśmy do niebieskiego domu.

Trzeba sprawdzić, czy woda nie leje się do środka. – Ojciec zatrzymał się przy pawilonie.

– O, to byłoby bardzo niedobrze – zaniepokojona poczułam jeszcze większą złość na deszcz, który padał niemal bez ustanku od dwóch tygodni.

Na szczęście panowie dobrze zabezpieczyli dach, woda nie przeciekała, chociaż wewnątrz panowała wilgoć i czuć było zapach stęchlizny.

– Kiedy ty to wszystko przejrysz, dziecko drogie! – Ojciec rozglądał się ciekawie po zagraconym wnętrzu. – Marcelina mówiła, że nie pozwoliłaś wyrzucić żadnych szpargałów.

– Chcę zobaczyć, co tam jest. Nie lubię wyrzucać książek, a w dokumentach może znajdę coś ciekawego. Po remoncie będzie na to czas.

– Mogę ci pomóc. To znaczy – dodał, widząc moją minę – mogę przejrzeć papiery pozostałe po mamie. Tobie zostawię książki i czasopisma. Co ty na to?

– No nie wiem. – Sama byłam ciekawa, co tam babcia zostawiła w tych pudłach.

– Obiecuję, że niczego nie wyrzucę. – Wyprężył się przede mną na baczność i podniósł jak harcerz dwa palce.

– No dobrze – zgodziłam się łaskawie.

– A co zamierzasz zrobić z pawilonem? Proponowałbym całkowite zburzenie.

– Jeszcze nie wiem. Marcelina jest z tym miejscem emocjonalnie związana. Chciała mieć tu pracownię i obiecałam jej to, ale nie wiem, czy nie lepiej będzie, żeby wygospodarowała sobie miejsce w domu, na przykład na strychu.

– Trzeba będzie z nią o tym porozmawiać na spokojnie. Pawilon jest w stanie ruiny i, moim zdaniem, nie nadaje się do odbudowy. Trzeba by postawić go od nowa, ale nie wiem, czy to opłacalne.

– Raczej nie. Ale jeszcze zobaczymy. Może sama wpadnie na pomysł pracowni w domu. W dachu będą okna, więc będzie miała dość światła do malowania.

– A myślałaś o jej dalszym kształceniu? Chciałbym, żeby dalej się uczyła.

– Ja też. Nawet próbowałam z nią o tym rozmawiać, ale chyba nie jest jeszcze gotowa. Nie trzeba jej popędzać.

Staliśmy w progu pawilonu i patrzyliśmy na niesłabnące strugi deszczu. Jednak gdzieś za lasem, zza

chmur próbowało przebić się słońce.

– Zobacz, tęcza! – Ojciec pokazał palcem na barwny łuk. – Jak ja dawno nie widziałem tęczy! – Zapatrzyliśmy się oboje w ten cud.

Łuk wydłużał się z każdą chwilą, aż wziął w posiadanie większość nieba i z jednej strony zniknął w szarym kłębowisku chmur. Kolory były bardzo intensywne i mieniły się w słońcu, sprawiając wrażenie falowania.

– Piękna – szepnęłam.

– Piękna – cicho powiedział ojciec. – Może przyniesie nam szczęście.

– Oby.

* * *

Tydzień później zapakowałam do samochodu walizkę i skończony projekt, ucałowałam ukochanego mężczyznę, siostrę i ojca, i pojechałam do Warszawy. Był słoneczny poranek, ziemia powoli obsychała po okresie ulewnych deszczów, wszystko wokół kipiało świeżą zielenią. Jutro miałam stawić się w szpitalu na badania kontrolne. Jakoś nie martwiło mnie to. Czułam się świetnie i byłam pełna optymizmu. Dzisiaj miałam przenocować u Agi, a w piątek wieczorem postanowiłam przenieść się do swojego mieszkania. Na weekend przyjeżdżał Waldek z Marceliną i ojcem. Wstępnie zaplanowaliśmy rajd po supermarketach budowlanych w poszukiwaniu glazury i wyposażenia łazienek. Czas był na to najwyższy.

Jednak najpierw czekała mnie wizyta w biurze i spotkanie z Jurijem. Po pierwsze, musiałam przekazać ukończoną pracę, a po drugie, mieliśmy porozmawiać o dalszej współpracy.

Jak zwykle z trudem znalazłam miejsce do zaparkowania. Czułam się już obco w tym mieście. Tak samo obco poczułam się, kiedy weszłam do biura. Żadnej znajomej twarzy. Na wprost wejścia powstała ogromna recepcja. Siedziała tam młoda blond piękność uzbrojona w zawodowy uśmiech.

– Dzień dobry, w czym możemy pani pomóc?

– Dzień dobry. Nazywam się Michalina Szawłowska, jestem umówiona z panem Jurijem Szaposznikowem. Jestem pracownikiem tej firmy – dodałam uprzejmie.

– Och! Poproszę panią o dowód tożsamości.

Z zaciśniętymi zębami podałam jej dowód osobisty. Ona tylko wykonuje swoją pracę, pomyślałam, nie zna mnie przecież.

Ku mojemu zdumieniu recepcjonistka razem z dowodem osobistym podała mi kartę magnetyczną z napisem: „gość numer 6”.

– Zapraszam na trzecie piętro, sekretariat znajduje się po lewej stronie korytarza. Karta otworzy pani drzwi na piętro. – Uśmiechała się do mnie bezosobowo.

No pięknie, myślałam. Robi się prawdziwa korporacja.

Na trzecim piętrze przyłożyłam kartę do czytnika i weszłam w znajomy korytarz.

– Dzień dobry. – Jakaś obca kobieta wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. – Zapraszam do sekretariatu. Nazywam się Joanna Adameczek i jestem asystentką pana Szaposznikowa. Szef już na panią czeka.

Posłusznie poszłam za nią. Czułam się obco w miejscu, które było mi przyjazne przez tyle lat. Kobieta ręką wskazała otwarte drzwi gabinetu i usiadła za biurkiem, po czym energicznie zaczęła stukać wymanikiowanymi paznokciami w klawiaturę komputera. Nieśmiało zajrzałam do gabinetu. Przy biurku siedział przystojny, młody mężczyzna, którego już raz widziałam z oddali.

– Dzień dobry. Jestem Michalina Szawłowska.

W duchu byłam zła na asystentkę, która powinna mnie wprowadzić do gabinetu i przedstawić.

– Witam panią. Nareszcie możemy się poznać. – Wstał zza biurka z serdecznym uśmiechem i wycią-

gniętą ręką. Uścisk miał zdecydowany i mocny, a dłoń przyjemną w dotyku.

Wypowiedziane słowa powitania nie nosiły nawet śladu rosyjskiego akcentu. Aga wspominała, że Jurij doskonale mówi po polsku.

– Jestem Jurij Jewgieniejewicz Szaposznikow. Proszę, niech pani usiądzie.

Zajęliśmy miejsca przy stole konferencyjnym naprzeciw siebie.

– Czego się pani napije? Kawy?

– Poproszę rozpuszczalną, z mlekiem.

Po chwili stanęły przed nami dymiące filiżanki.

– Pani Michalino, jeśli wolno mi tak do pani mówić.

– Ależ proszę bardzo. – Posłałam mu uśmiech i upiłam łyk kawy.

– A więc, pani Michalino, spotkaliśmy się tu w kilku sprawach. Wiktor mówił mi, że od kilku miesięcy przygotowuje pani dla nas pewien projekt. Czy tak?

– Tak. – Czułam się jak uczennica u dyrektora na dywaniku.

– I udało się go skończyć? Termin, zdaje mi się, minął w piątek.

Nie spodobało mi się to.

– Tak, udało się skończyć. – Spojrzałam mu zimno w oczy i położyłam na stole teczkę z dokumentami.

– Oto on.

– Doskonale, doskonale. – Nawet nie spojrzał na materiały.

Zetknął dłonie czubkami palców i przyglądał mi się badawczo.

– Zajmie się tym pani Agnieszka. Kiedy skończymy, będzie pani mogła do niej pójść.

No coś takiego! Będę mogła do niej pójść! Koniec świata! Że też Wiktor na to pozwala!

– A tymczasem porozmawiamy o ewentualnej dalszej współpracy i zasadach, na jakich miałyoby to się odbywać.

Po takim wstępie nie miałam ochoty na dalszą współpracę. Nie żebym oczekiwała specjalnych względów, ale czułam się jak żebrak skomlący o wsparcie i to mi się nie podobało. Ale milczałam ciekawa, co mi zaproponuje.

– Otóż chciałbym, proszę mnie źle nie zrozumieć, aby moi pracownicy pracowali w biurze, a nie w domu.

Oho, jego pracownicy, akurat!

– Rozumiem pani sytuację i stan zdrowia, ale myślę, że już pora na całkowity powrót do pracy.

Nie mogłam patrzeć na jego uśmiech.

– Czy pan jest teraz głównym szefem? – Nie mogłam się powstrzymać od złośliwości. – Wiktor nic nie mówił, że sprzedał firmę w całości.

– Och, pani Michalino, po co ten sarkazm. – Jego spojrzenie stało się lodowate.

Miałam wrażenie, że za chwilę pokaże w uśmiechu wampirze kły.

– Wiktor przekazał mi wszelkie pełnomocnictwa, więc może pani uznać, że jestem głównym szefem.

Z kamienną twarzą dopiłam kawę.

– W takim razie nie jestem zainteresowana dalszą współpracą. – A jednak go zaskoczyłam. Nie zdążyłam upilnować wyrazu twarzy, a ja zdążyłam dostrzec rozczarowanie.

– Czy to pani ostateczna decyzja?

– Tak, ostateczna. – Wstałam. Patrzyłam na niego z góry.

– No cóż – wycedził. – W takim razie będziemy musieli zlikwidować pani stanowisko.

– No cóż – wycedziłam tak jak on. – W takim razie czekam u pani Idzik na wypowiedzenie. Myślę, że pana pracownicy – specjalnie to zaakcentowałam – sprawnie się z tym uwiną.

Zabrałam ze stołu teczkę ze swoim projektem i ruszyłam do wyjścia.

– Jeszcze jedno, jeśli wolno! – Wstał, ale nie wyszedł z za stołu.

Zatrzymałam się wyczekująco.

– Chciałbym wrócić do tematu kupna pani mieszkania. Mój ojciec rozmawiał już z panią na ten temat.

– Mieszkanie nie jest na sprzedaż. Mówiłam to już pana ojcu. Do widzenia.

Odwróciłam się i wyszłam. Niech to szlag!

Stałam przy biurku asystentki. Oderwała wzrok od monitora i spojrzała na mnie pytająco.

– Mam oddać dokumenty pani Agnieszce Idzik. Proszę ją zawiadomić, że jestem tutaj. Zgodnie

z nowymi zwyczajami nie będę błąkać się po korytarzu jak intruz.

Zaczerwieniła się nieco, ale zadzwoniła do Agi. Po chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich moja przyjaciółka. Skłoniła ku mnie oficjalnie głowę i podała mi rękę. No coś takiego! Posłusznie jej się odkłoniłam.

– Zapraszam. – Przepuściła mnie w drzwiach.

– Aga, cholera jasna! Co to jest? – Wykrztusiłam.

– Nowa moda – odpowiedziała z kamienną twarzą. – Coś taka wściekła? Rozmowa się nie powiodła?

– A daj spokój! Porażka na całej linii! Odchodzę!

– Super! Sama czy firma?

– Sama nie napiszę. Powiedział, że likwiduje moje stanowisko, więc odpowiedziałam, że wobec tego czekam u ciebie na wypowiedzenie.

– Cha, cha, cha! Ale go załatwiłaś! – chichotała cicho.

– Jak ty to wytrzymałaś?

– Ach, nie pytaj. Zmiany następowały małymi krokami, a ty wpadłaś od razu na głęboką wodę, stąd ten szok.

– Dobrze, że wypadły mi te badania. Poproszę profesora o zwolnienie, bo inaczej musiałabym przychodzić do pracy, a tego bym nie zniosła.

Rzuciłam się na fotel w gabinecie Agi i wyciągnęłam przed siebie nogi.

– Boże, gdzie się podziały nasze cudowne czasy!

– Wszystko kiedyś się kończy. Szczególnie to, co dobre – powiedziała Aga sentencjonalnie i wyciągnęła z biurka ptasie mleczko. – Na frasunek. – Poczęstowała mnie.

– Na frasunek to wódeczka. – Zjadłam od razu dwie kostki.

– No ba! Zaproponowałabym ci dziś wieczorem, ale trzeba odłożyć na po badaniach.

– I po porodzie. Mówiłaś mu już?

– No coś ty! Nikomu nie mówiłam. Nie ufam tu nikomu. Powiem mu w ostatniej chwili. – Zarechotałyśmy złośliwie. – No dobra, pokaż, co tam masz. Muszę zrobić protokół przyjęcia.

– Co?

Aga wzruszyła ramionami, a ja wzniosłam oczy do nieba.

Najbliższą godzinę zajęło nam omawianie przywiezionej przeze mnie pracy. Aga skrzętnie wszystko notowała.

– Wygląda to nieźle. Ciekawe, jak jaśnie pan się do tego odniesie.

– Prawdę mówiąc, mam to gdzieś.

Ktoś zapukał do drzwi i wszedł Wojtek.

– Cześć, Michasia! – Uściskał mnie serdecznie. – Jak ci się tutaj podoba?

– W gabinecie u Agi? – Udałam głupią. – Baaardzo!

Wojtek popukał się w głowę.

– A w firmie mi się nie podoba – dodałam.

– O, widzisz, tak lepiej. – Poczęstował się resztką ptasiego mleczka. – Ty, Aga, nie jedz tyle słodczy,

bo będziesz gruba.

– To nie ja, to Michasia.

– No beczelna jesteś, wiesz? – oburzyłam się.

– Wiem. Uczę się od mistrza Szaposznikowa. Jak twoja rozmowa? – zwróciła się do Wojtka.

– Chyba dobrze. W ciągu tygodnia mają się odezwać.

– Szukasz pracy? – Po tym, co zobaczyłam w firmie, nie powinnam być zaskoczona.

– A kto jej tu nie szuka? – parsknął. – Pora zmienić okręt.

– Szkoda firmy. Jesteś tu od początku.

– Tak jak ty. Ale nie zamierzam tracić zdrowia z powodu nadmiernego przywiązania. Pracować muszę, więc chciałbym chociaż przychodzić bez obrzydzenia. A to już jest tutaj niemożliwe.

Zadzwoił telefon.

– Kadry. – Aga do mnie mrugnęła. – Zapraszają cię.

– No, niech się stanie. – Wstałam, przeciągając się. – Wiekopomna chwila.

– Odchodzisz? – Wojtek nawet nie był specjalnie zdziwiony.

Kiwnęłam głową.

– Zaraz przyjdę. Aga ci przez ten czas opowie.

Zeszłam powoli do kadr. Halinka i Lidka, obie dobrze mi znane dziewczyny, były jakieś zastraszone.

Uciekały wzrokiem i mówiły cichutko.

– Zapoznaj się z treścią pisma. – Lidka położyła przede mną dokument i długopis.

– Na oko chyba okej. – Spojrzałam pytająco na Lidkę. Czy mi się zdawało, czy miała łzy w oczach?

Kiwnęła głową.

– Wszystko jest w porządku, możesz mi wierzyć – mruknęła i podała mi długopis. – Tylko Jurij chce, żebyś przychodziła do pracy. Nie chciał się zgodzić na zwolnienie z obowiązku świadczenia pracy.

– Nie szkodzi. Od jutra będę miała zwolnienie. – Uśmiechnęłam się pocieszająco do Lidki i złożyłam historyczny podpis.

Zerkając za siebie, zapytała cicho:

– A jak ty się czujesz? Coś nie w porządku, że będzie zwolnienie, czy strategia?

– Chyba w porządku. Jutro kładę się do szpitala na badania kontrolne. A potem poproszę profesora, żeby dał mi zwolnienie do końca wypowiedzenia. Więc raczej strategia.

– Mam nadzieję – szepnęła i uściśnęła mi rękę. – Będę trzymać za ciebie kciuki. Ja też chyba odejdę.

Dostałam propozycję i chyba z niej skorzystam, chociaż gorzej płacą. Ale spokój jest bezcenny.

– Tak zrób, Lideczko. Nie ma co się męczyć.

– Jeszcze zdążę dopilnować twoich spraw, więc o nic się nie martw.

– Kochana jesteś. Życzę ci szczęścia. – Uściśnęłam ją dyskretnie i wyszłam.

To już, pomyślałam. Szłam korytarzem ze spuszczoną głową. Trochę było mi żal. Wolałabym sama podjąć decyzję o rozstaniu, ale skoro tak musi być, to niech będzie. Dochodziła druga.

– Idziecie na lunch? – spytałam Agi i Wojtka. – Bo ja już chyba będę się zbierać, chociaż może powinnam zostać do końca dnia.

– U nas na lunch się nie chodzi – oznajmił z godnością Wojtek. – U nas się pracuje, a obiady jada po pracy.

– No nie mów! – Moje zdumienie sięgnęło szczytu. – W takim razie ja pochodzę z obiegówką i poudaję, że jednak robię coś pożytecznego. Jakoś zleci do końca dnia. Żeby jaśnie pan nie mógł mi nic zarzucić.

Zebranie podpisów na karcie obiegowej zajęło mi czas aż do pory wyjścia. Z każdym chwilę porozmawiałam, każdy ponarzekał, mówił o zazdrości, że odchodzę, i twierdził, że też by tak chciał. Było, jak

mówił Wojtek, niemal każdy szukał pracy, z różnym skutkiem, jak to zwykle bywa.

– Wymieni sobie załogę i będzie zadowolony. Nowych ułoży po swojemu – mówiłam do Agi w drodze do jej domu.

– Jeszcze żeby mu się udało klientów zatrzymać. Są bardzo niezadowoleni ze współpracy. Kilku już podziękowało. Ale mnie to już nie obchodzi. Od przyszłego tygodnia zamierzam zniknąć. Nie będę się z nim szarpać.

– Wiesz, pomyślałam, że to szansa dla nas.

– Co masz na myśli? – Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. – Czy to, co i ja?

– Jeśli myślisz o założeniu własnej firmy, konkurującej z firmą Szaposznikowa, to tak, to właśnie mam na myśli.

– To jest pomysł.

– Ja już niedługo będę wolna, a ty do mnie dołączysz później. Na razie możemy zaproponować swoje usługi na umowę o dzieło, jako wolni strzelcy, a potem powoli zbudować firmę od podstaw. Taką, jak zniszczył ten Jurij z błogosławieństwem Wiktora. Co ty na to?

– Jeszcze pytasz? Przecież to ja mam kontakty, nie on!

Wreszcie udało mi się wydostać ze Śródmieścia i jechałam trochę szybciej.

– Odwykłam już od takich korków – burknęłam zła, hamując i trąbiąc na jakiegoś cwaniaka, który zajechał mi drogę. – Kilka miesięcy i miasto robi się nieprzejezdne.

– Nie narzekaj. Było tak samo. Rozpuściłaś się na wiejskich autostradach. Patrz, tam masz miejsce!

Całe szczęście, że je wypatrzyła, bo krążyłabym pod jej domem jeszcze kilka godzin. Z ulgą zaparkowałam.

– Zostaw walizkę, Wojtek ci ją przyniesie. Co tam masz w tych siatach?

– Wiejski prowiant, mieszczechu.

Widziałam, jak rozbłysły jej oczy.

– Taki jak wtedy z targu?

– Podobny.

Teraz miałam zaprzyjaźnione gospodynie, od których kupiłam wiejskie jajka i prawdziwe masło domowego wyrobu.

– A ja mam w domu chlebek własnej produkcji – pochwaliła się. – Upiekłam specjalnie na twój przyjazd. Będzie wyzerka.

– Uwielbiam twoje pieczywo – ucieszyłam się.

– Takiego jeszcze nie jadłaś!

Przekomarzając się, weszłyśmy wreszcie na poddasze, gdzie mieszkała Aga. Z ulgą rzuciłam siatki w przedpokoju i usiadłam na pufie.

– A gdzie chłopcy?

– Dzisiaj nocują u kolegi. Wieczór mamy dla siebie.

Wieczór naprawdę miałyśmy dla siebie. Po kolacji Wojtek nas zostawił, bo był zajęty jakimś zleceniem. Po pierwszych plotkach zajęłyśmy się planowaniem naszej nowej firmy.

– Super! – nakręciła się Aga. – Teraz będę miała dużo czasu, to podzwonię po znajomych i zrobię rozpoznanie, czy będą chcieli z nami współpracować i na jakich zasadach. Dopytam też o formalności i pozwolenia. Uda nam się prawda?

– Pewnie, że się uda!

Nie miałam wątpliwości. To my stanowiłyśmy trzon firmy i to na naszej pracy opierał się sukces Wiktora. Zmęczone i rozradowane o północy poszłyśmy wreszcie spać. Wojtek nawet nie protestował, że Aga została ze mną. Jeszcze chwilę jak smarkule szeptałyśmy i chichotałyśmy w łóżku po ciemku, aż w końcu

zasnęłyśmy. Nawet nie zadzwoniłam do Waldka.

* * *

Rano zgodnie z planem pojechałam do szpitala. Po przedłużających się formalnościach wreszcie mogłam się rozpakować. Tym razem dostałam miejsce na sześciuosobowej sali. Wszystkie łóżka były zajęte.

– Dzień dobry! – Pielęgniarka, którą pamiętałam z ubiegłego roku, przywitała mnie serdecznie. – Mam nadzieję, że tylko na kontrolę. – Widocznie też mnie pamiętała.

– Na szczęście tak. – Uśmiechnęłam się radośnie. Po wieczorze z Agą nastawiona byłam optymistycznie.

– Zaraz sprawdzę w grafiku, co tam dla pani mamy.

Po chwili wróciła z gęsto zapisaną kartką.

– Dzisiaj po obiedzie rentgen, jutro rano krew do analizy, proszę być na czczo, a potem tomografia głowy. Śniadania jutro nie będzie. – Uśmiechnęła się. – Wytrzyma pani, pani Michalino?

– Wytrzymam!

Nic nie mogło zgasić mojej radości.

– Badanie neurologiczne jutro po obiedzie.

– Napięty harmonogram.

W sumie mnie to cieszyło, bo oznaczało, że szybciej wyjdę ze szpitala.

– Napięty – zgodziła się pielęgniarka i poszła.

Rozejrzałam się po sali – pięć kobiet przyglądało mi się mniej lub bardziej wrogo.

– Pani kogoś zna? – zapytała jedna z nich.

– Słucham? – Zaskoczyła mnie.

– Pytałam, czy pani kogoś zna – powtórzyła nieuprzejmie.

Zdenerwowała mnie.

– A pani? – odbiłam pytanie.

– Co ja? – Tym razem ja ją zaskoczyłam.

Reszta przyglądała nam się w milczeniu.

– Czy pani kogoś zna? – powtórzyłam najuprzejmiej i najbardziej jadowicie, jak potrafiłam.

– Phi! – prychnęła i odwróciła się do mnie plecami.

Postanowiłam ją zignorować. Babol wstrętny. Zabrałam telefon i wyszłam na korytarz, by zadzwonić do Waldka.

Popołudnie dłużyło mi się niemiłosiernie. Po prześwietleniu poczytałam książkę, ale nie mogłam się skupić. Założyłam ręce pod głowę i patrząc w sufit, snułam plany rozwoju naszej, mojej i Agi, niepowstałej jeszcze firmy. Trochę się zdrzemnęłam, a po kolacji wyszłam na spacer po szpitalnych korytarzach. Męczyła mnie wroga atmosfera w pokoju. Zatrzymałam się przy tym samym oknie co rok temu, kiedy czekałam na operację. Patrzyłam na panoramę dużego warszawskiego osiedla. Niebo było pochmurne, nie zapowiadało pięknej pogody na jutro.

Byłam spokojna. Miałam w sobie pewność, której brakowało mi rok temu. Wtedy paraliżował mnie strach przed tym, co mogło się stać, dzisiaj byłam silniejsza miłością swoich bliskich. Ileż przez ten rok się wydarzyło, pomyślałam. Ale to był dobry rok, mimo wszystko. Mimo śmierci Pawła i Elżuni.

– Witaj, Michalino – cichy głos wyrwał mnie z zamyślenia.

Obok stanął ksiądz Jan. Wysoki, szalenie przystojny, ale już nie ciemnowłosy. W gęstej czuprynie zauważyłam srebrne pasma. Jego oczy nadal przykuwały uwagę – inteligentne i życzliwe. Jakby stale się uśmiechał.

– Witaj, Janie. – Ucieszyłam się. – Dobrze cię widzieć.

– Czy rozwiązałaś swoje życiowe dylematy? Wyglądasz na szczęśliwą. – Patrzył na mnie, jakby o wszystkim wiedział.

– Jestem szczęśliwa. Dzięki tobie.

– Dzięki mnie? Ja nic nie zrobiłem.

– Skierowałaś mnie na właściwą ścieżkę. I za to ci dziękuję.

– Nie, Michalino. Sama wybrałaś tę ścieżkę. – Uśmiechał się do mnie ciepło. – Sobie podziękuj.

Dobro, które wyświadczyłaś, wróciło do ciebie w dwójnasób. To dar od Boga.

Milczałam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? – odezwałam się wreszcie.

– Pamiętam. Mówiłaś o kimś, kto odebrał ci uczucie ojca.

– To moja przyrodnia siostra. Wtedy ją poznałam.

– Opowiedz mi o niej.

Usiedliśmy na ławce pod ścianą. Sama nie wiem, kiedy wszystko mu opowiedziałam. Nie zadawał pytań. Nie zadawał ich, bo wszystko rozumiał. Ksiądz Jan to wyjątkowy człowiek.

– Proszę księdza! – Ciche wołanie przerwało naszą rozmowę. To jedna z pielęgniarek. – Proszę przyjść. Jest ksiądz pilnie potrzebny. Chory umiera.

Jan natychmiast się podniósł i ruszył za pielęgniarką. W połowie drogi zatrzymał się jednak i obejrzał.

– To jeszcze nie koniec, Michalino! – zawołał i odszedł.

Wróciłam zamyślona do sali. Rozmowa z Janem nastroiła mnie refleksyjnie, pomyślałam o Elżuni i jej rodzinie. W ferworze zmian w moim życiu o nich też zapomniałam. Ciekawa byłam, jak sobie radzą. Pojedziemy do nich z Agą, postanowiłam. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

Życie szpitalne powoli cichło. Nie wiem, kiedy zasnęłam. Obudziła mnie rano pielęgniarka. Zwlokłam się zaspana i poszłam do gabinetu zabiegowego. Pozwoliłam pobrać krew, nasiusiałam do pojemnika i położyłam się z powrotem do łóżka. Odwykłam od takiego wczesnego wstawania.

Moje niesympatyczne współlokatorki szeptały coś między sobą. Odwróciłam się do nich plecami i zasnęłam.

Znowu obudziła mnie pielęgniarka, a ja czułam się, jakby wyrwała mnie ze snu w środku nocy. Nie mogłam sobie przypomnieć, co mi się śniło, i to dręczyło mnie najbardziej.

Wieczorem, po badaniach byłam bardzo zmęczona i senna. Nie miałam nawet ochoty na rozmowę z Waldkiem. Napisałam SMS-a, że zadzwonię nazajutrz, i bez kolacji, na którą nie miałam apetytu, położyłam się spać.

Nie mogłam usnąć. Przewracałam się ciężko z boku na bok, było mi duszno i niewygodnie, zdawało mi się, że ktoś mnie woła, ale nie wiedziałam kto. Wreszcie, otumaniona, usiadłam na łóżku.

Musiła być głęboka noc, bo wszystkie panie w moim pokoju spały. Z korytarza nie dochodziły żadne odgłosy oprócz pochrapywań z sąsiednich sal, a z niezastłoniętego okna wdzierał się do sali mleczy blask księżyca, sprawiając, że wszystko wokół było tajemnicze i nierzeczywiste.

Dlaczego miałam wrażenie, że w pokoju unosi się zapach migdałów, a cienie po kątach poruszają się, jakby był tam ukryty człowiek?

Nerwowo napiłam się wody. Uspokój się, skarciłam sama siebie, wymyślasz niestworzone rzeczy.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła druga trzydzieści. Środek nocy. Leżałam z rękami pod głową i gapiłam się w ciemność. Jutro czekało mnie spotkanie z profesorem i – jak dobrze pójdzie – następną noc spędzę już u siebie w domu. Dobrze mi zrobi kilka dni w samotności, pomyślałam. Oderwę myśli od budowy i zajmę się sobą. Chciałam przemyśleć to i owo. W Szamocinach ciągle ktoś koło mnie był i wymagał uwagi, nie pozwalając skupić mi się na własnych sprawach.

Uświadomiłam sobie, że nie byłam sama ze sobą, odkąd odnalazłam Marcelinę. To już pół roku. Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie tamtych dni. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, jak ważna stanie się dla mnie Marcelina, wyśmiałabym go. Dziś życie bez niej było niemożliwe.

Usnęłam.

We śnie szłyśmy z Marceliną przez znajomy migdałowy sad, trzymając się za ręce. Wiał lekki wiatr i strącał z kwitnących drzew bladoliliowe płatki, które opadały na nas jak śnieg. Marcelina śmiała się radośnie z czegoś, a ja wciąż się za siebie oglądałam i nasłuchiwałam. Ktoś mnie wołał, ale nikogo nie widziałam. Bardzo chciałam się dowiedzieć kto to, więc stanęłam, ale Marcelina chciała iść dalej.

– Zaczekaj! – zawołałam do niej. – Muszę sprawdzić kto to.

Ale ona nie wypuszczała moich rąk, uwiesiła się mojego ramienia i chciała zatrzymać mnie przy sobie za wszelką cenę.

W końcu udało mi się wyrwać z jej uścisku i pobiec w stronę, z której przyszłyśmy i skąd – jak mi się wydawało – dobiegało wołanie.

Na skraju sadu, wysoki i wyniosły, z lekkim uśmiechem na ustach stał Michaesz. Na mój widok skłonił głowę i szedł z drogi, którą biegłam, gestem pokazując, żebym szła dalej. Posłuchałam go. Kiedy się obejrzałam, stał tam, gdzie go zostawiłam, i przyciskał do serca dłoń. Drugą uniósł w geście pożegnania. Zawahałam się przez chwilę, nie rozumiejąc, dlaczego zegna się ze mną, ale znowu miałam wrażenie, że ktoś mnie woła, więc ruszyłam dalej. Ale nie biegłam drogą, którą znałam. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Zaintrygowana popatrzyłam wokół. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Krajobraz był dziki, górzysty i zalesiony. W lesie, niedaleko ktoś śpiewał. Ruszyłam w stronę, skąd dochodziła dziwna, tęskna pieśń. Las gęstniał, a droga wiodąca łagodnie pod górę robiła się coraz bardziej kamienista.

Kiedy potknęłam się i upadłam, boleśnie uderzając się w kolano, sen nagle się skończył. Znowu byłam w szpitalu, który powoli budził się do życia odgłosami na korytarzu. Moje współlokatorki jeszcze spały, postanowiłam więc wykorzystać ten czas na poranną toaletę. Po cichu wyszłam do łazienki, ciągle jeszcze zaintrygowana snem, który właśnie przeżyłam.

Co mi chcesz przekazać, Michaeszu, myślałam, stojąc pod prysznicem. I skąd ten gest pożegnania? Dlaczego? Pamiętając o przeżyciach i snach sprzed roku, poczułam się zdezorientowana. Co nowego szykował mi los?

* * *

– Witaj, dziecinko. – Profesor tak samo jak przed rokiem, uśmiechał się dobrotliwie. Ale oczy miał zmęczone, a jego lwia czupryna jakby się przerzedziła i zżółkła. – Spotykamy się znowu. – Przeglądał na monitorze zdjęcia mojej głowy.

Patrzyłam na niego w napięciu. Czyżby coś było nie w porządku? Poczułam, jak serce zabiło mi mocniej.

Odwrócił wzrok od monitora i spojrzał na mnie. Przybyło mu zmarszczek wokół oczu, skonstatowałam.

– I jak się czujesz? – Złożył dłonie i splótł palce.

– Bardzo dobrze, panie profesorze. – Jednak nie byłam pewna, czy takiej odpowiedzi oczekiwał.

– I tak ma być, dziecinko! – Uśmiech rozjaśnił całą jego twarz. – Jesteś zupełnie zdrowa. Po przygodzie, jaka cię spotkała, nie ma ani śladu. Jestem bardzo zadowolony, bardzo!

Poczułam, jak wielka fala szczęścia zalewa każdy zakamarek mojego ciała. Jednak podświadomie bałam się, że coś będzie nie tak.

– Panie profesorze – odchrząknęłam – panie profesorze, bardzo panu dziękuję! Jestem taka szczę-

śliwa!

– Widzę, że jesteś szczęśliwa. – Filuternie przekrzywił głowę. – A dziękować nie ma za co.

Tak mówił, ale widziałam, że był zadowolony.

– Dzięki panu... – nie wiedziałam, jak wyrazić wdzięczność. – Dzięki panu... – znowu się zacięłam.

– Darował mi pan drugie życie!

Miałam świadomość, że plotę banały, że takich podziękowań to on pewnie słyszy dużo, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

– E tam, drugie życie. – Śmiał się rozanielony. – Tak źle to chyba z tobą nie było. Trzymałaś się mocno, chociaż rzeczywiście stałaś na krawędzi. Ale wróciłaś.

– I warto było. Odnalazłam siostrę i miłość swojego życia – powiedziałam to, zanim ugryzłam się w język.

Bo i cóż mogło go to wszystko obchodzić? Był zapracowanym człowiekiem i nie powinnam zajmować jego czasu takimi historiami. Ale, o dziwo, błękitne oczy zaszklily się niebezpiecznie i poczułam, że tym wyznaniem sprawiłam mu wielką radość.

– Ho, ho! Widzę wielkie zmiany! To dobrze, dziecinko, to bardzo dobrze. Ludzie powinni być szczęśliwi. A ty już jesteś szczęśliwa. – Podał mi swoją wizytówkę. – Na odwrocie masz mój prywatny numer telefonu i e-mail. Napisz do mnie czasami. Miło będzie staremu człowiekowi poczytać o twoim szczęściu. Jesteś dla mnie jak córka, której nigdy nie miałem.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Pożegnałam profesora, obiecawszy pisać do niego, i udałam się pakować walizkę. Wracałam do domu!

Tak bardzo pragnęłam już stąd wyjść, że do swoich i do Agi postanowiłam zadzwonić już z domu. Nie chciałam tu zostać ani minuty dłużej. Następną wizyta za rok!

Jednak zanim dojechałam do swojego mieszkania, zadzwonił Waldek.

– Michaś, wszystko w porządku? Stęskniłem się! – Słuchałam nieuważnie, bo musiałam lawirować między samochodami na zatłoczonej ulicy pod moim blokiem.

Śmieciara blokowała wjazd do garażu i połowę ulicy.

– Pewnie, że w porządku – zapewniłam go. – Dlaczego miałyby nie być?

Zatrąbiłam na volkswagena, który zajechał mi drogę.

– Bo jakoś dziwnie ze mną rozmawiasz, jak już zadzwonisz.

Jak już zadzwonisz? Co ten Waldek mówi.

– Jak to „dziwnie”? – zastanowiłam się. – Rozmawiam normalnie. Cholera jasna, no! – krzyknęłam, hamując ostro. Kolejny cwaniak wciskał się przede mnie. Odwykłam już od jazdy po tym mieście. – Walduś, przepraszam cię, oddzwonię dosłownie za chwilę, dobrze? – Rozłączyłam się, ledwie Waldek burknął swoje „dobrze”.

Wreszcie udało mi się wjechać do garażu. Szlag mnie trafił, kiedy zobaczyłam na swoim miejscu parkingowym wypasiony motocykl. Nooo, tego jeszcze nie było! Zostawiłam samochód, blokując dwa inne, i poszłam do pomieszczenia ochrony.

Przy biurku zastałam nieznanego mi ochroniarza, no ale w końcu nie było mnie tu od ponad trzech miesięcy. Poczte ze skrzynki co jakiś czas wyjmowała Aga.

– Słucham panią – mało przyjaźnie zapytał ochroniarz.

– Dzień dobry. – Moja uprzejmość była zjadliwa. – Chciałabym wiedzieć, kto parkuje na moim miejscu.

– Pani tu mieszka? – Obejrzał mnie od stóp do głów podejrzliwie.

– Jestem właścicielką miejsca parkingowego numer 39 – poinformowałam oschle. – Bezprawnie stoi na nim czyjś motocykl. Proszę o wyjaśnienie.

Położyłam na biurku kartę parkingową.

– Pani Michalina Szawłowska? – dopytywał jeszcze ochroniarz, sprawdzając coś w swoich rejestrach.

– Tak – potwierdziłam.

– Bardzo panią przepraszam, już zabieram motocykl. – Nagle stał się służalczo uprzejmy. – To ja tam parkuję. Proszę o wybaczenie. Miejsce było puste tyle czasu, a że ciągle mi coś kradną z motocykla, więc szef pozwolił stawiać na pani miejscu. Naprawdę bardzo przepraszam. Rysiu! – zawołał w głąb pomieszczenia. – Rysiu, zastąp mnie na chwilę, muszę motocykl zabrać!

– A co się stało? – W drzwiach stanęła znajoma twarz. – A dzień dobry, pani Michalino! Jak ja pani dawno nie widziałem!

– Dzień dobry, panie Rysiu. – Posłałam mu uprzejmy uśmiech. – Wpadłam na trochę.

– Pani się nie złości na Jacka. Miejsce stało puste, więc...

– Nie ma sprawy, nic się nie stało – uspokoiliam ich. – W przyszłym tygodniu miejsce znowu będzie puste, więc może pan z niego korzystać, kiedy potrzeba – zwróciłam się do ochroniarza Jacka. – Na razie jednak potrzebuję tego miejsca.

Motocykl rzeczywiście był piękny, nic dziwnego, że wzbudzał zainteresowanie.

Kiedy wsiadłam do windy, telefon znowu się rozdzwonił. Numeru nie znałam, więc nie odebrałam. W mieszkaniu panował zaduch długo niewietrzonych pokoi i – oczywiście – wszędzie zalegała gruba warstwa kurzu. Otworzyłam okna i usiadłam w kuchni, żeby zadzwonić do Waldka. Odebrał dopiero po piątym czy szóstym sygnale. Obraził się czy co?

– Waldek! – zawołałam. – Bardzo cię przepraszam, ale jechałam w megakorku i musiałam się skupić.

– Czy to znaczy, że już wyszłaś ze szpitala? Wszystko w porządku?

– Tak! W jak najlepszym porządku! – Piszczalam z radości. – Jestem zupełnie zdrowa! Następną kontrola za rok!

– Michaś, to wspaniała wiadomość! Martwiłem się, że jednak coś znajda.

– Też się martwiłam, przecież nigdy nic nie wiadomo – po raz pierwszy wypowiedziałam głośno swoje obawy. – Ale na szczęście niepotrzebnie. Spakowałam więc swoje zabawki i już jestem w domu. Zaraz jadę po zakupy i czekam na was! Okropnie się stęskniłam! – Czułam, że za chwilę eksploduję z radości.

– Nie jedź po te zakupy.

– Dlaczego? – zaniepokoiłam się. – Coś się stało?

– Nie przyjeździemy. Marcelina skręciła nogę w kostce i ma założony gips. Ojciec nie chce jej zostawić. Najlepiej zaraz do nas wracaj.

– Kiedy to się stało? I jak? – Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Marcelina była zwinna jak sarenka, a tu masz! Skręcona kostka?!

– Przedwczoraj. Zawiozłem ją na ostry dyżur do Płocka. Złamał się pod nią szczebel drabiny.

– Drabiny? Jakiej drabiny? I po co ona na nią wchodziła? – pytania zadałam jednym tchem.

– A, to długa historia. Sama ci opowie.

– Nie! – zaprotestowałam. – Ty mi opowiesz! I to natychmiast!

– Już, już! – Śmiał się. – Weszła na starą drabinę w waszym sadzie, bo na jabłoni siedział mały kotek i bał się zejść.

– Co? – zatkąło mnie.

– Drabina. Kotek. Dla mnie.

– Co ty mówisz? Co dla ciebie? – Niecierpliwiłam się coraz bardziej. Byłam zdenerwowana i nie docierały do mnie wszystkie informacje.

– Marcelina wymyśliła, że ten kotek ma być dla mnie. Nowy Pan Bronek – wyjaśniał cierpliwie Walddek. – Przyniosła go od kogoś ze wsi, żeby mi dać w prezencie, ale mały huncwot wymknął się za którymś robotnikiem i wszedł na drzewo. Resztę już znasz.

– No coś podobnego! – Roześmiałam się. – Fajny pomysł, tylko szkoda, że przytrafiło jej się to nieszczęście.

– I tak dobrze, że nie złamała nogi, chociaż mimo to ją bolało. Ale już jej lepiej. Więc wskakuj w samochód i przyjeżdżaj. Tęsknimy za tobą wszyscy. I ojciec chce ci coś powiedzieć. Kupił sobie telefon i miał do ciebie dzwonić.

– A to pewnie już to zrobił, bo ktoś dzwonił do mnie przed chwilą z nieznanego numeru. Zaraz do niego oddzwonię.

– A potem ruszasz do nas?

– No chyba tak. Ale może jednak pojedę po zakupy, co za różnica, tam czy tu. Przywiozę i będzie z głowy.

– Może masz rację. Tylko załatw to szybko.

– Postaram się – obiecałam.

Zabrałam się do pakowania letnich ubrań. Chciałam też zabrać parę osobistych drobiazgów. Powoli nadszedł czas na zamknięcie warszawskiego rozdziału.

Trochę żałowałam, że nie zostanę w Warszawie na te kilka dni. Planowałam rozeznaczyć się na rynku nieruchomości. Trzeba poważnie zająć się sprzedażą mieszkania. Nie ma sensu, żeby stało puste i generowało koszty.

– Ale Szaposhnikowowi nie sprzedam, żeby nie wiem co! – wykrzyknęłam w sypialni sama do siebie, przekładając do torby turystycznej część zawartości szafy. Zrobiłam do garażu dwa kursy z tobołkami. Skoro mam pusty samochód, to trzeba to wykorzystać.

Przed wyjściem zadzwoniłam do ojca – miałam nadzieję, że nieznanym numerem zapisany w pamięci telefonu należy do niego.

– Córeczko – powitał mnie ciepło. Wciąż nie mogłam przyzwycząić się do jego czułości. – Rozmawiałaś już może z Waldkiem?

– Tak, tato, rozmawiałam. Już wiem wszystko. Jak ona się czuje?

– Już dobrze, kochanie. Noga prawie nie boli, powoli kuśtyka po mieszkaniu, chociaż proszę, żeby się oszczędzała. Jeszcze, nie daj Boże, przewróci się i uszkodzi drugą nogę albo rękę. Już wystarczy kłopotów!

Zgadzałam się z nim całkowicie. Już dosyć kłopotów.

– Niedługo u was będę. Zrobię tylko zakupy i wracam.

– Dobrze, córeczko. Trochę szkoda, że nie udała nam się wyprawa.

– No szkoda, tato, ale trudno. Pojedziemy kiedy indziej. Nic nas nie goni. No, może trochę pan Jurek, ale on zrozumie. Znajdzie sobie coś innego do roboty.

– Masz rację, córeczko. To... jedź ostrożnie – zawiesił głos.

– Tak, tato?

Chyba chciał mi coś powiedzieć.

– Nie, nic. Nic ważnego.

Jakoś mu nie uwierzyłam.

– Powiem ci, jak przyjedziesz.

Nie cierpiałam tego. Najpierw zaczyna mówić, zaciekawi człowieka, a potem się wycofuje. W myśli policzyłam do dziesięciu. Nie dam się sprowokować i nic nie powiem. Wytrzymam, za dwie godziny i tak się dowiem.

Trochę było mi przykro, że nawet nie zapytał, czy ze mną wszystko w porządku.

Aga namawiała mnie, żebym została na weekend u niej.

– Jeszcze się z tobą nie nagadałam. Przyjedź, oni sobie bez ciebie jakoś poradzą. Waldek też nie umrze z tęsknoty, no – przekonywała mnie.

– Nie mogę, Aguś, obiecałam, że dziś przyjadę. – Nie chciałam się przyznać, że to ja umierałam z tęsknoty. – Ale za to ty możesz do nas przyjechać.

– Michaś, a chłopcy?

Wiedziałam, że to powie.

– Już niedługo wakacje. Wyekspedujesz ich i przyjedziesz. Pooddychasz świeżym powietrzem, odpoczniesz. Co ty na to?

– Nie kuś, kusicielko. – Śmiała się radośnie. – Bo przyjadę!

– Zaopiekuję się tobą.

Pomyślałam, że ostatnio przybywa mi osób do opieki.

Droga do Wyszogrodu, niestety, była zatłoczona. Piątek i piękna pogoda pod koniec maja sprzyjały wyjazdom na łono natury. Z radością pożegnałam stolicę i upajałam się zielenią mijanych po drodze drzew i lasów. Jakie to szczęście, że miałam swój własny kawałek ziemi, i to z dala od zgiełku i kurzu wielkiego miasta.

Dom zastałam pusty. Na stole w kuchni leżała kartka: „Jesteśmy w Szamocinach, przyjedź”. Jakby nie mogli zadzwonić albo przysłać SMS-a, uśmiechnęłam się pod nosem, chowając kartkę do kieszeni. Wniosłam bagaże do domu, wypełniłam zakupami lodówkę i pojechałam.

Zwolniłam w lesie, gdy drogę przebiegła mi sarna. Zaświeciła białym zadem, obejrzała się i dała nura między drzewa. Zachwyciła mnie wdziękiem, z jakim przechyliła smukłą szyję, i spojrzeniem wilgotnych oczu. Zatrzymałam się na chwilę w naturalnej zatoczce tuż przy szosie i otworzyłam okna. Natychmiast cisza lasu rozkrzyczana tysiącem ptasich gardeł, wdarła się do wnętrza samochodu. Zdawało mi się, że jestem poza rzeczywistością. Bzyczały pszczoły, niestrudzenie poszukujące leśnego nektaru, trzaskały gałązki łamane nogami leśnych stworzeń. Słuchałam tych odgłosów z zamkniętymi oczami i głową opartą o zagłówek. Czułam, jak spływa na mnie spokój i rozluźnia wszystkie mięśnie.

Ocknęłam się z zamyślenia, bo wydawało mi się, że ktoś patrzy na mnie spomiędzy drzew. Rozejrzałam się bacznie i spostrzegłam zająca przycupniętego w krzakach paproci. Rzeczywiście, obserwował mnie czujnie i czmychnął natychmiast, gdy się poruszyłam. Parsknęłam cichym śmiechem i włączyłam silnik. Czas jechać.

Spotkanie z naturą napełniło mnie łagodnym spokojem, który utraciłam podczas krótkiego pobytu w mieście. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam rozstrojona. Do Szamocin zajechałam z fasonem, trąbiąc na powitanie Marceliny, która siedziała na starym fotelu wystawionym przed dom. Nogę w gipsie trzymała opartą na koślawym drewnianym stołku. Coś rysowała, ale na mój widok odłożyła notes i zaczęła gwałtownie machać ręką.

– Jak tam, kulasku? – Pochyliłam się nad nią i ucałowałam serdecznie. – Gdzie reszta?

– Już dobrze, nic nie boli, tylko gips przeszkadza. Nie wiem, jak wytrzymam dwa tygodnie. Waldek jest w sadzie i pije piwo z panem Jurkiem, tata jest w pokoju, a reszta pojechała do swoich domów – relacjonowała.

Waldek pije piwo? Uniosłam brwi ze zdziwienia.

– Nie zimno ci? – Pogłaskałam Marcelinę po głowie. Znowu wydała mi się krucha i bezbronna.

– Nie – pokręciła przecząco głową.

Za węgła niebieskiego domu wyszedł mały rudy kotek i patrząc na mnie nieufnie, wskoczył Marcelinie na kolana. Skurczył się przerażony, gdy wyciągnęłam rękę, żeby go pogłaskać.

– Nie bój się. – Dotknęłam aksamitnego futerka. – Nic ci nie zrobię. Chociaż może powinnam, bo to chyba ty jesteś sprawcą tego zamieszania, co?

Kociak w końcu wygiął grzbiet pod pieszczotą mojej dłoni i zamruczał głośno. Wzięłam go na ręce i przytuliłam. Zamruczał jeszcze głośniej.

– Masz wmontowaną pozytywkę?

Spojrzałam w niebieskie oczy kota. Zmrużył je, jakby rozumiał, co do niego mówię, i spokojnie mruczał dalej.

– No jesteś wreszcie! – zawołał Waldek na mój widok. – Jak ci się podoba mój kotek?

Był rozbawiony i lekko wstawiony. Obaj z panem Jurkiem siedzieli na deskach, na których nie tak dawno rozmawiałam z Agą. Obok stała bateria pustych butelek po piwie.

– Nieźle wam idzie. – Oddałam Waldkowi kociaka, bo wręcz wrywał się do niego. Mały wredziuch natychmiast zaczął się przytulać i jeszcze głośniej mruzczeć. – Widzę, że już cię zawojował.

– Pani Michalinko, zapraszamy! – Pan Jurek już mi robił miejsce. – Wspominamy z Waldkiem stare czasy. I buteleczka też się znajdzie. – Wydobył spomiędzy desek kolejne piwo.

– Dziękuję, panie Jurku, ale mnie nie wolno pić. – Uśmiechnęłam się do niego. – Pójdę do ojca, bo chyba ma mi coś do powiedzenia, a nie chciał przez telefon.

– Później rozpalimy grill. Przywiozłem kiełbaski i mięso.

– Super – ucieszyłam się. – To nie przeszkadzam.

Wróciłam na podwórko.

– Co rysujesz? – Pochyliłam się nad Marceliną.

– Trochę mi się nudzi, więc szkicuję plan podwórka. Ale pokażę ci, jak skończę. Idź do taty.

Czyżby Marcelina coś wiedziała? Ruszyłam do domu.

Ojciec siedział przy stole w kuchni. Był jakiś przygnębiony.

– Co się dzieje, tato? – zaniepokoiłam się. – Źle się czujesz?

– Nie, nie! Skądże! – Zaprzeczył, ale oczy miał zgaszone.

– Tato, przecież widzę, że coś jest nie tak! – zdenerwowałam się. – Mów natychmiast, o co chodzi! – zażądałam.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – certował się.

– Tato! Po prostu powiedz! Trzymasz mnie w niepewności tyle godzin i jeszcze teraz przedłużasz. Denerwuje mnie to!

– Tylko się nie denerwuj, córeczko! Naprawdę nic się nie stało. W każdym razie nic wielkiego.

– Bardzo mnie pocieszyłeś tym, że nic wielkiego. Dowiem się wreszcie? – prawie krzyknęłam, kiedy milczał zbyt długo.

– Już, już. Tylko coś przyniosę.

Patrzyłam, jak idzie do naszego pokoju i po chwili wraca, trzymając w ręku paczkę starych listów opasanych zwykłym sznurkiem. Bez słowa położył je przede mną.

– To do ciebie – powiedział cicho.

Patrzyłam na niego, nic nie rozumiejąc. Potem spojrzałam na listy – były w starych kopertach, niegdyś niebieskich, a teraz poszarzałych z upływu czasu. „Michasia Piotrowska” – przeczytałam na pierwszej z nich adres napisany nieznanym mi charakterem pisma. Litery były pochyłe i lekko szpiczaste.

– Co to jest? – zdumiałam się. – Skąd się to wzięło?

Sięgnęłam po paczkę, rozwiązałam sznurek i zaczęłam przeglądać koperty. Wszystkie jednakowe, tylko charakter pisma nieco się zmieniał, nie wszędzie był tak staranny, jak na początku. Najdziwniejsze jednak było to, że żaden list nie był otwarty. Przyjrzałam się znaczkom i stemplom pocztowym, ale były tak wyblakłe, że nie byłam w stanie odczytać napisu. Odwróciłam jedną z kopert w poszukiwaniu nazwi-

ska nadawcy. Ludmiła Piotrowska.

Więcej nie byłam w stanie przeczytać, bo zrobiło mi się słabo. Poczułam, jak krew odpływa mi z głowy i z kończyn, i brakuje mi tchu. Zadrżały mi ręce i koperty rozsypały się po podłodze szaroniebieskim wachlarzem.

– Tato, co to jest? Skąd to masz? – zapytałam słabo. W chaosie myśli podejrzewałam, że ojciec przywiózł te listy ze sobą.

– Znalazłem – szepnął.

– Jak to znalazłeś? Gdzie? – Nie mogłam zebrać galopujących myśli.

– W rzeczach ze strychu. W takiej starej rozpadającej się komodzie. Marcysia chciała ją opróżnić, żeby oddać do renowacji. A że sama nie mogła, więc zrobiłem to za nią. No i znalazłem.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Schyliłam się i zaczęłam zbierać te nieszczęsne listy.

– Ale skąd one się tam wzięły? – drażylałam.

– Michasiu, nie wiem, naprawdę. Wygląda na to, że babcia ukryła je tam przed tobą.

– Babcia? – Moje zdumienie sięgnęło szczytu. To niemożliwe! Moja babunia? Ukryła przede mną listy od mojej matki? Dlaczego?

Patrzyłam bezradnie to na ojca, to na paczuszkę listów na stole.

– Tato – szepnęłam i lzy pociekły mi po policzkach.

– Nie płacz, kochanie, bo mi serce pęknie. Sam jestem zaskoczony. To jakby wiadomość z zaświatów, nie uważasz?

– Z zaświatów? – Znowu wszystkiemu się dziwiłam. – No tak, masz rację. Ale dlaczego? – dodałam po chwili.

– Nie mam pojęcia. Babcia nigdy nie wybaczyła Ludzi, że ciebie porzuciła. Uważała, że miejsce matki jest przy dziecku, bez względu na wszystko. Całe życie miała do mnie o to pretensje, mówiła, że to moja wina.

Ludzia. Po raz pierwszy w życiu usłyszałam od ojca imię mojej matki. I wymówił je tak miękko, ciepło, aż mnie zakłuło w sercu. Nabrało znaczenia. Do tej pory, gdy wpisywałam je w różne kwestionariusze, było dla mnie tylko zlepkiem nic nieznaczących liter.

Spojrzałam na niego zamyślona. Teraz, gdy znałam historię Marceliny, musiałam przyznać babci rację – to była wina ojca. To przez niego moja mama odeszła. Zranił ją śmiertelnie. Widocznie jednak nie chciała tracić ze mną kontaktu i pisała do mnie listy w nadziei, że ktoś mi je przeczyta. Babcia najpewniej. Na to chyba liczyła, wiedziała, że jestem u babci, bo koperty adresowane były do Szamocin. Ale babcia skutecznie ukrywała przede mną te listy przez wiele lat, powodując, że wymazałam własną matkę ze swojego życia.

Jak mogłaś, babciu? Wszystko we mnie wyło i płakało. Najbardziej kochana przeze mnie osoba tak bardzo mnie zawiodła.

– Dlaczego ich nie zniszczyła? – Obracałam w palcach koperty.

– Nie wiem. Może nie umiała ci wytłumaczyć, dlaczego nie ma jej przy tobie? Trudno jest wytłumaczyć dziecku takie sprawy.

– Dziecku tak. Ale przecież mogła to zrobić później, gdy już byłam dorosła. – Czułam, jak rozlewa się po mnie żal.

– Pewnie nie potrafiła. Albo nie zdążyła. Nie, nie chcę jej tłumaczyć! – zawołał, widząc moją minę. – Ale gdyby chciała, żebyś ich nigdy nie przeczytała, toby je spaliła. Może liczyła, że trafią do twoich rąk po jej śmierci. I że jej wybaczysz.

Czy potrafiłam wybaczyć babci to, co zrobiła? W tej chwili na pewno nie. Byłam zdruzgotana.

Schowałam listy do torebki.

– Chodźmy do Marceliny – powiedziałam beznamiętnie.

– Nie przeczytasz ich? – Był zdziwiony.

– Przeczytam, tato. Ale nie teraz. Może za chwilę.

Wyszedł za mną na podwórko. Robiło się chłodno. Z sadu szedł ku mnie Waldek, a za nim podążał pan Jurek.

– Już wiesz?

Kiwnęłam głową. Nie mogłam mówić, bo emocje ścisnęły mi gardło. Przytulił mnie mocno i byłam mu za to wdzięczna.

– To co z tym grillem? – Po chwili odzyskałam głos. – Nie za chłodno?

– No, bardzo się ochłodziło. Za długo zwlekaliśmy. A co myślicie? – zwrócił się do Marceliny i ojca.

– Ja bym w domu zrobił kolację – wyraził swoje zdanie ojciec. – Jeszcze się poprzecięgiamy. – Popatrzył w niebo. – I chmurzy się. Jutro pewnie będzie padać.

– Tak, chodźmy do domu – zawtórowała mu Marcelina. – Trochę mi już zimno, wiatr się zerwał.

Było mi obojętne, co zdecydują. Zdawało mi się, że jestem poza czasem. Stoję obok nich, a jednak jestem gdzieś daleko. Uśmiechałam się obojętnie i wszystkim przytakiwałam. Moje myśli były przy paczuszcze listów.

W domu włączyłam się w przygotowania do kolacji. Milcząc, nakryłam stół i kroiłam chleb. Mój nastrój chyba się wszystkim udzielił, bo rozmawiali cicho. Waldek opiekał kiełbaski i karkówkę z ziołami. Pachniało w całej kuchni. Poczulałam ssanie w żołądku. Od tyłu godzin nic nie jadłam. Sięgnęłam po suchą kromkę chleba i żułam ją powoli.

Cały czas myślałam o listach w torebce.

Listach od mojej matki.

Za oknem wiał coraz silniejszy wiatr. W kuchni było przytulnie i ciepło. Ciekawa byłam, czy robotnicy wszystko odpowiednio zabezpieczyli. Widziałam, że wstawili już wszystkie okna i drzwi wejściowe. Część budynku opleciona była rusztowaniami. Bardzo podgonili prace podczas mojej nieobecności. Ale jakoś nie potrafiłam myśleć o tym z radością. Myśleć o tym w ogóle. Głowę miałam zajęta paczką listów schowanych w mojej torebce. Listów od mojej matki. Wołały mnie.

– Nocujemy tutaj czy wracamy? – zapytałam Waldka.

– Wracamy – odpowiedział. – Jurek zostaje. Ma do niego syn przyjechać, żeby nie był sam.

Kiwnęłam głową. To dobrze. Z trudem pomieścilibyśmy się w jednym pokoju, bo pozostałą część niebieskiego domu zajmowała ekipa pana Jurka. Dla mnie i dla Marceliny to by wystarczyło, ale z Waldkiem i ojcem było to raczej niemożliwe.

– To jedźmy już – szepnęłam.

Kolacja była skończona.

– Za chwilę. Tylko posprzątam. Siedź, ja pozmywam.

Osadził mnie na ławce szeptem, bo zaczęłam się podnosić. Chciałam jak najszybciej zostać sama i otworzyć szaroniebieskie koperty. Teraz, kiedy już je miałam i oswoiłam z tym myśli, chciałam to zrobić jak najszybciej. Już dosyć czekały.

Uśmiechałam się drętwo do Marceliny i ojca, udając, że uczestniczę w rozmowie. Chyba się zorientowali, że tak naprawdę ich nie słucham, bo po chwili zamilkli i w kuchni zapadła niezręczna cisza. Na szczęście Waldek skończył sprzątać.

Samochód Waldka został w Szamocinach. Wracaliśmy moim autem. Po drodze, przy sklepie, minęliśmy się chyba z samochodem syna pana Jurka. To dobrze, bo był trochę markotny, gdy odjeżdżaliśmy.

W milczeniu przyjechaliśmy do Wyszogrodu. Pomogłam Marcelinie wejść na piętro i zostawiłam ją w sypialni gotową do spania. Ojciec pokręcił się trochę po kuchni i w końcu zniknął w swoim pokoju.

Czekałam, aż Waldek też sobie pójdzie, ale on, jak na złość, wciąż znajdował sobie coś do zrobienia.

W końcu zapytał:

– Może chcesz pogadać?

Pokręciłam przecząco głową.

– Wolisz zostać sama?

Przytaknęłam.

Kucnął przy krześle, na którym siedziałam, i objął mnie w pasie.

– Michaś, pamiętaj, jestem tu obok. Jestem z tobą. Zawołaj, jakby co.

Pokiwałam głową. Uścisnął mnie i z ociąganiem wyszedł.

Zostałam sama. W domu panowała cisza. Tylko zegar w przedpokoju głośno tykał. Powoli wyjęłam z torebki paczuszkę listów i położyłam na stole. Przyglądałam im się, jakby za chwilę miały ożyć i przemówić ludzkim głosem. „Wiadomość z zaświatów”, powiedział ojciec. Czy moja matka jeszcze żyje?

Sięgnęłam po pierwszy list i pilniczkiem do paznokci rozcięłam kopertę. Ze środka wypadła jedna kartka zapisana gęsto i ozdobiona rysunkami kaczuśzek i kolorowych kwiatków. Na dole widniał szlaczek z czerwonych serduszek.

Ze zdenerwowania litery skakały mi przed oczami, nie pozwalając odczytać treści. Zacisnęłam mocno powieki i po chwili znowu je otworzyłam. Musiałam się uspokoić. Wzięłam na kolana kociaka Waldka, bo od dłuższej chwili ocierał się o moje nogi. Zwinięty w kłębek pomrukiwał przyjaźnie. Głaskałam jego delikatne rude futerko i czułam napływający spokój. Zaczęłam czytać.

Córeczko moja kochana,

mam nadzieję, że babunia przeczyta ci ten list, bo przecież jesteś jeszcze za malutka, żeby sama to zrobić.

Okropnie za tobą tęsknię. Chociaż jestem tak daleko, to zawsze o tobie myślę, moja kochana, malutka dziewczynko. Jestem z tobą, kiedy kładziesz się do łóżeczka i ściskasz w rączkach swojego misia. W myślach przytulam cię mocno i opowiadam bajki na dobranoc. Kiedy zasypiasz, śpiewam ci, jak dawniej, twoje ulubione kołysanki. Tak bardzo żałuję, że nie ma mnie przy tobie, ale wierzę, że babunia zapewni ci najlepszą opiekę i nie dzieje ci się krzywda. Moje serduszko jest zawsze przy twoim serduszku. Kiedy będzie ci smutno, popatrz na szlaczek, który dla ciebie narysowałam.

Kocham cię bardzo, córeńko moja jedyna.

Mama Cóż można było więcej napisać do czteroletniego dziecka, które nie potrafiło jeszcze samo czytać?

Płacząc, otwierałam list za listem. W każdym zapewnienia o tęsknocie i matczynej miłości.

Michasiu moja najdroższa,

smutno mi, że nie piszesz do mnie ani słowa. Jesteś już dużą dziewczynką i na pewno potrafisz pisać. Tyle lat już minęło i ani słowa od ciebie nie dostałam. Kocham cię bardzo i bardzo tęsknię. Codziennie wieczorem, gdy jest ładna pogoda i na niebie są gwiazdki, staję na podwórku i patrzę na jedną z nich, taką specjalnie wybraną. Myślę sobie, że i ty patrzysz na tę samą gwiazdkę i w ten sposób możemy się połączyć. Posyłam ci wszystkie moje myśli, kwiatuszku mój jedyny. Tylko dla ciebie żyję, choć jestem od ciebie tak daleko.

Mama

Oczy miałam zapuchnięte od płaczu. Większość listów już przeczytałam. W każdym wyrazy miłości

i wielka tęsknota. Matka nie wiedziała, że nigdy nie dostałam tych listów. Pewnie myślała, że nie chcę do niej pisać dotknięta tym, że mnie porzuciła. Och, babuniu, co ty nam zrobiłaś?

Mama pisała regularnie, raz w miesiącu jeden list. Opisywała swoje życie, jak bardzo jest jej ciężko i smutno. Dowiedziałam się, że gdzieś w Polsce istnieje moja druga babcia. Mam też wujka i cioteczne rodzeństwo. Ale chyba czuła się tam samotna, mimo bliskich wokół, bo pisała o ogromnej tęsknocie. W słowach skierowanych do małej dziewczynki było tyle bólu, że nie mogłam go znieść jako dorosła kobieta. Gdzie jesteś, mamo?

Adres nic mi nie mówił. Nazwa jakiejś obcej, nieznannej wsi. Muszę sprawdzić w Internecie.

Zrobiłam sobie kawę i zabrałam się do dalszego czytania. Minęła pierwsza w nocy.

Listy były coraz bardziej chaotyczne i pisane coraz niechlujniej. Daty, które mama umieszczała bardzo sumiennie, wskazywały, że pisała coraz rzadziej. Jeden list na kwartał. Chyba straciła nadzieję na kontakt ze mną. Żyła ze świadomością odrzucenia przez ukochaną córkę. Gdyby tylko wiedziała, że córka żyła w przekonaniu o odrzuceniu przez własną matkę...

Michasiu, kochana moja,

dzisiaj Wigilia Bożego Narodzenia. Kolejne święta, których nie możemy spędzić razem. Tak mi dzisiaj smutno. Nie wiem, co się z tobą dzieje ani jak sobie radzisz. Źle mi z myślą, że do mnie nie piszesz. Od tylu lat ani słowa. Nawet kartki z życzeniami.

Ogromnie za tobą tęsknię. W moim sercu nic się nie zmieniło – jesteś dla mnie najważniejsza. Gdybym tylko mogła, na pewno byłabym z tobą.

Kocham cię, Michasiu najdroższa.

Mama

Spojrzałam na datę w prawym górnym rogu kartki – studiowałam już wtedy w Warszawie. To ostatnia zima babci w Szamocinach. Ciekawe, czy później, po śmierci babci, też przychodziły listy? Tego już się nie dowiem.

Leżała przede mną pokaźna kupka listów od matki. W niektóre z nich wkładała małego formatu zdjęcia. Patrzyłam teraz na nie. Jedno z nich było fotografią mojej mamy, pozostałe, grupowe, dosyć niewyraźne, przedstawiały chyba moją nieznaną rodzinę.

Przyglądałam się smutnej kobiecie na zdjęciu. Ciemnowłosa i ciemnooka, z lekko wschodnią urodą, przykuwała uwagę wyrazem oczu i gorzkim wygięciem ust. Włosy gładko zaczesane do tyłu, chyba spięte w kok. Moja mama. Przesunęłam palcem po zdjęciu.

– Słyszysz mnie? – zapytałam szeptem. – Czujesz, że przeczytałam twoje listy?

Wpatrywałam się intensywnie w jej niemal niezauważalnie skośne oczy. Wydało mi się nawet, że do mnie mrugnęła. Wrażenie było tak silne, że aż drgnęłam. To pewnie ze zmęczenia, pomyślałam. Minęła trzecia. Pora spać. Ale nie byłam senna. Nie ruszyłam się z krzesła.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam. Kotek spał na moich kolanach i grzał przyjemnie. Zamknęłam oczy i oparłam głowę o ścianę.

Musiałam przysnąć, bo obudził mnie czyjś dotyk.

– Michasiu – to ojciec szeptał. – Michasiu, połóż się, dziecko, nie siedź tak.

Stał przede mną w szlafroku. Nie wyglądał, jakby spał chociaż minutę. Poszarzały i zmęczony patrzył na mnie z troską.

– W porządku, tato, nic się nie dzieje.

– Widzę co innego.

Usiadł ciężko naprzeciwko mnie. Patrzyłam na niego i powstrzymywałam łzy, mrugając szybko. Na

próżno. Popłynęły, kapiąc na kotka. Wyrwany ze snu spojrział na mnie zdziwiony, ale nie uciekł, tylko zaczął się łąsić, ocierając główkę o mój podbródek. Przytuliłam maleństwo. Jego pieszczota uspokajała mnie powoli.

Ojciec wyjął mi z ręki zdjęcie mamy.

– Była naprawdę bardzo piękna. Najładniejsza dziewczyna na roku. Wszyscy się za nią uganiali. Nie zmieniła się wiele – dodał po chwili.

– Widziałeś się z nią kiedykolwiek jeszcze?

– Nie. Od tamtej pory nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

– Nie wiesz, dokąd uciekła?

– Nie powiedziała. Domyślałem się, że wróciła w swoje rodzinne strony, ale pewności nie miałem.

Kiwnęłam głową, podając mu zdjęcie z rodziną.

– A gdzie to jest?

– Gdzieś w Bieszczadach. Nigdy tam z nią nie pojechałem. Miała do mnie o to żal.

Milczeliśmy oboje, patrząc na siebie smutno.

– Ach, Michaś, jaki ja byłem głupi, jaki głupi! Dopiero teraz, u schyłku życia to widzę. – Zapatrzył się w szarzącą ciemność za oknem.

Co miałam mu odpowiedzieć? Sam znał najlepiej motywy swojej decyzji.

W ciszy przedświt usłyszałam chrapanie Waldka z sypialni. Zrobiło mi się cieplej w sercu na myśl, że on tam na mnie czeka i niedługo będę mogła wtulić się w jego plecy i wreszcie poczuć bezpiecznie. Uśmiechnęłam się lekko do siebie.

– Kochałeś ją?

Moje pytanie zaskoczyło ojca. Pochylił głowę i nie patrzył mi w oczy.

– Wtedy wydawało mi się, że tak. Gdy ode mnie odeszła, nienawidziłem jej. Ale dzisiaj myślę, że na swój sposób ją kochałem. Nigdy o niej nie zapomniałem – zamilkł.

Po chwili wstał i nalał wody do czajnika. Przyglądałam mu się ukradkiem, kiedy nie widział, że patrzę. Nie mogłam dostrzec w tym starym, przygarbionym człowieku przystojnego mężczyzny sprzed lat, takiego jak zapamiętałam.

Postawił przede mną wielki kubek herbaty i za to byłam mu wdzięczna. Sobie zrobił kawę. Zapachniało w całej kuchni.

– No co ci mam powiedzieć, Michasiu? – zapytał zgnębiony.

– Nie wiem, tato.

Grzałam ręce o kubek z herbatą. Kotek w końcu zeskoczył mi z kolan i powędrował chyba do sypialni, do Waldka.

– Kiedy poznałem Ludmiłę, byłem wciąż zakochany w matce Marceliny. Nie mogłem sobie dać rady z tym uczuciem. Było silniejsze ode mnie. – Drżały mu ręce. Usiłował to ukryć przede mną, ale i tak widziałam, bo kawa w kubku falowała.

Nie chciałam mu ułatwiać tej opowieści. Cierpliwie czekałam na dalsze słowa.

– Jak już ci mówiłem, była najładniejszą dziewczyną na roku. Wszyscy chłopcy się za nią uganiali. Nie tylko z naszego rocznika. Z wyższych też. I profesorowie patrzyli na nią z zainteresowaniem. Zwracała uwagę urodą. Smukła, czarnowłosa i czarnooka. Włosy miała gęste i długie. Splotała je w taki fantazyjny warkocz i wplatała różnokolorowe wstążki i kwiatki. Prawdziwa ukraińska uroda. Jak Sienkiewiczowska Helena Kurcewiczówna. Tak ją też nazywali. Twoja matka była w połowie Ukrainką, wiesz?

Nie wiedziałam.

– Jej matka, a twoja babcia, z domu Suchodolska, popełniła straszny mezalians. Pochodziła z drobnej szlachty, a wyszła za miejscowego chłopca, Makaruka. Ponoć zakochana w nim była po uszy i nie chciała

słuchać rodziny. Wyrzekli się jej, a jakże. Ale później ten mezalians uratował ich w pożodze wojennej i powojennych zmianach ustrojowych. Dzięki temu przetrwali. Nawet udało im się wyjść bez szwanku z porachunków między Polakami i Ukraińcami. Nikt nie zginął, nikt nie ucierpiał. Brat Ludmiły, Mikołaj, został zagorzałym komunistą, działaczem partyjnym. Bardzo ułatwił Ludmile przyjęcie na uczelnię w Warszawie, załatwił akademik. Uczyła się dobrze, nawet bardzo dobrze. Była bardzo zdolna. Nie zwracała uwagi na adoratorów wpatrzonych w nią jak w obraz. Nie była nimi zainteresowana. Zakochała się we mnie. I wszędzie za mną chodziła. Zawsze widziałem ją gdzieś obok siebie. Wpatrzone we mnie z uwielbieniem piękne, czarne oczy. Koledzy mi zazdrościli, bo chyba każdy dostał od Ludmiły kosza. Najpierw nie zwracałem na to uwagi. Myślałem – przejdzie jej. Moje myśli i serce były przy Mariannie pozostawionej na wsi. Jak ci już mówiłem, nie potrafiłem poradzić sobie z tym uczuciem. Kochaliśmy się szalenie, chociaż nie było nam wolno. Ale co mogliśmy na to poradzić, gdy miłość nami rządziła? Oboje wiedzieliśmy, że to owoc zakazany, ale coś w nas buntowało się przeciwko temu. Nie przyjmowaliśmy prawdy, uważaliśmy, że pokrewieństwo jest dalekie i niczemu nie przeszkadza. Z nas dwojga to ja powinienem być mądrzejszy. To ja byłem bystry, inteligentny i wykształcony. Marianna nie miała tego wszystkiego. Była słabsza ode mnie, intelektualnie też. To ja w imię naszej miłości powinienem ją ochronić przed tym wszystkim, co się później stało. Ale nie zrobiłem tego, przeciwnie. Zaślepiiony, byłem sprawcą wszystkich późniejszych nieszczęść. Nie tylko Marianny, ale i całej jej rodziny. Także Marceliny.

Słuchałam tej opowieści, milcząc. W moim sercu szalała burza uczuć – od głębokiego zrozumienia i współczucia do oszalałej nienawiści. Nie wiem, jakim cudem wszystko to nie odbiło się na mojej twarzy. A może odbiło, tylko ojciec tego nie dostrzegł, zapatrzonej w przeszłość.

– A Ludmiła – kontynuował – dotąd za mną chodziła, aż wreszcie ktoś nas sobie przedstawił. Pamiętam szczęście w jej czarnych oczach, ten blask, gdy podałem jej rękę. Połechtala tym moje męskie ego. Puszyłem się jak paw dumny z tego, że przy boku mam taką piękną dziewczynę, w dodatku z uwielbieniem we mnie wpatrzoną. Bardzo szybko staliśmy się parą, budząc tym zazdrość wszystkich wokół, kolegów wciąż uganiających się za Ludmiłą i koleżanek, które liczyły na moje względy. Ludmiła bardzo broniła dostępu do mnie. Chciała mnie mieć na wyłączność. Muszę przyznać, że nie było to trudne. Była miłym i niekonfliktowym towarzyszem. Mimo że trwała przy mnie, nie była natrętna i męcząca. Bardzo dbała o moje potrzeby i spełniała zachcianki, nawet te niewypowiedziane. Mieliśmy podobne poglądy i zainteresowania. Nigdy nie nudziłem się w jej towarzystwie, prowadziliśmy ciekawe dyskusje i wymienialiśmy się spostrzeżeniami. Było mi dobrze. Kiedy wspomniała o małżeństwie, poprosiłem o czas do namysłu. Śmiejesz się, Michalino, że to kobieta oświadczyła się mężczyźnie. Ale tak było. Ja pewnie nigdy bym tego nie zrobił. Rozwazałem to, oczywiście, myślałem, że to jest szansa, żeby uwolnić się od przeszłości i Marianny, ale zawsze, kiedy pomyślałem o Mani, zalewała mnie fala tęsknoty i miłości. Wciąż kochałem ją bezgranicznie. Ludmiła chyba poczuła się zraniona moją prośbą o czas do namysłu. Nigdy więcej nie wracała do tematu małżeństwa. Było mi to na rękę. Żyłem z nią jak mąż z żoną, ale mężem nie byłem. W moim pojęciu wciąż byłem wtedy wolnym człowiekiem. Żadnych zobowiązań. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy Ludmiła powiedziała, że jest w ciąży. Byłem załamany. Jakoś nigdy nie pomyślałem, że to może się tak skończyć. Mówiła, że się zabezpiecza, ja też byłem ostrożny. A tu, nie wiadomo skąd, ciąża. Michasiu, ze wstydem przyznaję, że namawiałem ją do usunięcia. Ale ona nie chciała. Widziałem, że cierpi, ale była niezłomna w swoim postanowieniu. Najwyżej, mówiła, wrócę z dzieckiem na wieś, do rodziców. Ale to w tamtych czasach byłby wielki wstyd dla niej i cierpienie dla dziecka. Nie pomyślała, że w mieście byłoby jej łatwiej ukryć się w tłumie z nieślubnym dzieckiem. W końcu zdecydowałem się na ten ślub. Moi rodzice byli szczęśliwi. Myśleli, że wreszcie skończy się historia z Marianną. Zwłaszcza, że dziecko było w drodze. Ja nie byłem tego taki pewien, czułem, że jeszcze nie chcę się wiązać, ale los mnie do tego przymusił. Myślałem, że miłości Ludmiły wystarczy dla

nas dwojga. Michaś, przerosło mnie wtedy to wszystko. Chciałem robić karierę, korzystać z życia, a nie mogłem. Żona i dziecko były mi ciężarem. Nie wracałem do domu na noc, nie interesowałem się ani tobą, ani twoją matką, wasze potrzeby zawadzały mi. Zawiodłem na całej linii. Uciekałem do pracy i do kolegów, a kiedy i oni się poženili, zacząłem uciekać do Marianny. Zostawiałem was w mieście, a sam jeździłem na wieś pod pretekstem choroby ojca. Po kryjomu spotykałem się z Manią, zawsze była chętna i stęskniona. Kochała mnie bezkrytycznie i niemal bezwarunkowo, a ja wciąż kochałem ją. Była całkowitym przeciwieństwem Ludmiły. Namiętność, jaką we mnie budziła, była dla mnie nie do pokonania.

– No i stało się – powiedziała cicho. – Zaszła w ciążę.

– Tak. Tak było. I znowu się załamałem. Tego dziecka też nie chciałem. Nie wiem, czego wtedy pragnąłem. Chyba bycia pępkiem świata, bez żadnych zagrożeń ze strony dzieci. Ach, jaki ja wtedy byłem głupi! Jaki głupi! – Usta wykrzywiły mu się w hamowanym płaczu, zakrył je dłonią. Po chwili opowiadał dalej: – Marianna nie mogła pogodzić się z tym, że nie będę jej mężem. Pamiętała i wciąż mi przypominała, że kiedyś, dawno temu, obiecałem jej to. Miałem skończyć studia i zabrać ją daleko od rodziców, gdzieś, gdzie moglibyśmy żyć szczęśliwie, niewytykani palcami. Czekala na to i na mnie. Ale ja już byłem żonaty i miałem ciebie. Biedna Mania załamała się i zerwała ze mną wszelkie kontakty. Wykazała więcej mądrości i siły niż ja, mimo że to ja zawsze byłem kreowany na silnego i opiekuńczego. Ona nie zawiodła, wzięła na siebie ciężar odpowiedzialności za nasz wspólny grzech. Wiele razy chciałem się z nią skontaktować, chodziłem pod jej dom, ale ona nie chciała mnie znać. Kiedy urodziła córkę i nie pozwoliła mi jej zobaczyć, zdesperowany powiedziałem o tym Ludmile. Znała historię mojej miłości do Marianny, ale myślała, bo tak ją zapewniałem, że to już dawno skończone. Nie miała powodu mi nie wierzyć. Wiadomość o narodzinach Marceliny była dla niej ciosem, po którym nie mogła się pozbierać. Wciąż się kłóciliśmy, nawet kiedyś ją uderzyłem. Nie dziwię się, że nie wytrzymała. Pewnego dnia wyszła z domu i więcej nie wróciła. Zostawiła wiadomość, że odchodzi.

– A ja? – szepnęłam.

– Nie zabrała ciebie, bo wiele razy się odgrażałem, że zabiorę jej dziecko, że żaden sąd nie przyzna jej opieki nad tobą. Nie pracowała, nie miała środków do życia. W złości nazywałem ją parszywym mieszańcem, wykrzykiwałem, że nie-Polakom sąd nie oddaje dzieci na wychowanie. Nie wiem, dlaczego mi uwierzyła, przecież wiedziała, że tak nie jest. Może czuła się zastraszona? Wiele razy groziłem, że ją znajdę i jej ciebie odbiorę. Pewnie chciała tego uniknąć, dla twojego dobra. Bardzo cię kochała. Nawet dziwiłem się, że nigdy się do ciebie nie odezwała. Nigdy też nie podejrzewałbym własnej matki, że ukryje te listy przed tobą i nie powie mi o nich ani słowa. Nie wiem, dlaczego tak postąpiła. Nie chcę jej osądzać. Swoje przecierpiała przeze mnie. Ona też bardzo ciebie kochała.

– Wiem, tato. I ja ją kochałam. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego ukryła te listy. Ale możliwe, że najpierw uznała, że nie rozumiem, a potem nie umiała mi tego powiedzieć. Może zapisując mi ten dom, liczyła, że odnajdę ukryte listy?

– Prawdopodobnie. Nie sądzę, żeby miała coś złego na myśli. A wiesz, Michasiu, że my z Ludmiłą nigdy się nie rozwiedliśmy? Wciąż jesteśmy małżeństwem.

– Naprawdę? – Wyszepotałam zdumiona. – Jak to możliwe?

– Najpierw nie chciałem szukać z nią kontaktu. Jak już ci mówiłem, nienawidziłem jej wtedy. A potem było mi to na rękę. Pamiętasz panią Ninę? Ona bardzo chciała, żebym się z nią ożenił, a ja nie chciałem i miałem wygodne wytłumaczenie. I tak już zostało. Ludzia też nigdy się nie odezwała, nie poprosiła o rozwód. Widocznie z nikim się nie związała albo żyła z kimś tak jak ja, na wiarę.

O parapet zastukały pierwsze krople deszczu. Poczułam, jak przenika mnie chłód. Dochodziła szósta. Byłam zmęczona i senna. Dopiłam herbatę i wstałam, zabierając listy.

– Idę spać, tato. I ty się połóż. Nic już nie zmienimy w tym, co było. – Nie patrzyłam mu w oczy.

– Zamierzasz z tym coś zrobić?

– Nie wiem jeszcze. Muszę wszystko przemyśleć na spokojnie. Kładź się, tato, zmęczony jesteś. –

Pokiwał głową i chyba chciał mnie uściskać, ale nie ułatwiłam mu tego.

Waldek spał na wznak, chrapiąc potężnie. Kiedy wślizgnęłam się pod kołdrę, otworzył oczy i coś sennie do mnie zamruczał. Popchnęłam go lekko w lewe ramię. Zrozumiał i odwrócił się do mnie plecami. O to mi chodziło. Przywarłam do niego szczelnie i objęłam w pasie. Wziął mnie za rękę i po chwili już znowu spał. Wsłuchiwałam się w jego równy oddech i czułam, jak ogarnia mnie senne ciepło. Chciałam spokojnie pomyśleć, ale nie byłam w stanie. Zmęczenie wzięło górę. Po chwili już spałam, o niczym nie śniąc.

* * *

Kiedy się obudziłam, już nie padało. Słońce stało wysoko. Świeciło mi prosto w oczy, widocznie Waldek odsłonił rano zasłony. Poczułam ssanie z głodu, ale nie miałam siły wstać z łóżka. Byłam obolała i ociężała jak po ciężkiej pracy fizycznej. Spojrzałam na zegarek w telefonie, właśnie minęła druga.

W kuchni siedziała tylko Marcelina i rysowała coś zawzięcie.

– Cześć, kochana, gdzie reszta? – Pocałowałam ją w nadstawiony policzek.

– Tata jeszcze śpi, a Waldek poszedł na chwilę do sklepu. – Byłam tak głodna, że szperałam po garnkach, ale nie znalazłam niczego do zjedzenia od razu. Z lodówki wyjęłam zimną parówkę.

– Może byś się umyła, co? – Moja siostra patrzyła na mnie figlarnie.

Kiwnęłam głową, ale nie ruszyłam się, pożerając parówkę.

– Zaraz. – Przełknęłam ostatni kęs. – Zrobię sobie herbatę, żeby stygła, i pójdę do łazienki. Tobie też zrobić? Jadłaś śniadanie?

– Zaraz obiad będzie, śpiochu, nie wyjeżdżaj mi ze śniadaniem, bo już dawno o nim zapomniałam.

– A jak nóżka?

– Bardzo dobrze. Mogliby mi już zdjąć gips, bo umieram z nudów.

– Nie narzekaj. Dobrze, że tylko tak się skończyła ta przygoda.

Zaparzyłam herbatę i wyszłam do łazienki. Gorący prysznic rozluźnił napięcie w mięśniach i poczułam się lepiej.

– Nie wiesz, co na obiad? – zapytałam Marcelinę.

– Nie wiem, ale chyba w lodówce jest wczorajsza zupa, to sobie odgrzej. Waldek mówił, że jak wróci, to zrobi.

Postawiłam garnek na gazie i mieszając, czekałam, aż się zagrzeje. Po chwili przyczłapał ojciec.

– Ale pospałem. – Ziewał potężnie. – Jednak staremu człowiekowi zarywanie nocy nie służy. Jestem strasznie rozbity.

– Wykap się, to będzie ci lepiej – poradziłam, nalewając sobie i Marcelinie zupę. – A potem przyjdź zjeść.

– Zarwaliście noc? – spytała Marcelina, kiedy odszedł.

– Tak. Rozmawialiśmy do szóstej.

– I co? – Patrzyła na mnie, nie ukrywając ciekawości.

– Nic. Opowiedział mi wszystko. To strasznie smutna historia.

– Opowiesz mi?

– Opowiem, Marcysiu, ale nie dzisiaj. Nie mam siły. Sama muszę się z tym uporać.

– Rozumiem. A powiesz mi, co było w listach?

– Może kiedyś nawet dam ci je przeczytać. Na razie niech pozostaną tylko moje.

– Dobrze. Przytul mnie mocno. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Strasznie cię Kocham, wiesz?

Przygarnęłam ją do siebie i wtuliłam twarz w jej włosy.

– Ja ciebie też Kocham, ale ty już wiesz. – Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Wiem, Michasiu. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałam w swoim życiu. No, może oprócz Waldka. – Puściła do mnie oko, rozładowując sytuację.

Po chwili dołączył do nas ojciec. Nalałam mu zupę i jedliśmy w milczeniu.

Waldek przyszedł godzinę później i od razu zajął się gotowaniem. Lubiłam patrzeć na jego krzątanie. Wiedział, że go obserwuję, bo uśmiechał się do mnie od czasu do czasu.

Szybko minął ten dzień. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy, bo każdy był zajęty swoimi sprawami. Wieczorem Waldek zaproponował mi wyprawę do Szamocin po swój samochód. Chyba chciał pogadać na osobności. Ale nie poruszył tematu listów. Gadaliśmy o zwykłych codziennych sprawach. Dopiero na miejscu zaproponował:

– Może się przejdziemy? – Ręką wskazał las.

– Chętnie. – Podałam mu rękę i ruszyliśmy przez sad drogą, którą niedawno szłam z Agą. Milczeliśmy aż do lasu.

– Usiądziemy? – Rozłożył na trawie kurtkę.

Z przyjemnością oparłam się o niego i zapatrzyłam w bezkres pól. Za nami szumiały drzewa i śpiewały ptaki.

– I co, Michaś? – zapytał w końcu.

– Nic – odpowiedziałam, mrużąc oczy.

– Zamierzasz coś zrobić?

– Nie mam pojęcia. Na razie trawię.

Objął mnie ramieniem.

– Opowiedz mi – zażądał.

Nie poprosił, lecz zażądał.

– A co tu opowiadać? – Usiłowałam się wykręcić. – Matka pisała listy do dziecka, a babcia je chowała. I tyle.

– Takie proste? – Popatrzył na mnie kąpiąco.

– To strasznie skomplikowane, Waldek. Przecież wiesz. – Westchnęłam. – Nic nie rozumiem z postępowania babci. Ale za to ojciec opowiedział mi, jak było.

– I jesteś na niego zła, tak?

– Właśnie nie jestem. Sama się sobie dziwię, ale nie jestem. Widzę tylko nieszczęśliwego, zagubionego człowieka. Nie dał rady. Dzisiaj wie o tym, ale przecież nic już nie możemy zmienić.

Myślałam o tym, co powiedziałam, i zastanawiałam się, skąd we mnie tyle zrozumienia. Jeszcze rok temu czułam złość do niego i do całego świata.

– Twoja matka jeszcze żyje? Mówił coś?

– Nie wie. – Pokręciłam przecząco głową. – Nie mieli ze sobą kontaktu przez te wszystkie lata.

– Niemożliwe! – Był tak samo zaskoczony jak ja. – A co pisała?

– A co można pisać do dziecka? Że mnie bardzo Kocha, że tęskni, że czeka na wiadomość ode mnie. Potem pisała, że jej smutno, że się nie odzywam, że wciąż czeka i zawsze będzie czekać.

– A potem przestała pisać.

– Tego nie wiem. Może listy wciąż przychodziły, ale gdy babcia zmarła i nikt tu nie mieszkał, to może wracały. Popytałabym, ale kto będzie dziś pamiętał?

Milczeliśmy, patrząc na ptaki, które uwiły sobie gniazdo na pobliskim drzewie i co chwilę podlatywały z pokarmem dla piskląt.

- Może napisz do niej list. Ja bym tak zrobił.
- Myślałam już o tym. Ale jak list wróci?
- To wróci. Będziesz wiedziała, że jej tam nie ma.
- Albo nie odbiera poczty. Hmm... Może tak zrobię – zamyśliłam się. – Ale co ja jej napiszę?
- Że odzywasz się dopiero teraz, bo te listy dopiero do ciebie dotarły. – W ustach Waldka wydawało się to takie proste.

– A myślisz, że znalazłabym ją w Internecie? Może na Fejsie albo na Naszej Klasie?

– Nie wiem. Spróbować można. Dzisiaj niemal wszystko można wygooglować.

– No właśnie. Ciekawa jestem, jak potoczyło się jej życie.

– To twoja mama, bez względu na wszystko. I teraz już wiesz, dlaczego odeszła. I że zawsze cię kochała. Nie zapomniała o tobie nigdy. Nie porzuciła cię dlatego, że cię nie chciała. Życie ją do tego przymusiło.

– Tak, wiem. Musiała strasznie cierpieć. Boli na samą myśl. I trochę się boję, że mnie teraz odrzuci. –

A po chwili dodałam: – A jeśli już nie żyje?

– Nie chcesz wiedzieć?

– Nie wiem. Boję się. Nie wiem, czego oczekiwać.

– Potrzebujesz jeszcze czasu – zawyrokował. – Wracajmy. – Podał mi rękę i pomógł wstać. Ruszyliśmy miedzą do domu.

Pan Jurek spał na leżaku, a jego syn łowił ryby w strumieniu. Nigdy nie widziałam tam ryb, ale może po prostu potrzebował pomoczyć wędkę i posiedzieć w ciszy.

W drodze powrotnej miałam okazję na spokojne przemyślenie ostatnich wydarzeń. Waldek jechał przede mną. Może dobrze mi radzi i powinnam napisać do matki?

Zanim dojechaliśmy do Wyszogrodu, powzięłam już postanowienie. Napiszę.

Czerwiec przyniósł ze sobą upalne dni przeplatane gwałtownymi burzami. Dom babci nabierał kształtów, piękniał i odżywał z każdym dniem. Nowy dach pysznił się głęboką czerwienią dachówek, rynny w tym samym kolorze pięły się po ścianach z nowymi tynkami. Teraz, kiedy ojciec przejął nadzór nad budową, miałam więcej czasu dla siebie. Nie byłam też obciążona żadnym projektem, przeglądałam więc dokumenty i książki przeniesione ze strychu do pawilonu. Część z nich, te, których nie chciałam zatrzymać, zaczęłam sprzedawać na Allegro. Ku mojemu zaskoczeniu rozchodziły się znakomicie. Były tam stare podręczniki szkolne, poradniki, czasopisma podróżnicze. Nie spodziewałam się takiego zainteresowania.

– Ludzie kolekcjonują różne rzeczy – mówiłam do Waldka, pakując kolejne paczki.

– Może otworzysz antykwariat, co? – śmiał się ze mnie.

– Tak. I sprzedam w nim ciebie – odcięłam się, wywołując u niego atak śmiechu.

– A kto by go kupił? – Marcelina dorzuciła swoje trzy grosze. – To tylko ty połaszczyłaś się na staro-cia.

Jak dzieci zaczęli się ganiać po kuchni. Waldek dawał jej fory, bo dopiero tydzień temu zdjęli jej gips i jeszcze nie odzyskała dawnej sprawności.

– Marcysiu, uważaj! – Ojciec zajrzał do nas zwabiony hałasem.

– Uważam, uważam, tato! – Śmiała się jak szalona i dalej uciekała przed Waldkiem. Po chwili jednak dała za wygraną i usiadła zdyszana.

– Zamiast rozrabiać, lepiej pomóżcie mi pakować przesyłki. – Podałam jej papier i książki do pakowania.

– Matko, ile tego! – Śmiesznie wywróciła oczami, ale książki pakowała niezwykle starannie.

Minęło już trochę czasu, odkąd przeczytałam listy od mojej matki, ale mimo niezłomnego postanowienia jeszcze do niej nie napisałam. Zabierałam się do tego niemal co wieczór, ale zawsze gdzieś gubiłam wątek, nie wiedziałam, o czym mam pisać i w rezultacie rwałam kartki na strzępy.

– Dlaczego nie piszesz na laptopie? – Proste pytanie Waldka zbiło mnie z pantałyku.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Jakoś wydaje mi się, że powinnam wysłać list pisany ręcznie.

– To wyślesz. Ale pisz na komputerze, a potem przepisz na czysto. – Gapiłam się na niego, nie wierząc we własną głupotę. Odłożyłam kolejną pokreśloną kartkę i sięgnęłam po laptopa.

Od tej pory już nie kreśliłam i nie darłam kartek, ale za to ciągle kasowałam to, co napisałam, a potem załamana wyłączałam komputer.

– Zbyt szybko się poddajesz – strofował mnie Waldek.

– Łatwo ci mówić. Co mam jej napisać? Przecież nie zmieszczę całego swojego życia w jednym liście!

– Ale wcale nie musisz. Napisz krótko, wyjaśnij, dlaczego dotąd milczałaś, i to wszystko. Sama mówiłaś, że nie wiesz, czy list dotrze, więc nie trzeba się zanadto rozpisywać. No, nie złość się, kochanie. – Przytulił mnie i pocałował.

– Nie złość się – zaprotestowałam.

– Nie, w ogóle – kpił.

Postanowiłam pisać tylko wtedy, gdy nikt nie będzie widział, co robię. Będę się mogła irytować do woli.

Ale takie chwile zdarzały się rzadko. Prawie zawsze ktoś koło mnie był. Nie przeszkadzało mi to, ale czasami potrzebowałam побыć sama ze sobą. Tak jak teraz.

I oto właśnie nastał taki dzień. Ojciec był na budowie, a Waldek wybierał się w interesach do Płocka na cały dzień. Zaprosił mnie i Marcelinę.

– Rozerwiecie się trochę, pochodzicie po sklepach, a potem pójdziemy na dobry obiad. Co wy na to?

– Ja chętnie. – Marcelina już się poderwała z miejsca. Ostatnio korzystała z każdej okazji wyjazdu do Płocka, nawet beze mnie. – Odwiedzę koleżankę z domu dziecka i kupię sobie farby, tata dał mi pieniądze.

– A to się nawet dobrze składa – ucieszyłam się. – To w takim razie ja zostanę w domu.

Waldek uniósł brwi zdumiony.

– Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia do pracy. Muszę ostatecznie rozliczyć projekt – skłamałam gładko.

Waldek chyba nie dał się nabrać, ale nic nie powiedział.

– Bawcie się dobrze. – Ucałowałam ich na podwórku. – Możecie przywieźć mi coś dobrego. Tylko jedźcie ostrożnie! – Wykrzykiwałam jeszcze za odjeżdżającym autem.

Wreszcie byłam sama. Pogłaskałam płaczącego się pod nogami kotka, zrobiłam sobie kawę i z laptopem na kolanach umościłam się w łóżku.

Ale wena nie nadchodziła. Nie napisałam nawet początku. No bo niby jak mam się do niej zwrócić? Kochana mammo? Przecież to śmieszne! Nie widziałam jej od niemal czterdziestu lat! Nie znam jej. Jest mi obca.

Ale jednak to moja mama. Więc jak? Droga mammo? Tak chyba będzie dobrze. A co dalej?

Czułam narastającą irytację, ale postanowiłam nie odpuszczać. Jeśli dziś nie napiszę tego listu, to nie wiem, kiedy to zrobię.

Pisałam, kasowałam, wyłączałam komputer przez kilka godzin. Zrobiłam sobie dwie przerwy na przekąskę. Pobawiłam się z kotem, włączyłam pralkę, powiesiłam pranie.

A listu jak nie było, tak nie było. Tylko jakieś urywane zdania. Bez sensu.

Byłam naprawdę zła.

Wreszcie po trzynastej po raz kolejny włączyłam komputer i zaczęłam pisać, co mi do głowy przyszło.

Droga Mammo,

na pewno będziesz zdziwiona, gdy dostaniesz ten list i pomyślisz, dlaczego akurat teraz Twoja córka postanowiła wreszcie do Ciebie napisać. Po tylu latach wytrwałego milczenia. Przez ten czas pewnie myślałaś, że jestem na Ciebie obrażona za to, że ode mnie odjechałaś i że nie było Ciebie przy mnie. I straciłaś nadzieję na jakikolwiek odzew z mojej strony.

Więc dlaczego do Ciebie teraz piszę? Bo widzisz, Mammo, nigdy wcześniej nie dostałam od Ciebie żadnego listu. Wszystkie chowała przede mną Babcia. Nie wiem dlaczego. Nie powiedziała o nich nawet wtedy, gdy umierała. Skąd miałam wiedzieć, że leżą schowane na strychu? Ukryła je w starej komodzie. Teraz z Ojcem wzięliśmy się do remontu domu po Babci i w ten sposób znaleźliśmy Twoje listy.

Nie wiem, co mogłabym Ci napisać, co chciałabyś wiedzieć. Nie wiem nawet, czy ten list do Ciebie dotrze, czy mieszkasz wciąż pod tym samym adresem, czy jesteś zdrowa. Ale mimo to piszę do Ciebie. Bo chciałabym wiedzieć, jak żyjesz i co porabiasz. Chciałabym też, abyś wiedziała, że całe życie o Tobie myślałam, nie wiedząc nawet, że pisałaś do mnie i czekałaś na odpowiedź. Teraz ja będę czekać na Twoją odpowiedź. Napisz, Mammo. Bardzo Cię o to proszę.

To nie był wymarzony list, jaki chciałam napisać do matki. To były chaotyczne słowa. Ale nie potrafiłam inaczej. Zmagałam się z tym tak długo, że nie chciałam już nic zmieniać. I postanowiłam wysłać go natychmiast. Zanim znowu zrezygnuję.

Adres na kopertę przepisałam starannie z jednego z ostatnich listów matki. Tam był najbardziej wyraźny. Ojciec mówił, że to wieś, więc pewnie wszyscy się znają i nawet jeśli popełniłam błąd, listonosz sobie poradzi.

Poczułam wielką ulgę, kiedy wrzuciłam list do skrzynki. Wolnym krokiem wracałam do domu i już rozmyślałam nad tym, jak to będzie, gdy otrzymam odpowiedź. Wyobrażałam sobie mamę trzymającą w ręku list ode mnie. Jej zdumienie i radość. I to, jak mi odpisuje.

Nie mogłam się doczekać!

* * *

O tym, że napisałam list do mamy, wiedział tylko Waldek. I tylko on czekał ze mną na odpowiedź. Minął tydzień i nic.

– Poczekaj – mitygował mnie. – Daj jej szansę, przecież ty też pisałaś ze dwa tygodnie!

No tak, jak zwykle miał rację. Ale minął drugi tydzień i też nic. Po trzecim tygodniu zaczęłam się martwić. Chodziłam markotna, nie potrafiłam zająć się niczym, tylko siedziałam i wyglądałam przez okno. Nie chciałam nawet jeździć do Szamocin w obawie, że w tym czasie listonosz przyniesie list.

– Michaś, jeśli list przyjdzie, to przecież listonosz wrzuci go do skrzynki. Jak zwykle – Waldek nie wiedział już, jak mnie pocieszyć. – Nie siedź w domu. Powinnaś być na powietrzu. Pogoda taka ładna, a ty nawet nie wychodzisz na zewnątrz.

Wzruszałam ramionami i dalej siedziałam w domu. Marcysia ostatnio była zajęta jakimiś swoimi sprawami, wychodziła na tajemnicze spotkania, ale nawet ona zauważyła, że coś w moim zachowaniu uległo zmianie.

– Michaś, co z tobą? – dopytywała zmartwiona. – Źle się czujesz?

– Nie, skarbie, wszystko w porządku – uspokajałam ją.

– Czy na pewno? – zapytał ojciec znad gazety. – Jesteś ostatnio bardzo apatyczna, Michasiu. – Odłożył czasopismo. – Może jesteś w ciąży?

Parsknęłam śmiechem.

– Tato, co ty mówisz!

– Wiem, co mówię.

– Nie jestem w ciąży. Dajcie mi oboje spokój.

– To powiedz, co się dzieje – nie ustępowała Marcelina.

– Nic się nie dzieje, przecież mówiłam – broniłam się zawzięcie.

– Tere-fere – kpiła moja siostra. – Znam cię. Coś cię gnębi. Mów nam zaraz, co to jest.

– Czekam na list – rzuciłam im ochłap informacji w nadziei, że się odczepią.

Nie odczepili się, przeciwnie, rozпалиłam ich ciekawość.

– Co to za list? Pewnie jakiś ważny, skoro tak czekasz.

– Oj, Marcyś. Dość, że na niego czekam – byłam opryskliwa, ale nie zraziło jej to.

– Napisałaś list do swojej mamy? – Patrzyła oniemiała. – I nic nie powiedziałaś?

Nie zaprzeczyłam ani nie potwierdziłam.

– Napisałaś, Michasiu? – zapytał ojciec.

Poczułam się przyparta do muru.

– Napisałam – burknęłam wreszcie.

– A dawno? Może jeszcze za wcześnie na odpowiedź? – Ekscytowała się Marcelina. – Ale że nie powiedziałaś ani słowa?! No, no, no! A Waldek wie?

– Wie. A co? Dziwne, że ci nie wypaplał, co? – dokuczałam jej.

– E tam! Strasznie jestem ciekawa, czy dostaniesz odpowiedź. Dawno wysłałaś ten list?

– Prawie miesiąc temu.

Patrzyli na mnie z niedowierzaniem.

– To długo. Już powinna nadejść odpowiedź. – Ojciec wyraźnie się zasępił. – Może źle adres napisałaś?

– Może. Ale liczyłam na to, że skoro w takiej małej miejscowości wszyscy się znają, to list i tak dojdzie mimo ewentualnego błędu w adresie.

– Chyba że już tam nie mieszka. – Marcelina powiedziała to, czego najbardziej się obawiałam.

– Wtedy list by wrócił. Przynajmniej tak sędzę.

Jakoś zrobiło mi się raźniej, kiedy zobaczyłam, że i oni są zainteresowani. Zawsze łatwiej się zamarzać w towarzystwie.

– Wracają chyba tylko polecane. – Znowu posmutniałam.

Przez kolejne dni także nie nadeszła odpowiedź. Powoli zaczęłam tracić nadzieję. Przestałam wyglądać listonosza, częściej wychodziłam z domu i zmieniałam ojca na budowie.

W połowie lipca stwierdziłam, że odpowiedzi nie otrzymam, i uznałam sprawę za zamkniętą.

– Nie poddawaj się tak łatwo, Michaś – mobilizował mnie Waldek. – Daj jej trochę czasu.

– Nie ma się co oszukiwać, ona albo tam nie mieszka, albo nie żyje, albo nie chce do mnie pisać. Po tylu latach już nie chce. I nie dziwię się.

– Nie mów tak, córeczko – zachnął się ojciec. Rzadko odzywał się w tej sprawie, ale teraz widocznie uznał, że trzeba.

– Tato, a co mam mówić? Taka jest prawda. Przecież nie pojedę do niej, żeby ją zapytać, dlaczego mi nie odpisuje, albo przekonać się, że jej tam nie ma. – Żałowałam, że nie wysłałam listu poleconego, mogłabym śledzić jego drogę przez Internet. Teraz było już za późno. Mogłam co najwyżej wysłać list jeszcze raz. Nie mówiłam im też, nawet Waldkowi, że odkąd wysłałam list, wciąż szukam mamy w Internecie. Niestety, jeszcze nie natrafiłam na żaden ślad. Czy w dzisiejszych czasach jest to możliwe? Może naprawdę nie żyje?

– A dlaczego nie miałybyś pojechać?

Po tych słowach w salonie, gdzie siedzieliśmy, zapadła cisza.

– No powiedz sama. Dlaczego uważasz, że to niemożliwe? – powtórzył ojciec.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Wszyscy patrzyli na mnie w napięciu.

– Nie powiedziałam, że to niemożliwe – wystękałam wreszcie. – Nawet o tym nie pomyślałam, prawdę mówiąc.

– To może pomyśl.

– Uważasz, że to dobry pomysł?

– Widząc twoje zadręczania się oczekiwaniem na odpowiedź, uważam, że to dobry pomysł – oświadczył ojciec i założył ręce, patrząc na mnie zaczepnie.

– Wcale się nie zadręczam – zaprotestowałam.

– Owszem, zadręczasz. Wszyscy to widzą. – Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał poklasku. I znalazł go.

– To prawda. – Pokiwał głową Waldek. – Pochłonięta oczekiwaniem na listonosza jesteś nieobecna

w swoim i naszym życiu. Jakby cię nie było.

– Co masz na myśli? Przecież wszyscy sobie świetnie beze mnie radzą. – Jeszcze odpierałam zarzuty, nie czując się w żadnym stopniu winna.

– Ale czasem byś się przydała. – Marcelina też musiała się wtrącić. – Ten remont to twój pomysł i przedsięwzięcie, a ty wyłączyłaś się i już nic cię nie obchodzi. Przecież to twój dom i ty powinnaś podejmować decyzje.

– Ale wy też będziecie tam mieszkać.

– Ale ty jesteś właścicielką. I wewnątrz ma być zrobione według twojego pomysłu.

– Przecież ja się na tym zupełnie nie znam! – krzyknęłam zdesperowana i zawstydzona, że tak łatwo można mnie przejrzeć.

– Oj, przecież i przecież. – Ojciec pokręcił głową. – Nie musisz się na tym znać. Wystarczy, żebyś wybrała materiały, kolory, glazurę. Projekt już jest, czeka na twoją decyzję.

– A skąd niby mam o tym wiedzieć? – Czułam się osaczona.

– Ano dałam ci wszystko tydzień temu. Powiedziałaś, że w wolnej chwili przejrzysz, ale do tej pory tego nie zrobiłaś.

Nie miałam na to żadnych argumentów. Zapomniałam o teczce z projektami łazienek i kuchni. Nawet nie pamiętałam, gdzie ją położyłam. W popłochu zaczęłam udawać, że byłam bardzo zajęta.

– Jeszcze zdążę. – Strzeliłam focha.

– Zdążysz, pewnie, że tak. Pan Jurek tak tylko się przypomina.

Ta ironia to było dla mnie o wiele za dużo. Chwyciłam się za głowę i zaczęłam kiwać jak w chorobie sieroczej.

– Bożże! – śmiesznie syczałam. – Bożże! Nie wytrzymam! Wszystko na mnie biedną!

Zaczęli chichotać, co doprowadziło mnie do furii.

– I co w tym śmiesznego?! – wrzasnęłam.

– Nic, Michasiu. – Marcelina już prawie turlała się ze śmiechu.

Waldek trząsał się od powstrzymanego wybuchu wesołości, a ojciec siedział w śmiesznie opuszczonych na czubek nosa okularach i patrzył na mnie z niebotycznym zdumieniem w swoich niebieskich oczach.

Nie dałam się rozśmieszyć. Siedziałam nadęta i obrażona.

– No, daj już spokój, Michaś. – Waldek przymilał się do mnie bezwstydnie. – Chodź do mnie. Nie złość się już. Nie ma o co.

– Bo na mnie napadacie! – Jeszcze fukałam jak rozjuszona kotka. – Odejdź! – krzyknęłam na Waldka, ale nie zwrócił na mnie uwagi i przygarnął do siebie.

– Nikt na ciebie nie napada. Martwimy się tylko. Prawda, tato?

Poderwałam głowę na dźwięk słowa „tato”. Tato? A od kiedy on tak mówi do mojego ojca?

– Prawda, Walduś.

No nie wytrzymam! Walduś! Co za miłość zięciowsko-teściowska! Patrzyłam to na jednego, to na drugiego, oczekując jakiegoś wyjaśnienia, ale mieli miny niewiniątek. Co oni knują?

Nieoczekiwanie parsknęłam śmiechem.

– No dobra, poddam się – chichotałam, odchylając głowę do tyłu. – Macie rację – wysapałam. – Ostatnio faktycznie żyłam oderwana od rzeczywistości. Nawet nie sądziłam, że będę tak niecierpliwie czekać na ten list.

– Ja się nie dziwię – powaga, z jaką Marcelina to powiedziała, jakoś do niej nie pasowała. – Też bym tak czekała. Szkoda że nic nie powiedziałaś, czekałybyśmy razem. Zawsze raźniej. – Uśmiech zawsze zaznaczał na jej policzkach śliczne dołeczki.

– A przynajmniej nie trzymałabyś tego w sobie. Byłoby ci łatwiej. Marcysia ma rację, szkoda, że nie powiedziałaś.

Teraz z kolei czułam, jak narasta we mnie poczucie winy.

– To już nie ma znaczenia – uratował mnie Waldek. Chyba widział moją minę. – Teraz wiemy i wszyscy czekamy.

– Słuchajcie, a może ona planuje przyjechać tutaj, do ciebie, Michasiu?! – wykrzyknęła Marcelina. – Teraz, jak już do niej napisałaś, może zechce się z tobą zobaczyć?

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Noo... to nie jest niemożliwe.

Popatrzyłam na Waldka i ojca. Też byli zaskoczeni słowami Marcysi, ale widziałam w ich oczach zainteresowanie tym pomysłem.

– Zadzwońię do Jerzyka, może ktoś tam był i nic nie powiedzieli. – Poderwał się Waldek.

– Daj spokój, przecież codziennie tam jesteśmy, nikogo nie było – mitygował go ojciec.

– Ale może wieczorem, jak nas nie ma. Lepiej zapytam.

Nikogo nie było. Rozczarowanie na jego twarzy, kiedy skończył rozmowę z panem Jurkiem, mówiło wszystko.

– Słuchajcie, może napiszę jeszcze raz. – Byłam gotowa zaraz usiąść i pisać.

– Czy jest sens? – Ojciec podał w wątpliwość mój pomysł. – Znowu będziesz czekać i się denerwować.

– To może rzeczywiście lepiej jechać? – Już w wyobraźni wysiadałam z pociągu i ruszałam na poszukiwanie matki. – Nigdy nie byłam w Bieszczadach.

– Mogłabyś zrobić sobie wakacje – poparł mnie tata. – Ja zostanę przy budowie, ale wy możecie jechać.

– Wy? – zdziwiłam się.

– Ja przez co najmniej miesiąc nie mogę. Ale jeśli jechałabyś we wrześniu, tak w drugiej połowie, to chętnie się z tobą przejadę – powiedział Waldek

– Miałem na myśli ciebie i Marcelinę – wyjaśnił tata.

– Ja uważam, że Michasia powinna jechać sama – wyraziła swoje zdanie moja droga siostra. – Ale jeśli stwierdzi, że potrzebuje mojego towarzystwa, to z nią pojedę, chociaż nie mam ochoty. Nie lubię podróżować.

Dzielna była ta moja siostra. Chciała się dla mnie poświęcić i jechać taki szmat drogi, żeby było mi raźniej, mimo że bała się świata. Mój dzikusek kochany. Wzruszyłam się.

– Może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli pojedę sama – zamyśliłam się.

– Jesteś pewna? – Ojciec przyglądał mi się badawczo.

Pokiwałam głową.

– Chyba lepiej, żeby nie oglądała Marceliny. Przynajmniej na razie.

– Właśnie – mruknęła Marcysia. Pewnie nie było jej przyjemnie.

– No tak. Chyba masz rację. – Oczy ojca dziwnie zamigotały. Nie odwrócił jednak głowy.

– Trzeba wszystko porządnie zaplanować. Tato, to gdzie leży ta wieś? – Waldek już włączał laptopa.

– Niedaleko Leska – ubiegłam ojca. – Już sprawdzałam. – Chyba ich zaskoczyłam.

– Samochód czy pociąg?

– Trochę daleko na samochód – mruknęłam.

– Daleko, ale zważywszy, że to są Bieszczady, to chyba jednak lepiej samochodem. Będziesz miała większe możliwości poruszania się między miejscowościami, bo nie sądzę, żeby tamte okolice były dobrze skomunikowane. A tak naprawdę nie wiadomo, gdzie jej szukać. No i nie musisz zajeżdżać jednego dnia, możesz etapami, z noclegiem po drodze. Mniej się zmęczysz.

– Ale zanim pojedziesz, trzeba tutaj uporządkować kilka spraw. Choćby te projekty do zatwierdzenia – upomniał się ojciec.

– Dobrze, tato. Obiecuję, że zajmę się wszystkim, czym muszę. Ale potrzebna mi będzie moja siostra. Bez niej nie wybieram niczego. – Marcelina zarumieniła się od pochwały i spojrzała na mnie z wdzięcznością.

Ustaliliśmy, że wyjadę za dwa lub trzy tygodnie. W zależności od tego, kiedy uporam się z bieżącymi sprawami. No i daliśmy jeszcze mojej mamie czas na odpowiedź. Jak poprzednio czekałam na listonosza, licząc, że w końcu przyniesie ten list, ale list nie nadchodził. Nie byłam jednak nieobecna w życiu codziennym, załatwiałam wszystkie sprawy, zgodnie z obietnicą. Mieli rację – razem łatwiej było znosić czekanie.

– Nie wiem, jak ja tu wytrzymam bez ciebie – szeptał Waldek co noc, tuląc mnie i całując. – Jak wrócisz, musimy o nas porozmawiać.

Uśmiechałam się do niego, przeciągając lubieżnie. Zawsze miało to namiętny finał. Zasypialiśmy wtuleni w siebie i syci miłości. Nie szczędziłam jej sobie w tych dniach przed moim wyjazdem.

– Kocham cię – szeptał Waldek z głową ukrytą gdzieś w moich piersiach.

I ja go kochałam.

* * *

A teraz byłam w drodze do Leska. Wyjechałam z Wyszogrodu wczoraj przed południem żegnana tysiącem rad udzielanych przez Waldka i ojca. Marcelina milczała, powstrzymując łzy.

– Jedź szczęśliwie i wracaj szybko – wyszeptała mi do ucha w pożegnalnym uścisku. – Będę za tobą tęsknić. Kocham cię, siostrzyczko.

– Też cię kocham, chudzielcu. – Mimo że poprawiła się przez ostatnie pół roku, nadal była chudziutka i krucha. – Uważaj na siebie.

– Ty też. – Wycisnęła mi na policzku całusa.

– Dzwon do nas często, będziemy czekać. – Ojciec miał podejrzenie zaczerwienione oczy. – Znajdź ją – szepnął na sam koniec.

Waldek nic nie mówił. Był smutny. Rozmawialiśmy w nocy do późna, omówiliśmy chyba wszystko. Pocałował mnie tylko i uściśnął. Kiedy wyjeżdżałam z podwórka, stał przy bramie i posłał mi pocałunek.

Był początek sierpnia. Wakacje w pełni, ale drogi wyjątkowo nie okazały się zatłoczone. Dokuczało mi trochę gorąco. Nie chciałam się zanadto chłodzić klimatyzacją. Teraz nie mogłam sobie pozwolić na chorobę.

Gdzieś za Ostrowcem Świętokrzyskim, a może za Opatowem pod wpływem impulsu zboczyłam z drogi i skręciłam do Sandomierza. Postanowiłam tam przenocować. Wprawdzie było jeszcze wcześniej, ale uznałam, że na dzisiaj wystarczy tej podróży. Z przyjemnością zwiedzę to piękne miasto.

Jednak przeliczyłam się w swoich rachubach na wygodny nocleg. W hotelach komplety gości. Receptjoniści tylko rozkładali ręce.

– Niestety, nie mamy nic wolnego. Gdyby pani wcześniej zarezerwowała...

No, gdybym zarezerwowała. Ale nie zarezerwowałam.

Nie wiedziałam, co zrobić. Nie chciało mi się jechać dalej, ale wyglądało na to, że będę musiała. Usiadłam w ogródku pobliskiej restauracji i zamówiłam obiad. Rozglądałam się po placyku z ławkami i fontanną, zapatrzyłam się na pobliskie wzgórze. Pięknie tu.

Kelner postawił przede mną talerz zupy ogórkowej z dużą ilością kopru. Pachniała obłędnie. Dopiero teraz poczułam, jak bardzo jestem głodna. Zajadałam z przyjemnością, nie myśląc o tym, że ogórkowa

wcale nie jest moją ulubioną zupą. Namówił mnie na nią kelner. Nie żałowałam. Była pyszna.

Miałam ochotę na coś więcej, zamówiłam więc schab ze śliwką, frytki i zestaw surówek. Też się nie zawiodłam. Pałaszowałam, jakbym z tydzień nie jadła.

– Może deser? Mamy pyszną szarlotkę. – Zaproponował uśmiechnięty kelner.

Poczułam, jak ślinka napływa mi do ust. Nie, nie powinnam już więcej jeść.

– Skoro pan tak zachęca, to poproszę. I kawę z mlekiem.

Po chwili postawił przede mną tak ogromny kawałek szarlotki, że aż się przeraziłam. Roześmiał się, widząc moją minę.

– Każdy tak reaguje – wyjaśnił. – Ale się pani nie zawiedzie.

– Jeśli jest tak pyszna, jak cały obiad... – Nie dokończyłam myśli.

– Jest jeszcze pysniejsza. – Ukłonił się i patrzył, jak biorę do ust pierwszy kęs. Zaniemówiłam. W życiu nie jadłam czegoś tak pysznego. Pokazałam kciukiem, że okej. Z uśmiechem od ucha do ucha odszedł do swoich obowiązków.

Delektowałam się wspianiałym jedzeniem i pięknym, ciepłym wieczorem. Przez moment myślałam o tym, czy za chwilę będę musiała ruszać w dalszą drogę. Gdzie by tu przenocować?

– Nie wie pan, gdzie mogłabym znaleźć jakiś nocleg? W hotelach wszystko zajęte, a ja nie chcę jechać nocą. Jeszcze długa droga przede mną – zdobyłam się na odwagę i zapytałam kelnera podczas płacenia rachunku.

– Daleko pani jedzie? – Spytał, jakby nie usłyszał mojego pytania o nocleg.

– Do Leska.

– Moi teściowe wynajmują pokoje. Jeśli pani chwilę zaczeka, zaraz do nich zadzwonię i zapytam, czy mają coś wolnego.

Obudziła się we mnie nadzieja. Czekałam na niego przy resztkach kawy. Wreszcie przyszedł, trzymając telefon przy uchu. Chyba nie skończył rozmowy.

– Właściwie wszystko mają zajęte, ale jeśli zadowolili panią malutki pokoik na poddaszu, to chętnie go pani na tę jedną noc odstąpią. To trochę na uboczu.

– Nie szkodzi! – zawołałam. – Bardzo chętnie. Jakoś trafię. Bardzo dziękuję.

– Pani się zgadza – powiedział do telefonu. – To niech Błażek przyjedzie. Za chwilę będzie tu mój szwagier na motorze. Poprowadzi panią.

– Bardzo panu dziękuję. Uratował mi pan życie. – Uśmiechałam się z wdzięcznością.

Ale kiedy jechałam za punkowcem na motorze, naszyły mnie wątpliwości. A jeśli wyprowadzi mnie gdzieś na ubocze i... Nie zdążyłam pomyśleć, co mógłby ze mną zrobić, bo nagle wyjechaliśmy na zadrzewiony plac, wokół którego stały urocze domki. Zaparkował przed jednym z nich, zdjął kask i gestem zaprosił mnie do środka.

– Jesteśmy na miejscu. – Uśmiechnął się. Miał olśniewająco białe zęby.

Gospodarze już na mnie czekali. Błażek wziął moją torbę i zaprowadził do malutkiego pokoiku z mansardowym okienkiem. Za nim weszła pani domu.

– Bardzo przepraszamy za takie warunki, ale sezon w pełni i wszystkie pokoje mamy zajęte. Ale będzie tu pani wygodnie. Zwłaszcza że tylko na jedną noc. Łazienka z prysznicem jest w korytarzu, tutaj ma pani czajnik i naczynia. Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę zawołać.

Zostałam sama. Pokoik rzeczywiście był malutki. Łóżko, mikroskopijny stoliczek z jednym minikrzesłem, nocna szafka i coś w rodzaju komody. Na jedną noc wystarczy, pomyślałam, zdejmując buty. Wspięłam się na łóżko i wyjrzałam przez okienko. Widok, jaki się przede mną roztaczał, zaparł mi dech w piersiach. Purpura zachodzącego słońca zalewała srebrzystą wstęgę rzeki. W oddali czerwieniły dachy miasta. Coś pięknego.

Było już dość późno. Ze zwiedzania nici, pomyślałam. Nie będę jutro opóźniać wyjazdu do Leska. Przyjedziemy tu kiedyś z Waldkiem na dłużej. Będzie wtedy czas na zwiedzanie.

Po szybkim prysznicu w łazience równie malutkiej, jak pokój zadzwoniłam do Waldka. Odebrał natychmiast.

– Michaś! – Ucieszył się, a ja poczułam ciepło w sercu. – Gdzie jesteś?

– W Sandomierzu – oświadczyłam radośnie.

– Gdzie? Przecież trasa nie wiodła przez Sandomierz! – Był zdumiony.

– Zapragnęłam skoku w bok i jestem. Musisz tu ze mną przyjechać, jest pięknie! – Zdałam mu relację z całego dnia. – Miałam pozwiedzać, ale postanowiłam, że wcześniej rano wyruszę w dalszą podróż.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, a potem ojciec wziął telefon i musiałam opowiadać od początku. W tle słyszałam Marcelinę.

– Uważaj na siebie, córeczko, jedź ostrożnie – przestrzegł mnie jeszcze na koniec i pożegnaliśmy się.

Leżąc w łóżku, przez otwarte okno mogłam obserwować rozgwieżdżone niebo.

Zanim usnęłam, pomyślałam, że jutro koniecznie muszę zadzwonić do Agi.

O świcie obudził mnie świergot jakiegoś ptaka, który siedział na okiennym parapecie i zdierał gardziółko poranną piosenką. Jeszcze nie otworzyłam oczu, a już byłam przytomna. Uśmiechnęłam się do treli pierzastego śpiewaka i przeciągnęłam pod prześcieradłem. Dzień zapowiadał się chyba upalny. Spojrzałam na zegarek i zdumiałam się – dopiero piąta. Odwróciłam się do ściany i po chwili znowu spałam.

Z Sandomierza wyjechałam dopiero o jedenastej wypoczęta i zadowolona. Byłam w dobrym nastroju, a jazda sprawiała mi przyjemność.

W Kolbuszowej zatrzymałam się na kawę i zadzwoniłam do Agi. Nic nie wiedziała o mojej wyprawie. Nie wspominałam jej nawet o listach mojej mamy. Zaaferowana oczekiwaniem na odpowiedź, jakoś nie miałam czasu, żeby do niej zadzwonić. Poza zdawkowym „jak się czujesz?” nie wymienialiśmy ostatnio wiadomości.

Teraz też, zamiast zapytać, co u niej, jak się czuje i czy wszystko w porządku, od razu zaczęłam opowiadać o tej historii z listami i moim wyjeździe w poszukiwaniu mamy.

– Michasia, to niesamowite, co mówisz! Jak mogłaś trzymać to przede mną w tajemnicy?! Pojechałabym z tobą!

– Kochana, nie zgodziłabym się na to, żebyś ze mną jechała, bo to dla ciebie zbyt męczące, chociaż bardzo bym chciała, żebyś ze mną była. A nic nie powiedziałam nie dlatego, że to tajemnica, ale dlatego, że zaaferowana zupełnie o tym nie pomyślałam. Żyłam jak w amoku.

– Rozumiem, Michaś, ale kiedyś w pierwszej kolejności zadzwoniłabyś do mnie. – W jej głosie było słychać wyrzut. Miała rację.

– Wybacz mi, kochana, zupełnie straciłam głowę – kajałam się.

– Pewnie, że ci wybaczam, ale zobowiązuję cię do codziennego zdawania relacji, zrozumiano?

– Tak jest! – Ulżyło mi.

Ruszyłam dalej. W Rzeszowie pobłądziłam i w rezultacie nadłożyłam drogi. Z przyjemnością patrzyłam, jak krajobraz z każdym kilometrem zmieniał się na coraz bardziej pogórkowaty. W Sanoku poczułam zmęczenie i postanowiłam odpocząć. Czułam też narastające zdenerwowanie. Wszak zbliżała się chwila spotkania z moją mamą. W McDonalddie zjadłam hamburgera i na parkingu zastanawiałam się, czy jechać dalej, czy przenocować w Sanoku. Ostatecznie postanowiłam jechać do Leska. Jeśli się uda, to jeszcze dzisiaj pojedę do Terki, jeśli nie, to udam się tam jutro z rana. Ale będę już na miejscu i poświęcę się wyłącznie poszukiwaniom.

Jednak do Leska dotarłam wieczorem. Zanim znalazłam hotel i się zameldowałam, stwierdziłam, że

wyjazd do Terki odłożę na jutrzejszy ranek. Byłam zmęczona i nie znałam drogi. W hotelowej restauracji zjadłam kolację, potem zadzwoniłam do Waldka, a następnie do Agi. Wszyscy życzyli mi powodzenia. Byłam im za to wdzięczna, wierzyłam w swoje powodzenie, wierzyłam, że jutro spotkam się z mamą. Jednak kiedy leżałam już w łóżku, nie mogąc zasnąć, dopadły mnie wątpliwości. A co będzie, jeśli jej nie odnajdę? Przestań, nakrzyczałam na siebie, nawet nie dopuszczaj do siebie takiej myśli! No dobrze, a jeśli ona nie będzie chciała z tobą rozmawiać? Głos w mojej głowie niezmiernie się defetyzm. Dlaczego miałaby nie chcieć? Wszystko jej wytłumaczę, na pewno zrozumie.

Ale czy na pewno wszystko zrozumie?

Z tą myślą zapadłam w niespokojny sen. Śniło mi się, że jakiś chłop w starym kozuchu poszczuł mnie psami. We śnie uciekałam, ile sił w nogach, ale w końcu psy mnie dopadły i zaczęły szarpać za nogawki spodni. Ze strachu krzyczałam, aż ten krzyk mnie obudził. Dochodziła druga w nocy. Napiłam się wody i leżąc na wznak, czekałam, aż serce przestanie mi bić w szalonym rytmie. Myśląc o śnie, który wytrącił mnie z równowagi, zaczęłam śmiać się sama do siebie, aż pociekły mi łzy. No coś takiego! Poszczuta psami! Oby sen się nie spełnił!

Nie wiem, kiedy znów zasnęłam, spokojnie już i bez koszmarów. Obudził mnie sygnał SMS-a. Przez chwilę leżałam, nie wiedząc, gdzie jestem. Słońce świeciło mi prosto w oczy przez niezastłonięte okno. Przypomniałam sobie, że jestem w Lesku.

Zanim odczytałam wiadomość, wyjrzałam przez okno. Nic ciekawego. Zwykły widok na zwykłe miasto. W oddali zieleniły się góry, a niedaleko szarzał betonowy budynek z napisem „Szpital”.

Wiadomość była od Waldka: „Dziś może być twój wielki dzień. Powodzenia. Kocham cię”.

Powodzenie się przyda, bez dwóch zdań.

Zeszłam na późne śniadanie. Z hotelowej recepcji wzięłam foldery z mapą okolicy. Pijąc kawę, oglądałam je i porównywałam z tym, co widziałam w Internecie.

Do Terki miałam niecałe czterdzieści kilometrów. Chciałam przebyć je jak najszybciej, gdybym mogła, tobym się teleportowała. Jednak z każdym pokonanym kilometrem zwalniałam. Bałam się. Powróciły wszystkie moje wątpliwości. Czy dobrze zrobiłam, przyjeżdżając tutaj?

W końcu minęłam tablicę z napisem „Terka”. Jechałam tak wolno, że zatrafiły na mnie dwa jadące za mną samochody. Nie zwróciłam na nie uwagi. Dojechałam do nowego kościoła i cmentarza. Ale dzisiaj był dzień powszedni, nie odprawiano żadnego nabożeństwa, na cmentarzu też nie zauważyłam nikogo. Jeszcze za wcześnie. Ruszyłam dalej. Wreszcie dojechałam do sklepu. Może tam zapytać? Zaparkowałam na poboczu i wysiadłam.

Sklep jak sklep. Takie same były w Wyszogrodzie i Szamocinach. Niczym się nie wyróżniał. Za ladą siedziała młoda dziewczyna i czytała książkę.

– Dzień dobry pani.

Oderwała wzrok od książki.

– Chciałabym o coś zapytać.

– Tak? – Nawet nie wzbudziłam w niej zainteresowania.

– Szukam mieszkanki tej wsi, może pani ją zna. Nazywa się Ludmiła Piotrowska.

Pokręciła przecząco głową.

– Ja tu nikogo nie znam, proszę pani. Ja tu tylko w wakacje pracuję.

– A może zna pani kogoś, kto by wiedział? Jakiegoś stałego mieszkańca?

Wzruszyła ramionami.

– To chyba najprędzej ksiądz proboszcz. Ale on podobno też nowy. Kupuje pani coś? – Wpatrywała się we mnie intensywnie.

– Poproszę wodę mineralną. Niegazowaną. I herbatniki.

Zapłaciłam i wyszłam. Pierwsza porażka. Trudno.

Szłam wolno do samochodu i jadłam herbatniki. Z bocznej drogi wyjechał na rowerze jakiś chłop. Może miejscowy? Skierował się do sklepu, zsiadł z roweru, oparł go o ogrodzenie i wszedł do środka. Postanowiłam na niego zaczekać.

Nie zabawił długo. Z flaszką wódki w kieszeni wziął rower i chciał odejść.

– Proszę pana! Przepraszam! – zawołałam.

Zatrzymał się zdziwiony i patrzył wyczekująco.

– Przepraszam, czy pan tu mieszka?

Kiwnął głową.

– Poszukuję mieszkanki tej wsi, może pan ją zna? Nazywa się Ludmiła Piotrowska.

– Nieee, nikogo takiego nie znam. Żadnej Piotrowskiej Ludmiły.

Chciał wsiąść na rower i odjechać, ale jeszcze raz go zatrzymałam.

– A może pan wie, gdzie jest ulica Podleśna? Numer czwarty?

Patrzył na mnie czymś zadziwiony.

– Ano wiem, co mam nie wiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Makaruki tam mieszkały.

Zabiło mi serce. No przecież! Że też o tym nie pomyślałam! Mama była z domu Makaruk! Pewnie jak tu wróciła, używała panieńskiego nazwiska, dlatego nie mogłam jej znaleźć w Internecie! Ale jak to możliwe? Zastanowię się nad tym później, bo mi chłop odjedzie.

– Jak to mieszkały? To już nie mieszkają? – zapytałam ostrożnie.

Mężczyzna chyba się zirytował.

– Ja tam nic nie wim – burknął. – Jak mieszkały, to pewnie i mieszkają.

– A może mi pan powiedzieć, gdzie to jest? – Nie dawałam za wygraną. Wyjęłam portfel i dałam mu dziesięć złotych.

Wziął bez skrępowania i zaczął mi tłumaczyć, jak tam dojechać. Miało być za wsią, niedużo, taką dróżką w lesie i tam chałupy stały, trza było skrócić za figurką z Frasobliwym.

Starłam się zapamiętać jego objaśnienia. Ruszyłam wolno we wskazanym kierunku. Gdzieniegdzie mijałam domy z cegły, ale widocznie większość zabudowań była oddalona od szosy. Figurkę Chrystusa Frasobliwego zobaczyłam w ostatniej chwili. Za nią, niedaleko, odbijała pod górę żwirowa droga. Skręciłam i jechałam bardzo powoli, bo z drogi wystawały ostre kamienie. Mozolnie pokonywałam kilometr za kilometrem. Już zaczęłam podejrzewać, że się zgubiłam, gdy zobaczyłam pierwszą chałupę. Chałupę właśnie, nie dom. Była drewniana i zdewastowana, wyraźnie opuszczona. Trochę dalej, w głębi, stała druga, taka sama. Nie, to nie może być tutaj! Na pewno zabłądziłam!

Byłam bardzo zdenerwowana, kurczowo ścisnęłam kierownicę w spoconych dłoniach.

Po chwili minęłam trzeci dom. Ten był zadbane, choć dość ubogi. Zaczęły szczekać psy. Nie widziałam żadnej tablicy z numerem, nie byłam pewna, czy jestem w dobrym miejscu. Zatrzymałam samochód i postanowiłam zapytać o drogę mieszkańców jedyne w zasięgu wzroku zamieszkanego domu.

Podeszłam do furtki, ale jej nie otworzyłam, bo po podwórku biegały dwa psy i ujadły przeraźliwie. Rozejrzałam się po obejściu, ale nikogo nie było. Nie wiedziałam, co robić. Trochę było mi straszno na tym odludziu. Wąska droga, kilka opuszczonych domów i poza tym nic ani nikogo. Co robić? Zawróciłam do samochodu i ruszyłam. Postanowiłam przejechać jeszcze kawałek i zobaczyć, co jest dalej.

Zrobiłam może z pół kilometra i droga skończyła się drewnianą bramą, za którą stał drewniany dom. Brama była zamknięta. Za domem ciemniał gęsty las. Tak jak w poprzednim gospodarstwie zajrzałam na podwórko przez ogrodzenie. Nikogo, nawet psa. Okna w domu stojącym szczytem do bramy zasłaniały stare firanki. Obejście było zadbane, chociaż sprawiało wrażenie opuszczonego. Zaryzykowałam i weszłam, zostawiając uchyloną furtkę, na wypadek gdybym musiała zmykać. Nic się nie wydarzyło.

– Jest tu kto?! – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi.

Rozejrzałam się. Na płocie do góry dnem, zatknięte na sztachetach, sterczały jakieś osmolone stare garnki. Przy pustej chyba obórce leżała kupka śmieci rozgrzebywana przez dwie sroki.

Nikogo nie było. Śmieiej podeszłam do ganku i zastukałam w szybę. Nic. Cisza.

– Jest tu kto?! – na wszelki wypadek zawołałam jeszcze raz.

Podeszłam do okna i osłaniając oczy rękami, usiłowałam zajrzeć do środka. W mroku majaczyły jakieś meble i przedmioty, poza tym nic. Na parapecie dostrzegłam zniszczoną tabliczkę – „Terka, ul. Podleśna 4. A. i W. Makaruk”.

Oparłam się o szorstką ścianę ganku. A więc dotarłam do właściwego miejsca. Serce biło mi gwałtownie. Nie wiedziałam, czy jestem rozczarowana, czy właśnie tego się spodziewałam. Obejście sprawiało wrażenie, jakby ktoś stąd odszedł dopiero niedawno. Może mama? Ale kim byli Makarukowie, których inicjały widniały na tabliczce? Może dom należał do brata mamy, mojego wujka? Nie, przecież wujek miał na imię Mikołaj. Pewnie chodzi o moich dziadków. Czyli był to rodzinny dom mojej mamy.

Poczułam się, jakbym była u siebie. Usiadłam na schodkach ganku i myślałam, co zrobić. Rozglądałam się po podwórku. Do srok rozgrzebujących śmieci dołączyła wrona. Wstałam i zajrzałam do obórki. Pusto. I to chyba od dawna. Ptaki rozpierchły się, kiedy je mijałam. Z drugiej strony domu do bocznej ściany przylegała drewnutnia. Drewno tam złożone zajmowało nieco ponad połowę miejsca. Za drewnutnią studnia z żelaznym kołowrotem przykryta prowizorycznie jakąś blachą, na niej wyszczerbione wiadro na łańcuchu. Ubogo tu, pomyślałam. Żadnego ogródka. Smutno. Nie ma sensu siedzieć tu dłużej. Nie zanosило się, że ktoś przyjdzie.

Starannie zamknęłam za sobą furtkę, z trudem zawróciłam samochód i równie wolno, jak tu dotarłam, odjechałam. Postanowiłam wrócić tu jutro. Może kogoś zastanę.

W drodze powrotnej zatrzymałam się przy kościele. Zaparkowałam niedaleko bramy cmentarnej i wysiadłam. Pomyślałam, że jeśli mama nie żyje, to znajdę jej grób tutaj. Powoli weszłam w alejkę. Mijałam groby i nieznane nazwiska. Przy niektórych nie wiadomo dlaczego zatrzymywałam się dłużej.

Dotarłam do starszej części cmentarza. Nagrobki były stare i zniszczone, zaniedbane. Pewnie już nie było nikogo, kto by o nie zadbał. Poprzekrzywiane drewniane krzyże, chwasty na grobach, blaszane tabliczki z nieczytelnymi napisami.

Rozejrzałam się po cmentarzu – nie było widać nikogo, kto odwiedzałby groby swoich bliskich. Poczułam się nieswojo. Trzeba wracać, pomyślałam zawiedziona i rozczarowana i skierowałam się do wyjścia.

I wtedy zobaczyłam ten nagrobek. Zwykłe, tanie lastryko z napisem: „Anna Makaruk” i zaraz niżej: „Wasył Makaruk”. Czyżby to moi dziadkowie? Zatrzymałam się. Babcia przeżyła dziadka o dziesięć lat. Imienia i nazwiska mojej mamy nie było. Ale to jeszcze nic nie znaczyło.

Grób był stary i niezbyt zadbany, ale nosił ślady czyichś wizyt. Ktoś tu przychodził, wskazywały na to skorupy wypalonych zniczy i zeschnięte badyle w słoiku. Pomodliłam się nad grobem moich nieznanych dziadków i ruszyłam dalej.

Natknęłam się także na zbiorową mogiłę trzydziestu jeden Ukraińców zamordowanych dziewiątego lipca 1946 roku. Jakie to smutne. Haniebna karta naszej powojennej historii.

Byłam bardzo poruszona tym znaleziskiem. Zmówiłam krótką modlitwę i ruszyłam do wyjścia. Z pewnością tutaj też wrócę, postanowiłam.

Teraz jednak chciałam wejść do kancelarii kościelnej. Obeszłam budynek kościoła i znalazłam właściwe drzwi. Nacisnęłam kłamkę. Zamknięte. Rozejrzałam się wokół – nikogo nie było. Poczułam się jak w jakimś horrorze. Tylko ja i wszędzie pustka. Atmosfera wymarłego miasteczka nie sprzyjała dobremu

samopoczuciu. Za nowym kościołem z czerwonego klinkieru stał stary kościół. Dwa kościoły w jednym miejscu? Zajrzałam do przewodnika zabranego z recepcji hotelu w Lesku. Przeczytałam: „Kościół filialny, rzymskokatolicki, pw. Matki Bożej Szkaplerznej. Zbudowany w stylu neogotyckim w latach 1930–1932. Świątynia przetrwała drugą wojnę światową i do dziś służy mieszkańcom Terki. W kościele znajduje się ludowy krzyż procesyjny z pierwszej połowy XIX w. Obok kościoła Matki Bożej Szkaplerznej został wzniesiony nowy kościół z czerwonego klinkieru, w którym znajduje się odrestaurowany zabytkowy ołtarz z XVIII w. przeniesiony z kościoła w Wołkowi. Obie świątynie stoją koło starego cmentarza, na którym znajduje się zbiorowy grób zamordowanych Ukraińców”.

Ciekawe.

Pokręciłam się jeszcze trochę wokół kościołów i cmentarza w nadziei, że wreszcie ktoś się pojawi, ale na próżno. Dochodziła trzecia.

W drodze powrotnej do Leska zatrzymałam się na chwilę przy wyjeździe z Terki. Przydrożny bar, kiełbaski z rusztu, smażalnia ryb, piwo. Nic ciekawego. Niewielki ruch, sprzedający widocznie nietutejsi, jak sklepowa w Terce. Postanowiłam pojechać do Polańczyka.

Jechałam wolno, urzeczona pięknem Jeziora Solińskiego. Wszędzie, aż po horyzont, bieliły się żagle.

Obiad zjadłam na tarasie restauracji z widokiem na zalew. Upajałam się tym, co widzę. Było tak energetycznie, a jednocześnie uspokajająco. Uśmiechałam się do całego świata i nabrałam pewności, że uda mi się zrealizować to, po co tu przyjechałam. Nie martwiłam się dzisiejszym, bezowocnym dniem. Jutro na pewno będzie lepiej.

Do hotelu w Lesku wróciłam dość późno, bo zasiedziałam się w Polańczyku. Muszę rozważyć, czy nie przenieść tam swojej bazy wypadowej do poszukiwań mamy. I piękniej, i bliżej.

Nazajutrz Terka przywitała mnie przelotnym deszczem. Była sobota, turystów jakby więcej kręciło się po okolicy. Postanowiłam najpierw zajrzeć do kościelnej kancelarii. Może szczęśliwym trafem kogoś w niej zastanę?

Niestety, drzwi były zamknięte, tak jak wczoraj. Zawiedziona usiadłam na schodkach świątyni. Strasznie trudno zastać księdza proboszcza. A jeśli ktoś potrzebuje posługi duszpasterskiej?

Pojechałam na Podleśną. Samochód wolno toczył się po zwirowej drodze. Gdzieś tam, między gęstymi gałęziami drzew przeświecało słońce, chwilami mnie oślepiając. W obejściach nic się nie zmieniło. Ani śladu czyjejś obecności.

Pochodziłam trochę po okolicznym lesie i wróciłam pod kościół. Tym razem drzwi kancelarii były otwarte na oścież. Ucieszyłam się.

W pomieszczeniu kręcił się starszy mężczyzna, bez sutanny i bez koloratki.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziałam w progu.

Mężczyzna obejrzał się.

– Na wieki wieków, na wieki wieków – odpowiedział, skinąwszy głową. – A skąd Bóg prowadzi? I dokąd? – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Ksiądz proboszcz będzie jutro, najlepiej przyjść do niego po mszy.

– Aha – bąknęłam. – To przyjdę jutro, po mszy. Dziękuję.

Wycofałam się. No to się dowiedziałam, parsknęłam śmiechem.

Stałam przy samochodzie, nie wiedząc, co zrobić. Poszukiwania na razie nie przyniosły wielkich rezultatów. Dom odnalazłam, ale co dalej?

Tymczasem mężczyzna z kancelarii, pewnie kościelny, stanął na schodkach i zapalił papierosa. Ciekawe, czy miejscowy. Może zagadnę?

Uśmiechnął się do mnie, kiedy podeszłam.

– Pani, widzę, z daleka. Wskazał głową na rejestrację. – Szuka kogo, a?

– Szukam, szukam. – Przytaknęłam. – Jak na razie bez skutku. A pan może miejscowy?

– A tutejszy. – Splunął pod nogi. – Tu się urodził, tu żył i tu pomrę. Tu ojce moje leżą. Na co mi we świecie być. – Zapatrzył się w odległe góry. – Tu moje miejsce. A kogo szuka? Może ja znam?

Zabiło mi serce.

– Ludmiły Makaruk. – Nie wiem, jak udało mi się wymówić to nazwisko nagle zeszywniałymi wargami. – Zna pan?

– A znam. Co nie mam znać? Ale Makaruki poszły stąd do Leska. Mikołaj zabrał siostrę, kiedy stare pomarli. Co miała sama tu robić? Ona we świecie była, bardziej już miastowa, kiedy wróciła. A i Mikołaj sam, bo kobita go zostawiła. Oj, pił on, pił, nie dziwota, że zostawiła. – Zaciekawiona słuchałam tej opowieści. – Miłka nie chciała iść, ale źli ludzie życ nie dali. Mówili, że tam, w mieście za mąż poszła i chłopą swego zostawiła, i dziecko. Nie godzi się to.

Nie wiedziałam, co się nie godzi, czy dokuczać kobiecie, nie znając prawdy, czy zostawić chłopą i dziecko. Kościelny jakoś nie wspomniał o moim wuju Mikołaju, że się nie godzi pić tak, że żona odchodzi. Nawet powiedział, że się nie dziwi.

– Póki ojce żyli, nie dali krzywdy dziewczynie zrobić, ale jak pomarli... – Nie dokończył. – Ludzie pamiętliwi są – dodał. Szczególnie jeden zawzięty był, od Łukaszuków Szczepan. Nie mógł Miłce darować, że go zostawiła. Obiecała wrócić i wyjść za niego, po słowie byli. Czekał na nią, aż wróciła, ale zameżna, ino bez chłopą. – Zaśmiał się skrzekliwie. – Nie chciał jej wybaczyć. Nachodził w domu, lżył, dziewczyna bała się na podwórko wyjść. A on z rozpachy pił na umór. Kiedyś po pijaku kamieniami ją obrzucił, aż w szpitalu leżała, nie wiedzieli, czy się z tego wyliże. Już nigdy nie była taka jak przedtem. W głowę dostała, rękę potem miała nie całkiem sprawną i utykała. Do sanatoriów ją wozili, ale niewiele pomogło. Szczepana wtedy do tury wzięli. Mikołaj, brat Miłki, wściekł się i ledwo go utrzymali, żeby się na niedoszłego szwagra nie rzucił. Szczepan pięć lat w turmie spędził. Wrócił i się przyczaił, grzeczny, usłużny. Ino wilkiem wciąż patrzył. A jak stare Makaruki pomarły, najpierw stary, potem stara, to znowu zaczął dokuczać Miłce. Nie darował, przez tyle lat nie darował. – Pokiwał głową.

Słuchałam opowieści kościelnego i nie mogłam powstrzymać łez.

Chłop rzucił peta pod nogi i rozgniół butem.

– A ona to kto?

Nie zrozumiałam.

– Pani znaczy – wyjaśnił. – Kto ona?

Co mu miałam powiedzieć?

– Jestem Michalina Piotrowska.

Zagapił się na mnie.

– Babce Miłki i Mikołaja było Michalina – rzekł powoli po chwili. – Pani Suchodolskiej.

No tak, przecież moja babcia popełniła mezalians.

– I co dalej było z Ludmiłą? – zapytałam, żeby nie przyglądał mi się tak badawczo. Nie chciałam, żeby się domyślił, kim jestem.

– Ano, brat ją zabrał do siebie, do Leska. Miłka nie chciała. Tu jest moje miejsce, mówiła, a on się uparł. Nie zostawię, krzyczał, na pokusę temu łotrowi, jeszcze ci co robi. Już dosyć nieszczęścia, wołał. Co miała zrobić? Pojechała. Mikołaj akurat sam został. Jakżem mówił, kobita go zostawiła, zabrała jedyne syna, podrostka jeszcze, i do Rzeszowa pojechała. Na odjezdne powiedziała mu, że nie będzie z pijakiem życia dzielić ani nie pozwoli, żeby dziecko patrzyło na pijaństwo ojca. I tyle ją widział. Siostra poprowadziła dom bratu. Mikołaj milicjantem był, teraz na emeryturze. Nieźle im się żyje. Czasem tu przyjeżdżają – kontynuował. – Szczególnie latem.

– Ale teraz ich nie ma – weszłam mu w słowo. – Dwa razy byłam, nikogo nie ma.

– Ano nie ma. – Potwierdził. – Ano nie ma. Ale jak chce się z nim spotkać, to niech jutro przyjedzie.

Z rana. Na pewno będzie.

– Jest pan pewien? – Ucieszyłam się.

– A co nie mam być pewien? – zdziwił się. – Ino niech rano przyjedzie, bo potem to jego nie będzie.

No, do widzenia! – Pożegnał się i wszedł do kancelarii.

– Dziękuję panu! – zawołałam ucieszona. – Serdecznie dziękuję!

– A nie ma za co, nie ma za co. – Staął w drzwiach i przyglądał się, jak wsiadam do samochodu.

Kiedy zawróciłam na placu przy kościele, jeszcze zszedł ze schodków i zawołał, gdy ruszyłam:

– Panina mamusia chora teraz jest!

Gwałtownie wcisnęłam hamulec.

– Co pan powiedział? – Byłam wstrząśnięta.

– Chora jest. W Lesku. Dlatego chałupa pusta. Niech przyjedzie jutro do wuja. Ucieszy się – zawołał i wszedł do kancelarii, zamykając drzwi.

Oszołomiona tym, co powiedział, stałam jeszcze chwilę przy kościele. Potem powoli ruszyłam w kierunku Leska.

W hotelu natychmiast zadzwoniłam do Waldka, żeby podzielić się z nim rewelacjami usłyszanyimi od kościelnego. Opowiedziałam mu wszystko jednym tchem.

– Michaś! – wołał do słuchawki. – To są bardzo dobre wieści! Może już jutro uda ci się z nią spotkać!

– Wiem i okropnie się boję, chociaż gdybym mogła, poleciałabym do niej już dziś!

– Ale wytrzymasz?

– A co mam zrobić? Przecież nie wiem, gdzie mieszkają! No widzisz, jaka głupia jestem? – Nagle mnie olśniło. – Przecież mogłam go zapytać, czy wie, gdzie w Lesku mieszkają, a nie zapytałam!

– Wcale głupia nie jesteś. Zaskoczył cię, to nie zapytałaś – tłumaczył cierpliwie. – Ale może i dobrze, przygotujesz się do tego spotkania.

Nie wiem, czy można było się przygotować. Im dłużej o tym myślałam, dochodziłam do przekonania, że nie.

Następnie zadzwoniłam do Agi.

– No nareszcie! – Usłyszałam zamiast powitania. – Już myślałam, że znowu o mnie zapomniałaś!

– Aga, posłuchaj! – Znowu się nakręciłam i nie dając jej dojść do słowa, opowiedziałam całą historię Ludmiły i moich poszukiwań.

– O mój Boże, Michasiu, jakie to smutne! – Rozczuliła się. – Ile nieszczęść przytrafiło jej się w życiu!

Płakałyśmy obie.

– Postaram się jej to wynagrodzić. O ile oczywiście zechce. – Chlipałam.

– Na pewno zechce. – Odchlipała Aga. – Przecież jest twoją mamą.

Ale ja nie byłam tego taka pewna.

– To w takim razie dlaczego nie odpisała na mój list?

– Słuchaj, a może wcale go nie dostała? Może twój wujek zatrzymał list i wcale go jej nie dał?

Kościelny nie mówił, na co jest chora?

– Może masz rację. Nie wiem, jak wytrzymam do jutra.

– Wytrzymasz. Nie masz wyjścia. I pamiętaj, informuj mnie na bieżąco!

Pożegnałyśmy się.

Z podekscytowania nie mogłam spać. Stałam w oknie i gapiłam się na panoramę miasta. Czas włókł się niemiłosiernie, bardzo chciałam, żeby już było rano.

O pierwszej położyłam się do łóżka i patrzyłam w sufit. Rozmyślałam o mojej mamie. Aga miała rację, strasznie dużo nieszczęść ją spotkało.

Usnęłam.

Zerwałam się o siódmej i pobiegłam na śniadanie. O ósmej byłam już w drodze do Terki. Ręce mi się trzęsły i pociłam się obficie. Już niedługo, myślałam, już za chwilę.

Skręciłam w Podleśną i zwolniłam. Było tu ponuro jak poprzednio, nie wiem, dlaczego oczekiwałam, że dzisiaj będzie słonecznie i jasno.

Zaparkowałam przy bramie domu moich dziadków. Przez furtkę weszłam na podwórko. Drzwi na ganek były otwarte. Zabiło mi serce i stanęłam. Patrzyłam, jak z wnętrza domu wychodzi starszy, chudy, nieogolony mężczyzna o ponurym spojrzeniu, zwabiony zapewne trzaśnięciem drzwi samochodu. Stał w drzwiach i przyglądał mi się zaintrygowany.

– Jestem Michasia, wujku – powiedziałam wreszcie.

Zbladł i zachwiał się, ale podparł się o futrynę, a prawą rękę położył na sercu.

– Boże mój – wyszeptał. – Więc to prawda!

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Nie wiedziałam, co mam dalej robić, co powiedzieć, więc stałam w milczeniu. Wreszcie ruszył do mnie chwiejnym krokiem i wyciągnął obie ręce.

– Dziewczyno miła.

Podałam mu rękę.

– Dziewczyno nasza. A toś się wreszcie odnalazła! – Przygarnął mnie do siebie i przytulił. Pachniał papierosami i czymś jeszcze, ale ze wzruszenia nie wiedziałam czym. – Że też matka nasza tego nie doczekała i ojciec. A to się Ludzia ucieszy, a to się ucieszy! – Płakał, zanosząc się szlochem.

Płakałam razem z nim.

– Ale wchodźże, wchodź do domu! – Już zapraszał mnie do sieni i dalej, do kuchni. – Jak nas znalazłaś?

– Na listach mamy był adres – wychrypiałam. – Najpierw napisałam list do mamy, ale nie odpisała, więc postanowiłam przyjechać.

– Napisałaś list do mamy, mówisz – zafrasował się.

– Napisałam. Półtora miesiąca temu.

– No tak, to teraz wszystko rozumiem. – Pokiwał głową.

Ale ja nie rozumiałam, o czym on mówi.

– To znaczy?

– Bo ten list przyszedł, ale go już nie ma.

– Jak to nie ma? – Wybałuszyłam oczy ze zdziwienia.

– Widzisz, Michasiu, jakiś miesiąc temu znalazłem twoją mamę nieprzytomną na tym podwórku. Nie wiedziałem, co się stało. – Przeraziłam się.

– Karetka zabrała ją do szpitala, do Leska. Miała udar.

Krzyknęłam i przyłożyłam dłoń do ust.

– Po kilku dniach odzyskała przytomność i pomalutku wraca do zdrowia. I wciąż mówi o liście od ciebie. Ale listu nie ma. Mówi, że nawet go nie przeczytała. Myślałem, że w głowie jej się pomieszało. – Włączył elektryczny czajnik. – Napijesz się herbaty?

Kiwnęłam głową.

– A teraz, jak mówisz, że list napisałaś, to myślę, że wiem, co się stało. – Powoli szykował staromodny imbryk, nasypał herbaty i zalał wrzątkiem. Przygotował szklanki w metalowych, ozdobnych uchwytach i usiadł. – Ludzia otworzyła list na podwórku – odkaszlnął – i pewnie jak zobaczyła od kogo, zasłabła i upuściła list, a wiatr rozwiął kartki i kopertę. Dlatego listu nie było i wszyscy myśleli, że Ludzia fantazjuje. Często jej się to zdarzało, odkąd wróciła z Warszawy. Ostatnio coraz częściej.

– Pewnie tak było. – Patrzyłam, jak nalewa do szklanek esencję i zalewa wrzątkiem. – I dlatego nie

doczekałam się odpowiedzi. Biedna mama. Nawet nie wie, co napisałam.

– Ale powiedz, dziecko, dlaczego odezwałaś się dopiero teraz? Straciliśmy już nadzieję, że kiedykolwiek się z tobą spotkamy.

– Ach, wujku, to długa historia. – Spostrzegłam, że sprawia mu przyjemność, gdy mówię do niego wujku. – Ja nie dostałam ani jednego listu od mamy!

Uniósł w zdziwieniu brwi.

– Niestety, to prawda. Znalazłam je dopiero teraz. – Zdecydowałam na razie nie wdawać się w szczegóły. – I postanowiłam napisać. Resztę historii już znasz. – Pokiwał głową.

– Dawno przyjechałaś? – Spoglądał na mnie spod oka. Trochę mnie to krępowało.

Upiłam łyk herbaty.

– Kilka dni temu. Zatrzymałam się w hotelu, w Lesku. Przyjeżdżałam tu codziennie, ale bezskutecznie. Dopiero wczoraj dowiedziałam się więcej w kościele.

– W kościele? – zdziwił się. – A od kogo?

– Chyba od kościelnego. Księdza nie udało mi się spotkać.

– A, od Maksyma Łukaszuka – mruknął.

– Łukaszuka? – Poderwałam głowę. – TEGO Łukaszuka?

– Nie, nie tego. Ale z tych. – Roześmiał się. – To brat stryjeczny Szczepana. Widzę, że poinformował cię bardzo szczegółowo.

– Brat Szczepana? – Byłam zdumiona. – No opowiedział mi dużo, to prawda. Nawet domyślił się, kim jestem. A co się dzieje ze Szczepanem?

– Maksym to dobry człowiek, nie to co Szczepan. – Pociemniały mu oczy i na szyi wykwitł rumieniec. – Nieraz zastanawiałem się, jak oni mogą być spokrewnieni. Chociaż Szczepan kiedyś taki nie był. Dopiero później się zmienił.

– To co się z nim dzieje? – zapytałam ostrożnie.

– Siedzi w więzieniu – odparł. – Dlatego Ludzia znowu może tu przyjeżdżać.

– Jeszcze za tamto? – Maksym chyba mówił, że Szczepan wyszedł po pięciu latach, ale może czegoś nie dosłyszałam.

– Nie, tamto odsiedział i już dawno wrócił. Teraz siedzi za kradzież i napad z bronią w rękę. W więzieniu za pierwszym razem wpadł w naprawdę złe towarzystwo. Dostał dwanaście lat, prędko nie wróci. Wszyscy odetchnęli, jak go zabrano. Jego rodzina też. Ale ja tu gadam, a ty pewnie bez śniadania przyjechałaś. Zaraz jajecznicę usmażę, dostałam jajka od sąsiadki.

Zakrzętnął się przy palenisku, rozpałił ogień i wyjął patelnię. Wprawdzie jadłam śniadanie w hotelu, ale po przeżyciach i wzruszeniach poranka byłam głodna i nabrałam apetytu na jajecznicę z wiejskich jajek. I na dodatek w towarzystwie mojego świeżo odnalezionego wujka.

Patrzyłam na jego krzątanie i rozglądałam się wokół. Widziałam zniszczony stary kredens, stół i dwa krzesła nie od kompletu, żeliwny zlew. Nad piecem półki z przyprawami. W głębi drzwi, chyba do pokoju. W oknie stare, gęste firanki. Ubogo.

Niewiele rozmawialiśmy, jedząc. Oboje byliśmy onieśmieleni.

– A co u ciebie? Gdzie mieszkasz? – zapytał wreszcie.

– W Warszawie. To znaczy teraz chcę się przenieść na wieś. Właśnie remontuję dom po babci.

– Z Warszawy wynosisz się na wieś? – Był naprawdę zdziwiony. – A masz pracę na tej wsi?

– Szczęśliwie, wujku, nie muszę pracować. Mąż zostawił mi mnóstwo pieniędzy. Ale myślę o założeniu własnej firmy z koleżanką do spółki.

– Co to znaczy, że mąż zostawił ci pieniądze? – Jego spojrzenie było jakieś takie bez wyrazu.

– To znaczy, że zapisał mi w testamencie. Nie żyje.

Był zdumiony, jakby trudno mu było to przyjąć.

– Wcześniej owdowiałaś.

– Takie życie.

Nie byłam jeszcze gotowa, żeby mu opowiedzieć moją historię. Teraz głowę miałam zaprzątniętą moją mamą. Popijałam herbatę i zastanawiałam się, jak zagaić.

– Opowiedz mi o mamie – poprosiłam. – Jaka jest?

– Niedługo sama zobaczysz. – Uśmiechnął się. – Jeszcze leży w szpitalu. Najpierw sam do niej pójde i przygotuję do twoich odwiedzin, dobrze? Boję się, żeby znowu nie zasłabła. Udar był dosyć silny. Chciałbym, żeby jeszcze trochę pożyła. Szczególnie teraz, kiedy ty się odnalazłaś.

– Dobrze, wujku – zgodziłam się.

– Nie jesteś do niej podobna. Chyba raczej do ojca. Ludzia zawsze tak mówiła.

Zebrał talerze i szklanki i wstawił do zlewu.

– Macie tu bieżącą wodę?

Pamiętałam, że za domem widziałam studnię.

– Mamy, tylko pompa jest zepsuta. Wodę muszę przynosić ze studni i grzać w czajniku. Przyjeżdżam tu teraz tylko w sobotę i w niedzielę. Czasem na noc zostanę, ale odkąd Ludzia w szpitalu, wracam do domu. – Zawinał rękawy i wziął się do sprzątania. – Bez Ludzi to pusty dom – dodał cicho.

Patrzyłam na ściany z obrazkami, na sprzęty i zastanawiałam się, co jest za zamkniętymi drzwiami. To tutaj mama pisała do mnie listy, tutaj żyła zraniona przez męża. Tutaj cierpiała z powodu tęsknoty, bez nadziei i prześladowań tego Szczepana. Wujek chyba zobaczył moją ciekawość, bo powiedział:

– Możesz się rozejrzeć, jesteś przecież u siebie.

Ale ja nie czułam się jak u siebie. Oglądałam naczynia ustawione w kredensie, stare talerze i kubki w niebieskie kwiatki. Musiały być bardzo stare, bo na niektórych zatarł się wzorek. Za szybką świąteczne filiżanki, od kompletu, wyraźnie mało używane, bo wyglądały jak nowe.

Podchodziłam do obrazków porozwieszanych na ścianach – ładne grafiki, akwarelki, pastele.

– To prace twojej mamy – rzucił wujek, wycierając ręce. – Pięknie rysuje.

To prawda, były piękne.

– Chodź, zobacz jej pokój. – Otworzył zapraszająco zamknięte dotąd drzwi.

Weszliśmy do pokoju, najwyraźniej gościnnego, bo wujek poprowadził mnie dalej, do drzwi ukrytych w głębi za trzydrzwiową szafą.

Pokój był zwyczajny, z zasłonkami w kwiatki, z łóżkiem nakrytym szydełkową narzutą. Na ścianach wisiało mnóstwo portrecików małej dziewczynki.

– To chyba ja... – Zauważyłam podobieństwo do siebie w dzieciństwie.

– Ano ty. Portretowała cię taką, jaką zapamiętała. Długo nic innego nie rysowała.

Niesamowite! Patrzyłam na siebie w różnych sytuacjach – jak śpię, bawię się lalką, pracowicie lepiej babki z piasku. Na każdym portreciku śmiałam się radośnie do kogoś. W ogóle nie płakałam? Niemożliwe! O! Jest jeden rysunek, na którym przytulam misia i mam buzię skrzywioną w podkówkę.

– Ten pokój to jak moje sanktuarium. – Byłam naprawdę zdumiona.

– Żebyś wiedziała. Dobrześ to określiła. Zobacz tutaj. – Podeszedł do okna, gdzie dopiero zauważyłam zakryte sztalugi. Delikatnie zdjął z nich płótno. Moim oczom ukazał się obraz, akwarela chyba, przedstawiający mnie i moją mamę. Jeszcze młodą, piękną i szczęśliwą.

– Piękne! – Nie mogłam oderwać oczu od obrazu. – Naprawdę piękne! Nikt mi nigdy nie mówił, że mama tak pięknie rysowała. W ogóle niewiele o niej wiem.

– Nie dziwota. – Wujek też nie odrywał wzroku od obrazu. – Ludzia była śliczna w młodości. Później też – dodał. – Gdyby chciała, na pewno ułożyłaby sobie jeszcze życie. Kręciły się koło niej chłopcy, ale

ona uparcie nie chciała. I matka jej tłumaczyła, i ojciec, ale ona nie i nie. Kocha Stefana, powiada, i nic tego nie zmieni.

Byłam naprawdę zaskoczona tym, co wujek mówił. I bardzo wzruszona. Gdyby ojciec wiedział. Prze stań, przecież wiedział! Nakrzyczałam sama na siebie. No właśnie. Nic by to nie zmieniło. Kochał przecież Mariannę.

Zasepiłam się, myśląc o zawłóściach ludzkich uczuć i przewrotności losu. Ona kochała jego, on kochał inną, ze wzajemnością, ale być ze sobą nie mogli. W rezultacie tyle nieszczęśliwych osób. I po co to wszystko?

– A co u twojego taty?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– W porządku. Niedawno wrócił z Kanady.

– To był za granicą – zamruczał tak jakoś śpiewnie. – A wiesz, że my się nawet nie znamy?

– Wiem. Powiedział mi.

– A powiedział ci, co się między nimi wydarzyło?

Pokiwałam głową.

– Dopiero jak te listy znalazłam, wszystko mi powiedział. Przedtem nic nie wiedziałam.

– A dlaczego nie dał ci ich? Bał się?

– To nie on, wujku. To babcia. – Przykro mi było to mówić. – Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Ojciec twierdzi, że jemu też nic nie powiedziała, nic nie wiedział.

– A... – Zamilkł. – A nie chciał się ożenić z tą... drugą kobietą?

Widziałam, że zadanie tego pytania przyszło mu z trudem.

– Nie. Zresztą i tak nie mogli, zbyt bliskie pokrewieństwo. No i ona zmarła niedługo potem.

Nie chciałam mu mówić, że popełniła samobójstwo. Po co?

– Ech, życie – westchnął. – Kto by pomyślał, ile nieszczęść przez to wyszło...

Nie dokończył myśli, a ja nie pytałam.

– Pewnie będziemy się zbierać. Południe zaraz. Zabierzesz mnie do Leska?

– No pewnie! – Ucieszyłam się. – Zawiozę cię wszędzie, gdzie zechcesz.

– Tylko do Ludzi, od razu do niej pójde. Możesz poczekać u mnie w domu, to niedaleko szpitala.

Wszystko ci opowiem, jak wrócę.

– Nie, wujku, dziękuję. Pojadę do hotelu, tak będzie lepiej.

Chciał zaprotestować.

– Zadzwoń do mnie, jak wrócisz, i wtedy do ciebie przyjdę, tylko pokażesz mi gdzie. Albo ja zadzwonię.

– No dobrze, może masz rację.

Zamknął dom i furtkę, wsiedliśmy do samochodu. Kiedy mijaliśmy kościół, zobaczyłam na schodach Maksyma Łukaszuca. Palił papierosa i przyglądał się przejeżdżającym samochodom. Nie wiem, czy mnie rozpoznał.

Podwiozłam wujka pod same drzwi szpitala. Przedtem pokazał mi, gdzie mieszka. Patrzyłam, jak znika we wnętrzu i siłą woli hamowałam się, żeby nie pobiec za nim. Tak blisko, tuż-tuż jest moja mama!

Zawróciłam. Rozumiałam, że nie powinnam dziś tam iść.

W hotelu natychmiast zadzwoniłam do Waldka i zaczęłam zdawać mu ze wszystkiego relację.

– Poczeka, Michaś – przerwał mi. – Włączę cię na głośnomówiący, to wszyscy posłuchamy. Siedzimy w domu, bo dzisiaj okropnie leje.

– Dzień dobry, córeczko!

– Cześć, Michasia! – zawołała Marcelina.

– Opowiadaj!

Opowiedziałam wszystko po kolei. Nie ukrywałam niczego.

– I czekam teraz na telefon od wujka Mikołaja – zakończyłam. – Gdzieś trzasnęły drzwi.

– Tata się popłakał – szepnęła Marcysia.

– Marcyś, leć za nim – zawołałam. – Niech nie będzie teraz sam. Dziś już nie ma się co obwiniać, niczego już nie zmienimy.

– Pobiegła – poinformował mnie Waldek.

– To dobrze.

– Smutna historia, Michasiu. Też jestem wzruszony.

– Smutna. Ja wciąż płaczę, kiedy o niej myślę. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co ona przeżyła przez te wszystkie lata.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, a potem zostałam sama ze swoimi myślami. W łóżku analizowałam wszystko od początku. Gdyby to, gdyby tamto. Ech, do cholery, pomyślałam, po co gdybać. Kto wie, co by się wydarzyło, gdyby ktoś postąpił inaczej. Po co komu dzisiaj ta wiedza?

Musiałam zasnąć, bo dzwonek telefonu poderwał mnie z łóżka. Serce waliło mi jak oszalałe, nie wiedziałam, gdzie jestem. Spojrzałam na wyświetlacz – to wuj Mikołaj.

– Halo, wujku?

– To ja, Michasiu, wujek – był znowu skrupowany. – To przyjdź do mnie, wszystko ci opowiem – odchrząknął.

Czyżby coś poszło nie tak?

– Wujku, ale wszystko w porządku? Jak to przyjęła?

– W porządku, w porządku – uspokajał mnie. – Trochę się zdenerwowała, aż lekarz przychodził, ale w porządku. Tylko wciąż płakała.

– Już do ciebie idę. Niedługo będę.

Zastanawiałam się, czy jechać samochodem, czy iść pieszo, ale ostatecznie zdecydowałam, że wezmę samochód. Nie znam miasta, może przyjdzie mi wracać późno. Lepiej podjechać.

Po dziesięciu minutach dotarłam do domu wujka. Mieszkał w powojennej kamienicy, na trzecim, ostatnim piętrze. Mieszkanie było przestronne, widne i ciekawe architektonicznie. Urządzone skromnie, ale ze smakiem. Meble, peerelowskie, były zadbane, choć niemodne. Wyraźnie widać było tu kobiecą rękę. A ponieważ żona zostawiła wujka już jakiś czas temu, o czym wiedziałam, wygląd tego wnętrza był zapewne zasługą mojej mamy.

Rozglądałam się ciekawie po przedpokoju, zajrzałam przez otwarte drzwi dalej.

– Chodź na razie do kuchni, zrobię coś do picia! – zawołał mnie wujek. – Potem przeniesiemy się do pokoju.

– Możemy zostać w kuchni. Ja lubię siedzieć w kuchni – powiedziałam. – To centrum całego domu.

Chciałam opowiedzieć o tym, jak u Waldka w domu życie koncentruje się przy kuchennym stole, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Jeszcze na to nie pora.

– Trochę nie wypada, żeby siostrzenicę pierwszy raz podejmować w kuchni – mówił i robił herbatę tak samo jak w Terce. Najpierw zaparzył esencję w małym czajniczku, a potem rozlał ją do szklanek w miedzianych uchwytach i dopełnił gorącą wodą. Zawahał się, ale ostatecznie postawił szklanki na kuchennym stole.

– A niech tam. – Machnął ręką. – Też lubię siedzieć w kuchni. I Ludzia też. Znaczy, ty nasza krew. – Zaśmiał się.

Herbata była mocna, aromatyczna. Już zapomniałam, jak smakuje pita ze szklanki. Od lat do herbaty i nie tylko używałam kubków. Popijałam małymi łyчками, czekając na opowieść wujka. W końcu zaczął

mówić.

– Najpierw poszedłem do doktora, żeby go uprzedzić, że Ludzia może zasłabnąć. – Popił herbaty. – Powiedział, że dobrze zrobiłem, bo będzie gotowy, jakby coś się stało. A potem poszedłem do niej. Siedziała bidula przy oknie i wyglądała na boży świat. Bardzo chce już do domu wrócić, wciąż o tym mówi. I ja bym chciał. Ale co zrobić, jak nie całkiem zdrowa jeszcze. Lekarz nie wyraża zgody. Mówi, jeszcze kilka dni, pani Ludmiło, jeszcze kilka dni!

Zauważyłam, że wujek ma tendencję do powtarzania niektórych zwrotów, tak jak przed chwilą.

– I wciąż te kilka dni zmienia się w tygodnie i ona tam wciąż jest. Nie wiem, dlaczego tak długo ją trzymają. Boję się, że już nigdy nie wyzdrowieje.

– Nie mów tak, wujku. Gdyby było bardzo źle i miałoby się już nigdy nie poprawić, to nie trzymaliby jej tam. – Chciałam go pocieszyć.

– Wiem, wiem. – Zasepił się. – Ale z drugiej strony rzadko się zdarza, żeby pacjenta tak długo trzymali po udarze.

– Może chcą ją jeszcze poobserwować – przekonywałam go.

– Może i tak. Ale ja sobie myślę, że oni się boją, że Ludzia sobie coś zrobi. Pilnują jej tam. Jak kiedyś.

– Co „jak kiedyś”? – zainteresowałam się.

– Twoja mama, Michasiu, kiedyś podcięła sobie żyły.

Zamarłam z przerażenia.

– Dobrze, że ją w porę znalazłem. Powiedziała potem, że nie chce żyć.

– A mówiła, dlaczego nie chce? I kiedy to było? – Zaszło mi w ustach.

– To było wtedy, kiedy listy zaczęły wracać.

Zrobiło mi się bardzo przykro. Babciu, pomyślałam, widzisz tam na górze, co narobiłaś?

– Wcześniej się martwiła, ale myślała, że docierają do ciebie, że je czytasz. A jak zaczęły wracać, to powiedziała, że ty jej na pewno nie chcesz znać i ona tego nie zniesie. No i pocięła się w lesie. Ledwie uratowali.

Nie mogłam tego słuchać. Zakryłam twarz dłońmi i zacisnęłam powieki, żeby nie płakać. Na próżno.

– Może masz rację, może dlatego ją trzymają – zgodziłam się z nim. – Ale powiedz, jak dzisiaj zareagowała?

– Najpierw myślała, że sobie z niej kpię, i nie chciała ze mną rozmawiać. Nie uwierzyła mi. A potem, jak już ją przekonałem, to zaczęła się trząść i płakać. Lekarz dał jej leki na uspokojenie, ale płakała z godzinę, jeśli nie więcej. Nie można było zrozumieć, co mówi.

– Ale co powiedziała? – nalegałam. – Zgodziła się, żebym przyszła?

– Najpierw nie. Powiedziała, że w oczy ci nie spojrzę, wstydzę się.

Żachnęłam się.

– Ale jak jej powiedziałem, że całe życie przecież czekała na tę chwilę, to znowu się rozpłakała. Mówi, wiem, Mikuś, wiem. Całe życie marzyłam, ale jak już przyszła, to się boję. I gadaj z taką – opowiadał i ocierał łzy. – Powiedziałem jej, że nie ma się czego bać, że ty nie jesteś na nią zła i na pewno zrozumiesz, bo zrozumiesz, prawda? – Upewniał się jeszcze, a ja gorliwie kiwałam głową. – Przecież specjalnie przyjechałaś tu do niej. Że list napisałaś i przyjechałaś, bo nie doczekałaś się odpowiedzi. Bo to wszystko prawda, Michasiu, prawda?

– Prawda, wujku. – Chlipałam.

– Nie płacz, dziecko – pocieszał mnie. – Będzie dobrze. Teraz już na pewno będzie dobrze.

Siedzieliśmy w milczeniu, popijając resztki wystygłej herbaty.

– Myślisz, wujku, żeby iść do niej jeszcze dzisiaj? Czy zaczekać do jutra? – Nie wiedziałam, jak mam

postąpić, i oczekiwałam rady.

– Czy ja wiem – zadumał się. – Późno już. Może idź jutro. Zresztą, jak tam chcesz. – Sam też nie wiedział, co mi poradzić. – Zrobię ci jeszcze herbaty.

– Nie, dziękuję. Chyba już pójdę. Naprawdę zrobiło się późno. Muszę sobie przemyśleć to i owo, przygotować się.

– A pewnie, pewnie. Dla ciebie to też nie jest łatwe. Pamiętasz ją trochę?

– Bardzo słabo. Raczej jako kogoś, kto koło mnie był, niż twarz. Twarzy w ogóle nie pamiętam. Mam tylko zdjęcie, które włożyła do listu.

Nie powiedziałam, że zachowałam w pamięci sylwetkę kobiety, która pochylała się nad dziecięcym łóżeczkiem i śpiewała kołysanki. Dopiero niedawno ten obraz do mnie powrócił i był chyba jednym z moich najdawniejszych wspomnień.

– Bardzo się cieszę, że ją wreszcie zobaczę. I wiesz co? Też bardzo się boję – mówiłam z uśmiechem do mężczyzny, którego od kilku godzin dopiero mogłam nazywać wujkiem.

Tylko westchnął i poklepał mnie po rękę.

– Będzie dobrze.

– Będzie dobrze – powtórzyłam za nim z mocą.

Odprowadził mnie do samochodu i pokiwał ręką na pożegnanie. Wyjechałam z osiedla i pojechałam prosto pod szpital. Siedziałam w samochodzie i nie miałam odwagi wysiąść i iść na górę. Na pewno mnie nie wpuszczą, jest późno i odwiedziny dawno się skończyły, przekonywałam samą siebie. Wprawdzie wujek mówił, że zbytnio nie pilnują, a poza tym lekarz zna sytuację, więc na pewno nie będzie się sprzeciwiał. Nawet lepiej, żeby był w pobliżu, bo nigdy nic nie wiadomo.

Wysiadłam z samochodu i przechadzałam się wzdłuż chodnika. Zrobiło się ciemno, zaczął powiewać chłodny wietrzyk. A może mi się tylko tak zdawało? Objęłam się ramionami i stanęłam przed wejściem. Raz kozie śmierć!

Przy drzwiach nikt mnie nie zaczepił. Na portierni nie było nikogo. Wspięłam się na drugie piętro, na oddział wewnętrzny. Było otwarte, więc weszłam. Korytarz długi, wyłożony zielonym, staroświeckim gumoleum. Minęłam pokój pielęgniarek, nikt mnie nie zatrzymał. Zajrzałam do pokoju lekarskiego.

– Pani kogoś szuka? – Lekarz w średnim wieku coś pisał i nie podniósł nawet głowy.

– Ludmiły Makaruk.

Natychmiast przerwał pisanie i na mnie spojrzał.

– Pani jest...

– Tak. – Nie dałam mu szansy na dokończenie tego zdania.

– Pani mama chyba teraz śpi. Dostała środek na uspokojenie, to dla niej ogromne przeżycie...

Dla mnie też, odpowiedziałam mu w duchu.

– Ale proszę zajrzeć. Pokój 35, w końcu korytarza. Tylko ostrożnie, bardzo proszę. I w razie czego proszę wołać. Ja zresztą będę nasłuchiwać.

Kiwnęłam tylko głową i poszłam.

Drzwi do sali były uchylone. Chwilęostałam z braku odwagi, a potem zajrzałam ostrożnie. Trzy łóżka. Na jednym ktoś spał, drugie puste, z odrzuconą kołdrą, pewnie pacjentka wyszła na chwilę. Trzecie łóżko było puste, nawet niepościelone.

Podeszłam po cichutku do śpiącej kobiety. Spojrzałam na historię choroby zawieszoną na łóżku. Tak. To moja mama.

Wreszcie.

Leżała na wznak i oddychała cichutko, lekko falowała jej pierś. Miała długie, siwe włosy, bardzo gęste, splecione w warkocz przerzucony przez ramię. Delikatne ręce o długich palcach, tak białych, że aż

prawie przezroczystych, leżały na kołdrze. Twarz pociągła o zapadniętych policzkach. Wyglądała na zmęczoną.

Obudzić ją? Może lepiej nie, bo się przestraszy.

Cicho usiadłam na krześle obok jej łóżka i w półmroku wsłuchiwałam się w senne posapywanie. Miałam ochotę dotknąć jej ręki i z trudem się powstrzymywałam. Wreszcie po tylu latach byłam tak blisko niej. Nie do wiary! Łzy same ciekły mi po policzkach, a w duchu wołałam: Mamo! Mamo!

Spała. Współlokatorka nie przychodziła. To dobrze. Potrzebowałam czasu na oswojenie się z sytuacją, chociaż wolałabym, żeby nasze powitanie odbyło się bez świadków.

Siedziałam przy mamie i zbierałam w myślach szczątki wspomnień z dzieciństwa. Niewiele ich było, niestety. Zakryłam twarz rękami i oparłam łokcie o kolana. Myślałam o tym, ile nieszczęśliwych chwil przeżyła moja mama przez głupią miłość do ojca. Nie, nie myśl tak! Musiałam się upomnieć, miłość nigdy nie jest głupia. Tylko nieszczęśliwie ulokowana.

Na myśl o tym, że może ona ciągle kocha mego ojca, aż przeszedł mnie dreszcz. Czy to możliwe? A dlaczego nie, odpowiedziałam sama sobie.

Wciąż spała. Podeszłam do okna i wyjrzałam na wewnętrzny dziedziniec porośnięty starymi drzewami. Gdzieś tam świeciły latarnie.

– Kto tam?

Nagle doszedł mnie szept. Zamarłam z emocji i bałam się poruszyć.

– Kto tu jest?

Odwróciłam się powoli i podeszłam do łóżka.

– To ja, mamó. Michasia. – Więcej nie mogłam powiedzieć, bo nagły szloch prawie rozerwał mi piersi. Ukłękłam przy łóżku, a mama głaskała mnie po włosach.

– Moja córeczka kochana, moja dziewczynka. Nareszcie jesteś – powtarzała tylko.

Płakała, ale płakała cicho i spokojnie, a ja szlochałam w jej kołdrę, jakby nagle zerwała się tama.

* * *

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Przesiedziałam do rana przy łóżku mamy. Pielęgniarki kilka razy zaglądały na salę, ale szybko się wycofywały. Widocznie lekarz im powiedział, kim jestem, i nie chciały przeszkadzać w tej wyjątkowej chwili. Współlokatorka nie przyszła. Okazało się, że noc spędziła na sali pooperacyjnej pod czujnym okiem pielęgniarek i lekarzy. Byłyśmy same.

Trzymałyśmy się za ręce, jakbyśmy chciały nadrobić stracone lata. Miałam wrażenie, że po długiej wędrówce doszłam wreszcie do celu podróży i zmęczona wspominam przebytą drogę. Nie chciało mi się spać. Słuchałam chaotycznej opowieści, której część już znałam od wujka, odpowiadałam na zadawane pytania. Obydwie chciałyśmy opowiedzieć od razu wszystko, plątały nam się daty, kolejność zdarzeń, aż wreszcie skapitulowałam i skoncentrowałam się tylko na słuchaniu. Była tak podniecona i rozemocjonowana, że zaczęłam się martwić, czy silne wzruszenie nie nadszarpnie jej i tak wątłego zdrowia.

– Mamuś, spokojnie. – Gładziłam ją po twarzy. – Jestem tutaj. Żeby ci nie zaszkodziło to nasze spotkanie.

– Ależ ja jestem taka szczęśliwa! Taka szczęśliwa! Co by mi mogło zaszkodzić? Przecież moja córeczka jest przy mnie!

Mimo wszystko wolałabym, żeby się uspokoiła. Miała wypieki na policzkach i przyśpieszony oddech.

– Teraz już zawsze będziemy razem!

Nie podejmowałam tego tematu. Jeszcze będzie na to czas.

– Na razie musisz wyzdrowieć.

Poprawiałam poduszkę i otulałam kołdrą nogi, co sprawiało jej taką przyjemność, że robiłam to co chwilę.

– Teraz szybko już wyzdrowieję, zobaczysz! – przekonywała mnie jak mała dziewczynka.

Nad ranem z trudem udało mi się ją namówić na krótką drzemkę.

– Boję się, Michasiu, że jak się obudzę, to okaże się, że to wszystko było snem.

– Posiedzę przy tobie – obiecałam. – Będę tutaj, gdy się obudzisz.

Trzymałam ją za rękę, a ona leżała na boku wpatrzona we mnie oczami tak pełnymi miłości, że z trudem powstrzymywałam łzy.

– Moja kochana córeczka, moja Michasia – powtarzała cicho.

Wzruszona uśmiechałam się do niej. Wreszcie zasnęła. Przez sen coś cicho szeptała, ale spała spokojnie. Uśmiech nie schodził z jej ust. Nie do wiary, jak bardzo jej twarz zmieniła się przez te kilka godzin. Zniknęło gdzieś zmęczenie zmieszane z goryczą i smutkiem, na ich miejscu pojawił się promienny uśmiech i radość.

Musiała być naprawdę piękna w młodości. Patrzyłam, jak śpi, i pozwoliłam bujać moim myślom. Już nie miałam pretensji do losu, że odebrał mi matkę i jej bezgraniczną miłość. To już nie miało znaczenia. Ważne było tu i teraz. Oby tylko szybko wyzdrowiała.

Oparłam głowę o ścianę i zamknęłam oczy.

O szóstej obudziła mnie pielęgniarka roznosząca termometry.

– A pani jeszcze tutaj? Niechże pani idzie do domu przespać się trochę!

Obudziła mamę i położyła na szafce termometr.

– Niech pani odpocznie i wróci. Mamusia na panią zaczeka, prawda, pani Ludmiło?

Mama wpatrywała się we mnie zmrużonymi oczami i kiwała głową.

– To wielkie szczęście, że pani się odnalazła – perorowała kobieta. – Wielkie szczęście dla was obu.

Już nikt nie wierzył, że pani naprawdę istnieje.

Słowa pielęgniarki odbiły się w oczach mojej mamy przykrością.

Kiedy kobieta odeszła, uścisnęłam ją pocieszająco.

– Nic się przed nikim nie ukryje. – Uśmiechnęłam się krzywo.

– Jak to w małym mieście – westchnęła. – Czasem jest to pocieszające, ale czasem bardzo męczące.

Ludzie potrafią nadokuczać. – Wyraz jej oczu mówił, że dość się nacierpiała przez ludzką ciekawość i wścibstwo.

– Nie przejmuj się – pocieszałam ją. – Kto mądry, nie robi z tego sensacji.

– Ale kto jest mądry? – Słowa były zabarwione goryczą. – Teraz wszystko będzie się trzęsło od plotek i domysłów.

– Niech się trzęsie. A ty będziesz miała satysfakcję.

– Satysfakcję? A z czego? – Była bardzo zdziwiona.

– Z tego, że się zmaterializowałam. Nikt ci już nie zarzuci, że zmyślasz i żyjesz fantazją – wyjaśniłam.

Patrząc na mnie, uśmiechała się ciepło. Zmarszczki wokół oczu tworzyły cieniutką sieć, ale w połączeniu z uśmiechem nie postarzały. Przeciwnie, dodawały młodzieńczego uroku.

– Każdego dnia – powiedziała tak cicho, że aż musiałam się do niej pochylić – każdego dnia modliłam się o tę chwilę, w której staniesz przede mną i będę mogła cię przytulić. Modliłam się, ale nie wierzyłam, że to kiedykolwiek nastąpi. Straciłam wiarę w odzyskanie ciebie. A ty jesteś. Mój wymodlony dzień nastał. – Znowu zaczęła płakać.

– Jak widzisz, nigdy nie wolno tracić nadziei. – Pomyślałam o swoich poszukiwaniach, o trudnościach, jakie miałam. A przecież lepiej sobie radziłam i miałam większe możliwości.

– Nigdy – przytaknęła. – Wyglądasz na zmęczoną, Michasiu. Siostra miała rację, powinnaś się położyć

i przespać, chociaż ja chciałabym mieć cię stale przy sobie. Mieszkasz u Mikołaja?

– Nie, mam, zatrzymałam się w hotelu. Za chwilę pójdę odpocząć, a potem wpadnę do ciebie jeszcze. Może niedługo wyjdiesz ze szpitala?

– Na pewno! – Uradowała się jak małe dziecko. – Na pewno teraz szybko wyzdrowieję i wyjdę ze szpitala!

Ucałowałam ją.

– Będę za tobą tęskniła – szepnęła mi do ucha.

* * *

Dni, które nastąpiły, były jak sen. Dałam się namówić na przeprowadzkę do wujka Mikołaja. Odstąpił mi swój pokój, a sam zamieszkał w pokoju pełniącym funkcję salonu. Rzeczywiście, tak było łatwiej.

Niemal cały czas spędzałam w szpitalu przy mamie. Zdrowiała i odzyskiwała siły z godziny na godzinę. Po tygodniu lekarz oznajmił, że może wrócić do domu.

– Jestem zdumiony – powiedział do mnie. – Z tempa, w jakim nastąpiła poprawa. Już straciłem nadzieję, że pani mama odzyska zdrowie po tym udarze, a tu, proszę! Oczywiście, musi być ostrożna, dbać o siebie, potrzebna będzie rehabilitacja, ale wszystko idzie ku dobremu!

– To bardzo dobra wiadomość, panie doktorze.

– Bardzo dobra, pani Michalino, dla mnie też. – Spojrzałam na niego zdumiona. – Tak, tak. – Uśmiechał się. – Pani mama uczyła mnie rysunków w tutejszej szkole.

Zaskoczył mnie, bo jeszcze nie wiedziałam, że była nauczycielką.

– Przyjaźniła się z moją mamą, więc trochę wiem o tym, co się stało. – Położył dłonie na biurku. – Prawdę mówiąc, nie do końca wierzyłem w opowieść o zaginionej córce. Myślałem, że... że to taka fantazja, historia wymyślona na okoliczność niepowodzenia w wielkim świecie. – Mrużył oczy, patrząc na mnie.

– A historia okazała się prawdą – dokończyłam.

– No właśnie. – Pokiwał głową. – Aż trudno w to wszystko uwierzyć.

– Niech mi pan wierzy, mnie również trudno to ogarnąć. Prawda i mnie zaskoczyła, bo jej nie znałam.

– Zakończenie jak w amerykańskim filmie z happy endem. – Roześmiał się. – Ale naprawdę bardzo się cieszę. Pani Ludmiła jest dla mnie szczególnie pacjentką.

Nastała więc chwila, w której zabrałam mamę do domu. Jeszcze była dość słaba, mówiła, że kręci jej się w głowie, i bała się wychodzić z mieszkania, ale miała w sobie tyle pozytywnej energii, że ani przez chwilę nie wątpiałam, że wkrótce pokona słabości.

Po kolejnym tygodniu, w którym odzyskiwała sprawność, zapragnęła pojechać do Terki. Wuj Mikołaj nie był tym zachwycony.

– Jeszcze za wcześnie, Ludziu, jeszcze jesteś za słaba. Posiedź na balkonie na słończku, porozmawiaj z Michasią, porysuj, jutro może pójdziemy do parku – przekonywał ją.

Ale mama była niewzruszona.

– Nie jest za wcześnie, jedźmy. Michasia nas zawiezie, nic mi się nie stanie. W końcu muszę zacząć wychodzić.

Miała rację, ale nie chciałam wtrącać się w ich rozmowę i stawać po czyjejś stronie.

– A poza tym w mieście zrobiło się za gorąco, jest lato, posiedźmy trochę na wsi.

W końcu wujek uległ prośbom siostry. Wywalczył jeszcze kilka dni, zanim pojechaliśmy do Terki. Ale nie był zadowolony. Gderał coś pod nosem, burczał, nigdy jednak nie dał po sobie poznać, że jest zniecierpliwiony albo zły. Wzruszała mnie ich wzajemna troska.

W końcu pojechaliśmy do Terki. Zaparkowałam pod bramą i wyjmowałam z bagażnika torby, a wujek pomagał mamie wysiąść z samochodu. Nagle zrobiło mi się gorąco i duszno, oblała mnie fala zimnego potu. Przestraszona oparłam się o samochód. Na szczęście ani mama, ani wujek niczego nie zauważyli. Co się dzieje? Może jestem przemęczona? Albo organizm odreagowuje silne emocje, które ostatnio przeżyłam? A Waldek mnie upominał, żebym się nie przemęczała i uważała na siebie.

Tęskniłam już za Waldkiem. Za ojcem i Marceliną też. Nie widziałam ich ponad trzy tygodnie. Zdawałam im relację z każdego dnia z mamą. Nie, nie popędzali mnie. Jednak czułam, że chcieliby, szczególnie Waldek, żebym już wróciła. Ale wciąż było na to za wcześnie.

Nie powiedziałam jeszcze mamie o Marcelinie. Nie rozmawialiśmy na ten temat. Bałam się go poruszyć, choć wiedziałam, że to nieuniknione, ale nie miałam pojęcia, jak zacząć. Czekałam na okazję. A może na zachętę ze strony mamy?

Powoli dochodziłam do siebie. Oddychałam głęboko i słuchałam, jak serce się uspokaja. Bluzkę miałam mokrą od potu, czułam, jak przylepia mi się do pleców. Patrzyłam, jak wujek z mamą wchodzi do domu. W końcu poczułam się na tyle dobrze, że ruszyłam za nimi.

– Michasiu, kochanie, gdzie się podziewałaś? Postaw siatki w kuchni i odpocznij trochę, taka jesteś blada. To pewnie z upału.

Jaka ta moja mama spostrzegawcza! Niedobrze.

– Mikołaj, daj jej wody, bo jeszcze zemdleje.

Wujek, zatroskany, podał mi szklanekę z wodą. Z przyjemnością wypiłam. Czułam się już dobrze, ale byłam zaniepokojona tym, co się stało. W końcu machnęłam ręką, przecież przeszło. To na pewno chwilowe, pocieszałam sama siebie.

Spędziłyśmy z mamą w Terce dwa cudowne tygodnie. Wujek Mikołaj przyjeżdżał, kiedy miał wolne. Dorabiał do emerytury jako ochroniarz na parkingu. Mama czuła się coraz lepiej, jeździliśmy na krótkie wycieczki, a z czasem mogła już chodzić na dłuższe spacerki. Pokazała mi swoje ulubione miejsca, opowiedziała historię miłości dziadków, Anny z Suchodolskich i Wasyla Makaruka.

Z każdym dniem stawałyśmy się sobie coraz bliższe. Nie miałam do niej żalu o stracone dzieciństwo, rozumiałam to, co się stało. Obie cieszyłyśmy się z każdej spędzonej wspólnie chwili i obie omijałyśmy temat ojca i mojego powrotu do Wyszogrodu, chociaż wiedziałyśmy, że to nieuniknione. Był już początek września, w powietrzu pachniało jesienią, a ja nie miałam odwagi wspomnieć o wyjeździe.

– Michasiu... – zagała mama pewnego ciepłego popołudnia.

Siedziałyśmy przed domem, obierając grzyby, które tego dnia wujek przyniósł z leśnej wyprawy.

– Tak, mamuś? – Widziałam, że sprawiam jej przyjemność, mówiąc w ten sposób.

– Słyszałam wczoraj twoją rozmowę z narzeczonym. – Nie przerywała czyszczenia pięknego borowika.

Milczałam.

– Chciałby, żebyś już wróciła, prawda?

– Tak, rozmawialiśmy o tym. – Nie wiem, dlaczego miałam poczucie winy i nie patrzyłam jej w oczy. Zawzięcie grzebałam w koszyku z grzybami, niby wybierając kolejnego do czyszczenia.

– Córeńko, ja wiem, że ty odjedziesz. – Uśmiechała się, ale wargi jej drżały. – Wiem, że twoje życie jest tam, nie tutaj. Chciałabym mieć ciebie tutaj, cieszyć się tobą za te wszystkie lata, ale wiem, że to niemożliwe. Nie obawiaj się, że będę chciała ciebie zatrzymać. Cieszę się tym, co mam.

– Mamuś, ja sama nie wiem, co mam zrobić – odrzekłam. – Chciałabym być i tutaj z tobą, i tam z Waldkiem. I z tatą, i z Marceliną.

Zauważyłam, że drgnęła na dźwięk imienia Marceliny.

– Nie nacieszyłam się jeszcze tobą. I pewnie szybko nie nacieszę, ale niedługo będę musiała wrócić.

– Ale zostaniesz jeszcze kilka dni?

Kiwnęłam głową.

– Najważniejsze, że teraz już pozostaniemy w kontakcie i będziesz mogła mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcesz.

– A może ty mnie odwiedzisz, mamusiu?

Spłoszyła się.

– Kiedy będziesz na to gotowa, oczywiście. Przyjadę po ciebie i pomieszkasz trochę ze mną. Co ty na to?

– Kiedyś może cię odwiedzę.

Wiedziałam, że tego nie robi, że mówi tak tylko przez grzeczność.

– Ale jeszcze nie teraz. No, obieranie skończone. – Zręcznie zmieniła temat. – Teraz trzeba słoiki przygotować i zrobić zalewę z octu. Mikołaj, jak wstanie, przygotuje grzyby do suszenia. I zaraz trzeba się brać do gotowania obiadu.

Nie kontynuowałam naszej rozmowy. Wiedziałam, że i te kilka zdań kosztowało ją sporo emocji. Przyjdzie pora, to skończymy.

Często rozmawialiśmy w taki właśnie sposób – porzucaliśmy jakiś temat, żeby rozpocząć inny, bo akurat narodził się z poprzedniego, a potem gładko wracałyśmy do początku rozmowy. Wujek irytował się na nas, bo nie nadążał za bezustanną zmianą wątków.

– Mikuś, ale my nie o tym teraz mówimy! – Śmiała się mama, kiedy nagle coś wtrącał nie na temat.

– A kto za wami nadąży! – Śmiesznie wyrzucał ręce w górę. – Nie można się zorientować, o czym akurat mowa! Jedna warta drugiej! – Wstawał wtedy zły i podchodził do okna, jeśli byliśmy w domu, albo do bramy, jeśli siedzieliśmy na podwórku. Ale wracał do nas szybko i milczał, przysłuchując się naszym rozmowom.

Teraz spał, zmęczony wczesną pobudką i wielogodzinnym chodzeniem po lesie. Na podwórku byliśmy same. Zebrałam ze stołu gazety z obierzynami i schyliłam się po koszyk. Kiedy wstałam, zakręciło mi się w głowie.

– Michasiu! – krzyknęła przestraszona mama. – Michasiu, co się dzieje?

Jeszcze jej nie mówiłam o swojej chorobie, nie chciałam jej martwić. Wystarczy, że ja się martwiłam. Co mi jest, zastanawiałam się. Przecież badania wypadły dobrze, profesor mówił, że jestem zupełnie zdrowa! Opadłam na krzesło, zlana zimnym potem. Od przyjazdu do Terki zdarzyło mi się to trzeci raz. Teraz do ogólnej słabości dołączyły mdłości, czułam, że żołądek podjeżdża mi pod gardło. Przełknęłam ślinę i wzięłam haust powietrza. Po chwili poczułam się lepiej.

– W porządku, mamó.

Wlepiła we mnie rozszerzone strachem oczy.

– Za szybko się podniosłam i zakręciło mi się w głowie. Zaraz przejdzie.

– Przyniosę ci wody. – Mama już stała nade mną i ocierała mi pot z czoła.

– Nie podnoś się.

Do wieczora nie spuszczała ze mnie wzroku, śledziła każdy mój krok i nie pozwalała mi nic robić. Żle się z tym czułam, ale nie chciałam z nią dyskutować. Oboje z wujkiem skakali koło mnie jak skacze się koło małego dziecka.

Kiedy się położyłam, przyszła do mnie i przysiadła na skraju łóżka. Pogładziła po głowie i westchnęła.

– Michasiu, co ci jest? Martwię się.

Dobrze było tak leżeć i czuć na czole jej chłodną, kochającą dłoń.

– Nic, mamusiu, wszystko w porządku. – Bardzo chciałam ją uspokoić, chociaż sama byłam zaniepo-

kojona.

– Chyba jednak nie jest w porządku. – Czułam, że mama nie da się dłużej zwodzić.

– Naprawdę nic mi nie jest. Ale żebyś była spokojna, obiecuję, że pójdę do lekarza, jak wrócę.

– Możesz pójść do lekarza tutaj – przyglądała mi się z dezaprobatą. – Po co czekać tyle czasu?

– Bo to nic wielkiego, nie ma co panikować.

– Jakoś mnie nie przekonałaś – stwierdziła. – Ale zrobisz, jak zechcesz. Wolałabym jednak, żebyś jak najszybciej trafiła do lekarza. Przemyśl to.

– Dobrze, mamu. Przemyślę.

Pocałowała mnie w czoło.

– Dobranoc, kochanie.

Teraz ona otuliła mnie kołdrą i wyszła.

Leżałam w ciemnościach i zastanawiałam się nad tym, co mi jest. Może rzeczywiście pojechać do szpitala w Lesku?

W końcu decyzję odłożyłam do rana i uzależniłam od jutrzejszego samopoczucia. I z tą myślą zasnąłam.

* * *

Obudziłam się o świcie, tuż po wschodzie słońca. Byłam wyspana i wypoczęta, nic mi nie dolegało. Mama i wujek jeszcze spali. Przez otwarte okno napływało chłodne powietrze poranka i zapach wilgotnej ziemi oraz butwiejących liści. Dzień zapowiadał się pogodny, choć już jesienny. Tutaj chyba jesień przychodzi wcześniej niż na Mazowszu, pomyślałam. Drzewa już były porudziałe i zaczynały gubić liście.

Otuliłam się swetrem i po cichutku wyszłam na ganek. Cisza niemal dzwoniła w uszach, od czasu do czasu słychać było poświstywanie wiatru. Ładnie tu, tylko tak obco i pusto. Dom stał na uboczu, tak jak dom babci w Szamocinach, ale bliskość gęstego lasu pogłębiała wrażenie opuszczenia. Znikąd nie dochodziły odgłosy zwykłego gospodarskiego życia. Nic, tylko ta cisza.

Wdychałam rześkie powietrze i myślałam o swoich bliskich zostawionych w Szamocinach. Tęskniłam za nimi coraz bardziej. Ciekawe, jak im się żyje. Nie byłam ciekawa ich opowieści, bo miałam je codziennie, ale potrzebowałam tej szczególnej bliskości, która rodzi się we wspólnym życiu. Tak jak teraz między mną a mamą i wujkiem. Trzeba poważnie pomyśleć o powrocie. Wyjechałam przecież ponad miesiąc temu. Pewnie nie poznam domu babci, remont prawdopodobnie już się kończy. Tak, trzeba wracać. Mama ma rację, teraz będziemy już w stałym kontakcie. W końcu może da się namówić na odwiedziny w moim domu? Może po prostu potrzebuje czasu? Przecież tak dużo się wydarzyło, każdy, nie tylko mama, musiałyby się oswoić z nową sytuacją.

Wróciłam do domu i wsunęłam się pod kołdrę, która zachowała jeszcze resztki ciepła. W kuchni miarowo tykał stary zegar. Zdrzemnę się jeszcze, postanowiłam i zamknęłam oczy. Powoli, bardzo powoli, zapadłam w sen.

* * *

Kilka dni później wybrałyśmy się z mamą na przechadzkę. Nazajutrz miałam wyruszyć w drogę powrotną do Szamocin. Mama trzymała się dzielnie, choć widziałam, że smuci się naszym rozstaniem. Nie robiła scen, nie dramatyzowała, uśmiechała się tylko łagodnie i zapewniała, że rozumie.

Szłyśmy wolno leśną ścieżką, oddalając się od domu i od Terki. W nocy padał deszcz, ziemia była rozmiękła i pokryta mokrymi liśćmi. Z drzew kapały zimne krople. Gdzieś pomiędzy drzewami

snuły się strzępy mgły. Szczelniej otuliłam się kurtką przeciwdeszczową i wcisnęłam ręce w kieszenie. Milczałyśmy obie.

– A jak ty się czujesz, córeczko? – zatroskała się nagle. – Już nie jest ci słabo i nie kręci ci się w głowie?

– Nie, mam. Już wszystko w porządku. To była chwilowa niedyspozycja.

– Pamiętaj, idź do lekarza. Nie lekceważ tego. To może być coś błędnego, ale lepiej sprawdzić.

– Dobrze, mam.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o swojej chorobie. Opowiedziałam jej już o Pawle i o Waldku, o przyjaźni z Agą i wielu różnych rzeczach, ale o pobycie w szpitalu i operacji nawet nie wspomniałam. Nie chciałam jej martwić. To był trudny temat.

Droga pięła się lekko w górę. Szłyśmy powoli po mokrych kamieniach, zachowując ostrożność. Zdyszana przystanąłam na niewielkiej polance, żeby odpocząć. Mama oparła się o drzewo i patrzyła w dół, na słabo widoczną w oddali Terkę.

– Tutaj, na tę polanę uciekałam, żeby się wypłakać, kiedy wróciłam z Warszawy po rozstaniu ze Stefanem.

Po raz pierwszy przy mnie wymówiła imię ojca.

– Rzadko ktoś tu przychodził, miałam spokój. Chyba że Szczepan mnie szpiegował, wtedy musiałam przed nim uciekać – mówiła spokojnie, bez emocji.

Nie przerywałam jej.

– Jaki on teraz jest? – zapytała po chwili milczenia.

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć, przecież nie byliśmy z ojcem w dobrych stosunkach przez całe życie, dopiero ostatnio jego zachowanie tak bardzo się zmieniło.

– Teraz zupełnie inny niż kiedyś – odpowiedziałam. – To nie ten sam człowiek. A jaki był wtedy?

Milczała.

– Zupełnie inny od moich wyobrażeń.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– I na dodatek mnie nie kochał. Nie wiem, dlaczego się ze mną ożenił, skoro kochał tamtą... kobietę.

– Myślał, że przy tobie o niej zapomni.

– Skąd o tym wiesz?

– Powiedział mi.

Stała przede mną przygarbiona, jakaś taka mała i bezradna.

– Nawet się nie starał. – Usta miała wykrzywione goryczą. – Nawet się nie starał – powtórzyła cicho.

W tych słowach było tyle zapiekłego bólu, że aż zabrakło mi tchu. Gdybym nie znała tej historii, wprawdzie opowiedzianej przez ojca, chyba teraz pękłoby mi serce.

– Mamuś. – Wzięłam ją za rękę. Były lodowate. Popatrzyłam na stare blizny na przegubach. – Mamuś, nie myśl już o tym. Nie rań się wspomnieniem. On też dzisiaj inaczej to wszystko ocenia.

– Inaczej? A jak? – Patrzyła na mnie zimno, jej oczy przypominały kryształki lodu.

– Bardzo żałuje swojego postępowania. Mówi, że to było silniejsze od niego i że przez to bardzo cię skrzywdził. Ciebie i mnie. I Marcelinę – dodałam po chwili.

Wzdrygnęła się, usłyszawszy to imię.

– A wiesz, jak ja się czułam? – Drżały jej wargi, bałam się, że za chwilę wybuchnie płaczem. Ale nie, nie rozplakała się. – Wyjechałam, bo nie chciałam im przeszkadzać. Skoro tak bardzo ją kochał, że ani ja, ani ty nic dla niego nie znaczyłyśmy... Tylko tamta, ta Marianna, i jej córka. Mam nadzieję, że byli szczęśliwi.

Powoli zaczęła schodzić ścieżką w dół. Ruszyłam za nią.

– Nie byli, mammo.

– Nie? Ją też zdradził i porzucił?

Była trochę niesprawiedliwa, bo przecież ojciec jej nie porzucił, to ona od niego odeszła. Od niego i ode mnie.

– To bardzo dramatyczna historia, mamusiu.

Milczała.

– Marianna popełniła samobójstwo, a Marcelina wychowywała się u dziadków w biedzie i osamotnieniu, a kiedy umarli, trafiła do domu dziecka.

Nadal się nie odzywała, jakby nie słyszała tego, co powiedziałam. Przyśpieszyła tylko kroku.

– Mammo, zaczekaj, nie pędź tak! – Zdyszana, usiłowałam za nią nadążyć.

Jednak mnie usłyszała, bo zwolniła.

– Musisz wiedzieć, że tata z nią nie był, znaczy z Marianną, nie był. To ona go odprawiła z kwitkiem. Nie mógł się z nią ożenić, chociaż obiecał, więc go odprawiła. Pomieszało jej się w głowie z tej niespełnionej miłości.

Mama stała na ścieżce, kopiąc butem drobne kamyki. Miała zaciśnięte usta i nie patrzyła mi w oczy.

– Nie mógł się z nią ożenić, bo byli zbyt bliskimi kuzynami, chyba wiesz o tym – rzuciła wyzywająco.

– Wiem, wiem. Sam mówi, że dzisiaj inaczej to wszystko wygląda.

– Dla mnie wciąż tak samo – szepnęła. – A co z Marceliną? – zainteresowała się nagle.

– Marcelina, mamusiu, mieszka teraz ze mną.

Nabrała w płuca powietrza, chyba żeby coś powiedzieć, ale nie pozwoliłam jej się odezwać.

– I będzie mieszkać, dopóki zechce. To dobra i wrażliwa dziewczyna. Ona niczemu nie jest winna. Chyba to rozumiesz.

Było to dla mnie takie oczywiste! Ale czy dla niej też? Teraz ja ruszyłam ścieżką w dół pierwsza.

Mama poszła za mną.

– Poznałam ją zimą – ciągnęłam swoją opowieść. – To było tuż przed Bożym Narodzeniem. Wiesz, gdzie ją znalazłam? W starej, rozpadającej się budzie, bez jedzenia i bez ogrzewania w dwudziestostopniowym mrozie. Za to z wysoką gorączką. Gdybym jej stamtąd nie zabrała, może już by nie żyła. Naprawdę uważasz, że nie powinnam jej pomagać, bo jest owocem związku, który nas skrzywdził? – Gotowa byłam bronić Marceliny za wszelką cenę.

– Nie, Michasiu, skądże znowu! Masz rację, nie powinnam jej o nic obwiniać. – Szła z opuszczoną głową. – Biedne dziecko – szepnęła na koniec.

– Była samotna, tak jak ja. I na dodatek żyła w nędzy. I wiesz, mammo? Ona pięknie rysuje, tak jak ty.

Wreszcie zauważyłam jakiś cień uśmiechu na jej twarzy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Chciałabym, żeby kształciła swój talent.

– Lubisz ją?

– Lubię. Nawet bardzo lubię. Jest moją siostrą!

– Jest twoją siostrą – zamyśliła się. – No tak. Nigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób.

Przez długą chwilę szliśmy obok siebie, nie odzywając się.

– Wiesz, Michasiu, uświadomiłaś mi straszną rzecz!

W napięciu czekałam, co powie. Jaką to straszną rzecz jej uświadomiłam?

– Nikt nigdy nie zwrócił mi na to uwagi.

– Na co, mammo?

Rozglądała się po lesie, jakby była tu po raz pierwszy. Policzki zabarwił jej lekki rumieniec.

– Że tyle lat żyłam zaślepiona nienawiścią. Wszyscy mi współczuli, litowali się nade mną, podsycali

moją złość. Wprost pasłam się nią. Obwinałam Stefana, tamtą kobietę i jej dziecko o to, że musiałam zrezygnować z ciebie. Bardzo mi teraz wstyd.

Nie wiedziałam, czy mówi serio, czy może mówi to, co chciałabym usłyszeć.

– Gdybyś znała prawdę, mogłabyś wcześniej rozprawić się z tymi demonami – ostrożnie dobiebrałam słowa. – Zawsze tak jest.

– Gdybym znała prawdę – powtórzyła zamyślona. – Gdybym znała! Ale nie zrobiłam nic, żeby ją poznać!

– Mamuś, jak to nic? Przecież pisałaś listy! Skąd mogłaś wiedzieć, że babcia schowa je przede mną?

– Kiedy listy zaczęły wracać, powinnam była pojechać do ciebie, wyjaśnić ci wszystko. Powinnam była pojechać nawet wcześniej! Nie tylko czekać, aż mi ktoś odpisze! Teraz dopiero to widzę! Boże, jak mogłam być taka zaślepiona? Rozum mi odjęło? – Szła, kręcąc z niedowierzaniem głową. – I dlaczego nikt mi na to nie zwrócił uwagi, nie doradził, żeby porzucić złość i jechać do ciebie? Nawet ksiądz proboszcz!

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

– Dopiero ty sprowadziłaś mnie na ziemię, Michasiu. W zapięłym bólu zapomniałam o uczuciach innych. Że też mogą cierpieć. Ach, Michasiu! Jakaż ja byłam głupia!

– Nie mów tak, proszę! – Wzięłam ją za rękę.

– Czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz, Michasiu?

Przytuliłam ją na środku drogi w lesie. Znowu zaczął siąpić deszcz.

– Już dawno ci wybaczyłam. – Kołysałam ją w ramionach jak dziecko, którego nie miałam. – Wracajmy do domu.

– Wracajmy. – Naciągnęłyśmy kaptury na głowy i trzymając się za ręce, ruszyłyśmy w kierunku domu.

– Dziękuję ci za tę rozmowę, mamusiu.

– To ja tobie dziękuję, córeczko. Dałaś mi nowe życie.

* * *

Wieczorem spakowałyśmy nasze rzeczy i ruszyłyśmy w drogę do Leska. Deszcz przestał padać, ale było mokro i nieprzyjemnie. Włączyłam ogrzewanie i po chwili w samochodzie zrobiło się bardzo przytulnie.

– Chciałabym poznać tę Marcelinę, wiesz, Michasiu?

Serce zatrzepotało mi z radości.

– Ale jeszcze nie teraz. Muszę przyzwyczać się do nowego myślenia.

Roześmiałyśmy się obie.

– To może z wujkiem przyjedziecie do nas na Boże Narodzenie? – zaproponowałam.

– Porozmawiam z Mikołajem. Możliwe, że przyjedziemy. Ale najpierw napiszę do Stefana. Myślisz, że to dobry pomysł?

– Myślę, że powinniście wyjaśnić sobie pewne rzeczy. To dobry pomysł.

– Tylko uprzedź go, żeby nie był zaskoczony.

– Dobrze, uprzedzę. Na pewno się ucieszy. Chyba boli go świadomość, że cię skrzywdził. Może uda się choć trochę naprawić wasze stosunki.

– Na wszystko musi przyjść odpowiednia chwila, córeczko. Możliwe, że właśnie nadeszła.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, mamu.

– Ja też, kochanie, ja też.

* * *

Nadszedł dzień pożegnania. Najpierw pożegnałam się z wujkiem, który jechał rano do pracy.

– Uważaj na siebie, Michasiu. I pisz do nas. A jak będziesz miała ochotę, to przyjeżdżaj.

Uściskał i ucałował mnie siarczyście.

– Będę, wujku. Dziękuję ci za wszystko.

Polubiłam go bardzo i z żalem żegnałam.

– To my ci dziękujemy. Teraz wszystko będzie o wiele łatwiejsze.

Mama jeszcze spała. Usiadłam w kuchni przy szklance herbaty i rozmyślałam. Byłam rozdarta. Żal mi było wyjeżdżać, bo dobrze było mi z mamą, ale bardzo tęskniłam za Waldkiem i resztą. Kiedy wczoraj wieczorem oznajmiłam im, że wracam, usłyszałam taki wybuch radości, że aż się wzruszyłam. Nie ma co, brakowało mi ich. Najlepiej by było mieć ich wszystkich razem. Nie wiem, czy to możliwe, ale co mi szkodziło pomarzyć. Może w niedalekiej przyszłości się ziści.

Zaczęłam przygotowywać śniadanie. Pokroiłam chleb, wstawiłam jajka, wyjęłam z lodówki masło i parówki. Poczułam ssanie w żołądku, szybko więc zrobiłam sobie kanapkę z masłem i pomidorem i ugryzłam zimną parówkę. Popiłam herbatą.

Targnęły mną takie torsje, że ledwo zdążyłam dobiec do łazienki. Długo wymiotowałam do sedesu, niemal samą żółcią. Byłam tak wyczerpana, że nie usłyszałam, kiedy stanęła nade mną mama.

– Michasiu, dziecko, co się dzieje? – Była przestraszona i patrzyła na mnie z troską.

– Chyba mi parówka zaszkodziła. Zjadłam zimną – wyszeptalam i oparłam się o ścianę.

– Jesteś pewna?

Co niby miała na myśli?

– Czego, mam?

– Że to parówka.

– A co innego? Była z lodówki, zjadłam na pusty żołądek.

W jej oczach oprócz troski pojawiła się dezaprobatą.

– Może zrób sobie test?

– Jaki test? – zdumiałam się.

I nagle spłynęło na mnie olśnienie. Nie! przecież to... niemożliwe!

– Nie wiesz jaki? No rusz głowę, dziewczyno! Chodź, wstawaj, nie siedź tak na zimnej posadzce, jeszcze się przeziębisz.

Pomogła mi wstać, umyłam zęby i powoli wróciłam do kuchni. Zewsząd drażniły mnie zapachy – pomidora z cebulą, gotujących się jajek, parówek.

– Nie pij tej zimnej herbaty.

Wyjęła mi szklankę z ręki.

– Zrobię ci świeżą. Bo znowu ci zaszkodzi.

Spojrzałam na nią krzywo.

– Może zostaniesz jeszcze jeden dzień? Czujesz się na siłach jechać?

– Chyba tak. Już mi przechodzi. Do wyjazdu wszystko będzie w porządku.

Ale na wszelki wypadek zjadłam bardzo skromne śniadanie. Tylko chleb z masłem i odrobiną białego sera, a po śniadaniu położyłam się jeszcze na chwilę. Mama usiadła obok mnie, ale nic nie mówiła. Cieszyłam się z tego, bo nie wiedziałam, co mogłabym jej powiedzieć. Sama musiałam się uporać z tą myślą.

– Pójdziesz do lekarza, prawda? – W końcu się odezwała.

– Oczywiście, mam, bez dwóch zdań. Obiecuję. Zaraz, jak tylko wrócę.

– Zawiadom mnie, nie zapomnij. Martwię się.

– Dam znać natychmiast. Nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

– Mam nadzieję. Ale będzie inaczej.

Udałam, że nie usłyszałam. Zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Pora wyruszać. Zamierzałam jechać bez przerwy. Za bardzo się stęskniłam, nie wytrzymałabym jeszcze jednej nocy bez Waldka.

Zniosłyśmy rzeczy do samochodu i nagle nie wiedziałyśmy, co powiedzieć. Mama stała smutna, ale starała się nie pokazać tego po sobie. Przytuliłam ją mocno.

– Będę za tobą tęsknić, mamusiu – szepnęłam jej do ucha.

– Ja już tęsknię, kochanie. – Od powstrzymywanego płaczu drżały jej wargi.

Coś mnie ścisnęło za serce. Jak mam ją tutaj zostawić? Przydałby się wujek, byłabym spokojniejsza.

– Dobrze się czujesz? – Popatrzyłam jej w oczy.

Szklily się pierwszymi łzami.

– Dobrze, bardzo dobrze, nie martw się.

– Teraz już zawsze będę się o ciebie martwić – usiłowałam ją pocieszyć. – Mamusiu, jesteśmy w kontakcie. Zadzwoń do ciebie wieczorem. Będę dzwonić codziennie – obiecałam. – I pomyśl o Bożym Narodzeniu. Byłoby cudownie spędzić te święta razem.

– Masz rację, byłoby cudowne. Wreszcie razem, po tylu latach. Nareszcie się uśmiechnęła. – Pomyślę. Uściskaj mnie jeszcze.

Uściskałam. I ucałowałam.

– No jedź już, bo będzie jeszcze trudniej.

Wsiadłam do samochodu.

– Uważaj na siebie! I zadzwoń, jak zajedziesz! – Upominała mnie jeszcze, gdy włączyłam silnik. Stała przy oknie i już nie powstrzymywała łez. – Kocham cię, córeczko moja! – Przycisnęła dłoń do ust.

– I ja cię kocham, mamusiu. Zawsze cię kochałam! – Przesłałam jej całusa i powoli ruszyłam.

Widziałam we wstecznym lusterku jej szczupłą postać. Machała mi. Wysunęłam rękę przez okno i odmachalam.

* * *

Za Ostrowcem Świętokrzyskim zaczęło się wypogadzać, chmury były coraz rzadsze i słońce śmielej wyglądało na świat. Postanowiłam odpocząć i przy okazji zjeść obiad w przydrożnej gospodzie. Złożyłam zamówienie i zadzwoniłam do Waldka.

– Michasia! – ucieszył się. – Wracasz już?

– Wracam, wracam. Właśnie minęłam Ostrowiec Świętokrzyski. Zjem obiad i gnam do ciebie!

– Tylko ostrożnie – upomniał mnie. – I nie objadaj się zanadto. Szykujemy wystawną kolację z okazji twojego powrotu.

– Do kolacji jeszcze dużo czasu, zdążę zgłodnieć!

– Mam nadzieję.

– A kolacja w Szamocinach czy u ciebie, w Wyszogrodzie?

– U mnie. Wprawdzie remont skończony i Marcelina bardzo chciała zainaugurować tą kolacją kuchnię, ale, niestety, nie ma tam jeszcze wyposażenia. Postanowiła sama wszystko przygotować, mam się nie wtrącać.

– No coś takiego! – Śmiałam się. – Jak ty to wytrzymasz?

– Właśnie nie wiem. Chyba będę musiał wyjść z domu i przyjść dopiero na kolację.

– To spotkajmy się w Szamocinach – zaproponowałam. – Będziemy mieli chwilę tylko dla siebie.

A potem pojedziemy na kolację.

– Bardzo chętnie, kochanie – zamruczał do słuchawki. – Okropnie się za tobą stęskniłem.

– Ja za tobą też, nawet nie wiesz jak. – Odpędzałam uporczywą myśl, która wdzierała mi się siłą do

mózgu. – To jesteśmy umówieni. Muszę kończyć, bo mój obiad idzie. Do zobaczenia. – Posłałam mu całusa.

Nie celebrowałam posiłku, zjadłam szybko, żeby jak najprędzej ruszyć do Szamocin. Droga nie była zatłoczona, słońce nie dawało się we znaki. Patrzyłam na coraz bardziej płaski krajobraz, na puste pola, rżyska ze stadami ptaków, pierwsze zaorane połacie ziemi. Drzewa dopiero zaczynały tracić intensywność zieleni, nie tak jak w Bieszczadach. Zmrużyłam oczy w zachwycie. Lubiłam schyłek lata z jego łagodnym światłem, powiewami wiatru i babim latem na twarzy. Lubiłam spokój tej pory roku, jej nasycenie tym, co minęło, i gotowość do tego, co ma nadejść.

Do Szamocin dojechałam po osiemnastej. Po drodze wstąpiłam do apteki i kupiłam test ciążowy oraz pojemnik na mocz. Zaparkowałam przed bramą i weszłam na podwórko. Nikogo nie było, nawet robotników pana Jurka, którzy jeszcze mieli do wykonania prace wykończeniowe. Dom babci stał przede mną okazały, w nowej szacie, z nowym dachem, rynnami i oknami. Jeszcze pusty, ale już czekał na lokatorów. Prezentował się pięknie, aż trudno mi było uwierzyć, że to ten sam dom. Z lewej strony pyszniła się świeżością desek nowiutka weranda. Jak tu będzie pięknie, kiedy w oknach zawisną firanki, uporządkuje się otoczenie, posadzi kwiaty i wszędzie zatętni życie. Spojrzałam w kierunku pawilonu. Jeszcze stał, stary, rozwalający się budynek. Uśmiechnęłam się na ten widok. Tata mówił, że nie potrafią się zdecydować na rozbiórkę, Marcelina była bardzo związana z tym miejscem i jest jej żal. Byłam tak życzliwie nastawiona do całego świata, że postanowiłam zrobić jej niespodziankę i odbudować pawilon. Niech się cieszy. Będzie miała swój własny, wymarzony kąt.

Z doniczki z pelargonią wyjęłam klucz do niebieskiego domu. Dobrze, że nikogo nie było. Zamknęłam się w łazience i wyjęłam z torebki test. Pięć minut i wszystko będzie jasne.

Spokojnie patrzyłam, jak na pasku pojawiły się dwie wyraźne kreski. A więc jednak. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? A mama się domyśliła, od razu rozpoznała objawy. Ciekawe, który to tydzień. Zaczęłam w myślach obliczać. Przed wyjazdem do Terki mieliśmy z Waldkiem bardzo napięty czas. Trudno stwierdzić, kiedy to nastąpiło. Zresztą, czy to ważne? Roześmiałam się głośno. Jestem w ciąży! A już myślałam, że mi się to nie przytrafi. Pomyślałam o Adze. Obie będziemy miały dzieci mniej więcej w tym samym czasie. Ciekawa byłam jej reakcji na wieść o moim stanie. Ale najpierw powiem Waldkowi. A potem mamie, ojcu i Marcelinie! Będę miała dziecko!

Rozpierała mnie radość. Szybko w myślach obliczyłam, kiedy nastąpi rozwiązanie. Marzec albo kwiecień. Szczęście więc przyjdzie do mnie z wiosną.

Schowałam test i uporządkowałam łazienkę. Zapragnęłam pójść do sadu i wykrzyczeć swoją radość właśnie tam.

Drzewa stały piękne i dorodne, tak jak sobie to wyobrażałam. Gałęzie oblepione były obfitością owoców, aż uginały się od ich ciężaru. Wokół, cicho bzycząc, owady uwijały się przy zbieraniu słodczy z przejrzałych owoców.

Patrzyłam wokół urzeczona urodą tego miejsca i jego spokojem. Byłam szczęśliwa.

Usłyszałam nadjeżdżający samochód Waldka i zaraz potem ciche trzaśnięcie drzwi.

Wiatr lekko poświstywał i z każdym powiewem przynosił zapach jabłek. Starłam z twarzy pajęczynę. Babie lato, pomyślałam radośnie i ruszyłam na spotkanie Waldkowi.